

EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

Kontynuacja bestsellerów

*Cisza białego miasta i Rytuały wody*

# WŁADCY CZASU



„*Władcy czasu* to powieść wyjątkowo dojrzała, fascynująca i dopracowana w najdrobniejszym szczególe. Perfekcyjne zwieńczenie najlepszej trylogii kryminalnej ostatnich lat!”

ASIA WÓJCIAK, [INSTAGRAM.COM/ZUPA.CZYTA](https://www.instagram.com/zupa.czyta)

„Baskijska przygoda się kończy, ale w jakim stylu! Dwie równoległe opowieści, kryminalna zagadka i bohaterowie, z którymi zdążyliśmy się już żyć, a z którymi trzeba się pożegnać. Emocje gwarantowane!”

DIANA CHMIEL, [INSTAGRAM.COM/BARDZIEJLUBIEKSIAZKI](https://www.instagram.com/bardziejlubieksiazki)

„Ta książka to genialne połączenie dobrego kryminału, thrillera i powieści historycznej. Fenomenalne zakończenie najlepszej trylogii kryminalnej! Na pewno będę do niej wracać!”

KASIA JAROSIŃSKA, [INSTAGRAM.COM/KEJTI.READS](https://www.instagram.com/kejti.reads)

„Zaskakujące zwroty akcji, intrygujący wątek historyczny i przeplatające się ze sobą dwie linie czasowe tworzą niezapomniany klimat. Żałuję, że to już ostatni tom, i Wy też będziecie żałować”.

MIŁKA AWGUL, [INSTAGRAM.COM/MAW\\_READS](https://www.instagram.com/maw_reads)

„Śledztwo prowadzone na najwyższym poziomie, a do tego wielowątkowa fabuła sprawia, że nigdy nie zapomnicie o tej powieści. Takiego zamknięcia trylogii nikt się nie spodziewał!”

JOANNA ĆWIERTKA, [INSTAGRAM.COM/PANDA\\_ZKSIAZKA\\_](https://www.instagram.com/panda_zksiazka_)

„Niebanalne zagadki kryminalne i osobliwi bohaterowie to specjalność Sáenz de Urturi! Morderca zabija zgodnie z książkowym pierwowzorem, a inspektor Kraken błądzi między literacką fikcją a historią, by zapobiec kolejnym zbrodniom”.

PAULA SIECZKO, [INSTAGRAM.COM/RUDERECENZUJE](https://www.instagram.com/ruderecenzuje)

„Autorka po raz kolejny mnie zachwyciła! Pomysł na fabułę jest genialny i misternie dopracowany. Od tej historii nie można się oderwać. Jestem pod ogromnym wrażeniem!”

ANIA JAKUBIEC, [INSTAGRAM.COM/ANIKADJ.ANA](https://www.instagram.com/ANIKADJ.ANA)

„*Władcy czasu* to doskonałe zakończenie trylogii. Wypełnione po brzegi niebanalną i pasjonującą intrygą. Zawile i z dbałością o każdy szczegół autorka snuje klimatyczną opowieść pełną niewyjaśnionych zbrodni i manipulacji”.

ANITA JELEŃ, [INSTAGRAM.COM/JELEENKA](https://www.instagram.com/JELEENKA)

„Choć autorka zawiesiła sobie poprzeczkę bardzo wysoko, *Władcy czasu* przebijają nawet świetne *Rytuały wody!* To jeszcze lepsza intryga, więcej detali i mistrzowska narracja. Doskonałe zwieńczenie cyklu”.

DANIEL MUNIOWSKI, [INSTAGRAM.COM/STREFACZYTACZA](https://www.instagram.com/STREFACZYTACZA)

„Oto kryminał idealny. *Władcy czasu* to godna kontynuacja serii i jej zwieńczenie. Tylko żal ogromny, że to już koniec. Kłaniam się autorce w pas – stworzyła imponującą historię, która pozostanie ze mną na zawsze. Czekam na jej ekranizację. To będzie coś wielkiego. Czapki z głów, moi mili!”

MAŁGORZATA TINC, [WWW.LADYMARGOT.PL](http://WWW.LADYMARGOT.PL)

EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

# WŁADCY CZASU

przełożyła  
**Katarzyna Okrasko**



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***Los señores del tiempo***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/Panczakiewicz Art.Design*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Ververidis Vasilis/Shutterstock

© Zoia Kostina/Shutterstock

© Eva García Sáenz de Urturi, 2018

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Katarzyna Okrasko

**ISBN 978-83-287-1332-1**

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

## Spis treści

- 1 PAŁAC VILLA SUSO – UNAI
- 2 BRAMA PÓŁNOCNA – DIAGO VELA
- 3 DACHY KOŚCIOŁA ŚWIĘTEGO MICHAŁA – UNAI
- 4 BRAMA POŁUDNIOWA – DIAGO VELA
- 5 ULICA PINTORERÍA – UNAI
- 6 STARA KUŹNIA – DIAGO VELA
- 7 ARMENTIA – UNAI
- 8 PAŁAC ÁLAVA-ESQUIVEL – UNAI
- 9 CAUCE DE LOS MOLINOS – DIAGO VELA
- 10 WIEŻA NOGRARO – UNAI
- 11 ULICA CUCHILLERÍA – UNAI
- 12 GOSPODA LA ROMANA – DIAGO VELA
- 13 LAU TEILATU – UNAI
- 14 ULICA HERRERÍA – UNAI
- 15 WIGILIA ŚWIĘTEJ AGATY – DIAGO VELA
- 16 SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA – UNAI
- 17 NOWA KATEDRA – UNAI
- 18 ALKOWA HRABIEGO – DIAGO VELA
- 19 RZEKA ZADORRA – UNAI
- 20 K, >N 1 – UNAI
- 21 PLAC SĄDÓW – DIAGO VELA
- 22 ARKAUTE – UNAI
- 23 DAMA Z ZAMKU – UNAI
- 24 MIĘSOPUST – DIAGO VELA

- 25 BRACIA DEL CASTILLO – UNAI
- 26 ANP – UNAI
- 27 ZAKRYSTIA – DIAGO VELA
- 28 VALDEGOVÍA – UNAI
- 29 OGRODY SAMANIEGA – UNAI
- 30 DĄB SPRAWIEDLIWOŚCI – DIAGO VELA
- 31 DROGA WŚRÓD SOSEN – UNAI
- 32 SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA – UNAI
- 33 YENNEGO – DIAGO VELA
- 34 ZASADA LOCARDA – UNAI
- 35 QUEJANA – UNAI
- 36 ZAULEK CIEMNEJ BRAMY – DIAGO VELA
- 37 STARA SALA WYKŁADOWA – UNAI
- 38 ZA MURAMI – DIAGO VELA
- 39 STARY CMENTARZ – UNAI
- 40 CHODNIK OBRONNY NA MURACH – DIAGO VELA
- 41 PIEC W KUŹNI – ALVAR
- 42 POSIŁKI – DIAGO VELA
- 43 ROZBITA PŁYTA NAGROBNA – UNAI
- 44 KAPLICA KOŚCIOŁA NAJŚWIĘTSZEJ MARI PANNY – DIAGO VELA
- 45 ZŁAMANY OŁÓWEK – UNAI
- 46 PERTRAKTACJE – DIAGO VELA
- 47 KAMELEON – UNAI
- 48 NA ZIEMIACH ALMOHADÓW – DIAGO VELA
- 49 PLAC ZABAW W OGRODZIE ETXANOBE – UNAI
- 50 BURZA – DIAGO VELA
- 51 ZAULEK CARNICERÍAS – UNAI
- 52 PRZEJŚCIE PODZIEMNE – UNAI

53 WIERNY MUNIO – DIAGO VELA  
54 GRÓB Z JABŁEK – UNAI  
55 KOŁO SIĘ ZAMYKA – UNAI  
56 MORZE BUTELEK – UNAI  
57 POD MURAMI DIAGO VELA  
58 WARSZTAT SZKLARSKI – UNAI  
59 W STRUGACH DESZCZU – RAMIRO ALVAR  
60 SALKA PRZESŁUCHAŃ – UNAI  
61 ALTAI – DIAGO VELA  
62 GRÓB KANCLERZA – UNAI  
63 KRAKEN – UNAI  
64 RAMIRO – UNAI  
65 JEDNO MIASTO – DIAGO VELA  
66 WŁADCY CZASU – UNAI  
PODZIĘKOWANIA



# 1

## PAŁAC VILLA SUSO

### UNAI

Wrzesień 2019

Mógłbym zacząć tę historię od opowiedzenia o wstrząsającym odkryciu w pałacu Villa Suso zwłok jednego z najbogatszych ludzi w kraju, władcy całego imperium sieciówek z ubraniami, który zatrzał się kantarydyną – legendarnym średniowiecznym odpowiednikiem viagry. Nie zrobię tego.

Najpierw zrelacjonuję – uważam, że tak będzie lepiej – co wydarzyło się podczas promocji książki *Władcy czasu*, o której mówiło całe miasto.

Ta powieść historyczna zachwyciła wszystkich. Mnie też. Pochłaniałem ją z zapartym tchem, jakby od pierwszego akapitu czyjaś niewidzialna ręka z siłą magnesu wciągała mnie prosto w średniowieczny świat, a mnie nie pozostało nic innego, jak poddać się jej bezwolnie.

Mój brat Germán, nasza paczka... wszyscy rozmawiali tylko o tym. Jedni przeczytali książkę w trzy noce, mimo że liczyła czterysta siedemdziesiąt stron, inni, na przykład ja, dawkowali ją sobie ostrożnie niczym truciznę, której przyjmowanie, choć groźne, niesie rozkosz – i marzyli, by ich przygody w roku Pańskim 1192 trwały jak najdłużej. Ja zanurzyłem się w lekturze tak głęboko, że kiedy nad ranem odbywaliśmy w pościeli nasz zwykły taniec języków i ud, nazywałem Albę „swoją panią”.

Do tego dochodził jeszcze jeden dodatkowy smaczek, zagadka do rozwiązania: tożsamość autora.

Chociaż powieść trafiła do księgarń już półtora tygodnia temu, nikt nie zrobił z nim wywiadu, nie było jego zdjęć ani w gazetach, ani na okładce

książki. W świecie cyfrowym nie istniał: nie korzystał z mediów społecznościowych, nie miał strony internetowej. Albo był wykluczony cyfrowo, albo podjął świadomą decyzję, że będzie żył w anachronicznym świecie analogowym.

Domyślano się, że imię i nazwisko autora na okładce – Diego Veilaz – to pseudonim mający się kojarzyć z bohaterem powieści, charyzmatycznym hrabią Diagem Velą. Ale to były tylko przypuszczenia. Skąd mielibyśmy cokolwiek wiedzieć, dopóki rozłożyste skrzydła prawdy nie załopotały nad brukowanymi uliczkami tysiącletniego średniowiecznego migdała?

Zapadał już wieczór w kolorze sepii. Z Debą na barana przeszedłem przez plac Matxete. Miałem nadzieję, że moja dwuletnia córka – ona uważała się za dorosłą – nie narozrabia za bardzo na prezentacji *Władców czasu*. Towarzyszył nam dziadek, żeby w razie czego pomóc, chociaż była to wigilia obchodzonego u nas uroczyscie Dnia Świętego Andrzeja, patrona Villaverde.

Zjawił się u nas i powiedział: „Zajmę się małą, synku. Potrzebujecie z Albą chwili wolnego”.

Od kilku tygodni pracowaliśmy po godzinach nad śledztwem w sprawie zniknięcia dwóch dziewczynek, sióstr, dwunasto- i siedemnastoletniej, które zaginęły w dziwnych okolicznościach, i bardzo potrzebowaliśmy się wyspać.

Jeszcze parę godzin i będziemy mogli przez chwilę odpocząć po czternastu dniach bezowocnej akcji poszukiwawczej. Po prostu położyć się do łóżka, zasnąć i na chwilę zapomnieć o wszystkim. Sobota zapowiadała się równie frustrująca.

Nic nie osiągnęliśmy, mimo że odrobiliśmy lekcję bardzo starannie: przeczesałiśmy teren z pomocą ochotników i psów, za zgodą sędziego założyliśmy podsłuchy na telefonach członków rodziny zaginionych dziewczynek, obejrzeliliśmy nagrania ze wszystkich kamer nadzoru w okolicy, technicy kryminalistyki dokładnie zbadali samochody należące do bliskich dziewczynek, przesłuchaliśmy osoby, które miały z nimi do czynienia w ciągu ich krótkiego życia.

Zniknęły bez śladu... Obydwie.

Sytuacja była zaiste dramatyczna, a presja, jaką komisarz Medina wywierał na Albę, wciąż rosła.

Kilometrowa kolejka chętnych stała w mętym świetle latarni na placu Matxete.

Kuglarz w stroju z zielonego aksamitu żonglował trzema czerwonymi piłeczkami, mężczyzna o szerokim karku wsadzał sobie do ust głowę boa albinosa. Na brukowanym placu pachniało plackami kukurydzianymi i *tortas de chinchorta*<sup>[1]</sup>, a piekielne skrzypce odgrywały muzykę z *Gry o tron*. Średniowieczny jarmark, który odbywał się jak co roku we wrześniu, zbiegł się w czasie ze spotkaniem promocyjnym książki.

Na placu, na którym kiedyś rozstawiano stragany, było ciaśniej niż zwykle. Grupki czytelników oczekujące na Arquillos del Juicio mieszały się ze sprzedawcami glinianych dzbanów i olejku lawendowego.

Zauważyłem Estíbaliz, swoją partnerkę z Wydziału Kryminalnego. Była z mamą Alby, która, odkąd się poznały, traktowała ją jak przybraną córkę i zapraszała na wszystkie nasze rodzinne spotkania i uroczystości.

Moja teściowa Nieves Díaz de Salvatierra była emerytowaną aktorką. Zaczęła występować w latach pięćdziesiątych jako cudowne dziecko. Po wieloletniej burzliwej karierze znajdowała upragniony spokój, prowadząc hotel zlokalizowany w zameczku w Laguardii, pomiędzy winnicami a pasmem górskim Toloño, zawdzięczającym swą nazwę celtyckiemu bóstwu Tuloniowi. Do niego wznosiłem modły za każdym razem, kiedy życie stawało się nie do zniesienia.

– Unai! – krzyknęła Estíbaliz, machając do mnie. – Tutaj jesteśmy!

Alba, dziadek i ja ruszyliśmy w ich stronę. Deba odcisnęła na policzku cioci Esti głośny pocałunek glonojada i weszliśmy wszyscy razem do Villa Suso, renesansowego pałacu górującego od pięciu stuleci nad miejskim wzgórzem.

– No to mamy rodzinę w komplecie! – Wyciągnąłem rękę z telefonem ku niebu przybierającemu chwilami odcień indygo. – Spójrzcie tu wszyscy.

Cztery pokolenia Diazów de Salvatierra i Lopezów de Ayala uśmiechnęły się do rodzinnego selfie.

– Spotkanie odbędzie się w sali imienia Martina de Salinasa, na drugim piętrze. – Alba prowadziła nas uśmiechnięta. – To supersprawa z tą tajemnicą, prawda?

– Jaką tajemnicą?

– Nie znamy przecież tożsamości autora. Dziś dowiemy się wreszcie, kto to jest. – Wzięła mnie za rękę. – Ach, gdyby zagadki, z którymi mamy do czynienia w pracy, były takie niewinne...

– A skoro już jesteśmy przy tajemnicach – przerwała Estíbaliz, popychając ją lekko tuż przed wejściem do sali. – Nie depcz po zamurowanej, Albo. Ochroniarze twierdzą, że jej jęki są przerażające, kiedy pojawia się w nocy na pustym korytarzu prowadzącym do łazienek. Podobno to najrzadziej uczęszczane toalety w mieście.

Alba aż odskoczyła. Popychana przez tłum nadepnęła na przezroczystą podłogę. Pod płytą widoczną niżej spoczywał, jak głosiła tabliczka informacyjna, szkielet kobiety żyjącej w średniowieczu.

– Nie mówcie przy Debie o szkieletach i duchach – powiedziała, puszczając do nas oko. – Nie chcę, żeby tej nocy nie mogła zasnąć. Dziś musi chrapać jak niedźwiedź pogrążony w zimowym śnie. Bo ja pilnie potrzebuję się wyspać.

Dziadek posłał jej uśmiech człowieka, który ma za sobą sto lat obserwowania innych.

– Dajcie spokój, jak dziewczynka ma się przestraszyć kilku kości na krzyż?

W jego zmęczonym głosie pobrzmiwała nutka dumy, bo dziadek uważał, że nikt nie rozumie jego prawnuczki lepiej od niego. Łączyła ich jakaś prosta i niezawodna telepatia, która nie obejmowała ani jej matki, ani babci Nieves, wujka Germana, cioci Esti ani mnie. Deba i dziadek ograniczali się do porozumiewawczych spojrzeń i wzruszania ramionami i, ku naszej rozpacz, to właśnie on rozumiał różne rodzaje płaczu naszej córki, powody, dla których nie chciała wkładać kaloszy, chociaż lało jak z cebra, a także ukryte znaczenie bazgrołów, jakimi zapełniała każdą napotkaną powierzchnię.

W końcu udało nam się wejść do pękającej w szwach sali i musieliśmy się zadowolić miejscami w przedostatnim rzędzie. Dziadek wziął Debę na kolana i pozwolił jej bawić się beretem. Kiedy go przymierzała, robiła się uderzająco do niego podobna.

Podczas gdy dziadek zajmował się Debą, ja starałem się chociaż na chwilę przestać myśleć o problemach w pracy. Uniosłem głowę: sufit wąskiej sali o kamiennych ścianach opierał się na solidnych drewnianych belkach. Za długim stołem, na którym stały trzy butelki wody, znajdowały się trzy krzesła, a za nimi wyblakły kilim przedstawiający konia trojańskiego.

Spojrzałem na zegarek. Spotkanie powinno było zacząć się trzy kwadranse temu. Mężczyzna siedzący po mojej prawej stronie trzymał na kolanach egzemplarz książki i wiercił się niecierpliwie. Nie on jedyny. Wyglądało na to, że nikt nie ma zamiaru niczego tu promować. Alba spojrzała na mnie wymownie: jeśli potrwa to zbyt długo, będziemy musieli zabrać Debę.

Pokiwałem głową i pogłaskałem ją po dłoni, obiecując wzrokiem przyjemną noc.

Jak cudownie było nie musieć się ukrywać, jak cudownie, że tworzyliśmy rodzinę, jakie dobre było życie, kiedy nie upierało się być paskudne, a moje życie już od długich dwóch lat – odkąd urodziła się Deba – stało się szczęśliwym ciągiem rodzinnych rytuałów.

Bardzo to lubiłem, kolekcjonowałem szczęśliwe dni u boku swoich dam.

Kiedy o tym myślałem, przeszedł obok mnie otyły i spocony mężczyzna, w którym rozpoznałem redaktora naczelnego wydawnictwa Malatrama.

Poznaliśmy się podczas śledztwa „Rytuały wody”, był wydawcą jednej z ofiar, Annabel Lee, autorki komiksów i pierwszej narzeczonej całej naszej paczki. Ucieszyłem się na jego widok. Szedł za nim facet z gęstą brodą, być może nasz nieuchwytny autor, i w kamiennej sali rozległ się pomruk zadowolenia. Wydawało się, że publiczność wybacza prawie godzinne opóźnienie.

– Nareszcie – szepnęła do mnie siedząca obok Esti. – Jeszcze piętnaście minut i musielibyśmy dzwonić po oddział prewencji.

– Nie mów tego na głos, z tymi zaginionymi dziewczynkami już i tak było zbyt wiele zamieszania przez ostatnie dwa tygodnie. – Miałem przed oczami jej rudą grzywkę, chyba chciała szepnąć coś jeszcze, ale poprosiłem ją spojrzeniem o ciszę.

– Wrócą do domu, do mamy i taty – zapewniła mnie jednak.

– Niech bogowie cię usłyszą, a będziemy mogli wreszcie się wyspać. – Z trudem powstrzymałem ziewnięcie.

Na szczęście po tym, jak w 2016 roku zapadłem na afazję Broki, mowa wróciła mi prawie zupełnie. Trzy lata bardzo intensywnej przygody z logopedią sprawiły, że znów stałem się wygadany śledczy, tylko czasem miewałem chwilowe blokady, najczęściej wtedy, kiedy się nie wyspałem, byłem zmęczony lub zdenerwowany.

– Raz, dwa, trzy, raz, dwa trzy... – rozległ się głos wydawcy. – Czy dobrze mnie słychać?

Publiczność pokiwała głowami.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Niestety muszę przekazać państwu przykrą wiadomość: autor książki nie mógł zjawić się na dzisiejszym spotkaniu – powiedział, głaszcząc się po bujnej brodzie barda.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać: niektórzy słuchacze natychmiast wstali z krzeseł i opuścili salę, nie kryjąc niezadowolenia. Wydawca odprowadzał pierwszych dezertersów smutnym spojrzeniem.

– Proszę mi wierzyć, rozumiem państwa rozczarowanie. Nie było to zaplanowane, ale skoro nie możemy liczyć na obecność autora, chciałbym państwu przedstawić Andresa Madariagę. Jest historykiem i archeologiem pracującym dla Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny, która wiele lat temu prowadziła wykopaliska na terenie pałacu Villa Suso i pod Starą Katedrą. Miał towarzyszyć naszemu tajemniczemu pisarzowi i wyjaśnić państwu niezwykle podobieństwa pomiędzy średniowiecznym migdałem, jak nazywamy dzisiejszą starówkę Vitorii, a dwunastowiecznym miastem, jakie znamy z książki.

– Tak jest. – Archeolog odchrząknął. – Tę powieść cechuje niebywała precyzja, jakby autor rzeczywiście spacerował ulicami naszego miasta prawie tysiąc lat temu. Tutaj, obok dawnego wejścia do pałacu, a dokładnie

tam, gdzie znajdują się dziś Schody Świętego Bartłomieja, w średniowieczu była Brama Południowa prowadząca do obmurowanej części grodu...

– Też nie wie, kim on jest – szepnęła mi Alba na ucho, muskając je ustami.

To wystarczyło, żeby zrobiło się gorące.

– Jak to? – mruknąłem.

– Wydawca też nie wie, kim jest autor. Ani razu nie wymienił jego nazwiska, a także nie powiedział o nim „Diego Veilaz”, bo to na pewno pseudonim. Nie ma pojęcia, kim on jest.

– Albo specjalnie buduje intrygę, żeby ujawnić to na następnej imprezie, na której pisarz się pojawi.

Spojrzała na mnie jak na naiwne dziecko, niespecjalnie przekonana.

– Głowę dam, że nie, że jest równie zagubiony jak my.

– Czy zdają sobie państwo sprawę, że mamy przed sobą mur, który ogradzał osadę, zanim Vitoria stała się pełnoprawnym grodem? Widzą państwo? To ten właśnie mur – mówił archeolog, pokazując na ścianę znajdującą się po jego prawej stronie. – Z datowania radiowęglowego wiemy, że został on zbudowany w jedenastym wieku, czyli sto lat wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Można powiedzieć, że siedzimy w miejscu, w którym toczy się akcja powieści. W gruncie rzeczy to tutaj, w pobliżu muru, umiera jedna z postaci książki. Pewnie wielu z państwa zastanawiało się, czym jest kantaryda, hiszpańska mucha: to chrząszcz z rodziny oleicowatych. W powieści pojawia się brązowy proszek, kantarydyna, który ktoś podaje jako afrodyzjak naszemu nieszczęsnemu bohaterowi. To jest prawdziwe... – Zawahał się i poprawił: – Chciałem powiedzieć, prawdopodobne.

Archeolog podniósł głowę. Słuchaliśmy go z wielką uwagą.

– Kantarydyna odgrywała w średniowieczu rolę naszej viagry – ciągnął zadowolony. – Proszek otrzymywano z połyskującego zielonego pancerza pewnego chrząszcza. Kantarydyna była jedynym skutecznym afrodyzjakiem, który zapewniał mężczyznom przyzwoitą erekcję. Bardzo efektywnie rozszerzała naczynia krwionośne, ale zaprzestano jej stosowania, gdyż, jak mawiał Paracelsus, „dawka czyni trucizną”. Dwa

gramy kantarydyny zabiją najzdrowszego w tej sali, więc w siedemnastym wieku wyszła z użycia. Wcześniej nazywano ją „cukierkami Richelieu” i wykończyła w jego czasach pół dworu, a sam markiz de Sade napisał sobie biedy, gdy kilka uroczych dam zmarło po zażyciu afrodyzjaku.

Rozejrzałem się wokół. Ludzie, którzy zostali na improwizowany występ archeologa, uważnie słuchali jego średniowiecznych anegdot. Deba w berecie dziadka spała, otoczona jego ramionami. Nieves też wydawała się zainteresowana wystąpieniem, Alba głaskała mnie po udzie, a Esti spoglądała rozkojarzona na belki na suficie. Jednym słowem: wszystko w porządku.

Czterdzieści minut później wydawca włożył na czubek olbrzymiego nosa półokrągłe okulary i zabrał głos:

– Nie chciałbym zakończyć tej uroczystości, nie przeczytawszy pierwszych akapitów *Władców czasu*.

Nazywam się Diago Vela, mówią mi don Diago Vela, mnie wszak tytuły są obojętne. Zacząłem spisywać wszystko, co się tu działo od dnia, gdy po dwóch latach niebytności powróciłem do starej osady Gasteiz, czy też, jak nazywali ją poganie, Gaztel Haitz, Wzgórza Zamkowego.

Wracałem przez Akwitanię i przeszedłszy Dolną Nawarrę...

Nagle usłyszałem, jak za moimi plecami otwierają się drzwi do sali. Odwróciłem się zaintrygowany i ujrzałem siwowłosego mężczyznę, na oko pięćdziesięcioletniego, który wszedł, wspierając się na lasce, i zawołał:

– Jest na sali lekarz? Potrzebny jest lekarz!

Wstaliśmy z Alką i Esti niczym trojaczki połączone telepatią i podeszliśmy do mężczyzny, żeby go uspokoić.

– Wszystko w porządku? – odezwała się Alka, jak zwykle pewna siebie.  
– Zaraz zadzwonimy na sto dwanaście, ale niech nam pan powie, co się stało.

– Nie chodzi o mnie. Na dole w toalecie znalazłem mężczyznę.

– Co z nim? – zapytałem, trzymając już telefon w ręku.



– Leży na podłodze. Ukląknę przy nim, żeby sprawdzić, czy żyje, choć z tą laską nie jest mi łatwo, ale mógłbym przysiąc, że się nie rusza. Albo jest nieprzytomny, albo martwy – ciągnął mężczyzna. – Tak naprawdę myślę, że go poznałem, wydaje mi się, że to... Chociaż nie jestem tego pewien.

– Proszę się teraz tym nie martwić – ucięła Estíbaliz zniecierpliwiona.

Cała sala przyglądała się nam w milczeniu, przysłuchując się rozmowie. Wydawca chyba przestał czytać. Ale nie dałbym głowy. Spojrzałem jeszcze na dziadka, który obiecał mi bez słów: „Zajmę się Debą, zabiorę ją do domu i położę spać”.

Pobiegłem z Esti w kierunku schodów. W pośpiechu oboje nadepnęliśmy na szklaną taflę, pod którą znajdował się szkielet zamurowany kiedyś w Villa Suso. Nawet nie zdążyłem o tym pomyśleć. Dotarłem na miejsce szybciej niż moja partnerka i zastałem na podłodze wysokiego, dobrze ubranego człowieka. Nie ruszał się, a jego twarz zastygła w grymasie bólu, który poczułem i ja.

Łazienki były nieskazitelnie czyste, otaczała nas aseptyczna biel i fototapeta na drzwiach do kabin, z dachami i czterema wieżami Vitorii.

Wyjąłem z kieszeni telefon, włączyłem latarkę i przytrzymałem ją tuż przy jego twarzy. Nic. Żrenice się nie skurczyły.

– Kurwa – zakląłem pod nosem. Poszukałem tętnicy szyjnej, licząc na cud. – Żrenice nie reagują, Esti. Brak tętna. Ten człowiek nie żyje. Niczego nie dotykaj i przekaż wiadomość podkomisarz, niech zawiadomi komendę.

Moja partnerka pokiwała głową i wzięła telefon, żeby zadzwonić do Alby.

Pociągnąłem nosem.

– Pachnie śmierdzącą bombą – zauważyłem. – Ten człowiek używał drogich perfum, ale nie wystarczą, żeby zamaskować ten okropny zapach.

– To męska ubikacja, czego się spodziewałeś?

– Nie o to mi chodzi, mówię o tym, że pachnie śmierdzącymi bombami w saszetkach, jakie sprzedawano w sklepach z zabawkami, kiedy byliśmy mali, pamiętasz? Były w paczkach z wizerunkiem mandaryna.

Wymieniliśmy się spojrzeniami: nie, nie chodziło mi o zabawne skojarzenia z dzieciństwa.

– Chcesz powiedzieć, że został otruty? – zapytała.

Nie byłem pewien, czy leżący przed nami mężczyzna zmarł śmiercią naturalną, czy został otruty, ale jestem ostrożnym facetem i nie lubię żałować później, że coś zaniedbałem. Z szacunku dla zmarłego olbrzyma ukląknęłam obok niego na jedno kolano i wyszeptałam swoje zaklęcie:

– Tu kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje.

Przyjrzałam mu się uważnie i przeszedłam do kwestii praktycznych.

– Myślę, że świadek miał rację. Nieczęsto pokazywał się na zdjęciach, ale wygląda bardzo szczególnie i zawsze podejrzewałam, że cierpi na fibrylinopatię.

– Mów po ludzku, Kraken.

– Ten mężczyzna choruje, a raczej chorował na zespół Marfana. Długie kończyny, wyłupiaste oczy. Spójrz na palce, na wysoki wzrost. Jeśli to naprawdę on, rozpęta się piekło. Zostań z ciałem, a ja pójdę do Alby, żeby zamknęła wejścia do budynku. Musimy przesłuchać dwieście osób. Skoro ten człowiek dopiero co zginął, zabójca musi być w środku.

## BRAMA PÓŁNOCNA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Nazywam się Diago Vela, mówią mi don Diago Vela, mnie wszak tytuły są obojętne. Zacząłem spisywać wszystko, co się tu działo od dnia, gdy po dwóch latach niebytności powróciłem do starej osady Gasteiz czy też, jak nazywali ją poganie, Gaztel Haitz, czyli Wzgórza Zamkowego.

Wracałem przez Akwitanię i przeszedłszy Dolną Nawarrę, ominąłem Tudelę. Nie chciałem stanąć przed obliczem leciwego króla Sancha, jeszcze nie. Oddałem jego córkę Berenguelę potworowi, który miał ją zaślubić, Ryszardowi zwanemu Lwie Serce. I zapewniam, że wcale nie ze szlachetnych pobudek. Spieszno mi było do tego, co znajdowało się za murami grodu, który widziałem z oddali.

Tylko dzięki swojemu płaszczowi ze skór żbików nie umarłem z zimna w tę lodowatą noc.

Już niedługo miałem zobaczyć Onnecę.

Mój wycieńczony wierzchowiec z trudem włókł się po stromym zboczu wiodącym do Bramy Północnej, która zamykała Villa de Suso od strony gościńca biegnącego z Arriagi.

Minąłem oba mosty przerzucone przez fosy. Od trzech dni, byłem tego pewny, moim śladem podążał jakiś jeździec. Coraz mocniej spinałem konia ostrogami. Pragnąłem znaleźć się bezpiecznie za bramą. Ściemniło się, dął silny wiatr, który już wkrótce miał przynieść pierwsze śniegi, zła to pora na przybywanie do Victorii. Bramy Villa de Suso zamykano o zmierzchu,

zaraz po capstrzyku. Na pewno będą żądać ode mnie wyjaśnień. Ale było mi spieszno, by stanąć z powrotem w domu...

Owej nocy księżyc skrył się za chmurami, jechałem, przyświecając sobie pochodnią. Po lewej stronie dostrzegłem stary, znajdujący się poza murami cmentarz kościoła Najświętszej Marii Panny. Tego ranka był dzień targowy, na grobach walały się jeszcze łuski ryb, a wielu nocnych drapieżców uciekło, kiedy tylko wyczuło moją obecność.

– Kto idzie o tej porze? Nie widzicie, że kratownica zamknięta? Nie chcemy przybłądów w grodzie! – zawołał do mnie wartownik z murów.

– Nazywasz przybłądą swojego pana, don Vele? – Uniosłem czoło i krzyknąłem głośno, żeby mnie usłyszano. – Nie jesteście czasem Yñigo, jedyny syn Nuña kuśnierza?

– Nasz senior don Vela nie żyje.

– Kto tak powiada?

– Wszyscy tutaj. A kto zaprzecza?

– Nieboszczyk. Czy jest moja siostra, donna Lyra?

– Ćwiczy się w walce na patio przed kuźnią. Mój kuzyn trzyma jej pochodnię, chyba nie chciała być na zaślubinach. Przyprawdzą ją, ale przysięgam, że jeśli to pułapka...

Jakich zaślubinach? – zdziwiłem się.

– Nie przysięgaj, Yñigo, to na mnie spoczywa obowiązek nakładania kar za świętokradztwo. Chcesz, żebym się wzbogacił? – zaśmiałem się.

– Gdyby nie to, że wasz pogrążony w smutku ukochany brat Nagorno obwieścił śmierć waszej miłości, powiedziałbym, że mam przed sobą mojego pana. Jesteście wysocy, krzepcy, tak jak on.

Oto i wyjaśnienie: Nagorno. Jak zwykle Nagorno. Wszechobecny Nagorno.

– Idźcie po moją siostrę, chyżo – poprosiłem. – Zamarznę tu na kość.

Nie było go dłuższą chwilę. Zeskoczyłem z konia, rozprostowałem zdętwiałe członki. Czyżby już padał śnieg? Klimat Victorii był surowy i tacyż byli jej mężowie i niewiasty: pancerz zamiast skóry.

Za żadnym miejscem nie tęskniłem tak bardzo.

A co z Onnecą? Może już śpi?

Przyjdzie poczekać jeszcze trochę, pomyślałem. Cierpliwości, Diago. Na pewno się doczekasz.

Wykonałem powierzone zadanie, więc nadszedł wreszcie czas, aby żyć.

Chłopak wrócił po chwili.

– Donna Lyra mówi, żebym otworzył bramę. Uważa, że wasza miłość żyje, senior. Czeka na was na patio przed waszą kuźnią.

Zostawiłem za sobą otwartą przestrzeń, odwróciłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na ciche i spokojne włości.

– Yñigo – zwróciłem się do chłopaka – jeśli dziś w nocy albo o świcie ktoś będzie chciał wejść do grodu, nie otwierajcie bram. I uprzedźcie też wartowników przy Bramie Południowej i Bramie Armería.

Młodzieniec pokiwał głową i poszedł ostrzec strażników pełniących wartę przy innych bramach Villa de Suso. Objechałem cmentarz i skręciłem ku domowi rodzinnemu przy ulicy Astería.

Nasza kuźnia wciąż dumnie stała na miejscu. Dwieście lat wcześniej padła ofiarą płomieni podczas najazdu Saracenów, którzy zmienili ją w dymiące zgliszcza. Moja rodzina odbudowała ją, zastąpiwszy drewno kamieniem, więc konstrukcja stała się lepsza, mocniejsza, i pracowaliśmy dalej.

Moja rodzina zawsze dawała sobie radę, nawet w trudnych czasach.

Zbudowaliśmy pierwsze mury na tyłach naszego domu, dziewięćdziesięciu sąsiadów pomagało nam przez całe dziesięć lat. Wioska się zaludniła, na czwartkowy targ przed naszą kuźnią tłumnie ciągnęli kupcy, wieśniacy i służba z czterech stron świata. Potem wybudowano kościół Najświętszej Marii Panny, również przytulony do muru.

Po hejnale obwieszczającym zamknięcie bram w grodzie panowała cisza. Czarne niebo wirowało białymi piórkami, płatkami łagodnego śniegu, który nie zamarzał jeszcze na dachach. Wszedłem na patio za kuźnią w poszukiwaniu siostry.

Zobaczyłem ją z daleka, liczne pochodnie pozatykane na kolumnach rzucały słabe światło na podwórze. Lyra często ćwiczyła się w sztuce fechtunku, mistrzostwem w posługiwaniu się swoim skramsaksem

o zakrzywionej klindze starała się skompensować niski wzrost i posturę. Tej nocy jednak rzucała toporkami, jak ludy nordyckie. Zwróciłem uwagę na ten szczegół, czy to możliwe, że mój wspomniały Gunnarr...?

Poczułem, jak bardzo się za nią stęskniłem przez te dwa lata. Podszedłem i objąłem ją z tyłu z całej siły.

– Moja kochana siostró, jak bardzo mi cię brakowało – powiedziałem.

Nie spodziewałem się tego, co nastąpiło później. Walenia dziobem, szarpania szponów wydzierających mi włosy z głowy, furii stworzenia, które zjawiało się nie wiadomo skąd. A właściwie wiadomo: sfrunęło z dachu.

– Munio, przestań, błagam, sprowadzisz na mnie nieszczęście! – krzyknął obcy głos.

Kobieta, którą przytuliłem, nie była Lyrą, zmyliły mnie jej niski wzrost i drobna budowa. Nie zobaczyłem nic więcej, bo starałem się z całych sił, żeby ten piekielny ptak nie wydlubał mi oczu.

Gwizdnęła jak urwis i wyciągnęła rękę. Wielka biała sowa usiadła na niej, postraszywszy mnie na koniec ostrym krzykiem.

– Przepraszam, panie – sumitowała się dziewczyna.

Jeśli była panną, nie pochodziła z wioski, gdyż u nas kobiety niezamężne nosiły krótkie włosy z dłuższymi pasmami tylko przy uszach. Nie miała też czepca jak mężatki. Jej pszeniczne włosy sięgały do ramion, co nieczęsto zdarzało się w naszych stronach.

– Munio wychował się ze mną, odkąd przyszliśmy na świat, i jest we mnie zakochany. To zdarza się niektórym udomowionym ptakom. Uważa mnie za swoją żonę i nie pozwala zbliżyć się do mnie żadnemu mężczyźnie – wyjaśniła.

– Jak się nazywasz, pani?

– Alix, jestem kowalką.

– Kowalką? Kiedy wyjeżdżałem, mistrzem kowalskim był Angevín de Salcedo.

– Mój świętej pamięci ojciec. Moi starsi bracia też pomarli na skrofuły, ostatnie lata spędziłam w klasztorze, dokąd posłał mnie ojciec, chociaż

całym sercem kocham kowalstwo, a w moich żyłach płynie roztopione żelazo.

– Więc jesteś pani zakonnica wojowniczką? – Uśmiechnąłem się, widząc, jak chwyta topór.

– Byłam nowicjuską, ale ktoś musiał bronić klasztoru przed złoczyńcami udającymi pielgrzymów na Szlaku Jakubowym.

– Ja ją przywiozłem, drogi kuzynie. Lyra prosiła mnie o to, kiedy została sama i chciała zająć się kuźnią – odezwał się jakiś głos w ciemności.

– Gunnarr?! To naprawdę ty? Myślałem, że przewozisz pielgrzymów na Szlaku Świętego Jakuba z angielskich portów.

Podbiegłem, żeby go uściskać.

Olbrzym z białymi brwiami wyszedł z mroku, śmiejąc się. Podniósł mnie, jakbym był wróbelkiem, chociaż na dworach, które odwiedziłem, przewyższałem prawie wszystkich o dwie głowy. Gunnarr Kolbrunson należał do pochodzącej z duńskich ziem gałęzi naszego rodu, ale wielu w Victorii sądziło, że jest potomkiem gigantów zaludniających niegdyś nasze ojczyście góry.

– Wiedziałem, że żyjesz. Jak miałbyś umrzeć ty, który przeżyjesz nas wszystkich? – szepnął mi na ucho, a w jego głosie wyczułem wzruszenie.

– Kto rozpuścił pogłoskę, że nie żyję? – zapytałem już po raz drugi tej nocy.

– O to musisz zapytać swojego brata. Tak naprawdę przybyłem do Victorii na zaślubiny Nagorna. Już są po przysiędze, Diago. Nagorno już wniósł wiano – powiedział ponurym tonem, jakby składał mi kondolencje. – Teraz trwają pokładziny. Nagorno i ojciec panny młodej zażądali świadków na próbie dziewictwa. Lyra odmówiła, ja też nie poszedłem przez wzgląd na ciebie. I nie chcę też, żeby przez całą noc bolały mnie klejnoty. Ty zdecyduj, zaczęli jakiś czas temu.

Moja siostra wyszła z twarzą poplamioną sadzą. Miała na sobie ten sam kowalski fartuch, co w dniu, w którym się rozstaliśmy. Od tamtej pory wiele razy tęskniłem za naszymi wspólnymi wieczorami w ciszy przy kominku.

– Tak jest, bracie. Ja nie idę – oświadczyła Lyra z zatroskaną miną.

Zląkłem się najgorszego, czegoś, czego nigdy sobie nie wyobrażałem, czegoś zupełnie przeciwnego niż to, co roiłem sobie, zmierzając do Victorii.

– Gdzie?

– Nie domyśliłeś się jeszcze? W domu hrabiego de Maestu, w zaułku Armería. Przysięgnij mi na Lur, że nie pożałuję, że ci to powiedziałem – rzekł Gunnarr.

– Nie potoczą się głowy, jeśli o to się martwisz.

– Tak, właśnie o to się martwię. Przysięgnij.

– Przysięgam.

– Na Lur.

Westchnąłem.

– Na Lur. Ale nie chcę, żebyś mi towarzyszył, zawsze stajesz po stronie Nagorna.

– Nie będę ci towarzyszyć, Diago. Wiem, że nigdy nie złamiesz danego słowa, ale nie każ mi wybierać między Nagornem a tobą. On ocalił mnie na duńskich ziemiach, u jego boku stałem się mężczyzną. Wiesz, że jemu właśnie zawdzięczam to, kim teraz jestem.

Swarliwym najemnikiem, na którym nie można polegać, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Nie chciałem wracać do starych kłótni.

Skierowałem swe kroki ulicą Tenderías, do domu tego, który miał być moim teściem, poczciwego hrabiego de Maestu.

– Idź z nim, Alix – dobiegł mnie głos Lyry. – Nie pozwól, żeby Diago zrobił jakieś głupstwo. Ja zamknę Munia w klatce.

Usłyszałem za sobą lekkie kroki.

– Nie potrzebuję niańki. Wracajcie do swoich spraw – powiedziałem, spoglądając na nią kątem oka.

Włożyła na głowę jedną z wierzchnich spódnic i zawiązała ją jak chustę, żeby zasłonić włosy.

– Pod nieobecność mojej pani Lyry służę Gunnarowi, senior. Ale wasza miłość jesteście panem mojego grodu, więc pod nieobecność Gunnarra służę wam. – Pokazała mi toporek ukryty pod mantylą. – Jeśli będziesz, wasza miłość, chciał ścinać głowy, postaram się, żebyś nie stracił swojej.



Dość miałem kłótni i byłem zmęczony podróżą z Dolnej Nawarry, pozwoliłem więc, by moja obrończyni poszła za mną ciemną brukowaną ulicą.

Tylko z okien domu hrabiego de Maestu sączył się ciepły blask świec, sąsiednie budynki spowijał mrok.

Przy wrotach stał jeden ze sług hrabiego. Musiał oprzeć się o drzwi, bo był zalany w pestkę.

– Kto idzie? – zapytał z niejakim trudem.

– Wasz senior, hrabia Vela. – Dość już miałem tego ciągłego tłumaczenia się, kim jestem.

– Hrabia Vela jest teraz na górze i całkiem przyjemnie spędza czas – oświadczył z bezczelnością, którą Bóg obdarza pijaków.

Podniosłem łokieć i przyparłem mu głowę do drzwi. Przycisnąłem trochę, akurat tyle, żeby go przekonać, że nie żartuję.

– Jam Diago Vela, Remiro, a nie poznajesz mnie, bo tak się urządziłeś, że nie powinieneś pełnić warty przed drzwiami. Pozwól mi przejść, bo inaczej opowiem twojemu panu, że lubisz podkradać mu wino z Riojy – syknąłem wściekły.

Mężczyzna z trudem nabrał powietrza i chyba w końcu mnie rozpoznał.

– Panie, to naprawdę wy. Proszę, wejdźcie. Tęskniliśmy tu bardzo za waszą miłością.

– Gdzie są? – odburknąłem wściekły, że wszyscy zamykają przede mną drzwi.

– W alkowie.

Moja giermka szła za mną z zafrasowaną miną. Wspiąłem się po starych drewnianych trzeszczących niemiłosiernie schodach. Dotarłem do alkowy, byłem w niej już wcześniej. Jakiś tuzin zgromadzonych zasłaniał mi widok na to, co działo się pod baldachimem.

Zacząłem się rozpychać łokciami. Niektórzy mnie rozpoznali, inni chyba wzięli za ducha. Zobaczyłem strach w ich oczach, niejeden się przeżegnał. Nic mnie to nie obchodziło, chciałem tylko dostrzec, co dzieje się w łożu.

Mój brat Nagorno kopulował z kimś i nie przeszkadzało mu wcale, że jest obserwowany. Święta Matka Kościół potępiała wszystkie cielesne zbliżenia, kiedy mężczyzna nie był na kobiecie, nie zezwalała też na nagość w łóżu, ale on zdjął kaftan. Widziałem jego plecy, błyszczące i opalone, i tysiiąc wojennych blizn.

Z dwóch boków wystawały białe uda. Ona była w gieźle, ale wyraz jej twarzy i jęki świadczyły, że mój brat sprawiał jej rozkosz.

Od dwóch lat nie widziałem tego umiłowanego oblicza, włosów równie czarnych jak moje, złotych oczu i bladych ust. Onneca czerpała przyjemność z aktu, który w oczach świadków powinien raczej przerażać zboląłą białogłową.

Na Boga, Onneco! Jeśli zmusili cię, żebyś robiła to przy ludziach, postaraj się lepiej udawać dziewicę, pomyślałem.

Nikt z obserwatorów nie komentował tych jęków, dopóki mój brat nie skończył. Odsunął się od niej, bez wstydu pokazując swoje umięśnione ciało naszym ziomkom. Tuzin głów pochylił się nad łóżem, żeby zobaczyć efekt próby. Trzy wybrane matrony sprawdziły pościel. Była na niej plama krwi, której oczekiwał jej ojciec.

Odetchnąłem z ulgą, na chwilę zapomniałem o sprycie Onneki.

Nie zaniebaliśmy jednak tak ważnego szczegółu.

Oboje znaleźliśmy sposób na udawanie dziewictwa, które ona już straciła. Zwykle niewiasty wsuwały sobie do środka wnętrzości kury, by zostawiły ślady krwi na członku męża. Śmiałyśmy się z tego w moim łóżu kilka lat temu, planując nasze zaślubiny i zastanawiając się, czy jej ojciec zażąda próby dziewictwa.

Teraz ona mnie chyba nie poznawała, zbyt zajęta udawaniem dumnej pani i tym, by nie pokazać zbyt wiele naszym wasalom, ale mój brat, owszem, mnie zauważył. Było to mgnienie oka, skrzyżowaliśmy spojrzenia, a on zacisnął usta i uśmiechnął się lekko, chyba zadowolony.

Dłoń sama sięgnęła po sztylet, który miałem pod płaszczem. To nie ja, to moja wściekłość ją wiodła. Inna, mniejsza dłoń, nie pozwoliła mi dobyć broni.

– Hrabia de Maestu, *mi senior* – ostrzegła mnie towarzyszka.

Furtado de Maestu wciąż był potężnie zbudowany, ale tamtej nocy wydał mi się trochę znużony życiem: jego dawniej lśniące włosy dziś pełne były siwych pasm, na twarzy malował się grymas. Tak czy owak, ciągle dbał o ubiór, nieważne, czy wydawał córkę za mąż, czy nie. Znać było, że zbił fortunę jako kupiec bławatny, sprzedając swoje tkaniny w Kastylii. Dzięki Maestu cech tkaczy stał się najliczniejszym gremium w Nowej Victorii. Zaułek San Miguel zamknięto i włączono do Villa de Suso, kiedy dekadę temu król Sancho Mądry nadał nam przywileje. Na papierze dwie działnice stanowiły jeden gród: Victorię, ważne miejsce, gdyż strzegła granic i wejścia do królestwa. Ale mury i trzy bramy dzieliły więcej niż tylko ulice i zaułki.

– Jak to możliwe, mój drogi Diago? Wy żyjecie! – szepnął i rozejrzał się uważnie wokół.

– Nigdy nie było inaczej – odparłem urażony. – Jesteście mi dłużni kilka wyjaśnień, drogi przyjacielu. Żegnaliśmy się, obiecując sobie przyszłe zaślubiny. A kim teraz jestem? Bratem męża waszej córki?

Dał gestem do zrozumienia, abym zamilkł, i powiódł mnie schodami w dyskretne miejsce na drugie piętro. Chyba nie chciał, żeby ktokolwiek mnie zobaczył. Wzrokiem poprosiłem Alix de Salcedo, żeby została z innymi w alkwie. Nie spodobało jej się to, ale usłuchała.

– Nie pożegnaliśmy się, jak trzeba, panie – zaatakował mnie hrabia, kiedy zostaliśmy sami. – Zniknęliście.

– Miałem swoje powody i nie wolno mi nikomu ich zdradzać.

– Rozumiem. Ale moja córka, coraz smutniejsza, czekała i czekała, uwierz mi, wasza miłość. Aż w końcu nadszedł list z wieścią o twojej, panie, śmierci.

Wytarł sobie rękawem resztki jedzenia z kącików ust. Znalazł pismo w szkatułce wysłanej aksamitem i wręczył mi je.

– Kto przywiózł ten list? – zapytałem, gdy skończyłem czytać.

– Posłaniec, jak mniemam.

– I uwierzyliście?

– A czemu mielibyśmy nie wierzyć? Opisano tu szczegółowo zatonięcie twojego statku u wybrzeży Sycylii.

Ten, kto napisał list, wiedział o sprawach, o których prawie nikt nie miał pojęcia: o mojej podróży przez Alpy na Sycylię, o sztormie, który oddzielił nas od innych statków. Ciekawe, co jeszcze wiedział.

– To prawda, w czasie morskiej podróży zaskoczył nas sztorm. I zepchnął do wybrzeży Sycylii. Ale statek nie zatonął i nikt nie zginął. Nawet ja, jak wasza miłość widzi. I przez jeden list przyniesiony przez nieznanego oddajecie moją narzeczoną mojemu własnemu bratu? – uniosłem głos.

– Ciii! Jesteście w moim domu, większość gości jeszcze was nie widziała, musimy się zastanowić, co począć z całym tym pasztetem. Odpowiadając na pytanie: dałem wiarę temu, co stało w liście, bo przypieczętowano go królewską pieczęcią. Widnieje pod nim podpis Jego Królewskiej Wysokości z krzyżem kawalerskim.

Jeszcze raz przebiegłem wiadomość wzrokiem i zakasłałem.

– Więc to król Sancho Mądry?

– To on nam teraz panuje, znacie innego władcę ziem Nawarry?

Niemożliwe, nie zniszczyłby mi przyszłości w sposób tak okrutny po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem, pomyślałem z żalem.

– Idźcie spać, panie. Noc już późna, macie we włosach krew i nie możecie wywoływać tu skandalu. Pozwólcie, że wasz stary przyjaciel uczci jak należy zaślubiny swej córki, jutro zastanowimy się, co dalej. I zdaje mi się, że macie poważniejsze problemy niż ten, że brat ukradł wam kobietę, która miała być waszą żoną. Nowy hrabia Vela, Nagorno, rządzi żelazną ręką tymi, co ostatnio przybyli do Nowej Victorii, faworyzuje natomiast starych ziomek z Villa de Suso. I jeśli ten nieudacznik mój pierworodny nadal będzie się bawił w wyprawy krzyżowe i nie zatroszczy się o potomstwo, sprawię, że potomkowie Onneki będą nowymi hrabiami de Maestu. Zapisaliśmy to dziś w postanowieniach ślubnych. To małżeństwo połączy waszą fortunę z moją, będą władać wszystkim, co znajduje się w tych murach.

## DACHY KOŚCIOŁA ŚWIĘTEGO MICHAŁA

## UNAI

*Wrzesień 2019*

Wbiegłem po wąskich schodach. Czekala na mnie Alba.

– Potrzebujemy tu ekipy, natychmiast! – powiedziałem, chyba zbyt głośno. – Niech zamkną wszystkie wejścia do pałacu. Mamy ofiarę śmiertelną i podejrzewamy, że została otruta.

Alba zaczęła dzwonić. Drzwi do sali Martina de Salinasa wciąż były zamknięte, a wszyscy przybyli na prezentację książki zostali w środku, nie wiedząc jeszcze, co rozgrywa się kilka metrów dalej.

Nagle zobaczyłem kątem oka cień, ktoś wspinał się po schodach.

– Zostań tutaj – szepnąłem Albie. – Chyba widziałem... zakonnice?

Minąłem wielkie szklane drzwi prowadzące na tyły kościoła Świętego Michała i bezszelestnie wszedłem na trzecie piętro.

– Stać, policja! – krzyknąłem.

Rzeczywiście to była zakonnica. Zakonnica w białym habicie i czarnym welonie. Głucha na mój rozkaz pobiegła w stronę wyjścia awaryjnego prowadzącego na zewnątrz. Przyznaję, minęło kilka sekund, zanim zdążyłem zareagować. Nie spodziewałem się, że będzie tak sprawna i tak nieposłuszna. Dotarłem na taras znajdujący się przy schodkach prowadzących na dachy kościoła. A zakonnica skakała z dachu na dach, coraz dalej ode mnie.

– Stać! – krzyknąłem ponownie.

Ale wiedziałem, że już nie zdołam jej zatrzymać, więc zmieniłem strategię i postanowiłem przeciąć jej drogę.

Mniszka dotarła właśnie na kraniec dachów kościoła i nie miała innego wyjścia niż zeskoczyć na ziemię, a raczej na jeden z dwóch wąskich korytarzy tworzących rampy pomiędzy pałacem a świątynią. Rampy, otoczone ogródkami lawendy, kończyły się na wysokości odrestaurowanego fragmentu drewnianego średniowiecznego muru. Zeskoczyłem na najniższą z nich i ukrywając się w ciemnym załamaniu korytarzyka, czekałem.

Zakonnica też skoczyła z kilku dobrych metrów i potoczyła się po uliczce.

Jesteś moja, siostrzyczko, pomyślałem.

Rzuciłem się za nią pędem, ale wstała i wspięła się po rampie. Pobiegnąłem za nią, minąłem zakręt, a ona... zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu.

Nie mogła skryć się nigdzie tutaj. Kępy lawendy były zbyt niskie. Rampa kończyła się murem.

– Stać! – krzyknąłem znowu.

Przemierzałem tam i z powrotem rampy i ogródki. Ani moje krzyki, ani poszukiwania nic nie dały.

– Albo, zawiadam dozorcę – poprosiłem, wybrawszy jej numer. – Jestem uwięziony na rampach między pałacem a kościołem Świętego Michała, pod odnowionym murem.

– A ja próbuję opanować cały ten chaos. Co tam robisz?

– Przesłuchaj wszystkich, którzy są w pałacu – powiedziałem. – Zapytaj, czy ktoś zwrócił ich uwagę. Trzeba też zamknąć plac Matxete i zebrać zeznania od wszystkich, którzy pracują na średniowiecznym jarmarku.

– Kogo szukamy?

– Zakonnicy. Ale niech nie pytają o nią wprost. Niech nie wspominają o niej, zanim nie zrobi tego któryś ze świadków. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli zmyślać.

## BRAMA POŁUDNIOWA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Nie mogłem zasnąć. Nagle ciszę nocy rozdarł krzyk. Krzyk kobiety. Pierwsze światła brzasku wydobywały z mroku sylwetki mężczyzn pełniących straż na murach. Nie znalazłem pocieszenia w swoim dawnym łóżu, było puste i lodowate. Ogień w mojej alkwie dogasł przed świtem, nocna wilgoć nie pomagała w zasypianiu. Przynajmniej nie śniłem o morskich katastrofach.

– Znaleźli hrabiego! Znaleźli hrabiego! – Krzyk dobiegał z ulicy Tenderías.

Otworzyłem kufer, który ongiś do mnie należał, wybrałem niezbyt sfatygowany strój; nie chciałem, żeby znów ktoś wziął mnie za przybłędę. Przemyłem twarz w miednicy i zbiegłem po schodach.

Nie musiałem pytać o drogę, wystarczyło iść za wzburzonym tłumem ciągnącym ze wszystkich stron.

Przy Bramie Południowej, pomyślałem. I dotarłem tam, aż pod mur. Za nim wznosiła się wieża kościoła Świętego Michała, niewzruszona w obliczu tragedii.

Zmarłego otaczała grupka ludzi. Przecisnąłem się do przodu. Był już sztywny – ten, który miał być moim teściem, ale nim nie został.

Hrabia Furtado de Maestu. Nie mogę powiedzieć, że był zupełnie zdrowy, kiedy zegnałem się z nim w nocy. Wydawał się niespokojny, znużony, jeden z jego rękawów cuchnął wymiocinami, co złożyłem na karb braku umiarkowania w jedzeniu i picciu podczas uczyty.

Ale widziałem już kiedyś podobnie wyglądającego nieszczęśnika.

Tak, widziałem to już wcześniej, ale musiałem się upewnić. Jednak jak to sprawdzić przy całej tej ciźbie?

Obejrzałem ciemną tkaninę jego szat, dobrze maskowała plamę.

Ten mężczyzna sikał krwią, pomyślałem.

I wtedy się zjawiała. Alix de Salcedo, bez swojej nerwowej białej sowy. Włosy okryła trójgraniastym czepkiem, zastanowił mnie ten szczegół, ale nie było czasu na osobiste pytania. Poprosiłem ją, żeby podeszła.

– Możecie wystarać się dla mnie o królika? – szepnąłem.

– Żywego czy martwego?

– Wystarczy mi skóra.

– Nie uda mi się teraz wyjść z grodu, ale syn rzeźnika hoduje króliki w swojej zagrodzie. Mam go kupić czy ukraść?

Położyłem kilka monet na jej ciemnej dłoni, miała na rękach odciski jak mężczyzna, który nosi broń i jej używa, ale może to od pracy w kuźni...

– Dokąd mam go zanieść?

– Do domu hrabiego, tam się spotkamy.

Dziewczyna zniknęła w mgnieniu oka.

– Wracajcie do swoich spraw – krzyknąłem do tłumu. – Niech ktoś przyprowdzi wóz i muła, musimy przewieźć naszego hrabiego do domu.

– Czy mamy przed sobą don Diaga Vele? – zapytał kusznik.

– Tak, Parco. Wieści o mojej śmierci nie były prawdziwe. Wróciłem i zamierzam zrobić w grodzie porządek, ale najpierw zajmijmy się tym wypadkiem. Rozgłoście, że wróciłem i będę się zajmował waszymi sprawami jak dawniej.

– Teraz robi to wasz brat, hrabia Nagorno. Do kogo mamy się zwracać?

Udałem spokój. Uśmiechnąłem się.

– Do mnie, bez wątpienia. On zajmie moje miejsce, kiedy naprawdę wyciągnę kopyta.

Wszyscy roześmiali się z ulgą.



Ktoś przewiózł hrabiego de Maestu do pałacu, ktoś inny wniósł go po schodach i położył na tym samym łożu, na którym wczoraj jego córka skonsumowała małżeństwo z moim niesławnym bratem.

– Czy kowalka już przyszła? – zapytałem, rozbierając martwego hrabiego.

Alix de Salcedo zjawiła się w tym momencie z białym królikiem w rękach.

– Niech wszyscy wyjdą! – rozkazałem.

Dwóch sąsiadów, którzy przyszli tu ze mną, i Remiro, stary sługa hrabiego, zeszli po schodach, które trzeszczały pod ciężarem ich ciał.

Alix nie posłuchała, zrobiła minę, którą odczytałem jako „i tak stąd nie wyjdę”.

– Jak chcecie. Umiecie golić?

– Goliłam ojca i braci. Mam wprawę.

– Wystarczy, że ogolicie królika.

– Senior?

– Albo, jeśli wolicie, ja ogolę królika, a wy rozetniecie trupa.

Alix wyciągnęła sztylet i nie zadawała więcej pytań. Podeszła do okna, żeby mieć lepsze światło, a ja uniosłem tunikę Furtada, żeby rozciąć ciało i wyjąć wnętrzności.

Kiedy mi się to udało, wziąłem je przez chustę, żeby ich nie dotykać, i włożyłem do miski.

– Podajcie mi skórę królika, Alix. Potrzemy nią o wnętrzności.

– Czego szukacie?

Na króliczej skórze pojawiły się pęcherze i ślady oparzenia.

– Właśnie tego. Pewien cyrulik z Pampeluny nauczył mnie tej sztuczki wiele lat temu. Tak działa ekstrakt z hiszpańskiej muchy, kiedy weźmie się go zbyt dużo.

– To ten brązowy proszek, którego używają żołdacy w burdelach, kiedy braknie im męskości?

Uśmiechnąłem się.

– Dużo wiecie jak na nowicjuszkę. To dzięki braciom, prawda? – zapytałem, unikając na razie tematu czepka z trzema rogami.

– Dzięki braciom, senior. Mogę przynajmniej przed wami nie udawać, że się rumienię? Bycie dobrą chrześcijanką mnie wykańcza.

– Nie udawajcie, ja się byle czym nie oburzam. Czy nasz stary hrabia kładł się z kimś do łóża?

– Powiadają, że po śmierci żony płakał na grobie hrabiny i wołał modły przy zimnym ołtarzu od uścisków w ciepłym łóżu.

– Więc nie potrzebował tych proszków.

– Nie znałam człowieka, który mniej myślał o cielesnych pokusach.

– W takim razie musimy znaleźć kogoś, kto zna się na truciznach – mruknąłem, wkładając wnętrzości z powrotem na swoje miejsce i zapinając tunikę. – Zetrzecie krew, pozbędziecie się królika i zmilczycie o tym, co tu się działo?

Nawet nie kiwnęła głową i zabrała się do wykonywania moich poleceń; była szybka i skuteczna. Przy tym nie wydawała się wcale posłuszna z natury, wręcz przeciwnie, miałem wrażenie, że jest po trosze dzika, jak moja siostra Lyra. Nieokiełznana Lyra.

A skoro o truciznach mowa: znalazłem go w małym warsztacie, który zbudował sobie obok naszej rodzinnej kuźni. Nagorno byłby pewnie najbardziej szanowanym złotnikiem w mieście, gdyby nie przyszedł na świat w możnej rodzinie.

Stukał niewielkim młoteczką w broszkę ze złota i emalii. Orzeł opierający się wężowi owiniętemu wokół jego szyi.

– To dla twojej żony? Wiesz, że Kościół potępia obnoszenie się z bogactwem – powiedziałem.

– Wchodź bez pukania, bracie. – Wcale nie zmieszało go moje nadejście. – Dla ciebie drzwi są zawsze otwarte. Papież Celestyn Trzeci zakazał skór, klejnotów i pasów ze zdobionymi sprzączkami nowo wzbogaconym kupcom. Ale moja żona jest z możnego rodu i nie będzie ukrywać moich prezentów. Cieszę się, że żyjesz, drogi Diago.

– Wczoraj, kiedy sądziłeś, że jestem martwy, zdawałeś się cieszyć bardziej – zauważyłem, siadając na stole, przy którym pracował.

Nagorno westchnął i odłożył swoje małe dzieło sztuki.

– Masz żal, Diago? Zrobiłem to dla naszej rodziny, żeby naprawić bałagan, jaki po sobie pozostawiłeś dwa lata temu.

– Poślubiając moją narzeczoną?

– Odjechałeś, nie udzielając żadnych wyjaśnień oprócz „na pewno wrócę”. Wiele miesięcy później przestaliśmy w to wierzyć. Opowiesz mi, czemu wyjechałeś?

– Nie wolno mi, Nagorno. Król Sancho Mądry powierzył mi misję, a ja nie mogłem odmówić. Podróż okazała się o wiele trudniejsza, niż się spodziewałem, nie wróciłem nawet na dwór w Tudeli, bo bałem się, że znów rozkaże mi ruszać w drogę Bóg wie dokąd. Być może z biegiem lat będę mógł ci powiedzieć, w co zostałem wmieszany, ale nie teraz – skłamałem, starając się wyczuć, jak dużo wie.

– Dobrze – zgodził się Nagorno; wiedział, kiedy nie warto nalegać. –

Naprawdę jesteś taki zły, że poślubiłem Onnecę? Dla mnie to pewne poświęcenie. Wiesz, że nie znoszę być żonaty, pamiętasz, ile razy owdowiałem?

– Zbyt wiele razy – mruknąłem.

– Gdybym wiedział, że żyjesz, gdybym miał tę pewność, na pewno bym się z nią nie ożenił. Ale Onneca otrzymała dwie propozycje małżeństwa, a prawo Nawarry głosi, że trzecią kobieta musi przyjąć, wiesz przecież.

– Kto się jej oświadczył?

– Senior Ibydy, Bermúdez de Gobeo, i Vidal, syn pana Funes.

– Starzec i dzieciak mający mleko pod nosem, nie dziwię się, że hrabia odmówił.

– Onneca odmówiła – poprawił. – Nie doceniasz jej.

– Wręcz przeciwnie, bracie. Ich ziemie też nie wnosiły zbyt wiele do majątku hrabiego. Ubodzy krewni, niezbyt zamożni *hidalgos*.

– Rozumiesz teraz, że wyświadczyłem ci przysługę, bracie?

– Wydawało mi się, że czerpałeś z niej przyjemność.

– Poświęcenie zasługuje na rekompensatę. Jestem bardzo ciekaw, jak zachowa się nasza dama, kiedy będziemy sami w alkwie. Ale pewnie ty mógłbyś mi o tym opowiedzieć.

– To już nie moja sprawa, jak sam rzekłeś – odparłem z uśmiechem, musiałem się nauczyć lepiej udawać ten uśmiech.

– Nie... to nie o to chodzi. Widziałeś, że moja pani czuje coś do mnie, i to cię trapi. Znam cię dobrze. Nigdy nie wątpiłeś we własne atrybuty, ale teraz... Znam wszystkie odcienie twojej złości i widzę, w czym rzecz. Dręczy cię to, co zobaczyłeś wczoraj.

Zignorowałem zaczepkę, Nagorno próbował uderzyć w czuły punkt. Jak miecz, który rani w ramię, w udo, w kark, żeby rycerz ukrywający ranę pod pancerzem, wreszcie uległ.

Podczas tej bezsennej nocy starałem się jak mogłem, żeby rana się zabiłżniła.

Onneca już nie sprawiała mi bólu. Świat nie powinien się dowiedzieć, że mam słabości. To wzmocniłoby naszych nieprzyjaciół.

Tak, miałem nieprzyjaciół i pytanie brzmiało, jak blisko się teraz znajdują.

– Wiesz, że będziesz musiał dać jej dziedzica... – Teraz ja postanowiłem nasypać soli do cudzej rany.

Na jego twarzy nie pojawił się najlżejszy grymas, niechybny znak, że moja uwaga ugodziła go mocniej, niż gotów był przyznać.

– Tak, tego się ode mnie oczekuje, to oczywiste.

– A jak zamierzasz to zrobić, bracie? – nie ustępowałem.

– Wszystko w swoim czasie, bracie.

– Rozumiem, nie mam złudzeń, że potrafisz oszukać kogo trzeba. A z innej beczki: co wiesz o liście, który uśmiercił hrabiego Velę?

– Przywiózł go posłaniec widmo, wersje wartowników były sprzeczne. Nikt nie pamiętał, jak wyglądał, kiedy o niego rozpytywałem. Dwóch strażników twierdziło, że widziało go o zmroku przy Bramie Południowej. Kazałem im go szukać, ale zniknął gdzieś w Cauce de los Molinos.

– Sam powinieneś go wytropić. Tobie by nie uciekł – powiedziałem, tracąc cierpliwość.

– List był adresowany do hrabiego de Maestu, wiesz, że jestem czuły na fałszerstwa.

– Powiedział diabeł do ucznia.

Uśmiechnął się, niektóre grzechy pociągały go bardziej niż inne. A pycha nie była mu obca.

– No więc przyjrzałem się uważnie królewskiej pieczęci, Diago.

– Wszystko można podrobić.

– Wszystko można podrobić – zgodził się. – Sam cię tego nauczyłem. Ale to był list króla Sancha Szóstego Mądrego. A ktoś, kto fałszuje królewski list, mógłby zostać ukarany śmiercią za zdradę. Przyznaj, że mało prawdopodobne, by ktokolwiek narażał się na takie ryzyko. Cóż miałem począć, bracie? Nie pozostało mi nic innego, jak tylko cię oplakiwać i wzmacniać to, co udało się osiągnąć naszej rodzinie.

Chwyciłem go za szyję, zmęczony tym stekiem kłamstw. Chciałem porozmawiać z bratem szczerze, a on wciąż tylko łgał.

– Nigdy nie uwierzę, że naprawdę sądziłeś, że nie żyję. Przeszliśmy razem zbyt wiele, wiesz dobrze, że ani mnie, ani ciebie niełatwo pokonać – rzekłem, on zaś w końcu zdjął maskę. – Muszę ustalić, kto wysłał tę wiadomość od króla.

– Naprawdę sądzisz, że listu nie napisał król?

– Trudno mi znaleźć powód, dla którego miałyby to uczynić.

– Wiem, że mi nie uwierzysz, ale to nie ja maczałem w tym palce.

Nie wierzę ci, Nagorno. Jesteś królem kłamstwa. Jak mam ci wierzyć, skoro znam cię od dziecka? – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

Zmieniłem temat.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Sprowadziłeś naszego drogiego Gunnarra.

– Nie przeczę.

– Po co?

– Zwykle kupieckie interesy, na dworze w Tudeli chętnie kupują róg jednoroźca.

Róg jednoroźca to, jak powiadają, najlepsze lekarstwo dla mężczyzn mających problem ze swoją męskością. I nie sposób go było dostać. Gunnarr przywoził ze swych wypraw za północne morza równie skuteczny zastępnik.

– Czy kiel narwala to jedyny środek rozpalający miłosne pragnienia, który chętnie kupują na dworze?

– Jest najdroższy, więc najbardziej opłaca się go sprowadzać.

Nie wspomniałem o swoich podejrzeniach związanych z hiszpańską muchą. Nie spotyka się tego chrząszcza na ziemiach Nawarry. Zamieszkuje cieplejsze okolice, ktoś sprowadzał go z daleka. Ale Victoria była grodem kupców. Czy Nagorno albo Gunnarr mieli z tym coś wspólnego?

Rozległo się bicie dzwonu obwieszczające zgon hrabiego.

– Wiesz pewnie o śmierci mojego teścia? – zapytał Nagorno.

– Nie sposób się nie dowiedzieć w tak małym grodzie. Jak się czuje Onneca?

Nagorno odwrócił wzrok.

– Cierpi – wymamrotał, powiedziałbym, że z żalem.

Skrzywiłem się zdziwiony. Czyżby Onneca naprawdę nie była mu obojętna?

– Kiedy zabiją dzwony na Anioł Pański, rozpocznie się pogrzeb hrabiego – ciągnął lodowatym tonem. – Zamówiłem chór płaczek. Pewnie mieszkańcy grodu ściągną do domu hrabiego, by go pożegnać. Dobrze byłoby, żeby widziano nas razem.

– Zamówiłeś płaczki?

– Tak, jedna skomponuje nawet lament pogrzebowy dla mojego pocziwego teścia. Czuję się w obowiązku odpowiednio uczcić jego pamięć. Był człowiekiem honoru. Onneca czuwa teraz przy nim w alkwie. Nalegam, byłoby dobrze, gdybyśmy pokazali się razem. Zjawią się sędzia, burmistrz, kat, królewski namiestnik i proboszcz naszej parafii Najświętszej

Marii Panny. Zarządziłem, żeby pochowano go na naszym cmentarzu. Jesteśmy rodziną, spocznie w towarzystwie naszych krewnych, rodu Vela.

Pokiwałem głową. Raz jeden zgadzałem się z Nagornem.

Opuściliśmy niewielki warsztat, nie uszło mojej uwagi, że Nagorno schował do ukrytej kieszeni swojej drogiej czerwonej szaty broszę, którą zamierzał podarować swej pani.

Ruszyliśmy do zaułka Armería, omijając po drodze wieprze i stragany, przekupki i nosiwodów. Już z daleka dojrzeliśmy tłum mieszkańców, którzy chcieli złożyć kondolencje rodzinie hrabiego. Zdawało się, że przybyli wszyscy sąsiedzi z Nowej Victorii, Villa de Suso, a nawet ze znajdującego się za murami zaułka płatnerzy.

Zgodnie ze starym obyczajem rodzina zmarłego czuwała przy ciele, podczas gdy sąsiedzi wchodzili do izby, gdzie znajdował się nieboszczyk. Ci najbiedniejsi wystawiali zwykle ciało na stole albo na zwykłej desce, przy której co dzień siadali do wieczerzy. Pożegnawszy zmarłego, sąsiedzi składali kondolencje jego bliskim, którzy musieli odpowiadać na nie skinieniem głowy. Ceremonia była długa, przykra i trudna do zniesienia, ale praktykowano ją w grodzie od wieków i nie istniał sposób, żeby wyplenić ów zwyczaj.

– A pozostałych dzieci hrabiego nie będzie na pogrzebie? – zapytałem.

– Śmiem wątpić, syn pierworodny, ten nieudacznik, zabija pewnie niewiernych w Edessie. A dwie najmłodsze złożyły śluby ciemności.

– Obie? – zdziwiłem się.

Znałem tę tradycję. Kiedy w rodzinie było zbyt dużo córek, hrabiowie de Maestu kazali je zamuroвывать za życia w pobliskiej parafii. Spędzały tam czas na modłach, nie wychodząc ze swojej celi. Jedne poddawały się temu z przekonaniem. Inne nie miały wyboru.

Zamierzałem wejść do sieni, lecz Nagorno chwycił mnie za rękaw i szepnął na ucho:

– Jeszcze mnie o to nie zapytałeś. Czy to oznacza rozejm?

– Nie zapytałem cię, czy to ty zabiłeś naszego poczciwego hrabiego. Masz dobre powody, środki, a i wyobraźni nigdy ci nie brakło – przyznałem.

– Czy to rozejm? – nalegał.

– Owszem.

– Dlaczego?

– Bo ty też mnie o to nie spytałeś.

I weszliśmy w milczeniu do domu hrabiego. Sąsiedzi tłoczyli się w kolejce do drewnianych schodów prowadzących na piętro.

Jedni wchodzili, inni schodzili.

To zajmie nam cały ranek.

Wyobraziłem sobie Onnecę, samą przy zwłokach ojca, ciele, które sprofanowałem. Poczuję się winny.

I wtedy rozpętało się piekło. Drewniane schody zawaliły się nam na głowę. Nie wytrzymały ciężaru połowy grodu. Rozległ się głuchy trzask łamanych desek i zostaliśmy pogrzebani wśród zakrwawionych rąk i nóg, przygnieci ciężarem zabitych.



## ULICA PINTORERÍA

## UNAI

*Wrzesień 2019*

Nie muszę chyba wspominać, że tamtej nocy ani szefowa, ani ja nie odpoczęliśmy.

Nie czekaliśmy długo na pierwszy raport z autopsji, musieliśmy działać szybko, bo zbliżał się weekend.

A ofiara... Wiadomość o jej śmierci trafiła na nagłówki gazet w całym kraju. Prywatność, którą mężczyzna tak starannie chronił za życia, poszła w diabły, kiedy znalazł się na sekcyjnym stole.

Antón Lasaga, założyciel i właściciel koncernu odzieżowego, który działał od trzydziestu lat. Zaczynał od niewielkiej pasmanterii przy ulicy Cercas Bajas.

Szaliki.

Najpierw zajął się produkcją wełnianych szalików.

Zmęczyła go zależność od wytwórców i kiedy ratusz Vitorii, starając się przyciągnąć do miasta przemysłowców, udostępnił im ziemię w Ali Gobeo, otworzył tam własny zakład produkcyjny. Po szalikach przyszedł czas na kurtki i płaszcze doskonałej jakości. W kilka lat firma rozwinęła się i przystąpiła do ekspansji w całym kraju. O właścicielu nie wiadomo było nic, a o jego rodzinie bardzo niewiele. Spekulowano, że mieszka w Madrycie i codziennie rano wsiada do samolotu, żeby w porze śniadania być w swojej fabryce w Ali. Nie utrzymywał żadnych kontaktów z prasą, jedyne zdjęcie, jakim dysponowały redakcje, miało już ze dwadzieścia lat.

Nikt nie zaczepiłby go na ulicy Dato, gdyby tego samego dnia rano pił tam kawę. Nikt.

W kilka godzin po znalezieniu zwłok zdążyliśmy się przyjrzeć jego majątkowi: był jak Wielki Gatsby północnej Hiszpanii. Urodzony zwycięzca. Należały do niego tereny w prowincjach: Álava, Vizcaya, Kantabria, Guipúzcoa i Burgos. Winnice w Rioja Alavesa i Nawarze. Chociaż miał siedemdziesiąt siedem lat, wciąż nie wypuszczał z rąk sterów swojej firmy. Był jednym z tych, którzy umierają w pracy.

Lekarka sądowa obiecała nam wyniki autopsji po południu, ale Estíbaliz, niecierpliwa jak to ona, wybrała jej numer z gabinetu Alby i włączyła głośnik, żebyśmy wszyscy mogli słyszeć.

Za oknem słońce oblewało złotem liście drzew, a wiatr poruszał rozwieszonymi w alei plakatami.

– Pani doktor, jeszcze raz dziękuję za pani niezwykłą skuteczność – powiedziała Alba i sprawnym ruchem, który powtarzała ze dwadzieścia razy dziennie, splotła swoje czarne włosy w ciasny warkocz. – Czy może nam pani już coś powiedzieć?

– Dzień dobry, pani podkomisarz. Znałam denata. Owdowiał niecałe sześć miesięcy temu, przyjaźniłam się przez całe życie z jego żoną. Wielka szkoda, bardzo mądry, rodzinny człowiek.

– Ustalono przyczynę śmierci? Inspektor López de Ayala i ja wyczuliśmy charakterystyczny chemiczny zapach w toaletach, gdzie znaleźliśmy ciało – odezwała się Estíbaliz. – Czy znalazła pani jakieś niepokojące zmiany w organizmie?

– Owszem: miał kompletnie poparzony przełyk. I pęcherz moczowy, naprawdę cierpiał przed śmiercią. Problemy z oddawaniem moczu, mdłości, mogę stwierdzić, że w dniu zgonu co najmniej raz wymiotował.

– A mimo wszystko zjawił się na premierze książki – zauważyłem.

– Nieczęsto się skarżył, pewnie myślał, że ma zapalenie pęcherza albo niedyspozycję żołądka, i nie zrezygnował z normalnych zajęć.

– A co było przyczyną śmierci? – zapytałem.

– Pęknięcie aorty. Serce nie wytrzymało.

– Z tego, co pani powiedziała, domyślam się, że spożył truciznę, która spowodowała takie wielkie spustoszenie w narządach wewnętrznych.

– Tak podejrzewam, ale wciąż czekam na wyniki z laboratorium toksykologicznego – odparła. – Spodziewam się ich lada chwila. Właściwie powinny były przyjść godzinę temu. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. To musiała być bardzo żrąca substancja. Nie chcę uprzedzać faktów, ale inspektor López de Ayala dzwonił do mnie wczoraj i poprosił, żebym sprawdziła pewien konkretny środek. Jeśli ma rację, oszczędzimy sobie wielogodzinnych poszukiwań.

– Co to za specyfik, Unai? Mógłbyś podzielić się podejrzeniami?– zapytała Estíbaliz.

– Oczywiście, zamierzałem ci o tym wspomnieć, ale było tyle spraw do omówienia.

Powiedziałem to na głos i nie brzmiało to tak dobrze, jak w mojej głowie. Estíbaliz spojrzała na mnie jak na beznadziejny przypadek. Alba wzruszyła ramionami. Zignorowałem ich reakcję. Przywykłem do tego, że na początku śledztwa zawsze uważały moje hipotezy za szalone. Ale lubiłem tak pracować: próbowałem nie zamykać się na żadne domysły, póki nie znalazłem nitki, która mogła doprowadzić do kłębka.

– Niezależnie od wyniku, jeśli potwierdzi się, że śmierć nastąpiła w wyniku zażycia trucizny, będziemy musieli uruchomić procedury, żeby zbadać jego ostatnie posiłki. Miejsca, gdzie jadł śniadanie, obiad i podwieczorek w dniu swojej śmierci i dzień wcześniej – oświadczyła Alba.

– I z kim – dodała Estíbaliz.

– Chciałbym zapytać o jeszcze jedno – zwróciłem się do doktor Guevary. – Ofiara cierpiała na zespół Marfana, prawda?

– Tak. Długie i chude kończyny, kogucia klatka piersiowa, płaskostopie, mała żuchwa, rozszczep tęczówki... Cienkie ściany aorty. Nie wiem, co zjadł – może został zmuszony do połknięcia tego – ale nie wytrzymał rozszerzenia naczyń krwionośnych wywołanego przez tę substancję. Pacjenci cierpiący na zespół Marfana zwykle są pod czujną opieką lekarzy. Tak było i w przypadku ofiary, potwierdziliśmy obecność odpowiednich leków we krwi.

– Coś jeszcze, pani doktor?

– Zmieniając temat: mam wyniki badań DNA krwi znalezionej w miejscu zaginięcia sióstr Nájera.

– Zamieniamy się w słuch – powiedziała Esti.

– Krew znaleziona na dywanie w sypialni należy do młodszej z sióstr. Nie wiem, czy to będzie dla was pomocne. Pobraliśmy próbki DNA rodziców, a technicy kryminalistyki dostarczyli mi używane ubrania obu dziewczynek. Krew odpowiada DNA z ubrań młodszej z nich. Na razie nie mam nic więcej.

W tym momencie telefon Alby zaczął wibrować. Odczytała wiadomość i zmarszczyła czoło.

– Doktor Guevara, proszę informować nas na bieżąco. I bardzo dziękujemy.

Rozłączyła się i spojrzała na nas wyraźnie zmartwiona.

– Komisarz Medina. Zwołał pilne zebranie. To nie wróży nic dobrego.

Wyszliśmy z gabinetu Alby w milczeniu. Dwa wszczęte śledztwa. Zbyt wiele czynności procesowych, zbyt wiele wątpliwości naraz.

Czekał na nas w sali pogrążonej w półmroku. Rzutnik wyświetlał zdjęcia sióstr. Estefanía wyglądała na nieśmiałą dziewczynkę z lekką nadwagą. Oihana miała gęste włosy do pasa, jej zdjęcie powtarzało się na wszystkich ulotkach rozklejanych na murach i ogrodzeniach naszego miasta. Komisarz poprosił, żebyśmy usiedli. Sam nie zajął miejsca.

– Od piętnastu dni prowadzimy śledztwo „Frozen”, bez żadnych rezultatów. Teraz mamy denata i chyba możecie sobie wyobrazić, jak bardzo naciskają mnie z góry, żebyśmy ustalili, czy Antón Lasaga zmarł śmiercią naturalną, czy popełnił samobójstwo, uległ wypadkowi albo padł ofiarą zabójstwa. Więc przyjrzymy się tym dwóm sprawom, a ja dowiem się dokładnie, co się dzieje. Co wiemy w tej chwili o zaginięciu dwóch nastolatków?

– Dwóch małoletnich – zaczęła Estíbaliz – Estefanii i Oihany Nájera, sióstr. Siedemnaście i dwanaście lat. Starsza jest odpowiedzialna. Młodsza, jeszcze dziecinna, ma buntowniczy charakter. Młodzi rodzice pracują jako nauczyciele w konserwatorium imienia Jesusa Guridiego. Fagot

i wiolonczela. Własne mieszkanie, klasa średnia. Ojciec twierdzi, że dziewczynki były zżyte. Matka, kiedy ojciec jej nie słyszał, zeznała, że często się kłóciły ze względu na różnicę wieku i charakterów. Tak czy siak, rodzice idą na kolację ze znajomymi i zostawiają młodszą córkę pod opieką starszej. Wracają o pierwszej dwadzieścia w nocy. Mieszkają przy ulicy Pintorería. Sprawdziliśmy wszystkie nagrania z kamer nadzoru pobliskich sklepów. Nie wiem, jak mam to wyjaśnić, aby nie powiedział mi pan, że to przecież niemożliwe i żebyśmy obejrzel je raz jeszcze. Już to zrobiliśmy. I nikt nie wchodził do budynku ani z niego nie wychodził w czasie, kiedy rodziców nie było w domu.

– I zanim zacznie pan zadawać pytania... – wtrąciłem. – Nie panował duży ruch na ulicach. Dziewczynki zniknęły pod koniec sierpnia, większość mieszkańców przebywała jeszcze na wakacjach. Na nagraniach nie ma też samochodów, które zasłaniałyby wejście do budynku. A jeśli chodzi o mieszkanie, mamy do czynienia z sytuacją dość niezwykłą. Kiedy rodzice wrócili do domu, główne drzwi do znajdującego się na drugim piętrze mieszkania były zamknięte od środka. Telefon Estefanii wyłączono o dwudziestej drugiej trzydzieści osiem, dość nietypowe jak na nastolatkę, chyba że poszła wcześniej spać. Rodzice uważają, że byłoby to dziwne. Młodsza nie miała komórki. I najbardziej niepokojące ze wszystkiego: ślady krwi na dywanie w sypialni starszej siostry. Doktor Guevara powiadomiła nas właśnie, że to krew Oihany.

– Jak dużo tej krwi?

– Zaledwie dwanaście mililitrów. Ilość, która w żaden sposób nie każe martwić się o jej życie. Nie wykrwawiła się i nie umarła, w każdym razie nie w mieszkaniu. Zbadaliśmy klatkę schodową i nie znaleziono innych śladów krwi. Dziewczynki nie zabrały ani ubrań, ani pieniędzy. Rodzice twierdzą, że raczej nie uciekły. Były dobrymi uczennicami, nie miały problemów z narkotykami, nie znaleźliśmy nic podejrzanego w mediach społecznościowych starszej. Hipoteza, że porwano je dla okupu, staje się coraz mniej prawdopodobna, gdyż nikt się po ten okup nie zgłosił. Zarówno inspektor Ruiz de Gauna, jak i ja byliśmy w ciągłym kontakcie z rodzicami. Uważam, że nie kłamią. Na wszelki wypadek agentka Milán Martínez monitoruje ich konta bankowe: nie zauważyliśmy żadnych poważnych operacji, które wskazywałyby na to, że zbierają za naszymi plecami

pieniądze na okup albo proszą o pomoc znajomych. Ślady krwi każą myśleć o najgorszej możliwej hipotezie: że domniemany agresor uderzył Oihanę w głowę, żeby ją unieszkodliwić. Mogło być również tak, że się pokłóciły. Trudno nam zrekonstruować wydarzenia. Jednym słowem, co, do diabła, spotkało te dziewczynki? Nie pasuje tu ani porwanie dla okupu, ani ucieczka: dokąd miałyby pójść? Z czego się utrzymać?

Niepokoilem się, bardzo się niepokoilem o wynik tego śledztwa.

– A pan co o tym myśli, inspektorze López de Ayala? – zapytał komisarz, zajmując miejsce za dużym stołem, a że usiadł na linii rzutnika, obraz dwóch dziewczynek ukazał się na jego skórze, co wywoływało dość przykry efekt.

– Ze sceneria musi przemówić – powiedziałem.

Wiem, że nie brzmiało to dobrze. Czasem zdarza mi się odezwać tak, jakbym rozmawiał sam ze sobą.

– Co takiego?

Alba spojrzała na mnie wymownie: „Nie wygłupiaj się, błagam”.

– Scena jest symulowana – odrzekłem.

– Może pan to wyjaśnić?

– Typowa zagadka o przestępstwie popełnionym w zamkniętym pokoju: drzwi zamknięte od środka, nie ma ciała. A przy tym znaleźliśmy krew młodszej dziewczynki, co sugeruje walkę, obronę i przemoc, poza tym rzuca cień podejrzenia na starszą, jakby ktoś chciał ją obwinąć o zranienie siostry albo przypadkowe spowodowanie jej śmierci. Ale sprawdziliśmy wszystkie meble, nie znaleźliśmy śladów DNA młodszego dziecka na żadnym z nich. Nie ma narzędzia zbrodni albo czegoś, co posłużyło za narzędzie: przedmiotu wystarczająco ostrego, żeby przeciąć skórę i wywołać krwawienie. Ta cała scena została zaaranżowana, żeby zakręciło nam się w głowie od hipotez, żebyśmy się zgubili w domysłach.

– I co według pana powinniśmy zrobić?

– Jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji: szukać ich dalej, żywych lub martwych, ale nie traćmy czasu na hipotezy, co się z nimi stało, dopóki nie znajdziemy dziewczynek albo ich ciała. Cała sceneria zaginięcia ma nas wprowadzić w błąd i została tak pomyślana po to, żeby odciągnąć nas od

najważniejszego, czyli poszukiwań. Nie wpadniemy w tę pułapkę. Kontynuujemy operację „Frozen”.

W tym momencie ktoś nerwowo zastukał w drzwi.

– Milán, nie musisz pukać – powiedziała Alba po raz setny. – Jesteś częścią ekipy.

Agentka Milán Martínez pracowała z nimi od trzech lat i nic się przez ten czas nie zmieniła: nadal była niezdarłą wielkoludką, która wypełniała swoje biurko post-itami w jaskrawych kolorach. Zaprzyjaźniła się z Estíbaliz i Albą i w weekendy jeździła z nimi w góry, żeby trochę odetchnąć. Podinspektor Peña ją uwielbiał, adorował, jakby była boginią miłości, seksu i w ogóle wszystkiego, dziewczyna jednak postanowiła zakończyć ich romans. On leczył swoje złamane serce artysty, popijając szoty w barach starówki.

Wyjęła z kieszeni pomarańczowy post-it.

– Mam wiadomość – powiedziała i spróbowała odczytać zapiski z karteczki, co przy zgaszonym świetle przyszło jej z trudem. –

Kantarydyna. Laboratorium toksykologiczne potwierdziło właśnie doktor Guevarze, że w organizmie ofiary znaleziono dwa gramy sproszkowanego *Lytta vesicatoria*.

– A po ludzku? – zapytał komisarz.

– Chrząszcza z rodziny oleicowatych, hiszpańskiej muchy albo kantarydy.

## STARA KUŹNIA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Odzyskałem zmysły. Jakiś dziób walił mnie właśnie w czoło.

– Przestańcie, błagam. Już wystarczy – krzyknąłem.

– Wasza miłość żyje! – usłyszałem głos Alix de Salcedo.

– Możecie zabrać tę bestię? – poprosiłem, zrzucając z siebie drewno, którym zostałem przywalony.

Rozejrzałem się wokół i moim oczom ukazał się rozpaczliwy obraz. Sąsiedzi ratowali się nawzajem wśród jęków i lamentów.

– Jak mnie znaleźliście?

– Pomógł nam Munio, moja sowa. Pamięta was z wczoraj – powiedziała zatroskana Alix. – Ale jesteście tak niebiescy jak zwykle, więc nic wam się nie stało.

– Jestem niebieski? Jak nieboszczyk? – Nic nie rozumiałem.

– Nie, nie o to chodzi – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Tylko że... Nie mówcie o tym nikomu, bo zaczną na mnie patrzeć jak na wariatkę. Chodzi o to, że nie rozdzielam zmysłów: kolory dla mnie pachną, a dźwięki mają smak. A każda osoba emanuje innym kolorem, tak było zawsze.

– I ja jestem niebieski? – uśmiechnąłem się, macając guz na czole.

– Jakby wasza miłość miał kawałek morza w oczach. To was determinuje, jest ciężarem, ale niebieski to wasz kolor. Ciekawe, że wcale nie przyszlście na świat na wybrzeżu.



– A inni? Czy tylko ja jestem chodzącą tęczę?

– Gunnarr jest biały, wasz kuzyn Héctor, pan osady Castillo, ma kolor ziemi. Hrabia Nagorno jest czerwony... Mam mówić dalej?

– Słuchałbym bez końca – odrzekłem, kiedy pomagała mi wstać – ale na razie pomóżmy rannym i upewnijmy się, kto żyje, a kto umarł.

Byłem wciąż skołowany po wypadku, ale starałem się pomóc. Nie umknęły mojej uwagi złorzeczenia mieszkańców Nowej Victorii pod adresem tych z Villa de Suso.

– Tak jest na co dzień, senior – westchnęła Alix. – Każde nieszczęście sprawia, że skaczemy sobie do oczu.

Zginęły cztery osoby. Wieść o tragedii rozniosła się gościńcem do Pampeluny tak szybko, że mieszkańcy okolicznych osad przybyli następnego dnia na pogrzeb, niosąc gromnice.

Przez Bramę Północną wszedł orszak duchownych i zakonnic, który towarzyszył Garcii z Pampeluny, protegowanemu hrabiego de Maestu i najmłodszemu biskupowi, jaki kiedykolwiek został wyświęcony. Kiedy to się stało, nie miał nawet siedemnastu lat, ale jego zdolności dyplomatyczne czyniły go pożądanym na każdym dworze. Ja poznałem go na dworze w Tudeli. Ceniłem go, byliśmy dla siebie jak kuzyni. Onneca też go kochała, wszyscy widzieliśmy, że kiedy tylko zsiadł z konia, rzuciła mu się na szyję. Spadł śnieg i zrobiło się jeszcze zimniej, ale on wdział tylko ornat. I wcale nie wyglądał na zziębniętego. Towarzyszące mu mniszki dosiadające osłów spoglądały nań z uwielbieniem.

– Tyle nieszczęść naraz, kuzynko! Kiedy tylko dowiedziałem się o wszystkim, wyruszyłem w drogę. Sam odprawię mszę żałobną za dusze waszego ojca i zmarłych victorczyków.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczna, kuzynie – powiedziała, starając się zapanować nad rozpaczą.

Po pogrzebie, zanim udałem się do domu, zajrzałem do naszej rodzinnej kuźni przy ulicy Astería.

Lyra żelazną ręką zarządzała swoimi kowalami. Alix komenderowała czeladnikami, którzy rozładowywali rudę z naszych kopalni w Bagoecie.

– Jeszcze nie powiedziałaś mi, co tu się dzieje, Lyro. Znajduję gród zupełnie odmienionym, widzę, że mieszkańcy dwóch dzielnic są skłóceni.

Pokiwała głową i poprosiła Alix, żeby do nas podeszła. Spojrzałem z niepokojem na Munia, jej sowę, patrzył na mnie wyzywająco, ale wciąż siedział na dachu nad patio.

– Mój brat chce się dowiedzieć, co zaszło w grodzie, Alix. Zdad sprawę z tego, co trapi nas, mieszkańców Villa de Suso.

– Pod waszą nieobecność bogate rodziny z otaczających nas osad przejęły kontrolę nad bramami – odpowiedziała, odkładając młotek na kowadło. – Mendozowie, którzy zawsze mieszkali na północy, w wieży w Martiodzie, zdołali uzyskać przywilej pobierania dziesięciny za owoce, choć sprzeciwiał się temu świętej pamięci hrabia de Maestu. Ale głos waszego brata Nagorna, kiedy stał się hrabią Velą, był dla rady ważniejszy. A mieszkańców Villa de Suso rozsierdziła wieść o tym, że na ulicy Pescaderías wolno sprzedawać tylko ryby morskie, więc przekupki handlują teraz rybami z rzeki poza murami, na cmentarzu Najświętszej Marii Panny, żeby nie płacić myta. Wiem, że zostawiliście gród w pokoju i dobrobycie, ale boję się, że ów gród, za którym tak tęskniliście, już nie istnieje.

## ARMENTIA

## UNAI

*Wrzesień 2019*

- I co to znaczy? – zapytał komisarz Medina.
- Że przedsiębiorca zażył śmiertelną dawkę afrodyzjaku, którego skuteczność sprawdzono już w średniowieczu – odparła Alba. – To może być ważny wątek w naszym śledztwie. Coś jeszcze, Milán?
- Szefowo, w recepcji stawilo się dwóch synów wczorajszej ofiary. Strasznie im się spieszy, żeby porozmawiać, jak sami powiedzieli, z „inspektorem Krakenem”.
- Westchnąłem. Na swoje nieszczęście wciąż byłem znaną twarzą Wydziału Kryminalnego. Sławę zyskałem trzy lata temu, kiedy to Tasio Ortiz de Zárate ujawnił moją tożsamość w internecie. Od tamtej pory każdy, kto miał jakiś problem z prawem czy chciał złożyć doniesienie, udawał się na komisariat przy ulicy Portal de Foronda i pytał o „inspektora Krakena”. Esti uśmiechnęła się lekko, niech ją diabli!
- Macie przed sobą wiele pracy. Bardzo was proszę, żebyście szybko znaleźli rozwiązanie – powiedział komisarz i zniknął z komórką w rękę.
- Niech wejdą, zobaczymy, czy mają coś ciekawego do powiedzenia. Esti, Milán, chodźcie ze mną – poprosiłem i ruszyliśmy schodami w dół.
- Więc mamy trupa z erekcją – zauważyła Estíbaliz po drodze.
- Nie miał erekcji. Erekcję post mortem mają tylko wisielcy – zauważyłem.
- No ale próbował, zażył średniowieczną viagrę.

- To właśnie musimy sprawdzić, bo wcale nie jestem tego taki pewny.
- Co cię martwi?
  - Statystyki. Zabójstwa kobiet często są następstwem napaści seksualnych albo przemocy domowej. Zabójstwa mężczyzn natomiast są wynikiem przemocy fizycznej, wyrównywania rachunków albo... Aż boję się wymawiać to głośno: są dziełem społecznych drapieżców.
  - Nikt nie chce drapieżców w Vitorii. Jeśli okaże się, że Antón Lasaga jest przypadkową ofiarą, i tak znajdziemy powiązanie między nim a sprawcą.
  - Bardzo dobrze rozumiałaś moje obawy. To, co zobaczyliśmy wczoraj w toaletach Villa Suso, Esti... Nie było oznak, że ktoś obezwładnił ofiarę, nikt jej nie związał, nie znaleźliśmy śladów pobicia. Ten mężczyzna poszedł do łazienki z własnej woli – powiedziałem, kiedy dochodziliśmy do sali, w której czekali na nas bracia Lasagowie.
  - Obaj byli dużo niżsi ode mnie, wyglądali na trzydzieści kilka wiosen, ten o ciemniejszych i kręconych włosach uścisnął mi rękę jak absolwent wydziału marketingu i zarządzania i przejął inicjatywę.
  - Inspektor Kraken, prawda?
  - Tak naprawdę inspektor López de Ayala. Bardzo panom współczuję. Wyobrażam sobie, że mają panowie trudny dzień.
  - Dlatego przejdę do rzeczy. Jest nas pięcioro rodzeństwa: czterech braci i siostra. Pozostali zajmują się teraz formalnościami. Mój brat i ja przyszliśmy, bo... – Poklepał mnie po ramieniu na znak zażyłości, której wcale między nami nie było. – Może usiądźmy, będzie nam wygodniej.
  - Jasne. – Spojrzałem na Estíbaliz. – To moja partnerka, inspektor Ruiz de Gauna, oboje znaleźliśmy ojca w toaletach Villa Suso. Agentkę Milán Martínez już pan zna.
  - No właśnie o tym chciałem porozmawiać. – Zignorował zupełnie Esti i Milán stojące za jego plecami.
  - Drugi brat, na którego dotąd nikt nie zwracał uwagi, ze zmartwioną miną usiadł na krześle.
  - Zamieniam się w słuch...

– Nazywam się Andoni Lasaga, jestem najstarszy z rodzeństwa.

– Rozumiem. Bardzo chcielibyśmy, żeby zdradził nam pan, z czym pan tu przyszedł, a także powiedział trochę o ojcu i rodzinie.

– Moja matka zmarła kilka miesięcy temu. Byli bardzo życzliwi. Jesteśmy tradycyjną rodziną, takie małżeństwa rzadko się dziś spotyka. Mój ojciec bardzo za nią tęsknił.

Pokiwałem głową. Pomyślałem, że mówi prawdę, wskazywałaby na to zużyta obrączka na łańcuszku, którą stary Lasaga miał na szyi w dniu swojej śmierci. Jeśli mężczyzna, który właśnie owdowiał, używa leku na potencję, bo zamierza się w nocy z kimś spotkać, czy nie zdjąłby wcześniej obrączki?

– Chciałem tylko powiedzieć, że... to wszystko stało się tak szybko. Najpierw matka ginie w wypadku samochodowym. Teraz ojciec...

– Co pan insynuuje?

– Żeby pan jej nie ufał – wymówił to zdanie szeptem, ale zabrzmiało jak trzaśnięcie bicia.

– Andoni! – obruszył się młodszy brat.

Odniosłem wrażenie, że jest oburzony.

– Ale przecież mówię prawdę! Ktoś musi im powiedzieć, nie sądzisz?

– Kim jest „ona”? – wtrąciła Estíbaliz.

– Nasza siostra Irene. Była ulubienicą ojca, zawsze kręciła się obok niego. Przekonywała do swoich pomysłów. Jest wśród nas jedyną kobietą, ale ma największe ambicje, zawsze chciała odziedziczyć całą fortunę.

– Andoni, przesadziłeś! Poprosiłeś, żebym przyszedł tu z tobą, bo mieliśmy porozmawiać o ojcu, a nie po to, żeby oskarżać siostrę. Na Boga, zupełnie ci odbiło!

– Z tobą też jest w zмовie. Tylko to potrafi. To urodzona manipulatorka. Psychopatką. Pan jest specem od takich ludzi, czemu pan z nią nie rozmawia, inspektorze Kraken?

Znów poklepał mnie po ramieniu, jakby udawał, że jest moim kolegą. Gest tak fałszywy jak on sam.

– Przesłuchamy oczywiście rutynowo najbliższe osoby z otoczenia ofiary. Powtórzę jeszcze raz, co pan teraz powiedział: a więc uważa pan, że ojciec nie umarł śmiercią z przyczyn naturalnych ani nie zginął w wypadku, oskarża pan o jego śmierć swoją siostrę, sądzi pan, że motywem był majątek. Czy to jest zeznanie? Bo jeśli tak, będzie pan musiał je podpisać.

– Andoni, przemyśl to jeszcze. Daj spokój – szepnął do niego brat. – Dziś jesteś cały w nerwach, ale to nie jest rozmowa przy barze, oskarżasz Irene o coś bardzo poważnego. Nie rób nam tego, tata sobie na to nie zasłużył.

Pierworodny potomek zacisnął pięści i westchnął sfrustrowany. Dziesięć długich minut zajęło nam pozbycie się ich z komendy.

Kiedy wreszcie sobie poszli, przez chwilę wpatrywałem się w białe drzwi.

– Ród wojujący o dziedzictwo – mruknąłem.

– Wróć do dwudziestego pierwszego wieku, Kraken. Potrzebujemy cię tutaj.

– Jak sobie chcesz, mogę powiedzieć to samo współczesnym językiem: będą walczyć o spadek.

– Wnioski... – Esti zwróciła się do Milán.

– Andoni Lasaga jest dominujący, niezbyt inteligentny i impulsywny. Mówiąc o ojcu, używa czasu przeszłego, znaczący szczegół. Telefon z wyższej półki, tyle że ten model ma już kilka lat i ekran był stłuczony. Buty markowe, ale bardzo zużyta podeszwa. Miał na sobie czarny żałobny strój z dość przetartymi rękawami i kołnierzem marynarki. Młodszy brat nosi się dyskretnie, ale jego telefon i ubrania są nowe i bardzo dobrej jakości.

Pokiwałem głową z dumą. Uczyliśmy Milán i Peñę trudnej sztuki spostrzegawczości i nie wątpiłem, że nauka nie poszła w las.

– Poza tym – ciągnęła – doktor Guevara powiedziała mi, że знаła rodzinę, skorzystałam z jej pomocy, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Niejaki Andoni pracował w firmie ojca, ale okazał się nieudacznikiem i ojciec wywalił go z zarządu. Dostaje, a może dostawał, wypłatę, ale żyje ponad stan i ciągle mu mało. Reszta rodzeństwa jest

bardzo dyskretna. Są ze sobą bardzo związani. Wszyscy studiowali na uniwersytecie i mają kwalifikacje, żeby zastąpić ojca na jego stanowisku, chociaż to siostra jest najbystrzejsza, dostawała świetne stopnie, skończyła MBA, pracowała za granicą. Od ponad dziesięciu lat pracuje dla ojca, ale zaczynała od niskiego stanowiska i przeszła przez wszystkie działy firmy. Tak czy siak, Antón Lasaga nie chciał oddawać nikomu sterów. Chyba musimy wybrać się do Armentii.

– Do Armentii? – zdziwiła się Estíbaliz.

– Tam mieszkał nasz przedsiębiorca. Ma wiele posiadłości, ale zaszył się w dyskretnej willi w Armentii właśnie.

Do sali wszedł Peña z przepastną teczką w rękach.

– Szukałem was. Chyba namierzyłem naszą zakonnicę. Zebrałem zeznania od wszystkich świadków, którzy byli wczoraj w Villa Suso. Sto osiemdziesiąt siedem osób. Z nich wszystkich tylko sześć widziało zakonnicę. Według nich była ładną kobietą, może trzydziesto-, może czterdziestoletnią. Pomiędzy metr pięćdziesiąt a metr sześćdziesiąt wzrostu. Jeden ze świadków opisał ją jako bardzo niską. Pozostałych pięcioro nie zwróciło uwagi na wzrost. Dwoje zeznało, że miała na sobie habit z białym welonem, czterech, że habit był biały, a welon ciemny. Czarny lub brązowy. Była noc, trudno stwierdzić z całą pewnością.

Zasada fałszywej pamięci, pomyślałem. Świadkowie nigdy nie są tak wiarygodni, jak się im samym wydaje.

– Więc – podsumowała Estíbaliz – poszukujemy kobiety.

– Dominikanki.

– Dominikanki?

– Tak, przez cały ranek szukałem informacji o pobliskich zakonach. Jeśli uwierzymy w zeznania większości świadków i opisowi inspektora Lopeza de Ayali, to dominikanka z klasztoru Nuestra Señora del Cabello w Quejanie.

– To posiadłości twoich przodków, rodu Ayala, prawda? – zapytała Estíbaliz.

– No jasne. Nie mówiłem wam jeszcze, że mam pałac i rozległe ziemie... Tak czy owak, ten klasztor jest pusty, czytałem o tym w prasie.

Mniszki wyprowadziły się kilka lat temu do San Sebastián, zostało ich sześć i miały po dziewięćdziesiąt lat, a ja nie biegłem po dachu za dziewięćdziesięciolatką, tego jestem pewien.

– Tak, to raczej możemy wykluczyć – przyznała moja partnerka. – W każdym razie skoro klasztor stoi pusty, to pewnie habit nie ma nic wspólnego z siostrami dominikankami. Ktoś, kto przebiera się za zakonnice, może wybrać sobie dowolne zgromadzenie. Nie fiksujmy się zbytnio na tym szczególe. Musimy przesłuchać jeszcze wszystkich, którzy pracowali na średniowiecznym jarmarku, i spróbować się dowiedzieć, czy widzieli kogoś przebranego za zakonnice. Peña, weź kilku agentów i zajmij się tym.

– Milán, przydałoby się, żebyś zrobiła sobie spacer po internetowym czarnym rynku.

– Czego mam szukać?

– Kogoś, kto kupował ostatnio hiszpańską muchę. IP musi pochodzić z okolic. Stosowanie kantarydyny jest zabronione. Zobaczmy, co znajdziesz.

– Jeśli coś jest, na pewno to znaję.

Esti się uśmiechnęła. To było ulubione powiedzenie naszej olbrzymki, jej mantra składająca się z siedmiu słów, powtarzanych za każdym razem, kiedy zlecaliśmy jej jakieś trudne zadanie w sieci. Już od trzech lat nie musiałem korzystać z pomocy swoich informatycznych doradców: MatuSalema i Golden Girl. I byłem z tego bardzo zadowolony. Lepiej nie prosić o pomoc diabła, bo w końcu zawlecze cię do swojego kotła.

Kiedy znaleźliśmy się w ogrodzie ogromnej posiadłości w Armentii, na południe od Vitorii, z trudem powstrzymałem się od gwizdnięcia. Willa robiła wrażenie, ogród wręcz zachwycał. Podeszła do nas trzydziestoparoletnia kobieta z grabiami w ręku i w roboczych rękawicach. W jej spojrzeniu malował się wielki smutek. Miała rude włosy, asymetryczną grzywkę i uścisk dłoni tak mocny, jak jej najstarszy brat.

– Rozumiem, że pani jest Irene. Bardzo nam przykro.

Zwróciłem uwagę na szary szalik na jej szyi i zapach, który wydał mi się znajomy. Ku najwyższemu zdumieniu Estíbaliz podszedłem, żeby



pocałować ją w policzki.

– Inspektor López de Ayala, a to inspektor Ruiz de Gauna – powiedziałem.

– Dziś przyjechałam. Właśnie grabiłam ogród. Zwykle on to robi, relaksuje się przy tym. Akurat zerwał się wiatr, pomyślałam, że nawieje nowych liści. To było niemal fizyczne doznanie. Ten ból, kiedy zobaczyłam, jak wygląda ogród zaledwie kilka godzin po jego odejściu... Ojciec chciałby chyba, żeby ktoś się tym zajął – rzekła. – Państwo pewnie wiedzą, po jakim czasie od śmierci kogoś bliskiego zaczyna się mówić o nim w czasie przeszłym?

Mniej więcej po pięciu dniach, pomyślałam, ale nie powiedziałem tego na głos. Nie był to dobry moment na statystyki.

– To zależy od osoby – odpowiedziałem cicho.

– Moja matka pół roku temu, a teraz on. To jest przerażające, kiedy zostaje się sierotą, ale sądzę, że mnie do tego przygotował. Pewnie nie powinnam o tym mówić. Dziś jest taki okropny dzień, nie panuję nad słowami i bardzo staram się przy was nie rozkleić. Jestem stereotypową jedyną córeczką rozpieszczoną przez tatusia.

– Nie sprawia pani wrażenia rozpieszczonej dziewczynki. Słyszeliśmy, że nie od razu zatrudniła się pani u ojca, chociaż była taka możliwość – zauważyłem.

– Starłam się zdobyć doświadczenie i jak najwięcej nauczyć. Nie chciałabym odziedziczyć stanowiska z racji urodzenia. Nie potrafiłabym wykonywać dobrze swojej pracy, wiedząc, że dostałam ją tylko dlatego, że jestem córką szefa. Chociaż właśnie zdałam sobie sprawę, że już nigdy nią nie będę. Nigdy nie będę miała gabinetu obok jego gabinetu.

– Porozmawiajmy o pani braciach. – Estíbaliz zmieniła temat.

– Jesteśmy zżytą rodziną, miewamy problemy, ale nie szukajcie między nami tarć.

– Już je znaleźliśmy, wcale nie szukając.

– O czym pani mówi?

– Kilka godzin temu w komisariacie zjawili się dwóch pani braci. Andoni powiedział nam, że jest pani manipulatorką, poprosił, żebyśmy

panią przesłuchali w sprawie śmierci rodziców.

Irene starała się być silna, ale musiała oprzeć się na grabiach.

– Nie spodziewałam się tego, naprawdę – przyznała. – Trochę to smutne, w dodatku w takim dniu. Nie chciałam, żebyście pomyśleli, że robię z siebie świętą albo idiotkę, ale nie doleję oliwy do ognia, nie będę mówić źle o swoich braciach, chociaż to, co usłyszałam, bardzo mnie zabolalo. Ale skoro tu państwo przyjechali, domyślam się, że mój ojciec nie zmarł z przyczyn naturalnych, więc jeśli szukają państwo kogoś, kto go zabił, wśród jego dzieci, popełniają państwo grubo błąd.

– A przychodzi pani do głowy jakiś wspólnik? Były wspólnik? Jakiś motyw?

– Chyba nie są państwo świadomi, jak wielkim majątkiem dysponuje mój ojciec. W naszej rodzinie dyskrecja to kwestia życia i śmierci. W latach ołowiu w Kraju Basków nikt nie mógł się obnosić z bogactwem. Niech państwo wejdą do środka.

Poszliśmy z nią do domu. W salonie ogromne półki uginające się pod ciężarem książek wypełniały ściany wysokie na pięć metrów. W prawym rogu fotel, który musiał kosztować więcej niż wynosiła moja roczna pensja, wliczając premie, czekał na właściciela, który nie wróci. Ile godzin spędził w nim Antón Lasaga?

– Jakie książki lubi?

– Fascynuje go średniowiecze. Zwłaszcza nasze lokalne.

– Wie pani, czy przeczytał powieść *Władcy czasu*?

– Zawsze czyta jakieś książki. Zmuszał się do czytania stu stron co wieczór, choćby nie wiem jak był zajęty. To był dla niego święty czas, skupiał się tak bardzo, że nie docierało do niego, co dzieje się naokoło, nawet pięcioro baraszkujących dzieci wpychających mu się na kolana. O tej powieści z nim nie rozmawiałam.

– Pani ojciec kochał książki, to rzuca się w oczy. Czy sam kiedyś jakąś napisał? – zapytałem.

Irene spojrzała na mnie zdziwiona.

– O ile wiem, nie. Był bardzo skryty, notował różne rzeczy w zeszytach, ale wydawało mi się, że są to uwagi dotyczące firmy. Czy to ma jakieś

znaczenie?

– Proszę zapomnieć o pytaniu, po prostu ta ogromna biblioteka wzbudziła moją ciekawość – uśmiechnąłem się.

Podszedłem do jedynej półki, na której nie było książek, lecz oprawione zdjęcia. Fotografie pięciorga dzieci w różnych okresach ich życia. Czarno-białe zdjęcie ślubne, lata siedemdziesiąte w sepii, osiemdziesiąte z wąsem, dziewięćdziesiąte bez efektów specjalnych. Na żadnym z nich nie był sam z Irene. Ciekawy szczegół. Zaprzeczał teorii pierwородnego syna, który twierdził, że ojciec ostentacyjnie faworyzował córkę.

Irene nie przejmowała się tym, że przyglądamy się rodzinnym pamiątkom. Stała tuż za naszymi plecami, niemal czułem jej oddech na szyi.

Ten zapach...

– Przysłałaby mi pani listę piętnastu najbliższych przyjaciół ojca? – zapytałem, wracając do zawodowego tonu inspektora.

– Piętnastu? – powtórzyła zdziwiona. – Dobrze. Niech mi pan da pomyśleć.

Podąłem jej wizytówkę z adresem e-mail.

– I ostatnia sprawa, proszę nie brać nam tego za złe, to rutynowa procedura: gdzie pani była pomiędzy dziesiątą rano a siódmą trzydzieści wieczorem? Czy jadła pani z ojcem śniadanie, obiad albo kolację?

– Miałam zebrania w swoim gabinecie i wideokonferencje. Poproszę sekretarza, żeby wysłał wam kopię mojego kalendarza. Wszyscy, z którymi się spotkałam, mogą potwierdzić moją obecność w tych godzinach. Wczoraj nie widziałam się z ojcem, był normalny dzień roboczy, oboje jesteśmy zajętymi ludźmi.

– Co się stało z pani matką? – zapytała niespodziewanie Estíbaliz.

Czasem tak robiła, zadawała znienacka jakieś pytanie, żeby wybić przesłuchiwanego z rytmu, zaskoczyć i zaobserwować reakcję.

Ja się tylko przyglądałem.

– Wypadek samochodowy. Prowadził Carlos.

– Carlos?

– Nasz szofer, pracował dla nas przez całe życie, traktowaliśmy go jak wujka. Naprawdę był z nami przez całe dekady. Oboje umarli po kilku dniach na oddziale intensywnej terapii. Uderzenie było bardzo silne, nie mieli szans.

Rozejrzałem się wokół. To był niewątpliwie najbardziej luksusowy dom, jaki odwiedziłem w Vitorii.

– Pani ojciec cierpiał na zespół Marfana, prawda? – zapytałem.

– Tak. Nie podaliśmy tego do powszechnej wiadomości, ale rodzina wiedziała o tym i rozmawialiśmy swobodnie o chorobie. Ale kardiolog ma... miał – poprawiła się – wszystko pod kontrolą. W jego wieku istniało niebezpieczeństwo, że pęknie mu aorta, miała bardzo cienkie ścianki.

– Dobrze, Irene, dziękujemy, nie będziemy pani dłużej niepokoić. Niech pani nam przyśle listę przyjaciół, a sekretarz kopię pani kalendarza z wczorajszymi spotkaniami. Przykro nam, że poznaliśmy panią w tak smutnych okolicznościach.

– Odprowadzę was do wyjścia.

Szliśmy z Estíbaliz do samochodu, ale po drodze usiedliśmy na ławce. Oboje byliśmy zamyśleni, potrzebowaliśmy chwili, zanim zaczęliśmy dzielić się wrażeniami z wizyty.

– Czy myślisz, że to była ona? Że spieszyło się jej, żeby odziedziczyć firmę? – zapytała w końcu Esti.

– To nie ona. Nie udaje żałoby. Miała na szyi męski szalik, który należał do ojca, pewnie znalazła go w jego sypialni. Pachnie jego wodą kolońską, wczoraj czułem ten sam zapach, kiedy zbliżyłem się, żeby obejrzeć jego źrenice. To, co właśnie robiła: grabienie ogrodu ojca, jest czynnością czysto sentymentalną. Nikt tego nie zauważy, jutro spadną nowe liście, a jednak zrobiła to dla niego.

– Albo jest urodzoną manipulatką, jak twierdzi jej najstarszy brat.

– Trudno to ocenić po jednym spotkaniu, ale owszem, możliwe, że nami manipulowała. A jednak to nie ona. Ani nikt z rodzeństwa. I Antón Lasaga nie zażył kantarydyny z własnej woli. Natomiast dzieci nie są jego: ojcem jest Carlos, szofer. Ale ten mężczyzna kochał żonę.

- Słucham?!
- Od czego mam zacząć?
- Na przykład od tego, że nie był ojcem swoich dzieci. To byłby niezły początek – odparła Estíbaliz.
- Pięcioro dzieci, ojciec z zespołem Marfana. Przyjrzałaś się zdjęciom? Wszyscy pięcioro są normalnego wzrostu, żadne nie ma długich kończyn. Każde z dzieci miało pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa odziedziczenia choroby ojca. Żadne jej nie dostało w spadku. Statystycznie to się nie zgadza.
- Co sugerujesz?
- Że, jak by powiedział mój dziadek, wychował miot nie swoich szczeniąt.
- Ale twierdzisz, że żadne z jego dzieci nie otruło ojca.
- Tak. Bo wszystkie wiedziały, że ma słabe serce, a kantarydyna rozszerza naczynia krwionośne. Ten, kto otruł przemysłowca, użył dwóch gramów, czyli dawki uważanej za śmiertelną. To wskazuje niezbicie, że ktoś chciał go zabić. Dziecko, włącznie z Irene, użyłoby mniejszej dawki, żebyśmy pomyśleli, że Lasaga używał kantarydyny jako afrodyzjaku. Ale morderca nie wiedział o chorobie. Wykluczone też, żeby środek zażył sam denat. Skoro dbał o serce, raczej nie bawiłby się w afrodyzjaki, a już na pewno nie przyjąłby śmiertelnej dawki. Poza tym to kiepska forma samobójstwa. Śmierć jest brudna, bolesna, nieprzyjemna, gdyby chciał umrzeć, raczej nie wychodziłby tego dnia z domu. Dyskretny człowiek nie narażałby rodziny na taki skandal. Podejrzewam, że zabójcą jest osoba z jego najbliższego otoczenia. I mamy dwie możliwości: albo wybrała ofiarę przypadkiem, albo z rozmysłem. Kiedy zobaczyłem ten dom, myślałem o jednym z grzechów głównych: o chciwości. Pożądamy tego, co mamy przed oczami. Ale teraz nie jestem już tego taki pewien. Boję się, Esti, bardzo się boję, że zabójca wybrał przypadkową ofiarę.
- Bo jeśli tak było, nie znajdziemy powiązania zabójcy z ofiarą – zakończyła, jakby czytając mi w myślach.
- Po tylu latach pracy razem miałem czasem wrażenie, że nasze mózgi są jednością.

Zapadła noc. Usiadłem w fotelu przy oknie, z którego rozciągał się widok na plac Virgen Blanca, serce miasta. Wcześniej Deba zasnęła mi na kolanach i położyłem ją do łóżka. Alba odpoczywała na kanapie, ja czytałem podarowany mi przez nią egzemplarz *Władców czasu*.

Wymiana prezentów, wymiana dedykacji.

Oboje uwielbialiśmy czytać. Mieliśmy taki zwyczaj: jeśli jakaś powieść podobała się nam obojgu, dawaliśmy sobie wzajemnie egzemplarz z dedykacją. Prześcigaliśmy się, kto napisze oryginalniejszą, bardziej czułą.

Ona napisała mi na pierwszej stronie fragment wiersza Mai Angelou, który jej matka recytowała przez lata na scenie: „I mimo wszystko powstanę”. Ja na zakupionym dla niej egzemplarzu zacytowałem wiersz Joana Margarita *Rana to miejsce, w którym też można zamieszkać*.

– Jesteś jakiś zamyślony, Unai. Nie wiem, czy powiedzieć, że bardzo ci z tym do twarzy, czy że się o ciebie martwię.

– Mogę pomyśleć przy tobie głośno? Dziś w nocy nawet ty nie zdołasz rozwiać chmur nad moją głową.

– Dawaj. Nad czym się zastanawiasz?

– Nad pytaniami z pierwszego roku profilowania kryminalnego. Dlaczego w ten sposób? Dlaczego w tym miejscu? Dlaczego teraz? Dlaczego kantarydyna? Dlaczego w Villa Suso? Dlaczego na prezentacji książki, której akcja ma wiele wspólnego z jego śmiercią: miejsce, zawód i sposób zabójstwa?

– I co wymyśliłeś?

– Że wszechświat jest leniwy.

– Leniwy – powtórzyła, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Tak, leniwy. Nie wysiła się, żeby mnożyć koincydencje, dlatego statystycznie zdarzają się rzadko. To zatem nie przypadek, że zabito bogatego człowieka z branży tekstylnej, w dodatku według tego samego modus operandi, co w powieści, na której prezentacji dochodzi do zabójstwa. Sprawca chciał wysłać komunikat i my mamy go odczytać: „To zabójstwo ma związek z powieścią. Szukajcie według tego klucza”. I to właśnie zamierzam zrobić.

Spojrzałem na nią, z niekłamany zachwytem zresztą, i powiedziałem sentencjonalnym tonem:

– Nadszedł czas, żeby porozmawiał z wydawcą.

## PAŁAC ÁLAVA-ESQUIVEL

## UNAI

*Wrzesień 2019*

Tego dnia poznałem jedną z najbardziej wyjątkowych osób w swojej karierze profilerka. Ale kiedy z Estíbaliz i Milán zbliżaliśmy się do pałacu Álava-Esquivel, nie mieliśmy pojęcia, jakie niespodzianki nas czekają.

Pałac bronił się jak umiał przed zgubnym upływem czasu, ale niedawno trzeba było zamontować na nim siatkę zapobiegającą odpadaniu fragmentów elewacji. Dekadencki budynek z białego kamienia wznosił się dumnie na skrzyżowaniu Cantón de San Roque i ulicy Herrería. Otaczał go ogród z nieco surrealistyczną palmą i był chyba ostatnią zamieszkaną rezydencją pałacową w mieście. Lokatorzy, którzy wynajmowali tu niezbyt drogie mieszkania, dzielnie znosili wilgoć i odpadanie stiuku ze ścian. Zadzwoiłem przez domofon. Do budynku prowadziły piękne drzwi zwieńczone półkolistym łukiem. Odpowiedział mi niski głos:

– Kto tam?

– Prudencio, to ja, inspektor López de Ayala. Może mi pan otworzyć?

Odpowiedział po kilku sekundach:

– Jasne, inspektorze. Otwieram.

Przeszliśmy obok trycyklu w jaskrawych kolorach i ruszyliśmy na górę schodami o obtłuczonych stopniach. Ten budynek się sypał, przypominał jakąś hawańską kamienicę.

– Znalazłaś jakiś ślad po zakupach kantarydyny w internecie? – zapytałem Milán, kiedy szliśmy na górę.



– Ani jednego – odpowiedziała z uśmiechem, który wskazywał raczej na to, że jest ze swoich poszukiwań zadowolona. – Jest wiele produktów, które sprzedaje się jako hiszpańską muchę, ale to faktycznie L-arginina z witaminą C. Wszystko fałszywki. Nikt nie handluje prawdziwą hiszpańską muchą. Po co, skoro istnieje tysiąc imitacji viagry w rozmaitych cenach? Nie trafiłam ani na ofertę, ani na zapotrzebowanie. Nie sądzę, żeby dało się ją kupić w internecie.

– W takim razie?

– Zdobyto ją inaczej. Zrobiono z chrząszczy. Ktoś zmiażdżył pancerzyki i otrzymał dwa gramy czystej kantarydyny.

– Znalazłaś kogoś, kto kupił owady? – zapytała Estíbaliz.

– Znów nie to. Znalazłam coś o wiele lepszego.

– To znaczy? – Estíbaliz nie ustępowała.

– Pod koniec sierpnia Muzeum Nauk Przyrodniczych zgłosiło kradzież. Przesyłka dwustu chrząszczy mających wzbogacić zasoby, zgodnie z inwentarzem. Przypomniałam sobie o tej sprawie i pomyślałam: może wśród tych chrząszczy były oleicowate? Jeśli chcecie, złożymy tam wizytę, kiedy już skończymy rozmawiać z wydawcą.

– Dobrze, tak zrobimy.

Kątem oka obserwowałam Estíbaliz. Moja partnerka postawiła kołnierz wojskowej kurtki. Sprawiała wrażenie nieobecnej. Żeby dotrzeć do mieszczącego się w Wieży Doñi Ochandy muzeum przyrodniczego, trzeba było przejść obok sklepu ezoterycznego, który prowadził kiedyś Eneko alias Eguzkilore, czyli brat Esti. Od dawna nie było go wśród żywych, ale czy Estíbaliz zdążyła już przeboleć stratę? Czy żałoba po bracie, nawet jeśli był dilerem i palantem, w ogóle się kiedyś kończy?

– Czym się martwisz, Esti? – zapytałam.

– Że dochodzenie w sprawie śmierci przedsiębiorcy odciąga nas od poszukiwania zaginionych sióstr – odparła, nie patrząc na mnie.

– A jeśli one wcale nie zaginęły? – zapytałam.

– Co masz na myśli?

– Że starsza, Estefanía, kłóciła się często z młodszą siostrą. Może doszło do bójki, młodszą uderzyła się nieszczęśliwie, starsza ukryła gdzieś ciało, a sama uciekła. Nie mówię o podwójnym porwaniu, bo nikt nie zgłosił się po okup. Nie mówię o społecznym drapieży. Może to po prostu historia tak stara, jak ta o Kainie i Ablu?

– Słabą masz wiarę w ludzi, skoro sądzisz, że siostra zabiła siostrę... Nie chcę nawet o tym myśleć – powiedziała i spojrzała przez owalne okienka budynku.

– Pracuję w Wydziale Kryminalnym, a ty mi mówisz o wierze w rodzaj ludzki? – Puściłem do niej oko, starając się rozładować napięcie. – Ale jeśli nie mam racji, to co je spotkało, Esti? Co mogło je spotkać?

– Siedemnastolatka nie ucieka z domu z dwunastoletnią siostrą, nie może sobie pozwolić na taki balast – odparła. – Estefanía nie jest nawet pełnoletnia. I są ślady krwi Oihany, coś musiało się wydarzyć.

– Od dwóch tygodni się nad tym zastanawiamy i nic nie znaleźliśmy. Musimy robić to, co zawsze, nieważne, jak trudne okaże się śledztwo. Posuwajmy się naprzód tak szybko, jak się da. I... jesteśmy na miejscu. – Zatrzymaliśmy się przed drzwiami na trzecim piętrze, po lewej stronie korytarza.

– Dzień dobry, Prudencio – przywitałem się z właścicielem mieszkania.

– Pruden, wolę, jak mówią na mnie Pruden. Ale nie stójcie tak na klatce schodowej, zapraszam do środka.

Przeszliśmy przez próg wydawnictwa Malatrama. W mieszkaniu nie było ścian wewnętrznych, wysoki, sklepiony sufit o belkach z pomalowanego na biało drewna podtrzymywało wiele cienkich kolumn. Ściany boczne ozdobiono plakatami przedstawiającymi straszne boginie i pejzaże science fiction, które zapowiadały rychłą apokalipsę. Od patrzenia na nie człowiekowi kręciło się w głowie i czuł się maleńki. Nie tylko mnie przytłoczył ten wystrój.

– Naprawdę potrafi pan się skoncentrować przy tych obrazach tak...? – zaczęła Milán, ale nie umiała znaleźć właściwego słowa.

– Przejmujących, dramatycznych, przerażających?

– Właśnie.

– To ilustracje z najlepiej sprzedających się tytułów. Przynajmniej do tej pory – powiedział wydawca i chociaż dzień nie był zbyt gorący, wytarł sobie twarz chusteczką, która wydawała się w jego ręce mikroskopijna. W drugiej trzymał dużą metalową konewkę.

Pruden chodził boso, drewniana podłoga musiała być ciepła. Ubrany był w białe lniane spodnie i białą marynarkę, która opinała mu wielki brzuch. Miał siwe włosy i kręconą brodę, wyglądał z nią jak druid, który w każdej chwili pożarłby z chęcią pieczonego dzika.

– Właśnie podlewałem kwiaty. Wydawało mi się, że był pan z rodziną na promocji książki w Villa Suso, prawda?

Zaprowadził nas na balkon wychodzący na wąskie patio. Wychyliłem się i zajrzałem ostrożnie w głąb tej studni. Zobaczyłem wypielęgowane pelargonie, koty wylegające się w ocienionym kącie, wilgotne jeszcze pranie rozwieszzone pod wysłużonym daszkiem, usłyszałem brzęk naczyń kuchennych, poranne debaty telewizyjne, miałem wrażenie, że zajrzałem pod spódnicę życia sąsiedzkiemu najstarszej części Vitorii.

Pachniało ziemniakami z chorizo, które przyrządzała pewnie jakaś babcia, a Estíbaliz zawstydziała się, bo zaburczało jej w brzuchu.

– Lubię myśleć, że pracuję w miejscu, w którym tętniło życie tysięcy lat temu, jeszcze przed wybudowaniem tego pałacu w piętnastym wieku. I pan też – zaśmiał się dźwięcznie i wskazał na mnie palcem – pan nosi nazwisko López de Ayala, co za zbieg okoliczności, że mieszka pan u wylotu ulicy Correría.

Zakląłem w duchu. Czy już wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkam? Nie było sposobu, żeby odzyskać anonimowość w mieście, które uczestniczyło w manifestacji przed moim domem i zapalało znicze przed wejściem po podwójnej zbrodni w dolmenie.

– Pańscy przodkowie – ciągnął – podczas walk o wpływy w czternastym wieku kontrolowali tu kilka strategicznych miejsc. Ród Ayalów spotykał się zwykle na schodach kościoła Świętego Michała. Callejowie w zaułku Portal Oscuro, niedaleko stąd, na końcu uliczki Anorbín, która kiedyś nazywała się Angevín, i tę właśnie nazwę znajdujemy w średniowiecznych dokumentach. Ayalowie bronili interesów pierwszych obywateli miasta.

Ciekawy zbieg okoliczności. Czy mieszkanie przy placu Virgen Blanca jest pańską własnością?

– Ależ skąd, po prostu trafiła mi się świetna okazja, kiedy szukałem czegoś do wynajęcia.

– Ciekawe, bardzo ciekawe. Że potomek Ayalów po tylu wiekach jest strażnikiem tego miasta.

Spodobało mi się, że tak o mnie powiedział, ale natychmiast przypomniałem sobie o dwóch zaginionych dziewczynkach i zamordowanym ojcu pięciorga dzieci, choćby nawet nie był ich biologicznym ojcem, i moja duma ulotniła się w mgnieniu oka.

– Proponuję, żebyśmy skupili się na temacie – zasugerowałem. – Odpowiadając na pańskie pytanie: tak, byłem na promocji powieści. Jak każdy, chciałem dostać autograf. Ale okazało się to niemożliwe. Jest pan wydawcą bardzo nieuchwytnego pisarza.

– Powiedziałbym raczej: dyskretnego.

– Bez owijania w bawełnę: wie pan, kim on jest?

– Niestety nie mam pojęcia.

– Ale ma pan jakieś podejrzenia? – zapytała Estíbaliz.

– Usiądźmy. Nie zaproponowałem wam nic do picia.

– Proszę się tym nie przejmować, mamy tysiąc spraw do załatwienia, będziemy się streszczać. Wszczęliśmy dochodzenie w sprawie śmierci przedsiębiorcy znalezionej w toaletach Villa Suso.

Wydawca zrobił wielkie oczy.

– A więc to prawda, że nie zmarł z przyczyn naturalnych. Oczywiście zdziwiłem się, że zamknęliście budynek i przesłuchaliście wszystkich obecnych, chociaż agenci zapewniali nas, że to rutynowe czynności.

– Na tak wczesnym etapie śledztwa nie możemy jeszcze odpowiedzieć na pańskie pytanie. Badamy obecnie kilka wątków. Proszę nie wpadać w panikę, ale musimy ustalić, czy spotkanie promocyjne i śmierć przedsiębiorcy są ze sobą jakoś powiązane. Dlatego tak ważna jest dla nas tożsamość wielkiego nieobecnego, czyli naszego pisarza.

– Pisarza widma – mruknęła Estíbaliz.

– Nie będę was okłamywał, owszem, mam swoje podejrzenia – powiedział i odwrócił się plecami, spoglądając na obrazki na ścianach. – Wiem, o co mnie zapytacie: czy go nie widziałem, nie umówiliśmy się na podpisanie umowy, nie spotkałem się z nim?

– Tak, to prawda, te pytania przysły nam do głowy – przyznałem.

– Skontaktował się ze mną przez e-mail, zawsze posługuje się pseudonimem Diego Veilaz. Nie publikujemy zwykle beletrystyki, jesteśmy małym wydawnictwem wyspecjalizowanym w komiksach, drukujemy katalogi wystaw finansowane najczęściej przez muzea. Ale kiedy przysłał mi tekst... Nie mogłem go odrzucić. To było czyste złoto, chociaż w naszej branży zawsze istnieje ryzyko, nigdy nie wiemy, jak zareaguje rynek. Mam sieć dystrybucji w małych księgarniach i kilku większych, kontakty w drukarniach, magazyn, jednym słowem, całą niezbędną infrastrukturę. Ze znalezieniem grafika do zaprojektowania okładki nie miałem problemu, współpracuję z nimi na co dzień. Wszystko odbyło się za pośrednictwem poczty elektronicznej. Oczywiście nalegałem, żebyśmy się spotkali osobiście. Lubię znać swoich autorów, zwykle kontaktuję się z nimi, często podejmujemy wspólnie wiele decyzji. Ale nie udało mi się namówić go na spotkanie, a nie chciałem przepuścić takiej okazji.

– Wspomniał pan, że ma pan swoje podejrzenia – próbowałem go wy badać.

– Tak jest. Zrozumiecie to lepiej, kiedy wam coś pokażę. – Podeszedł do swojego komputera. – Mam dwa adresy e-mail. Jeden z nich to ten, który znajdziecie na stronie wydawnictwa. I właśnie na ten adres piszą rysownicy czy instytucje, które chcą ze mną współpracować. Podałem go do publicznej wiadomości, nawet sobie nie wyobrażacie, ile listów dostaję. Drugi to mój adres osobisty, udostępniam go tylko autorom, którzy ze mną pracują.

– Ilu ma pan autorów?

– Niewielu. Dwudziestu ośmiu.

– I powie nam pan pewnie, że nieznany autor *Władców czasu* skontaktował się z panem, pisząc na prywatny adres, co wzbudziło pańskie podejrzenia – domyśliłem się.

Spojrzał na mnie zdziwiony i podrapał się po brodzie.

– Naprawdę jest pan szybki. Tak, to właśnie chciałem wam pokazać. Diego Veilaz musiał kiedyś już u mnie coś publikować albo dostał adres od kogoś mi znajomego. Tyle że świat rysowników komiksów jest bardzo mały i wszyscy ze sobą rywalizują. I tak trudno im znaleźć wydawcę, który zwróci na nich uwagę, nie sędzę zatem, żeby z dobrego serca dzielili się kontaktami ze znajomymi. Poza tym wątpię, żeby ktokolwiek dał mój adres e-mail bez mojej zgody ani nie mówiąc, w jakiej sprawie skontaktuje się znajomy.

– Mamy więc dwudziestu ośmiu autorów komiksów, wśród których znajduje się nasz nieuchwytny powieściopisarz – powiedziała Milán z błyskiem w oku. – Czy pozwoli mi pan zajrzeć do swoich kontaktów?

– Oczywiście. Nie będę przeszkadzał policji w prowadzeniu dochodzenia w sprawie czyjejś śmierci. Proszę jednak pamiętać, że to osobiste i poufne dane.

– Pewnie, to wszystko zostanie między nami. Ale skoro pan kogoś podejrzewa...

– Pogrzebię chwilę w pańskim komputerze. – Milán zasiadła na przypominającym tron fotelu wydawcy. – Potem przywrócę wszystko do poprzedniego stanu, ale chcę zobaczyć, skąd wysyłano wiadomości. Może mi pan odszukać korespondencję z autorem?

– Jasne – odparł i wpisał jako filtr „Diego Veilaz”.

Obserwowaliśmy uważnie Milán stukającą w klawisze. Kilka minut później stała się światłość. Naszym oczom ukazała się mapa Álavy z zaznaczonym na niej punktem w dolinie Valdegovía.

– Ciekawe... – mruknął wydawca.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo to jeden z moich typów.

– Byłam tam kilka miesięcy temu, oglądałam wystawę – szepnęła Estíbaliz bardzo blisko mojego ucha.

Potem odeszła od nas i zaczęła szukać czegoś w swoim telefonie.

– GPS pokazuje wieżę Nograro. To ten adres w Valdegovíi, prawda?

Milán pokiwała głową.

– W jednej z sal wieży wystawiony był habit noszony przez dominikanki z klasztoru Nuestra Señora del Cabello. Spójrz, Kraken. – Pokazała mi manekin.

Taki sam habit miała na sobie kobieta, którą ścigałem po dachach kościoła Świętego Michała.

– Pruden – zapytałem – czy zatrudniał pan aktorów, żeby odegrali coś podczas prezentacji książki?

– Aktorów? Nie rozumiem, zapewniam pana, że archeolog, który mi towarzyszył, naprawdę pracował przy wykopaliskach Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny.

– Nie miałem na myśli archeologa. Chodzi mi o zakonnice z klasztoru Dominikanek.

– Nie, nie wpadłem na taki pomysł. Powieść sprzedaje się sama, nawet się nad tym nie zastanawiałem. – Westchnął i otarł pot ciekący mu z czoła.

Ślepy zaułek, pomyślałem. Trzeba będzie szukać zakonnicy na dachach, bo tu nie ma po niej śladu.

– Więc wracamy do pańskich przypuszczeń. Powiedział pan, że miejsce, z którego wysłano wiadomość, potwierdza jeden z pańskich typów.

– Tak. Miałem na myśli Ramira Alvara Nograro, właściciela wieży Nograro – powiedział uroczystym głosem, jakbyśmy powinni znać to nazwisko.

– Kto to taki? – zainteresowała się Estíbaliz.

– Ramiro Alvar jest dwudziestym piątym panem na wieży Nograro – wyjaśnił. – Młody człowiek, mniej więcej czterdziestoletni. Erudyta, zwłaszcza jak na swój wiek. Bardzo nieśmiały, wychowywany jak dziewiętnastowieczny dziedzic. Ma encyklopedyczną wiedzę na temat przeszłości swojej rodziny. Uczony, który odizolował się od świata. Urodził się, wychował i umrze w swojej wieży, z której nigdy nie wytknął nosa. Jego rodzina od średniowiecza ma włości w dolinie Valdegovía. Wszyscy pierwородni synowie w tej rodzinie noszą imię Alvar. A ich bracia mają tak na drugie imię, na wypadek gdyby pierwородny umarł bezpotomnie. Tak jest od prawie tysiąca lat. I to chyba jedyny w naszej prowincji majątek zarządzany tak dobrze przez milenium. Nadal wynajmują budynki

i dzierżawią tereny wokół wieży. Dawniej mieli kuźnię, młyn i kościół, jak każda można rodzina posiadaczy ziemskich: Mendozowie, Avendañowie, Guevarowie... Kiedyś opowiadał mi, nie bez zażenowania, że według jego szacunków rodzina jest tak bogata, że jej potomkowie nie będą musieli pracować przez najbliższe pięćset lat. Chociaż wątpię, żeby doczekał się potomstwa, mimo że jest tak dobrze wykształcony i kulturalny. Nie opuszcza wieży; kiedy z nim pracowałem, to ja musiałem go odwiedzać.

– Nad czym pracowaliście razem? – zapytała Estíbaliz.

– Nad katalogiem wystawy o dolinie Valdegovía, którą jakiś czas temu organizował Urząd Gminy Ugarte. Ramiro Alvar chciał ją zrobić, żeby przyciągnąć turystów w okolicę, zawsze był dyskretnym mecenasem sztuki.

– Może to ta wystawa, na której byłam? – zastanawiała się Estíbaliz. – Ma pan ten katalog?

Wydawca przytaknął i zaczął szukać go na półkach.

– I uważa pan, że Ramiro Alvar jest autorem *Władców czasu*?

– Szczerze mówiąc, myślałem o kilku możliwych kandydatach i kandydatkach, ale zawsze podejrzewałem, że to może być on.

– Mówił pan, że jest chorobliwie nieśmiały.

– To mól książkowy. Jest lękliwy, nieprzyzwyczajony do kontaktów międzyludzkich, rozmawia właściwie tylko z przewodniczką zatrudnioną przez urząd gminy do obsługi zwiedzających, którzy chcą zobaczyć wieżę. Ale jest bardzo szanowany wśród sąsiadów. Wójt i radni mówią, że łatwo się z nim współpracuje, często przyjmuje swoich adwokatów albo kogoś z okolicy, kto ma problemy i chce zasięgnąć rady. Nie ma nawet komórki, mówi, że jej nie potrzebuje. Ma natomiast w swoim gabinecie telefon stacjonarny i odnoszę wrażenie, że rzadko z tego gabinetu wychodzi. Mieszka na dwóch ostatnich piętrach wieży. Najniższe piętro można zwiedzać, znajduje się tam wystawa różnych przedmiotów, które należały do jego rodziny: relikwiarzy, mundurów wojskowych, arkebuzów, siodeł, starych ksiąg... W drzewie genealogicznym znajdziemy przedstawicieli najróżniejszych profesji: żołnierzy, księży, uczonych mężów, a nawet burmistrzów, bardzo podobne twarze powtarzające się na grafikach, czarno-białych fotografiach, dagerotypach, najpierw w sepii, potem w kolorze.



– Może dlatego nie chce medialnego rozgłosu ani nie udziela wywiadów – zauważyła Estíbaliz.

– Wielu autorów tak robi, przyznaję. Pisanie to jedno. Ale potem nie każdy czuje się na siłach, żeby rozmawiać z prasą, występować publicznie, to tak różne aktywności, że jednej osobie często trudno je pogodzić.

– A co może pan powiedzieć o umowie, którą zawarliście? Kto ją podpisał?

– Diego Veilaz spółka z o.o. Podał numer konta należący do bardzo popularnej organizacji pozarządowej. Chcę przez to powiedzieć, że nie interesowały go pieniądze, które mógł zarobić na książce, chociaż nie spodziewaliśmy się aż takiego sukcesu.

– Czyli pieniądze go nie interesują... – powtórzyła Esti, zatopiona we własnych myślach.

Albo nie interesują go te pieniądze, pomyślałem. Jeśli to Ramiro Alvar, może nie połasił się na niepewne tantiemy.

Zadzwoił Peña, więc odszedłem na chwilę od biurka wydawcy.

– Kraken, dostaliśmy zawiadomienie z budowy na starym mieście. Jesteś w okolicy?

– Tak, o co chodzi?

– Jeszcze nie wiemy. Ktoś zgłosił, że z remontowanego mieszkania wydobywa się fetor, pomiędzy ulicami Cuchillería i Santa María. Co dziwne, mieszkanie jest zupełnie puste, tylko podłoga i ściany. Tak czy siak, warto by tam podjechać.

– No tak, martwy kot w rynnach. – Uśmiechnąłbym się, ale było to jedno z tych typowych zgłoszeń, na które musieliśmy odpowiadać kilka razy w roku.

Potem przekazywaliśmy sprawę strażakom, a czasem strażacy przekazywali ją nam. Gorący kartofel przechodził z rąk do rąk, w zależności od tego, po którą ze służb zadzwonił najpierw sąsiad o najbardziej wyczulonym węchu.

– Pojedziesz czy nie?

– Jadę z Esti do Valdegoví, wrócimy za dwie godziny. Jesteśmy z Milán.

Spojrzałem na nią. Nerwowo poruszyła się na krześle. Odkąd zerwała z Peñą, starali się, żeby napięcie między nimi nie przeszkadzało w pracy. Nie lubiłem posyłać ich do wspólnych zadań, ale nieśmiały Ramiro Alvar Nograro wzbudzał moją ciekawość. Interesujący typ, którego warto poznać, wszystko jedno, czy jest autorem powieści, czy nie.

– Milán złapie cię na ulicy Santa María.

– Milán? Jasne, szefie. Powiedz jej, że widzimy się za dziesięć minut.

I westchnął zrezygnowany.

Estíbaliz usiadła za kierownicą i ruszyliśmy do doliny Valdegovía. Ja siedziałem obok na przednim siedzeniu, przyglądając się złotym koronom buków. Tymczasem góry napierały coraz bardziej na drogę, która zwężała się niczym długa nora.

Od dawna nie byłem w Villaverde, zbyt wiele miałem pracy przy dwóch pilnych dochodzeniach. Brakowało mi oddechu, który dawało spacerowanie po górach, deptanie zabłoconych liści, kiedy włóczyłem się pomiędzy dębami i bukszpanami.

Przejechaliśmy przez piękną miejscowość Ugarte, która zachowała charakter średniowiecznej osady. Na parapetach skrzynki z kwiatami w kolorze fuksji. Siedemset metrów za wyjazdem z Ugarte skręciliśmy w wąską drogę prowadzącą do wieży Nograro.

Wieża miała kształt prostokąta, na rogach rozmieszczono machikuły i merlony. Niewiele okien wychodzących na cztery strony świata, niewysoki mur skrywający fosę. Nad drzwiami wejściowymi piętrzył się ostry łuk, nad nim znajdowało się małe okienko.

– Więc byłaś tu już kiedyś – powiedziałem, kiedy Estíbaliz parkowała.

– Tak, ale zwiedzałam wystawę bez przewodnika, nie miałam pojęcia, że stary pan wieży wciąż w niej mieszka.

– Z tego, co mówił wydawca, wnoszę, że to wieża ma tysiąc lat, a nie jej pan – zauważyłem i wysiedliśmy z samochodu.

Przeszliśmy przez niewielki most i stanęliśmy w sieni. Czułem, jakbym odbył właśnie podróż wehikułem czasu. U stóp zobaczyliśmy wielką różę wiatrów wyciętą z okrągłych kamieni. Nad naszymi głowami wisiała rzymska waga z datą 1777, a na posadzce leżało wiele nadgryzionych zębem czasu rzeźb. Jak w średniowieczu. Prawdziwy cud!

Młoda dziewczyna, bardzo wysoka, z włosami splecionymi w długi warkocz przerzucony przez ramię, przywitała nas zza znajdującego się w przedsionku kontuaru. Domyśliśmy się, że to przewodniczka zatrudniona przez urząd gminy do oprowadzania gości.

– Dzień dobry – zacząłem. – Przyszliśmy...

– Dzwonili państwo? Na dziś nie miałam umówionych wizyt – przerwała mi słodkim głosem.

– Wydział Kryminalny. – Esti pokazała blachę. Jak zwykle niecierpliwa, postanowiła się nie patyczkować. – Czy możemy się zobaczyć z właścicielem wieży?

– Oczywiście, zaraz go uprzedzę – powiedziała i nacisnęła guzik domofonu na nieskazitelnym drewnianym blacie.

Przyjrzałem się jej stanowisku pracy. Archaiczny komputer, witryna z katalogami eksponatów i niewiele więcej. Wyobraziłem sobie długie godziny nudy wśród tych zapomnianych przez świat pól obsianych zbożem.

– Ramiro Alvarze, masz gości – powiedziała obojętnym tonem.

– Nie ma mnie w domu – odrzekł.

– Chyba musisz ich przyjąć – upierała się.

– Jestem inspektor López de Ayala z Wydzia... – wtrąciłem.

– López de Ayala? Więc ktoś jeszcze nosi to nazwisko? Proszę wejść na górę. Przyjmę pana – przerwał mi głos. Głos młodego mężczyzny tak zdecydowany, że aż mu go pozazdrościłem.

– Wejdźcie na trzecie piętro, jest w gabinecie w sali pejzażowej – powiedziała przewodniczka.

– Ach, więc pan hrabia ma wiele gabinetów – burknęła Esti z mieszaniną zainteresowania i sarkazmu.

Ludzie bardzo bogaci ją irytowali i niespecjalnie potrafiła to ukryć. Wychowała się w rodzinie żyjącej poniżej granicy ubóstwa, w starej chacie pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Przewodniczka zignorowała kąśliwą uwagę, otworzyła nam drzwi prowadzące na drewniane schody. Dotarliśmy na trzecie piętro. Na ścianie wisiał kobierzec przedstawiający sforę psów ścigającą upragnioną zdobycz.

Wszedł do sali chyba tylko po to, żeby zobaczyć nasze zdumione miny.

Kroczył powoli, pewnym krokiem, wśród portretów swoich przodków, z rękami splecionymi na plecach. Na jego ustach malował się złośliwy uśmiezek. Przypominał mi psotne dziecko, które chce pokazać nam swoje zabawki, domek na drzewie i namiot rozbity w ogrodzie.

Ramiro Alvar Nograro miał na sobie sutannę i purpurowy, bogato haftowany ornat. Był najprzystojniejszym księdzem – a może biskupem – jakiego widzieliśmy w życiu. W innych czasach dałbym wszystko, żeby Esti spojrzała na mnie tak, jak patrzyła teraz na niego.

Kiedy ona zaczęła wychodzić wieczorami i spotykaliśmy się w barach na starówce. Kiedy przechodziła swój punkowy okres, a mnie imponowała jej wolność i to, jak wszystko koncertowo olewała. Czasem chodziłem do barów, które lubiła, żeby spotkać tego maleńkiego rudzielca. Pewnego razu wypiliśmy za dużo kalimotxo i urznąłem się na smutno. Rozpłakałem się i zaczęła mnie pocieszać jej przyjaciółka Paula. Umówiliśmy się na kawę w Caruso, po niej na następną i następną, a potem śmierć jednym ostrym cięciem swojej kosy zakończyła naszą miłość na szosie z sosnami na poboczach.

Szybko wróciłem do terażniejszości i skupiłem się na intrygującym mieszkańcu wieży.

Ramiro Alvar miał niebieskie oczy, niezwykle inteligentne spojrzenie, jasne włosy kokieteryjnie zaczesane do tyłu i utrwalone brylantyną, wysokie czoło i brwi, spod których spoglądał na nas niczym z nieistniejącej katedry, jakbyśmy byli przy nim całkiem maleńcy.

– A może dobre dusze zechcą zjeść ze mną obiad? – zapytał. – Proponuję kogucie grzebienie, mój przysmak.

Zamierzałem uprzejmie odrzucić zaproszenie, kiedy rozdzwoniła się moja komórka.

– Unai, mama miała wypadek. Pędzę do szpitala.

## CAUCE DE LOS MOLINOS

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Przysięgam, nie chciałem, żeby do tego doszło. A teraz myślę, że to, co się wydarzyło owego mroźnego poranka, zapoczątkowało całe pasmo nieszczęść i śmierci, które zesłało na nas niebo.

Spotkałem ją, jak spacerowała boso po niebieskawym śniegu. Onneca szła, jakby zimno wcale nie lizało jej stóp. Nie miała nawet szronu na piętach.

Miała imponującą sylwetkę: szerokie ramiona, płaskie piersi. Skupiona na tym, co zamierzała zrobić, niosła na ramionach łyżwy. Wokół rozlegało się wycie wilków, białe zimowe ptaki szukały zdobyczy, gałęzie dębów ugięły się pod ciężarem śniegu.

Drużyna zbrojnych mogłaby napaść na stary młyn, a Onneca nawet by jej nie zauważyła. I nie przestraszyłaby się. Taka właśnie była Onneca.

Nie widziała, że ja też zmierzam w kierunku Cauce de los Molinos. To był mój ulubiony zakątek, spokojne miejsce na wschód od murów. W górze błękitne niebo, gładkie jak tafla spokojnego morza, w dole pola pokryte dziewiczym skrzącym śniegiem.

Gęsty dębowy zagajnik zapewniał mi schronienie. Zbliżyłem się do porośniętych bluszczem ruin młyna, który kiedyś był ważny, ale stracił na znaczeniu, odkąd zaczęto używać szlaku wiodącego do Portal de Arriaga. Sztuczny kanał, przekopany, żeby dostarczyć wodę pod koło młyńskie, był dziś zaledwie wąskim strumyczkiem, z koła zwisały długie sople, a cały młyn wyglądał jak płacząca zgarbiona staruszka, której łzy zamarzły.

Usiadłem na powalonym pniu i spojrzałem na zlodowaciałą rzekę. Onneca jechała na łyżwach zapatrzona w jakiś punkt na horyzoncie, który widziała tylko ona.

Wkrótce mnie zauważyła. Przestraszyła się w pierwszej chwili, gdyż nie od razu mnie poznała. Schyliła się, zdjęła łyżwy i buty i podeszła do mnie boso, twardy śnieg skrzypiał pod jej stopami.

– A wasze trzewiki?

– Zostały na brzegu – powiedziała obojętnym tonem.

– Bardzo mi przykro z powodu ojca.

Uważnie obserwowałem jej reakcję. Jak miałem się teraz zwracać do swojej świeżo upieczonej bratowej?

– Wracałam tu co tydzień przez te dwa lata – powiedziała. Miała zaczerwienione oczy. Malował się w nich smutek. Wielki smutek. – Jeszcze przed jutrznią, o tej godzinie, kiedy spotykaliśmy się tu w tajemnicy przed moim ojcem. Chodź, coś ci pokażę.

Milczałem, chociaż miałem jej tyle do powiedzenia. Nie chciałem patrzeć jej w oczy, jej spojrzenie mnie raniło.

Poszedłem za nią do północnej ściany młyna. Zniszczył ją czas, jak to, co było między nami i nie miało nigdy powrócić.

– Co to jest? – zapytałem, nic nie rozumiejąc.

Schyliła się i odgarnęła śnieg z małej płyty na ziemi.

– Twój grób. Lawenda, którą zasiałam, żebyś nie czuł się tak samotny, wciąż jest zielona. Byłam ślepa. Nie zrozumiałam, że to znak, że wciąż żyjesz.

– Zrobiłaś dla mnie grób?

– Jakie to ma znaczenie teraz, kiedy wiem, że nie zginąłeś?! – wybuchnęła. – Jak mam teraz żyć, jak spać z twoim bratem, wiedząc, że tuż obok jesteś żyw i oddychasz?

– Przeprowadzę się.

– Jesteś żyw i oddychasz! – powtórzyła i zbliżyła się do mnie. – Oddychasz, nie mogę w to uwierzyć. Wyobrażałam sobie martwe ciało, spędziłam tyle bezsennych nocy, mając przed oczami twoje martwe ciało na

morskim dnie. Bolał mnie ten obraz, myślałam, że ci zimno, że twoje członki rozkładają się w wodzie.

Patrzyła na mnie jak na widmo, ni to z niedowierzaniem, ni to z szacunkiem, jaki żywimy wobec tego, co niewyjaśnione. Uniosła dłoń i pogłaskała mnie po policzku. Powstrzymałam ją. Wciąż łączyła nas namiętność. O wiele silniejsza, niż się spodziewałam.

– Mój drogi Diago, więc nie wolno mi cię nawet dotknąć?

– Wiesz, co spotyka niewierne małżonki. Nagorno będzie cię teraz śledził, nie powinniśmy spotykać się sam na sam.

– Mam się zadowolić twoimi spojrzeniami, wyszukanymi i chłodnymi słowami dobrego szwagra?

– Tak być musi.

Spóźniłam się o jeden dzień, jeden przeklęty dzień. Ale teraz było za późno.

– Powiedz mi przynajmniej, że nie było innej. Powiedz, że w twych myślach i łożu byłam tą jedną jedyną!

Usiadłam na własnej płycie nagrobnej, próbowałam się trzymać jak najdalej od żaru, jaki bił od Onneki.

– Nigdy cię nie zdradziłam.

– Słyszałam plotki... – zaczęła.

– Plotki to plotki, nic ponadto.

– Milczkowata i świętoszkowata Berenguela.

– Dostarczyłam ją nietkniętą Ryszardowi, a tę właśnie misję powierzył mi jej ojciec. Nie jestem głupcem, żeby ryzykować, że król Nawarry albo król Anglii obetnie mi klejnoty rodowe.

– Spodziewałam się innej eksplikacji, bardziej namiętnej, takiej, która brzmiałaby bardziej po twojemu.

– Wszystkie drogi prowadzą do ciebie, nie muszę tego powtarzać ani ci cukrować, wiesz o tym. Nigdy nie domagałaś się pochwał. Nie potrzebujesz ich. Wystarczy ci pierwsze z brzegu lustro i wszystko, co mówią kroniki o twoich przodkach. Kto opowiedział ci o misji powierzonej mi przez króla Sancha?



– Jak wiesz, jestem oczami i uszami Nowej Victorii. Naprawdę sądziłeś, że się nie dowiem, dlaczego któreś nocy pogalopowałeś bez pożegnania gościńcem wiodącym do Akwitanii?

– Kto to był, Onneco? – nie ustępowałem. – Nawet twój ojciec tego nie wiedział.

– Sam się domyśl, kto był na tyle blisko dworu w Tudeli, żeby jego uwagi nie uszły wszystkie przygotowania.

Wstałem i zastanawiałem się przez chwilę.

– Teraz rozumiem. Nasz dobry biskup García, młody protegowany twojego ojca.

– Zlitował się nad moją żalością i opowiedział mi wszystko w trosce o moje zdrowie. Nie wiń go. To był sekret między kuzynostwem. Ojcu nie pisał słowa. To tajemnica, którą znamy tylko my troje.

– I tak musi pozostać. Król mi zaufał i ryzykuję głową, jeśli ktoś dowie się, co robiłem przez ostatnie dwa lata. Nie mogłem powiedzieć ci prawdy, Onneco. Zdołasz mi to wybaczyć?

– Wiadomość, Diago. Jedna wiadomość. Teraz ufasz w moją dyskrecję, ale czemu nie ufałeś, kiedy byłam twoją narzeczoną?

– O to chodzi? Jesteś na mnie zła?

Zagryzła wargi, aż stały się zupełnie białe.

– Zła? – wybuchnęła. – Jestem wściekła! Niewiele brakowało, a musiałabym poślubić starego seniora Ibidy, zgarbionego wdowca, a potem młodego syna Funesa, który lubi gryźć poduszki marynarzy z San Sebastián. Gdyby nie twój brat...

– Nie wspominaj przy mnie o Nagornie – ryknąłem. Podszedłem do niej i zasłoniłem jej usta dłonią. – Nie zniosę tego.

I nagle osunęliśmy się na mój były grób – a może nie taki były – w namiętym uścisku sekretnych kochanków. I po dwóch latach znów zrozumiałem, że żyję, kiedy poczułem na sobie ciężar jej ciała i usta desperacko szukające moich.

– Chodźmy do młyna, Onneco, tutaj zamarzniemy – szepnąłem.

I wdarliśmy się jak za dawnych lat do młyna. Część pomieszczenia była w ruinie, część dawała schronienie przed śniegiem. W ten zimny poranek podłoga z drewnianych desek zapewniała odrobinę ciepła.

Onnece nie spieszyło się tak bardzo jak mnie. Pozbyła się białego czepca mężatki, rozpięła skórzany pas i żółta obcisła suknia upadła jej do stóp. Nawet nie wiem, ile nocy spędziłem, wspominając to nagie ciało. Usiadła na młyńskim kole, które niegdyś kręciło się zapamiętale, by zemleć ziarno na mąkę, i dała mi znak, żebym podszedł.

Zdjąłem pludry i chciałem w nią wejść, ale zaprotestowała.

– Ty też się rozbierz.

Usłuchałem, cóż miałem robić.

Byliśmy nadzy i nadzy padliśmy sobie w objęcia.

Moje dwa lata celibatu szybko dobiegły końca. Jak dawniej wyrywaliśmy sobie z piersi westchnienia i jęki, ciała rozpoznały się w mig, a pieszczoty rodziły się i umierały bez naszej zgody.

– Wierzysz mi teraz? – zdołałem wyjąkać.

– To prawda, czekałeś na mnie – roześmiała się.

Milczałem zatopiony we własnych myślach. Przykryłem ją suknią.

– Czekałem, owszem – wyszeptalem. – Marzyłem o naszych zaślubinach, o tym, że kiedy wypełnię misję, wrócę do grodu takiego, jak go zostawiłem. Nie wiem, jak zdołam rządzić dwiema dzielnicami bez ciebie u boku.

Onneca usiadła na drewnianej miarce do zboża, już odziana, i odwróciła się do mnie plecami.

– Masz ziarna we włosach i warkocz ci się rozplótł. Pozwól, że cię uczeszę – powiedziałem i podszedłem do niej. – Włóż moje buty, póki nie odzyskasz swoich, albo odmroziś sobie stopy.

Pokiwała głową z łagodnym uśmiechem i włożyła moje buty. Potem oparła się o mnie i pozwoliła się uczesać.

– Kościelnym tuzom nie spodoba się nic a nic, że nie zakrywasz całkowicie włosów – zauważyłem.

– Biskup García jest dla mnie jak brat. Kiedy García mówi, inni milkną. A jeśli García milczy, nikt nie odważy się podnieść oskarżycielskiego palca. Wczoraj na pogrzebie ojca pobłogosławił mnie, chociaż warkocz wystawał spod czepca. Więc nikt słówka nie piśnie, choćbym nawet nie zakryła włosów.

Taka była Onneca. Zawsze udawało się jej postawić na swoim, chociaż dbała o to, aby zabezpieczyć tyły.

Tak czy owak, w skłonnych do fantazjowania głowach przedstawicieli Kościoła czepce, ze względu na swój falliczny kształt, budziły nieufność i rozważano ich zakazanie.

– Kiedy zobaczyłem, jak ci się z nim podobało... – zacząłem zamyślony. – Myślałem, że to, co było między nami, odeszło bezpowrotnie. Że to przeszłość, do której nie da się powrócić. Nie mogę uwierzyć, że rozdzielił nas zaledwie jeden dzień. Gdybym wrócił dzień wcześniej, byłabyś kobietą niezamężną i moglibyśmy anulować wasze zaślubiny.

– Anulować? Sądzisz, że tak bym właśnie postąpiła? – zdziwiła się.

Przestałem pleść jej warkocz i usiadłem naprzeciwko.

– Wyszłabyś za Nagorna, gdybyś wiedziała, że żyję?

– Nagorno to wspaniały człowiek. Wobec mnie zawsze był uczynny, uważny, uroczy.

To tylko jedna z jego masek, zamierzałem jej powiedzieć. Od czego zacząć... Chce przejąć władzę, jaką ma twoja rodzina nad cechem tkaczy, chce twoich włości, oto, czego chce.

– Przeprowadził wiele pożytecznych dla grodu reform – ciągnęła.

– Pożytecznych reform, powiadasz? Mendozowie przejęli kontrolę nad drogą do Arriagi i Nagorno pozwolił im pobierać myto za owoce. I co zrobili? Jeszcze mocniej przycisnęli kupców. Wczoraj przeszedłem się po targu przy kościele Najświętszej Marii Panny. Brakuje jabłek, brukwi i porów. Jeśli sąsiedzi nie będą mogli kupić warzyw ani owoców w Victorii, pojedą po nie za miasto. Nie tego chcemy. Nie chcemy, żeby szlachetnie urodzeni spędzali beczynnie całe dni i żyli cudzym kosztem. To miasto rzemieślników i kupców.

– Ciekawe, że mówi to hrabia.

– Zanim zostaliśmy hrabiowskim rodem, byliśmy kowalami. Dlatego w czasach Alfonsa Pierwszego Walecznego mój przodek hrabia Vela wybudował mury. Żeby nas chronić. Żeby mieszkańcy byli bezpieczni, a przyjezdni kupowali u nas niezagrożeni. Jeśli targ opustoszeje, wszyscy stąd uciekną. Gród się wyludni.

– Mówisz jak mój ojciec – powiedziała cicho.

– Mam nadzieję, że nie skończę jak on...

– Wszyscy umrzemy – szepnęła, oddając mi buty. – Był starym człowiekiem i wybiła jego godzina.

Był krzepkim mężem, nie skończył nawet czterdziestu pięciu lat. I jego godzina jeszcze nie wybiła, Onneco, chciałem powiedzieć. Jednak zamilkłem. Na razie to były tylko podejrzenia.

– Po twoim wyjeździe gród się rozrastał. Już kiedy podgrodzie Sant Michel zmieniło się w Nową Victorię, a król nadał nam prawa. Tak samo rozrośnie się dzielnica płatnerzy i ktoś otoczy ją murem. Musimy pilnować bram. Maturanowie mieszkają teraz nieopodal Ciemnej Bramy w zaułku Angevín, mój ojciec nie chciał im pozwolić na pobieranie myta, ale rajcy mu się sprzeciwili. A Nagorno popiera ten pomysł i ja też.

– O czym ty mówisz? Żeby pozwolić rodom sprawującym władzę w sąsiednich wioskach pobierać opłaty w grodzie? Jakim prawem?

– Sam wiesz, że nie podobają im się prawa nadane przez króla Sancha. Wieśniacy z Avendaño przenoszą się do Nowej Victorii, a wioska się wyludnia. Podobnie dzieje się w Adurzie, Arechavalecie i Olárizu. Seniorowie chcieliby wystąpić zbrojnie przeciw nam. Ci z Avendaño zaatakowali nas już dwa razy. Spalili dachy dwóch domów przy ulicy Ferrería i żuraw przy ulicy Anglesa, nieopodal pieca chlebowego. Czemu nie potrafisz spojrzeć w przyszłość? Przekazując kontrolę nad bramami rodom, które o to proszą, zmienimy ich w przyjaciół.

– Nie, jeśli będą uciskać innych, Onneco. Co mówią przekupki?

Przekupki dbały o zaopatrzenie w mieście jak dobra gospodyni dba o swoją spiżarnię. Jeśli brakowało solonych ryb na Wielki Post albo żniwa były marne, sprowadzały ryby, zamawiały ziarno z wybrzeży Bałtyku, żeby nikt nie przymierał głodem. Podobnie z oliwą, świecami, sardynkami...

Rada grodu miała pieczę nad cenami i nakładała kary, jeśli zaniedbały zaopatrzenia. Onneca zaś zaglądała do domów i na stragany i rozmawiała z kobietami ze wszystkich cechów. Docierała do nich wszystkich: do tych milczących i do plotkarek, do tych sprytnych i prostodusznych, do gadatliwych i wesołkowatych, i tych melancholijnych. Siadały przy kominku i wspólnymi siłami tkały tę sieć, która utrzymywała jedność Nowej Victorii. Onneca wiedziała dobrze, kto pije, kto chodzi na dziwki, kto się kompromituje, która chciała odbić innej męża, chociaż było to karane grzywną pięćdziesięciu solidów. Znała pracowite niewiasty i próżniaków mieszkających w tym ulu zaułków i uliczek, bram i podwójnych murów.

– Jeśli nadal będą zarabiać, nie poskarżą się.

– Co innego słyszałem, Onneco. Dlaczego skazano Joanę Balmasedę na wygnanie?

– Popełniła oszustwo, handlując świecami.

– O tym wiem, ale czemu się tego dopuściła? Miała dwoje małych dzieci, była wdową. Czemu zaryzykowała, skoro mogła stracić wszystko? Nie są chyba tak zadowolone, jak twierdzisz. Nie podoba mi się to wszystko, Onneco. Nie podoba mi się to, na co pozwala Nagorno, twój ojciec też się z tym nie zgadzał, wyznał mi to w dniu swojej śmierci.

– Ojca już nie ma. I póki mój brat nie wróci z ziem niewiernych, ja jestem głową rodu Maestu. Podejrzewam, że zechcesz odzyskać swój tytuł i Nagorno nie będzie już dłużej hrabią Velą.

– Tak jest. Jutro skryba sporządzi dokumenty, powołam na świadków burmistrza, namiestnika i urzędnika sądowego.

– Więc byłam hrabiną Velą zaledwie parę dni – westchnęła.

– Za to od wczoraj Nagorno jest hrabią de Maestu.

– Jeszcze i to – powiedziała.

– Jeszcze i to.

Tak zwykliśmy kończyć kiedyś nasz kłótnie. Oboje uparci.

– Nasz potomek będzie z rodu Maestu i z rodu Vela. A jeśli ty nie będziesz miał dzieci, kto wie, może zostanie przyszłym hrabią Velą?

Nie miałem już ochoty ciągnąć tej rozmowy. Chyba dwa lata nieobecności to zbyt długo. A może jeden Nagorno to zbyt wiele.

Wyszliśmy z młyna. Powiew lodowatego wiatru niosącego drobniutki grad uderzył nas w twarz. Usłyszeliśmy rżenie konia i odwróciliśmy się. Mój brat Nagorno patrzył na nas, stojąc nieopodal. Nie był sam. Towarzyszył mu cudowny wierzchowiec, najpiękniejsza klacz, jaką dotychczas widziałem. Czyste złoto, równie złote jak oczy Onneki.

– Zaczęło padać, więc musieliśmy poszukać schronienia – skłamała Onneca.

– Wiem – odparł mój brat ze złośliwym uśmiechem.

– Nie widział nas – szepnęła mi dyskretnie na ucho. – Nie wie, co robiliśmy.

To Nagorno, droga Onneco. Uwierz mi, chciałem jej powiedzieć. Wie lepiej niż ty i ja, co właśnie zrobiliśmy.

## WIEŻA NOGRARO

### UNAI

*Wrzesień 2019*

– Co się stało twojej matce? – zapytałem zdenerwowany, wychodząc na korytarz.

– Spadła ze schodów na naszej klatce schodowej. Schodziła, żeby zostawić Debę z Germanem. Jest na stole operacyjnym, chyba złamała sobie biodro.

– Już tam jadę.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytała.

Opowiedziałem jej o naszej wizycie w Malatramie i o wieży Nograro.

– Skończ spokojnie rozmowę, a potem przyjedź. Deba jest z twoim bratem, a dziadek jedzie z Villaverde, będzie na miejscu przed tobą. Ja pędzę do szpitala, ale operacja potrwa co najmniej trzy godziny. Odbierz Debę, kiedy przyjedziesz do Vitorii. Będziemy w kontakcie, powiadomię cię, jeśli dowiem się czegoś nowego. Tu na razie nie pomożesz.

– Dobrze, skończę tutaj i jedziemy. Estíbaliz też na pewno będzie chciała odwiedzić twoją mamę.

– Wiem, zobaczymy się wkrótce.

– Nie martw się o nią. Jest silna, będziemy na nią chuchać i dmuchać.

Wróciłem do sali i korzystając z tego, że miałem w ręku telefon, dyskretnie zrobiłem zdjęcie Ramira Alvara. Pan wieży otwierał okna. Poczulem powiew świeżego powietrza. Jemu najwyraźniej nie

przeszkadzało zimno, Esti natomiast zapięła pod szyję swoją wojskową kurtkę.

Ramiro Alvar usiadł na fotelu z białej skóry za ogromnym biurkiem i obserwował nas wzrokiem, w którym malowała się wesołość.

– A po cóż potomek Lopezów de Ayala przybywa do domostwa Nogradów?

– Jako inspektor Wydziału Kryminalnego komisariatu w Vitorii. Chcielibyśmy z panem porozmawiać i zadać kilka pytań. To inspektor Estíbaliz Ruiz de Gauna...

– Ruiz de Gauna, doprawdy to się robi coraz bardziej interesujące. Wiedziała pani, że *Aestibalis* to łacińskie słowo? Oznaczało wiejskie posiadłości, do których wyjeżdżało się na lato.

– Nie miałam pojęcia – przyznała.

Chyba rozbawiła go ta odpowiedź, bo zawiesił wzrok na Esti, jakby była jakąś kunsztowną rzeźbą.

– A więc co państwa tu sprowadza? Nie przychodzi mi do głowy miejsce bardziej absurdałne dla stróżów porządku. Tu nic się nie dzieje. Nigdy. Jestem tylko ja i ta dziewczyna przysłana przez rajcę.

– Zatrudniona przez urząd gminy, chciał pan powiedzieć – uściśliłem.

Ramiro Alvar zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, w którym wieku żyje.

– Terminologiczne drobiazgi. Odpowiedzą państwo na moje pytanie? Bo stygną mi kogucie grzebienie, chyba że zechcą państwo towarzyszyć mi przy obiedzie.

– Bardzo dziękujemy, nie będziemy robić kłopotu – ucięła Estíbaliz. – Tak naprawdę chcieliśmy z panem porozmawiać na temat powieści *Władcy czasu*. Co może pan nam o niej powiedzieć?

– *Władcy czasu*? Nie czytałem jej. Ale czemu przyjechaliście z Vitorii, by mnie o to zapytać?

Patrzyłem uważnie na jego twarz. Wydawał się niezbyt zainteresowany naszym pytaniem. I znudzony nami, w każdym razie mną.



Wyjąłem z kieszeni swój egzemplarz, który nie doczekał się autografu. Czy patrzyłem właśnie na osobę, która powinna go złożyć?

– Ładna okładka, Cantón de las Carnicerías i inne rzemieślnicze ulice – powiedział, przyjrzawszy się bacznie. – Ale nadal nie rozumiem, czemu pytają państwo właśnie mnie.

– Czy pan jest Diegiem Veilazem? – przerwała mu Estíbaliz, umierając z niecierpliwości.

– Ja? Velą? – odparł z miną, jakby właśnie zjadł cytrynę. – Na Boga, czemuż miałbym chcieć być Velą, skoro nazywam się Alvar Nograro i jestem dwudziestym czwartym panem na wieży Nograro? Chciałaby pani zostać dinozaurem?

– W żadnym wypadku – zapewniła Estíbaliz.

– A o czym jest ta powieść? – zapytał, patrząc na egzemplarz, jakby miał przed sobą dziwnego owada.

– Akcja toczy się w dwunastym wieku – wyjaśniłem. – Rozpoczyna się powrotem hrabiego Diaga Veli do Victorii, jego konfliktem z hrabią Nagornem...

– Przepraszam, że wejdę ci w słowo, młodzieńcze, ale nadal nie pojmuję, co ma wspólnego powieść historyczna z waszą pracą.

– W tej powieści ginie wiele osób...

– Jak to w średniowieczu bywało – stwierdził.

Ale już nie zwracał na mnie uwagi. Kartkował książkę, zatrzymując się na niektórych stronach, jakby czytał wybrane fragmenty.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zgonu pewnego przedsiębiorcy, który zmarł w okolicznościach podobnych do tych opisanych w powieści.

– A cóż to za okoliczności?

– Zmarł za murem pałacu Villa Suso. Jak pan wie, to oryginalny mur wzniesiony w...

– I mówi pan, że mężczyzna zmarł przy murze?

– To niejedyne podobieństwo do śmierci opisanej w powieści. Słyszał pan o kantarydzie?

– Hiszpańska mucha. Liwia, żona cezara, chętnie ją stosowała. Dosypywała ją do potraw, którymi częstowała gości podczas uczt, pozwalając, by matka natura zrobiła, co trzeba, a potem szantażowała ich, że zniszczy im reputację. I zważywszy na to, jakim torem potoczyła się ta rozmowa, nie będę nalegał, żeby zjedli państwo ze mną obiad. – Uśmiechnął się i filuternie puścił do nas oko.

– Dziękujemy, jesteśmy na służbie – odparła Estíbaliz.

– Więc ów człowiek umarł w grzechu lub z zamiarem popełnienia grzechu.

– Nic na to nie wskazuje. Dawka, którą przyjął, świadczy raczej o tym, że ktoś chciał go otruć.

– Cieszę się ze względu na jego duszę – powiedział. – Ale musicie mi wyjaśnić, co ta wieża ma wspólnego ze śledztwem.

– Wiemy, że współpracował pan z wydawnictwem Malatrama, które wydało też tę powieść. Mamy przesłanki, aby sądzić, że pisarz, który ukrywa się pod pseudonimem Diego Veilaz, skontaktował się z wydawcą z tej właśnie wieży. Wszystko to nasunęło nam przypuszczenie, że to właśnie pan jest autorem tej książki.

– A po cóż miałbym pisać książki? Żeby zarobić na życie czy coś w tym stylu?

– To byłoby jakieś wytłumaczenie.

Alvar wstał z fotela, z którego niczym z tronu panował nad swoim gabinetem, i podszedł do ogromnego okna. Dał nam znak, żebyśmy poszli za nim.

– Widzieli państwo te włości?

Z okna rozciągał się widok na pola już po żniwach, las rosnących w równych rzędkach topoli, wiele warzywników, cmentarz, ogrody i domki pobliskiej miejscowości Ugarte.

– Moja rodzina zarządza tymi ziemiami od setek lat. W swoim czasie mieliśmy też młyn, kuźnię, kościół, pobieraliśmy myto. Nie chciałbym, żebyście uznali moje oświadczenie za grzeszną pychę, ale mój ród nie pracuje.

– Nie odprawia pan nawet mszy? – zapytała Esti, napawając się pięknym widokiem.

– No skądże...

Alvar udawał obojętność, ale wciąż miał w ręku mój egzemplarz powieści i trzymał palec jak zakładkę pomiędzy stronami.

– Widzi pani tę fosę, Estíbaliz? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Tak. Myślałam, że należą już do przeszłości, do średniowiecznych opowieści i seriali traktujących o tamtej epoce. Nie spodziewałam się, że będzie pełna wody.

– To jedno z pierwszych wspomnień z mojego dzieciństwa. Kiedy byłem jeszcze mały, cała rodzina wsiadała do maleńkiej łódeczki i wiosłowaliśmy wokół wieży. Może chciałaby pani przepłynąć się ze mną?

– Och, tak, uwielbiam wodę. – Esti bardzo się postarała, żeby entuzjazm w jej głosie zabrzmiał wiarygodnie.

– Ja nie skorzystam – uściśliłem, chociaż to nie było konieczne. – Poproszę przewodniczkę, żeby oprowadziła mnie po...

Alvar nie był jednak zainteresowany tym, co mówię. Poprowadził Estíbaliz przez drzwi ukryte pod tapetą, a ja zostałem sam w tym nieco cudacznym pomieszczeniu. Skorzystałem z okazji, żeby rzucić okiem na bibliotekę pełną starych tomów oprawnych w skórę.

Zszedłem tymi samymi schodami i znów stanąłem przed kontuarem na parterze, gdzie przewodniczka udawała, że pisze coś na komputerze.

– Mam ogromną prośbę: mogłaby pani oprowadzić mnie po części dostępnej dla zwiedzających?

Uśmiechnęła się nieśmiało i wzięła pęk kluczy.

– Proszę za mną. Proszę pytać o wszystko, co pana zainteresuje. Tak czy siak, musimy się pospieszyć, za dwadzieścia minut powinnam zamykać.

– Rozumiem.

W pierwszej sali wisały za szkłem portrety wielu pokoleń poprzednich panów na wieży.

Przystanąłem, żeby lepiej im się przyjrzeć. Ten i ów z przodków przypominali Alvara. Zobaczyłem wielu przystojnych, zwłaszcza w latach

młodości, facetów. Niektórzy byli wąsaci, ciemnowłosi, zupełnie od niego różni. Znalazłem też zdjęcie kilku kobiet z dziećmi na łódce odpychanej od brzegu przez księdza.

– Muszą mieć na imię Alvar, inaczej nie mogą zostać dziedzicami – wyrecytowała przewodniczka. – Muszą też przestrzegać kodeksu honorowego według edyktu, który wydał Ferdynand Czwarty, w przeciwnym razie grozi im utrata włości.

Potem pokazała mi ogromne płótno, w którego centralnej części widniał pień z imionami wypisanymi kursywą. Odchodziły od niego gałęzie, całe rodziny młodszych dzieci oddzielone od pierwotnych synów. Przez tysiąclecia naliczyłem ich trzydzieści.

– Spodziewałem się manekina w habicie zakonnicy – powiedziałem.

– Manekina? O ile mi wiadomo, nie wystawialiśmy żadnego habitu – odparła zdziwiona.

Pokazałem jej zdjęcie, które wysłała mi Estíbaliz. Patrzyła na nie z zainteresowaniem.

– To prawda, wygląda jak zdjęcie z naszego muzeum. Musiało to być na jakiejś wystawie czasowej. Pracuję tu od kilku miesięcy, wiem, że czasem eksponaty się zmienia, żeby nie narazić ich na zniszczenie. Przykro mi, ale nie umiem panu pomóc. Proszę zapytać o to Ramira Alvara, on najlepiej orientuje się we wszystkich tych sprawach.

Zadzwonił telefon przewodniczki.

– Proszę mi wybaczyć, muszę odebrać – powiedziała.

Nagle zobaczyłem księdza i Esti przeciskających się pomiędzy szklanymi witrynami i na moich oczach kradnących z nich wiosła. Psozny Alvar zdjął też ze ściany zalotną parasolkę ozdobioną haftem. Chyba nawet nie zauważyli mojej obecności, zaaferowani tym, co robili, jak ryby w akwarium, którym obojętni są przechodzący obok ludzie. Potem prześlizgnęli się przez maleńkie tylne drzwi i w mgnieniu oka zniknęli mi z oczu. Dziesięć minut później zegnałem się z przewodniczką pod zwieńczonymi ostrołukiem drzwiami do wieży. Nie chciałem dzwonić do Estíbaliz, miałem nadzieję, że podczas tego tête-à-tête uzyska dla nas jakieś cenne informacje.

Zobaczyłem ich, przechodząc przez otaczający wieżę trawnik. To, co ujrzałem, tak bardzo nie pasowało do współczesnej rzeczywistości, że miałem wrażenie, że spoglądam na jakąś starą pocztówkę. Ksiądz w odświętnych szatach przytrzymał parasolkę nad głową Estíbaliz, która wiosłowała powoli, śmiała się od czasu do czasu i bez wątpienia doskonale się bawiła.

Estíbaliz skręciła i zaczęła wiosłować trochę szybciej. Chwilę potem przybili do brzegu.

– Niestety musimy wracać do pracy. Bardzo dziękuję za przejażdżkę – powiedziała, wyskakując z łódki na brzeg.

– Do zobaczenia więc, *Aestibalis* – odparł ksiądz, uśmiechając się do niej.

Zauważyłem, że Alvar miał na kolanach mój egzemplarz *Władców czasu*. Czekałem na jakąś obietnicę zwrotu, która jednak z jego ust nie padła.

Już mieliśmy się z nim żegnać, kiedy zadzwonił mój telefon. Odebrałem, nie myśląc o tym, że nie powinienem rozmawiać w obecności Alvara.

– Peña? Coś się stało?

– Musisz przyjechać, szefie. Dwie siostry. Sądzę, że zostały zamurowane.

Zamarłem na dźwięk tych słów. Nie powinienem był powtarzać tego na głos. Wiem, że nie powinienem. Ale nawet policjantom czasem się zdarza zareagować po ludzku. A przerażenie wygrywa z profesjonalizmem.

– Jak to dwie siostry zamurowano? Znaleźliście ich zwłoki? – wyjąkałem.

Esti pytała mnie wzrokiem, o co chodzi. Musiałem odejść kawałek, miałem wrażenie, że świat zawalił mi się na głowę.

– Nie, nie! Żyją. Jesteśmy z Milán w mieszkaniu, z którego dochodził brzydki zapach. Stoi tu wybudowana niedawno ściana z cegieł. Kiedy weszliśmy, jakiś głosik zaczął wzywać pomocy. Przedstawiła się jako Oihana Nájera, młodsza z sióstr. Na miejsce jadą strażacy i karetka, zaczynamy rozwalać mur.

– Zadzwoń po techników kryminalistyki – poleciłem. – Niech każdy, kto tam wejdzie, używa rękawiczek i ochraniaczy na buty. To co najmniej porwanie i usiłowanie zabójstwa.

– Zrozumiano. Za ile będziecie?

– Jesteśmy w Ugarte, czterdzieści kilometrów od Vitorii. Daj zgodę na rozwalenie muru, musimy za wszelką cenę ocalić życie dziewczynek.

## ULICA CUCHILLERÍA

## UNAI

*Wrzesień 2019*

W drodze do Vitorii Esti musiała bardzo się starać, żeby nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Byliśmy zdenerwowani, skupieni na swoich mrocznych rozmyślaniach, ale pełni nadziei. Odczuliśmy ulgę, jaką odczuwa się, odczepiając zdjęcie zaginionej osoby z korkowej tablicy w gabinecie.

To ja musiałem przerwać milczenie.

– Co wyciągnęłaś od naszego młodego papieża? – zapytałem.

– Nic a nic, przez cały czas robi uniki. Nie powiedział niczego, czego by nie chciał powiedzieć. Próbowałam bezpośrednich pytań. Zmienia temat i nie odpowiada. Nic z niego nie wyciągniemy, dopóki znajduje się na swoim terenie. Zachowuje się jak udzielny pan na włościach. Jest w swoim naturalnym środowisku. Kontroluje sytuację, pozwala nam tylko obserwować.

– Co proponujesz? Wydawca mówi, że nie wychodzi z wieży.

Esti wzruszyła ramionami.

– Trzeba go wyciągnąć z nory.

– Myślisz, że ci się uda? – zapytałem. – Masz jakiś pomysł?

Moja partnerka długo nie odpowiadała.

– O czym myślisz? – naciskałem, zmęczony jej milczeniem.

Nie mogłem znieść ciszy, wariowałem od niej. Nie chciałem myśleć o tym, co nas czeka: o tej ścianie i dwóch przerażonych dziewczynkach za

nią.

– O siostrach Nájera – skłamała, żeby zmienić temat. – Dobrze, że żyją. Jak można być takim sukinsynem, żeby zamurować dwie dziewczynki?

– Nie czytałaś powieści, Esti?

– A ty znów to samo. Nie, Kraken, nie miałam czasu.

– Zrozumiałabyś lepiej, co się dzieje wokół. To absolutny priorytet. Jeśli ci się uda, zacznij ją czytać dziś wieczór. Zrobisz to?

– Dobrze, ale odłóż na bok cholerną fikcję i zajmij się dwoma dochodzeniami, które właśnie prowadzimy.

Chyba że to jedno i to samo dochodzenie, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Jak miałem jej wyjaśnić swoje obawy? Na to było jeszcze za wcześnie.

– On nie jest raczej autorem tej powieści – powiedziała Esti.

– Nie byłbym tego taki pewien. Ma we własnej bibliotece wszystkie materiały potrzebne w procesie dokumentacji. Zauważyłaś, jak zareagował, kiedy go o to zapytaliśmy?

– Tak, to było dziwne – przyznała. – Na początku temat w ogóle go nie interesował. Odniosłam wrażenie, że ma ochotę wyrzucić nas za drzwi. Potem zobaczył coś w książce i palcem zaznaczył tę stronę. Kiedy poszliśmy po wiosła, położył ją na biurku i dyskretnie wsunął zakładkę. Dlatego właśnie sądzę, że to nie on jest autorem. W przeciwnym razie po co miałby brać twój egzemplarz i zaznaczać fragment? Miałby swoje egzemplarze i brudnopisy czy manuskrypty.

Nie mówiąc o tym, że przywłaszczył sobie moją książkę. Co z kolei dawało mi dobry pretekst, by spotkać się z nim ponownie.

– Dobrze, załóżmy w takim razie, że nie on jest autorem – zgodziłem się – ale jakiś szczegół zwrócił jego uwagę.

– Tak i próbował mnie wybadać. Z tobą nie dogadywał się najlepiej, więc zaczął mnie uwodzić, żeby coś ze mnie wyciągnąć.

– Udało mu się?

– Zapytał mnie o nazwisko przemysłowca, nie powiedziałam mu. Ciekawe, czy sam to sprawdzi, wystarczy zajrzeć do prasy. Załóżmy więc,



że to nie on jest autorem. Pytanie brzmi: czy jest mordercą? Co sądzisz jako profiler?

Czekałem od dłuższego czasu na to pytanie.

– Wiesz, że nie sposób sporządzić profilu osoby, którą widziało się raz.

– Ale możesz podzielić się ze mną swoimi pierwszymi wrażeniami.

– Dobrze, spróbuję. Widzę w nim rys narcystyczny. Uważa się za lepszego, według własnej skali wartości, pod względem kapitału kulturowego, warstwy społecznej, z której się wywodzi, i intelektu. Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, że nazwał mnie młodzieńcem, chociaż jest od nas młodszy. To hedonista, lubi się otaczać pięknymi przedmiotami i dobrze zjeść. Jest wyniosły i pozbawiony empatii.

– Chyba rozumiem: osobowość narcystyczna. I mam za sobą wystarczająco wiele lat doświadczenia w policji śledczej, żeby wiedzieć, że pewien procent zintegrowanych narcyzów może wejść w konflikt z prawem, jeśli mają niezbyt wyczulone sumienie i ktoś stanie im na drodze do celu. Ale dlaczego on mógłby chcieć kogoś zabić?

Odwieczne pytanie, na które nie było jednej odpowiedzi. Po prostu nie było. Ani łatwej, ani trudnej, ani prostej, ani skomplikowanej.

– Psychopaci narcystyczni się nudzą – wyrecytowałem z pamięci. –

Okropnie się nudzą, są jak rozpieszczone dzieci, które porzucają nową zabawkę po kilku minutach. Nie myślą o jutrze, nie dbają o konsekwencje, manipulują innymi, żeby osiągnąć swoje cele. Ale zabrnęliśmy za daleko. Powiedziałem, że Alvar ma cechy narcystyczne, ale stąd do psychopatii jeszcze bardzo daleka droga. Psychopaci są pozbawieni empatii, nie potrafią postawić się na miejscu osoby cierpiącej, ale są mistrzami w udawaniu uczuć, jakich się od nich oczekuje.

– Zrobię coś, co ci się nie spodoba – przyznała w końcu, nie odrywając wzroku od szosy.

– Tak, już mówiłaś, zmusisz go do wyjścia z wieży.

– Intryguje mnie, nie co dzień poznaje się kogoś takiego jak on.

Uniosłem brwi i przyjrzałem się jej uważnie.

– Czy mówimy w tej chwili o pracy?

- Dlaczego pytasz? Co widziałeś?
- Chemię między wami, długie spojrzenia. Trzy razy dotknął cię, niby przypadkiem. Dwa razy twojej dłoni, a raz szyi, kiedy staliście przy oknie.
- Mam wszystko pod kontrolą, okej?
- Twoje rozszerzone źrenice mówią co innego, pomyślałem.
- Wiem, Estíbaliz. Widziałem wiele razy, jak radzisz sobie z uwodzicielskimi typkami. Olałaś Ignacia Ortiza de Zárate, nie zrobiła na tobie wrażenia charyzma Tasia ani Saula Tovara. Niełatwo cię zmanipulować.
- Cieszę się, że to dla ciebie oczywiste – powiedziała. – Nie uwierzysz. On nie ma komórki. Tylko telefon stacjonarny.
- Tak, uprzedzał o tym wydawca. Poproszę Milán, żeby to sprawdziła.
- Nie mogę przestać się nad tym zastanawiać, Kraken: po co ktoś taki, odgradzający się od świata, bogaty, megalomański, zupełnie nieprzejmujący się tym, co go nie interesuje, miałby komplikować sobie życie, zabijając przedsiębiorcę?
- Antón Lasaga był właścicielem wielu posiadłości w tej prowincji, może istniał jakiś konflikt interesów?
- Tak, to byłoby jakieś wytłumaczenie. Ale mamy dwóch bajecznie bogatych facetów: jeden nie ma rodziny, drugi ma pięcioro dziedziców, których nie jest ojcem. Próbuję dostrzec jakiś związek poza miejscem zbrodni i hiszpańską muchą, ale go nie widzę.
- Jeszcze tego nie zbadaliśmy. Musimy się przyjrzeć ich majątkowi, sprawdzić, czy nie toczyli żadnych sporów. I jeszcze coś.
- Co?
- Zbadaj, czy przodkowie przedsiębiorcy byli ważnym rodem w średniowieczu – powiedziałem.
- Słucham?
- Nazywał się Antón Lasaga Pérez. W Álavie jest dużo Lopezów, Martinezów i innych złożonych nazwisk, które przestały być złożone, bo proboszczowie źle wypełnili akty chrztu albo ślubu. Niech Peña porozmawia z córką i dowie się wszystkiego na temat historii rodziny.

Potem niech skontaktuje się z kimś, kto zajmuje się drzewami genealogicznymi w Vitorii. Trzeba znaleźć motyw, a wszystko odsyła nas do przeszłości naszego regionu. Tak czy siak, nie zapytałaś mnie o najważniejsze. Gdzie jest Ramiro Alvar?

– Słucham? Przecież go właśnie poznaliśmy.

– Nie, Esti. To nie była osoba, o której opowiadał nam wydawca. Moje pytanie brzmi: gdzie jest Ramiro Alvar, który, według wydawcy, miał umrzeć bezpotomnie?

– Czemu tak się zafiksowałaś na tym potomstwie?

– Bo nie tego Alvara poznał Prudencio, nie w sutannie. Gdyby tak było, wydawca nie wspominałby, że mało prawdopodobne, żeby doczekał się dzieci. Mężczyzna, którego dziś poznaliśmy, przedstawił się jako Alvar, dwudziesty czwarty pan na wieży Nograro, a nie jako Ramiro Alvar.

Miałem swoje podejrzenia, ale były na razie zbyt abstrakcyjne, musiałem sprawdzić jeszcze kilka rzeczy i zamierzałem to zrobić w najbliższych dniach.

– Rozumiem. – Esti pozwalała mi działać.

Wiedziałem, że zaklasyfikowała temat jako „Rozmowa, którą należy odbyć z Krakenem”, i do niego wróci.

Stanęliśmy na pierwszych światłach przy wjeździe do Vitorii. Nadszedł czas, by jej powiedzieć.

– Jeszcze jedno... Nieves spadła ze schodów w naszym domu.

Zapaliło się zielone światło, ale Esti wciąż stała.

– Co ty mówisz? – zapytała z niepokojem. – Wszystko w porządku?

– Operują ją. Alba mówiła, że przez co najmniej trzy najbliższe godziny nie będziemy tam do niczego potrzebni.

– Dojedziemy za piętnaście minut. Ja jadę do szpitala – zdecydowała. –

Przynajmniej potowarzyszę Albie. Ty jedź na Cuchillería. Skoordinuj operację, komisarz się wścieknie, jeśli wszyscy troje pojedziemy do szpitala, podczas gdy zamurowano żywcem dwie dziewczynki.

– Wolałbym to ja towarzyszyć Albie.

– Będziesz bardziej użyteczny na miejscu, i tak zdążysz przed końcem operacji.

Nie podobało mi się to, ale wiedziałem, że Alba, kiedy dowie się o dziewczynkach, będzie miała mi za złe, że przyjechałem do szpitala.

Niedługo później Esti zostawiła mnie w pobliżu ulicy Cuchillería. Bez trudu znalazłem adres: wejście było otoczone taśmą, a karetka pogotowia i nasze radiowozy blokowały uliczkę wyłączoną z ruchu kołowego.

Ciekawscy tłoczyli się przed wejściem. Gdyby wiedzieli, jak makabrycznego odkrycia dokonamy, rozbiegliby się w popłochu do domów i schowali głowy pod poduszkę. Pokazałem blachę i wszedłem do budynku.

Na klatce schodowej trwał remont. Wszędzie pełno było worków z cementem i innych materiałów budowlanych. Ominąłem kilka koszów z gruzem i dotarłem do mieszkania wskazanego przez Peñę. Kilku strażaków rozwalalo mur w pustym pokoju. Rozbijali kilofami cegły.

– Czemu nie zaczęliście wcześniej? – zapytałem Milán zaraz po przyjściu.

– Słyszeliśmy głos Oihany, ale próbujemy rozwalić mur tak, żeby nie zrobić im krzywdy. Strażacy nie chcą używać tarana, bo boją się, że dziewczynki mają za mało miejsca. Od dwudziestu minut nie słychać już ich krzyków. To nie wygląda najlepiej. Ci z karetki są przygotowani, żeby natychmiast przewieźć je do szpitala. Mam nadzieję, że nie przybyliśmy za późno, i mam nadzieję, że im nie zaszkodzimy.

Dwóch strażaków zaczęło pracę. Zawołali dziewczynki, ale nie doczekali się odpowiedzi. Okropnie się denerwowałem.

Błagam, niech będą żywe, modliłem się w duchu, jakbym mógł jakkolwiek zmienić ich trudne położenie.

Po całym budynku rozchodziło się echo kilofów.

Pod moje nogi spadały kolejne pokruszone cegły.

Powinienem był bardziej się odsunąć, ale chciałem wślizgnąć się do środka przez dziurę i jak najszybciej je stamtąd wyciągnąć.

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co czytałem niedawno o „ślubach ciemności”. Kto mógł wpaść na podobny pomysł?

Od lat badałem najciemniejsze zakamarki ludzkich dusz, czytałem o profilowaniu kryminalnym, uczyłem się go na studiach. Modus operandi, makabryczne czyny... Współczesna kryminologia nie notuje przypadków zamurowania żywcem nigdzie na świecie. Nie w ciągu ostatnich stu lat. Nikt tak nie zabija. Dlaczego teraz? Czy to próba imitacji świata przedstawionego w powieści?

Niemożliwe, nie zgadzały się daty. Siostry Nájera zniknęły kilka tygodni przed ukazaniem się powieści. To ważna informacja. Zwłaszcza dla profilerów. Wykluczała z grona podejrzanych ewentualnych czytelników zainspirowanych lekturą. Jeśli zabójstwa miały coś wspólnego z książką, morderca przeczytał ją przed publikacją.

Nie wytrzymałem. Przeklęty hałas. Za wolno, zdecydowanie za wolno.

Wziąłem kilof i zacząłem pomagać strażakom. Słyszałem głosy, które mówiły, żebym tego nie robił, żebym przestał, że dziewczynki, że niebezpieczeństwo... Do diabła z głosami.

Nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem.

Na widok trupa pokrytego czerwonym pyłem. Zwłoki wychudzonej dziewczynki, która umarła z głodu.

Od jej śmierci musiało upłynąć wiele dni. Nieprawdopodobny fetor. Pobiegłem do remontowanej łazienki i zwymiotowałem. Cuchnęło zgniłymi jajami. Tego zapachu rozkładającego się ciała nie da się pomylić z żadnym innym. Zapachu śmierci.

Mimo obrzydzenia i mdłości wróciłem na miejsce. Nabrałem powietrza w płuca i precisnąłem się przez dziurę w ścianie. Dwóch strażaków pracowało nadal. Do środka wszedł lekarz. Nie musiał szukać tętna, by stwierdzić zgon.

Była też dobra wiadomość. W świetle latarki zobaczyliśmy w kącie dziewczynkę. Chyba się poruszyła.

Podszedłem do wtulonej w ścianę sylwetki, skóra i kości, włosy do pasa. Przykryła się plastikowymi workami. Oihana, młodsza z sióstr.

Wynieśliśmy ją z tego chlewu pełnego kału i moczu. Ekipa pogotowia przystąpiła do reanimacji. Siedem par dorosłych oczu patrzyło

z niepokojem na ciałko, które nie chciało zareagować na zabiegi ratowników przybyłych zbyt późno.

A jednak nie. Wydarzył się cud.

Wychudzona dziewczynka ubrudzona pomarańczowym pyłem zaczęła oddychać i kasłać. Cicho, cichuteńko. Założono jej maskę tlenową i przeniesiono na nosze, każdy z nas mógłby to zrobić jedną ręką.

Kiedy ratownicy wyszli, w pokoju zapadła przygnębiająca cisza. Zapach ciała zmarłej siostry wbijał się w nozdrza. Pół tuzina profesjonalistów nie mogło wydusić z siebie słowa, brakowało im też sił, żeby pracować dalej w tym grobie.

## GOSPODA LA ROMANA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Onneca podeszła zachwycona do złotej klaczy.

– Nigdy nie widziałam tak pięknego zwierzęcia. Jak się tu znalazło?

– Hoduję je na ziemiach Almohadów. Kazałem sprowadzić Olbię jako prezent ślubny, ale dzień pogrzebu ojca nie wydawał mi się odpowiedni. Obudziłem się wcześniej, a twoje łoże już zdążyło ostygnąć, domyśliłem się, że będziesz chciała wypróbować łyżwy, które podarował ci kuzyn Gunnarr.

– Olbia – szepnęła i z szacunkiem pogładziła połyskującą grzywę klaczy.

Nagorno uśmiechnął się zadowolony. Wcześniej nie zastanawiałem się, czy łączy ich coś więcej niż małżeństwo zawarte z rozsądku.

– Kryje się za tym pewna historia – ciągnął uwodzicielskim tonem. – Pamiętasz kolonię Scytów? Wspomina o niej Herodot w kronice, którą ode mnie dostałaś. Ale nie tylko ona się tak nazywała. Nosiła to imię pewna Amazonka, wspaniała jak ty, pani. Była krwawą wojowniczką. Strzelała w pełnym galopie z maleńkiego łuku, używała też bicza i akinakesa, scytyjskiego sztyletu.

– Nie podniecaj się tak bardzo wizją wojny, bracie – wtrąciłem. – Onneca nie będzie musiała chwycić za żaden miecz.

– Nie przypomina naszych północnych wierzchowców – rzekła Onneca, puszczając moją uwagę mimo uszu.

– Ta rasa to argamak. Hoduje się ją na dalekich tureckich ziemiach od czasów przed narodzeniem Chrystusa. Ten okaz jest potomkiem konia

Aleksandra Wielkiego.

– Bucefała?

– Tak jest. Jeśli chcesz, wracaj na niej do grodu, ja pójdę pieszo.

– Może dojadziemy jej razem? – zaproponowała.

– Spójrz na nią. To księżniczka wśród koni i trzeba ją traktować z należnym szacunkiem. – Nagorno spojrzał na mnie przelotnie, w jego wzroku odczytałem ostrzeżenie.

Pokiwałem głową.

– Ja idę do gospody La Romana – wymówiłem się.

– Na dziwki, bracie? Tak bardzo brakuje ci niewiast?

Uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedziałem. Musiałem coś sprawdzić, umówiłem się więc z jednym z niewielu krewnych, którym ufałem tak bardzo, że byłbym gotów powierzyć im swoje życie. W gruncie rzeczy tak już się dawniej zdarzało.

Onneca też czekała na moją odpowiedź, która nigdy nie padła.

– Później poszukam cię w siedzibie rady, Nagorno. Posłałem po skrybę. Burmistrz i kilku szanowanych mężów zaświadczy, że jeszcze dycham, i odzyskam tytuł, który nosiłeś godnie podczas mojej nieobecności. I Bóg mi świadkiem, że jestem ci bardzo wdzięczny. Moja droga bratowo... – Skłoniłem głowę na pożegnanie, a potem ruszyłem samotnie drogą pokrytą dziewiczym śniegiem.

Gospoda La Romana przyjmowała w swych gościnnych progach pielgrzymów, który podróżowali z Gipuzkoi, Akwitanii i Dolnej Nawarry. Świadczyła też usługi mniej charytatywne, za to znacznie bardziej lukratywne. Zmieniała właściciela wiele razy, gdyż dochodziło w niej do gwałtownych potyczek, w których zdarzało się ucierpieć samemu gospodarzowi.

Przed wyjazdem zakazałem nierządu w grodzie, przypuszczałem więc, że nie zostaną miło przywitany w zajeździe.

Minąłem stajnie, przed którymi jakiś oparty o ścianę włościanin sycił swoje żądze z klęczącą przed nim grubą dziewczką. Tak mu było spieszo, że nie poszli nawet do alkowy.



Wszedłem do gospody. Gospodyni o małej brodzie i bez nosa sprzątała ze stołów.

– Wina? – zapytała, nawet na mnie nie spojrzawszy.

– Mam się spotkać ze starym przyjacielem. Nie czeka na mnie przypadkiem na górze?

– Wejdźcie, on już zapłacił.

– Dobrze. Zostawcie nas samych. Chociaż... może moglibyście mi pomóc. Czy kupię tu hiszpańską muchę?

Kobieta zaczęła jeszcze energiczniej wycierać stół.

– Chyba pomyliliście przybytki, tu podajemy tylko jedło i napitek. Wasza miłość to hrabia Vela, prawda? Zmartwychpowstały.

– Musiałbym najpierw umrzeć – powtórzyłem po raz setny. – Ale skoro już wiecie, kim jestem, zadam pytanie inaczej: czy mój brat Nagorno ostatnio do was zaglądał?

Gospodyni unikała mojego wzroku. Zagryzła wargi. Czym groził jej Nagorno?

– Ułatwię sprawę: mój brat odwiedza was w piątki, bierze trzy dziewczki i sowicie za nie płaci. Czy zamawiał ostatnio hiszpańską muchę?

– Jeśli jakiś mąż jej nie potrzebuje, to jest nim właśnie wasz brat, przynajmniej tak opowiadają moje dziewczynki. Wiecie, czy jeszcze wróci? Teraz jest przecież człowiekiem żonatym.

– Nie wątpcie w to. To człek przywiązany do tradycji.

Stary zwyczaj nakazywał czcić dzień bogini Wenus w towarzystwie trzech niewiast, świętej liczby dla kogoś, kto, jak mój brat, miał duszę poganina. Nagorno, podobnie jak piszący te słowa, trzymał się swoich obyczajów jak sople lodu dachu, z którego zwisa.

Wszedłem po schodach. U pasa miałem przypięty sztylet. Położyłem dłoń na rękojeści i zapukałem. Usłyszałem kroki na trzeszczącej podłodze i odsunąłem się, zanim drzwi się otwały.

– Diago! – zawołał mój kuzyn Héctor i rzucił mi się w objęcia. –

Wiedziałem, że żyjesz, gdybyś nie wracał dłużej, wyruszyłbym na poszukiwania.

– Wiem.

Héctor Dicastillo był seniorem, jego włości rozciągały się na południe od Victorii. Nasze rody od dawna były spokrewnione. Żył spokojnie w swojej małej twierdzy Castillo i nie miał zamiaru przenosić się do Victorii jak inni możni.

– Przyniosłeś to, o co prosiłem? – zapytałem.

– Tak. Ale musisz mi opowiedzieć, co się dzieje. Czemu nie chciałeś spotkać się ze mną w Victorii?

– Wołałem, żebyś nie trafił na Nagorna, zanim ci wszystkiego nie opowiem.

– Wiedz, że nie poszedłem na zaślubiny przez szacunek do ciebie. Twoja narzeczona...

– To już przeszłość, Hectorze – uciąłem. – Teraz jest jego żoną. Chciałem się spotkać z tobą za miastem, żebyś mi powiedział, czy list od króla Sancha jest sfałszowany.

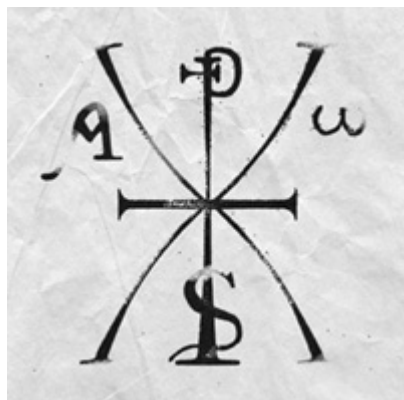
Podąłem mu zwój, on wyjął zza pazuchy dwa zrolowane pergaminy.

– Tu mam listy, w których ustanawia pogłównne i podymne dla mieszkańców Castillo.

– Powiedz: czy sądzisz, że zostały napisane tą samą ręką?

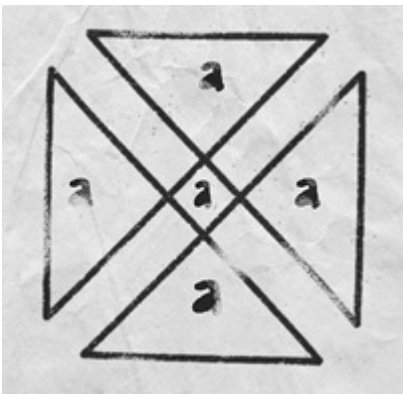
Héctor rozwinął oba dokumenty, ja zrobiłem to samo z listem obwieszczającym moją śmierć.

– Monogram Chrystusa jest identyczny. Podobnie jak krzyż i litera P. Litery alfa i omega. Tak oznacza swoje listy dwór w Nawarze.



Porównywał dalej oba dokumenty.

– *In nomine omnipotentis Dei, ego, Sancius, Dei gratia, rex Navarre...*  
Ten sam incipit. Kto jest podpisany pod listem? – Spojrzał na koniec manuskryptu. – Wierny skryba króla, Fernando: *Ego quoque Ferrandus domini regis notarius eius iussione: han cartam scripsi et hoc signum feci* – przeczytałem.



– To podpis Sancha Szóstego Mądrygo, Diago. Czemuż ogłaszałyby twoją śmierć?

– Nie wiem, ale nie zamierzam wybierać się do Tudeli, żeby to sprawdzać. Przynajmniej nie teraz.

– Dlaczego?

– Po pierwsze boję się, że król znów powierzy mi jakieś zadanie wymagające dalekiej podróży albo wyśle na wyprawę krzyżową. Mam nadzieję, że nie dowie się zbyt prędko o moim powrocie do Victorii. Po drugie widzę, że w grodzie dzieje się coś złego. To nie jest szczęśliwa Victoria, którą opuściłem. Krążą różne plotki. A okoliczności śmierci hrabiego de Maestu wydają mi się podejrzane.

– Czy sugerujesz, że Nagorno mu pomógł?

– Nie. Tego nie powiedziałem. To zbyt nikczemne, nawet dla Nagorna, poślubić jego córkę i otruć go tej samej nocy.

Héctor wstał zdenerwowany.

– Wiesz, że zawsze broniłem Nagorna, ale zupełnie nie zgadzam się z tym, co zrobił z Victorią, kiedy ciebie zabrakło. Gościńce aż huczą od

skarg. Służący, którzy opuścili Villafranca de Estíbaliz i osiedlili się w dzielnicy Sant Michel, skłócili się z zakonnikami, świętopietrze ich dusi, mówią, że chyba nie będą mogli zapłacić daniny.

– Wiem. Mam wrażenie, że szykuje się coś złego. Mieszkańcy, którzy od dawien dawna zaludniają Villa de Suso, podejrzliwie spoglądają na mieszkańców Nowej Victorii. A różne rody robią rozszady i zamieniają się miejskimi bramami tak lekko, jakby przestawiali szachowe pionki. Musimy ich powstrzymać, bo Victoria nam opustoszeje. Będę potrzebował sprzymierzeńców, Hectorze. Lyra stoi po mojej stronie, chce pokoju w grodzie, tak samo jak ja. Gunnarr jak zwykle będzie lawirował, ale na pewno nie zdradzi Nagorna.

– Jesteście z Nagornem braćmi, płynie w was ta sama krew – powiedział Héctor. – Stoję po twojej stronie, ale nie zapominaj, że to tylko gród, miasta można wygrać i przegrać, a raz założone czasem pustoszeją. Od zarania ludzkości ciągnie się łańcuch gwałtu i przemocy, nie powstrzymamy tego. A rodzina trwa i trwa.

– Nie zapominam o tym, Hectorze.

Wstał z rozpadającego się barłogu i schował manuskrypty.

– Chodźmy stąd, zanim nas posądzą o sodomie.

Wychodząc z gospody, zauważyłem chłopca o małej bródce i jasnych jak słoma włosach, który zabijał nudę, rzucając toporkiem do tarczy na patio. Drugi raz dziś widziałem taką brodę.

– Ty jesteś synem gospodyni, prawda?

– Lope, panie. Moja matka Astonga rządzi całym tym interesem. Chcesz poznać jej historię, jak wszyscy?

Podszedłem bliżej. Rzucał toporkiem lewą ręką, dość celnie. Przypominał mi trochę Gunnarra, kiedy jeszcze nie był gigantem.

– Jaką historię? – zapytałem z zainteresowaniem.

– O tym, jak obcięto jej nos.

– Niech zgadnę, tę karę widziałem na Szlaku Apostoła. Robi się tak złodziejkom, ani na ziemiach Kastylii, ani w Leonie nie ma takiego zwyczaju, tu złodziejom obcina się dłoń. Ale jeśli dopuścisz się kradzieży

w gospodzie na szlaku, kara jest surowsza. Kościół w Rzymie nie chce, żeby peregrynację uznawano za niebezpieczną.

- Jesteście, panie, obyci w świecie.
- Czy moje przypuszczenia są słuszne?
- Chcecie poznać prawdę?
- Zawsze. Opowiedz mi ją. Niewielu to ostatnio czyni.

– To historia o biedzie. Słyszeliście ich pewnie aż nazbyt wiele. Moi dziadkowie mieli gospodę na szlaku, zmarli na węglik w młodym wieku, osierocając siedmioro dzieci. Moja matka była najstarsza z rodzeństwa. Zajęła się wszystkimi, mimo że miała zaledwie dwanaście lat. Była niewinna. Jeden pan z Nawarry upił się i ze swoimi rycerzami włamał się do spiżarni. Nie chciał zapłacić, do tego wykorzystał najmłodszą z sióstr. Matka poszła z tym do sądu, napastnik oskarżył ją o złodziejstwo. Wygrał. Jej obcięto nos, gospodę dziadków spalono. Siostry postanowiły nigdy się nie rozstawać. Spróbowały szczęścia w Pampelunie, a w końcu trafiły tutaj. Splacają tę gospodę, pracując, jak umieją. Tu przychodzą ważni mężowie – stwierdził z powagą dorosłego, którym jeszcze nie był. – Kiedy dorosnę, moja matka nie będzie musiała pracować.

Biedny bękart dziwki. Skoro jeszcze żył, skoro nie zostawiono go w lesie, żeby umarł z zimna, znaczyło to, że ojciec, najpewniej żonaty,łożył na jego utrzymanie.

- A jak to zrobisz, żeby mama nie pracowała?

Uśmiechnął się, jakby ukrywał przede mną jakiś sekret. Potem dał mi znak, żebym się zbliżył. Posłuchałem, ale instynktownie moja dłoń spoczęła na sztylcie.

– Potrzebujecie czegoś dla waszej męskości? Odchodzicie, chociaż nie zabawiliście się z żadną z moich ciotek.

Ja szukałem w środku, a dostawca był na zewnątrz.

- To ty sprzedajesz te rzeczy?
- Mam proszek, który rozwiąże wasz problem.
- Róg jednorożca czy hiszpańską muchę?

– O, widzę, że to nie pierwszy raz – powiedział. – Nie sprzedaję rogu jednoroźca. Jest tak drogi, że tylko seniorowie mogą sobie na niego pozwolić. I nie działa. Raz zarobiłem ukąszenie żmii i mało brakowało, a straciłbym rękę. Spuchła, zrobiła się czarna. Prawie znalazłem się w piekle przez cholerny róg jednoroźca.

– Ktoś z miasta wypuścił na ciebie żmiję? Kto to zrobił?

Lope kręcił się niespokojnie. Podszedł do tarczy, żeby wziąć toporek.

– Syn Ruya. Płaskie policzki, purpurowe żyłki na nosie.

– Kto?

– Ruiz de Maturana.

– Młody Maturana?

Ponoć pod moją nieobecność stał się mężczyzną. Jako chłopiec nie cieszył się w grodzie dobrą sławą. Łapał koty, które potem patroszył. Powiadali, że ojciec go bił i że był synem jednej ze służących, które niegodziwy Ruy też potrafił obić.

– Tak, właśnie on. Ale muszę go znieść, kupił wczoraj ode mnie trzy porcje.

– Trzy porcje czego?

– Proszku z hiszpańskiej muchy.

– Jedna wystarczy dla konia.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Może chce mieć zapasy na zimę. Ja nie wnikam, panie. Chcą dla siebie – sprzedaję, jeśli mam. Chcą dla całej drużyny rycerzy – sprzedaję, jeśli mam. To jak, chce pan kupić proszek?

## LAU TEILATU

## UNAI

*Wrzesień 2019*

Położyliśmy spać Debę w jej przytulnym pokoiku. Na zewnątrz było chłodno jak w zimie i szyby okienne zaparowały ze względu na różnicę temperatur.

– Jak to się stało...? – zastanawiałem się na głos.

Siedziałem na drewnianej podłodze w salonie, oparty o ścianę przy drzwiach balkonowych. Alba siedziała przede mną. Czasem prowadziliśmy takie rozmowy poprzetykane długimi chwilami milczenia. Właśnie w tym miejscu i w takiej pozycji. Byliśmy w domu, a jednocześnie mieliśmy widok na to, co dzieje się u naszych stóp na placu w samym sercu miasta.

Alba kupiła ramkę na rodzinne zdjęcie zrobione w dniu prezentacji książki w Villa Suso, a teraz przycinała fotografię, starając się, żeby nasze uśmiechnięte twarze się w niej zmieściły.

Była zamyślona. Wiem, że martwiła się o matkę, ostatnie lata połączyły je jak beton, z tych odpornych nawet na trzęsienia ziemi. Operacja się udała, ale Nieves musiała spędzić jeszcze kilka dni w szpitalu, zanim wróci do Laguardii.

Tamtego czwartku w nocy grupki przyjaciół snuły się po placu Virgen Blanca, szły do Cuesty, na ulicę Cuchillería albo Pintorería w poszukiwaniu rozrywki, by skrócić sobie ten tydzień, który dla mnie równie dobrze mógłby się skończyć w poniedziałek.

Oihana Nájera, młodsza z siostr, przeżyła. Lekarzom udało się ją ocalić, ale uprzedzili nas, że musimy poczekać co najmniej tydzień, aż będzie dość

silna, by z nami porozmawiać.

Tymczasem mieliśmy tylko nowe miejsce zbrodni do przeanalizowania. Według wstępnych ustaleń Muguruzy, szefa techników kryminalistyki, podłoga została zamieciona i umyta. Oględziny mieszkania nie ujawniły żadnych śladów.

Dwie dziewczynki zostały przyniesione w plastikowych workach używanych na budowie. Wiemy o tym, bo w workach znaleziono ich włosy. W tym całym chlewie liczącym sześć metrów kwadratowych, w którym zostawiono dwie dziewczynki bez wody, powietrza i jedzenia na dwa tygodnie, nie znaleziono innych przedmiotów. Zabójstwo z odroczonym terminem wykonania. Skazanie ofiar na śmierć z głodu i pragnienia.

Trzeba być bestią, żeby zrobić coś takiego dzieciom.

Myślałem o tym, obracając w dłoniach ceramiczny model naszego średniowiecznego migdała. Była to typowa pamiątka sprzedawana w sklepikach w całym mieście. Można było wodzić palcem po kształtach domów, kościołów, uliczek i zaułków. Te miniaturki z białej gliny odtwarzały elewacje i pomarańczowe dachy naszej starówki.

Starąłem się patrzeć na nie jak jakiś bożek spoglądający ze swojej powietrznej perspektywy.

– Jak ci się udało, skurwielu, porwać dwie dziewczynki z domu, zabrać je do remontowanego mieszkania i zamurować, pozostając niezauważonym? – wyszeptąłem skupiony.

Alba spojrzała na mnie dziwnie. Była przybita.

Miała za sobą szczególnie trudny dzień. Po operacji Nieves musiała przekazać wiadomość małżeństwu Nájerów. Umiała to robić. Umiała zachować spokój i powagę. Jej pewność siebie dawała rodzicom nadzieję, że odnajdziemy zbrodniarza. Matka ją objęła. Ojciec uderzył pięścią w drzwi tak mocno, że pokaleczył sobie knykcie. Alba mówiła, że umazał wszystko krwią.

Kiedy przyszedłem do domu, jej biały płaszcz suszył się pod prysznicem. Wciąż były na nim ślady krwi. Wyglądał jak malowidło sadystycznego ekspresjonisty. Alba szorowała i szorowała, ale udało się jej tylko pognieść materiał.



Ten dzień zostawił ślad i może trzeba będzie pozbyć się płaszcza i bolesnych wspomnień zapisanych na jego tkaninie.

Nie pozwól, żeby tak cię to przygnębiło. Nie pozwól, żeby te sukinsyny wlaży ci do domu. Często powtarzałem to sobie, odkąd urodziła się Deba. Nie mogliśmy dopuścić, żeby prowadzone śledztwa nas przytłaczały.

Praca i tak kosztowała nas zbyt wiele. Staraliśmy się nie rozmawiać o niej po godzinach. Ale czy naprawdę istniało jakieś „po godzinach”? Zwłaszcza kiedy prowadziliśmy dochodzenie, żeby postawić przed sądem podejrzanych.

Wciąż przyglądałem się miniaturowej makiecie średniowiecznej Victorii, kiedy zadzwonił telefon Alby. Rozległy się dźwięki *Lau teilatu*.

Jak daleko byliśmy od tamtego *Lau teilatu*, którego słuchaliśmy wspólnie pierwszy raz w święto Białej Paniienki, kiedy zostaliśmy parą.

Byliśmy na tym dachu jeszcze kilka razy, ale porzuciliśmy ów zwyczaj, odkąd urodziła się Deba. Nie bardzo mogliśmy wlażyć na dach i zostawiać jej samej w mieszkaniu, nie mieliśmy też dla siebie zbyt wiele czasu, nawet kiedy dziadek, Nieves czy Germán, zajmowali się naszą córką.

I wtedy zobaczyłem to wyraźnie. *Lau teilatu*. Cztery dachy.

Najerowie mieszkali przy ulicy Pintorería, dziewczynki odnaleziono na Cuchillería. Można było przemierzyć tę trasę po dachach.

Wiele domów na starym mieście miało świetliki w dachu, żeby wpuścić trochę światła, o które nie było łatwo na wąskich cechowych uliczkach.

Wziąłem telefon, żeby poszukać widoku z lotu ptaka trochę aktualniejszego niż średniowieczna makieta. Google Earth udzielił mi odpowiedzi.

Alba wróciła do pokoju spokojniejsza.

– Milán dzwoniła ze Szpitala Świętego Jakuba. To tak miło z jej strony, że zgodziła się zostać z mamą, żebym mogła odpocząć. Mówi, że mama śpi, dostała mnóstwo środków znieczulających. Teraz się położy, a rano zajrzę do niej przed pracą. Jeśli chcesz, idź pobiegać o szóstej, a ja pojedę do szpitala, kiedy wrócisz.

Odetchnąłem z ulgą. Moja teściowa była silną kobietą, która wiele w życiu przeszła. Upadek ze schodów nie okazał się wprawdzie bardzo

niebezpieczny, ale z pewnością powrót do sprawności nie będzie łatwy.

Alba znów usiadła naprzeciwko mnie i oparła się o ścianę. Dostrzegła w moich oczach błysk, więc zapytała:

– Co się dzieje, Unai?

– Już wiem, jak porywacz dostał się do środka. Musiał wejść przez świetlik w dachu na klatkę schodową. Tamtędy też wyprowadził dziewczynki. To był koniec sierpnia, wielu sąsiadów wyjechało na wakacje. Nikt go nie widział, zabrał je po dachach do remontowanego mieszkania. W tym budynku też jest otwór w dachu. Ściana, za którą je zamurował, była prawie skończona, zostawił tylko otwór, żeby je tam wnieść i zamknąć. Ta dominikanka też uciekła mi po dachu kościoła Świętego Michała. Poruszała się po nim bardzo sprawnie. Może zabójca zna dachy Vitorii? Może z racji swojego zawodu albo innych okoliczności, które dają mu przewagę.

– Twoja teoria ma wiele mielizn. Wciąż to zbrodnia w zamkniętym pokoju. Nie zapominaj, że mieszkanie było zamknięte od środka. Okna też. A w ogóle, chociaż siedzę w tym tyle lat, nie pojmuję, jak ktoś mógł zrobić coś takiego dwóm dziewczynkom.

– Nie dwóm dziewczynkom, dwóm plastikowym workom – sprostowałem.

– Nie pudruj rzeczywistości. Lekarka sądowa uważa, że kiedy je uprowadzał, obie żyły.

– Wiem. Ale ważny jest modus operandi. Worki są znaczące, bo świadczą o tym, że zabójca ma ludzkie odruchy, nie chciał myśleć, że zabija dwie dziewczynki. Owinął je w worki, chciał o nich myśleć jak o dwóch tobołkach.

– I co z tego wynika?

– Że nie jest pozbawionym empatii psychopata. Ale cel, dla którego odważył się zabić, rekompensuje mu wyrzuty sumienia. To logika zysków i strat, ale zabijanie nie sprawia mu przyjemności, to tylko element jego planu.

Spojrzała na mnie zmartwiona.

– To dobrze czy źle?

– Źle. A nawet bardzo źle – odparłem. – Bo mamy do czynienia z planem, który jest wcielany w życie.

Alba przyjęła moje słowa z niepokojem. Myśl o tym, że możemy się spodziewać kolejnych zabójstw ze średniowiecznym modus operandi jak zamurowanie czy otrucia kantarydyną, nie napawała otuchą.

Ale było coś jeszcze. Alba błędziła myślami gdzieś bardzo daleko ode mnie.

– Co się dzieje, Albo? Musisz w końcu ze mną porozmawiać. Od jakiegoś czasu jesteś zupełnie nieobecna. Mam poczucie, że znów mieszkam sam.

– Zastanawiam się nad tym, żeby wrócić do Laguardii i pomóc mamie.

– Kiedy wyjdzie ze szpitala?

– Tak. Nie będzie w stanie prowadzić hotelu, a to ważne dla rodzin pięciorga zatrudnianych przez nią pracowników. Zbliża się do emerytury i nie ma nikogo, kto poprowadziłby interes. Nikogo prócz mnie. Jako dorastająca dziewczyna zajmowałam się papierami i zamówieniami, teraz też bym sobie poradziła.

– Zaczekaj... Teraz nie mówisz o wyjeździe do Laguardii na kilka dni, kiedy ona wyjdzie ze szpitala, prawda?

Alba westchnęła. Była bardzo odważna, powiedziała wszystko, patrząc mi w oczy.

– Nie wiem, czy chcę dalej pracować w tym zawodzie, Unai. Mam dość bycia oficerem policji. Nie chcę mieć na co dzień do czynienia z tyloma dramatami, obserwować najbardziej tragicznych chwil w cudzych biografiach. Odkąd jest Deba, inaczej patrzę na świat. Mam tylko jedno dziecko, ono ma tylko jedno życie, jedną matkę i jednego ojca. Ty stale narażasz się na niebezpieczeństwo, w Vitorii wszyscy cię znają. A Deba jest córką Krakena. Albo znacznie gorzej.

– Znacznie gorzej? – powtórzyłem, nic nie pojmując. – O czym mówisz? Nie do końca rozumiem, do czego zmierzasz. Mówisz o wypaleniu zawodowym czy o przyszłości Deby? Co masz właściwie na myśli? Chcesz prosić o przeniesienie na komendę w Laguardii? Tam nie będziesz już podkomisarzem. A tylko ty wiesz, jak bardzo musiałaś się napracować,

żeby przebić się przez cholerny szklany sufit. Jesteś legendą policji, najmłodszą kobietą, która dosłużyła się tego stopnia, wszyscy cię szanują. Chcesz się zwolnić i zająć prowadzeniem hotelu matki?

– Tak. Chcę zamieszkać w górach, żyć w spokojniejszym rytmie. Żebyśmy mogli pójść na kolację bez plam krwi na ubraniu. Chcę zamknąć oczy i nie widzieć rozkładającego się ciała nastolatki. Moja matka jest sama i będzie mnie potrzebować coraz bardziej. Chcę spędzić z nią te lata, teraz, kiedy jesteśmy tak bardzo związane. Chcę, żeby Deba dorastała z nią i ze swoim pradziadkiem. Z Laguardii będziemy miały bliżej do Villaverde. Wiesz, jak mocno Deba zżyta jest z pradziadkiem. To by bardzo ucieszyło ich oboje.

– A ojciec? Nie chcesz, żeby Deba dorastała z ojcem? Gdzie jest w tym miejsce dla mnie?

Alba spojrzała na mnie, wciąż jeszcze siedząc na podłodze. W którymś momencie dyskusji musiałem podnieść głos, bo w drzwiach stanęła Deba w swojej piżamce w myszki i z oczami jak spodki.

– Mogę spać z wami? – zapytała niewyraźnie.

– Jasne, maleńka. Tatuś zaraz się kładzie. Albo, jutro o szóstej pójde pobiegać. Zobaczymy się w biurze – powiedziałem i pocałowałem ją w usta.

Delikatnie oddała pocałunek. Wziąłem córkę na ręce i zaniósłem do sypialni, jakbym trzymał w dłoniach mały prezent.

Kiedy miałem za sobą szczególnie paskudny dzień, przynosiło mi ulgę patrzenie, jak śpi. Przypominała mi, że musiałem być dobry w poprzednich wcieleniach, za to nagrodzono mnie tym cudem, maleńkim serduszkim, które biło, dając mi ciepło, którego tak bardzo potrzebowałem.

Ale tej nocy moja córka nie mogła zasnąć.

– Tata, dwadzieścia dwa to dużo cy mało? – zapytała szeptem.

– Zależy czego. Dwadzieścia dwa uściski to mało, daję ci ich rano o wiele więcej. Dwadzieścia dwa pieczone kasztany to dla ciebie dużo. Pamiętasz, co się stało, kiedy zjadłaś cały rożek?

– Dwadzieścia dwa tłupy – powiedziała.

Te trzy słowa wypowiedziane głosem mojej córki sprawiły, że w pokoju zrobiło się lodowato.

– Jak to dwadzieścia dwa trupy, córeczko?

– Kiedy lobiłam siku w łazience, usłyszałam, jak jedna pani mówi, że mój tata ma na kalku dwadzieścia dwa tlupy. Mogę je zobaczyć?

Kurwa mać. A więc o tym mówiła Alba. O to jej chodziło. Dla jednych Deba była córką Krakena, dla innych córką człowieka, który zabił dwadzieścia dwie osoby.

– O nie! Ktoś ci zdradził niespodziankę! – wykrzyknąłem, siląc się na rozbawiony ton.

– Jaką niespodziankę, tato?

– Moje przebranie na Halloween. Chciałem się przebrać za łowcę zombie i mieć na plecach worek z dwudziestoma dwoma kukiełkami zombie. Ale to była tajemnica! Skąd się dowiedzieli?

– Powiedzieli im w sklepie z pseblaniami, tato.

– O tak. To pewnie ich sprawka. Nie będziemy już kupować w tym sklepie, Debo.

Pogłaskałem jej jasnowłosą główkę. Zwykle ją to uspokajało i ułatwiało zasypianie.

– Nie włóćimy tam, tato... – wymamrotała i znów zaczęła oddychać spokojnie.

W progu Alba słuchała nas ze skrzyżowanymi ramionami.

Nie musieliśmy rozmawiać.

Obiecaliśmy to sobie prawie trzy lata temu. Jedna wersja. Bez szczelin. Zawsze i wszędzie. Tylko w ten sposób mogliśmy sprawić, że Deba nie będzie musiała żyć z piętnem bycia córką seryjnego zabójcy.

## ULICA HERRERÍA

## UNAI

Wrzesień 2019

Miałem ciężką noc. Kochałem je obie i obie były tym, co kochałem najbardziej na świecie. Ale nie chodziło o to, że Alba potrzebuje kilku dni, żeby wyjechać na wieś i odpocząć. Zacząłem podejrzewać, że chodzi o coś znacznie poważniejszego.

O piątej nad ranem wciąż wpatrywałem się w znane już na pamięć cienie na suficie. Wziąłem prysznic, włożyłem buty do biegania, wślizgnąłem się do sypialni cicho jak złodziej, żeby pocałować swoje dwie damy, i wybiegłem na asfalt. Włożyłem słuchawki i ruszyłem, słuchając *Cold Little Heart*.

Przez plac Virgen Blanca skierowałem się w stronę parku Florida, kiedy na drodze zobaczyłem dwie dość nietypowe postacie.

Nietypowe, bo jedna z nich nosiła sutannę, co o tej porze wydało mi się dość szokujące. Druga miała rudą czuprynę, którą bardzo dobrze znałem. Zaśmiewali się z czegoś, chociaż nie wydawali się pijani.

– Dzień dobry, panie López de Ayala! Czyżby poranna rundka po mieście? Czy wszyscy mieszkańcy grodu są bezpieczni? – zapytał Alvar radosnym tonem.

Rozpoznał mnie, dopiero kiedy znalazłem się bardzo blisko.

Obrzuciłem Estíbaliz badawczym spojrzeniem. Nic z tego nie rozumiałem.

– Dzień dobry, don Alvar. A może raczej powinienem powiedzieć: dobry wieczór?

– Wczoraj zwiedzaliśmy razem wystawę sutann w Muzeum Sztuki Sakralnej Nowej Katedry i pomyślałam, że pokażę Alvarowi, jak wygląda vitorska noc – powiedziała Esti i spojrzała na telefon, jakby był rozbity. – Już szósta dziesiąta? Nie wierzę.

Tylko ona mogła zabrać księdza w sutannie na nocny rajd po knajpkach. Taka była, działała czysto intuicyjnie. Ale udało się jej wyprowadzić go z wieży na ponad dwadzieścia cztery godziny. Na pewno zapraszając go na kolejne szoty, zdołała go zdiagnozować. Może nie było to działanie ortodoksyjne, ale liczył się efekt. Mieliśmy dwa trupy w prosektorium i jedną dziewczynkę w szpitalu. Nie mogliśmy przebierać w środkach.

– Wiedziałeś, że ulica Herrería nazywała się najpierw Ferrería? Alvar zna wszystkie dawne nazwy ulic naszego średniowiecznego migdała. A Zapatería pisano przez Ç. I Correría nosiła nazwę Pellejería od skór baranów...

– Przeczytaj powieść, Esti. Ale to już – szepnąłem jej na ucho.

Ucisnąłem Alvarowi dłoń na pożegnanie i pobiegłem dalej.

Estíbaliz udawała entuzjazm, który na pewno działał jak wazelina na rozdęte ego Alvara, ale oboje wiedzieliśmy, że jest wytrawną łowczynią, która właśnie podchodzi ofiarę. Ze tej nocy przyjrzała się uważnie Alvarowi poza jego środowiskiem i na pewno sporządzi raport, wyciągając odpowiednie wnioski z jego zachowań.

Dla mojej partnerki czwartkowy dzień pracy jeszcze się nie skończył.

Po południu odwiedziłem teściową w szpitalu i z ulgą stwierdziłem, że wraca do sił. Potem ruszyłem do Valdegoví. Chciałem sprawdzić jeszcze kilka rzeczy.

Zdziwiłem się, że drewniane drzwi do wieży są zamknięte. Zadzwoniłem na telefon stacjonarny, nie odebrała go ani przewodniczka, ani nikt inny. Usłyszałem tylko automatyczną sekretarkę, która zachęcała, żebym zostawił wiadomość.

Zdecydowałem się na archaiczny sposób: zacząłem dobijać się do drzwi. Wiedziałem, że Alvar jest w domu; kiedy parkowałem samochód na parkingu przy fosie, ktoś zamknął okno w jego gabinecie, zasłony ukryły postać.

Pukałem i pukałem, aż kołatka w kształcie pięści zrobiła się gorąca. Postanowiłem, że nie ruszę się stamtąd, póki mi nie otworzą.

– Już idę, już idę – usłyszałem słaby męski głosik, którego nie znałem.

Drzwi się otworzyły.

Byłem przygotowany na to, że poznam jakiegoś innego mieszkańca wieży, ale stanął przede mną Alvar otulony grubym kocem, którym powłóczył po podłodze ganku.

Miał okulary w ciemnych oprawkach i jego jasnoniebieskie oczy wydawały się mniejsze ze względu na szkła krótkowidza. Natychmiast dostrzegłem cienie pod oczami i opuchnięte powieki – niewątpliwy ślad po wczorajszych ekscesach. Nie miał już na głowie żelu do włosów, kręcone kosmyki opadały mu na czoło, zasłaniając prawe oko. Nie wydawały się mu przeszkadzać.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytał.

Jego głos znów mnie zdumiał. Mówił szeptem, jakby starał się nie przeszkadzać matce ucinającej sobie popołudniową drzemkę. Był też wyższy i bardziej młodzieńczy niż ten, którego zapamiętałem. Jak wielka jest potęga kaca.

– Dzień dobry, don Alvarze. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale przyjechałem po...

– Przepraszam, my się znamy? Jesteś z wioski?

– Ach... Nie, nie jestem w wioski, jestem inspektor López de Ayala. Wczoraj byliśmy tu z moją partnerką Estíbaliz Ruiz de Gauną. Czy pan się dobrze czuje?

– Tak, oczywiście. Jestem trochę zmęczony, nie spałem w nocy zbyt dobrze. Ale mów mi na ty, inaczej czuję się staro, a chyba jestem młodszy od ciebie. Chcesz wejść? Claudia dziś nie przyszła. Nie wiedziałem, że wzięła dziś wolne, tak czy siak, nie miała dziś umówionych wizyt. Jesteśmy sami. Wspomniałeś, że jesteś policjantem, mogę ci w czymś pomóc? Tak



chyba mówi się w takich okazjach? – powiedział i jeszcze szczerzej opatulił się kocem. Patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

Zareagowałem dopiero po chwili. Nie mogłem stracić takiej cudownej okazji.

– Tak, owszem, możesz mi pomóc – oświadczyłem. – Wejdziemy do środka, żeby spokojnie porozmawiać? Tu jest dość zimno, prawda?

– Tak, oczywiście. Przepraszam, mam nadzieję, że nie pomyślałeś sobie, że jestem źle wychowany. Wejź, proszę, zaprowadzę cię do swojego mieszkania.

Poszedłem za nim. Tym razem wpuścił mnie drzwiami znajdującymi się na prawo od ganku i ruszyliśmy kamiennymi schodami na górę. Na każdym półpiętrze znajdowały się eksponaty muzealne, na podłodze stały zniszczone ozdobne konsole z wapienia, rozbite kolumny, a nawet wielka wywrócona chrzcielnica, którą trzeba było ominąć, żeby wejść na stopień.

– Ostatni remont – wyjaśnił przepaszającym tonem. – Nie mam pojęcia, gdzie to wszystko pomieścić.

– Nie przejmuj się, niektórzy gotowi są zabić, żeby mieszkać tak jak ty.

Odwrócił się i uśmiechnął trochę zmieszany.

– Przyznaję, że ja też to uwielbiam. Kocham przeszłość i wiem, że ta wieża czy też donżon to kawał historii. Robię, co mogę, żeby być godnym dziedzictwa własnych przodków, a to niełatwe.

Powiedziałbym, że jest rozpaczliwie nieśmiały. Prawie mnie rozczulił. Prawie.

Wiódł mnie labiryntowymi korytarzami wieży. Niektóre rozpoznawałem, inne prowadziły do pokoi, których nie widzieliśmy poprzedniego dnia. Salony wyłożone ozdobnymi *azulejos*, pokoje dziecinne osób, które wieki temu przestały być dziećmi, sale jadalne z zastawą stołową.

Dotarłszy na trzecie piętro, skierował się pewnym krokiem do pomieszczenia na końcu korytarza, zapewne jakiegoś nieznanego mi gabinetu. Kiedy przechodziliśmy obok sali z pejzażami na ścianach, wszedłem, nie pytając o pozwolenie.

– Moja książka! Mam nadzieję, że ci się spodobała, ale to prezent od żony, ma dla mnie ogromną wartość sentymentalną. Tak naprawdę

przyjechałem, żeby ją odzyskać. – I nie czekając na odpowiedź, wziąłem swój egzemplarz *Władców czasu*.

– Ach, więc książka jest twoja – powiedział, patrząc na okładkę, jakby miał przed sobą jajko Fabergé. – Dziękuję, że mi ją pożyczyłeś, na pewno ją kupię. Dopiero zacząłem czytać. Ale, inspektorze, czemu tu przyjechałeś?

– Możemy porozmawiać w jakimś miejscu mniej lodowatym niż ten korytarz, Alvarze?

– Ramiro. Nazywam się Ramiro Alvar. Chodźmy do biblioteki. Trudno mi ogrzać całą wieżę, a sam jestem zmarzluchem. Ale nie zamieniłbym tego domu na żaden inny na świecie.

Poszedłem za nim do jego matecznika. Pomieszczenie było zupełnie inne od tych, które widzieliśmy wczoraj. Dominowały kolor czerwonego wina i różne odcienie szarości. Wystrój wydawał się nowocześniejszy, ale jednocześnie cieplejszy, właściwy dla kogoś obdarzonego dobrym gustem. Przepastny fotel zachęcał do lektury w tym uroczym, odciętym od świata zakątku. Na ogromnym biurku spoczywało wiele tomów, zdążyłem dostrzec *Komentarze do Księgi Praw Alfonsa X* i *Rozmyślenia* Marka Aureliusza. Półki od podłogi do samego sufitu uginały się pod ciężarem książek. Na ścianach wisiały też oprawione pergaminy.

Podszedłem do jednego z nich.

– To zasady nadawania senioratu i dziedziczenia majątku rodu Nogararów. Podpisane przez Ferdynanda Czwartego w tysiąc trzysta szóstym roku – wyjaśnił. – Widzisz tę ciężką metalową pieczęć? To pieczęć królewska: podzielony na cztery części herb z zamkami i wspinającymi się lwami ukazującymi pazury. Na rewersie, którego nie widzimy, widnieje relief króla na koniu. To wprawdzie kopia, ale i tak dokumenty takie jak ten są bardzo cenne. Oryginał znajduje się w Archiwach Dziedzictwa Historycznego Álavy w Vitorii.

Próbowałem odczytać treść dokumentu, ale szybko się poddałem.

– To po hiszpańsku? Nie potrafię tego odszyfrować.

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Trzeba się przyzwyczaić. Ten fragment mówi: „Pod warunkiem, że progu więzienia nie przestąpi ani skazany przez sąd nie zostanie ten, kto ma być głową rodu ludzi prawych”. To najbardziej prywatna część mojej biblioteki. Tu przechowuję testamenty, nadania, powołania, tytuły szlacheckie, dokumenty procesowe. A teraz mi powiesz, co cię tu sprowadza?

– Znam redaktora naczelnego Malatramy, dowiedziałem się od niego, że kiedyś z nim współpracowałeś. Przy jakiejś wystawie Urzędu Gminy Ugarte czy czymś w tym rodzaju.

– Tak. Potrzebowali zgód na publikację różnych materiałów graficznych, a ja im pomogłem. Pruden ma doświadczenie w publikowaniu tego typu książek. Coś mu się stało? Dlatego przyjechałeś?

– Gdzie tam, ma się jak najlepiej. Nie o to chodzi, Alvarze. Będę z tobą szczerzy, autor, który przysłał tę powieść Prudenowi, ukrywa się pod pseudonimem. Wydawca podejrzewa jednak, że to możesz być ty, zważywszy na twoją znajomość średniowiecznej kultury. Co ty na to?

– Ramiro, jestem Ramiro Alvar – poprawił mnie już któryś raz. – I zapewniam cię, że to nie ja wysłałem tę powieść do druku. Mogę przysiąc na swoją rodzinę, że widzę książkę po raz pierwszy. Przyznaję, że dziś zacząłem ją czytać. I znam historię niektórych bohaterów. Ale nie napisałem jej. Dlaczego wydawca pomyślał, że to ja jestem jej autorem, akurat ja? Są setki historyków i literatów, którzy mogliby stworzyć taką historię...

– Powiem ci całą prawdę – przerwałem – nie lubię kłamstw. Pruden otrzymał tekst pocztą elektroniczną, a nasi informatycy ustalili, że wysłano go stąd. Z twojej wieży.

– Co?

Na jego twarzy odmalowały się niedowierzanie, osłupienie i niemal paniczny lęk.

– Ty go wysłałeś?

– Oczywiście, że nie. Nie napisałem tej powieści, nie interesuje mnie jej publikacja. Nie...

– Tak, wiem, nie potrzebujesz tego, to się rzuca w oczy – ubiegłem go.

– Nie to chciałem powiedzieć, to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Powód jest inny. – Westchnął przygnębiony. – Po prostu nigdy nie opublikowałbym akurat tej historii. Musisz mi uwierzyć.

Skulił się pod swoim kocem. Mogłem zadać mu w tej chwili tysiące pytań. Nie pamiętasz, że wczorajszą noc spędziłeś, chodząc od baru do baru w towarzystwie inspektor policji? Gdzie podziała się twoja sutanna? Już nie jest ci gorąco? Ze wszystkich tych kłamstw: które cię powstrzymuje, które cię obciąża, które demaskuje, które rozsadza cię w tej chwili od środka?

Ale pozwoliłem mu samotnie błędzić myślami wśród tego, co tak bardzo go przerażało. Niech poprowadzi mnie przez swój własny labirynt. Czekałem, o co mnie zapyta.

– Inspektorze Unai...

– Unai. Możesz mówić do mnie Unai.

– Czemu inspektor policji przychodzi tu pytać mnie o autorstwo książki? Czyżby ktoś zgłosił naruszenie praw autorskich? – próbował mnie wy badać.

– Chyba się nie zrozumieliśmy. Jestem inspektorem Wydziału Kryminalnego. Specjalizuję się w profilowaniu kryminalnym.

– Profilowaniu... Więc jesteś psychologiem?

– Mam wykształcenie z psychologii kryminalnej, ale psychologiem w ścisłym znaczeniu tego słowa nie jestem.

– Studiowałem psychiatrię. Korespondencyjnie. Mam kilka tytułów uniwersyteckich. Magister historii. Prawa, ekonomii... Sądziłem, że to wszystko mi się przyda, zważywszy na majątek odziedziczony po przodkach. Próbowałem zarządzać kapitałem i dziedzictwem materialnym najlepiej jak umiem. Ale wracając do powodu twojej wizyty: Wydział Kryminalny. Co się stało?

– Kilka dni temu zmarł pewien przedsiębiorca. Przyczyna śmierci była bardzo niecodzienna: zatrucie kantarydyną, średniowiecznym afrodyzjakiem. Wczoraj znaleźliśmy dwie dziewczynki, siostry. Ktoś zamurował je żywcem w mieszkaniu na starówce. Starsza umarła z głodu. Młodsza jest w szpitalu, była o włos od śmierci.

Ramiro Alvar jeszcze bardziej skulił się pod swoim kocykiem. Złapał się za brzuch.

– Dziewczynki? Nie rozumiem. Dlaczego ktoś miałby zabijać dzieci? – zapytał szeptem. Nie mówił nawet do mnie. – Przepraszam, śmierć zawsze robi na mnie wielkie wrażenie. Możesz dać mi chwilę?

– Oczywiście.

Czekałem cierpliwie. On przez długi czas był pogrążony w żalobnych myślach. Oddałbym dwadzieścia dwa pluszaki swojej córki, żeby dowiedzieć się, co dzieje się w tej chwili w jego głowie. Kusiło mnie też, żeby zrobić mu zdjęcie, ale nie znajdowałem sensownego pretekstu, żeby wyjąć telefon.

– Czyli ktoś zaczął zabijać na średniowieczną modłę... – odezwał się w końcu.

– To jeden z wątków naszego śledztwa – przyznałem.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że nie opublikowałem tej powieści. To nie ja skontaktowałem się z wydawcą, a tym bardziej nikogo nie zabiłem. Wyobrażam sobie, że będziesz potrzebował alibi, i z tym oczywiście mam problem. Pracuję praktycznie sam, nie wiem, kiedy doszło do tych zabójstw, ale Claudia potwierdzi, że jestem tu zawsze w czasie jej godzin pracy. Zdarza się, że odwiedza mnie rodzina, oni też potwierdzą moją wersję. Poza tym burmistrz, radni, sąsiedzi z Ugarte... Nie wiem, czego ci potrzeba do twojego śledztwa.

– Dobrze. Będę cię odwiedzał w ciągu najbliższych dni i powoli wyjaśnimy wszystkie te kwestie. Na dziś wystarczy.

Pokiwał głową z ulgą. Odprowadził mnie na dół w milczeniu. Wydawało mi się, że pod bordowym kocem dźwiga na sobie cały ciężar świata.

– Unai – powiedział, kiedy zegnaliśmy się w sieni. Chwycił mnie za ramię. Nie wiedziałem, czy to gest życzliwości, czy raczej prośba o pomoc.

– Bardzo mi przykro z powodu tych zabójstw, naprawdę. Powodzenia w śledztwie.

Ten Ramiro Alvar niewiele miał wspólnego z księdzem kanalią, z którym zabalowała Estíbaliz. Jego gesty i mimika zdradzały

zdenerwowanie, jakby skrywał zbyt wiele sekretów i bał się, że wypłyna przypadkiem w banalnej rozmowie.

Miał jednodniowy zarost, nie był tak starannie ogolony jak wczoraj. I ten głos... ten cichutki głosik, którym przepraszał, że żyje, że zajmuje miejsce na świecie. Na odchodnym rzucił mi błagalne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nie zostawiaj mnie tu samego”. Nigdy nie spotkałem nikogo równie delikatnego.

Nie wiem, co rzeczywiście zobaczyłem w jego jasnych oczach, prośbę o pomoc czy ostrzeżenie, bym uciekał jak najdalej.

Do dziś zadaję sobie to pytanie.

Ruszyłem do samochodu, świadom, że mieszkaniec wieży obserwuje mnie ze swojej strażnicy. Usiadłem za kierownicą i zatelefonowałem do swojej partnerki.

– Esti, żyjesz?

– Jakoś daję radę, jestem w szpitalu z Nieves i dziadkiem. Ona czuje się o wiele lepiej. Pytała o ciebie.

– Zaraz tam jadę. Wyjdź z sali, muszę porozmawiać z tobą o pracy.

Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi i oddech, jak zwykle przyspieszony oddech Estíbaliz idącej korytarzem.

– Już jestem sama. Co się z tobą działo dziś po południu? Nie odbierałeś telefonu. Jakież ciekawe przesłuchanie?

– Superciekawe. Byłem z Alvarem w jego wieży. Opowiedz mi, jakie wnioski wyciągasz po wczorajszej nocy. Brał jakieś narkotyki?

– O ile wiem, nie. Nie traciłam go z oczu ani na chwilę, chyba że szedł do toalety. Nikogo nie znał, nie jest przyzwyczajony do Vitorii nocą.

– Alkohol?

– Ze dwa kieliszki wina. Chyba raczej żeby mi sprawić przyjemność niż z przyzwyczajenia.

– Tylko dwa?

– Tak, tylko dwa – zapewniła.

– Powiedziałybyś, że jest przyzwyczajony do picia?

– Raczej nie, pił dużo wody i często chodził do łazienki. Jakby chciał być cały czas przytomny, zgodził się wypić wino tylko dlatego, że go zaprosiłam. Ale w żadnym momencie nie był pijany ani nawet lekko wstawiony. Zawsze miał wszystko pod kontrolą. Nieustannie czujny, nic mu nie umykało.

– Chciałbym wiedzieć jedno. – Zmusiłem się, żeby zadać to pytanie. – Czy chodzi o pracę? Wyciągasz go poza strefę komfortu, żeby przekonać się, czy ma coś wspólnego z zabójstwami, czy to życie prywatne i nie powinienem się wtrącać?

– A wtrącasz się?

– Czy udaję starszego brata? Absolutnie nie. Umiesz o siebie zadbać i nie zamierzam oceniać twoich upodobań. Rozumiem, że jest...

– Charyzmatyczny?

– Jest królem charyzmy, ale nie tylko o to chodzi. Jest przystojny, uwodzicielski, czarujący... – sugerowałem.

– Mam wam zarezerwować pokój w jakimś hoteliku z ładnymi widokami? – przerwała.

– Nie wygłupiaj się. Chcę tylko powiedzieć, że zrozumiałbym, gdyby cię pociągał.

– Nie mówiłam, że mnie pociąga.

– Nie, nie mówiłaś.

– Powiesz Albie? – zapytała.

– Jako przyjaciółka na pewno by zrozumiała. Jako szefowa raczej uzna to za brak profesjonalizmu z twojej strony. Prowadzimy śledztwo. Ale nie chcę, żeby miała na głowie zbyt wiele zmartwień. Jest bardzo poruszona wypadkiem Nieves i całym dochodzeniem.

– Więc na razie dotrzymasz tajemnicy?

– Nawet jeśli to oznacza, że miałbym okłamywać własną szefową, narzeczoną i matkę swojej córki?

– Tak – odrzekła rezolutnie, chociaż wyczułem w jej głosie szczyptę poczucia winy, które też miałem.

– Znasz odpowiedź. Tak, dotrzymam. Zrobię to dla ciebie – powiedziałem w końcu. – Ale dla nikogo innego, nie chcę okłamywać Alby. I nie przyzwyczajaj się, bo źle się z tym czuję.

– Wciąż mi nie wyjaśniłeś, po co pojechałeś do wieży.

– Zakończyć to, co ty zaczęłaś. Chciałem mu się przyjrzeć w jego zwyczajnym otoczeniu po eskapadzie z tobą. I powiem ci, że nie pamiętał nic. Nawet mnie nie poznał.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się.

– Nie miał dziś sutanny. I wyglądał na sponiewieranego. Sińce pod oczami, nieogolony, mówił, że źle się czuje, ale tłumaczył to tym, że spędził bezsenną noc w swojej wieży. I był kompletnie zdezorientowany w sprawie powieści. Nie pamiętał, że mu ją wczoraj pożyczyłem. Z trudem mi ją zwrócił. Zrobiło mi się go prawie żal, patrzył na nią jak na relikwię. Kiedy opowiedziałem mu o zabójstwach, bardzo się zdenerwował, sprawiał wrażenie autentycznie poruszonego. Co ciekawe, nie zapytał nawet o tożsamość ofiar. Chyba przypadek dziewczynek zdruzgotał go najbardziej. A poza tym to geniusz. Skończył historię, prawo, ekonomię i... psychiatrię. I podkreślił, że wszystkie kierunki były ważne dla zarządzania rodzinnym majątkiem.

– Mów do mnie wolno i wyraźnie, Kraken, bo się pogubiłam. Musisz dawkować informacje, dziś mam trochę spowolniony refleks. Powiedz, czy trafiliśmy na podejrzanego, który cierpi na amnezję?

– Nie mam pojęcia, Esti. Nie mam bladego pojęcia.



## WIGILIA ŚWIĘTEJ AGATY

DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Zmrok już zapadał, kiedy przeszedłem przez Północną Bramę i skierowałem się chyżo na ulicę Pescaderías ku jednemu z najstarszych domów w mieście.

Na brukowanych ulicach pokrytych śniegiem panowały wrzawa i pośpiech. Niezameżne niewiasty biegły do zagród, żeby pozbierać jajka, które delikatnie układały w koszach.

Chłopcy, jeszcze bardziej niecierpliwi i podnieceni niż one, intonowali na próbę swoje przyśpiewki, postukując o kamienne podłoże długimi leszczynowymi kosturami, jakby te wydarte polom gałęzie miały dodać im odwagi przed tym, co ich czekało w wigilię Świętej Agaty.

Zastukałem pięścią w drzwi wejściowe, ale nikt nie odpowiedział. Zmęczony wyczekiwaniem na okrzyk „Wejdźcie” pchnąłem drewniane naszpikowane nitami drzwi i zagwizdałem. Ona wiedziała, że to ja, tyle razy wspinałem się ongiś tymi schodami. Otrzepałem śnieg z butów i wszedłem.

Cienie lizały schody, a moja dłoń znów instynktownie upewniła się, czy sztylet jest na swoim miejscu, odruch niegdysiejszego żołnierza.

Dotarłem na piętro i zastałem ją siedzącą przy oknie. Patrzyła na kłębiącą się na ulicy cizbę.

Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz rozjaśniła się w bezzębny uśmiech.

– Babcia Lucía.

– Diago, mój kochany Diago.

Zmartwił mnie jej cichy głosik. Przez te dwie zimy znacznie się postarzała. Lubiałem myśleć, że czas jest dla niej łaskawy, ale to nie była prawda. Pamiętałem ją jako siwowłosą staruszkę bez kilku zębów, ale i te, które jej pozostały, zdążyły jej wypaść. Wyłysiała jak drzewo orzechowe po pierwszych przymrozkach.

Garbiła się jeszcze bardziej, miała głowę na wysokości piersi. W kąciku przy oknie przedła na pięknym kołowrotku, który zrobił dla niej Lupo, stolarz.

Małe łóżko i niewielki kufer, w którym przechowywała swój ubogi posąg – jakąś lżejszą suknię na lato, parę cizemek, w których schodziła na ulicę – stanowiły cały jej majątek.

Podszedłem do niej – obok babci Lucii zawsze stał pusty stołek dla gościa.

Wielu sąsiadów z Victorii zaglądało do niej codziennie. Słuchała cierpliwie o cudzych problemach, sprzeczkach, grzechach, o których jej rozmówcy nie wspominali nawet spowiednikowi; ona nigdy nie robiła nikomu wyrzutów, nikogo nie potępiła, bo w swoim długim życiu widziała już wszystko.

– Przyniosłem ci kasztany od Hectora, upiekę je – powiedziałem, podchodząc do paleniska.

Szczypczykami ubiłem tłące się drwa, sięgnąłem po sztylet, ponacinałem kasztany i umieściłem je w dogasającym ogniu.

– Tylko ja nie uwierzyłam ani na chwilę, że nie żyjesz – powiedziała, ściskając pełnymi palcami moje dłonie.

– Och, jak tu przyjemnie i ciepło, babciu – szepnąłem, siadając obok niej.

Nie była wprawdzie moją babcią, ale znałem ją od dawna i, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Villa de Suso, traktowałem ją jak własną babcię.

– Czy pachnie pieczonymi *chinchortas*? – zapytała nagle, podekscytowana jak mała dziewczynka.

Instynktownie uniosłem głowę, po schodach wspinał się słodki zapach ciasta i drożdży. Poczuję się na chwilę tak, jakbym znów znalazł się

w domu, którego od dawna nie miałem.

– Babciu Lucío, to ja – krzyknął ktoś z sieni.

– Powiedz, żeby weszła – poprosiła. – Ja mam za słaby głos, dostaję potem chrypki.

Delikatne światło żarzących się dREW i świecy pozwalało dojrzeć jedynie ciemną sylwetkę osoby, która zbliżała się do nas z tak cudnie pachnącym przysmakiem.

– Pieczecie kasztany? – zapytała.

– Alix de Salcedo? – rozpoznałem właścicielkę czepka z trzema rogami.

Jeden róg dla mężatek, dwa dla tych, co dwukrotnie owdowiały, trzy dla tych, co pochowały trzech mężów.

Wstałem, żeby ustąpić jej miejsca, a ona chętnie usiadła.

– Nie mówcie mojej babci, że czasem zdejmuję czepiec – szepnęła z uśmiechem, przechodząc obok mnie, a potem, znacznie głośniejszym głosem, zaproponowała: – Dołączcie do nas, panie? Gdzie naje się dwoje, naje się i troje.

Jak miałem odmówić? Podsunąłem skrzynię i usiadłem naprzeciwko nich.

– To naprawdę wasza babcia? – zapytałem zaintrygowany.

– Tak naprawdę to babcia mojej babci. Twierdzi, że była małą dziewczynką, kiedy zbudowano mury w czasach króla Walecznego.

– Jaun Belaco, twój pradziadek – powiedziała babcia Lucía z pełnymi, choć bezzębnymi ustami – zapłacił za mur z pieniędzy zarobionych w warsztacie kowalskim i sprowadził mistrzów murarskich z Estelli. Poza tym czterdziestu parobków i dziesięć dziewcząt, poganiaczy wołów i dostawców żywności. Pracowali za dniówkę. Płacił dwadzieścia denarów każdemu, kto miał zwierzę, siedem tym, co nie mieli. Ja nosiłam wodę ze studni, płacił mi cztery denary. Budowa trwała dziesięć lat, zanim ukończono mury. Wielu zamieszkało w grodzie, Villa de Suso zaludniła się, przybyli tu na przykład Graciana de Ripa, Pero de Castresana, Bona de Sarasa... Niektórzy z tych, co dziś wieczorem będą się do ciebie zalecać, są ich potomkami, Alix. Jaka szkoda, że hrabia umarł w kwiecie wieku. Ja byłam wtedy dziewczynką, ale byłam w nim zakochana, długo po nim

płakałam. Troszczył się o podwładnych, w tamtych czasach nie mieszkało nas tu więcej niż dwie setki i wszyscy byliśmy spokrewnieni. Pamiętam, że był bardzo do ciebie podobny, i wiele lat potem jego wnuk także przypominał cię. Te same niebieskie oczy. Nawet pachniecie tak samo.

Alix spuściła wzrok i powstrzymała się od uśmiechu, kiedy usłyszała o tym zapachu. Jeśli była w tym jakaś aluzja, nie zdołałam jej pojąć.

– A czemu nie pamiętam was z czasów, kiedy opuszczałam gród dwa lata temu?

– Miałam szesnaście lat, panie, ale rozkwitłam późno. Bardzo się zmieniłam przez te dwie zimy.

– Dwie zimy i trzech mężów? – rzuciłam bez zastanowienia. Już po chwili pożałowałam swoich słów. – Wybacz, pani, pewnie macie dość pytań o zmarłych małżonków.

– Tak, wiem, co o nas mówią: „Krzepka wdówka wyjść za mąż musi, inaczej lepiej ją zamurować albo pochować”.

– Nigdy nie lubiłam tego powiedzenia. Jaki niegodziwiec śmiał się z was tylko dlatego, że pochowaliście trzech mężczyzn?

– Wszystko jedno, było ich kilku. Wolę opowiedzieć wam sama, zanim usłyszycie to od innych. Poślubiłam Liazara Diaza, był równie młody jak ja. Zabrał go ogień Świętego Antoniego. Miał piec chlebowy przy ulicy Tenderías. Upierał się, żeby samemu ważyć worki ze zbożem, chociaż mieliśmy od tego służącego. Był bardzo żwawy, nigdy nie narzekał na zmęczenie. Kiedyś znalazłam go w spichrzu, poruszał się tak, jakby diabeł go opętał. Opiekowałam się nim, nie mówiłam nic nikomu z wyjątkiem babci Lucii. Zaczął widzieć statki płynące ulicami i drzewa schodzące z wysokich gór. To wasz kuzyn Gunnarr powiedział mi, że jęczmień ze spichrza jest zakażony sporyszem. I że na ziemiach Normanów widział, jak wojownicy zażywają go specjalnie, żeby mieć wizje jak święci, a w bitwie bezlitośnie rozprawiać się z nieprzyjaciółmi. – Zacisnęła zęby.

Babcia wzięła ją za rękę, wiedziała, że wspomnienia wciąż bolały.

– Płakałam po Liazarze, gdy umarł. Zaczęłam zarządzać piekarnią, żeby mieć zajętą głowę. Ale byłam w ciąży i mój szwagier Esteban zaczął zalecać się do mnie dokładnie dwa lata temu, w noc świętej Agaty. Szybko

wzięliśmy ślub, a ja nadal pracowałam w piekarni. Ale, jak wiadomo, nieszczęścia chodzą parami. Mój mąż popadł w letarg, nie wstał już z łoża, w końcu przestał oddychać. Z rozpaczy straciłam dziecko jego brata, które nosiłam w łonie. Potem był Ximeno Celemín, płatnerz z kuźni Lyry Veli. Spędzaliśmy całe dni przy piecach, ja przy piecu chlebowym, on przy swoich zbrojach i nitach. Pół roku temu wybuchł pożar, powiadają, że ktoś specjalnie zaproszył ogień, kiedy powiał wiatr z południa. Plotka głosi, że to sprawka Mendozów, tych, co mieszkają przy ulicy Çapatería. Po tym, jak zginął w płomieniach, wasza siostra Lyra poprosiła, żebym zaczęła pracować w kuźni jak mój ojciec. I tak też się stało.

– W tym mieście za każdym razem, gdy spotyka nas jakieś nieszczęście, zawsze pojawi się oskarżycielski palec, który wskaże na sąsiadów po drugiej stronie murów – stwierdziła smutnym tonem babcia. – Przeklęte mury. Nie możesz zburzyć tego, co wzniósł twój pradziadek?

– Mury nas chronią, babciu – zauważyłem.

– Przed kim?

– Przed nieprzyjaciółmi z zewnątrz.

– Nigdy nas nie zaatakowano.

– Cztery wieki temu, kiedy mieliśmy tylko kuźnię, studnię i dom, w którym zamieszkiwał cały ród Vela, Saraceni najeżdżali nas po zniwach. Te rajdy pozbawiały nas wszystkiego. Nawet nie próbowaliśmy opróżnić spichrzy. Opuszczaliśmy swoje siedziby, z kobietami i dziećmi kryliśmy się w górach, a po odejściu wroga zaczynaliśmy wszystko od nowa. Aż któregoś roku Saracenom było mało. Spalili wszystko. Domy były z lichego drewna, dachy kryto strzechą. Ale ród Vela przetrwał. Budowaliśmy coraz bezpieczniejsze domy na coraz wyższych, murowanych cokołach. Jednak mury okazały się konieczne. Saraceni mogą wrócić, choć raczej nie teraz, nie za rządów obecnego króla, tak biegłego w sztuce dyplomacji. Kastylijczycy pewnie nie zaatakują, król Alfons Szlachetny dotrzymuje podpisanych traktatów. Ale miasto potrzebuje murów.

– A kto nas powstrzyma przed zabijaniem się nawzajem, mój młody Diago? Kto pogodzi tych ze starej Gasteiz i tych z Nowej Victorii? Możliwych, którzy chcą pobierać myto, i kupców pragnących w pokoju sprzedawać swoje towary?

– Nikt nikogo nie zabija, babciu.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała i spojrzała na ulicę.

Blask pochodni wlewał się przez okno i złocił jej stuletnie nici.

Ale zabrzmiało to raczej jak: „Ależ oczywiście, że tak, sam wiesz o tym najlepiej”. Wstałem niespokojnie ze skrzyni, żeby wyjąć kasztany z paleniska. Alix pospieszyła mi z pomocą.

– Chciałbym was o coś zapytać. Chodzi o tę noc, kiedy wróciłem – powiedziałem cicho, przewracając kasztany szczypcami. – Z kim wznosił toasty hrabia de Maestu podczas pokładzin? Nie zwróciłem na to uwagi, byłem zaprzątnięty... czym innym.

– Ze szlachcicami: braćmi Ortiz de Zárate i z Ruizem, synem Ruya de Maturany. Ale to nie była przyjacielska pogawędka, ostatnio kłócili się o wszystko w radzie.

– Więc Ruy de Maturana uzyskał przed śmiercią szlachecki tytuł? – zapytałem zdziwiony.

– Przez małżeństwo: miał siedmiu synów, ostatni urodził się tuż po waszym wyjeździe. Ale wszyscy poumierali, oprócz Ruiza oczywiście.

– Dziękuję, że mi to opowiadacie. Dziękuję też za kolację – powiedziałem, schylając się i wyjmując kasztany spomiędzy żarzących się drew.

– Widziałam, jak wchodzicie przez Północną Bramę i zmierzacie do domu babci Lucii. Chciałam poprawić wam nastrój, chociażby tylko na chwilę. Podczas pogrzebu hrabiego de Maestu poczułam od was tak silną woń samotności, że postanowiłam przygotować coś, co was podniesie na duchu.

Uniosłem wzrok na wpół zmieszany, na wpół zdziwiony.

– Nie martwcie się o mnie. Tułałem się przez pełne pyłu gościńce, ale jestem już z powrotem w domu. Wśród swoich.

– A jednak macie zbolełą duszę. Byłam z wami na pokładzinach Onneki i waszego brata. Nigdy nie widziałam oczu tak smutnych jak wasze. Oczywiście wdowca, miałam takie spojrzenie, kiedy straciłam Liazara.

Wyprostowałem się skonfundowany.

– Nie jestem wdowcem, moja dobra Alix. I życzę bardzo długiego życia mojemu bratu i jego żonie.

Podałem jej kilka gorących kasztanów. Jej dłonie, przyzwyczajone do kowalskiego pieca, nie cofnęły się przed ciepłem. Przeciwnie, poczuła coś i zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej.

– Zawsze pachniecie lawendą, ale dziś zapach jest niezwykle intensywny. Wytarzaliście się w niej?

Wspomniałem krzewy lawendy porastające mój pusty grób obok opuszczonego młyna. Wspomniałem, jak leżę na nim na plecach, mając na sobie ciężar Onneki, i starałem się jak najszybciej odpędzić to wspomnienie.

– Chodźmy, babcia na pewno jest głodna – odparłem.

– To nie tylko lawenda. Pachniecie też mąką, spleśniałą mąką... Ach, mój dobry hrabio!

– Co?

– Pachniecie kobietą. – Pokręciła głową i spojrzała na mnie z politowaniem.

Z garścią ciepłych kasztanów ruszyła do kąta, w którym siedziała babcia.

– Chyba będę musiała upiec placek z jelenia waszemu bratu na pocieszenie – mruknęła pod nosem.

Babcia patrzyła uważnie na fale młodzieńców przelewające się ulicą, żując chinchortę swymi bezzębnymi szczękami.

W milczeniu, którego nie potrafiłem rozszyfrować, otworzyła skrzynię i wyciągnęła z niej czerwony motek. Potem wsunęła rękę pod fałdy sukni i wyjęła z ukrytej kieszeni sztylet, ucięła trzy nitki z motka i przytrzymując je kolanami, zaczęła zaplatać.

Nie pytaliśmy, co robi, jedliśmy kasztany, rozmawiając o ostatniej śnieżycy.

Umilkliśmy, kiedy rozdzwoniły się dzwony kościoła Najświętszej Marii Panny. Ich dźwięk miał odstraszać *gauekos*, nocne widma. Kazałem proboszczowi Vidalowi, szczupłemu i posłusznemu młodzieńcowi, który

zgadzał się na wszystko, żeby zgodnie ze zwyczajem podarował kawalerom po dzbanie wina.

Rozległa się przyśpiewka. Co roku kawalerowie rozpoczynali swoje święto na cmentarzu przy studni, a stukot ich kosturów, rytmicznie bijących w kamienne płyty, niósł się echem po całym mieście.

Alix nie chciała wyglądać przez okno, chociaż to właśnie do domu babci Lucii mieli zapukać najpierw. Uroczyste głosy samotnych młodzieńców zaśpiewały:

*Z Bożym przyzwoleniem  
I za burmistrza zgodą  
Idziemy pannom hołd składać,  
Nikommu nic złego nie robiąc.*

Kiedy dudnienie lasek umilkło, zapadła grobowa cisza. Młodzieńcy czekali na swój poczęstunek.

– Możecie wy znieść im te pęta chorizo? – zapytała Alix.

– Nie chcecie się im pokazać? – zapytałem zdziwiony.

– Nie chcę więcej mężów. Tak postanowiłam.

– Ale jesteś, pani, jeszcze bardzo młoda.

– Może i młoda, ale żałoba uczyniła mnie staruszką. Wyprawiałam więcej pogrzebów niż inni przez całe życie. Poza tym już przy drugim mężu pojawiły się szeptki. Kiedy zmarł trzeci, mężczyźni zaczęli spoglądać na mnie spode łba, z lękiem. Słyszałam, że chcieli mnie oskarżyć o trucicielstwo, ale wielu sąsiadów z Villa de Suso pracuje w kuźni i nie dadzą sobie rady bez dniówki. To też niektórych drażni. Ale nic ich nie powstrzyma, jeśli owdowieję po raz czwarty. Myślicie, że ktoś mi uwierzy, kiedy zechcą mnie powiesić za mężobójstwo? Zejdźcie, mój dobry hrabio, ja zostanę z babcią.

– Dobrze, nie bójcie się. W gruncie rzeczy zamierzałem przyłączyć się do młodzieńców – zapewniłem pospiesznie.

– Wy, panie? Jesteście pewni?



– Jestem kawalerem, czyż nie? – odparłem z uśmiechem. – Ale muszę prosić cię, pani, o przysługę. Zejdźcie ze mną do sieni. Ja im dam chorizo, nie zobaczą was.

– Jeśli muszę – powiedziała bez przekonania.

Wzruszyła ramionami i poszła za mną po schodach.

W mrokach sieni próbowałem wymacać jakiś kij, który mógłby mi posłużyć za kostur.

Pogrążeni w ciemnościach obserwowaliśmy kawalerów, którzy tłoczyli się na zewnątrz z pochodniami. Tej nocy Matka Pełnia świeciła tak mocno, że mogliśmy dojrzeć oblicza ich wszystkich.

– Ruiz to ten z wyłupiastymi oczami, prawda? – szepnąłem Alix na ucho. – Nie widziałem go jeszcze od swojego wyjazdu.

– We własnej osobie. Na pewno dziś liczy na nagrodę w jakiejś stodole – mruknęła Alix, nie patrząc na mnie.

Na ulicy ze dwunastu młodzieńców, śmiejąc się, rozważało, czy następnym domem, do którego zapukają, będzie dom Marii Bermúdez, czy Sanchy de Galarreta, najstarszej córki pończosznika.

Wyszedłem na ulicę z koszykiem chorizo. Kilku chłopców załadowało je do wielkiego kosza, który tej nocy zapełnić się miał bochnami chleba, jajkami i królikami.

– Idę z wami – powiedziałem, stając obok Ruiza de Maturany.

– Senior Vela, jak się cieszę, że wróciliście. Wielu tęskniło tu za waszą miłością – zagaił z szerokim uśmiechem. Zbyt szerokim i zbyt nerwowym.

– Znałem waszego ojca, dobry był z niego człowiek.

– Tak, był dobrym człowiekiem – potwierdził bez przekonania.<sup>3</sup>

Ruszyliśmy ku następnemu domowi, stanęliśmy w półokręgu i zaintonowaliśmy kolejną przyśpiewkę w rytm uderzeń w bruk topornych kosturów znaczących ślady na śniegu.

*Tej nocy Świętej Agaty*

*W domach siedzieć nie możemy.*

*Chłopcy z tego miasta*

*Do panien pielgrzymujemy,  
Jak już nasi przodkowie  
Mieli to w zwyczaju  
Po to, by ich potomkowie  
Też nie pozapominali.*

Jasnowłosa dziewczka i jej matka wychyliły się z okna na piętrze. Poznałem kobietę, to była Milia. Zwykła zajmować się ustawianiem gromnic w kaplicy podczas pogrzebów i zbierała chleb na ofiarę. Nigdy nie brakło jej zajęcia, zwłaszcza w zimie. Mimo swego fachu była pogodną kobietą, lubiła dowcipkować. Gdy córka Milii zrzuciła wielki bochen chleba, młodzieńcy przepychali się łokciami, żeby schwytać go w locie, a potem chórem dziękowali dziewczynie.

– Waszego ojca i mnie łączyły interesy, nie wiem, czy teraz to wy zajmujecie się tymi sprawami – szepnąłem na ucho Ruizowi, kiedy wśród śmiechów kontynuowaliśmy nasz obchód.

– Jakimi sprawami?

– Męskości. Nie będę owijał w bawełnę: potrzebuję majki lekarskiej.

– Mam szczyptę zaledwie.

– Potrzebuję dwóch albo trzech.

– Więc będziesz musiał, wasza miłość, udać się do gospody La Romana.

– Stamtąd przybywam.

Odciągnąłem go na bok, młodzieńcy szli w kierunku Południowej Bramy i nie zwrócili uwagi na dwa cienie pozostające w tyle.

– Więc nie wiem, czego ode mnie chcecie. – Rozłożył ramiona i zagwizdał nieznaną mi melodię.

– Żebyście mi wyjaśnili, co zrobiliście z trzema szczyptami, których nie oddaliście, ale ich nie macie.

– Użyłem ich z pewną męzatką, nie powiem jej imienia, żeby rogacz mnie nie dopadł i nie obił kijami.

– Kłamstwo. Szczypta utrzymałaby was w formie przez dwa dni i dwie noce. Zrobiliście zakupy trzy noce temu. Zastanów się dobrze nad

łgarstwem, którym mnie poczęstujesz, młodzieńcze, bo sprawa jest poważna.

– A co może być poważnego w zażywaniu tych proszków?

– Na przykład mogłeś je wrzucić do kielicha hrabiego de Maestu i dlatego zmarł z przepalonymi wnętrznościami.

Uśmiechnął się i ten uśmiech w ogóle mi się nie spodobał. Ciągłe się uśmiechał. Nie było sposobu, żeby uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Tego nie da się udowodnić.

– To już zostało udowodnione. Mogę jeszcze raz wyjąć wnętrzności hrabiego i pokazać je rajcom.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zgrzeszyłem podwójnie, rozpustą i skąpstwem. Mam jeszcze dwie szczypty, nie chciałem się nimi dzielić na wypadek, gdyby po dzisiejszej nocy nastąpiło wiele kolejnych. Ale jesteście moim seniorem i słyszałem wiele o waszym przenikliwym umyśle, nie sposób was oszukać. Dam wam szczyptę, którą mam przy sobie – drugą trzymam w domu – a wy odwdzięczycie się sowitą zapłatą. Dziś zamierzam się zabawić z młodszą córką wytwórcy noży. Potrzymaj mi pochodnię.

Podał mi drzewce i odeszliśmy w stronę ogrodu Pera Vicii, powroźnika. Wyjął spod kaftana niewielką skórzaną sakiewkę, podszedł do mnie i gwizdnął.

Podał mi sakiewkę. Byłem czujny, ale nie zareagowałem w porę. Przekłęty młokos zamachnął się kosturem, gdy ja sprawdzałem, co jest w sakiewce, i rąbnął mnie we wrażliwe części ciała.

Nie mogłem złapać tchu. Zwinąłem się wpół i nagle rzuciły się na mnie dwa cienie przybyłe nie wiadomo skąd. Upadłem, Ruiz deptał mi po głowie. Spuścili mi tęgie lanie, po czym dwaj zniknęli gdzieś za moimi plecami, Ruiz zaś uciekł w stronę muru, zostawiwszy mnie rozciągniętego na ulicy Tenderías.

Wstałem z ogromnym trudem. Pochodnia zgasła na śniegu, ale ten sam śnieg sprawiał, że było dość jasno. Powlokłem się do bramy przy zbrojowni.

Szedłem po śladach butów Ruiza. Było mi niedobrze, musiałem trzymać się za żebra. Nie wypuszczałem kostura z rąk, teraz był mi potrzebny

bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Złapię zabójcę twojego ojca, Onneco. Mogłem myśleć tylko o tym. O Onnece, o proszkach, o jej ojcu.

W oddali słyszałem wrzawę, szedłem zaułkiem Armería, wsłuchując się we wszystkie odgłosy, wiedziałem, że Ruiz czai się w pobliżu.

Wielka brama broniąca wstępu do Villa de Suso wychodziła na drogę łączącą Cruz Blanca z wioską Ali. Była zamknięta. Nie zauważyłem nikogo na murach. Zrozumiałem, że wartownicy przyłączyli się do obchodu młodzieńców i nie mogę liczyć na ich pomoc.

Zbliżyłem się do schodów prowadzących na wieżę. Tu ślady się urywały. Zacząłem walić na oślep swoim długim kosturem i nagle ktoś, kogo nie widziałem, wyłonił się z cienia, próbując wymierzyć mi kopniaka w twarz – tym razem zdołałem zrobić unik – i wspiął się po schodach na mury.

Ruszyłem za nim mimo obolałych żeber i świdrującego bólu głowy.

– Stój, Ruiz! – krzyknąłem, ale on się nie zatrzymał.

Biegł, próbując dotrzeć do drugiej wieży.

Ktoś musiał usłyszeć moje krzyki, bo na drodze wyrósł mu strażnik grożący piką. Chłopak stał teraz między nami.

– Dobrze, poddaję się! – krzyknął Ruiz.

Ale kiedy podszedłem, syn Ruya skoczył z muru poza obręb miasta.

Dwadzieścia pięć stóp. Oceniłem, że powinien przeżyć upadek. Sam byłem jednak zbyt obity, żeby skoczyć za nim. Chłopak przekoziółkował po trawie i wstał. Ująłem kostur jak lancę, wycelowałem i rzuciłem. Matka Peñia znów mi pomogła, leszczynowy kij trafił Ruiza w plecy i powalił na ziemię.

– Otwórzcie bramę i chodźcie ze mną – rozkazałem strażnikowi. – Musimy zaprowadzić Ruiza de Maturanę do więzienia.

– Pod jakim zarzutem, panie?

– O to jeszcze rozpytamy w grodzie. Ja oskarżam go o zabójstwo hrabiego Furtada de Maestu.

## SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA

## UNAI

*Październik 2019*

- Dziewczynka umarła – powiedziała Esti, kiedy odebrałem telefon.
- Umarła? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

Upłynął już ponad tydzień od jej uwolnienia i właśnie jechałem do szpitala. Liczyłem, że zeznanie Oihany rzuci jakieś światło na to, kto porwał dziewczynki.

– Jej organizm nie dał rady, była zbyt odwodniona, kiedy ją znaleziono. Tak czy siak, chociaż uszkodzenia mózgu były bardzo znaczące, dzielnie walczyła. Do tego poranka. Cierpiała na niewydolność wielonarządową. Lekarze powiedzieli, że wdychanie dwutlenku węgla przez tyle dni okazało się śmiertelne. Nie wyobrażasz sobie, jaka czuję się teraz bezsilna – ciągnęła moja partnerka.

Jej słowa spadały na mnie jak lawina kamieni. Znałem ją dobrze, nie musiałem mieć jej przed sobą, żeby wyobrazić sobie jej wściekłość.

- Gdzie jesteś? – zapytałem.

Nie miałem ochoty na przeciąganie tej rozmowy.

Dwie dziewczynki zamurowane żywcem.

Przeklęte piekło.

– W Szpitalu Świętego Jakuba, w jej sali. Zajrzałam, żeby o nią zapytać...

– Zaczekaj tam na mnie, jestem niedaleko. Przyślij mi na WhatsAppie numer sali – rzuciłem i rozłączyłem się.

Nie chciałem rozmawiać o tym przez telefon.

Przemierzyłem szybkim krokiem ulicę Postas i przekroczyłem próg szpitala, budynku o białych łukach i mozaikowych podłogach. Wtedy zadzwoniła Alba.

– Unai, umarła! Jestem tutaj, w szpitalu – powiedziała kompletnie przygnębionym głosem.

Chyba pierwszy raz była bardziej zdruzgotana niż ja.

– Wiem, wiem o tym. Właśnie się dowiedziałem, jestem na dole. W jakiej sali jesteś?

– Przenieśli ją dziś w nocy. W trzysta siedemnastej.

– Już biegnę.

Za każdym razem, kiedy ofiarą morderstwa padało dziecko, wszyscy czuliśmy się ogromnie przybici. Dla mnie i Alby było to pierwsze śledztwo z małoletnimi ofiarami, odkąd sami mieliśmy dziecko. Nie ma kursu, który dałby ci narzędzia, żeby sobie z tym poradzić. Chyba potrzebowaliśmy po prostu czasu, żeby rana mogła się zabiliżnić.

Spodziewałem się, że zastanę na miejscu Estíbaliz i rodziców dziewczynki, ale ujrzałem tylko Albę. Siedziała na kanapie z zielonej skóry. Kompletnie załamana.

Na łóżku nie leżała dziewczynka. Leżała na nim Nieves, matka Alby.

Biała dama, która przegrała ze śmiercią.

– Co się stało? – zdołałem wyjąkać.

– Udar mózgu. Bardzo rozległy. Nie mogli nic zrobić.

Alba powtarzała głośno wyuczone na pamięć słowa. Bardzo powoli. Żeby ich nie zapomnieć. Tarcza, cudowna kwestia, jak te wypowiedane ze sceny przez jej matkę.

Przytuliłem Albę, ten pień, którego nic nie mogło powalić. Nie potrzebowaliśmy słów. Dwie sieroty na pierwszej linii ognia, jak mawiał dziadek. Teraz byliśmy naprawdę sami. Bez matek i bez ojców. Zupełnie sami.

Obejmowałem ją mocno, a ona myślami błędziła gdzieś bardzo daleko.

Bardzo daleko.

Kilka żyć później, dwadzieścia jeden minut według mojego telefonu, Alba wróciła do mnie i zaczęła mówić nedorzecznosci, które znosiłem ze stoickim spokojem.

– Wiesz, o czym rozmawialiśmy, kiedy widziałam ją po raz ostatni? Opowiadała mi, że ten szpital nazywał się kiedyś Virgen del Cabello, zgodnie z wolą Marii Sarmiento, żony Fernana Pereza de Ayali. Mieli we krwi instynkt obrony tego miasta. Tak jak ty, nie unikniesz tego. Jeśli w Vitorii ktoś zginie, nie usiedzisz z założonymi rękami w komisariacie w Laguardii. Cierpiałbyś, nie mam prawa prosić cię, żebyś zaprzeczył swojej naturze. Taki jesteś, nie chcę skazywać cię na frustrację do końca życia. Myślę, że moja matka znalazła w życiu szczęście. Wiesz, co zawsze mi powtarza? „Bądź osobą, którą tylko ty możesz być”. Tylko ty możesz robić to, co robi Kraken, tylko ty potrafiłeś rozwiązać zagadkę podwójnej zbrodni w dolmenie dwadzieścia lat później. I doprowadzić do końca śledztwo „Rytuały wody”. Tym jesteś, to umiesz robić.

– Zostawiasz mnie? – wyszeptalem.

– Nie. Ale nie mogę żądać od ciebie, żebyś wspierał moją decyzję.

– Oczywiście, że będę cię wspierał! Jak mógłbym postąpić inaczej? Jestem z tobą, możesz na mnie liczyć. Zabierzesz Debę?

Pokiwała głową.

– Jeśli się zgodzisz, wypiszę ją z przedszkola i przeprowadzi się ze mną. Mam kilka dni zwolnienia z powodu śmierci mamy. Poproszę Estíbaliz, żeby pokierowała śledztwem. Macie przed sobą mnóstwo pracy, mało śladów fizycznych i trzy zbrodnie bez wyraźnego motywu.

– Wiem.

– Będziesz nas odwiedzał codziennie?

– To pięćdziesiąt minut samochodem. Nie rozdzieli nas pięćdziesiąt minut jazdy samochodem.

## NOWA KATEDRA

## UNAI

*Październik 2019*

Pogrzeb Nieves skończył się w południe. Estíbaliz też była bardzo poruszona. Musiałem ją powstrzymać, kiedy za plecami Alby zaczęła z wściekłością kopać pustą niszę. Alba przeczytała wiersz Mai Angelou: „...i mimo wszystko podnoszę się jak pył”. Ja pojechałem do Vitorii. W pewne bardzo konkretne miejsce Vitorii. Na schody Nowej Katedry, gdzie spodziewałem się zastać młodego skejta.

Naliczyłem ich dziewięciu, niezła banda. Czapki z daszkiem, bluzy z kapturem, piercing.

Ani śladu MatuSalema.

Matu był moim nieoficjalnym doradcą informatycznym. Z jego usług korzystałem, muszę to podkreślić, tylko wtedy, kiedy było to naprawdę konieczne, a Milán dochodziła w swoich poszukiwaniach do ściany. Jak teraz.

Był szorstki, humorzasty, pyskаты. Bardzo go szanowałem. Nie tylko ze względu na niezwykły geniusz jego błogosławionych neuronów, ale też dlatego, że wiele rzeczy miał przemyślanych dogłębniej niż niejeden dorosły. Potrafił wycofać się z przestępczej kariery po tym, jak skończywszy dopiero co osiemnaście lat, trafił za kratki za oszustwo na kartach kredytowych. Tasio Ortiz de Zárate, który od dwudziestu lat odsiadywał karę za podwójną zbrodnię w dolmenie, roztoczył nad nim opiekę i nikt nie dotknął chłopaka w czasie pobytu w więzieniu. Matu był wobec niego niezwykle lojalny.



Mnie wyświadczał przysługi niechętnie, ale tylko do niego mogłem się zwracać, odkąd inna znajoma hakerka, Golden Girl, zniknęła bez śladu, zabierając ze sobą wszystkie swoje fałszywe tożsamości.

Przyglądałem się chłopakom z ławki w parku Florida. Już miałem odejść, kiedy zobaczyłem go ze swojej kryjówki. Nie widziałem go od dwóch lat, ale wciąż przypominał dziecko. Poznałem go po desce z wizerunkiem biblijnego patriarchy Matuzalema. Miał talent do malowania, często współpracował z Brygadą Pędzla przy miejskich muralach.

MatuSalem był paranoikiem, pewnie ze względu na zboczenie zawodowe; gdy mnie zobaczył, dał znak, żebym nie podchodził.

Posłuchałem go i zostałem na ławce, przyglądając się gołębiom. Po chwili usłyszałem za plecami jego dziecięcy głosik:

– W ogrodzie Secreto del Agua.

Usłuchałem potulny jak baranek. Byłem dziś łagodny, może dlatego, że właśnie pochowałem teściową i nie miałem nastroju na kłótnie.

Niespiesznie przeszedłem przez park. Ludzie jeździli na rowerach, emeryci ciągnęli wózek z zakupami, psy prowadziły swoich właścicieli przez labirynt gigantycznych drzew. Jednym słowem, życie toczyło się jak co dzień, niepomne na to, jaką pustkę zostawiła po sobie Nieves w sercach osób, na których mi zależało. Bardzo mi zależało.

Przeszedłem przez bramę ogrodu Secreto del Agua, odludnego miejsca porośniętego setkami gatunków roślin tworzących mozaikę u moich stóp.

Po chwili zjawił się MatuSalem w swoim białym kapturze, niespokojnie rozglądając się dookoła.

– Nie wiem, ile razy mam ci powtarzać, że nie życzę sobie, żeby widzieli mnie z psami – zaczął mi robić wyrzuty.

– Wiem, Matu. I przykro mi, że muszę się do ciebie zwracać. Proszę, żebyś znalazł mi jednego gościa, dla ciebie to bułka z masłem. Moi ludzie nie dają rady.

– Nie chcę, żebyś mnie wciąż prosił o pomoc, zawsze robię to, czego nie powinienem – wymamrotał.

– To dla dziewczynek.

– Jakich dziewczynek? Tych, co zaginęły?

– O jakich innych mógłby ci opowiadać inspektor Wydziału Kryminalnego?

– Co się z nimi stało? W prasie czytałem tylko, że Estefanię odnaleziono martwą, a młodsza zmarła wczoraj. Znałem Fani z widzenia, moja dziewczyna spotykała się z ludźmi z jej paczki. Ciągłe o nich rozmawiają.

– Wiem, tutaj wszyscy się znają. I, odpowiadając na twoje pytanie: ktoś zamurował je żywcem. Kiedy ty i ja chodziliśmy po barach i piliśmy szoty, te dziewczyny wzywały pomocy w mieszkaniu przy ulicy Cuchillería, nad naszymi głowami. Nikt ich nie usłyszał. Ani ty, ani ja, ani sąsiedzi. Umarły z głodu i pragnienia. Oihana widziała, jak umiera jej starsza siostra. Siedziała w towarzystwie jej trupa przez wiele dni na powierzchni sześciu metrów kwadratowych. Nie mogła nam nic powiedzieć, kiedy ją znaleźliśmy, była w bardzo ciężkim stanie. Ale ty, owszem, możesz rzucić na sprawę nieco światła.

Brutalna prawda poruszyła go. Zauważyłem to, bo choć pozował na twardziela, co i rusz przełykał ślinę, a jego broda bez zarostu drżała.

– I ja mógłbym znaleźć tego skurwiela?

„Mógłbym”, tryb warunkowy. Możliwość współpracy zakiełkowała już w jego umyśle. Dokręciłem trochę śrubę manipulacji.

– Z łatwością. Użyjesz swoich supermocy, żeby pomóc Oihanie i Fani przynajmniej po śmierci.

Matu wsunął ręce do kieszeni i zaczął nerwowo kopać małe kamyczki.

– O co chodzi? – zapytał w końcu.

– O e-mail, który został wysłany z pewnego miejsca i rozpętał to piekło. Muszę wiedzieć wszystko o autorze tej wiadomości. Muszę go powstrzymać. Dosyć już białych trumien.

– Znów mną manipulujesz, Kraken. Nie chcę w tym wszystkim uczestniczyć. Ale z tobą się nie da. Zjawiasz się, próbujesz mnie ugłaskać, potem mnie wykorzystujesz i odchodzisz. Wiem, że służysz dobrej sprawie, ale ty wybrałeś zawód policjanta, ja nie.

– Czego chcesz w zamian?

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię. Nie wyznaczam ceny, nie zgrywam twardego, nie negocjuję. Mówię ci, że chcę żyć z dala od tego gówna.

– Ja też. Też bardzo bym chciał. Ale od czasu do czasu zdarza się, że ludzie w mieście zaczynają zabijać, i jeśli wszyscy odetną się od problemu, zostawimy wolną drogę każdemu psychopacie, który przekroczy czerwoną linię... A ja nie znoszę bezkarności.

Matu wstał, nadepnął na krawędź swojej deski i spojrzał na mnie, jak patrzy się na dilerka, który oferuje zły towar.

– Nie, Kraken, nie wplątuj mnie w to wszystko. Twój świat jest pełen mroku, ale ty to wybrałeś. Ja nie. *Agur*.

– *Agur* – odpowiedziałem rozczarowany.

Doskonale. Superinteligentny chłopak dawał mi lekcję, której nie przyswoję, choćbym żył sto lat.

Sfrustrowany opuściłem ogród i wsiałem do tramwaju, żeby pojechać do Lakui na komisariat. Miałem zebranie, na którym nie mogło mnie zabraknąć.

Pół godziny później zamykaliśmy drzwi do sali konferencyjnej. Zebraliśmy się ja, Milán, Peña, Muguruza z Wydziału Kryminalistyki i doktor Guevara, lekarka sądowa. Estíbaliz wydawała się nieco spokojniejsza niż podczas pogrzebu Nieves. Wzrokiem poleciła mi, żebym usiadł, i zabrała głos.

– Jak wiecie, podkomisarz Salvatierra będzie kilka dni nieobecna. Przez ten czas ja poprowadzę śledztwo, a właściwie dwa. Teraz zbierzemy wszystko, co ustaliliśmy w sprawie Antona Lasagi i w sprawie dochodzenia „Frozen”, które zakończyło się w najgorszy możliwy sposób. Zaczniemy od sprawy Antona Lasagi. Inspektorze Peña, co mamy?

– Sędzia pozwolił nam śledzić pięcioro dzieci Lasagi oraz przeanalizować połączenia z ich telefonów komórkowych w dniach poprzedzających jego śmierć, a także po niej. Nic nie wskazuje na to, że któreś z nich miało z tym cokolwiek wspólnego. Przyjrzeliliśmy się szczególnie uważnie Andoniemu, najstarszemu z nich, który oskarżył własną siostrę Irene, ale nie ma kontaktu z narkotykami ani żadnych

znajomych w półświatku. Tyle tylko, że żyje ponad stan i ma coraz większe długi. Sprawdziliśmy alibi Irene i rzeczywiście dzień śmierci ojca spędziła w biurze. Przesłuchaliśmy piętnastu najbliższych przyjaciół z listy, którą nam przysłała, i nie znaleźliśmy nic podejrzanego. Facet skupiony na swojej pracy, żyjący według ustalonej rutyny.

– Agentko Martínez – zwróciłem się do Milán – wiemy, czy miał jakiś spór dotyczący własności w okolicach Valdegovii?

– Nie znaleźliśmy żadnych postępowań sądowych, w których występowałby on osobiście albo jego firma. Dzieci to potwierdziły.

– Zbadaliście pochodzenie drugiego nazwiska?

– Nie musieliśmy. Córka udostępniła nam kompletne drzewo genealogiczne. Nie wywodzą się z żadnego z rodów Álavy, nie ma nazwisk zbieżnych z tymi, które pojawiają się w powieści, jeśli o to pan pyta, inspektorze. Ale mam coś ciekawego: spotkałam się z dyrektorką Muzeum Nauk Przyrodniczych w Wieży Doñi Ochandy. Była bardzo zmartwiona, dowiedziałam się, że ukradziono nie tylko dwieście chrząszczy. Personel zauważył, że inne witryny też zostały uszkodzone, sprawdzają, czy nie brakuje więcej okazów. Pokazała mi list przewozowy z dostawy owadów, które skradziono. Oto kopia. – Położyła na stole dokument w koszulce z naklejonym pomarańczowym post-item, na którym widniały strzałka i słowo „TUTAJ”.

– *Lytta vesicatoria* – przeczytała Estíbaliz. – Hiszpańska mucha. Rozumiem, że ktoś kilka tygodni temu ukradł surowiec do produkcji trudno dostępnej trucizny, która zabiła Antona Lasagę. To na pewno wskazówka. Nie wiem, czy sędzia zaakceptuje dowód. Łatwo go obalić podczas procesu. To, że ktoś ukradł w Vitorii owady, nie oznacza jeszcze, że jest mordercą. Wszczęto dochodzenie w sprawie tej kradzieży, nie udało się wytropić podejrzanych. Podczas oględzin miejsca zdarzenia technicy kryminalistyki zebrali ślady i porównanie ich z bazami danych nie przyniosło efektów. Czy mam rację, inspektorze Muguruza?

– W paru słowach: dochodzenie wciąż jest otwarte. Zero postępów.

– Może ja mam nitkę, za którą warto pociągnąć – wtrącił Peña, unosząc drżący palec.

– Zamieniamy się w słuch – zachęciła go Estíbaliz.

– W dniu prezentacji powieści w pałacu Villa Suso odbyła się też inna impreza. Zebranie lokalnych firm, kilka godzin wcześniej. Asystent Antona Lasagi potwierdził, że jego szef brał w nim udział. Czekam, aż organizatorzy zjazdu przyślą mi listę wszystkich zaproszonych przedsiębiorców. Najciekawsze jest to, że po imprezie uczestnicy wzięli udział w bankiecie.

– To ważne, bo pasuje do godziny spożycia kantarydyny, poza tym to, co znalazłam w żołądku, doskonale pasuje do menu bankietowego: łosoś, kawior, prawdziwki – przeczytała doktor Guevara, sięgnąwszy po swój raport.

– Czyli możliwe, że ktoś dosypał sproszkowaną kantarydę do jednej z kanapek? – zapytała Estíbaliz.

– Do sosu z prawdziwków na przykład – przytaknęła doktor. – Lasaga mógł ją połknąć, mimo że poczuł nieprzyjemny smak.

– Naprawdę? – Milán zmarszczyła nos. – Może nam pani powiedzieć, jak smakuje kantarydina?

– Szukałam w literaturze przedmiotu i nie znalazłam zbyt wiele, ale sięgnęłam głębiej i natknęłam się na fragment napisany przez Germanę de Foix. Była drugą żoną Ferdynanda Katolickiego, miała osiemnaście lat, kroniki wzmiankują ją jako kobietę bardzo ognistą, a może po prostu uparła się, żeby stary król mimo problemów z erekcją dał jej przed śmiercią potomka. Germana wspomina o „tych obrzydliwych proszkach, które pije król w swoich naparach”. Możemy się domyślać, że nie smakowała szczególnie dobrze, ale dawała się przełknąć.

– Pytanie brzmi: czy trucizna była przeznaczona dla Antona Lasagi, czy też trucicielowi wystarczyła losowo wybrana ofiara, żeby osiągnąć cel? – wtrąciłem. – Na tym etapie jedno jest pewne: mamy trzy zabójstwa, dość niezwykle modus operandi i to, że obie zbrodnie przypominają sposób zabijania ukazany w powieści, która miała premierę w dniu morderstwa. Te podobieństwa są zbyt oczywiste, żebyśmy nie wzięli ich pod uwagę podczas dochodzenia.

– A jeśli chodziło o to, by jakikolwiek przedsiębiorca zmarł tego dnia w tamtym właśnie miejscu?

– No właśnie, Peña – zachęciłem go. – Po co?

- Żeby powiązać to zabójstwo z powieścią, to oczywiste.
- Kto mógł dosypać kantarydyny do jedzenia? – zwróciłem się do wszystkich.
- Każdy z pracowników firmy cateringowej, może ktoś z kuchni – powiedziała Estíbaliz.
- Personel sprząający pałac Villa Suso, dozorca – dodała Milán.
- Człowiek przebrany za zakonnice? – zastanawiał się Peña.
- Po co ktoś miałby się przebierać za zakonnice? – zapytałem.
- Żeby utrudnić rozpoznanie swojej twarzy, a poza tym średniowieczny jarmark był doskonałą okazją, żeby w przebraniu wtopić się w tłum – odparł.
- Nie komplikujmy sobie niepotrzebnie spraw – uciąłem. – Tej kantarydyny mógł mu też dosypać którykolwiek z przemysłowców. Potrzebna nam ta lista, Peña.
- Byliście w wieży Nograro, żeby wyjaśnić kwestię habitu siostry dominikanki? – zapytała Milán.
- Tak, okazało się, że habity były częścią wystawy czasowej, teraz już nie ma ich w witrynach – odrzekła Estíbaliz. – Tak czy siak, wróć jeszcze do wieży, żeby zapytać o nie właściciela. Uprzedzając pytania: zarówno ja, jak i inspektor Ayala rozmawialiśmy z nim kilka razy, gdyż e-mail, w którym autor książki kontaktował się z wydawcą, wysłany został właśnie z tej lokalizacji. Gospodarz wieży zaprzecza jednak, że to on wysłał wiadomość. Twierdzi też, że nie jest autorem *Władców czasu*.
- Agentko Martínez, czy wiemy coś na temat telefonu komórkowego Ramira Alvara de Nograro? – zapytałem.
- Sprawdzałam we wszystkich firmach telekomunikacyjnych i rzeczywiście, jest chyba ostatnią osobą na planecie, która nie ma jeszcze komórki.
- A firma Diego Veilaz spółka z o.o.?
- Ciekawe. To żart. Wydawca podpisał umowę, nie sprawdzając w rejestrze. Nie ma takiej firmy. Nie istnieje taki NIP.

– Co wskazuje na to, że autor rzeczywiście nie zamierzał zarobić na tej powieści. Chciał opublikować to, co napisał – podsumowałem. – Inspektor Gauna, kiedy będziesz z nim rozmawiać, zapytaj, czy jest mecenasem Muzeum Nauk Przyrodniczych.

– Jasne, zapytam – zgodziła się. – Będziemy nadal mu się przyglądać, ale nie możemy zapominać o innych wątkach. Musimy przedstawić coś sędziemu. Przejdźmy do śledztwa „Frozen”.

– Ostatnia sprawa – wtrąciła Milán. – Naczelnny wydawnictwa Malatrama dał mi listę dwudziestu ośmiu autorów komiksów, z którymi zazwyczaj pracuje. Sprawdziłam, czy nie byli notowani, przestudiowałam też ich alibi na dzień zabójstwa. Jak na razie nie znalazłam nic podejrzanego.

– Dziękuję, agentko Martínez. Dobra robota – powiedziała Estíbaliz. Milán zaczerwieniła się, a my wszyscy spróbowaliśmy powstrzymać się od uśmiechu. – Pani doktor, przejdźmy do wyników autopsji sióstr Nájera.

– Nie było agresji seksualnej, starsza umarła w sześć dni, jej ciało nie zostało przeniesione po śmierci. Młodsza miała na ramieniu ranę od noża lub innej broni białej, możliwe, że krew znaleziona w mieszkaniu pochodzi z tej właśnie rany.

– Czyli potwierdza się, że zostały zamurowane pod koniec sierpnia, jeszcze przed ukazaniem się powieści. Nie mamy więc do czynienia z imitatorem, który przeczytał książkę, zainspirował się nią i zaczął zabijać. Ani z kimś, kto po wydaniu książki porwał i zamurował dziewczynki, a potem zabił Antona Lasagę, żeby sprawiać wrażenie, że to dzieło tego samego seryjnego zabójcy. To wszystko wskazuje na to, że zabójca znał treść powieści, zanim ukazała się drukiem. Możemy od razu wykluczyć zwykłych czytelników. Ale potrzebujemy czegoś więcej.

– Mam interesującą nowość – odezwał się Peña. – Wczoraj musiałem przekazać ojcu Oihany wiadomość o jej śmierci. Udało mi się z nim chwilę porozmawiać. Wyglądał na mniej przybitego niż w dniu, kiedy znaleźliśmy dziewczynki, może był przygotowany na taki koniec, a może jest po prostu emocjonalnie wycieńczony. Opowiedział mi, że starsza córka miała w swoim telefonie aplikację GPS dla nastolatków i ich rodziców. Dzięki temu ojciec wiedział, gdzie przebywa. I ta komórka, jak pamiętacie, została

w pokoju. Więc albo ktoś ją porwał i specjalnie zadbał, by nie miała ze sobą telefonu, żeby nie zostawiać śladów, albo ona sama zostawiła go, żeby ojciec nie wiedział, gdzie jest. Tak czy owak, jasna jest intencja jej samej bądź agresora, żebyśmy nie dowiedzieli się, dokąd poszła tamtej nocy.

– I w jaki sposób wyparowali, nie zapominaj, że wielką niewiadomą jest to, jak wyszli z budynku, skoro kamery nadzoru okolicznych sklepów nic nie zarejestrowały, podobnie jak czterdzieści trzy kamery monitorujące ruch uliczny, a przejrzelśmy nagrania z całej okolicy. Przyjrzyjcie się planowi średniowiecznego migdała z lotu ptaka. – Pokazałem na rzutniku obraz z Google Earth. – Scena zbrodni numer jeden, miejsce, w którym znikają, znajduje się w tym samym kwartale ulic, co scena zbrodni numer dwa, mieszkanie, w którym je znaleźliśmy. I jeśli dobrze się przyjrzyjecie, oba dachy mają świetliki na klatkach schodowych. Zaczynam myśleć, że porywacz mógł uprowadzić je przez dach, żeby nie wychodzić na ulicę. Skontaktujcie się, proszę, z firmą remontową i poproście o dane wszystkich osób, które pracowały w tym mieszkaniu. Zapytajcie, czy prowadzą również prace na wysokościach i czy mają personel pracujący w uprzążach wspinaczkowych. Jeśli tak, sprawdźcie, czy byli notowani za przemoc lub napaści na tle seksualnym. To, że w przypadku dziewczynek nie doszło do zgwałcenia, nie wyklucza jeszcze seksualnego motywu porwania. Może taka była intencja i coś poszło nie po myśli sprawcy. Były dwie, niewykluczone, że próbowały się bronić, krzyczeć. Może zamurowanie żywcem było improwizacją, zabrano je do remontowanego mieszkania, żeby je wykorzystać, a zabicie ich nie było intencją sprawcy. Musimy skupić się na śladach materialnych, na przykład dwóch plastikowych workach. Muguruza, może nam pan w tym pomóc?

– Mogę powiedzieć, że worki nie były ciągnięte po żadnym dachu, ale owszem, opakowano w nie dziewczynki. Szukaliśmy podobnych worków na budowie, ale o dziwo te dwa bardzo się różnią. Biały plastik, czerwona linia na dolnej krawędzi. Brak innych elementów identyfikacyjnych, nie znamy producenta, nie wiemy, gdzie można je kupić.

– Milán, Peña – zarządziła Estíbaliz – przeszukajcie wszystkie magazyny i supermarkety budowlane i skontaktujcie się z technikami kryminalistyki, jeśli coś znajdziecie. Ktoś musiał wyprodukować te worki. I ktoś musiał je sprzedać.



Kilka dni później dostałem wiadomość, której zupełnie się nie spodziewałem.

Daj mi wszystkie dane. I to już ostatni raz, kiedy mnie w to wrabiasz, przysięgam.

MatuSalem. Namyślił się. Natychmiast wysłałem mu wszystko, o co prosił. Śledztwo utknęło w miejscu, musieliśmy jakoś popchnąć je naprzód.

Dwadzieścia cztery godziny później skontaktował się ze mną ponownie:

Wiem, kto wysłał wiadomość. Dziś wieczorem o 19.00 w krypcie Nowej Katedry.

Pełen nadziei zjawiłem się na spotkanie tak punktualnie, jak świeżo upieczony narzeczony. Zszedłem po schodach gotyckiej świątyni, jak zwykle pustych, i rozejrzałem się za swoim informatorem, ale zobaczyłem tylko drewniane ławki pociągnięte lakierem. Jeszcze nie przyjechał.

Czekałem trochę znudzony, spacerując między pustym ołtarzem a bukietami przywiedłych kwiatów. Pachniały nieboszczykiem, tak kojarzył mi się zapach tych bukietów. Przypominały mi cmentarne wieńce.

Mijały minuty, od czasu do czasu sprawdzałem komórkę, która uparcie milczała. W końcu zawibrowała, czekałem na jakąś wymówkę albo usprawiedliwienie od Matu, chociaż to nie było w jego stylu. Dzwoniła Estíbaliz. Odebrałem, pomyślałem, że skoro krypta jest pusta, nikt nie będzie miał pretensji, że rozmawiam przez telefon w świątyni.

– Co jest, Esti?

– Nowa zbrodnia, Kraken. Znalezione chłopca.

– Chłopca?

– Tak, w rzece Zadorra, w okolicach Gamarry – powiedziała. – Był w beczce, którą ktoś wrzucił do rzeki. I teraz najdziwniejsze: Był w beczce razem ze żmiją, psem, kotem i kogutem. Co się, u diabła, dzieje?

– Cholera jasna, wciąż nie przeczytałaś powieści. Co ty robisz nocami? Mówiłem, że to sprawa priorytetowa!

– Ale czy ty mnie słuchasz? – krzyknęła. – Mówię ci, że zamordowano chłopca, wrzucając go do rzeki w zamkniętej beczce ze zwierzętami, a ty mówisz, że mam się zabrać do czytania?

– Tak, Estíbaliz. Gdybyś przeczytała książkę, wiedziałabyś, że temu chłopcu wymierzono średniowieczną karę. Bardzo okrutny sposób uśmiercenia skazańca, przez utopienie w beczce.

## ALKOWA HRABIEGO

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

– Gorączka nie ustępuje, jego skóra płonie jak pochodnia. Rana w boku gnije. Chyba się z tego nie wylize. To jego przeznaczenie, wiecie, co powiadają: żaden hrabia Vela nie dożywa starości – wyszeptał stary cyrulik do kobiety, która patrzyła na mnie, trzymając w ręku lampkę oliwną.

Obudziłem się skołowany w swoim posłaniu. Poczułem ostry ból w plecach i ucisk opatrunku.

Onneca zaczekała, aż cyrulik odejdzie, i usiadła na moim łożu. Dzieliliśmy je wcześniej wiele razy, w znacznie radośniejszych okolicznościach.

Łoże było duże, a płomienie kominka nagrzewały kamienne ściany. Spojrzałem jej w oczy i nie ujrzałem w nich śladu ciepła.

– Nic mi nie powiedziałaś, byliśmy razem w starym młynie i nie zająknęłaś się słowem o tym, że mój ojciec został zabity.

Zabrzmiało to jak wyrzut. Wyczułem w niej złość i ból.

– To były tylko podejrzenia, nic ponadto – wydusiłem z siebie. Mówienie sprawiało mi trudność, trudność sprawiało mi opędzenie się od majaków wywołanych gorączką. – Tego samego ranka, kiedy cię spotkałem, szedłem do gospody La Romana, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Kiedyś mówiliśmy sobie o wszystkim, nawet o podejrzeniach. Przede wszystkim o podejrzeniach.

– Kiedyś było kiedyś, kiedyś byłaś moją narzeczoną i nic nas nie dzieliło. Teraz jesteś moją bratową i Nagorno stoi między nami. Na zawsze.

Onneca wstała i uderzyła pięścią w ścianę.

– Odkąd umarł ojciec, moje siostry nie przysłały ani jednego listu. Napisałam do nich, żeby powiadomić o jego śmierci, myślałam, że na chwilę porzucą swoje zamknięcie i zjawią się na pogrzebie. Bez nich, bez ciebie czuję się taka samotna, Diago. Nie mam z kim porozmawiać.

Chciałem odpowiedzieć, przynajmniej spróbować, ale w tej chwili wszedł Nagorno.

Trudno powiedzieć, od jak dawna stał za drzwiami i ile usłyszał z naszej rozmowy.

– Bardzo się uparłeś, żeby uczynić mnie kolejnym hrabią Velą, bracie – rzucił na powitanie. – Ile razy jeszcze zamierzasz umierać?

Przymknąłem oczy, nie miałem siły, żeby wymyślić odpowiednią ripostę.

– Zostaw mnie z nim sam na sam. Onneco najmiłsza, to nie jest miejsce dla ciebie – stanowczo przykazał żonie.

Onneca wstała. Była wyższa od niego. Jedna z niewielu kobiet, które nie bały się, kiedy Nagorno podnosił głos.

– Nie mam zamiaru. Twój brat musi mi wiele wyjaśnić. Diago, skąd ta pewność, że mój ojciec został otruty? – Onneca nachyliła się nade mną i utkwiała we mnie wzrok.

– Kiedy ujrzałem jego martwe ciało, znalazłem oznaki, które kazały mi to podejrzewać. I przepraszam za sprofanowanie zwłok, ale rozciąłem je i potarłem trzewia o skórę królika. Skóra zaroїła się od pęcherzy. Twojego ojca zabiły dwie szczypty proszku z majki lekarskiej. Okrutna śmierć.

Nagorno spojrzał ukradkiem na Onnecę, ona zacisnęła pięści i odwróciła się, żeby ukryć przed nami twarz.

– Zdołasz to jeszcze udowodnić? – zapytała, unikając mojego wzroku.

– Mam skórę królika w tej skrzyni, pewnie trochę zgniła, ale jako dowód posłuży. Możemy też wyjąć ojca z grobu, jeśli okaże się to konieczne, żeby

potwierdzić, że otworzyłem zwłoki. Ostatnio było zimno, ciało będzie zamrożone.

– Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby – mruknęła.

– Musimy znaleźć świadków, którzy stawia się w sądzie – ciągnąłem. Mówiłem powoli, żeby moje słowa były zrozumiałe. – Alix de Salcedo pomagała mi podczas próby, chyba zgodzi się świadczyć przed sądem. A ty, Nagorno, musisz pójść do gospody La Romana. Syn właścicielki sprzedał Ruizowi trzy szczypty cztery dni temu.

– Chłopak zechce mówić?

– Ruiz nie traktował dobrze ani jego, ani jego ciotek – odparłem. – A poza tym całe miasto dowie się, że jego proszek jest skuteczny. Zyska nowych klientów, doskonale o tym wie. Chętnie wszystko opowie.

– Widziałeś tych, co cię pobili? – zapytał Nagorno. – To nie był jeden napastnik, wiem, na co cię stać w walce.

– To nie była walka, chodziliśmy po domach białogłów z procesją Świętej Agaty. Nie zachowałem czujności, nie spodziewałem się, że ten kurwi pomiot mnie zaatakuje. Ale masz rację, zagwizdał i wtedy nadbiegło jeszcze dwóch. Ruiz kopał mnie w głowę, nie widziałem nic oprócz butów i kosturów.

– Kurwi syn! – szepnął mój brat. – A ja mu sprzyjałem na posiedzeniach rady.

– Tak słyszałem. Ale pragnąłem usłyszeć to z twoich ust. Czemu to robiłeś? Ta rodzina nigdy nie cieszyła się w mieście dobrą sławą.

– Jest szlachcicem. Co prawda, tylko dlatego, że ojciec wzenił się w szlachetny ród. Miasto nie wzbogaci się, jeśli będą je zamieszkiwać tylko rzemieślnicy i kupcy. Trzeba sprowadzić szlachtę z sąsiednich wiosek, żeby pobudowali tu domy i przywieźli swoje fortuny. Tylko w ten sposób nasz otoczony murami gród nie popadnie w zapomnienie.

– Ale musisz lepiej wybierać sojuszników, Nagorno! Zobacz, dokąd zaprowadziło cię sprzyjanie temu nikczemnikowi! – krzyknąłem, mimo że sprawiało mi to ból. – Zobacz, co zrobił twojej żonie.

– Zrobili to hrabiemu de Maestu, który wspierał rzemieślników, podobnie jak ty, a to czysta naiwność. Ciebie też zaatakują. Musisz bardziej

na siebie uważać.

– Nie będę uważał na ulicach, które sam brukowałem. Porozmawiajmy o sądzie. Co się mówi w grodzie, droga bratowo?

Onneca słuchała w swoim domu, przy kołowrotku, córek Mendozów i Iruñów. Kobiety rozmawiały o tym, czego mężczyźni nie odważyli się wypowiadać na głos. To one próbowały gasić nastroje, zanim wybuchnie pożar.

– Kupcy chcą przywrócenia kary polewania wrzątkiem albo przypalania rozżarzoną żelazem. Chcą, żeby Bóg zdecydował, czy Ruiz spłonie. Są wściekli, do czasu waszego powrotu mój ojciec był ich głównym orędownikiem w radzie.

– To nie będzie możliwe – odparłem. – Król Sancho zabronił sądów bożych w kodeksie Victorii sprzed jedenastu lat.

– I nie będzie sprawiedliwości dla mojego ojca, twojego lojalnego przyjaciela! – krzyknęła wzburzona Onneca.

– Sprawiedliwości stanie się zadość, przysięgam ci, bratowo. Ale na sądzie będzie namiestnik króla, nie możemy wydać wyroku sprzecznego z kodeksem. Na pewno przybędzie też z Tudeli jakiś obserwator przysłany przez monarchę, który doniesie mu, jeśli sprzeciwimy się jego woli. Nie możemy ryzykować.

– Mój brat ma rację, droga żono.

– Co nazywacie sprawiedliwością? Naprawienie krzywdy, odszkodowanie za zabójstwo? – zapytała poruszona. – Życie mojego ojca jest warte więcej niż pięćset solidów grzywny.

– Jest jeszcze inne prawo – zauważył Nagorno. – Jeśli ktoś obnaży miecz w grodzie, żeby zranić męża lub niewiastę, ucina mu się prawą dłoń.

– Nikt nie wyjął miecza z pochwy, o ile mi wiadomo – rzekłem.

– Nie byłbym tego pewien, patrząc na to, jak krwawisz.

Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi, ale rzeczywiście z mojego boku sączyła się krew i skóra niedźwiedzia albinosa, którą Gunnarr przywiózł mi z Fryzji, była mokra i czerwona.

Nagorno uniósł ją. Odkrył moje nagie, opatrzone ciało.

– Onneco, pomóż mi go podnieść. Poszukamy rany na plecach.

Spojrzeliśmy po sobie, nieco zmieszani.

– Moja droga małżonko, nie ma tu nic, czego byś wcześniej nie widziała. Nie będziemy udawać świętoszków. Pomóż mi dźwignąć swego szwagra, zobaczymy, co kryje się pod opatrunkami.

Kiedy mnie podnieśli, zakręciło mi się w głowie. Zanim całym ciężarem ciała opadłem na Onnecę, gotów bym przysiąc, że poczułem apetyczny zapach pieczonego mięsiwa. To chyba Alix de Salcedo stanęła w drzwiach, niosąc placek faszerowany mięsem. Podbiegła pomóc mojemu bratu i bratowej podtrzymać mnie, żebym nie runął na podłogę jak długi.

– Co robicie z hrabią? Powiadają, że ledwo żyw! Po co go podnosicie? – zapytała zdumiona.

– Podtrzymajcie go obie za ramiona – rozkazał stanowczo Nagorno. – Zdejmę mu opatrunki.

– Czy nikt nie może zakryć wstydliwych części tego męża? – uzalała się Alix. – Słyszałam, że proboszcz od Najświętszej Marii Panny przybędzie tu zaraz udzielić mu ostatniego namaszczenia, jeśli zostanie nas tak tutaj, pójdziemy wszyscy do piekła za rozpustę.

– Znakomity powód, żebyśmy się pospieszyli. Macie na głowie trójgraniasty czepiec, mniemam, że widzieliście już kiedyś nagiego mężczyznę – uciął mój brat.

Ból w boku i głowie nie pozwalały mi nawet zawstydzić się tym, że Onneca i Alix podtrzymują moje nagie ciało.

Nagorno odwijał bandaż. Niektóre zdążyły przykleić mi się do pleców. Zmoczył czysty opatrunek w miednicy i zaczął przemywać ranę.

– Pani, ty widzisz kolory ludzi, jaki mam teraz kolor? – szepnąłem do Alix.

Brat sprawiał mi taki ból, że miałem przed oczyma cały firmament.

– Nadal jesteście niebiescy, ale to błękit śmierci. Życie was opuszcza. Zjedzcie mój placek nadziewany dzikiem i lawendą, pokrzepi was – wyszeptła, a Onneca udawała, że nas nie słyszy.

– Nie mam siły jeść.

– Babcia Lucía uparła się, że mam upolować dzika i upiec placek, powiedziała, że sama was nakarmi, jeśli odmówicie jedzenia.

– Upolowałaś, pani, dzika?

– Mój trzeci mąż w kuźni robił wnyki. Pozostawił po sobie tyle, że mogłabym wykarmić całą armię.

– Więc babcia Lucía uparła się, że mam przeżyć. W takim razie nie mam chyba innego wyjścia – uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

– Mamy to: cięcie – odezwał się mój brat zachrypłym głosem. – Proste i długie. To nie był sztylet. Ktoś użył miecza.

– Młodzieńcy robiący obchód w dzień Świętej Agaty mieli przy sobie miecze? Przecież zabroniono używać ich w grodzie? Kto by ryzykował?

Alix spojrzała na mnie zmartwiona. Podtrzymała mnie z całych sił, przerzuciła moją rękę przez swoje ramię, jej głowa znajdowała się na wysokości mojej piersi.

– A jeśli to nie byli młodzieńcy, Diago? Może ktoś czyhał, żeby was zabić?



## RZEKA ZADORRA

## UNAI

*Październik 2019*

Kiedy dotarłem do mostu na rzece Zadorze na wysokości Gamarry, ekipa techników kryminalistyki rozpoczęła już oględziny miejsca zbrodni. Okolicę otoczono żółtymi taśmami. Nie wiedziałem, kto zawiadomił prasę, ale dwie reporterki stały przed kamerami i przekazywały wiadomość o czymś, czego jeszcze nie byłem pewien. Chłopiec. Coś mi się tu nie zgadzało.

Peña przywitał się ze mną, ręka drżała mu tak, że mógłby grać na perkusji bez pałeczek. Domyśliłem się, że jego też doprowadzały do szału zabójstwa małych. Zabójstwa? Dziecko w beczce wrzucone do rzeki. To coś o wiele gorszego niż zwykłe zabójstwo. Jeśli nie było w tym premedytacji, niech sam Bóg przyjdzie to zobaczyć... Ale Bóg tej jesieni był najwyraźniej zajęty czym innym, być może dmuchaniem w zwiędłe liście i rozrzucaniem ich po ścieżkach.

Dotarłem do mostu, który składał się z wielkich cementowych płyt i wyglądał jak przerzucony przez wodę mur. Zadorra płynęła wartkim nurtem, w jej zielonych wodach odbijały się gałęzie drzew porastających brzeg. Opadłe ramiona wierzb płaczących sięgały mi do pasa i zasłaniały widoczność.

Zobaczyłem dwóch kolegów z ekipy kryminalistycznej uwijających się wokół drewnianej beczki. Wyjęli z niej chłopca i zwierzęta, które leżały mokre na rozścielonym na ziemi plastiku.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, szefie – wymamrotał Peña. – Utopiony chłopak. Nie żył, kiedy wyciągnęliśmy go z beczki. Zamknięto go w niej z psem...

– Kotem, kogutem i żmiją – przerwałem.

– Skąd wiesz?

– Na Boga, przeczytaj wreszcie książkę. To średniowieczna kara, utopienie w beczce ze zwierzętami, stosowana przez władze Nawarry w dwunastym wieku.

– Kto może być tak szalony, żeby zabijać w ten sposób w dzisiejszych czasach?

– Nie zadawaj mi pytań, na które nie znam odpowiedzi – powiedziałem przybity. – Znamy tożsamość chłopca?

– Pogadaj z Muguruzą, mają pełne ręce roboty, daleko im do końca. Sędzia i sekretarz sądowy przybędą lada chwila, żeby nadzorować transport zwłok. Wyjęli ciało z beczki, bo nie wiedzieli, czy dzieciak jest żywy, czy martwy. Ktoś zadzwonił na policję z informacją, że z tonącej beczki dobiega szczekanie psa. Nikt nie krzyczał. Domyślam się, że pies wytrzymał najdłużej.

Podszedłem do mokrych zwłok chłopca rozciągniętych na trawie. Miał na sobie białą bluzę z kapturem.

Ukląkłem dyskretnie, żeby nie rzucać się w oczy kolegom, którzy stawiali numerki i fotografowali ślady wokół mnie.

„Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”.

Podniosłem głowę. Martwe dzieci to był widok, którego nie znosiłem. Chłopiec miał podrapaną twarz, a włosy... Włosy miał ufarbowane na niebiesko.

To było gorsze niż kopniak w żołądek.

To nie było dziecko, przede mną leżał MatuSalem.

Morderca zabił MatuSalema.

Pochowano go na cmentarzu Zbawiciela, między polami zbóż i gruntami, które stały odłogiem. Czterech skejtów powiozło jego trumnę na

deskach. Miałem wrażenie, że płyną po oceanie grobów. Brygada Pędzła namalowała na trumnie wielki wizerunek biblijnego patriarchy, który kroczy wśród cyprysów. Domyślałem się, że na forach *black hats* także o nim pamiętano.

Grupka dziewczyn pocieszała załamaną koleżankę o okrągłej twarzy i włosach ufarbowanych na niebiesko, która oplotła się rękami, jakby usiłowała sama się ogrzać. Zrozumiałem natychmiast, że to narzeczona Maturany.

I po raz pierwszy szorstkie słowa, którymi próbował wymawiać się od współpracy w kolejnym śledztwie, dotarły do mnie w całej pełni. Nigdy wcześniej nie patrzyłem na niego jak na kogoś, kto ma rodzinę, narzeczoną, przyjaciół. Dla mnie był tylko narzędziem, bardzo cennym i unikatowym narzędziem, z którego korzystałem w rękawiczkach, z pęsetką i z precyzją zegarmistrza.

Nigdy nie zapomnę, jak ta dziewczyna patrzyła na trumnę MatuSalema.

Tego niedowierzania.

Pozazdrościłem go jej.

Pozazdrościłem jej, że w przeciwieństwie do mnie nie zdążyła jeszcze przywyknąć do śmierci. Ja pożegnałem już rodziców, babcię, Paulę i dzieci, Martinę, J. i Nieves.

Nabrałem głęboko powietrza i podszedłem do niej, kiedy została sama.

– Bardzo mi przykro. Byłaś jego dziewczyną, prawda?

– A ty jesteś Kraken? – zapytała.

I wydawało mi się, że w jej zapuchniętych oczach dostrzegłem wyrzut, a może po prostu zobaczyłem go, bo sam czułem się winny.

Zdziwiła mnie jednak jej odpowiedź. Zawsze myślałem, że MatuSalem jest bardzo dyskretny i nie opowiada o mnie nikomu. Chociaż pewnie w wieku lat dwudziestu człowiek dzieli się ze swoją partnerką tym, czym powinien, i tym, czym nie powinien. Czułem się źle, naprawdę fatalnie.

Skinąłem jej głową i pożegnałem się, musiałem jak najszybciej oddalić się od tego epicentrum bólu, nie mogłem tego znieść.

Czy MatuSalem zginął dlatego, że zgodził się poszukać dla mnie informacji, których potrzebowałem? A może padł ofiarą sadysty, który szukał podobieństw do powieści *Władcy czasu*, a nazwisko Maturana doskonale mu do tego pasowało?

Esti, Milán i Peña rzucali się w oczy bardziej niż stado lisów w kurniku, ustawiliśmy nasze wozy na parkingu, żeby sfilmować, kto przyjechał na pogrzeb. Byłem zdruzgotany. Musiałem odpuścić sobie analizowanie otoczenia, skoncentrowałem się na tym, żeby jakoś się z tego otrząsnąć.

– Co tam, Kraken? – zapytał Lutxo, kiedy trumna MatuSalema zniknęła w mozaice nisz. – Może masz mi coś do powiedzenia?

– To nie najlepszy moment, Lutxo – szepnąłem.

On jednak się nie zrażał.

– Tak, wiem. Od czasów podwójnej zbrodni w dolmenie sędzia zawsze utajnia śledztwo. Nic nam nie mówicie, ale ludzie chcą wiedzieć, co się dzieje i czy mają powody do zmartwienia. Śmierć tego chłopaka włączyła wiele dzwonek alarmowych...

– Kto was powiadomił? – zapytałem.

– Nieważne. Ludzie z Gamarry spacerują tu często, przyjechała karetka, wozy techników kryminalistyki, którzy otoczyli okolicę kordonem. Wszyscy mogą teraz zrobić zdjęcia telefonem, wrzucić na WhatsAppa, powiadomić prasę. Dziś każdy człowiek to potencjalne źródło informacji dla dziennikarzy.

Wymijająca odpowiedź, bardzo w stylu Lutxa. Wiedziałem, że nic od niego nie wyciągnę, nie miałem nawet zamiaru próbować. Odwróciłem się, chciałem jak najszybciej oddalić się od tego grobu.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Śledztwo jest w toku. Jeśli wydamy jakieś oświadczenie dla prasy, dowiesz się o tym i tak.

Lutxo posłał mi spojrzenie, które zatruloby ze dwa jeziora. Ja ruszyłem dalej, za dużo tych wizyt na cmentarzach.

Wtedy go zobaczyłem.

Siedział na jakimś ustronnym nagrobku. Chyba na mnie czekał.

Tasio Ortiz de Zárate.

Ten sam, który został skazany za podwójną zbrodnię w dolmenie, ten sam, który zarzekał się, że jest niewinny, a ja w końcu go wysłuchałem. I kiedy wyszedł z więzienia, uciekł do Stanów Zjednoczonych.

Ubrany w szyty na miarę garnitur, ukrywał twarz za eleganckimi okularami przeciwsłonecznymi. Gestem dał mi znak, żebym podszedł. Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nieświadomie położyłem rękę na kaburze pistoletu schowanego pod kurtką. Pomyślałem, że właśnie zbliżam się do rozsierdzonych zwierząt: żmii, koguta, kota i psa.

– Myślałem, że jesteś w Los Angeles – odezwałem się.

Usiadłem obok niego na płycie nagrobnej człowieka, który umarł wiele dekad temu.

Granit był lodowaty, ale zniosłem to dzielnie. Nawet nie spojrzeliśmy na siebie, patrzyliśmy obaj na kolorowy kondukt MatuSalema.

– To pogrzeb Samuela Maturany, musiałem przyjechać – powiedział ochrypłym głosem.

Tym samym, który słyszałem w więzieniu kiedyś, kilka wieków wcześniej.

– Kiedy przyjechałeś? Kupiłeś nagle bilet, żeby przelecieć między kontynentami... Czy byłeś tu już wcześniej?

Uśmiechnął się, pewnie spodziewał się pytania.

– Przesłuchujesz mnie?

– Na razie nie. Ale wydaje mi się nieco podejrzane, że zdążyłeś na pogrzeb.

– To Maturana – powtórzył, a jego twarz stężała od gniewu.

– Możesz mi jakoś pomóc? Znałeś go lepiej niż ja.

– Byliśmy w kontakcie, wiem, że już nie bawił się w żaden nielegalny proceder. Zresocjalizował się, w końcu znalazł przyjemność w zwykłym życiu. Chciałem być dla niego jak ojciec, zawsze powtarzałem, że może na mnie liczyć w potrzebie: na moje wsparcie, na moje pieniądze... Nie zdało się to na nic. Co zaszło, Kraken?

– Gdybym wiedział, że to się tak skończy... – wymknęło mi się.

– Czyli to miało coś wspólnego z tobą? Wpakowałeś go w kłopoty? Poprosiłeś o pomoc?

Nie odpowiedziałem. Załamany odwróciłem wzrok. Wkurzył się, kiedy zrozumiał.

– Kurwa, Kraken! Jeśli umarł przez ciebie...

– To co? Co mi zrobisz? Myślisz, że tego chciałem, że chciałem, żeby zginął?! – wybuchnąłem. – Ty, który niszczysz wszystko, czego się dotkniesz, śmiesz udzielać mi lekcji?

Rozejrzałem się wokół. Podniosłem głos, na cmentarzu nie był to najlepszy pomysł. Na szczęście zobaczyłem tylko las krzyży i ludzi, którzy rozchodzili się po ceremonii.

– Ojoj, czyli wciąż masz do mnie żal. Nie możesz mi wybaczyć tej akcji z Debą – wymamrotałem.

– Nawet się do niej nie zbliżaj.

– Bo co?

– Bo nic, Tasio. Bo nic. Nie jestem idiotą, żeby ci grozić. Po prostu jeśli ją kochasz albo myślisz, że mógłbyś ją pokochać, zostaw nas w spokoju. Nie niszcz nam życia. Jestem już tym zmęczony, Tasio. Że muszę zadawać się z przestępcami, że ciągle chodzę na pogrzeby, że ludzie oczekują ode mnie cudów, kiedy idę ulicą. Nie wiem, ile razy można zaczynać życie od nowa, ale podejrzewam, że kiedyś w końcu człowiek stwierdza, że brakuje mu na to sił.

– Wiem, że to nie najlepszy moment na taką rozmowę, ale do tej pory szanowałem waszą wolę, Unai. Kiedy podkomisarz przeszła przez to, przez co przeszła podczas dochodzenia „Rytuły wody”, zmusiłem się, żeby zostawić was w spokoju, Pomyślałem, że i tak macie dość.

– Tak, zauważyliśmy twoją nieobecność.

Byliśmy za nią niezmiernie wdzięczni.

Zawsze zastanawiałem się, czemu Tasio zrezygnował ze swoich planów i, wbrew zapowiedziom, nie zażądał od nas testów DNA, żeby upewnić się, kto jest biologicznym ojcem Deby. Czemu się wycofał? Jego adwokat pisał do nas od czasu do czasu w sprawie serialu, którego fabuła opierała się na historii podwójnego zabójstwa w dolmenie. Konsultowałem się ze swoim

bratem Germanem, który mu odpowiadał. Nie chciałem mieć kontaktu z Tasiem, nie chciałem, żeby był obecny w naszym życiu. A tymczasem on wrócił, znów był w Vitorii.

– Nie mógłbym zobaczyć jej chociaż na chwilę?

Nie wiedziałem, czy prosi, czy testuje granice.

– Po co, Tasio? Po to, żebyś się do niej przywiązał? Lepiej, żeby nie miała pojęcia ani o tobie, ani o Ignaciu. Już dość się nacierpieliśmy.

– Nie mam zakazu zbliżania się, nie możecie mi zabronić – uciał.

– Jej matka umarła – przerwałem mu.

– Kto?

– Matka Alby, Nieves. Umarła kilka dni temu. Alba ma teraz tylko mnie i Debę. No i moją rodzinę: brata, dziadka. Nie psuj tego, Tasio. Wszyscy jesteśmy już wystarczająco doświadczeni przez życie, musimy się wspierać, żeby nie rozsypać się na kawałki.

– Ty przynajmniej masz rodzinę. Ja spędziłem dwadzieścia lat za kratkami i nie mam już nikogo. Tylko brata bliźniaka. Przyjaciele, paczka znajomych, kuzyni bliżsi i dalsi, wujowie i ciotki – a przecież nie wszyscy pomarli – zniknęli. Nikt nie chce ze mną utrzymywać kontaktów. Niektórzy nawet nie odbierają telefonu, inni zgadzają się umówić na kawę, ale uciekają w popłochu pod najniższym pretekstem. A kobiety... boją się mnie, unikają. W Los Angeles przynajmniej jestem nikim. Anonimowym facetem z branży, egzotycznym scenarzystą z Europy. Straciłem Vitorię, Kraken. Chciałbym, żeby pozostało mi tu coś czystego, nieskazitelnego.

– Bardzo mi przykro, że spotkała cię taka niesprawiedliwość, Tasio. Przypominam ci, że to ja złapałem tego, kto ci to zrobił, i zapłaciłem za to bardzo wysoką cenę. Ale Deba nie urodziła się po to, żeby rozwiązywać życiowe problemy otaczających ją dorosłych. Zasługuje na to, żeby nie dorastać z etykietką córki seryjnego mordercy. Musisz trzymać się od niej z daleka. Nie możesz zacząć od nowa, mieć własnych dzieci? Do czego potrzebujesz Deby? Nie rozumiem, naprawdę tego nie rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. I nie zrozumiesz nigdy. Nie będę mógł nigdy zbliżyć się do kobiety. Przynajmniej nie w sposób, o jakim mówisz.

– Tutaj nie, to oczywiste. Ale sam mówiłeś, że w Los Angeles nikt nie zna twojej historii.

– Wciąż nie rozumiesz. Nie mogę już być z kobietą. To też odebrało mi więzienie. – Spuścił głowę.

Ostatnie słowa wymawiał cichutko, jakby bał się, że ktoś może usłyszeć.

– Co odebrało ci więzienie? Przecież już wyszedłeś, znów jesteś taki jak wcześniej.

– Wykastrowali mnie. – Zdjął okulary przeciwsłoneczne, zobaczyłem, że ma czerwone oczy. Bawił się podniesionymi z ziemi liśćmi.

– Co?!

– W więzieniu, kiedy odsiadywałem pierwszy rok. Wielu osadzonych. Wykastrowali mnie. Byłem przecież potworem, który zabił ośmioro dzieci. Ludzie kipieli z nienawiści. Nikt mnie nie obronił, wszyscy odwrócili głowy. Ograniczyli się do tego, żeby mnie wyleczyć. Gdybym umarł, wybuchłby skandal. Nikogo nie obchodziłem. W więzieniu zmieniłem się. Stałem się kimś innym. Prawdziwym potworem. Przez wiele lat bałem się samego siebie. Ale uparłem się, że wytrzymam, że wyjdę stamtąd. Dlatego kiedy pojawił się MatuSalem, zająłem się nim, nie chciałem patrzeć, jak niszczą go tak, jak zniszczyli mnie. Wiedziałem, że jeśli się załamie, po wyjściu wyrządzi wiele zła. Był plastyczny. Spróbowałem ukształtować go na swój sposób, żeby był bezpieczny w więzieniu i poza jego murami. I wszystko na nic, nie zdołałem go uchronić. Teraz rozumiesz, dlaczego Deba tak wiele dla mnie znaczy?

– Zanim zrobisz następny krok, zastanów się, ilu ludziom złamiesz życie, jeśli uprzesz się przy swoim pomysle. Mam nadzieję, że już cię nie zobaczę, Tasiu Ortiz de Zárate. Mam nadzieję, że nie zobaczę cię już nigdy w życiu.



20

K, >N 1

UNAI

*Październik 2019*

Kilka godzin po pogrzebie MatuSalema zmusiłem się do odwiedzenia doktor Guevary. Chciałem zobaczyć raport z autopsji. Zdjęcia zwłok, dane dotyczące ciężaru jego narządów, zimne wnioski co do przyczyn śmierci.

Byłem mu to winien.

Za przysługi, które mi wyświadczył, za to, że dał mi się omotać, za wszystkie poszukiwania, jakie podejmował, kiedy prosiłem go o pomoc. Okazałem się parodią mentora. Jeszcze gorszą niż sam Tasio. Nie zdołaliśmy go ochronić. Chyba po prostu ograniczyłem się do wykorzystywania go, zafascynowany potęgą jego inteligencji.

Teraz zżerały mnie wyrzuty sumienia.

– Inspektorze – przywitała się ze mną doktor Guevara, przywołując mnie z powrotem do świata żywych – przyszedł pan w porę, żebym pokazała panu coś ciekawego. Pewnie nie widzieliście tego, kiedy wyciągaliście ciało z beczki, bo ofiara była ubrana.

Usiadłem naprzeciwko niej i patrzyłem na teczkę z raportem z sekcji podejrzliwie, jakby mógł być w niej wążlik. W końcu otworzyłem ją, obejrzałem uważnie zdjęcia wszystkich dowodów zebranych podczas oględzin.

– Będę panią prosił, żeby zbadała pani wszystko, co znaleziono na brzegu Zadorry. Ofiara na pewno się bronila, musiał pozostać jakiś ślad po tym, co tam się stało – powiedziałem.

Wyjęła fotografię i pokazała mi siną prawą rękę, która kiedyś była ręką Matu.

– To właśnie chciałam panu pokazać. Ofiara wytatuowała sobie to, kiedy zamknięto ją w beczce z czterema zwierzętami.

Przyglądałem się z przerażeniem nieregularnym znakom wyrytym na skórze, prawie nieczytelnym.

– Jak pan sądzi, co tu jest napisane? – zapytała specjalistka od medycyny sądowej.

– Może K większe od NI. Kadi? Kawudi? – zastanawiałem się na głos.

– Chyba jest tu jeszcze inny znak. Albo próbował napisać coś więcej i nie skończył, albo było ciemno, a może to zadrapanie, których pełno na jego twarzy, szyi i grzbietach obydwu dłoni.

– Nie, to chyba przecinek – zauważyłem. – Napisał chyba K, większe od N I. A ostatni znak może być literą „i”, ale może też być cyfrą 1.

– Sam sobie to wytatuował i nie wyobraża pan sobie jak. Proszę spojrzeć, tu mam zdjęcia czworga zwierząt, które sprawca tego bestialstwa zamknął z nim w beczce.

– Tak, to średniowieczna kara, w dodatku jest opisana w powieści – powiedziałem.

– Okrutny, bezlitosny sposób zadawania śmierci: zwierzęta zapakowane do beczki wpadają w histerię, potem beczkę się zamyka i wrzuca do rzeki. Osoba zamknięta z nimi jest narażona na zadrapania, ugryzienia i ukąszenia, gdyby żmija jeszcze żyła.

– Mam nadzieję, że nie żyła. Poza tym w miesiącach zimowych chyba zapadają w sen?

– Ta żmija jest wypreparowana. To tylko skóra, eksponat. Pozostałe zwierzęta, niestety, były najprawdopodobniej żywe, kiedy zamknięto je z ofiarą. Proszę spojrzeć na prawą dłoń chłopaka, jest koszmarne podrapana, o wiele bardziej niż lewa. Wziął koguta i napisał te znaki jego szponami, oczywiście kogut na pewno się bronił. Użył go jak igły do tatuażu. Widać ślady dziobnięć i niewielkie draśnięcia. To musiało być piekielnie trudne. Kot i pies drapały go i gryzły w nogi, ubranie częściowo

to złagodziło. Zwierzęta próbowały uciec, w kocich łapach znaleźliśmy mnóstwo drzazg.

– Przyśle mi pani wyniki badań toksykologicznych, żebym wiedział, czy w jego ciele znaleziono jakieś substancje psychoaktywne?

– Oczywiście. Ale jeśli zachował się tak, jak myślimy, znajdował się w pełni władz umysłowych, nie był ani otumaniony, ani zdezorientowany.

Nie znała pani tego chłopaka. Miał niezwykły umysł, chciałem powiedzieć.

MatuSalem wysłał mi wiadomość.

Właśnie mnie.

Wiedział, że nie wyjdzie z tego żywy, wiedział, że ja poznam wyniki sekcji jego zwłok.

Litera K oznaczała mnie, Krakena. Ale co miało znaczyć „>N I?”. A może napisał „Kraken, >N 1?”.

Co znalazł MatuSalem w wieży Ramira Alvara Nograro?

Nagle zrozumiałem. To ostrzeżenie.

To, co chodziło mi po głowie od ostatniej wizyty w starym domostwie Nogararów. „Kraken, więcej niż jeden”.

Tak brzmiała wiadomość, pewnie doszedł do tego samego wniosku co ja: tam nie było jednego Alvara, było ich wielu.

## PLAC SĄDÓW

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Ruiz wyjechał z więziennej celi w fortecy San Vicente na kulawym ośle i dotarł na plac, na którym odbywały się sądy. Przy Bramie Południowej, nieopodal starego cmentarza Świętego Michała, zgromadziło się wielu gapiów. Zgodnie z wolą króla wszystkie sądy miały obradować za bramami miasta.

Z jednej strony ustawiły się rodziny rzemieślników: powroźnicy, wytwórcy kotłów, szewcy, przekupki i młynarze. Z drugiej strony, przy schodach, Ortizowie de Zárate, Mendozowie, Isunzowie... Jednym słowem, lokalna szlachta. Hidalgowie przybyli też z okolicznych osad, między innymi Avendañowie, ojciec i syn.

Niektórzy przyjechali tu konno. Onneca siedziała na grzbiecie swojej złotej klaczy Olbii. Nie zwracała uwagi na pełne podziwu spojrzenia, którymi sąsiedzi obdarzali zwierzę i jego panią.

Dwie kozy wspięły się na drzewo i obgryzały zmrożone pędy, nie zważając na tumult pod ich racicami.

– Lorenço, zgoń kozy z drzewa! – rozkazał mu burmistrz. – Nie czas teraz na takie rzeczy.

Niespełna dziesięcioletni pastuszek zagwizdał na kozy, trochę speszony żartami innych chłopców. Kozy zeszły z dębu, dzwoniąc dzwoneczkami.

Spojrzenia mieszkańców grodu koncentrowały się na burmistrzu Perezie de Oñate, brzuchacz z gęstą brodą, który z trudem to znosił.

Mendieta, wielki kat o rudych włosach i bujnej brodzie, prowadził za uzdę wymizowanego osła. Więzień stanął przed władzami. Ręce miał związane na plecach. Z bliska dostrzegłem na jego twarzy coś, co ani trochę mi się nie spodobało.

Podszedłem do niego zaniepokojony. Cyrulik opatrzył mi ranę raz jeszcze, już nie krwawiła, ale daleko mi było do pełni sił fizycznych. Uznałem jednak, że muszę być obecny na tym sądzie.

Ale syn Ruya nie wyglądał lepiej niż ja. Zauważyłem strużkę zakrzepłej krwi, która spłynęła po policzku z kącika ust. Obawiałem się najgorszego. Otworzyłem mu usta.

– Na Boga, ucięli mu język! Kto pełnił straż w więzieniu?

Petro Remírez, namiestnik z bujnym wąsem, podszedł do nas zdenerwowany.

– Kiedy to się stało? I dlaczego nic o tym nie wiem?

Dwóch strażników eskortujących więźnia spuściło głowy.

Petro zwrócił się do chudszeo z nich.

– Bermudo! – Ujął go za brodę, żeby nie mógł uniknąć jego wzroku.

– Zdarzyło się to tej nocy, kiedy przyprowadzono go do więzienia. Nie pełniliśmy straży, przyłączyliśmy się do chłopców, którzy odbywali procesję z okazji dnia Świętej Agaty. Poszliśmy z nimi na kolację. Kiedy wróciliśmy następnego dnia, okazało się, że ktoś mu obciął język.

– Jak, skoro był zamknięty? – zapytał burmistrz.

– Nie jest to znów takie trudne. W drzwiach są kraty. Ktoś mógł go zawołać, Ruiz podszedł do krat i ucięto mu język. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to się stanie? Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło.

– Aż do teraz! – krzyknął namiestnik. – Wy jedliście sobie spokojnie jajecznicę z chorizo i polewaliście winem ulice Villa de Suso, a ten nieszczęśnik stracił język!

– Nie jest znów taki niewinny – wtrącił drugi strażnik. – Zapytajcie, co obcinał kotom, królikom i żrebakom. Wszyscy znamy jego upodobanie do noży.

– Jeszcze jeden powód, żeby nie wierzyć, że otrął hrabiego de Maestu – wtrącił jeden z Isunzów.

– Niech to wyłoży nasz hrabia – wtrącił burmistrz. – To on będzie sędzią i on wyda wyrok.

Formalnie wciąż jeszcze nie odzyskałem tytułu hrabiego. Musiałem sporządzić stosowne dokumenty, żeby wróciło do mnie całe moje mienie, dom i wszystko, czego się w życiu dorobiłem, a teraz przeszło na własność drogiego Nagorna. Jeśli tak dalej pójdzie, być może nie będę musiał niczego odkręcać. Moja rana pachniała brzydko, a wysiłek związany z sądem nie pomagał w dochodzeniu do zdrowia.

Wystąpiłem przed tłum, starając się trzymać pewnie na nogach.

Nie okazuj słabości, przykazałem sobie.

Nie wiedziałem jeszcze, kto zranił mnie mieczem, ale miałem dziwną pewność, że osoba, która to zrobiła albo za to zapłaciła, patrzy na mnie teraz uważnie. Zaatakowano mnie w nocy, już po hejnale, po którym zamykano bramy. Napastnikiem musiał być ktoś z grodu.

– Przedstawię wam świadka, który twierdzi, że syn Ruya kupił pięć nocy temu trzy szczypty proszku z majki lekarskiej, ilość, jak sami przyznacie, dość niezwykłą. Jak twierdzi chłopak, jedna szczypta wystarcza na dwa dni i dwie noce. A wszyscy stosują ten środek nader ostrożnie, bo nadużycie go grozi okrutną śmiercią. Ale w wigilię dnia Świętej Agaty, dwie noce po zakupie, sam oskarżony powiedział mi, że została mu tylko szczypta i nie podzielił się z nikim swoim zapasem. Gdyby nawet sam zażył jedną porcję, powinny mu zostać dwie. Gdzie więc podziały się dwie pozostałe szczypty? Obawiam się, że są we wnętrznościach hrabiego de Maestu. Pewien cyrulik z Pampeluny – nie zająknąłem się o tym, że był Żydem, żeby nie dodawać argumentów wrogom – nauczył mnie, jak sprawdzić, czy ktoś zginął od nadmiernej ilości kantarydyny. I to właśnie jest dowód na to, że hrabia został otruty. – Pokazałem białą skórę królika pełną pęcherzy. – Wyobraźcie sobie, jak musiały wyglądać wnętrzności drogiego hrabiego, wyobraźcie sobie, drodzy sąsiedzi, jego ostatnie godziny życia i bolesną agonię.

– Czy oskarżony ma coś na swoją obronę? – zapytał alkad.

Ruiz wydał kilka nieartykułowanych pomruków i zaczął machać rękami. Wielu naszych obywateli miało do niego pretensje o dawne przewinienia,

więc rozległo się buczenie. Zbyt wiele razy słuchali skarg córek, zbyt wiele razy znęcał się nad zwierzętami w ich zagrodach.

– Jak widać, oskarżony nie może się bronić. Czy ktoś jest w stanie zrobić to za niego? – naciskał burmistrz.

– Bądźmy szczerzy – wtrącił Mendoza, nie zsiadając z konia. – Nikt nie wątpi, że byłby zdolny się tego dopuścić. Postuluję, żeby zapłacił grzywnę za zabójstwo, natomiast darujmy mu karę więzienia w zamian za to, co go spotkało, gdy czekał na proces.

– I to ma być rozwiązanie?! – usłyszałem pełen emocji głos dobiegający z grupki rzemieślników. – Ten, kogo stać na zapłacenie pięciuset solidów, może sobie nas bezkarnie mordować? On zabił naszego obrońcę i prawie wykończył naszego hrabiego Vełę.

Znów miałem zabrać głos i poprosić o spokój, ale dąb, pod którym odbywały się sądy, runął mi na głowę, albo tak mi się przynajmniej zdawało, bo nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami i upadłem na ziemię.

Pierwszym, co zobaczyłem po przebudzeniu, był czepiec z trzema rogami. Alix de Salcedo siedziała przy moim łóżu i kładła mi na czole zimne kompresy.

– Co się stało?

– Rana na plecach znów się otworzyła. Straciliście dużo krwi, byliście bladzi jak chusta. Zjedzcie trochę cynaderek wieprzowych, babcia Lucía mówi, że dodają sił ludziom, którzy obficie krwawili. To ona przysłała mnie, żebym się wami zajęła.

Usiadłem ostrożnie, Alix podała mi nóż, żebym mógł pokroić cynaderki. Sos pachniał rozmarynem i czerwonym winem. Potrawa była pyszna, rozgrzała mi żołądek, a kiedy zagarniałem kawałkiem placka ostatnie krople sosu, poczułem się pokrzepiony.

Alix przyglądała mi się w milczeniu. Od czasu do czasu popatrywała w okno, miałem wrażenie, że chce ode mnie uciec.

– Nie powołaliście mnie na świadka podczas procesu, a mogliście to zrobić – powiedziała w końcu.

– Nastroje są zbyt rozbuchane. Nie chciałem narażać was na niebezpieczeństwo.

– Zeznawałabym. Prawie was wykończyli. Jesteście silniejsi, niż mi się wydawało. W Villa de Suso połowa sąsiadów modliła się za waszą duszę, a druga połowa robiła zakłady, że będziecie kolejnym hrabią Velą, który nie dożyje starości.

– A ty co robiłaś, pani?

Zapatrzyła się w płonące drwa, widziałem, że jest zmieszana i unika mojego wzroku.

– I jedno, i drugie. Ruiz... Dziś odbędzie się egzekucja, burmistrz usłuchał waszej rady. Ale sąsiedzi z Nowej Victorii są niezadowoleni. Naprawdę sądzicie, że ktoś zasługuje na tak niegodną śmierć?

– Jaki inny koniec może go czekać prócz powieszenia? Umrze szybko, a jego śmierć posłuży za przestrożę innym, którzy chcieliby pójść w jego ślady.

– Senior...

– Diago. Mówiłaś, pani, do mnie Diago. Widzieliście mnie takiego, jakim matka wydała mnie na świat. Chyba zasłużyliśmy już na to, żeby darować sobie formalności.

– Diago, nie powieszą go. Burmistrz skazał go na śmierć przez utopienie w beczce. Sami przekonaliście go do tego w swoim liście, a on posłuchał rady.

– Jakim liście, Alix?

– Rajcy dostali list od hrabiego Veli, tak przynajmniej mówi się w grodzie.

„Ja nie napisałem tego listu”, chciałem powiedzieć, ale na wszelki wypadek milczałem.

– Czy egzekucja już się zaczęła?

– Wszyscy, którzy chcą ją zobaczyć, już jakiś czas temu poszli nad Zadorrę.

– A wy? Nie chcieliście tam iść?

– Nie w tym rzecz. Gród opustoszał, drzwi są otwarte, a ja widzę was takim osłabionym, że...

Wyjęła sztylet ukryty w fałdach sukni.



– Chcecie mnie chronić. Czy to babcia Lucía was przysłała?

– Zawsze prosi, żebym przynosiła wam swoje placki i ciasta, tym razem nie opowiedziałam jej o tym, jak zemdleliście. Nie chciałam jej martwić.

Pokręciłem głową.

– Dowie się, pewnie słyszała już o tym setki razy z innych ust. – Wstałem z łoża. – Z waszą pomocą czy nie, wybiorę się na tę egzekucję.

– Jesteście pewni?

Odpowiedziałem, że tak, choć byłem bardzo słaby.

– Dobrze, ale ja nie chcę oglądać więcej barbarzyństwa – mruknęła. – Mam nadzieję, że tej nocy zdołacie zmrużyć oko.

I jej czepiec o trzech rogach zniknął w drzwiach, uciekła przede mną, jakbym był demonem. Wyczuwałem jej niechęć, ale mimo wszystko została, by mnie chronić. I wiedziałem też, że miejscy plotkarze wkrótce zaczną szeptać kalumnie o Alix de Salcedo, jeśli nadal będzie mi pomagać. Po powrocie z egzekucji zamierzałem porozmawiać z nią i babcią, przekonać je, żeby Alix więcej nie przychodziła się mną opiekować. Z biegiem dni miałem coraz więcej wrogów, nie byłem dobrą kompanią dla młodej wdowy.

Jakiś czas później dotarłem nad brzeg Zadorry. Ostatnimi dniami zapanowała odwilż, śniegi się roztopiły, ale woda z pewnością była lodowata.

Szedłem po śladach butów, końskich podków i kół, chyba nikt nie chciał, by ominął go widok egzekucji. Topienie w beczce było czymś niezwykłym, krążyły legendy o niewiernych żonach zabitych w ten sposób przez swoich możnych mężów, ale nikt z obecnych nie widział w życiu czegoś podobnego.

Kiedy dotarłem na brzeg, kat Mendieta walczył z dzikim psem, którego pakował do beczki po winie.

Pół grodu obserwowało go uważnie, stali tam kowale, szewcy, dwie przekupki z dziećmi przy piersi... Ponad pięćdziesiąt osób zagrzewało kata okrzykami. Smutne sylwetki topoli kontrastowały ze śmiechami i żarcikami, które podgrzewały atmosferę, oraz z poważnymi obliczami

możnych i szlachty na koniach, którzy obserwowali wszystko z drugiego brzegu Zadorry. Oni też nie chcieli stracić widowiska.

Mendieta otworzył wór, w którym trzymał wściekłego kota, potem wyjął z innych worków koguta i żmiję zwiniętą w ósemkę. Chyba zapadła w zimowy letarg, pewnie ktoś zapłacił jakimś chłopaczkom, żeby wyciągnęli ją spod kamieni w lesie.

– Przybyłeś, żeby temu zapobiec – powiedział Nagorno, który zatrzymał się obok mnie, siedząc na grzbiecie swojego konia Altaia.

Nie patrzyłem na brata, byłem zbyt przybity całym spektaklem. Wrzaski Ruiza, kiedy kat wrzucił beczkę do rzeki, zmroziły niejednego. Umilkły śmiechy i żarty, zapadło złowrogie milczenie.

– To ty wysłałeś list – szepnąłem.

– Wciąż jeszcze jestem hrabią Velą – odparł cicho. – I nic już nie poradzisz. Podważyłbyś autorytet burmistrza. Na Pereza de Oñate głosowali sąsiedzi z Villa de Suso, których tak poważasz. Jeśli sprzeciwisz się ich woli, zostaniesz bez popleczników. A już zyskałeś sobie zbyt wielu wrogów, spójrz tylko na sąsiedni brzeg. Nie zapomną ci tej zniewagi. Już za późno, żeby powstrzymać egzekucję, nie wspominając o tym, że Onneca znienawidzi cię, jeśli to zrobisz.

– Wiem.

Oczywiście od razu o tym pomyślałem, Onneca nie wybaczyłaby mi litości dla mordercy jej ojca.

– Nagorno, pomyślałeś o konsekwencjach, jakie będzie to miało dla nas wszystkich?

– A jak sądzisz? Zawsze byłem lepszym strategiem niż ty.

Przełknąłem ślinę. Z rzeki wciąż niosły się rozpaczliwie wrzaski zamkniętego w beczce Ruiza. Kuśnierz Tello zatkał swojemu synowi uszy, wziął go na rękę, odwrócił się na pięcie i bez słowa odszedł do miasta błotnistą ścieżką. Inni ruszyli za nim z opuszczonymi głowami. Szlachta została do końca, dopóki beczka nie zatonała zupełnie w nurtach Zadorry.

– A więc to rozgrywka... – powiedziałem.

– Odkąd osierociłeś miasto. Tak, oczywiście, że to rozgrywka. Dziękuję ci za dwa lata przewagi.

Dobrze, pomyślałem. Już wcześniej graliśmy w tę grę. Mieliśmy więcej pionków, więcej ludzi. Wszyscy przegrywaliśmy. Nagorno nic sobie z tego nie robił, na tym polegała jego przewaga nade mną.

– Jedno tylko, Nagorno. To batalia obliczona na czas dłuższy czy rozegra się szybko?

Chciałem zapytać, czy powinienem już się zbroić, czy pozwoli mi trochę pożyć w spokoju.

Nagorno się uśmiechnął.

– Nie widzisz tego, co masz przed oczyma, ty, który zawsze byłeś najsprytniejszy z rodziny. Batalia zaczęła się dziś, głupcze.

Kiedy to mówił, ostatni mieszkańcy Villa de Suso odchodzili, czując na językach smak żółci. Krzyki Ruiza ucichły, nie było też słychać szczekania ani miauczenia.

Burmistrz i kat uznali mężczyznę i zwierzęta za zmarłe i wzięli gruby sznur, który przywiózł im powroźnik na swoim wozie. Po wielu próbach zarzucili wreszcie pętlę na beczkę i wyłowili ją. Wtoczyli ją na wóz. Nikt nie miał odwagi jej teraz otwierać. Nawet Mendieta, przywykły do okropności po tylu latach wymierzania kar, schował się za topolą i głośno wymiotował.

Onneca jako jedyna wytrzymała do końca. Zbliżyła się do nas, zsiadła z grzbietu Olbii i zwróciła się do Nagorna:

– Zostaw nas samych, mój drogi mężu. Muszę pomówić z twoim bratem w cztery oczy.

– Wolę zostać.

– Wiem, wszakże chcę pomówić z nim sam na sam. Zaczekaj na mnie w łóżu, będę potrzebować twoich uścisków, żeby przestać myśleć o tym, co dziś ujrzałam.

Nagorno obrzucił mnie długim spojrzeniem, ale w końcu odszedł.

– Dużo zrobiłeś, żeby pomścić mojego ojca – rzekła, kiedy mój brat zniknął.

Cóż miałem odpowiedzieć? Pewnie któregoś dnia i tak dowie się prawdy.

– Czego chcesz, Onneco? Nie powinnaś mocować się z Nagornem. Musisz zachować siły na chwilę, kiedy będą naprawdę potrzebne.

– Nie zaprzataj sobie głowy moimi małżeńskimi bataliami, będę je toczyć, kiedy uznam za stosowne. Martwię się o swoje siostry. Napisałam do nich jeszcze raz w tym tygodniu, opowiedziałam im o sądzie nad mordercą ojca i nie dostałam żadnej odpowiedzi. Twoja rodzina zawsze zajmowała się sprawami parafii Najświętszej Marii Panny, a z woli mojego ojca mają spędzić resztę życia zamurwane w pomieszczeniu, w części spichrza. Czemu milczą tak uparcie?

– My wybudowaliśmy pierwszą pustelnię, potem król postanowił ją rozbudować, ale właściwie dbamy tylko o to, by proboszcz odprawiał msze i inne nabożeństwa oraz zbieramy tam daniny ze zboża w ustalonej wysokości. Kiedy wyjeżdżałem, twoje siostry były jeszcze dziewczynkami, a ojciec je uwielbiał, zdumiało mnie, że zdecydował się na śluby ciemności dla nich obu. Dowiem się, kto się nimi zajmuje. Potrzebujecie ode mnie jeszcze czegoś, bratowo?

– Nie, Diago. Kuruj się! Wyglądasz na bardzo osłabionego.

Zostałem na brzegu, póki wszyscy nie odeszli. Onneca na swej złocistej klaczy, wóz z beczką i śladami naszego barbarzyństwa, seniorzy z drugiego brzegu, którzy wracali, klnąc i złorzecząc.

I patrzyłem, jak gród rozpada się na pół. Od tego dnia nikt nie mógł czuć się bezpieczny w naszych murach.

## ARKAUTE

## UNAI

*Październik 2019*

Pojechałem swoim samochodem do szkoły w Arkaute na peryferiach Vitorii, gdzie lata temu uczyłem się, żeby zasilić szeregi ertzaintzy[2], a potem studiowałem profilowanie kryminalne. Mieściła się blisko cmentarza, którego starałem się nie dostrzegać, biegając po drózkach otaczających to mikromiasto, gdzie kolejne roczniki spędzały po dziewięć miesięcy, zanim słowo „partner” nabierało zupełnie nowego znaczenia.

Przyjechałem zobaczyć się ze swoją mentorką, psychiatrą Mariną Leivą. Kobieta, która poprowadziła mnie za rękę przez ciemne ścieżki psychopatycznych umysłów, pacjentów cierpiących na psychozę, seryjnych morderców, w których się wyspecjalizowałem.

Drogę zagroził mi szlaban, musiałem wyciągnąć odznakę, żeby mnie wpuszczono.

Nowicjusz szukałby Mariny w salach, gdzie prowadziła zajęcia z profilowania kryminalnego, ja jednak dobrze znałem jej zwyczaje.

Spojrzałem na zegarek w telefonie i pewnym krokiem udałem się do budynku, w którym znajdowały się kryte baseny. Zostałem ją tam: pływała po pustym torze w czerwonym kostiumie kąpielowym i gumowym czepku opinającym jasne włosy.

Zaczekałem cierpliwie, aż przepłynie swoje długości basenów i zauważy moją obecność. Z butami w ręku bosymi stopami brodziłem w kałużach chlorowanej wody.

– Unai, co za niespodzianka widzieć cię tu z powrotem – powiedziała, wchodząc po metalowej drabince basenu.

– Już dawno chciałem cię odwiedzić, obawiam się, że zwlekałem zbyt długo.

– No tak. Wyfrunąłeś z gniazdka, ale z tego, co słyszę, dajesz sobie radę.

– Nie do końca, Marino. Doprowadziłem do końca kilka śledztw najlepiej jak umiałem, ale teraz potrzebuję twojej pomocy. Natrafiłem na coś, a raczej na kogoś, kogo nie potrafię rozgryźć.

Poprosiłem, żebyśmy usiedli. Była spokojna i cierpliwa, obserwowała mnie i uśmiechała się tak, że nie miałem krępującego wrażenia, że mnie analizuje. Po prostu była przy mnie i słuchała, zdążyłem już zapomnieć, jak kojąco działa jej obecność na moje skołatane nerwy.

– I naprawdę mnie potrzebujesz? – spytała, wycierając się powoli dużym ręcznikiem.

– Tak, potrzebuję właśnie ciebie. Pamiętam, że opowiadałaś kiedyś, jak zaczęłaś z nami współpracować. O dochodzeniu w sprawie seryjnego gwałciciela, którego nazywano Gadułą.

Byłem jeszcze wtedy zbyt młody, a w prasie nie pisano o tym śledztwie. Nie było też portali społecznościowych, które nagłośniłyby sprawę.

Facet, który gwałcił swoje ofiary, zasypując je lawiną słów, wypytując o ich fantazje i upodobania. Wszystkie twierdziły, że ten skurwiel był elokwentny, nie zamykały mu się usta i miał akcent z Europy Wschodniej. Na szczęście w przypadku niektórych ofiar udało się zabezpieczyć próbki nasienia.

Policja szukała wśród notowanych gwałcicieli z paszportami z tamtej części Europy. Na próżno.

Tymczasem prowadzono dochodzenie w sprawie innego gwałciciela, który popełniał przestępstwa w tej samej okolicy. Ofiary twierdziły, że ich napastnik jest Hiszpanem, że nigdy nic nie mówił, że był niezwykle okrutny, więc szukano sprawy o zupełnie innym profilu. Ale okazało się, że próbki jego nasienia odpowiadały próbkom nasienia Gaduły. Udało się zatrzymać podejrzanego: okazał się Hiszpanem i pacjentem doktor Leivy.

Od lat przechodził terapię, cierpiał na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Wtedy policja zwróciła się z prośbą o pomoc do mojej mentorki.

– Rzadko spotyka się tak spektakularne przypadki jak tamten – powiedziała, starannie składając ręcznik na kolanach. – Poza tym większość moich kolegów nie wierzy w DID. W wielu przypadkach to zaburzenie było udawane. Nie wiem, czy pamiętasz, ale zaburzenie osobowości wielorakiej zrobiło się popularne w latach pięćdziesiątych, po filmie *Trzy oblicza Ewy*. W swoim czasie film spotkał się z wielkim społecznym oddźwiękiem. To sprawiło, że przestępcy zaczęli symulować DID, żeby psychiatrzy stwierdzili niepoczytalność, co pozwalało im uniknąć więzienia. Udawali amnezję lub fugi dysocjacyjne. Dziś na szczęście dysponujemy skutecznymi narzędziami klinicznymi i potrafimy sprawdzić, czy pacjent udaje, czy nie. Trudno oszacować, jak często to zaburzenie występuje wśród ogółu populacji, wiemy jedynie, że jest rzadkie, dlatego większość psychiatrów nie spotyka się z nim ani razu podczas swojej kariery zawodowej. Ja przez trzydzieści lat pracy w zawodzie leczyłam kilku takich pacjentów. Dlaczego chcesz skonsultować ten przypadek ze mną?

– Opiszę ci pewną osobę. Powiedzmy, że nazywa się Alvar.

– Dobrze.

– To ksiądz, nie ma nawet czterdziestu lat – ciągnąłem. – Nieco narcystyczny, ekstrawertyczny, pewny siebie. Uwodziciel, ale dba o to, by zwracać się do niego per pan. Zwykle jest mu gorąco, nie narzuca nic na sutannę, wszystko jedno, czy przebywa wewnątrz budynku, czy spaceruje nocą ulicami. Kompleks wyższości, świadomość przynależności do klasy wyższej. Dziedzic bardzo bogatego rodu, który korzysta z przywilejów od tysiąca lat.

– Zaczynam kreślić plan sytuacyjny – powiedziała.

– Ten sam człowiek następnego dnia przedstawia mi się jako Ramiro Alvar. Nie poznaje mnie, nie pamięta, co robił wczoraj. Teraz okazuje się introwertyczny, nie nosi sutanny. Ma za to okulary, w przeciwieństwie do Alvara. Mówi mi na ty. Jest lękliwy, brak cech narcystycznych. To chyba bardzo zdolny facet, skończył historię, ekonomię, prawo i psychiatrię. To ostatnie mnie zaintrygowało: twierdzi, że skończył te studia, żeby dobrze

zarządzać rodzinnym dziedzictwem, nie wspomniał natomiast słowem o teologii. Dobrze gospodaruje odziedziczoną fortuną, jest odpowiedzialny, aż za bardzo jak na swój wiek. Wydaje mi się, że woli otaczać się książkami niż ludźmi, czuję, że stoi za tym jakaś trauma, wyczuwam lęk, który szybko daje o sobie znać, kiedy z nim rozmawiasz. Na jego kanapie spoczywa egzemplarz, bardzo zaczytany, *Rozmyślań* Marka Aureliusza. Dziwne, że czyta stoików, skoro poprzedniego dnia mówił o sobie jako o hedoniście. Jest zmarzluchem. I ma też zupełnie inny ton głosu, to zdumiewające. – Spojrzałem na nią, a ona się uśmiechnęła, jakby wcale jej to nie dziwiło. – Gotów bym przysiąc, że to dwie różne osoby.

– Mów dalej. Co jeszcze masz?

– Jeden niepokojący szczegół: przedstawia się jako dwudziesty piąty pan na wieży, podczas gdy Alvar mówi, że jest dwudziestym czwartym dziedzicem. Mam podstawy, żeby sądzić, że Ramiro Alvar cierpi na agorafobię. Ci świadkowie, którzy go znają, a jest ich niewielu, zarzekają się, że bardzo rzadko opuszcza swoją wieżę.

– Pozwól, że ci przerwę, ale mam ważne pytanie: jesteś pewien, że masz do czynienia z jedną i tą samą osobą?

– Tak, ten sam wzrost, ten sam zapach ciała, identyczny rysunek tęczy, płatek uszu przyklejony do twarzy, nie tak znów często spotykany szczegół będący efektem mutacji genetycznej. Poza tym po nocy, kiedy Alvar balował, Ramiro miał podkrążone oczy, przywitał mnie nieogolony i śpiący. Mam tylko zdjęcie Alvara, nie udało mi się sfotografować Ramira Alvara. Powiększyłem je, żeby obejrzeć uważnie, i zauważyłem szczegół, który go zdradza: ślad na czubku nosa po okularach, których używa Ramiro Alvar. Kiedy poznałem księdza, właśnie pozbył się osobowości Ramira Alvara, z okularami włącznie. Potem spotkałem Alvara na ulicy, rozpoznał mnie, dopiero gdy znalazłem się bardzo blisko, co zrzuciłem na karb jego krótkowzroczności.

– Mamy więc Alvara Dwudziestego Czwartego, księdza, i Ramira Alvara Dwudziestego Piątego, mola książkowego – podsumowała, jakby chodziło o rzecz najoczywistszą na świecie.

– Tak.



– Ramiro Alvar to ANP – pozornie normalna część osobowości. Alvar, nasz drogi ksiądz, to alter ego. Zawsze to tak wygląda: ta druga osobowość jest teatralna, przejawiona. To inwencja umysłu, który wybiera mocno rzucające się w oczy cechy z bardzo konkretnych powodów. Alter nie jest osobowością jak ty i ja, z tysiącem półcieni, to osoba namalowana grubymi pociągnięciami pędzla.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Alter jest tym, który wykorzystuje podstawową osobowość. Nie daje żyć naszemu biednemu Ramirovi Alvarowi.

– Czyli tak to działa? Osobowość będąca tworem umysłu chorego na DID znęca się nad swoim twórcą?

– Alter ego jest wynikiem działania mechanizmów obronnych, a osoba chorująca na dysocjacyjne zaburzenie osobowości ma psyche w kawałkach. Nie lubię mówić o wielorakiej osobowości, ale o zmiennej tożsamości, jestem zwolenniczką traktowania ich jako fragmentów osobowości, które nie zostały właściwie zintegrowane.

Spojrzeniem poprosiłem, żeby mówiła dalej.

– Ty jesteś Unai, masz swój dom i swoją rodzinę. W pracy jesteś inspektorem Lopezem de Ayalą, korzystasz z innych cech. Potrafisz na przykład potraktować jakiegoś podejrzanego ostro i niegrzecznie, a nie zwróciłbyś się w ten sposób do rodziców czy rodzeństwa. Z przyjaciółmi z kolei możesz się wygłupiać, wracasz do swojej osobowości z lat młodości. Dla prasy i ludzi nieznanymi jesteś Krakenem, przypisują ci różne cechy, możesz się z tym zgodzić lub nie, ale nie będziesz dla nich nigdy tym bliskim Unaiem, którego znają przyjaciele i rodzina.

Patrzyłem w kałuże na podłodze trochę zmieszany.

Nigdy nie lubiłem psychologicznych wiwisekcji.

– Zwykle wszyscy funkcjonujemy w ten sposób – ciągnęła. – Wchodzimy w role matki, przyjaciółki, córki, kochanki, szefowej. I zachowujemy się w różny sposób w zależności od tego, kogo przed sobą mamy, zastanawiamy się, czy jesteśmy w sytuacji zawodowej, rodzinnej,

społecznej czy intymnej. Większość z nas zintegrowała te wszystkie aspekty osobowości, dlatego sięgamy po odpowiednie modele zachowań, kiedy ich potrzebujemy. Osoby z DID nie mają zintegrowanej osobowości, co skutkuje amnezją. To nie jest amnezja, która dotyczy kwestii ogólnych, ale szczegółów, na przykład tego, co robiło zeszłej nocy alter ego. Dlatego odczuwają wielką nieufność i mają skłonność do paranoi. Nie ufają sobie, a raczej temu, co robi ich alter ego. Ukrywają działania swoich różnych tożsamości, stąd amnezja i epizody fug dysocjacyjnych. Wielu z nich to samotnicy, izolują się, nie mogą prowadzić normalnego życia, gdyż boją się, że zostaną zdemaskowani. To zaburzenie bardzo trudne dla pacjenta, większość z nich poświęca całą energię na to, żeby ukryć je przed otoczeniem.

– Wspomniałaś o mechanizmach obronnych. Przed czym się bronią?

– Wcześniej sądzono, że za DID odpowiada zawsze jakieś traumatyczne przeżycie z dzieciństwa albo doświadczenie przywiązania zdeorganizowanego w pierwszych dekadach życia. Psyche rozpada się na części pod wpływem szoku, z którym nie może się pogodzić, i pacjent przyjmuje wiele osobowości: zbawcy, prześladowcy i ofiary. Jedna z tych osobowości pozwala nie pamiętać o traumie w życiu codziennym. Alter ego, jedno albo kilka, koncentrują się na tych traumatycznych wydarzeniach i próbują się przed nimi bronić. Jest w nich część agresywna, część, która unika konfrontacji, jest też część uległa. Ja nie jestem tego pewna. Nie jestem pewna, czy trauma z dzieciństwa jest konieczna, chociaż najczęściej właśnie tak bywa. Natomiast nie mam wątpliwości, że DID rozpoczyna się lub przybiera na sile z powodu dużego stresu. Nieważne, jaka jest jego przyczyna, ważne, że pacjent bardzo go przeżywa.

– Sądzisz, że jeśli przyprowadziłbym do ciebie tę osobę, umiałabyś ocenić, czy choruje naprawdę, czy tylko udaje? Muszę wiedzieć, co się dzieje, Marino. Mam jakieś drobne dowody, ale dla sędziego nie będą wystarczające. I chociaż wszystko wskazuje na to, że jest tak, jak myślę, bardzo by mi się przydał punkt widzenia profesjonalistki.

– To na pewno niezwykle ciekawy przypadek i rokowania są optymistyczne, kiedy pacjenci zechcą poddać się terapii. Musisz porozmawiać z Ramirem Alvarem. Alter, nasz Alvar duchowny, nie będzie chciał ze mną gadać.

– Dlaczego? Nie chciałby poczuć się lepiej?

– Nie zrozumiałeś jeszcze, Unai. Alter zrobi wszystko, żeby przeżyć. Wszystko. Jeśli pacjent przyjdzie na terapię, Alvar przestanie istnieć. I możesz mi wierzyć: zrobi, co w jego mocy, żeby do tego nie doszło.

## DAMA Z ZAMKU

## UNAI

*Październik 2019*

Dotarłem do Laguardii wczesnym rankiem. Moje damy jadły spokojnie śniadanie w hotelowym ogródku. Alba zdawała się odpoczywać z głową wspartą na oparciu krzesła, jakby patrząc na słońce, mogła wchłonąć więcej energii tego ciepłego jesiennego dnia.

Kątem oka dostrzegłem gazetę, którą jakiś klient, ranny ptaszek, zostawił na stole, i zacząłem modlić się w duchu, żeby Alba jej nie zauważyła.

– Pójdziecie ze mną na wieżę? – zaproponowałem, całując je w policzek na powitanie.

– O co chodzi? – zapytała Alba ostrożnie, gdy byliśmy już na górze.

Miałem wrażenie, że obawia się znów złych wiadomości.

Niczym iluzjonista wyjąłem z kieszeni kurtki trzy jedwabne nitki. Zawiązałem na nich przesuwane węzły, żeby można było nosić je jak bransoletki. Znałem na pamięć wielkość nadgarstków Alby i Deby. Spojrzały na mnie nieco rozczarowane.

– Wojałabym kaštany – oświadczyła Deba, a potem zapatrzyła się na wzlatującą wysoko ważkę.

– Opowiem ci legendę, którą sam usłyszałem od swojej babci – powiedziałem, siadając na murku i biorąc ją na kolana. – Widzisz góry Toloña? Ty stamtąd pochodzisz, twoja mama i ty spędziłyście kilka dni w towarzystwie boga Tulonia. Matka Ziemia was ochroniła, ona też jest

boginią. Tak naprawdę najważniejszą ze wszystkich. W tych okolicach nazywano ją Lur. Lur lubi w nocy tkać, siada wtedy na księżycu w nowiu. Jest prządką, tka nici przeznaczenia.

– Co to są nici znaczenia? – zapytała zaintrygowana.

– To, co nas łączy, co czyni z nas rodzinę – wyjaśniłem. – Można je naciągnąć, skrócić, zawiązać, ale nigdy przerwać: Lur na to nie pozwoli. Teraz każde z nas nałoży sobie swoją nitkę i one połączą nas na zawsze. Kiedy zrobi ci się smutno, pogłaskaj ją i pomyśl, że mama i tatuś też takie mają i że wszyscy będziemy o siebie dbać. Tak robią rodziny.

Alba spojrzała na mnie z uśmiechem, chyba się wzruszyła. Zawiązałem nitki na ich nadgarstkach, wielką przyjemność sprawił mi ten widok.

– Jak ty to robisz, że wzruszasz mnie od samego rana? – szepnęła mi na ucho Alba.

Pocałowaliśmy się, a Deba jak zawsze zaczęła bić brawo. Bardzo to lubiłem.

– To chodźmy – powiedziała Alba z uśmiechem. – Mam milion rzeczy do zrobienia. Ustalę program wydarzeń kulturalnych z Urzędem Gminy Laguardii i dziś rano mam zebranie. Zamierzam organizować wycieczki po miejskich piwnicach na wino zakończone degustacją w hotelu. I spacerować na elektrycznych hulajnogach po winnicach. Mam też nadzieję wziąć udział w dorocznym festiwalu średniowiecznych *pintxos*.

Poszedłem za nią schodami w dół. Nadal była hiperaktywną szefową, pewną siebie, ale nigdy nie widziałem, żeby na komendzie była tak wesoła. Odkąd przeprowadziła się do Laguardii, emanowała z niej czysta energia.

Nieszczęście nadeszło chwilę później. W hotelowej kuchni kroilem Debie jabłko, kiedy zjawiła się Alba z gazetą w ręku.

– Co to jest? – zapytała i pokazała mi nagłówek, a pod nim zdjęcie przedstawiające mnie i Tasia rozmawiających przy grobie.

## KRAKEN I TASIO. CZY TO ONI MAJĄ KLUCZE DO ZAGADEK ŚLEDZTWA „WŁADCY CZASU”?

– Debo, przynieś z pokoju książeczki, chciałbym zobaczyć, co ostatnio pokolorowałaś.

Deba z radością posłuchała. Kiedy wyszła z kuchni, zostawiając nas samych, Alba podeszła do mnie. Zdawało mi się, że w jej oczach zobaczyłem strach.

– Tasio Ortiz de Zárate wrócił, a ty mi nic nie mówisz?

– Próbowałem uszanować twoją żalobę – odparłem. – Poza tym czemu miałyby to służyć? Tylko byś się przestraszyła. Nie chcę, żebyś żyła w strachu.

– Jak mam nie żyć w strachu? Tasio chciał wkroczyć do życia Deby, jestem tym śmiertelnie przerażona.

– Przyjechał na pogrzeb Samuela Maturany. Nie możemy mu tego zabronić, łączyły ich bliskie relacje. Ale to, co przeczytałaś w gazecie, nie ma nic wspólnego ze śledztwem „Władcy czasu”. Rozmawiałem z nim, prosiłem, żeby nie zbliżał się do Deby. Mam nadzieję, że weźmie to sobie do serca i nie będzie próbował nawiązać kontaktu.

Alba bezwiednie pogmiotła gazetę, potem odwróciła się do mnie plecami i przez szybę zapatrzyła się na ogród przed budynkiem.

– Znów to się dzieje? – wyrwało się jej w końcu.

– Co się dzieje?

– Narażasz na niebezpieczeństwo najbliższych sobie ludzi. Narażasz ich na niebezpieczeństwo, bo nawiązujesz kontakty z mordercami.

Byłoby to proste.

Zranić ją. Pograżyć.

Przypomnieć jej, że instynkt chronienia bliskich nie zadziałał w przeszłości, że sama była najlepszym przykładem policjantki, która zadaje się z zabójcami. Nie zrobiłem tego. Mam wrażenie, że podobne decyzje niczym wskaźnik laserowy wyznaczają kierunek, w którym ma podążyć relacja dwojga ludzi. Nie chciałem być skurwielem, który robi jej krzywdę, który podczas kłótni atakuje ją poniżej pasa.

To byłoby zbyt proste. A ja nie lubiłem prostych rozwiązań.

Zrobiłem głęboki wdech. Spróbowałem wyobrazić sobie coś uspokajającego, górski potok płynący po kamieniach, miejsce daleko stąd, które posłużyłoby mi za kotwicę.

– Każdy z nas decyduje, czego nie potrafi wybaczyć – powiedziałem. – Jeśli ty nie wybaczysz mi, że jestem tym, kim jestem... Posłuchaj, Albo, chcę być z tobą. Teraz, kiedy jesteś w żałobie, kiedy czujesz się przerażona i uciekasz z Debą, chcesz być sama. Wiem, że ona ci wystarczy, nie będę zebrał o twoją troskę i towarzystwo. Pragnąłem, żebyśmy byli rodziną, i wciąż się nie poddaję, ale muszę mieć pewność, że nadal chcesz, żebym się starał. Twój ruch, Albo. Idę popracować.

Popracować, zapomnieć, zamienić jedną obsesję na drugą. Jak zwykle. Tak radziłem sobie z trudnymi emocjami. Znałem się aż nazbyt dobrze, nauczyłem się znosić swoje niewybaczalne błędy.

Zatem do pracy.

Wziąłem należący do Alby egzemplarz *Władców czasu*, ten, na którym napisałem dedykację, że rana jest dobrym miejscem, żeby w niej zamieszkać.

Zasłoniłem bliznę na głowie kosmykiem włosów, ten gest powtarzałem bezwiednie setki razy każdego dnia. Czułem, że pokazywanie jej wystawia mnie na niebezpieczeństwo.

Udałem się na górę, wszedłem do pokoju niezajmowanego akurat przez gości, chyba był to pokój Amor i Locura, miłość i szaleństwo. Nadszedł czas, by oddzielić obie te sprawy. Usiadłem w fotelu uszaku z plikiem kartek w ręku.

Szukałem podobieństw, nazwisk, zawodów... Szukałem przyczyn, szukałem motywów w tej mrocznej Krainie Oz. Kto był magiem skrytym za kurtyną? Kto pociągał za sznurki? A może miałem go na wyciągnięcie ręki i wcale nie zależało mu na tym, żeby się ukrywać.

Po chwili do pokoju weszła Alba. Usiadła na skraju materaca i przyglądała mi się przez długą chwilę.

– Sądziłam, że pracujesz – powiedziała w końcu.

– Bo to właśnie robię – odparłem i wróciłem do swoich poszukiwań na zadrukowanych stronach.

...i znalazłem coś.

Brzmiące znajomo imię, nazwisko, na które zwróciłem uwagę podczas pierwszej lektury.

I nie tylko to: znalazłem bohatera Hectora Dicastillo, władcę osady Castillo, jednej ze starych osad położonych wokół starego grodu Victoria. I zdanie, które mówi do kuzyna: „Od zarania ludzkości ciągnie się łańcuch gwałtu i przemocy”.

Ciekawe, już kiedyś słyszałem to zdanie.

Słyszałem je z ust bliskiego przyjaciela. Wypowiedział je, kiedy byliśmy pochłonięci śledztwem „Rytuały wody”. „To jest łańcuch przemocy, który zaczął się już w paleolicie”. Czyżby to powiedzenie przekazywano sobie w rodzinie z pokolenia na pokolenie?

Wstałem z fotela i kręconymi schodkami ruszyłem na wieżę. Musiałem zadzwonić do trzech osób.

Pierwszy telefon.

– Inspektorze, jak się cieszę, że cię słyszę. Co u ciebie? – odezwał się spokojny głos.

– Dzień dobry, Hectorze. Co tam nowego w Kantabrii?

– Prawdę mówiąc, jesteśmy teraz z bratem w Londynie, załatwiamy tu rodzinne sprawy. Mogę ci w czymś pomóc?

Héctor i Iago del Castillowie od wielu lat kierowali Kantabryjskim Muzeum Archeologicznym i w przeszłości pomagali mi przy kilku śledztwach.

– Tak. Nie wiem właściwie, od czego mam zacząć, więc przejdę do sedna. Przeczytałeś *Władców czasu*?

– Słucham? – zapytał, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Powieść. Mam na myśli powieść.

– Nie wiem, o czym w ogóle mówisz, Unai. Mógłbyś wyrażać się trochę jaśniej?

– Pytałem o powieść historyczną, która ukazała się bardzo niedawno i cieszy się dużym rozgłosem. Domyślałem się, że w Santander też było o niej głośno.

– Jesteśmy z Iagiem od dwóch miesięcy za granicą, obawiam się, że nie jesteśmy na bieżąco z tym, co dzieje się w Hiszpanii. Czemu mnie pytasz o tę powieść?



– Jej akcja rozgrywa się w Vitorii, a właściwie w grodzie Victoria – wyjaśniłem – w ostatniej dekadzie dwunastego wieku. Opowiada o walce o władzę pomiędzy królestwami Nawarry i Kastylii, a także między rodami Álavy. Wydano ją pod pseudonimem Diego Veilaz.

– Powiedziałeś: Diego Veilaz?

– Tak, a bohaterem książki jest Diago Vela, legendarny hrabia Vela. Od czasu jej wydania w mieście doszło do kilku zabójstw, przy każdym z nich mordercy stosowali średniowieczne modus operandi wzorowane na zbrodniach opisanych w powieści: hiszpańska mucha, zamurowanie żywcem, utopienie w beczce.

– Nie wierzę – wyjąkał skonsternowany.

– Tak właśnie się dzieje. I dzwonię do ciebie, bo w książce występuje postać, która prawdopodobnie była twoim przodkiem: Héctor Dicastillo, pan osady Castillo. Kiedyś wspominałeś, że jedna z gałęzi twojego rodu pochodzi od rodziny z Álavy, poza tym jesteś specjalistą w dziedzinie historii starożytnej i średniowiecznej północnej Hiszpanii.

– Zgadza się – odparł automatycznie. Był rozkojarzony, dałbym wiele, żeby mieć wgląd w jego umysł w tamtej chwili. – Kto wydał tę powieść?

– Niewielkie lokalne wydawnictwo, nazywa się Malatrama. Naczelnny dostał tekst, ale nigdy nie spotkał się z autorem i nie ma pojęcia, kto ukrywa się pod pseudonimem.

– Jak tylko skończymy rozmowę, kupię powieść i zabierzemy się z bratem do czytania. Daj mi czas do jutra, dobrze? Oddzwonię. Na razie nie umiem powiedzieć ci nic konkretnego.

I odłożył słuchawkę, ja zaś zostałem sam na wieży, całkowicie zbity z tropu.

Ale miałem jeszcze coś do załatwienia.

Drugi telefon.

Zadzwoniłem na numer stacjonarny i odczekałem kilka sygnałów.

– Tak?

– Dzień dobry, tu inspektor López de Ayala. Ramiro Alvar...?

– Tak, to ja. Czemu zawdzięczam... Czym mogę ci służyć? – zapytał, odchrząknąwszy.

– Chciałbym dziś zobaczyć się z tobą w wieży, czy to możliwe?

– Tak, oczywiście. Jestem na miejscu. Czy coś się stało?

Zabili MatuSalema, wykonując na nim średniowieczną egzekucję. To się stało, chciałem powiedzieć. Ale milczałem.

Miałem inne plany wobec Ramira Alvara. Chciałem na przykład przedstawić go Estíbaliz, żeby sama oceniła.

Trzeci telefon:

– Esti, jestem w Laguardii. Wybieram się do wieży Nograro i chciałbym, żebyś pojechała ze mną, muszę ci coś pokazać.

– Zobaczymy się w Vitorii za godzinę – zgodziła się. – Przyjedź po mnie.

Zaparkowaliśmy przy fosie, przeszliśmy przez most. Drewniana furta była otwarta. Był dzień wizyt. Z góry dobiegał głos przewodniczki oprowadzającej grupę uważnych emerytek. Pomachałem jej ręką i pokazałem, że zadzwonię domofonem do apartamentu Ramira Alvara.

– Co dokładnie chcesz mi pokazać, Unai? – zapytała Estíbaliz trochę niespokojna.

– Zaraz zobaczysz. Cierpliwości.

– Wejdźcie, proszę – odpowiedział mi niski głos.

O cholera, to niemożliwe, pomyślałem.

A jednak, Alvar zadrwił sobie ze mnie. To on odebrał telefon, ale postanowił udawać Ramira Alvara.

Alvar czekał na nas w sali obwieszanej pejzażami, uczesany i starannie ubrany w zielono-złotą dalmatykę.

– *Aestibalis*, wiedziałem, że znów się spotkamy – odezwał się na powitanie z szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, Alvarze – pozdrowiłem go, chociaż nie zwracał na mnie uwagi, był zapatrzony wyłącznie w moją towarzyszkę.

– Ja też się cieszę, że znów pana widzę – powiedziała Estíbaliz. – Przychodzimy w związku z prowadzonym śledztwem, próbujemy potwierdzić kilka nowych hipotez.

– Wie pani, że ze swej strony obiecałem współpracę.

– Wiem. Tymczasem zastanawialiśmy się, czy utrzymuje pan jakieś stosunki z Muzeum Nauk Przyrodniczych.

– Po cóż miałbym odwiedzać fałszywą średniowieczną wieżę, skoro sam żyję w prawdziwej? – zdziwił się.

I jego zdziwienie było autentyczne, w jego reakcjach było coś szalenie naiwnego.

– Chodzi nam o to, czy współpracuje z nim pan jako mecenas – uciałem.

– Nachodzicie mnie tu, żeby zadawać prozaiczne pytania, ja nie zajmuję się takimi drobiazgami – nie krył znudzenia.

– Porozmawiajmy w takim razie o pańskiej rodzinie. Pamięta pan habit siostry dominikanki wystawiany w witrynie na pierwszym piętrze? – zapytałem.

– Należał do mojej ciotecznej babki Magdaleny Nograro, złożyła śluby w klasztorze w Quejanie. Znów mnie państwo nudzą.

Alvar odwrócił się do nas plecami i spoglądał przez okno na zamglony krajobraz. Zastanawiałem się, czy w ogóle widzi żółty topolowy zagajnik, który rozciągał się u naszych stóp.

– *Aestibalis*, umie pani jeździć konno? – zapytał.

– Tak, wychowałam się w wiosce u podnóży Gorbei – odparła radośnie. Esti uwielbiała podczas weekendu pojeździć sobie konno. – To były konie pociągowe, niespecjalnie czystej krwi...

– Mamy w stajni kilka szlachetnych okazów – przerwał jej przymilnym głosem. Tym głosem. – A dziś jest doskonała pogoda na przejażdżkę. Zaszczyci mnie pani powtórnie swoim towarzystwem?

Znów to samo. Przypadkowe muśnięcie dłoni, powłóczyście spojrzenia. Nikt nie zareagował, kiedy odwróciłem się i wyszedłem z sali. Stałem się dla nich niewidzialny.

Przechodząc przez fosę, postanowiłem odwiedzić pobliską miejscowość Ugarte. Znajdowała się w odległości około kilometra od wieży. Przy prowadzącej do niej drodze stały nie więcej niż dwa domy. Najbliżej wieży był opuszczony magazyn, do którego prowadziła wąska ścieżka porośnięta chwastami.

Szedłem dalej, aż nagle usłyszałem dźwięki, które zdawały się pochodzić z zupełnie innej epoki. Muzykę klasyczną. A dokładnie *Adagio* Albinoniego. Rozejrzałem się wokół zdziwiony.

Szedłem w stronę głosu skrzypiec, aż dotarłem do uroczej willi z olbrzymim ogrodem, gdzie pięćdziesięcioletnia na oko kobieta w rękawicach przycinała krzewy. Troszkę od niej starszy mężczyzna wyłonił się z garażu z dwoma wiadrami wody.

– Dzień dobry – pozdrowiła mnie kobieta, po czym zdjęła rękawiczkę, żeby poprawić włosy, bardzo krótkie i wiśniowe. – Zgubiłeś się?

– Nie, właściwie chciałem przejść się po okolicy. Ta muzyka dochodzi z waszego domu? – zapytałem.

– Tak, za ogrodem mamy z Fidelem małą fermę szczęśliwych kurczaków. Jedzą na wolnym wybiegu, a muzyka je relaksuje.

– Cieszę się, że tak im dobrze – odparłem. – Właśnie wracam z wizyty w wieży. To bardzo dziwne miejsce. Znali państwo rodzinę Nograrów?

– Rodziców, Inés i Lorenza Alvara? Zmarli dwadzieścia lat temu – oznajmiła kobieta, nie przerywając strzyżenia gałązek.

– Jaką cieszyli się tu sławą?

– Nograro? Miał wiele twarzy, zależy, kogo zapytasz – rzucił mężczyzna, wzruszając ramionami i patrząc w inną stronę.

– To bogata rodzina, ale u mnie w domu nigdy nie mówiło się o nich źle – pospieszyła z wyjaśnieniem kobieta. – Nie byli wprawdzie ziomkami ze wsi, mieszkali w wieży, niegdyś dawali pracę wielu ludziom w kuźni, we młynie... Dzierżawili też pola, które uprawiało kilka rodzin z Ugarte. Zawsze była to bardzo kulturalna i dobrze wykształcona rodzina. Matka była urocza. Nazywała się Inés, nie wiem, czy już mówiłam. Dobrzy ludzie, bardzo kochali swoich synów.

– Synów? Przewodniczka mówiła, że został już ostatni dziedzic Nograro, niejaki Ramiro Alvar.

– To młodszy brat. Pierworodnym synem był Alvar, ale zmarł młodo. Wyjechał na studia do Vitorii, był superprzystojny. Wrócił, kiedy rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ramiro Alvar nie był jeszcze pełnoletni, więc Alvar przyjechał zająć się wszystkim, chociaż już wtedy był bardzo chory. Nie widywaliśmy go wówczas, przyznaję. Potem rozeszła się wieść, że umarł, ale w Ugarte nie urządzono pogrzebu ani mszy żałobnej. A w ogóle nazywam się Fausti, Fausti Mesanza.

– Bardzo mi miło, Fausti. A jakie stosunki panowały między braćmi?

– Uwielbiali się. Ramiro Alvar zawsze był bardzo dobrze wychowanym, nieśmiałym, pełnym uroku chłopcem. Nie wiem, czemu tak rzadko opuszcza teraz swoją wieżę. Tamten dom był pełen miłości. Lorenzo Alvar, ojciec, był niezwykle dumny z Alvara, swego pierworodnego. Wcześniej wtajemniczył go w zarządzanie majątkiem. Gdyby śmierć nie zabrała go tak wcześnie...

– Ty patrzyłaś na niego łaskawie, jak wszystkie kobiety – przerwał jej mąż.

– Nie zaczynaj, to nie jego wina, że był taki przystojny. – Fausti dała mężowi kuksańca. – Poza tym już nie żyje.

– W jakim wieku był Ramiro Alvar, kiedy umarł jego brat? – *Adagio* Albinoniego wybrzmiało, kury słuchały teraz *Kanonu* Pachelbela.

– To chyba stało się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku – policzyła Fausti. – Skończył wtedy osiemnaście lat, nie przeniósł się do żadnego dorosłego krewnego w Vitorii, był dojrzałym i odpowiedzialnym chłopcem. Od tamtej pory zajmuje się wszystkim i wygląda na to, że robi to dobrze. Ludzie dzierżawiący od niego pola nigdy się nie skarżą, a wiele osób z wioski pracuje dla niego. Stara kuźnia jest teraz bazą agroturystyczną i warsztatem szklarskim. Inni pracują przy utrzymaniu stajni i ogrodu.

– A ten opuszczony magazyn?

– To pozostałości po wytwórni wina.

– Wytwórci wina? Nie widziałem w okolicy winnic. Też należy do rodziny Nograrów?

– Tak. O ile się nie mylę, zawsze należał do rodziny – wyjaśniła Fausti.  
– Produkowali wino na własny użytek, chyba nigdy nim nie handlowali, kupowali winogrona w regionie Rioja Alavesa. Wiele lat temu przywozili je tutaj na przyczepach. Od dziesiątek lat nic się tu nie dzieje, chyba została jeszcze tylko część urządzeń, których kiedyś używali. Chcesz go zobaczyć? Można wejść do niego od tyłu. Z naszej fermy prowadzi tam ścieżka przez las.

– Bardzo chętnie.

Minęliśmy kurczaki, które dziobały z ziemi zboże w rytm Pachelbela, i ruszyliśmy ścieżką porośniętą po obu stronach topolami o smagłych pniach i kontrastujących z szarością kory pożółkłych liściach. Pierwszy raz od kilku dni poczułem spokój. Posadzone w równych rzędkach przed wieloma dekadami drzewa wyglądały jak mistyczna wizja.

To była prawdziwa kąpiel w lesie, miejscu kojącym nerwy, w którym można było się zaszukać w poszumy wiatru w złotym listowiu. Małżonkowie idący obok mnie uśmiechnęli się, widząc, jakie wrażenie zrobił na mnie ten zakątek. Nieświadomie dotknąłem czerwonej nitki na nadgarstku. Koniecznie muszę pokazać to miejsce, odporne na upływ czasu, Debie i Albie.

Musiałem jednak zapomnieć o relaksujących właściwościach lasu i wrócić do pracy.

– Fidelu, czemu powiedziałaś, że Lorenzo Alvar miał wiele twarzy?

– Był bardzo wykształconym, miłym człowiekiem, ale podczas karnawału stroił się w stare suknie swojej matki. Co roku pokazywał się w wiosce przebrany za kobietę. Był pośmiewiskiem nas wszystkich.

– Nie zawsze – wtrąciła żona. – Czasami udawał też żołnierza.

– Żołnierza? – powtórzyłem.

– Tak, zakładał mundur jakiegoś przodka, jeden z tych, które wystawiają w muzeum. Miał przy sobie strzelbę, starą sakiewkę. Dbał o szczegóły.

– Podczas karnawału wszyscy zastanawialiśmy się – dodał jej mąż – za kogo przebierze się Lorenzo Alvar Nograro. Niektórzy twierdzili, że nie

tylko podczas karnawału widują go, jak wychodzi z wieży w kobiecych ciuchach.

– Tego nigdy nie udowodniono – powiedziała Fausti nieco zirytowana. – Zwykle wiejskie plotki.

– Zwykle plotki we wsi bastardów – mruknął pod nosem Fidel.

– Słucham? – zainteresowałem się.

– Nie zwracaj na niego uwagi, coś go dzisiaj ugryzło – pospieszyła z odpowiedzią żona i znów dała mu kuksańca, który nie uszedł mojej uwagi. – Wiesz, że mieszkańców tej wioski nazywano „tymi, którzy uciszają żaby”? Oczywiście dawno temu. Teraz już nie, ale zawsze opowiadamy o tym gościom.

– Chętnie posłucham, to brzmi ciekawie – zapewniłem, udając, że nie zauważam jej nieporadnej zasłony dymnej.

– Wiele lat temu mieszkańcy Ugarte chodzili z kijami nad staw koło wieży, żeby uciszać żaby, ich rehot przeszkadzał bowiem panom na wieży, pradziadkom Lorenza Alvara Nograro. Przydomek pozostał, chociaż sama nigdy tego nie widziałam.

Rozmawiając, dotarliśmy wreszcie na skraj zagajnika. Za wałącym się płotem stał opuszczony magazyn.

– Jesteśmy na miejscu. Jak widzisz, nie ma tu nic ciekawego – oświadczyła Fausti. – A teraz muszę już iść przygotować się do spotkania klubu książki.

– O, to ciekawe. Bardzo lubię czytać.

– U nas w wiosce mamy wielu zagorzałych czytelników. Wszystkie kobiety w moim wieku i kilku młodszych chłopaków. Spotykamy się w barze dwa razy w tygodniu, w środy i piątki po południu.

– Co omawiacie teraz?

– *Władców czasu*, cała wioska gada ciągle o tej powieści. Czytałeś ją?

– Zacząłem, właśnie czytam – skłamałem, jakbym od ciągłego szukania informacji nie znał całych fragmentów na pamięć. – Chciałbym pogadać o niej z innymi czytelnikami, naprawdę.

– Zapraszamy! Nie musisz być tutejszy, żeby zjawić się na spotkaniu klubu książki, to bardzo nieformalna inicjatywa.

– Być może kiedyś zajrzę – powiedziałem. – Dziękuję za spacer, przejdę się jeszcze chwilę po zagajniku.

Pożegnaliśmy się, poczekałem, aż znikną mi z oczu, bo zamierzałem się trochę rozejrzeć. Nawet nie próbowałem oprzeć się pokusie, by wejść do środka. Niegdysiejsza wytwórnia wina była podłużnym budynkiem o białych ścianach i dachu pokrytym białą dachówką.

Popchnąłem metalowe drzwi. Ustąpiły.

Z wysokich okien sączyły się promienie światła wydobywające z mroku kurz i pajęczyny. Zakręciło mi się w głowie od zapachu zbutwiałego drewna i sfermentowanego wina.

Pod ścianami piętrzyły się setki beczek. Ogromnych drewnianych beczek. Niektóre miały pokrywę, inne nie.

Podszedłem do nich. Widziałem już podobną beczkę. Zresztą nie tylko one zwróciły moją uwagę. Zauważyłem też plastikowe worki ułożone w rogu. Przyjrzałem się im z bliska, na dole miały czerwoną linię.

Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do Peñi.

– Przyślij ekipę techników kryminalistyki do magazynu znajdującego się nieopodal wieży Nograro. Znalazłem coś; chyba już wiem, skąd zabójca MatuSalema wziął swoją przeklętą beczkę, są tu też worki dokładnie takie same, jakie znaleziono przy siostrach Nájera.



## MIĘSOPUST

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Nic nie mogło ich uratować pomimo naszych wysiłków.

Te zapusty przyniosły wiele złych wiadomości.

Oczekiwałem Hectora u bram miasta, przy straganach z owocami, które handlarki zaczęły ustawiać kilka tygodni temu przed bramami Pellejería, Çapatería i Ferrería. W ten sposób unikały wchodzenia do grodu i płacenia coraz wyższego myta, którego żądali od nich Mendozowie.

Chociaż znalazłem się poza miastem, zza murów dochodziły dźwięki grzechotek, tamburynów i dzwoneczków. Poranna msza w parafii Najświętszej Marii Panny dobiegła końca i natychmiast ruszyły wozy z przebranymi mieszkańcami miasta.

Mieliśmy w zwyczaju witać u bram przyjaciół i krewnych z okolicznych wiosek, zszedłem więc z nasypu, kiedy tylko ujrzałem z daleka sylwetkę ogromnego wełnistego słonia.

Héctor zarzucił na siebie płaszcz z surowej szarej wełny, na głowie miał czaszkę małego słonia z zakrzywionymi kłami. Herbem rodziny Dicastillo był słoń na beżowym tle. Mięsopust – po łacinie *carnis tollendus* – czyli pożegnanie z mięsem na czas postu – był u nas okazją, by każdy z rodów przypomniał o swoim herbie. Nagorno zwykle przystrajał się w płaszcz uszyty ze skóry gigantycznego węża zakupiony od barbarzyńców żyjących na południe od ziem Saracenów.

– Doszły mnie słuchy o targu przekupek handlujących owocami. Tak skłóceni są mieszkańcy grodu? – zapytał Héctor na mój widok,

rozejrzawszy się niespokojnie wokół.

– Mamy teraz gród pełen murów, bram i podziałów. Od egzekucji Ruiza jego krewni podgrzewają nastroje na zgromadzeniach, jakie odbywają się nocami w zaułku Ciemnej Bramy. Mendozowie, Isunzowie i bracia Ortiz de Zárate coś knują. Miej oczy otwarte i koniecznie mi powiedz, jeśli uznasz, że na ulicach wrze bardziej niż zazwyczaj w zapusty.

To były dni drwiny, włościanie mogli przebierać się za możnych panów, malowali sobie ich herby na jutowych workach, wyszydając jednocześnie charakterystyczne cechy niektórych: utykanie patriarchy rodu Mendozów, garb młodszego z braci Ortiz de Zárate i potężne klejnoty rodowe Johannesesa de Isunzy.

Alix de Salcedo też nie uniknęła kpin. Jeden z chłopców przebrał się w nadpaloną suknię i nakrył głowę trójgraniastym czepkiem. Dźwigał wór wnyków, czaszka narysowana na worze ostrzegała przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Nadszedł Nagorno z twarzą pomalowaną w czerwone łuski i w płaszczu z wężowej skóry. Towarzyszył mu Gunnarr, miał na głowie wypchany łeb niedźwiedzia albinosa, na modłę berserkerów, i zdjął koszulę. Pierś pomalował białą gliną, ale zdradzała go potężna postura i wszyscy rozpoznawali go mimo przebrania.

Onneca wdziała strój Lamii, ukryła swoje czarne włosy pod peruką. Suknia z mchu i kacze łapy dopełniały całości. Złotą perukę spięła złotym grzebieniem, z pewnością zrobił go dla niej Nagorno. Dosiadała Olbii i była piękna jak zachód słońca, ale ja od jakiegoś czasu unikałem Onneki.

Była mi obojętna.

Wybrała mojego brata.

A ja nie potrafiłem żywić szacunku do kogoś, kto podejmuje tak nietrafne decyzje.

Ruszyliśmy przed siebie ulicą Astería, gdzie wielu młodzieńców upojonych winem ganiało za dzieciakami z nadmuchanymi jelitami świń.

– Przebraliście się za... starca? – zapytała Onneca lekko zdziwiona.

– Za starą i starego.

To był jeden z popularniejszych strojów, jak skóra niedźwiedzia i kukła Judasza. Zawsze ktoś przebierał się za staruszkę i przyczepiał sobie na plecach słomianą kukłę równie starego małżonka.

– A staruszka? Nie brakuje ci kukły staruszki?

– Idę po babcię Lucię, zamierzam wziąć ją na plecy. Zawsze świętuje karnawał, w tym roku nie będzie inaczej.

I skierowałem się w stronę ulicy Pescaderías.

Nie spodobało mi się to, co ujrzałem po drodze. Mieszkańcy rozrzucali mąkę. Niektórzy byli przebrani za pasterzy, mieli na szyjach dzwonki i uczernione twarze. Trudno było kogokolwiek rozpoznać, a wiele osób zostało sparodiowanych, na przykład kat. Chłopak siedzący na plecach innego rozdawał ciosy nadmuchanymi świńskimi trzewiami. Miał włosy zrobione z cienkich marchewek, imitujące niesforną czuprynę Mendiety.

Ale prawdziwym niepokojem napełnił mnie widok karety Mendozów z kukłą Judasza: była zrobiona ze słomy i ubrana na czarno. Tłum obrzucał ją zgniłymi porami. Naszyjnik z jabłek, rzepy, marchewek, kasztanów i innych owoców zastępował zwykły naszyjnik ze skorupki jajek. Mało subtelne przypomnienie o wrogości, jaką darzyły ich przekupki, które uparły się nie płacić wygórowanego cła.

Szlachta przebierała się za płatnerzy, kowali, tkaczki. Nie brakowało garbów, zębów pomalowanych na czarno i sztucznych brzuchów: jednym słowem, drwiono bezlitośnie z biedniejszych sąsiadów. Patrzyłem na tłum podejrzliwie, stojąc w progu domu babci Lucii. Alix de Salcedo tańczyła i podskakiwała na czele grupki kowali. Mieli na sobie suknie i płaszcze z przypiętymi symbolami *eguzkilore*. Rozdawali ciastka nadziewane kiełbasą, które dzieci pałaszowały ze smakiem. Podszedłem do niej, kiedy grupka znalazła się blisko.

– Jak dobrze móc dziś zdjąć trójgraniasty czepek! – powiedziała z wyraźną ulgą.

Ale wyczułem nutkę troski w jej głosie.

– Coś was niepokoi?

– Ukradli nam więcej worków z drwami niż zazwyczaj. Robią to co roku, żeby spłatać nam figla, ale dziś zniknęło ich za dużo. Nie będę tego

zgłaszać, ale nie podoba mi się to, co widzę dziś w Villa de Suso. Zbyt wiele wrogości, zbyt wiele złej woli.

– *A eguzkilores?*

– Nasz cech chroni gród, zbroimy was, kiedy to potrzebne. Proszę, upiekliśmy ich sporo na zapusty – powiedziała, podając mi ciastko, które rozpląnęło mi się w ustach.

– Idę po babcię Lucię, ponoszę ją trochę, żeby się rozejrzała.

– Jeśli dostrzeżecie jakieś niebezpieczeństwo, odnieście ją do domu i poślijcie po mnie – powiedziała.

– Tak zrobię. Czy mogę pożyczyć *eguzkilore*?

– Po co?

– To stara ceremonia – powiedziałem, rozkładając ramiona.

Przez cały ranek nosiłem na plecach babcię Lucię, która śmiała się jak mała dziewczynka, szczęśliwa, że znów może biegać po ulicach. Postanowiłem zabrać ją ze sobą tam, dokąd zamierzałem dziś zajrzeć, czyli do kościoła Najświętszej Marii Panny. Zastaliśmy Vidala, młodego proboszcza, modlącego się w samotności. Kościół rzymski nie uczestniczył w tak pogańskim święcie, ale znosił je, gdyż trudno było zabronić udziału w nim mieszkańcom. Poza tym wśród świętujących zawsze znalazł się ktoś, kto przebierał się za księdza ochlaja i grubasa i dumnie dosiadał osiołka, a poczucie humoru na własny temat nigdy nie było mocną stroną kleru.

– Możemy wejść na dzwonnice? – zapytałem młodzieńca.

Aż podskoczył na mój widok, uznałem, że to z powodu przebrania i babci Lucii na moich plecach. Niewątpliwie patrzył na mnie z przerażeniem, a ja nie do końca rozumiałem dlaczego.

– To wy, drogi hrabio, powstaliście z martwych.

– Tak powiadają. Możemy dostać klucz?

– A co chcecie tam robić na górze? Już dzwoniłem na Anioł Pański.

– Chcę spojrzeć na gród z wysokości, drogi chłopcze. Nie odmówicie chyba tego staruszce? – wtrąciła babcia Lucja głosem tak słodziutkim, że sam szatan by się wzruszył.

Młodzieniec podał nam wielki żelazny klucz, a babcia wzięła go w swoją drobną piąstkę. Oczy proboszcza napotkały spojrzenie babci, ale ksiądz błyskawicznie odwrócił wzrok. Nie rozumieliśmy, czemu się tak zachowuje.

Wniosłem babcie po wąskich schodach na dzwonnice. Na drewnianej belce wisiał wielki dzwon. Spojrzeliśmy po sobie jak dzieci planujące psikus. Wyrwałem z dachu stary gwóźdź. Potem znalazłem ukruszony kamyk, babcia wyjęła *eguzkilor* od Alix, a ja je przybiłem.

– Mam nadzieję, że dzięki temu *gaekos* nie wejdą do grodu – powiedziała.

– Nie boję się duchów nocy, babciu. Boję się zła, które czai się w naszych murach.

Spojrzała na mnie jak rozbrykana dziewczynka i wyjęła z kieszeni sznureczek.

Czerwona nić. Na innych ziemiach podczas podróży widywałem, jak łączy się dusze, zawiązując na nadgarstkach czerwoną nitkę. Spojrzałem na nią wzruszony. To uczyni z nas rodzinę, połączy mocniej niż przelana czerwona krew.

– Zawiąż ją, proszę. Wiesz, co się stanie, jeśli ją zgubisz.

– To się nie stanie. Przysięgam na Lur.

– Na Lur – odpowiedziała z głębi swojego pogańskiego serca.

Postawiłem babcie na ziemi. Wyjrzała na północną stronę.

Powąchała powietrze i odwróciła się do mnie.

– Coś się pali, mój młody Diago.

Podszedłem do otworu w murze i ujrzałem dym wznoszący się na podwalu. Mendozowie palili kukłę warzywnego Judasza, a tłumek skakał i tańczył wokół wozu.

– Chodźmy, babciu. Czas, żebyś wracała do domu.

Pokiwała głową, zaczęliśmy schodzić po schodach prowadzących do kaplicy, ale kiedy mijaliśmy drzwi do zakrystii, poprosiła mnie, żebym się zatrzymał.

– Nie czujesz tego co ja?

– A czym pachnie, babciu?

– Tym samym, co proboszcz, kiedy podawał nam rękę. Zgniłymi jajami.

Posadziłem ją na schodach przy ołtarzu i podszedłem do zakrystii. Drzwi były zamknięte, ale popchnąłem je kilka razy ramieniem. W końcu ustąpiły. Miała rację, nie był to jednak zapach zgniłych jaj, ale czegoś bardzo podobnego.

Był to zapach, którego się nie zapomina.

Tak pachnie martwe zwierzę, pole bitwy pozostawione krukowi, otwarta masowa mogiła po egzekucji. Zakryłem nos rękawem i zacząłem szukać źródła tej woni.

Znalazłem je: małe okienko na wysokości mojego pasa. Zamknięta okiennica. Zrozumiałem natychmiast.

Wyszedłem i nabrałem powietrza. Babcia też pojęła, o co chodzi, patrzyła na mnie z ustami ściśniętymi z żalu i wściekłości.

– Zabierz mnie do domu. Musisz się tym zająć.

– Babciu, nikomu nie mów. Proszę, byś zachowała wszystko w tajemnicy.

– Tak właśnie się stanie.

## BRACIA DEL CASTILLO

## UNAI

*Październik 2019*

Héctor zadzwonił do mnie następnego dnia, wyczułem w jego głosie zdenerwowanie, którego wcześniej nie słyszałem.

– Iago i ja chcielibyśmy spotkać się z tobą w Vitorii. Jak najszybciej. Przeczytaliśmy powieść bardzo uważnie i dowiedzieliśmy się, co wydarzyło się w mieście w ciągu ostatnich tygodni. Powinniśmy ci coś pokazać. Ale to bardzo wartościowa rzecz i musimy jej dobrze pilnować.

– Wpadnijcie na komendę przy Portal de Foronda w Lakui. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to chyba najlepsze miejsce, budynek ma monitoring.

– Chyba nie wyraziłem się jasno – powiedział. – Chodzi mi o to, żeby nie było kamer, papierologii i żeby ślad po naszym spotkaniu nie pozostał w żadnym rejestrze. Zamierzamy podzielić się z tobą pewnym sekretem, powinienes o tym wiedzieć jako śledczy, ale chciałbym, żebyś zachował dyskrecję i nie pisał o tym w raportach, przynajmniej na razie. Znam cię od lat i wiem, że mogę ci ufać. Uważamy, że informacje, których ci udzielimy, pomogą ci w dochodzeniu, ale nie chcemy, by wspomiano o nas z nazwiska. Pomyślisz o jakimś odpowiedniejszym miejscu?

– W takim razie przyjdźcie do mnie do domu. Plac Virgen Blanca, numer dwa.

Powitałem ich na klatce schodowej na trzecim piętrze. Od lat nie widziałem już Iaga del Castillo, ale okazało się, że niespecjalnie się zmienił.

Wysoki jak ja, ciemne włosy, bardzo jasne oczy. Prawdziwy geniusz w tym, czym się zajmował, wytrwały badacz przeszłości.

Jego starszy brat Héctor del Castillo był spokojnym gościem, który ważył słowa, kiedy zabierał głos.

Iago niósł ciężką walizeczkę ze skomplikowanym systemem zamków.

– Unai, jak dobrze cię widzieć! – powiedział, przechodząc przez próg mojego mieszkania. – Héctor opowiadał mi o twojej afazji Broki. Dbaj o ten mózg, musi ci wystarczyć na całe życie.

Wzajemne zaufanie i życzliwość, jaką do siebie żywiliśmy, były owocem długoletniej znajomości. Poznałem go, kiedy przez kilka miesięcy pracowałem na komendzie w Santander, tuż po specjalizacji z profilowania kryminalnego. Ich Kantabryjskie Muzeum Archeologiczne stało się scenerią koszmarnych zabójstw, w których sprawie dochodzenie prowadził Paul Lanero, czyli stary Paulaner.

Na początku moje relacje z Iagiem przypominały zderzenie pociągów. Byłem pewien, że coś przede mną ukrywa. Ale później zmieniłem o nim zdanie. Był inteligentnym facetem, może nawet za bardzo, ale nie okłamywał mnie, i śledztwo zakończyło się powodzeniem.

Uściskałem go serdecznie, też bardzo się cieszyłem, że widzę ich obu.

– Nie martw się o mój mózg – powiedziałem. – Chyba się nie popsuje, bo ciągle go używam. Moi seryjni mordercy nie pozwalają mi się rozleniwic. Usiądźcie i pokażcie mi ten tajemniczy przedmiot. Nikt tak nie potrafi stopniować napięcia jak wy.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i usiedli na fotelach w salonie, ja tymczasem wyciszyłem telefon. Nie chciałem, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Spojrzeli przez okno wychodzące na plac Virgen Blanca. Iago w milczeniu otworzył walizeczkę i sięgnął po białą rękawiczkę.

Podszedłem do nich z ciekawością i zobaczyłem stare stronice spięte na brzegu skórzanym grzbietem.

– Co to jest?

– Kronika z dwunastego wieku – rzekł Iago.

– Wyjaśnij, proszę – szepnąłem zahipnotyzowany.



Ta księga... miała tysiąc lat?

– To jest, mój drogi, coś w rodzaju pamiętnika naszego przodka, hrabiego Diaga Veli – wytłumaczył Héctor.

– Jesteście potomkami hrabiego Veli?!

– Nasi przodkowie byli spokrewnieni z rodem Vela, jak już czytałeś w powieści, która się właśnie ukazała – odparł Héctor. – Łączą nas więzy krwi. Zarówno w dokumentach Sancha Siódmego Mocnego, jak i w księgach znajdujących się w Głównym Archiwum Nawarry znajdziesz wiele form zapisu naszego nazwiska: Dicastillo, Diacastillo, Diacastello, Dicastello...

– Również imię hrabiego powtarza się w naszej rodzinie – wtrącił Iago.  
– Nie przypadkiem moi rodzice nazwali mnie imieniem, które często nosili nasi przodkowie: Diago, Diego, Didaco, Didacus, Tiago, Santiago, Iago, Yago, Jacobo, te imiona często przewijają się w naszym drzewie genealogicznym. To imię pochodzi od greckiego słowa *didachos*, co oznaczało nauczony. Imiona są ważne, nie sądzisz? Definiują nas na całe życie. Wróćmy jednak do kwestii, która nas tu sprowadza. Otóż, jak się pewnie zdążyłeś domyślić, ta kronika należy do naszej rodziny.

– Mogę ją przeczytać? – Nie kryłem wrażenia, jakie zrobiła na mnie księga.

Iago uśmiechnął się.

– Oczywiście – powiedział i przewrócił pierwszą stronę z czułością, z jaką jubiler podnosi drogie kamienie.

Prześlizgnąłem się wzrokiem po linijkach starego testu upstrzonego szarymi plamkami, ale trudno mi było odczytać poszczególne słowa.

– Nic nie rozumiem – musiałem przyznać.

– Takiego pisma używano w swoim czasie w naszej okolicy. Powiem tylko, że kronika zaczyna się bardzo podobnie jak powieść. I nie tylko początek jest podobny, przeczytaliśmy *Władców czasu* i fabuła powieści odpowiada właściwie wydarzeniom opisanym w kronice – wyjaśnił Iago.

– Wy potraficie ją przeczytać?

– Iago jest mediewistą, ja również umiem odczytać ten tekst i znałem go wcześniej. Ale brat w swoim czasie analizował go dogłębnie, zna tekst

w całości, dlatego po twoim telefonie zwróciłem się do niego o pomoc. Ja nie przeczytałem kroniki do końca – przyznał Héctor. – To pamiętnik, coś bardzo intymnego. Czułem zażenowanie, czytając myśli kogoś, kto kochał, cierpiał i czuł, pisząc to, co napisał.

– Chcecie mi powiedzieć, że powieść, która właśnie się ukazała, jest plagiatem tego dziennika i że to, co napisał wasz przodek tysiąc lat temu, i to, o czym opowiadają *Władcy czasu*, wydarzyło się naprawdę?

– Nie, nie do końca.

– Mów jaśniej, Iago.

– Autor powieści moim zdaniem skopiował strukturę kroniki, opowiedział najważniejsze fakty współczesnym, nieco stylizowanym językiem – wyjaśnił. – Uważamy, że opisane w dzienniku wydarzenia są prawdziwe, manuskrypt datowany jest na lata tysiąc sto dziewięćdziesiąt – tysiąc dwieście dziesięć. Ale w powieści niektóre fakty i postacie zostały zmienione.

– Na przykład?

– Niektórzy bohaterowie umierają, chociaż nie ma o tym mowy w kronice ani w innych dokumentach historycznych. Ale najistotniejsze jest to, że ten manuskrypt nigdy nie został wydany, zawsze przechowywała go nasza rodzina. Więc ktoś, kto napisał powieść, musiał mieć dostęp do tego egzemplarza albo jedynej kopii, którą, według naszej wiedzy, sporządził sam hrabia Vela – powiedział Iago.

– Czyli istnieje jeszcze jeden egzemplarz, który nigdy nie został wydany – podsumowałem.

– Tak.

– Wiecie, gdzie się znajduje?

– Niestety nie, choć bardzo byśmy chcieli. Ślad po nim urywa się w tysiąc pięćset dwudziestym czwartym roku w Vitorii, kiedy wszystkie posiadłości jednego z odgałęzień rodu Diaga Veli zostały zniszczone, a ich pałac spalony. Rodzinne tarcze herbowe skuto i wymazano z kościoła Świętego Michała Archanioła, mimo że to oni byli protektorami kościoła, murów i całego fragmentu miasta.

– Kto to wszystko zniszczył? Kto rozkradł całe to dziedzictwo?

– Vitoria była wówczas polem bitwy, walki stronnictw, a sytuacja pogorszyła się jeszcze z wybuchem powstania *comuneros*. Oczywiście rywalizujące rodziny.

– Nazwiska, Iago! To rodziny, które przetrwały do dziś?

– Tak, wiele z nich przetrwało. Inne nie, jak na przykład ród Calleja, już w siedemnastym wieku nie ma po nim śladu. Ale rodziny Maturana, Isunza, Ortiz de Zárate, Mendoza...

– Czy możliwe, że ten manuskrypt jest przechowywany w prywatnej bibliotece któregoś potomka tamtych rodów? – przerwałem.

Héctor i Iago wymienili się spojrzeniami.

– Oczywiście jest, że ktoś, kto dysponuje dość rozległą wiedzą o historii, miał dostęp do kopii kroniki, przeczytał ją w całości i napisał własną wersję – powiedział Iago.

– Wiecie, że muszę was o to zapytać, żeby formalnościom stało się zadość: to nie któryś z was opublikował swoją własną wersję kroniki?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Czy możliwe, że ktoś wam ją ukradł, a potem zwrócił na miejsce?

– Od czasu kradzieży kotła z Cabárceno trzy lata temu bardzo poważnie traktujemy kwestie bezpieczeństwa – tłumaczył Héctor. – Ta kronika, podobnie jak inne przedmioty o dużej wartości, które mamy w muzeum, przechowywane są w specjalnym pomieszczeniu w piwnicy. Tylko Iago i ja znamy kod, który pozwala otworzyć pancerne drzwi. Zainstalowaliśmy kamery nadzoru i przechowujemy nagrania, które nie są kasowane co trzy tygodnie, jak ma to miejsce w większości systemów zabezpieczeń. Przejrzeliśmy je w przyspieszonym tempie, chociaż od twojego telefonu naprawdę nie próżnowaliśmy, ale uwierz mi: nikt nie wie o istnieniu tej kroniki, nawet pracownicy muzeum, i nikt nie wchodził do magazynu. Chyba zdajesz sobie doskonale sprawę, że to wszystko jest bardzo podejrzane. Niewiele dokumentów z dwunastego wieku przetrwało prawie tysiąc lat, czytałeś powieść, więc wiesz, że to relacja z pierwszej ręki o wydarzeniach rozgrywających się w latach tysiąc sto dziewięćdziesiąt dwa – tysiąc dwieście. Co znaczy, że rynkowa wartość zaginionej kopii musi wynosić wiele milionów euro.

– Albo dolarów – wtrącił Iago. – Wiele instytucji wzięłoby udział w aukcji, gdyby ktoś chciał ją sprzedać, wielu prywatnych kolekcjonerów, europejskie i amerykańskie muzea. Zwiedzałeś kiedyś zespół pałacowy w Quejanie?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Szkoda. – Wzruszył ramionami i zamknął walizeczkę. – Powinieneś zobaczyć to, co zbudował kanclerz: nastawa ołtarzowa w kaplicy, gdzie znajdują się sarkofagi jego i żony Leonor de Guzmán, to kopia. Dominikanki sprzedały oryginał na początku dwudziestego wieku angielskiemu kolekcjonerowi, pewien amerykański magnat odkupił go za pokaźną sumkę, a jego córki podarowały go Instytutowi Sztuki w Chicago, gdzie jest wystawiany do dziś. Chcę powiedzieć, że trudno mi zrozumieć, dlaczego pisarz, mając dostęp do tak cennego dokumentu, ogranicza się do przepisania go i ukazania własnej wersji wydarzeń, które rozegrały się tysiąc lat temu. Nie wiem, czy w ogóle pomagamy ci w śledztwie, czy po prostu dostarczamy dodatkowych łamigłówek.

Uśmiechnąłem się podekscytowany.

– Nie macie pojęcia, jak wiele światła rzuciliście na moje dochodzenie. Jeszcze jedna kwestia, skoro już mogę się z wami skonsultować. Kodeks Alfonsa Dziesiątego napisano podobnym językiem, prawda?

– Tak – potwierdził Iago. – Jest to wprawdzie zabytek późniejszy niż nasza kronika, ale język jest ten sam, może nieco się różnić, gdyż to wariant hiszpańszczyzny z Toledo, ale gramatyka i słownictwo nie zmieniały się wówczas tak szybko jak obecnie.

– Dziękuję – powiedziałem. – Bardzo mi pomogliście.

– Jeszcze jedno, Unai... Prosimy cię o dyskrecję, a jeśli to, co od nas usłyszałeś, ma pomóc w śledztwie, nie chcemy figurować jako świadkowie, nie chcemy, żebyś wspominał o nas w raportach – powtórzył Héctor, kiedy wstawaliśmy z foteli i sofy.

– Znajdę sposób na przemilczenie waszego udziału, nie martw się. Jeśli zależy wam na dyskrecji, lepiej będzie, jeśli nie odprowadzę was na ulicę. Niestety wszyscy wiedzą, kim jestem i gdzie mieszkam.

– Dobrze. Jeśli będziesz miał jeszcze jakieś pytania, wiesz, gdzie nas szukać – rzucił na pożegnanie Iago i uściśnął mi dłoń.

Kiedy wyszli, musiałem uporządkować myśli. Ale w moim mózgu zakiełkował już zalążek pewnej teorii. Kto mógł odziedziczyć zagubioną kopię kroniki? Komu pieniądze nie były do niczego potrzebne? Kto nimi gardził? Kto potrafił przeczytać swobodnie dokument napisany w dwunastym wieku?

W tej chwili zawibrowała mi komórka w tylnej kieszeni spodni.

– Lutxo, właśnie miałem do ciebie dzwonić – powiedziałem, kiedy zobaczyłem jego imię na ekranie.

Zawdzięczam ci swoją ostatnią małżeńską kłótnię, przyjacielu.

– Jesteś gdzieś w centrum? – zapytał szybko.

– Tak, spotkajmy się w barze Virgen Blanca na kawę.

– Będę za dziesięć minut – zgodził się skwapliwie.

– Na razie.

Zszedłem do kawiarni na rogu budynku i usiadłem przy najbardziej odosobnionym stoliku. Klienci z roztargnieniem patrzyli na plac, mieszając swoje latte i pogryzając *pintxos*. Lutxo zgasił papierosa przed wejściem, zamówił coś przy barze i po krótkiej pogawędce z kelnerką usiadł obok mnie.

– Co tam u ciebie? – rzucił na powitanie.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jestem na ciebie wkurzony.

– Słuchaj, Kraken...

– Unai, mam na imię Unai. Twój przyjaciel z dzieciństwa, a nie lokalna gwiazda, w którą zmieniają mnie twoje nagłówki.

– Jak sobie chcesz, Unai. Ja wykonuję tylko swoją pracę. Zobaczyłem was razem, Tasia Ortiza de Zárata i ciebie, jak się kłóciliście. Jak miałem nie zrobić z tego newsa? Ludzie muszą wiedzieć, muszą wiedzieć, że wrócił i ma jakiś związek z nowymi zabójstwami.

– Uważaj, Lutxo. Kto ci powiedział, że ma cokolwiek wspólnego z zabójstwami? Pamiętasz, że spędził dwadzieścia lat w więzieniu skazany

za zbrodnie, których nie popełnił? Chcesz, żeby przez ciebie opinia publiczna znów go oskarżyła? To skurwiel, prawdziwy skurwiel, ale ty też zachowujesz się jak skurwiel, manipulując ludźmi, żeby zwrócili się przeciwko niemu. Co zobaczyłeś? Że się ze mną kłóci? Nie masz pojęcia, o czym rozmawialiśmy. I nie miało to nic wspólnego ani ze śledztwem, ani z morderstwami. Wdepnąłeś w gówno po kolana. Tasio musi być na ciebie wściekły. Nie może nawet przyjechać do Vitorii na pogrzeb, żeby znów nie zarzucono mu, że jest zabójcą. Naprawdę współczuję mu, że ma takie życie.

– To opowiedz mi o tym, co tu robi, nie będę musiał pisać w ciemno.

– To szantaż w czystej postaci: albo opowiem ci, co chcesz wiedzieć, i opiszesz to w gazecie, albo publikujesz moje zdjęcia podpisane domysłami. Nie rozumiesz, że przeszkadzasz mi w pracy? A może nie chcesz zrozumieć, bo masz to gdzieś?

– Myślisz, że zaniedbam obowiązki tylko dlatego, że należymy do tej samej paczki? Ty nie masz dla mnie żadnych specjalnych względów, bo jestem twoim przyjacielem. Powiedz mi, czym różnimy się ty i ja?

– Tym, że to ty niszczysz mi życie, wydzierasz mi tę ostatnią częśćkę anonimowości, jaką mogę się cieszyć w Vitorii, za każdym razem, kiedy pstrykasz mi fotkę ukryty za cyprysem na cmentarzu.

– Wiesz, że to dałoby się łatwo rozwiązać – powiedział, mieszając swoje espresso.

Westchnąłem. Nie dało się z nim rozmawiać.

– Ty i ja skończymy bardzo źle i żadna paczka tego nie naprawi. Poproszę sędziego, żeby poszerzył wyłączenie jawności i wydał ci zakaz publikowania czegokolwiek, co ma z nim związek.

– Nie odważysz się, bo wtedy zacznę publikować niedyskretne kwestie dotyczące twojego życia.

Powstrzymałem się z trudem, mój wewnętrzny Kraken chciał udusić go na miejscu.

W tym momencie usłyszałem *Lau teilatu*, dźwięk, który oznaczał, że dzwoni Alba. Nie wiem, czy dość dobrze ukryłem to, że nie mogę się już doczekać rozmowy z nią. Odszedłem od stołu, zostawiając za sobą Lutxa, jego złośliwość i kozią bródkę.

Szukając miejsca, gdzie mógłbym spokojnie pogadać, zszedłem po drewnianych schodach do łazienek. Rozejrzałem się: nie było tu nikogo, drzwi do kabin były otwarte, mogłem więc wtajemniczyć Albę w swoje nowe odkrycia.

– Estíbaliz zadzwoniła do mnie, bo nie odbierałaś telefonu. Technicy kryminalistyki ocenili, że drewno beczki, w której utopiono MatuSalema, jest takie samo jak próbka, którą wzięli z opuszczonego magazynu. Francuski dąb. Dziś rzadko używany. Dawniej robiono z niego beczki, w których dojrzewało wino. Nie ma jeszcze wyników badania worków.

– Ja też mam kilka wiadomości – wyszeptałem. – Chyba wiem, kto napisał książkę i pozabijał tych wszystkich ludzi.

– Wyjaśnij mi, proszę.

– Nie mogę na razie ujawnić ci swojego informatora, powiem tylko, że powieść to opisane współczesnym językiem wydarzenia z niewydanej dwunastowiecznej kroniki. Ktoś ma w posiadaniu zrabowaną kopię manuskryptu zrobioną przez samego autora, hrabiego Velę. Ten dokument jest wart kilka milionów euro, Albo.

– Czemu nie zadzwonisz do Esti i nie opowiesz jej wszystkiego? – przerwała mi. – Teraz to ona kieruje śledztwem.

Bo obawiam się, że Estíbaliz zakochała się w zabójczym alter ego naszego widmowego pisarza, miałem na końcu języka.

Ale nie powiedziałem tego.

Poza tym zaplanowałem sobie samotną wycieczkę.

26

ANP

UNAI

*Październik 2019*

Wybrałem numer do wieży i w słuchawce usłyszałem głos przewodniczki Claudii.

– Dzień dobry. Chciałem odwiedzić wieżę, ale przyjadę sam – powiedziałem. – Czy jest dziś jakaś grupa, do której mógłbym się przyłączyć?

– Dziś mamy dwie grupy: pierwsza zaczyna zwiedzanie za godzinę, o dwunastej, druga o szóstej wieczorem.

– Doskonale, dołączę do tej o szóstej.

– Dobrze, proszę o punktualne przybycie.

Pojechałem do Ugarte, zaparkowałem obok opuszczonej działki. Spojrzałem na zegarek w telefonie i ruszyłem spacerkiem do wieży. Nie zbliżałem się, dopóki nie zobaczyłem kilku parkujących samochodów. Wycieczka zgromadziła się przed wejściem. Dołączyłem do niej, przewodniczka przyjmowała ją w sieni. Przywitałem się z nią i gestem dałem do zrozumienia, że przyszedłem zobaczyć się z gospodarzem.

Naciskając dzwonek domofonu, pomodliłem się w duchu.

– Tak?

– Dzień dobry, Ramiro Alvarze. Tu Unai. Mogę wejść?

– Jasne, zapraszam na górę.

Miałem szczęście, mnóstwo szczęścia. Przyjmował mnie Ramiro Alvar, miał spodnie, a nie sutannę, włożył też okulary w plastikowych oprawkach.



– Nie to, żebym nie ucieszył się na twój widok, ale... Wszystko w porządku? – zapytał swoim cichutkim głosem.

– A czemu pytasz?

– Nie wiem. Za często tu zaglądasz. – Wzruszył ramionami.

– Możemy porozmawiać w bibliotece?

– Oczywiście, to moje ulubione miejsce.

– Nie dziwię się, też byłoby moim ulubionym, gdybym miał taki księgozbiór.

Usiadł w swoim fotelu do czytania i wskazał mi miejsce na krześle przy biurku z drewna orzechowego.

– Powiedz mi, o co chodzi.

– Może na początek zdejmijemy maski – zacząłem. – Wiesz, co dzieje się w twoim otoczeniu, prawda?

– Na przykład co?

– Na przykład to, że zapisałeś swoimi słowami książkę sprzed prawie tysiąca lat, opublikowałeś ją i ludzie zaczęli umierać tak, jak opisano w książce.

Byłem przygotowany. Miałem w kaburze spluwę, na wszelki wypadek rozpięty zamek kurtki, pochyliłem się trochę, żeby móc łatwej sięgnąć po broń.

Ale Ramiro Alvar zapatrzył się tylko na swoje dłonie, jakby nie należały do niego.

– Więc doszedłeś już do tego... Próbowałem... Próbowałem mieć wszystko pod kontrolą, ale w sposób oczywisty coś mi umknęło.

– Jeśli zgodzisz się zeznawać, muszę cię zabrać na komisariat. Wiesz, że masz prawo do adwokata.

– Nie o to chodzi. Nie przyznam się do zbrodni, Unai. Nie popełniłem ich. Nie potrafiłbym zabić nawet żaby. Nigdy nie potrafiłem. Możesz nazywać mnie mięczakiem, już nieraz to słyszałem. Napisałem własną wersję kroniki don Veli, ale chodziło o coś bardzo osobistego, to było pisanie terapeutyczne. Nigdy nie myślałem o tym, żeby wydać książkę, z wielu powodów, w tym kilku oczywistych.

– Na przykład potomkowie don Veli mogliby zażądać zwrotu kopii kroniki. Twój przodek rozkradł majątek tej rodziny.

Ramiro Alvar spuścił głowę zawstydzony, jakby ten dawny grzech ciążył mu na sumieniu.

– Tak, dlatego przeraziłem się, kiedy zobaczyłem egzemplarz *Władców czasu* i zrozumiałem, że ktoś ukradł mi tekst i opublikował go pod pseudonimem.

– Więc to ty napisałeś powieść? Dokładnie taką samą?

– Nie zmieniono w niej ani słowa.

– Możesz udowodnić, że to prawda?

Podszedł do biurka i włączył laptop.

– Sam zobacz.

Podszedłem do niego, ostrożnie ustawiłem się za nim, żeby kontrolować sytuację, nie chciałem, żeby dmuchnął mi w twarz jakąś sproszkowaną średniowieczną trucizną.

Znalazł odpowiedni katalog, otworzył plik tekstowy. Pokazał datę ostatniej poprawki. Sprzed ponad roku.

– Napisałem to z powodów osobistych i z początku myślałem, że osiągnąłem swój terapeutyczny cel. Miałem też wydruk, ale zniszczyłem go jakiś czas temu, bo chciałem zamknąć ten etap. Ale zostawiłem plik w komputerze. Nie mam pojęcia, kto do niego dotarł, skopiował go, a potem opublikował. To kradzież własności intelektualnej, to oczywiste, ale nie zarejestrowałem tej książki, nie mam do niej praw autorskich. Nie były mi do niczego potrzebne. Nie zamierzałem nikomu pokazywać tekstu, a teraz czytają go tysiące osób... i cztery nie żyją. Nie rozumiem tego, przysięgam, że nie rozumiem.

– Może chociaż potrafisz mi pomóc, żebym ja zrozumiał. Przyznajesz, że napisałeś powieść, ale jej nie opublikowałeś. To nie ty zabijasz tych ludzi, ale masz jakieś podejrzenia. Musisz je mieć. Poza tym ukrywasz przede mną, na co chorujesz. Więc najwyższy czas, żebyś porozmawiał ze mną szczerze. Bo są dowody, które łączą cię z morderstwami: kobieta przebrana w habit dominikanki z twojego muzeum, kiedy zginął mężczyzna zatruty kantarydyną, beczka, do której wsadzono chłopaka i zwierzęta

i którą wrzucono do Zadorry, jest z identycznego drewna jak te stojące w twojej dawnej piwnicy na wino. Tam też znaleźliśmy worki takie same jak te, których użył zabójca do przeniesienia dziewczynek przed ich zamurowaniem.

Ramiro Alvar spojrział na mnie z nieskrywanym przerażeniem.

– Masz jakieś ślady, DNA, ślady stóp? – zapytał.

– Ślady biologiczne, które łączą cię z ofiarami albo dowodzą tego, że byłeś na miejscu zbrodni? Na razie nie. Ale wciąż szukamy. Powiedz mi, czemu napisałeś kronikę od nowa? Czemu zmieniłeś niektóre szczegóły?

– Bo chciałem go zabić, jego i wszystkich, którzy przyszli po nim! Ale nie tych, którzy zmarli naprawdę. Chciałem się wyleczyć, chciałem skończyć z moim alter ego i sądziłem, że mi się to udało. Przez rok żyłem w spokoju, nie pojawiał się. Ale uświadomiłem sobie, że Alvar wrócił, kiedy tu przyszedłeś. Domyśliłem się, że poprzedniego dnia poznałeś moje alter ego. I że to ty zostawiłeś mi egzemplarz powieści, bo rano, kiedy wstałem kompletnie niewyspany, nie pamiętałem, że widziałem już wcześniej książkę ani kto położył ją na tym stole. Zrozumiałem, że Alvar wrócił, że wcale nie umarł, jak napisałem w powieści, i od tamtej chwili jestem przerażony, bo nie pamiętam nic z tego, co robi, a obawiam się, że jest zdolny do wszystkiego, żeby przetrwać.

– Potwierdzasz więc, że cierpisz na zespół dysocjacyjnego zaburzenia osobowości. Dlatego studiowałeś psychiatrię?

– Nie jestem pierwszym panem na wieży Nograro, który na to cierpi. Chodź, coś ci pokażę.

Poszedłem za nim piętro niżej. Weszliśmy do sali, której wcześniej nie widziałem. Na wszystkich czterech ścianach rozwieszono płótna przedstawiające miasto, pejzaż zwieńczony błękitnym niebem otaczał nas ze wszech stron, efekt przyprawiał o zawrót głowy. Na pianinie stało z pięćdziesiąt starych fotografii.

– Karnawał – wyszeptałem.

– Karnawał? – zaśmiał się gorzko. – Święto całej wsi i pana na wieży, który nie musiał się ukrywać i wychodził w przebraniu któregoś ze swoich alter ego: stara hrabina, mały chłopiec, przeorysza, żołnierz lub ksiądz.

Prawdziwa kalwaria dla reszty rodziny, staraliśmy się znosić godnie fakt, że od wieków jesteśmy pośmiewiskiem. Dobrze wspominał swoich starych rodziców. Nie mieli zbyt dużo siły, żeby mnie wychowywać, ale mój ojciec był rozsądny, traktował mnie z czułością, nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego rodzica. A matka dawała mi całą miłość i wsparcie, jakich człowiekowi potrzeba. Problem w tym, że ojca dotknęło przekleństwo prześladowające męskich członków rodu. Kiedyś nazywano to „osobowością mnogą”. Żaden psychiatra, do którego się zwracali, nie potrafił wyleczyć zaburzenia. Rodzice zginęli w wypadku, dla mnie była to ogromna tragedia, ale razem z bratem musieliśmy przełknąć wstyd i zidentyfikować zwłoki w kostnicy Szpitala Świętego Jakuba. Mój ojciec był przebrany za pokojówkę. Miał czepek, fartuszek, pończochy i buty na obcasie.

– Co się stało z twoim bratem?

– Przywdział habit. Umarł na dziedziczną chorobę krwi. Zamieszkał ze mną po śmierci rodziców, brakowało mi roku do pełnoletniości, stał się moim prawnym opiekunem. Byliśmy nierozłączni. Był cudownym bratem, błyskotliwym człowiekiem. Nie ma dnia, żebym za nim nie tęsknił.

– Wiesz, że jestem profilerem – powiedziałem. – Poza tym skonsultowałem się ze specjalistką. Należy do nielicznych w tym kraju psychiatrów, którzy z powodzeniem leczą pacjentów z dysocjacyjnym zaburzeniem osobowości. Rozmawialiśmy o tobie, próbowała mi wyjaśnić, jak działa twój rozbity umysł. Po pierwsze stwierdziła, że to zaburzenie jest dość rzadkie, nie istnieją więc statystyki dotyczące jego występowania, ale nie jest też traktowane jako zaburzenie dziedziczne, nie ma o tym wzmianek w literaturze medycznej.

– Nie? A to, co widzisz przed sobą? – Wskazał na fotografie. – Myślisz, że to zwykłe przebieranki? Obudź się, Unai. Tych zdjęć nie robiono podczas balów karnawałowych. Zaczynali się przebierać dla zabawy, ale z wiekiem rozwijali rozmaite alter ego. Zawsze uchodziliśmy za ludzi mało towarzyskich, ale jak pokazywać światu codziennie nowy strój, nową twarz, nowy sposób bycia i uniknąć zamknięcia w domu wariatów?

– Doktor Leiva uważa, że jeśli zdecydujesz się na terapię, uda jej się pomóc ci zintegrować twoje alter ego. Ty jesteś ANP, osobowością pozornie normalną, prawda?

– Takiego siebie pamiętam od małego i tak mnie pamiętają. Zaburzenie pojawiło się później.

– Dlaczego zająłeś się kroniką?

– Kojarzy mi się z nimi, z ojcem, dziadkiem, bratem. To był nasz sekretny rodzinny klejnot, stary łup z wojny stronnictw. A przy tym jest taka rzeczwiśta, w sposób tak namacalny opisuje to, co przeżyli nasi przodkowie w tysiąc sto dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Wszyscy ją znaleźliśmy. W bibliotece, którą widziałeś, przez lata słuchałem ich głosów, czytał ją zawsze aktualny pan na wieży, a pozostali członkowie rodziny siadali przy kominku i słuchali tego pamiętnika.

– Więc napisałeś ją od nowa w celach terapeutycznych. Utożsamieś swoje alter ego z postacią występującą w kronice, która ci je przypominała, i zmieniłeś niektóre wątki, żeby je zabić, chociaż w rzeczywistości bohater nie zginął.

– Chyba Alvar przeczytał powieść, zrozumiał, że umrze, i zaczął zabijać ludzi naokoło. Tych, którzy przypominają mu postacie z powieści. Zabija ich, żeby nie pozwolić im się zabić.

– Czyli robi to, co robi zwykle alter ego: usiłuje przetrwać.

– Nie wiem, Unai. To tylko moja teoria. Nie pamiętam nic, kiedy zjawia się Alvar. Wiem tylko, że znajduję w swojej szafie niedawno używaną sutannę i zupełnie nie pamiętam, co się ostatnio działo. Jakby Alvar wyłączał zupełnie moją świadomość, kiedy się pojawia.

– Myślisz, że to on?

Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym bezsilności.

– Naprawdę nie masz jakichś śladów biologicznych, które łączyłyby mnie z tymi zabójstwami? – zapytał raz jeszcze.

– Nie. Dlatego nie mogę przedstawić tego wątku śledztwa sędziemu, uznalby mnie za wariata.

I nie mam żadnych dowodów rzeczowych na potwierdzenie swojej teorii, tylko poszlaki, które obrońca z łatwością podważy, dodałem w myślach.

– A ty nic nie pamiętasz – ciągnąłem. – Nie możesz zeznawać, bo masz amnezję. Dlatego nalegam: jedynym rozwiązaniem wydaje mi się wizyta

u doktor Leivy i terapia. Ona będzie potrafiła aktywować Alvara.

Podciągnął suwak bluzy pod samą szyję, jakby przeszły go niespodziewane dreszcze.

– Nie wiesz, o co mnie prosisz. Boję się, boję się, że Alvar jest na mnie zły za to, że próbowałem go zabić w swojej wyobraźni, pisząc powieść.

– Alvar nie może ci nic zrobić, ty jesteś ANP. Potrzebuje twojego ciała, żeby istnieć, działanie przeciw tobie jest wbrew jego instynktowi samozachowawczemu. Jedno pytanie: widzisz, kiedy przyjeżdżamy?

– Słucham?

– Z biblioteki rozciąga się widok na szosę i parking. Nie przyjeżdża tu zbyt wielu zwiedzających. Kiedy zjawiliśmy się tu po raz pierwszy z inspektor Ruiz de Gauną, widziałeś nas z góry? Pamiętasz?

– Prawdę mówiąc, nie. Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, wydaje mi się, że dostrzegłem ciebie wysiadającego z samochodu w towarzystwie kobiety. Ale chyba jej nie poznałem. Była tu?

Tak, a ty zgrywałeś przed nią casanovę, miałem ochotę powiedzieć.

– Była. I to chyba Estíbaliz sprawia, że pojawia się Alvar.

W tym momencie Ramiro zdjął okulary, jakby mu przeszkadzały. Ton głosu stał się o wiele bardziej donośny.

– Żadnych psychiatrów, inspektorze. Ta wizyta trwa już zbyt długo. Mogę odprowadzić pana do wyjścia?

Obserwowałem go uważnie i to nie ja, lecz gadzia część mózgu, ta, która ostrzega o niebezpieczeństwie, kazała mi położyć dłoń na pistolecie.

– Tak, miałem już iść.

Nie poszedłem przodem, nie chciałem odwracać się do niego plecami. Kroczyliśmy obok siebie długimi korytarzami, Alvar uniósł podbródek, ręce splótł na plecach. Wyglądał na zadowolonego z siebie, jak chłopczyk, któremu udało się ukryć skarb w drewnianym zamku.

– Przekazuje pan pozdrowienia ode mnie pani inspektor?

– Oczywiście. Obu zależy nam na tym, żeby wiodło się jej jak najlepiej, prawda? – odparłem z przekonaniem.

– Och tak. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo potrafi odmienić życie spotkanie z tak niezwykłą kobietą jak ona.

– Do tego stopnia, żeby zastanowić się nad zrzuceniem sutanny?

Przełknąłem ślinę, miałem przed sobą Alvara, ale jego gesty wydawały mi się równie autentyczne jak gesty Ramira Alvara.

Spojrzał w przestrzeń, jak gdyby wspominał jakieś miłe chwile.

– Gdyby ktoś był tego wart, to z pewnością ona.

– Co do tego w pełni się z panem zgadzam – przytaknąłem.

– Niech jej pan powie o mnie coś dobrego. – Zabrzmiało to jak prośba, jego donośny dotąd głos nie wydawał się już tak pewny.

Zbliżyłem się do jego ucha, nikt nas wprawdzie nie mógł usłyszeć, ale chciałem stworzyć pozory, że się z nim zaprzyjaźniam.

– Daj spokój, Alvarze. Wiesz doskonale, że tego nie potrzebujesz.

No więc dobrze, próbowałem podsumować, schodząc po schodach. Alvar kontroluje domofon i drogę. Próbuje odizolować ANP w wieży. A Ramiro Alvar cierpi na agorafobię, bo boi się, że jeśli zacznie kontaktować się ze światem, zostanie zdemaskowany. Dziś Alvar przejął kontrolę nad Ramirem Alvarem na dźwięk imienia Estíbaliz, więc jest przez cały czas obecny, kiedy kontrolę przejmuje ANP, ale wyłącza świadomość Ramira Alvara według swojego widzimisię, tak że ten ostatni nie pamięta swojego alter ego.

Wróciłem do wsi pieszo, świadomy, że Alvar obserwuje mnie z okna swojej biblioteki.

To nie była jedyna wizyta, jaką zaplanowałem sobie na ten dzień. Poszedłem też do willi Fausti Mesanzy. Właśnie zamykała furtkę.

– Czy zdążyłem na spotkanie klubu książki? – zapytałem.

– Pewnie. Chętnie cię wszystkim przedstawię. Najpierw nasz lokalny bar należał do całej społeczności, wszyscy razem wyremontowaliśmy dawny dom lekarza i przeznacziliśmy go na miejsce spotkań. Co miesiąc jeden z sąsiadów otwierał go w sobotnie popołudnia i w niedziele po mszy. Ale wielu z nas się zestarzało i wynajęliśmy miejsce młodszemu, którzy teraz go

prowadzą. Zaglądamy tam napić się wermutu, pograć w mus i brisę. Przy złej pogodzie rozpalamy w kominku, jest bardzo przyjemnie.

Szliśmy stromymi drózkami Ugarte, miejscowość była odnowiona, nie zabrakło nawet zabytkowego kamienia młyńskiego przed kościołem. Nie była to zbyt wielka osada, najwyżej stu mieszkańców, ale miała jedną niewątpliwą zaletę: w przeciwieństwie do wielu innych nie wyludniła się przez całe tysiąclecie. Przy barze znajdowało się boisko i drewniany tor do gry w kręgle.

Zajrzałem przez duże okno do środka, zobaczyłem drewniany kontuar, dość sfatygowany stół bilardowy i piłkarzyki, w które grało kilka młodych osób. Paliło się w kominku, pod wieczór bardzo się ochłodziło, ale we wnętrzu panowało przyjemne ciepło.

Weszliśmy do środka. W kącie baru przy kominku na wózku inwalidzkim siedziała staruszka. Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem od stóp do głów, na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiech osoby, która już wiele w życiu przeżyła i nic jej nie zdziwi. Jej małym głęboko osadzonym oczkom nie umykał żaden szczegół.

– To Benita, moja teściowa – przedstawiła ją Fausti. – Lepiej uważaj, co przy niej mówisz, pamięta wszystko z najdrobniejszymi szczegółami nawet przez sen.

Wziąłem krzesło i usiadłem obok niej przy kominku. Pomyślałem, że będzie dobrą kompanią.

– To Cecilia, farmaceutka – powiedziała Fausti na widok kolejnej wchodzącej osoby.

– Aptekarka – poprawiła Benita. – I nie lubi się z tą, która zaraz wejdzie, Aurorą. Ona z kolei miała stoisko z delikatesami na targu, teraz jest na emeryturze i się nudzi.

Chłopak, który nie miał chyba nawet dwudziestu pięciu lat, wszedł do środka ze skrzynką napojów.

– To Gonzalo, teraz to on prowadzi bar.

Przywitał się z nami z uśmiechem. Miał na sobie koszulkę z napisem: „Jestem chimera” i wizerunkiem zwierzęcia o ciele kozy, głowie lwa



i ogonie węża. Podszedł zapytać, czy się czegoś napijemy. Fausti poprosiła o to, co zawsze, a ja o butelkę wody.

– Txomin jest rzemieślnikiem. Zmęczyło go życie w mieście i otworzył tu warsztat stolarski. Powinieneś kiedyś do niego zajrzeć, robi cudowne rzeczy.

– Tak zrobię – odparłem.

Dziesięć minut później zdążyłem już poznać dwudziestu mieszkańców, którzy usiedli w kręgu, każdy miał swój egzemplarz *Władców czasu* otwarty na tej samej stronie.

– Na dzisiejszym spotkaniu mamy gościa – poinformowała wszystkich Fausti. – Nie jest wprawdzie z Ugarte. Nazywa się Unai i jest...

– Jestem inspektorem Wydziału Kryminalnego komendy w Vitorii, ale przyjechałem tu jako czytelnik – przerwałem jej z uśmiechem.

Moja odpowiedź zaskoczyła wszystkich, a najbardziej Fausti.

Wszyscy patrzyli na mnie z zaciekawieniem. Obserwowałem uważnie ich reakcje, by później przemyśleć je w spokoju.

Kiedy już ochłonęli z pierwszego wrażenia, młoda dziewczyna z kręconymi włosami zaczęła czytać głośno i powoli.

Zapatrzyłem się na buzujący w kominku ogień.

Widok płomieni zahipnotyzował mnie, wsłuchałem się jeszcze raz w historię, którą znałem już prawie na pamięć.

## ZAKRYSTIA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Spotkałem Gunnarra na ulicy Tenderías, na widok mojej miny zaproponował, żebyśmy odeszli na stronę. Wybraliśmy spokojne miejsce w warzywniku Pera Vicii, halabardnika.

- Co się stało, Diago? Czego ci potrzeba?
- Twoich rąk i dwóch kilofów.
- Chodźmy do kuźni.

Mijając sąsiadów, ruszyliśmy do kuźni. Miałem wrażenie, że ktoś nas śledzi, ale nie zobaczyłem nikogo. Tylko kolorowe szarfy, kaptury i twarze pomalowane na czarno i czerwono.

Drzwi prowadzące do parafii były otwarte, ale proboszcz nie wyszedł nam na powitanie. Gdy znaleźliśmy się w zakrystii, Gunnarr zatkał sobie nos.

- Chyba twoje podejrzenia są słuszne – wymamrotał.

Nie mieliśmy ochoty na rozmowę, w milczeniu kuliśmy ścianę zakrystii.

Długą chwilę później zaprawa łącząca cegły zaczęła ustępować, otwór robił się coraz większy, aż w końcu uznaliśmy, że jeden z nas zdoła się przez niego przecisnąć.

- Chcesz, żebym ja wszedł? – zapytał Gunnarr, zasłaniając sobie nos gołym przedramieniem.
- Przynieś mi świecę z kandelabru – poprosiłem.

Ale w tej chwili do zakrystii weszli Nagorno z Onneą.

– To prawda, Diago? – krzyknęła na mój widok. – To prawda, co powiedział mi Vidal?

Jej pomalowana na zielono twarz była cała we łzach, chyba nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

– A co takiego powiedział wam proboszcz?

– Że go zmusiłeś! – krzyknęła i uderzyła mnie w pierś. – Że kazałeś mu przestać je karmić i poić.

Wyrwałem z rąk Gunnarra świecę i wszedłem do środka.

Nie chcę wspominać tego, co zobaczyłem. Chlew, dwa ciała, szczury, listy, których uwięzione nie zdążyły przeczytać.

– Nie wchodźcie, to, co tu się wydarzyło, nie jest z tego świata – powiedziałem, ale mój głos był daleki od władczego tonu, którym chciałem przemówić.

Oczywiście Gunnarr i Nagorno byli już wcześniej świadkami takich scen, ale posłałem bratu błagalne spojrzenie: „Nie pozwól, żeby to zobaczyła”.

– Chcę wejść! – zakrzyknęła Onneca.

Nagorno stanął jej na drodze, odsunęła go.

Zabrała mi świecę, nawet na mnie nie spojrzała, jak gdybym w ogóle nie istniał, i pewnym krokiem weszła do grobowca swoich sióstr.

Usłyszeliśmy jej szloch. Usłyszeliśmy, jak mówi do sióstr, które nie mogły jej odpowiedzieć, jej lament miał mi się śnić po nocach.

Wszyscy trzej z przygnębieniem obserwowaliśmy scenę przez otwór w ścianie.

– Wyprowadź ją, Nagorno – poprosiłem go szeptem. Chciałem zatkać sobie uszy, nie mogłem dłużej słuchać, jak cierpi. – Błagam, bracie, wyprowadź ją stamtąd.

Nagorno nie ruszył się z miejsca, patrzył tylko na żonę obejmującą jedno z ciał.

– Jeśli nie zrobisz tego dla niego, zrób to dla mnie, Nagorno – powiedział cicho Gunnarr. – Wejdź tam i wyprowadź ją.

– Dla ciebie, Gunnarr. Za wszystko, co jestem ci winien.

I wszedł ze spokojem Parki, szepnął jej coś na ucho, zdjął perukę Lamii i pogładził po czarnych włosach.

Nigdy nie dowiedziałem się, co jej powiedział. Jakich słów użył, by przekonać ją do opuszczenia tego piekła.

Kiedy wyszła, była inną kobietą. Przeróżającą, wściekłą.

Podeszła do mnie, niosąc długą świeczkę.

– Tylko dlatego, że jesteśmy rodziną, Diago! – ryknęła. – Jesteśmy rodziną i twój brat mnie o to prosił. Tylko dlatego poczekam na sąd, a nie każę cię zabić jeszcze tej nocy. Nie wybaczę ci tego.

Zapomniałem o obecności Gunnarra, Nagorna, o martwych siostrach. Byliśmy tylko ja, ona i nasza nienawiść.

– To ja ci tego nie wybaczę, Onneco. Jak możesz myśleć, że kazałem zabić twoje siostry... Byliśmy razem, znasz mnie na wylot. Poznałaś moje ranki i moje noce, moje ciemne i jasne dni. I sądzisz, że jestem zabójcą dwóch dziewczynek! Uważasz, że jesteś zdolna zakochać się w potworze?

Mierzyliśmy się spojrzeniami, topiący się wosk świecy kapał na kamienną posadzkę zakrystii. Byłem napięty i uważny, czułem się jak myśliwy czekający na atak rannego dzika.

– Tak, chyba mogłabym zakochać się w potworze – odparła w końcu.

Spojrzałem na Nagorna, potem na nią.

– Nie ja to powiedziałem.

I odwróciłem się, chciałem jak najszybciej uciec od tego fetoru.

Ale mój kuzyn zastąpił mi drogę, spojrzeniem poprosił, żebym opanował nerwy.

– Onneco, to nie jest dobry czas, żeby wiadomość rozeszła się po grodzie. Ulice podlane są winem, jeśli wieść o tym bestialstwie się rozniesie, zlinczują twój szwagra, proboszcza, kogokolwiek, kogo któreś ze stronnictw uzna za winnego. – Gunnarr przemawiał słodkim głosem, potrafił nim uspokoić nawet marynarzy, kiedy nad statkiem zawisło widmo buntu.

– Kuzyn ma rację – powiedział Nagorno swoim monotonnym głosem. Nigdy się nie denerwował, nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. – Gunnarze, powiadom namiestnika, ale niech zatrzyma wszystko w tajemnicy do jutra. Niech strażnicy aresztują proboszcza, żeby złożył zeznanie. Niech zamkną bramy i dyskretnie poszukają go na terenie parafii Świętego Michała. Przekupki czują się zagrożone po spaleniu kukły Judasza. Wystarczy niewielka iskierka, a całe miasto zapłonie. Bracie, idź do domu i nie wychodź z niego. Potrzebujesz ochrony?

– Znasz odpowiedź.

– Jak uważasz. Śpij z jednym okiem otwartym.

– Zawsze tak robię. – I ruszyłem do domu.

Była już noc, kiedy wyskoczyłem z balii. Wcześniej zamknąłem wrota swojego domu na klucz. Niewiele osób wiedziało, gdzie go trzymam.

Od kilku godzin usiłowałem dojść do siebie, mocząc się w ciepłej wodzie, po ciemku, przed kominkiem.

Zastała mnie nagiego, ze sztyłem w ręku.

Odłożyłem broń i znów zanurzyłem się w balii.

– Co się z wami dzieje? – zapytała, podchodząc bliżej.

Wciąż miała na sobie suknię z *eguzkilores*.

Poczułem się lepiej, mając ją u boku. Jej spokój udzielał się i mnie, tak było od pierwszego dnia naszej znajomości.

– Słyszałaś coś? – zapytałem.

– Nie, ale babcia Lucía ciągle wierciła się w łóżku, ona, która potrafiła zasnąć podczas bitwy. Co się stało? Co zobaczyła? Co jej powiedzieliście?

– Proboszcz przestał karmić i poić córki hrabiego de Maestu, twierdzi, że ja go do tego zmusiłem – wyznałem, nie chciałem ukrywać przed nią niczego. Nie tej nocy, kiedy byłem poruszony do żywego. – To nie byłem ja, ktoś inny musiał go przekupić albo zastraszyć, zmusił go też, żeby obwinił mnie. Są dwa sposoby, pieniądze albo szantaż. Miał rodzinę?

Alix usiadła na krawędzi balii. Myślę, że zrobiło jej się słabo.

– Miał rodzinę? – nalegałem.

– Owdowiałą matkę, starszą kobietę, mieszka w Toledo – odparła oszołomiona. – Nie mogę uwierzyć, że nie żyją. Bona i Favila... Dorastałyśmy razem. Uczyłam się z nimi chodzić, tańczyłam z nimi, modliłam się... Potem byłam daleko, w Toledo. Aż tam dotarły wpływy tego, co stoi za tym złem?

– Nie wolno ci o tym rozpowiadać.

– Wiem, że nie mogę o tym mówić.

– Po co przyszłaś, Alix?

– Przyszłam, żeby być tu z wami. Wiedziałam, że stało się coś złego, kiedy zobaczyłam babcię. Jest dla mnie miejsce w tej balii?

Przytaknąłem.

Słowa nie były potrzebne.

Słowa już dość mnie tego dnia zraniły. Byłem zmęczony.

Chciałem tylko zamknąć oczy i żeby sen zatarł pamięć o tych słowach. Alix zrzuciła suknię z *eguzkilores*. Światło płomieni ślizgało się po jej nagiej skórze, patrzyłem na nią w milczeniu, a ona zanurzyła się w balii, położyła głowę i rozpuszczone włosy na mojej piersi i poprosiła, żebym objął ją ramionami. I trwaliśmy tak przytuleni, zapatrzeni w płomień, czekając, aż noc sprowadzi na nas sen.

– Jaki odcień niebieskiego mam dzisiaj?

– Bardzo daleki błękit, jeszcze głębszy niż smutek. Patrzycie na płomień, a wydajecie się patrzeć na ocean.

– To prawda.

– To odcień błękitu, który oznacza klęskę.

– Błękit porażki, owszem. Wiem, że pachnę śmiercią, wiem, że woń tych rozkładających się ciał przyłgnęła do moich włosów i skóry. Chciałem je zmyć dla siebie, ale także dlatego, że wiedziałem, że ty go poczujesz – wyznałem po długiej chwili wpatrywania się w płomień.

– Nie możemy być razem. Nie mogę pochować czwartego męża, a wy, odkąd wróciliście do Victorii, robicie wszystko, by umrzeć.

– Zgadzam się. Nie powinniśmy. Jestem dla ciebie niebezpieczny. Jeśli zginę, znajdą pretekst, żeby cię oskarżyć. Tylko ta noc. Jutro znów

będziemy zwykłymi sąsiadami, ale, Alix...

– Tak?

– Nigdy nie zapomnę tego, jak opiekowałaś się mną, odkąd wróciłem do Victorii.

## VALDEGOVÍA

## UNAI

*Październik 2019*

Późnym wieczorem, biegając po zaułkach, odebrałem telefon od Peñi. Jogging mnie uspokajał, a odkąd Alba i Deba się wyprowadziły, wykorzystywałem każdą przerwę w pracy, żeby włożyć adidas i się przewietrzyć.

Zatrzymałem się pomiędzy uliczkami Zapatería i Correría. Usiadłem przy wejściu do jednej ze średniowiecznych kloak w zaułku Carnicerías, żeby nabrać tchu i odebrać połączenie.

Z czegoś tak mało eleganckiego jak średniowieczny system odprowadzania nieczystości zrobiono obecnie schludne ogródki. W mieście było ich kilka: del Túnel, de los Hospitales, de los Rosales, de los Tejos, los Acebos.

– Kraken, widziałeś, co pojawiło się na Twitterze? – zapytał Peña.

– Nie miałem dziś czasu – powiedziałem.

Nieprzyjemny wiatr odsłonił mi bliznę na głowie, prędko poprawiłem zwichrzone kosmyki, by znów ją zakryć.

– Jest ciągle udostępniany – ciągnął. – Dzwonię do ciebie, żeby zapytać, czy coś w tej sprawie zrobimy.

– Wyjaśnij mi najpierw, o co chodzi.

– Czytam tweet: „*Władcy czasu* to wersja niewydanej kroniki napisanej w dwunastym wieku. Jej wartość rynkowa, według znawców, może dochodzić do trzech milionów euro”.



- Kurwa – zakląłem.
- Wiedziałaś coś o tym?
- Dowiedziałem się wczoraj – odparłem, kierując się do domu. Bieganie się skończyło. – I poza moim informatorem nikt nie powinien o tym wiedzieć. Rozmawiałaś z Estíbaliz?
- Nie odbiera telefonu. Jest jedenasta, może poszła już spać?
- Spróbujmy więc sami coś zadziałać. Milán wie?
- Szuka właściciela konta na Twitterze. Na razie wiemy tylko, że zostało utworzone dopiero co. Autor tweeta nie był zbyt subtelny, chodziło mu jedynie o wrzucenie bomby i narobienie zamieszania. No i udało mu się. Tweet jest ciągle udostępniany, obawiam się, że rano dowie się cała prasa lokalna i krajowa. Skoro wiedzieliście o tym wyłącznie ty i twój informator, skąd wyciekła ta informacja? Martwi mnie to. Może cię śledzą? Może masz podsłuch w telefonie?
- Rozmawiałem o tym tylko z Albą. Z baru Virgen Blanca, byłem tam z Lutxem, ale zszedłem do ubikacji, kiedy do mnie dzwoniła. Jestem pewien, że nikt za mną nie szedł.
- A ktoś w toalecie?
- Były puste, chyba że...
- Co?
- Chyba że ktoś był w magazynie, gdzie trzymają napoje. To jedyne, co mi przychodzi do głowy.
- Lutxo znał kelnerkę, ale czy na tyle dobrze, żeby poprosić ją o umożliwienie podsłuchiwania pod drzwiami? Czy to, że wiadomość wyciekła, działało w jakikolwiek sposób na jego korzyść? Miałem spore wątpliwości. A Iago i Héctor del Castillowie również nie rozpowszechniliby wiadomości.
- Tak czy siak, nie powiadomiliśmy jeszcze sędziego o tym wątku dochodzenia. Nie możemy już zapobiec rozpowszechnianiu tweeta – powiedziałem.
- Masz rację, jutro rano pogadamy o tym na komendzie. Nic nie zrobimy o tej porze. A ty od jakiegoś czasu jesteś w złym humorze, Kraken. Czemu

nie wyjdiesz dziś ze mną? Przy Pintorería otwarto nowy bar, próbują go ożywić koncertami. Dziś będą to skrzypce i flet poprzeczny. Muzyka celtycka. Może dobrze nam zrobi, jeśli na dwie godziny przestaniemy myśleć o zabójstwach i tej książce. Co ty na to?

Nie bardzo mi się uśmiechał ten wypad, ale przyjąłem propozycję ze względu na higienę psychiczną. Wiedziałem, że muszę odpocząć, także dla dobra dochodzenia. Od tygodni nie umawiałem się na kawę ze swoją paczką, kolejny raz zawieszałem życie prywatne na kołku, by w pełni poświęcić się śledztwu.

Dochodziła trzecia. Peña zamierzał wypić jeszcze jedną kolejkę z przyjaciółmi, a ja zbierałem się do domu.

Koledzy Peñi zakończyli swój koncert utworem *Fisherman's Blues* zespołu Waterboys, był to jedyny moment, kiedy dałem się porwać muzyce i zapomniałem o swojej smutnej sytuacji. Był czwartek, więc na ulicach o tej porze nie było zbyt wielu ludzi. Już miałem wyjść z lokalu, kiedy zauważyłem, że na mój telefon nagrano mnóstwo wiadomości głosowych. O wpół do trzeciej Estíbaliz wysłała mi niepokojący SMS: „Przyjedź do wieży, chyba...”.

Zadzwoiłem do niej kilka razy, nie odebrała. A Estíbaliz zawsze odbierała telefony ode mnie.

Wróciłem biegiem do Peñi.

Kiedy zobaczył niepokój na mojej twarzy, natychmiast odstawił kieliszek na bar.

– Peña, jedź ze mną do Valdegovíi – szepnąłem. – Estíbaliz dzwoniła z prośbą o pomoc z wieży Nograro, a teraz nie odbiera. Nie wiem, co robi tam o tej porze, ale wcale mi się to nie podoba. Zobaczymy, co tam się dzieje.

Zostawiliśmy za sobą światła Vitorii i zanurzyliśmy się w ciemności lokalnej szosy. Gałęzie drzew tworzyły tunel nad dachem naszego samochodu, który pędził w kierunku wieży.

– Nie odbiera – wymamrotałem. – Nie odpowiada na wiadomości. Ale nie ma wyłączonego telefonu. Po prostu nie odpowiada.

– Zaraz dojedziemy, Kraken. Myślisz, że powinniśmy zadzwonić po posiłki?

– Zobaczymy na miejscu.

Nie chciałem jej postawić w niezręcznej sytuacji, pomyślałem.

Nie wiedziałem, co się stało, i nie chciałem powiadamiać więcej ludzi, żeby jej nie demaskować. Może udało się jej nakłonić Alvara do powiedzenia prawdy? Ale nie ufałem mu. Musiałem upewnić się, co zaszło.

Zaparkowaliśmy na niewielkiej górcie i zgasiliśmy światła wozu. Znałem drogę, wiedziałem, że trafię nawet po ciemku. Zresztą noc była rozgwieżdżona. Zauważyliśmy na parkingu samochód Estíbaliz.

Przeszliśmy przez fosę i przez trawnik. Małe okienko nad drzwiami było otwarte.

Tym razem zadzwoniłem na telefon Ramira Alvara, ale nikt nie odebrał. Zacząłem stukać kołatką. Nic.

– Oświetl okno – poprosiłem Peñę.

Nie było stłuczone ani nie nosiło śladów włamania.

Okno otwarte od środka, pomyślałem. Ramiro to zmarzluch, nigdy nie zostawiłby na noc otwartego okna. Estíbaliz nie daje znaku życia, a wszystko wskazuje na to, że dwie godziny temu była w wieży. Jeśli jest w środku, nie może odebrać. Alvar albo Ramiro Alvar też nie odbiera. I Ramiro Alvar musi być w wieży, przecież nie wychodzi prawie nigdy. Co tu się dzieje, u licha?

Oświetliłem trawnik pod oknem, nie było śladu, że ktoś ciągnął tędy czyjeś ciało.

Oni są w środku, a ktoś wyskoczył przez to okno. Nie mógł ich zabrać.

– Wejdzmy tędy. Podsadzę cię – szepnąłem do Peñi.

Splotłem ręce, on stanął na nich, oparł się o ścianę, żeby się odepchnąć, i wślizgnął się do środka. Zniknął mi z oczu na kilka sekund, a potem znów się pojawił.

– Czysto, nic tu nie ma – powiedział.

– Zejdz do sieni i wpuść mnie.

Musiałem zaczekać dwie nieznośnie długie minuty, z tych, co dłużą się jak uporczywa zima. W końcu masywne drewniane drzwi otworzyły się i wszedłem do sieni z kamienną posadzką.

Było ciemno, strumyk światła sączył się z wewnętrznego patio wieży. Mogliśmy wejść tylko do części muzealnej, drzwi do apartamentów Ramira Alvara były zamknięte.

Wyjąłem pistolet. Peña zrobił to samo.

Przeszedłem przez korytarz, kierując się ku schodom.

Ale się poślizgnąłem.

Jeden z glinianych kafelków był mokry i upadłem. Przy upadku uderzyłem się mocno w łokieć. Obolały sięgnąłem po telefon, żeby poświecić sobie wokół. Zobaczyłem, że moje ręce też są mokre. Leżałem na półnagim ciele, moje ręce były poplamione krwią.

– Kraken, te włosy...

– Jakie włosy?

– Upadłeś na kogoś, kto ma rude włosy, jak Estíbaliz.

Niemożliwe, pomyślałem. Nie chciałem uwierzyć.

– Poświeć tu – poprosiłem.

Wstałem z trudem, byłem w kałuży krwi i niełatwo było utrzymać równowagę.

Twarz Estíbaliz była blada. Wyrwałem Peñi telefon i zbliżyłem go do jej źrenic.

Zareagowały. Skurczyły się. Żyła jeszcze, chociaż była nieprzytomna.

– Zadzwoń po karetkę. Niech przyślą patrol z ekipą techników kryminalistyki, mamy raną inspektorę. Krew AB plus. Straciła jej bardzo dużo. Będzie potrzebowała transfuzji.

– Kraken... Tu jest ktoś jeszcze.

Peña oświetlił drugie ciało, które też nosiło ślady upadku ze schodów. Staromodna biała koszula nocna. Zakrwawione nogi. Nie widziałem nic więcej, ciemność spowijała wszystko poza strumyczkiem światła z telefonu Peñi.

– Sprawdź, czy żyje – poleciłem mu.

Peña podszedł do niego, kiedy ja telefonowałem, żeby wezwać posiłki. Spróbowałem nie wychodzić z roli kryminologa, zacząłem chłodnym okiem oceniać obrażenia Estíbaliz. Myśl o tym, że to pogruchotane ciało u moich stóp należy do mojej towarzyszki, była dla mnie nieznośna.

Nie ty, tylko nie ty.

– Mężczyzna, źrenice reaktywne! – krzyknął. – Co robimy?

– Nie wiemy, z jak wysoka spadli, lepiej ich nie ruszajmy. – Wziąłem telefon i skierowałem strumień światła w górę, szukając jakiegoś wyłomu w drewnianej balustradzie. – Możliwe, że mają uszkodzone narządy i krwotok wewnętrzny. Opisz mi, jakie obrażenia widzisz.

– Noga złamana w kilku miejscach, ciało zwinięte w kłębek, pewnie spadł na nogi.

– W takim razie ma też pewnie uraz miednicy i ud, być może złamanie kostek i pięt – powiedziałem.

– Na to wygląda.

– Estíbaliz jest prawie na środku patio, on leży przy schodach. Czyli Esti musiała spaść z większej wysokości, ale z tego, co widzę, balustrada nie jest uszkodzona. Więc pewnie ją przez nią przerzucono. To wymaga wielkiej siły, mimo że Esti waży mniej niż pięćdziesiąt kilo – myślałem głośno.

Spróbowałem zrekonstruować wydarzenia. Ktoś wszedł do budynku, kiedy Alvar i Estíbaliz... robili wiadomo co. Z jakiegoś powodu jedno z nich schodziło po schodach i spadło albo zostało zepchnięte. Potem to samo stało się z drugim. Szczupłość Estíbaliz działała na jej korzyść: mniejsza masa oznaczała mniejsze przyspieszenie, mniejszą energię uderzenia o podłogę, słabsze obrażenia.

Alvar spadł z mniejszej wysokości, ale oboje byli nieprzytomni. Dopiero lekarze ustalą, jak poważne są ich urazy.

– I co teraz zrobimy, Esti? Jak wyjaśnimy to, że dziś w nocy znalazłaś się w samej bieliźnie w domu głównego podejrzanego? – szepnąłem jej do ucha.

Wiedziałem, że mnie nie słyszy, wiedziałem, że będę musiał dla niej kłamać, jak tyle razy ona kłamała dla mnie.

Pomyślałem jednak przytomnie, że to najmniejszy problem w chwili, gdy jej życie zawisło na włosku.

## OGRODY SAMANIEGA

## UNAI

*Październik 2019*

Rano pojechałem do Laguardii. Noc była przeraźliwie długa, Estíbaliz i Ramira Alvara Nograro nadal operowano. Bycie ANP okazywało się niebezpieczne, bo kiedy twoje alter ego pakowało się w kłopoty, cierpiało na tym twoje ciało.

Lekarze powiedzieli, że operacja zajmie jeszcze parę godzin. Wynik był niepewny. Stan Estíbaliz okazał się poważny, naprawdę poważny.

To było za dużo, nawet dla mnie. Moje barki nie potrafiły udźwignąć takiego ciężaru. Kraken przejął kontrolę: „Co mogę teraz zrobić?”. „Co powinienem zrobić?”

Próbowałem skupić się na tym, co trzeba zrobić, na czymś, co zależało ode mnie.

Miałem czas, żeby pojechać do Laguardii i wrócić. Musiałem działać, żeby z nerwów nie zjeść krzesel w poczekalni, a poza tym Alba zasługiwała na to, żeby usłyszeć nowiny ode mnie osobiście, a nie przez bezduszny telefon.

Kiedy wszedłem do hotelu, Deba była już na nogach, mama zdążyła ją ubrać i dać jej śniadanie. Patrzyłem na nie przez chwilę w progę: była to sielankowa scena, chwila doskonała.

Deba chyba wyczuła moją obecność, bo odwróciła się i krzyknęła z radością:

– Tato! Jak ty oklopnie wyglądas!

– Deba ma rację, wyglądasz strasznie – powiedziała Alba na powitanie.  
– Masz za sobą ciężką noc?

Zamierzałem odpowiedzieć, ale w tym momencie nadszedł dziadek, niósł wiele siatek. Deba uczepliła się go jak koła ratunkowego.

Dla mnie też był takim kołem.

– Jak to się stało, że przyjechałeś tak wcześnie, dziadku? – zapytałem.

Dziadek ostrożnie położył siatki na podłodze. Podrapał się w głowę swoim wielkim zakrzywionym palcem, jak zawsze, kiedy kłamał.

– Podrzucił mnie syn Eusebia.

– Tego z Villafríi? I przyszedłeś szosą z Villafríi, dźwigając te ciężary?!

– To dwa kilometry, synku. – Wzruszył ramionami, jakby uważał, że przesadzam. – Spacerują zdrowe.

– Dziadku, mógłbyś zabrać Debę na chwilę do parku? My z Albą zaraz dołączymy.

– Chodź, maleńka – powiedział, biorąc ją na ręce i wkładając jej swój beret. – Albo, córeczko, przyniosłem ci kilka słoików marmolady, pomyślałem, że może zechcesz je podać gościom na śniadanie.

Alba się uśmiechnęła. Dziadek zawsze działał na nią jak balsam, jak obejmowanie starego dębu na newage'owej ceremonii.

– Dziękuję, dziadku. To świetny pomysł.

Patrzyliśmy za nimi, jak schodzą po schodach. Milczeliśmy. Alba domyśliła się chyba, że moja poranna wizyta zwiastuje czarne chmury na horyzoncie.

– Albo, wejdźmy na wieżę. Muszę się trochę przewietrzyć.

– Więc to coś poważnego?

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

Poszła za mną po przyprawiających o zawrót głowy kręconych schodach. Próbowałem odpędzić wspomnienie ciała Estíbaliz roztrzaskanego o posadzkę. Na zewnątrz świeciło słońce, ale było blade i anemiczne i nie chciało ogrzać lodowatego poranka. Albę przeszedł dreszcz, skrzyżowała ręce na piersiach, jakby była przyzwyczajona do pocieszania się samodzielnie.



Spojrzałem wokół, na góry. Omiotłem wzrokiem grzebień szczytów, szukając San Tirso; potrzebowalem kotwicy.

Z wieży rozciągał się widok na park. Dziadek zabrał Debę na plac zabaw i doskonale ich widzieliśmy.

Dziadek siedział na ławce, a Deba zdobywała drewniany zamek z drabinkami, mostkami, uchwytyami do wspinaczki dla małych rączek na wysokości, która nie budziła strachu.

Odwróciłem się i westchnąłem. Musiałem to wreszcie powiedzieć.

– Estíbaliz jest w ciężkim stanie. Właśnie ją operują. Spadła z wysokości ponad dziesięciu metrów. Podejrzewamy, że została zepchnięta. Była w wieży Nograro tej nocy.

– Tej nocy?

– Tej nocy. Wolę opisać ci wszystko, zanim przeczytasz raport. Ramiro Alvar Nograro leżał kilka metrów od niej. Dopóki nie otrzymamy raportu techników kryminalistyki, nie dowiemy się, jak ich zaatakowano. Ramiro Alvar spadł z mniejszej wysokości, ale jego stan też jest poważny. Jednak to życiu Estíbaliz zagraża niebezpieczeństwo. Ma skomplikowane urazy kości, spadła na bok. Ramiro zleciał na nogi: ma nogę złamaną w czterech miejscach. Nie znamy ich obrażeń wewnętrznych. Rokowania są ostrożne. Oboje byli w bieliźnie, Ramiro Alvar miał na sobie tylko koszulę nocną. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wejście główne było zamknięte, podejrzewamy, że Estíbaliz i Ramiro Alvar zauważyli mordercę, a on rzucił ich ze schodów i wy dostał się przez okno nad drzwiami. Poprosiłem kolegów techników, żeby sprawdzili ślady w bibliotece. To prawdopodobnie włamanie z motywem rabunkowym, złodziej chciał ukraść kronikę z dwunastego wieku. Nie sądzę, żeby był tak głupi, żeby sprzedawać ją teraz na czarnym rynku. W każdym razie nie dowiem się, czy ją skradziono, dopóki nie porozmawiam z Ramirem Alvarem. Peña ma poprosić sędziego o utajnienie etapu śledztwa dotyczącego tego, co zaszło dzisiejszej nocy. Opinia publiczna już zaczęła łączyć zabójstwa z istnieniem prawdziwej kroniki, ale jeśli rozniesie się wieść, że kronikę skradziono z wieży Nograro i że prowadząca dochodzenie inspektorka została zaatakowana, cała uwaga prasy skupi się na wieży. I ten galimatias skomplikuje się jeszcze bardziej.

– Muszę pojechać do Estíbaliz – powiedziała tylko. – Jest teraz sama?

– Peña i Milán są w szpitalu na zmianę. Zadzwoń do mnie, jeśli tylko będą jakieś nowiny.

– Cholera jasna! Jak mogłeś zostawić naszą najlepszą przyjaciółkę samą?

– Przyjechałem tu, bo operacja potrwa jeszcze wiele godzin i nie ma sposobu, żeby lekarze coś powiedzieli. Przyjechałem, bo nie chciałem ci mówić wszystkiego przez telefon z Vitorii. Dzwoniłem do Germana, wziął dziś wolne i już na nas czeka, żeby zająć się Debą. Dziadka też zabierzemy do Vitorii. W najbliższych dniach... wszystko jedno, czy czeka nas szpital, czy pogrzeb, spędzimy wiele godzin poza domem. Dziadek i Germán zajmą się małą.

Ciekawe, jak mieliśmy sobie poradzić z tymi wszystkimi ofiarami. Czy da się w ogóle stworzyć rodzinę, kiedy oboje rodzice pracują w Wydziale Kryminalnym? Czy ktoś już tego dokonał? Czy historia notuje takie przypadki? Gdzie medale, gdzie uściski dłoni, na które zasłużyli ci niewidzialni bohaterowie?

Chciałem już zejść po schodach i ruszyć w drogę, ale Alba chwyciła mnie za ramię.

– Zaczekaj. W samochodzie z dziadkiem i Debą nie będziemy mogli o tym porozmawiać. Wyjaśnij mi wszystko. Niczego nie pomijaj. Muszę wrócić do pracy.

– Wiem. Chciałem trzymać cię z dala od tego. Zasłużyłaś na to, by dojść do siebie po śmierci matki. Każdy na to zasługuje, do cholery.

– Od jak dawna? – zapytała.

– Od jak dawna co?

– Rozumiesz doskonale, o co pytam: od jak dawna Estíbaliz ma romans z głównym podejrzanym?

– Odkąd wiem, że sypiali ze sobą? Od jakichś dwunastu godzin.

– Unai...

– To prawda, przysięgam! Nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. Estíbaliz mi się nie zwierzała. Coś podejrzewałem, ale nie chciałem

zawracać ci głowy przypuszczeniami. Zostawiłaś śledztwo, postanowiłem uszanować twoją decyzję.

– Nie powinieneś być tego ukrywać. Na Boga, Unai! Powiedziałam ci, że to ona pokieruje dochodzeniem, a ty już wtedy wiedziałeś, że utrzymuje kontakty z jedynym podejrzanym?

– Od pierwszej nocy. Poszedłem rano pobiegać i ich spotkałem. I było między nimi to coś.

– To coś?

– To, co między nami na początku. Przeciągłe spojrzenia. To, jak patrzyli na siebie... Estíbaliz oczarowana nim, on patrzący tak, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś taki istnieje. Nie wiem, czy ona sama zauważyła to już tej samej nocy, czy może łudziła się, że prowadzi z nim grę. Ja owszem, zrozumiałem wszystko, jak tylko ich zobaczyłem. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej tego spojrzenia. Byli zapatrzeni w siebie jak w obrazek. Doktor Leiva nazwałaby to efektem halo.

– To samo czułeś do mnie?

– Ty już przezwyciężyłaś efekt halo. Już stanęłaś za sterami własnego życia. Podejmujesz swoje własne decyzje, a ja mogę tylko decydować, czy będę ci w nich towarzyszył. Nadal cię podziwiam, podniecasz mnie jak nikt na świecie. Jestem zakochany, tak naprawdę o wiele bardziej niż pierwszego dnia. To ci wystarczy? I jeszcze coś, krew z naszej krwi... Powiedz mi, czy Deba czyni z nas rodzinę?

– I marmolada twojego dziadka czyni z nas rodzinę – powiedziała i pogładziła swoją czerwoną nitkę, którą kilka dni wcześniej zawiązałem na jej nadgarstku. – Ruszajmy w drogę, Esti nie może być sama w Vitorii.

Spojrzałem w stronę parku, szukając ławki z dziadkiem.

I wtedy go poznałem.

Tasio Ortiz de Zárate.

Tasio stał obok mojej córki: miał coś w ręku i rozmawiał z nią. Podszedł do niej, kiedy zjeżdżała ze zjeżdżalni, ale drewniane ściany zamku nie pozwalały dziadkowi go dostrzec. Siedział więc dalej na ławce, nieświadomy niebezpieczeństwa czyhającego na prawnuczkę.

– Albo, Tasio rozmawia z Debą. Nie dawaj żadnych znaków dziadkowi, jeśli Tasio się wystraszy i ją porwie, dziadek go nie dogoni – szepnąłem.

Zimny pot spływał mi po plecach.

Ruszyliśmy pędem po schodach w dół, bez słowa obiegliśmy zamek, za którym przycupnięty Tasio wygłupiał się przed bardzo zadowoloną Debą.

– Tasio, odejź od niej! – krzyknąłem, kiedy znaleźliśmy się w odległości kilku metrów.

Alba nadbiegła z drugiej strony. Tasio zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Alba wzięła Debę na ręce. Ja ruszyłem za Tasiem. Z trudem przyszło mi utrzymać jego tempo. Był w formie, skurwiel jeden. Krzyknąłem kilkakrotnie: „stój!”, ale on się nie zatrzymał.

Na wysokości pomnika bajkopisarza Samaniega udało mi się zmniejszyć dystans. Wykorzystałem to i rzuciłem się ku jego nogom.

Efekt był natychmiastowy, obaj runęliśmy na trawnik, jeszcze wilgotny od porannego szronu.

– Już dobrze, już dobrze! Wybacz, inspektorze Ayala – powiedział i podniósł ręce do góry.

– Mówiłem ci, Tasio, żebyś się do niej nie zbliżał!

– To pomyłka, inspektorze! Spójrz do mojego portfela, jestem Ignacio.

Tego się nie spodziewałem.

– Ignacio? Co ty tutaj robisz?

– Mam willę w Laguardii! – krzyknął, wciąż zdenerwowany. – Spacerowałem po parku i zobaczyłem twojego dziadka z dziewczynką. Przepraszam, ciekawość okazała się silniejsza, nie mogłem się powstrzymać. Nie wiedziałem, że rozmawiałeś z Tasiem i zabroniłeś mu zbliżać się do dziewczynki. Sięgnij po mój dowód osobisty, jest w tylnej kieszeni.

Wciąż trzymałem go przyciśniętego do ziemi, z tylnej kieszeni spodni wyjąłem markowy portfel. Dowód, karty kredytowe, prawo jazdy... To był Ignacio Ortiz de Zárate.

Puściłem go i wstałem. Ignacio usiadł na trawie obok mnie.

– Przepraszam, naprawdę – powiedział. – Nie chcę sprawiać wam kłopotów. Ani tobie, ani pani podkomisarz. Już zbyt wiele przeszliście. Powiedzcie mi, gdzie zwykle spacerujecie, a ja obiecuję się nie zbliżać.

Usiadłem obok i poklepałem go po ramieniu. Próbowałem wyrównać oddech.

– Dziękuję, Ignacio. I wybacz mi ten atak jak z meczu rugby.

Pokiwał głową, wciąż zdenerwowany.

– Niezła akcja, swoją drogą. Przez chwilę wydawało mi się, że znów jestem inspektorem, chociaż ja nigdy nie byłem ścigany.

Uśmiechnąłem się trochę spokojniejszy. Musiałem chwilę odpocząć, by moje tętno wróciło do normalności.

– Tęsknisz za tym? Tęsknisz za tamtym życiem, kiedy pracowałeś w Wydziale Kryminalnym? – odważyłem się zapytać.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Już nie muszę mieć codziennie do czynienia z przestępcami. A wcześniej przez lata stanowili część mojego życia. Teraz utrzymuję znajomości z normalnymi ludźmi, nienotowanymi, którzy nigdy nie wkroczą na drogę przestępczą. Nie ma przemocy, nie ma dramatów, tragicznych konsekwencji. Inspektorze, nie warto się łudzić, po jasnej stronie mocy życie jest łatwiejsze.

– Po stronie ślepców, chcesz powiedzieć – odparłem. – Łatwo patrzeć w drugą stronę i czekać, aż my zamkniemy ich za kratkami. Ale ktoś musi to wziąć na siebie. Jeśli wszyscy patrzylibyśmy w drugą stronę, osiągnęliby swój cel, nikt by ich nie powstrzymał. Nie wiem, czy potrafiłbym żyć po jasnej stronie mocy, jak to nazywasz, nie chodząc po ścianach.

– Ach tak, kompleks bohatera. To przesadne poczucie obowiązku. Też je miałem, drogo za nie zapłaciłem – westchnął ze smutkiem. – A najdrożej zapłacił za nie mój brat bliźniak. Zabrałem mu dwadzieścia lat życia, których nigdy nie odzyska.

Zerwałem źdźbło trawy.

W tym momencie zawibrowała w kieszeni moja komórka, spojrzałem na ekran. To był Peña. Może jakieś wieści o Estíbaliz.

Wstałem i podałem mu rękę.

– Ignacio, muszę odebrać telefon. Przepraszam za ten pościg, ale mógłbyś...?

– Nie martw się, nie będę się zbliżał do małej, kiedy będę w Laguardii.

– Dziękuję. Podkomisarz straciła właśnie matkę. Rozumiesz chyba...

– Rozumiem – wpadł mi w słowo.

Spojrzał mi w oczy, mocno uściśnął dłoń i odszedł w swoich drogich ciuchach poplamionych trawą.

Pobiegłem z powrotem do placu zabaw, na którym zostawiłem Albę, Debę i dziadka. Oddzwoniłem do Peñi.

– Jakież nowiny?

– Jeszcze nie, wciąż ją operują. Życiu Ramira Alvara nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Dobrze, zaraz jadę do Vitorii z panią podkomisarz. Znów zasiada za sterami. Dziś po południu zrobimy zebranie z technikami kryminalistyki.

– Właśnie, Milán próbowała ustalić, skąd wysłano tweeta o kronice. Powstał wczoraj, w centrum Vitorii. To telefon na kartę, ktoś go wyrzucił. Nie ma więcej tweetów. Nie sądzę, żeby autor znów się odezwał.

– Nie możemy ujawnić, że mogło chodzić o kradzież kroniki, bo ten wątek śledztwa skomplikuje nam się jeszcze bardziej. Najważniejsze teraz, żeby sędzia utajnił dochodzenie. I jeszcze jedno: wyślij kogoś, żeby śledził budynek numer dwa przy ulicy Dato. Daj mi znać, jeśli zobaczycie Ignacia Ortiza de Zárate. Chcę wiedzieć, w co był dziś ubrany, zróbcie zdjęcia.

## DĄB SPRAWIEDLIWOŚCI

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1192*

Myślałem, że przez ogień ją stracę, a to ogień przywiódł ją w moje ramiona.

Obudziły mnie krzyki, zasnąłem w balii i woda zupełnie ostygła. Alix już nie było, poczułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Zerwałem się jednym susem i owinięty niedźwiedzimi skórami Gunnarra znalazłem się przy oknie.

Nie były to okrzyki radości, lecz przerażenia.

Przywdziałem coś naprędce, zszedłem na ulicę i ruszyłem za tłumem. Za murami wiele milczących kobiet płakało wokół dębu sprawiedliwości.

Na jednej z gałęzi dyndało bezwładnie martwe ciało młodego proboszcza.

Namiestnik już przybył na plac sądowy. Czekano na drabinę. Siedmiu strażników z Nawarry, którzy stanowili załogę twierdzy San Vicente, otoczyło dąb kołem, broniąc dostępu sąsiadom. Wyciągali w ich stronę ostrza lanc. Czy było to konieczne?

Podeszli do mnie burmistrz, kat i namiestnik. Wszyscy czterej unieśliśmy głowy i spojrzeliśmy na stopy wisielca. Zmarł, mając erekcję, zsikał się i zrobił kupę. I to wszystko było wystawione na widok sąsiadów. Trudno było ocenić, czy zasłużył na ten ponury koniec, czy nie.

– Już nie sposób ukrywać tego, co stało się w nocy – powiedział namiestnik. – Nie odwołamy też mięsopestu, bo wszyscy są na ulicach.

– Weźcie waszych żołnierzy. Teraz – rozkazałem mu. – Wywieźcie na wozach całe wino z grodu Portal de la Armería, powiedzcie ludziom, że przez szacunek dla pamięci córek hrabiego Maestu nikt nie będzie dziś pił. Burmistrz, podpiszecie obwieszczenie, które wywiesimy na wrotach kościołów Najświętszej Marii Panny i Świętego Michała. Powiadomcie o tym, co się stało. Proboszcz nie należał do żadnego ze stronnictw i sam postanowił wymierzyć sobie karę. I, na Boga, niech ktoś wreszcie zdejmie go z drzewa, bo sam na nie wejść i przetnąć linę.

Kat wyjął sztylet z pochwy.

– Już niosą mi drabinę, nie będzie to konieczne. – Oparł się o dąb sprawiedliwości śledzony ciekawymi spojrzeniami.

Opuściłem plac i skierowałem swe kroki do domu Nagorna sąsiadującego z moim przy ulicy Astería. Zastałem go z pogrzebaczem w ręku, rozgrzebywał żar polan, które przez całą noc ogrzewały dom.

Nie odwrócił się, kiedy wszedłem, znał dźwięk moich kroków.

– Twoja to sprawka? – zapytałem.

– Wiesz, że nie.

Wstał obojętny, jakby już go znużyła cała ta sprawa.

– Mięsopest się nie skończył, a ja już znam wszystkie twoje maski. Nie zdradzę ich Onnece. Chyba jest w tobie zakochana albo coś w tym stylu. Póki jej brat nie wróci z Edessy, nie ma tu innej rodziny. Wolę, żeby mnie nienawidziła, ale dopóki będzie u twego boku, uczyni ją szczęśliwą.

Nagorno pokiwał głową niczym wąż, powolnie i apatycznie. Nagle coś przykuło jego uwagę.

– Skąd unosi się ten czarny dym? – zapytał ze zdziwieniem.

Wychyliłem się z okna.

– To kilka pożarów – krzyknąłem. – Na dwóch krańcach grodu. Chyba płonie targowisko przekupek sprzedających owoce i targ przy kościele Najświętszej Marii Panny. Czy to przez ciebie? Udało ci się podburzyć Mendozów?

– Przeceniasz moje zdolności. Jestem ci za to wdzięczny, ale obawiam się, że tym razem nastroje podgrzały się same.



– Może i tak. Zbierz więc sąsiadów, niech rozhuśtają dzwony obu kościołów, niech zabiorą beczki do studni Najświętszej Marii Panny i studni w Nowej Victorii, niech zejdą do Zapardiel i zajmą się targiem na podgrodziu.

Zbiegałem po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i popędziłem aż do końca ulicy Pescaderías. Moje najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, kiedy zobaczyłem płonący dach domu babci Lucii.

Podpalono materiały rozścielone na stoiskach przekupek pod jego fasadą, płomienie były wysokie, lizały już pierwsze piętro.

Podbiegłem do studni, wyjąłem kubek wody i wylałem na siebie. Urwałem sobie rękaw i zawiązałem materiał na szyi, zakrywając usta i nos.

Słoma na dachu zmieniła się w słup czarnego dymu. Niektórzy z sąsiadów patrzyli w ogień jak mysz patrzy na węża. Inni biegali w kółko, wydawali jakieś bezsensowne polecenia, kłócili się, żony ciągnęły ich za rękaw, żeby zapobiec bójkom, nieliczni podawali sobie kubły wody, żeby ugasić stoiska targowe.

Drzwi domu babci Lucii były otwarte. Nabrałem głęboko powietrza i wpadłem do środka, kierując się od razu na górę.

Dym szczypał mnie w oczy, musiałem wchodzić po schodach na czworaka. Dotarłem do kuchni, siennik jej łoża już płonął i biło od niego tak niewyobrażalne ciepło, że przechodząc obok, poczułem, że mam poparzone policzki.

– Babciu, odezwij się, gdzie jesteś?

– Tutaj. – Głos, który usłyszałem, należał do Alix.

To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach: Alix próbowała wytaszczyć na zewnątrz bezwładne ciało babci, ale zapłonęły jej spódnica i trójganiasty czepek. Wyglądała jak żywa pochodnia. Dopadłem do niej, zerwałem czepek, a potem przytuliłem ją, gasząc mokrym ubraniem spódnice.

Krztusząc się, zeszliśmy po schodach, czuliśmy, że drewno nie wytrzyma długo pod naporem płomieni. Szedłem po omacku, dźwigając babcię, która się nie ruszała, i miałem wrażenie, że mój wysiłek pójdzie na marne. Nie zdołałem ocalić nic prócz ciała, by zapewnić mu godny

pochówek, że w tym orzeszku, pomarszczonym i osmalonym, nie zostało ani trochę życia. Potknąłem się i stoczyłem po stopniach, starałem się jak mogłem chronić jej stare kości, podczas gdy dom zmieniał się w wulkan morderczego gorąca.

Alix szarpnęła mnie za ramię. Najpierw wyniosła babcię, zostawiła na ulicy i wróciła po mnie.

Ale moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Brakowało mi powietrza, każdy oddech bolał od pyłu, który dostał mi się do płuc, czułem, jakbym płonął od środka. Ktoś wylał na mnie kubek wody, co przyniosło ulgę moim szczypiącym oczom i poparzonej krtani.

Alix poczuła, że nie poradzi sobie z moim ciężarem, i jakby się poddała. Usiadła przy mnie w sieni i objęła jak niemowlę. Otoczeni przez płomienie patrzyliśmy na siebie, czekając, aż spalone belki runą na nas i wszystko się skończy.

Tak się jednak nie stało. Z płomieni wyłonił się Nagorno, szybko wywlókł mnie na zewnątrz, mimo że zawsze był niższy i skromniejszej postury. Potem wrócił po Alix, przewiesił ją sobie przez ramię i wyniósł na ulicę. To Munio, jej sowa, ostrzegła go, że pani znajduje się w płonącym domu.

Sąsiedzi polali nas wodą, ułożyli na wozie, żeby zabrać nas z dala od pożaru.

– Co z babcią Lucią? – zdołałem wydusić.

– Jest poparzona, ma spalone włosy, ale cyrulik mówi, że przeżyje.

Zakasłałem i roześmiałem się ze szczęścia. Potem leżałem spokojnie na wozie, który terkotał na bruku ulicy Pescaderías, i pozwoliłem, by zatroszczono się o moje poparzone ciało.

Obok mnie leżała Alix. Nie miałem siły, żeby usiąść, nawet tyle, by odwrócić głowę i sprawdzić, czy jest cała. Ale wyciągnąłem ku niej rękę, kiedy tak jechaliśmy wpatrzeni w niebo, które stawało się szare, choć jeszcze przed chwilą było czerwone, i ścisnąłem jej dłoń. Odpowiedziała jeszcze mocniejszym uściskiem.

Trzy noce później, kiedy przestałem wreszcie kaszleć i nie bolał mnie już każdy oddech, oczy nie łzawiły na widok skrzenia świec, a gałganki nasączone rumiankiem złagodziły zaczerwienienie, stawilem się w kuźni Alix.

Ulice były ciemne i wyludnione, brakowało trzech godzin, by zapiał kogut, gdzieś po drodze pochodnie na ścianach rzucały swój blask na bruk.

Miała na sobie nowy czepek, wytrwale wykuwała na kowadle podkowę, świetlistość ognia, który buzował w piecu, tym razem wydała mi się raczej ciepła niż groźna.

– Jak się miewa babcia Lucía? – zapytałem, wchodząc.

– Jest bardzo smutna, bo z domu, w którym przemieszkała tyle czasu, zostały cztery czerniałe belki na krzyż.

– Zapłaciłem majstrowi, który zebrał już ekipę. Odbudują go. Będzie identyczny jak ten wcześniej. Mogę ją zobaczyć?

– Śpi, a ty nie przyszedłeś jej zobaczyć.

I przestała stukać młotkiem. Zbliżyłem się do niej. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, całą twarz miała w sadzy.

– Czym dziś pachnę? – zapytałem, kiedy zauważyłem, że zaczęła mnie obwąchiwać.

– Podjętą decyzją – powiedziała bardzo powoli. – Zamknij okiennice.

Usłuchałem, a kiedy się odwróciłem, zdążyła już pozbyć się czepca.

– Rozmawialiśmy przecież o tym. – Patrzyła mi prosto w oczy, zdejmując fartuch i opierając się o ścianę. – Mówiliśmy, że to zły pomysł.

– Trudno. Obiecuję ci coś. Nie umrę. – Położyłem jej ręce na ramionach.

– Chcę, żebyś w to wierzyła, była tego pewna. Nie będziesz musiała wyprawiać mi pogrzebu, nikt nie zarzuci ci, że zabiłaś czterech mężów. Przekonałaś się już, że trudno mnie powalić.

– Otaczają cię nieprzyjaciele.

– Każdy przywódca, każdy senior musi iść przez życie, walcząc o swoje. Mam w tym wprawę, Alix. Od młodych lat walczę, a mój brat próbuje podważyć każde moje zwycięstwo, wiem o tym. Nie widzisz na mnie zbroi, ale mam ją i nigdy się z nią nie rozstaję.

– Przy mnie możesz ją zdjąć, nie zamierzam cię zranić.

Pokiwałem głową. Ufałem jej.

I wtedy spojrzałem na jej nadgarstek. Miała na nim czerwoną bransoletkę, taką samą, jaką uplotła dla mnie babcia Lucía.

– Chyba babcia Lucía dała nam swoje błogosławieństwo – wyszeptałem, pokazując jej swoją bransoletkę, która cudem przetrwała pożar.

– Widziałam i czekałam, aż ty zauważysz – odparła.

– Więc zgadzasz się? – powiedziałem i ukląknę przed nią.

– Zgadzam się.

Uniosłem jej spódnicę i zacząłem przemierzać drogę między kostkami a udami.

– Na to też się zgadzasz? – zapytałem.

– O mój Boże! – zdusiła jęk. – Nie mów nic, rób dalej to, co robiłeś.

– Ale zgadzasz się?

– Tak, zgadzam się. Zgadzam się na wszystko, Diago.

## DROGA WŚRÓD SOSEN

## UNAI

*Październik 2019*

Pobiegłem w kierunku huštawek. Mojej rodziny już tam nie było. Alba zamknęła drzwi do hotelu.

– Gdzie Deba? – zapytałem zdenerwowany.

– Z dziadkiem, są zamknięci w środku. Kazałam jej przyrzec, że jeśli zobaczy tego przystojnego blondaska, ma natychmiast głośno krzyknąć. Zatrzymałeś Tasia?

– To był Ignacio, sprawdziłem dokumenty. Nie miał pojęcia, że rozmawiałem z Tasiem i zabroniłem mu zbliżyć się do Deby. Ignacio ma willę w Laguardii, zapomniałem o tym. Chyba gdzieś na obrzeżach, przy drodze do La Hoya. Rzadko tu zagląda. On nie chce robić nam problemów, nigdy nie zamierzał ustalać, kto jest ojcem Deby. Obiecał, że jeśli was spotka, nie będzie się zbliżał.

– Czyli nie możemy złożyć doniesienia. Ani prosić o zakaz zbliżania się dla Tasia. Jeśli to był Ignacio, nie mamy podstaw, żeby zwracać się do sędziego. On nigdy nie mieszał się do tej sprawy.

– No właśnie – przytaknąłem.

– Co teraz zrobimy? – zapytała.

Zdziwiła mnie ta liczba mnoga, od dawna tak nie mówiła.

– Wracamy do Vitorii. Nie możemy zostawiać Deby bez opieki. Dziadek, Germán, ty i ja zadbamy o jej bezpieczeństwo. Ale Estíbaliz jest

teraz na stole operacyjnym i chcę być na miejscu, kiedy się obudzi. Jeśli się obudzi. Ona czuwała przy mnie, gdy byłem w śpiączce.

– Doskonale to pamiętam. Potrzebujecie nas i nie możemy jej zawieść. – Spojrzała na potężne drewniane belki na suficie, jakby się żegnała. – Już zaczynałam lubić to moje nowe życie – westchnęła.

Wiem, pomyślałem.

Wszedłem do pokoju i zastałem Debę i dziadka na czesaniu pluszowego dzika, ulubionej maskotki małej, którą dziadek podarował jej z okazji pierwszego ząbka. W zamglonych oczach staruszka widziałem porażkę i nie spodobało mi się to. Wiedziałem, o co chodzi: czuł się winny, że nie zauważył zbliżającego się Ignacia.

– To był lis, prawda? – zapytał.

– To był bliźniak lisa, dziadku. Nie miał złych zamiarów. Najedliśmy się strachu bez powodu.

– No tak... Już nigdy nie spuszczę z niej oka, syneczku – mruknął i spuścił głowę.

Pół godziny później jechaliśmy drogą wśród sosen. Prowadziłem powoli, wszyscy byliśmy zdenerwowani. Zwykle starałem się przemierzać ten odcinek jak najszybciej – tu na jednej z wysokich sosen na prawym poboczu straciłem rodzinę.

Od tamtego odległego już dnia ktoś o wielkim sercu kładł pod sosną kwiaty. I nie byłem to ja, nie potrafiłem zatrzymać się przy tej drodze, to było dla mnie zbyt trudne. Z początku nie spoglądałem tam, zmuszałem się, żeby nie patrzeć, naciskałem pedał gazu i wbijałem wzrok w szosę przed sobą. Powoli ból po tamtej traumie malał i zacząłem zauważać kwiaty. Czasem były to dalekie, niekiedy tulipany, czasami inne kwiaty dobrze znoszące surowy klimat górskiej części Álavy. Co ciekawe, zawsze były to gatunki, których nasiona dziadek kupował na targu, żeby hodować je w swoim ogrodzie.

Nigdy go nie zapytałem. Nie spieszyło mi się, żeby rozwikłać tę zagadkę.

Tego dnia, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy, zwolniłem. Wiozłem swoją żonę, córeczkę, dziadka. To było instynktowne: strach przed ich utratą.

I zacząłem się zastanawiać, czy raz po raz nie rozbijam ich o drzewo, upierając się, żeby być strażnikiem miasta.

W końcu dotarliśmy do szpitala. W progu budynku ścisnąłem mocno rączkę Deby.

„Chodź od razu na trzecie piętro”, napisał mi w SMS-ie Peña.

Wszyscy troje wjechaliśmy tam z duszą na ramieniu.

Na korytarzu czekali na nas Peña, Milán i Germán.

– Lekarze mówią, że ona jest z gumy. Nie ma uszkodzonych nerek, mózg też cały. Tylko złamania. Kołnierz Schantza, ręka totalnie strzaskana. Czeka ją rehabilitacja i odpoczynek. Straciliśmy osobę, która najlepiej strzela w naszej komendzie, tylko tymczasowo, inspektor Ruiz de Gauna wyliże się z tego – oświadczył Peña triumfalnie.

– Możemy wejść? – przerwałem mu niecierpliwie.

Miałem na rękach Debę, która wciąż dopytywała się o ciocię.

– Dopiero przed chwilą przewieźli ją z intensywnej terapii. Pewnie jest trochę skołowana po narkozie. Technicy kryminalistyki chcą z tobą rozmawiać.

– Później, Peña, będzie na to czas. Nie teraz.

Wszedłem do środka, nie pytając o pozwolenie ani nie pukając. Zamarłem, kiedy zobaczyłem ją w kołnierzu ortopedycznym, ze skomplikowanymi opatrunkami na prawej ręce, podłączoną do kroplówek, z których powoli ściekały środki przeciwbólowe.

– Ciociu Eíti! Telas jesteś mumią?

Estíbaliz z trudem zdołała się uśmiechnąć do mojej córki. Spojrzała na mnie, dostrzegłem w jej oczach zupełnie nowy wyraz. Jak u żołnierza, który wraca z pola bitwy całkowicie odmieniony.

Spróbowałaś się ze śmiercią, pomyślałem. Zajrzała ci w oczy, ale wróciłaś z tunelu.

– Dzwoniłam do ciebie. Alvar poszedł do kuchni, nie wracał, usłyszałam hałasy – wyszeptala, mówienie sprawiało jej problem.

Miała suche usta i zdrętwiały język.

– Tak, Esti, wiem. Dzisiaj o tym nie rozmawiajmy. Przyszła tu cała rodzina. Są na korytarzu, umierają ze strachu o ciebie. Nie rób nam tego więcej.

– Nie mam rodziny, Unai. Mój ojciec nawet by nie zrozumiał, gdybyście w Txagorritxu powiadomili go o wypadku. Już nie mam rodziny.

– Oczywiście, że masz – uciszyłem ją.

Mówiła same głupstwa.

Ostrożnie posadziłem Debę obok niej od strony zdrowej ręki i położyłem się przy niej na łóżku.

– Widzisz, że masz rodzinę? – szepnąłem do niej. – I to dość liczną.

Przyłożyłem czoło do jej czoła jak Maorys.

– Ciociu, zobać, cierwona nitka. Teś ci dam taką – wtrąciła Deba, pokazując dumnie nitkę na swoim nadgarstku.

– A ja dam ci *eguzkimore*, będzie cię chronić, żebyś nie spadała ze schodów jak ciotka – powiedziała, głaszcząc niesforne loki małej.

Nie widziałem Alby, która przyglądała się całej scenie, stojąc w drzwiach.

– Mamusiu! Juś wiem, kim będę, jak dolosnę! – zakrzyknęła Deba na jej widok.

– Lekarką?

– Nie, będę miała szpital. I łózecka.

Uśmiechnąłem się i wstałem. Deba zaczęła podskakiwać na materacu, jakby chciała pokazać mamie jego cudowne właściwości. W mgnieniu oka złapałem ją i odciągnąłem od kabli kroplówki.

– Albo, musimy porozmawiać – powiedziała Estíbaliz.

– Wiem, Esti. Ale na razie pozwól o sobie zadbać.

– Spieprzyłam sprawę, co?

Alba podeszła do łóżka, wiedziałem, że wspomnienie matki w sali tego samego szpitala było w niej wciąż zbyt żywe, ale uśmiechnęła się z wysiłkiem.



– Zawodowo będzie miało to swoje konsekwencje, owszem. Komisarz chce wykluczyć cię ze śledztwa.

– A co z Alvarem? Zauważyłam, że leży pod schodami, zaczęłam z nich zbiegać, było ciemno, światło sączyło się tylko z okien na górze.

– I co?

– Ktoś zaczął się w ciemnym kącie. Podstawił mi nogę, przewróciłam się, próbowałam się bronić, pochylił się nade mną, chwytając za uda i kark. Podniósł mnie i zrzucił.

Jest silny, zanotował mój mózg profilera.

– Naprawdę widziałaś Alvara na podłodze, patrząc ze szczytu schodów?  
– przycisnęła Alba.

– Miał białą koszulę nocną, widać go było wyraźnie, nawet w ciemnościach. Myślisz, że chcę go kryć? – broniła się Esti.

– Jeszcze nic nie myślę. Nie czytałam żadnego raportu.

W ataku złości Esti próbowała się podnieść, ale lewy łokieć nie wystarczył i sfrustrowana upadła na poduszkę.

– Ciociu, co ci jest? – krzyknęła przestraszona Deba.

– To nie jest dobry moment, żeby rozmawiać o pracy – stwierdziła Alba pojednawczo. – Jesteśmy tu po to, żeby cię wspierać i powiedzieć, że cokolwiek się zdarzyło, zawsze stoimy po twojej stronie, wszystko jedno, czy popełniłaś błąd, czy nie. Ale żadne z naszej trójki nie potrafi oddzielić życia prywatnego od zawodowego. Bardzo mi przykro, że to cię spotkało. Odpoczywaj, wracaj do zdrowia i pogódź się z tym, co się stało. My z Unaiem już musimy iść, kilka osób czeka na korytarzu, żeby cię zobaczyć. Naprawdę bardzo cię kochamy.

Usiadła przy niej na łóżku i czule objęła. Pomyślałem, że nic tu po mnie, zabrałem Debę, która wcale nie chciała wychodzić, i zostawiłem je same.

Kiedy wyszedłem, Peña, dziadek, Germán i Milán stłoczyli się wokół mnie.

– Jak się czuje? – pytali jedno przez drugie.

– To prawda: ona jest z gumy.

## SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA

## UNAI

*Październik 2019*

Dni mijały szybciej, niż się tego spodziewałem. Ramiro Alvar obudził się tego ranka, nie mogliśmy jeszcze go przesłuchać. Regularne wizyty u Estíbaliz, przed pracą i po południu, wyznaczały rytm całej rodziny.

Alba znów miała wiele obowiązków w komendzie, ale była w nieustannym kontakcie z personelem hotelu w Laguardii. Wiedziałem, że się nie podda, nie odpuści tak łatwo tej ośmiokątnej wieży stojącej na brzegu morza winnic.

W Vitorii mieliśmy na razie pilniejsze zadania.

Alba weszła do mojego gabinetu z poważną miną. Wiedziałem, że przynosi złe wieści. Wyjrzałem przez okno. Było zimno, wiał nieprzyjemny wschodni wiatr. Nie wiem, czy w powietrzu wisiała burza, dziadek umiał czytać niebo o wiele lepiej niż ja.

– Stan Estíbaliz jest już na tyle dobry, że powinniśmy ją przesłuchać. Musimy się dowiedzieć, co zaszło w dniu wypadku. Chcesz sam to zrobić?  
– Alba próbowała mnie wy badać.

– Tak, pozwól mi z nią porozmawiać. Będzie mnie za to nienawidzić. Ale nawet między sobą musimy grać te role. Dziś przyszła pora, żebym to ja był złym policjantem.

– Jak chcesz. Daj znać, kiedy skończysz, chcę do niej potem zadzwonić  
– powiedziała na odchodnym.

– Będzie tego potrzebować – zgodziłem się.

Zostałem sam. Zadzwoiłem do Milán.

– Muszę się dowiedzieć, czy Ramiro Alvar Nograro ubezpieczył wieżę. Jeśli tak, to na jaką kwotę.

Wszedłem do sali Estíbaliz. Przez ostatnie kilka dni jej stan bardzo się poprawił i nie mogła wysiedzieć w łóżku. Łaziła po sali tam i z powrotem, popychając stojak z kroplówką, czasem aż przyprawiała mnie o zawroty głowy.

– Masz dziś nietęgą minę – zauważyła na dzień dobry.

– Trzeba wracać do rzeczywistości, Estíbaliz.

– To brzmi fatalnie.

Stałem przy stoliku, na którym leżała taca z resztkami kurczaka i ryżu na mleku.

– Musimy cię przesłuchać na okoliczność wypadku. Mamy być może do czynienia z włamaniem, rozbojem i kradzieżą. Znasz procedury.

– Naprawdę sądzisz, że on sam się okradł? – Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie wiemy jeszcze, czy włamanie i ewentualne zniknięcie kroniki są powiązane. Ramiro Alvar obudził się dziś rano, jeszcze nie zdążyliśmy z nim porozmawiać. Ale to nie jest wykluczone, Estíbaliz, być może w ten sposób chciał odsunąć od siebie podejrzania.

– Uważasz, że pójście ze mną do łóżka to była pułapka? – zapytała, podnosząc głos.

Mnie też zaczęła wkurzać jej ślepotą, zdenerwowałem się.

– Naprawdę tak ci na nim zależy? Nie czujesz się zagrożona po tym, co się stało?

– Alvara można opisać wieloma przymiotnikami, ale nie należy do nich słowo „groźny”. I wiem, o czym mówię, Kraken. Wychowałam się w jednym domu z osobą, która wyładowywała na mnie swoją złość, a potrafiła doskonale się maskować wśród obcych. Umiem dostrzec takie rzeczy. Alvar nie stosuje przemocy. To nie jest nasz zabójca.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Skonsultowałem przypadek Ramira Alvara z doktor Mariną Leivą, psychiatrą, która uczyła mnie w Arkaute. Nie wiedziałem, jak mam interpretować jego amnezję, z początku przypisywałem ją agorafobii. Ale teraz zarówno ona, jak i ja jesteśmy przekonani, że cierpi na DID, dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Sam to przyznał w przeddzień waszego wypadku, chociaż przez całe życie nie zdecydował się pójść do psychiatry i zacząć terapię. Napisał własną wersję kroniki, traktował to jako pisanie terapeutyczne, żeby wyeliminować swoje alter ego. Twierdzi, że to działało przez ponad rok, ale jego druga osobowość powróciła, kiedy cię poznał. Alvar Nograro, dwudziesty czwarty pan wieży Nograro, to alter ego, zaburzona osobowość osoby chorej psychicznie. Nie przeraża cię to?

– Na razie ta cała osobowość dysocjacyjna to tylko teoria. Według mnie niepotwierdzona. Ja znam tylko Alvara, którego znam. Nie masz diagnozy, nie masz nic.

Jak miałem jej wytłumaczyć? Jak sprawić, żeby przejrzała na oczy?

Usiadłem na łóżku. Byłoby doskonale, gdyby przy narodzinach bogowie obdarzyli mnie darem cierpliwości. Tak się jednak nie stało. Miałem dość.

– Estíbaliz – powiedziałem w końcu – chyba cierpisz na hybristofilię.

– Czyli podobają mi się przestępcy? Co ty wygadujesz?

– To częste wśród ludzi, którzy się wychowują w takim środowisku. Twój ojciec był przemocowym alkoholikiem. Brat handlował narkotykami. Ty wybrałaś pracę w wydziale zabójstw, masz z nimi do czynienia z wyboru. Być może wywołują w tobie nieodpowiednie emocje.

– I kto to mówi? Osoba czująca empatię do wszystkich seryjnych zabójców, których szuka? – krzyknęła.

Cios poniżej pasa. Próbowałem zachować resztki spokoju.

– To moja praca, muszę wniknąć w ich umysły, wiedzieć, jak myślą – powiedziałem powoli i stanowczo, jakbym próbował przekonać samego siebie. – Każdy z nich jest inny, chociaż staramy się ich klasyfikować. To unikaty. A muszę zdobywać ich zaufanie, żeby się przyznali do swoich win, to jedyny sposób.

– Powiedz mi, Kraken, jeśli ja cierpię na hybristofilię, to co powiedzieć o tobie? – wrzasnęła. – Jak nazywa się osoba, która otacza się kobietami chorymi na hybristofilię jak Alba i jak ja? Jest jakieś określenie na takiego kogoś? Cholerneho ćpuna uzależnionego od popsutych umysłów?

Nie zauważyłem, w którym momencie do pokoju weszła Alba. Była wściekła.

– Dosyć tego! Słyszać was na całym korytarzu.

– Nie miałaś przyjechać później? – rzuciłem z pretensją w głosie.

– Nie może tak dalej być, wszystko wymyka wam się z rąk. Jak zwykle. Obojgu.

– Jak zwykle? – Odwróciłem się do niej równie wściekły jak Estíbaliz. –

Coś ci się nie podoba? Mamy najlepszy współczynnik wykrywalności w całym kraju. Spójrz w archiwa: ani jednej nierozwiązanej sprawy, odkąd jesteśmy partnerami.

– Ale jakim kosztem, Unai? Wszyscy troje straciliśmy kontrolę nad naszym życiem i doskonale o tym wiesz.

Próbowałem spokojnie oddychać, czułem, że otaczają mnie najczarniejsze chmury.

– Tak, pani podkomisarz. Wszystko wymknęło się spod kontroli, ale na końcu korytarza mamy pod strażą cierpiącego na DID podejrzanego, który odmawia terapii u psychiatry i którego nie możemy do niej zmusić. I ten podejrzany ufa tylko mnie i ze mną porozmawia. I przysięgam, szefowo, to on jest kluczem do wszystkiego, co się dzieje. Więc jeśli nie wyłączysz mnie ze śledztwa, wykonam swoją pracę i porozmawiam z kochankiem twojej podwładnej.

Wstałem gotowy do odejścia.

– Pozwól mi go zobaczyć – poprosiła nagle Estíbaliz.

– Kompletnie zwariowałaś czy masz syndrom sztokholmski? – Nie mogłem uwierzyć, że o to prosi.

– Powiedziałaś, że pilnują go strażnicy. Alba i ty pójdziecie ze mną. Nawet jeśli to potwór, którego szukamy, co może mi zrobić?

– Nic, jest podłączony do kroplówek i ma nogę na wyciągu – przyznałem.

– Więc pokaż mi wreszcie tego faceta, którego rzekomo poznałeś i który jest tak różny od Alvara. Chcę stanąć z nim twarzą w twarz, skoro ten gość przespał się ze mną, a potem zrobił to, co zrobił. I nie mam żadnego syndromu sztokholmskiego! Nie wyzywaj mnie i nie zarzucaj tego, co nie jest prawdą.

Spojrzeliliśmy po sobie z Albą.

„Nie ryzykujemy wiele”, powiedziałem jej bez słów.

„Ustępuję wam ostatni raz”, odpowiedziało mi jej spojrzenie.

– Chodź na zewnątrz, Unai. Musimy pomówić.

Posłuchałem, wyszliśmy na korytarz.

– Dobrze byłoby skonfrontować Estíbaliz z Ramirem Alvarem, pomogłoby mi bardzo, gdybym mógł zaobserwować jego reakcję. I na razie nie zapytamy go o kradzież kroniki. Chcę zobaczyć, czy sam poruszy ten temat – szepnąłem, kiedy odeszliśmy na stronę.

– Dobrze – odparła cicho, zastanowiwszy się chwilę. – Musimy ruszyć ze śledztwem i jeśli to jedyny sposób... Ale bezpieczeństwo Estíbaliz jest dla mnie najważniejsze.

– Nie musisz mi nawet tego mówić.

Esti włożyła na koszulę nocną szlafrok w motyle, który kupił jej dziadek, i ruszyła pod naszą eskortą.

Alba porozmawiała z dwoma policjantami, którzy pilnowali wejścia.

Uchyliłem drzwi, ale Estíbaliz ze swoim stojakiem na kroplówkę, kołnierzem ortopedycznym i ręką na temblaku mnie wyprzedziła. Bez wątplenia jednak spotkanie kochanków przebiegło zupełnie inaczej, niż sobie wymarzyła.

– Alvar – wyjąkała tylko, bardzo poruszona.

Ramiro Alvar wyglądał znacznie gorzej niż ona, po upadku jakby zmałał i się skurczył. Ukrywał się za swoimi odzyskanymi okularami i jedną z książek, których stos piętrzył się na stoliku.

Kwestia okularów była dla mnie bardzo ważna, dlatego poprosiłem techników kryminalistyki, żeby odszukali je podczas wizji lokalnej. Znaleźli je w końcu w komodzie. Wniosek był jasny: to Alvar przespał się z Estíbaliz i to Alvar spadł ze schodów.

– Pani to pewnie inspektor Ruiz de Gauna. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach. Nawet nie mogę się z panią przywitać jak należy – odezwał się Ramiro Alvar.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz? – zapytała, podchodząc bliżej.

Alba też zrobiła kilka kroków do przodu, żeby ją ubezpieczać.

– Obawiam się, że nie – powiedział Ramiro przepraszającym tonem.

– Masz zupełnie inny głos – zauważyła Estíbaliz.

– Słucham?

– Mówisz tak cicho.

– Nie lubię zwracać na siebie uwagi. – Spuścił wzrok na książkę.

– A temperatura w szpitalu ci nie przeszkadza? W wieży zawsze otwierasz okna, nie chcesz, żebym trochę tu przewietrzyła?

– Nie! – wykrzyknął Ramiro Alvar z przerażeniem. – Naprawdę, dziękuję. Jestem zmarzluchem, a zaraz rozszałeje się jakaś nawałnica.

Spojrzenie Estíbaliz złamało mi serce. Podeszła do pacjenta jeszcze bliżej i wyciągnęła lewą rękę. Palcem wskazującym pogładziła go po ramieniu spoczywającym na prześcieradle. Bardzo powoli. Był to gest tak intymny, że patrzenie na niego wydawało mi się nieprzyzwoite.

On skulił się, jakby poczuł na sobie parzący palec Boga.

– Alvarze, czy to gra? Chcesz, żeby inspektor i pani podkomisarz wyszli? Chcesz zostać ze mną sam na sam?

– Nie! Proszę się nie obrażać, pani inspektor. Nie chodzi o to, że nie życzę sobie pani obecności, ale inspektor López de Ayala... On mnie rozumie, jest jedyną osobą, której zwierzyłem się ze swojej choroby. Może pani nie wierzyć, że cierpię na dysocjacyjne zaburzenie osobowości, ale to niestety prawda. Alvar to moje alter ego, osobowość, którą próbowałem wymazać na tysiąc różnych sposobów.

– Nie zaczynaj i ty tej samej śpiewki! – krzyknęła.

Nieśmiały Ramiro Alvar wytrzymał jej spojrzenie, a ona na próżno starała się znaleźć w jego oczach znajome cechy.

– Pani inspektor, to chyba pani obecność go aktywuje – powiedział w końcu.

– I czemu go tu teraz nie ma? Czemu mam przed sobą nudnego kujona, a nie najbardziej fascynującego faceta, jakiego poznałam w życiu? – mówiła wciąż podniesionym głosem.

– Esti, błagam, nie krzycz, nie chcemy skandalu na cały szpital, prawda? – wtrąciła Alba.

– Czy to jest pułapka, do jasnej cholery? Jedna z twoich psychologicznych gier, Kraken?

Otworzyłem drzwi i wzrokiem poprosiłem, żebyśmy opuścili salę. Szliśmy wściekli korytarzem, a pielęgniarki udawały, że nas nie widzą. Wróciliśmy do sali Estíbaliz.

– Nie, Esti, to, co widziałaś, jest prawdą. Zakochałaś się w kimś, kto istnieje tylko od czasu do czasu, a ja osobiście zrobię, co w mojej mocy, żeby Ramiro Alvar się wyleczył i wyeliminował swoje alter ego. Więc dni osoby, w której się zakochałaś, są policzone, o ile w ogóle wróci. Bo teraz zaprowadziłem cię do niego i Alvar się nie pojawił. Być może kolejna trauma, to znaczy upadek ze schodów, zachwiała równowagę w mózgu gościa, którego przed chwilą widziałaś. To pacjent psychiatryczny. A do tego przypominam, że mamy po jednym dowodzie na związek każdego przestępstwa z domem w wieży.

Esti odwróciła się do mnie plecami, stanęła przy oknie zapatrzona w burzę. Grzmoty, pioruny i cały ten spektakl na niebie. Lało jak z cebra, deszcz walił ukośnie w szybę.

– Jakie szczęście, prawda? Po jednym dowodzie na każdą zbrodnię? Sądzisz, że nie zastanawiałam się nad wszystkimi wątkami śledztwa? Że nie czytałam tej cholerycznej powieści? Znam ją prawie na pamięć!

Grymas bólu przebiegł jej po twarzy. Najwyraźniej przeszkadzał jej kołnierz. A może coś więcej.

– A teraz zostaw mnie w spokoju. Na kilka godzin, najlepiej na kilka dni. Muszę przyjąć do wiadomości to, co zobaczyłam w tamtej sali –



poprosiła.

– Nie zakochujemy się w łatwych osobach i nie towarzyszą temu łatwe sytuacje. Ty i ja zakochujemy się w skomplikowanych ludziach w bardzo trudnych sytuacjach – odpowiedziałem.

Zamierzałem wyjść i dziś jej więcej nie dręczyć.

– Wcześniej tak nie było. Paula, Iker... byli normalni. Mieli zwyczajne życie. I kochaliśmy ich.

– Być może nasz zawód wymaga od nas zbyt wielkich poświęceń. Pomyśl tylko, kto otacza nas na co dzień, Estibaliz. Praca zmusza nas do przesłuchiwania, do kontaktów z ludźmi, którzy mają jakiś związek z przestępstwem. Jak cała ta trucizna ma się nie wsączyć do naszego życia codziennego? Co wieczór przynosimy do domu nienawiść, nieprzepracowane traumy. Jak nie dopuścić do tego, by miały wpływ na nas i nasze życie?

– Każdy ma swoje traumy – przypomniała. – Każdy ma swoje codzienne napięcia. Gdybyśmy nie pracowali w Wydziale Kryminalnym, też bylibyśmy na nie narażeni. Nawet jeśli odejdiesz z policji, nie otoczy cię ocean spokoju.

– Mówię tylko, że w niektórych krajach nie toczy się wojna – mruknąłem, obserwując mokre ulice za oknem.

Esti zlustrowała mnie od stóp do głów baczным spojrzeniem, jakby od dawna mnie nie widziała.

– Przez te wszystkie lata, które przepracowaliśmy razem, nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówił.

– A ja nigdy wcześniej nie widziałem cię tak zrozpaczonej i tak połamanej. To mnie przytłoczyło. Bałem się o twoje życie, Esti – powiedziałem smutno. – To ty zawsze mnie ratujesz. Nie mieści mi się w głowie, że mogłoby cię zabraknąć. Poza tym wydaje mi się, że ciebie i mnie nie łączy już taka więź jak dawniej. Czuję się kulawy. A teraz muszę prowadzić śledztwo bez ciebie. Nie powiem, boję się.

– Jesteś przerażony.

– Tak – przyznałem.

Estíbaliz usiadła na krawędzi łóżka, ja obok niej, i położyłem głowę na jej kolanach. Nic już nie powiedziała, głaskała mnie tylko po włosach, skrupulatnie omijając bliznę.

## YENNEGO

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

Siedem lat mija w mgnieniu oka, kiedy mężczyzna budzi się co rano i pierwszym, co widzi, są oblicza własnego syna i uśmiechniętej żony.

I tak właśnie upłynęło siedem lat mojego życia, najszcześniejszych, jakie pamiętam.

Czy powinienem był usłuchać niemego ostrzeżenia południowego wiatru – strasznego *hegoaizea*, wiatru szaleńców, który obudził nas tego przeklętego poranka, otwierając okiennice?

Alix wsunęła głowę pod kołdrę, uciekając od blasku. Uwielbiałem czesać jej włosy, kiedy znaleźliśmy się w domu i mogła wreszcie zdjąć znienawidzony czepek z czterema rogami.

– Gdzie Yennego? – zapytała sennym głosem.

– Wuj Nagorno przyjechał po niego o świcie. Zabrał go na przejażdżkę.  
– Spojrzałem kątem oka na otwarte okno. – Pewnie zdążyli już wrócić.

Ubraliśmy się i poszliśmy do Bramy Północnej. Nagorno zsiadał z Altaia, a Yennego dzierżył wodze pięknego rumaka.

– Ojczcze! – zakrzyknął na mój widok. – Zobacz, co podarował mi wujek! Wielkiego konia, specjalnie dla mnie.

Yennego przeżył już sześć wiosen, jego pojawienie się spowodowało ocieplenie stosunków między mną a bratem. Nagorno uwielbiał bratanka, rozpieszczał go, uczył dosiadać konia i szlifować klejnoty, traktował go jak własnego dziedzica.

Objąłem syna, miał czarne włosy jak ja, ale pachniał świeżym ciastem jak matka. Urodził się bez problemów i zapłakał głośno, ale kiedy miał dwa lata, nieszczęście zagościło na ulicy Astería i przez jakiś czas noga mu nie rosła.

Mimo wszystko nauczył się chodzić, puszczał mimo uszu kpiny ze swojego utykania, czasami rzucał kamieniami, żeby się obronić, ale wolał spędzać czas na końskim grzbiecie, bo wtedy nikt się z niego nie naśmiewał. Uwolnił się z moich ramion i skrzywił z bólu, co nie uszło mojej uwagi.

– To ten ząb, syneczku?

– Rusza się i boli, tatusiu. Babcia Lucía podarowała mi amulet z zębem jeża, ale wciąż mnie boli.

I pokazał mi zaplecioną czerwoną nitkę, taką samą, jaką babcia dała mnie i Alix przed naszymi zaślubinami. To była jedyna rzecz, której nie zdejmowaliśmy nawet w łóżku ani kiedy rozmawialiśmy w zimowe noce w naszej balii.

– Może powinieneś okrążyć trzy razy kościół Świętego Michała – powiedział jakiś głos za moimi plecami.

Onneca podeszła do nas zatroskana i poważna. Lata mijały, a ona stawała się coraz posepniejsza, czekając nieustannie – i bezowocnie – na potomka. Jej brat, wracając z krucjaty, wpadł w zasadzkę i uznano go za zaginionego, a ją dręczyła myśl, że ród Maestu wygaśnie. Nigdy nie była zbyt czuła dla Yennega, a ja tego po niej nie oczekiwałem. Ograniczałem się do kurtuazyjnych powitań, kiedy widywaliśmy się na ulicach grodu. Nic poza tym.

Alix natomiast nigdy nie traciła nadziei i próbowała być dla niej miła.

– Lepiej tego nie rób, syneczku – powiedziała, podeszła do Onneki i ujęła ją serdecznie pod ramię. – Powiadają, że w Respaldzie pewna panna obeszła trzy razy kaplicę i porwał ją diabeł. Wszelki słuch po niej zaginął.

– Nie strasz Yennega, droga bratowo. Dziś jest dla niego szczęśliwy dzień – rzekł Nagorno.

Przejażdżki konne wprawiały go w doskonały humor.

– Nie znam powodów tego szczęścia, ale widzę, że zrobiłeś chłopcu szczodry prezent, to przecież żrebak, którego urodziła Olbia – zauważyła Onneca.

– Alix, nie podzielisz się z nami szczęsną nowiną? – zapytał Nagorno i podszedł, żeby pogłodzić ją po brzuchu. – Przyjdzie na świat z nadejściem jesieni, mam rację?

– Mój brat ma bystre oko, zawsze wypatrzy życie, które toruje sobie drogę na świat. Jeszcze tego nie ogłosiliśmy, choć Yennego już wie, że będzie miał z kim się bawić, zanim rok dobiegnie końca – powiedziałem, unikając wzroku Onneki.

Byli tacy przygnębieni, że zaczynałem czuć ćmienie dawnego bólu, którego czuć nie chciałem.

I wtedy od Bramy Północnej nadjechali jeźdźcy. Król Sancho, siódmy władca tego imienia, który nosił przydomek Mocny, bo przewyższał dwukrotnie wzrostem swoich poddanych, poprzedniego lata wyznaczył nowego namiestnika, który służył mu bardzo skutecznie w Saint-Jean-Pied-de-Port, tam gdzie zaczynali pielgrzymkę pątnicy Świętego Jakuba Apostoła. Petro Remírez postarzał się, a król musiał poprzestawiać figury na szachownicy królestwa wobec niepokojących wieści dochodzących z Toledo.

W całej Nawarze rozpowiadano o jego podróży na południe, na ziemi Saracenów, w poszukiwaniu sojuszu z nowym kalifem Miramamolinem. Krytykowano go za to, że szuka sprzymierzeńców na ziemiach niewiernych, papież zagroził mu nawet ekskomuniką. A wielu w naszym grodzie spoglądało tęsknie w stronę króla Kastylii Alfonsa VIII. W zaułku Ciemnej Bramy potomkowie Mendozów i Isunzów szeptali, że władza kastylijskiego monarchy byłaby dla nich korzystniejsza niż statuty króla Mądrego i jego syna, zrównujące w prawach uboższą szlachtę i mieszczan, w grodzie wszyscy mieli być równi.

Namiestnicy to dowódcy królewscy, którzy pojawiali się i znikali, ale nigdy nie pochodzili z naszego grodu, podobnie jak towarzyszący im rycerze, a niektórzy victorczyki byli już znużeni płaceniem danin królowi, którego nie znali i który sypiał z niewiernymi kobietami w południowych krainach. Niepobawione sprośności plotki o mauretańskich księżniczkach

w ramionach nawarskiego olbrzyma należały do ulubionych, kiedy nalewano wina w gospodach od Tudeli do Pampeluny, od San Sebastián po Santander.

Tego ranka oczekiwaliśmy ich: Martina Chipii i nowej załogi, którą przywoził z wizyty na dworze w Tudeli. Namiestnik miał złamany nos, najpewniej w jakiejś karczemnej bójce, włosy do ramion i bardzo krótkie nogi nieproporcjonalne do zbyt szerokich ramion.

– Oto moi nowi ludzie. – Zeskoczył lekko z siodła i jego głowa znalazła się na wysokości mojej piersi. – Nie sprawią w grodzie kłopotu. Radcy króla Mocnego przynieśli mi niepokojące wieści. Wydaje się, że król Alfons zaczął inwazję i musimy gotować się do obrony. Jutro pomówimy o zaopatrzeniu. Jeśli Bóg da, zdążycie ze zniwami, ale po drodze widziałem, że łąny są jak na razie zielone. Czy spichrze są pełne?

– Jeszcze nie – odparła Alix. – Pogoda dobra, więc czekamy.

– Miejmy nadzieję, że słońce przypiecze w tych dniach. Jeśli tak się stanie, trzeba wydać rozkaz przyspieszenia zniw – uznał. – Król nie ufa swojemu kastylijskiemu kuzynowi i rozkazał tylko, że Victoria ma się nie poddawać.

– Nie sądzę, żeby sprawy zaszły tak daleko – wtrącił Nagorno.

Tej nocy zaczął się nasz koszmar.

Alix i ja wróciliśmy od babci Lucii, którą położyliśmy spać. Ostatnio straciła apetyt i z dnia na dzień mówiła z coraz większym trudem.

Zostawiliśmy Yennega, który bawił się z innymi dziećmi w Villa de Suso pomiędzy straganami na targu. W czwartki z północnych portów docierały do nas ryby, zaopatrywaliśmy się w sardynki i suszonego dorsza, żeby przetrwać post, który Kościół rzymski nakazywał w piątki.

Wieczorami, kiedy handlarze rybami zbierali swoje kosze, płyty nagrobne cmentarza przy kościele Najświętszej Marii Panny pokryte były rybimi wnętrznościami, lepкими łuskami, a nad wszystkim unosił się odór, nieunikniony, skoro towar leżał całe godziny pod potężnym, oślepiającym słońcem.

Zaszedłem po syna, ale nie zauważyłem go pośród dzieci, które wciąż jeszcze się bawiły. Wieczorny hejnał już dobrą chwilę temu obwieścił zamknięcie wszystkich trzech bram.

Nie dostrzegłem żadnego kulawego chłopca pomiędzy cieniami biegającymi po cmentarzu.

– Wiecie, gdzie jest Yennego?

– Nie wiem, panie – odparł Sabat, syn powroźnika, bardzo wysoki jak na swoje dziewięć wiosen.

– Poszedł obejść kościół Świętego Michała – powiedziała najstarsza córka jednego z kowali z kuźni Lyry. – Mówił, że boli go ząb.

– Od dawna go nie ma?

– Poszedł, jak było jeszcze jasno.

Było pustawo, kiedy stanąłem na ulicy Tenderías. Poprosiłem wartownika, jednego z tych, którzy przyjechali właśnie z Martinem Chipią, żeby otworzył mi Południową Bramę, i obszedłem kościół, nawołując głośno swojego syna.

Jakiś czas później, kiedy wszyscy sąsiedzi z grodu przyłączyli się do poszukiwań Yennega, zrozumiałem, że stało się coś bardzo złego: znalazłem złamany ząb jeża na nitce zaplecionej przez babcię Lucię. Leżał na jednej ze starych płyt nagrobnych cmentarza przy kościele Świętego Michała. Na płycie, która była starsza niż mury obronne, gdyż tylko jej połowa znajdowała się na podgrodziu.

Mojego syna nie porwał diabeł.

Porwał go jakiś potwór.

## ZASADA LOCARDA

## UNAI

*Październik 2019*

Zanurzyłem się w chłodnej wodzie basenu i popłynąłem naprzód. Odkąd zacząłem odwiedzać doktor Leivę w Arkaute, często korzystałem z okazji, żeby trochę popływać. Odkryłem, że relaksuje mnie to bardziej niż poranne bieganie, i lepiej mi się myślało w wodzie, otoczonemu ciszą. Zdarzało się, że rozmawialiśmy w basenie.

Tego dnia psychiatra spóźniła się, dzięki czemu mogłem jeszcze raz gruntownie przemyśleć sprawę kradzieży kroniki hrabiego Veli. Ramiro Alvar poprosił swojego adwokata, żeby sprawdził zawartość jego biblioteki: brakowało tylko egzemplarza kroniki. Ten sam adwokat przekonał Ramira Alvara, żeby złożył doniesienie o napadzie i rozboju.

Pierwsza kwestia: to złodziej był sprawcą wszystkich zabójstw. Kiedy przeczytał wiadomość o istnieniu kroniki, wiedział już, że znajduje się ona w bibliotece Ramira. Czyli wiedział o jej istnieniu i o tym, gdzie jest przechowywana, nie miał jednak pojęcia, ile jest warta.

Druga kwestia: motyw. Zrzucił jedną albo dwie osoby ze schodów, żeby ukraść egzemplarz kroniki. Ze względu na miliony euro albo perspektywę ich zdobycia. Dotąd nie myślałem, że motywem zabójstw przedsiębiorcy, dziewczynki i MatuSalema mogły być pieniądze. A jeśli taki właśnie cel przyświecał mordercy od początku?

– Przepłynęłam obok ciebie dwie długości basenu i nawet mnie nie zauważyłeś – usłyszałem głos, który wyrwał mnie z rozmyślań.



Ze zdumieniem spojrziałem na tor po prawej stronie. Doktor Leiva też zdążyła wskoczyć do basenu i obserwowała mnie z uśmiechem zadowolenia.

– Marina! – krzyknąłem trochę przestraszony. – Ależ się zamyśliłem!

Stanęliśmy w rogu basenu, świetnym miejscu na pogawędkę. Opowiedziałem jej o włamaniu do wieży i kradzieży kronik.

– Przyjrzyj się otoczeniu Ramira Alvara – poradziła, wysłuchawszy wszystkich nowych informacji. – Musisz się dowiedzieć, jaki wstrząs spowodował rozszczepienie jego osobowości i jakie kłamstwo opowiedział samemu sobie, żeby się z nim uporać. Każdy z nas karmi się jakimiś bajkami, kiedy nie może się z czymś pogodzić. W przypadku pacjentów z DID to kłamstwo jest ogromne, doprowadzone do skrajności. Dlatego wynajdują często kilka alter ego, które są jak awatary przenoszące ich do traumatycznej chwili i grzęznące w tym, co powinni byli kiedyś zrobić: wcielają się na zmianę w bandytę, nieruchomą ofiarę, ofiarę, która uciekła. Wątpię, czy sam Alvar da ci klucz do swojej traumy. Opowiada o rodzicach?

– Mówi o nich w samych superlatywach.

– Ale na poziomie ogólników?

– Tak.

– Czasem chorzy eliminują niektóre lata ze swojego życia albo wypełniają je przyjemnymi, ale niewyraźnymi wspomnieniami. Wspominają coś, co się nie zdarzyło.

– Ogólnie ludzie z okolic dobrze mówią o tej parze, może poza tym szczególnie, że ojciec lubił się przebierać, co Ramiro Alvar zrzuca na karb dziedzicznego dysocjacyjnego zaburzenia osobowości, chociaż w polecanych przez ciebie książkach wyczytałem, że większość specjalistów nie uznaje zaburzenia za dziedziczne.

– W zasadzie tak jest. To na tyle rzadkie zjawisko, że nie sposób zebrać próby badawczej. Nie uważamy zaburzenia za dziedziczne i dzielą nas lata świetlne od badań genetycznych, które wyjaśniłyby, czy istnieje gen lub grupa genów sprzyjających wystąpieniu choroby. Ale nie można tego na sto procent wykluczyć. Ja osobiście uważam, że wszystko zależy od historii,

którą opowiedział pacjent samemu sobie. Jeśli dorastał w izolacji, został sierotą, był nieprzeciętnie inteligentny, wychowano go w poczuciu wstydu, w strachu przed odziedziczeniem zachowań, których rodzina nie akceptowała i które ukrywała, to kiedy nadchodzi trauma, mózg chwytą się swojego największego lęku i zmienia w to, czego sam najbardziej się boi. To samospełniające się proroctwo. Skoro coś uważa się za rzeczywiste, to coś staje się rzeczywistością.

– Jedną z możliwych hipotez wyjaśniających to, co zaszło – na razie wolę w nią nie wierzyć – powiedziałem – jest to, że Ramiro Alvar się obudził i zobaczył, że Alvar zaciągnął do łóżka moją partnerkę. Może sam ukradł tę kronikę, żeby odsunąć od siebie podejrzenia? Potem zrzucił Estíbaliz ze schodów, otworzył okno nad drzwiami i sam rzucił się z mniejszej wysokości, żeby upozorować włamanie i rozbój? Czyli Ramiro Alvar zabił Alvara – podobnie jak w książce, i dlatego teraz Estíbaliz go nie uaktywnia. Alvara już nie ma.

Lekarka zastanawiała się nad tym chwilę, a potem pokiwała głową.

– U pacjentów z tym zaburzeniem często zdarzają się akty autoagresji: samookaleczają się, tatuują obelgi na ramionach, zachowują się ryzykownie, na przykład przekraczają prędkość na drodze. Ale zwykle to agresywne alter ego atakuje ANP, słabszą osobowość, a nie odwrotnie. Upewnij się, że masz przed sobą Ramira Alvara, a nie Alvara, który udaje, że jest Ramirem. Alvar jest typem alter ego, które chce przetrwać, zrobi wszystko, by dopiąć swego. Alvar jest teatralny, jeśli udaje, jego własna natura go zdradzi: zrobiłeś jego profil, nie trać go nigdy z oczu. Mówisz, że przy konfrontacji z Estíbaliz Alvar się nie aktywował?

– Tak. Ale nie chcę drugi raz wykorzystywać przyjaciółki.

– Jednak Alvar istniał jeszcze przed spotkaniem z Estíbaliz, bo powieść jest wcześniejsza. Trzeba się dowiedzieć, co aktywowało go po raz pierwszy, jaki stres wywołał w nim Alvara. Czy ma inne alter ego?

– Ramiro twierdzi, że książka Alvar to jego jedyne alter ego – odparłem.  
– Że w jego rodzinie zaczynało się od zwykłych przebieżanek, a z czasem pojawiały się nowe osobowości dysocjacyjne, i że on spróbował pisania terapeutycznego, bo bał się, że pójdzie w ślady ojca i innych przodków.

Mówi, że Alvar zginął, kiedy on pisał powieść, że było to jak katharsis. Myślał, że już go nie ma. Ale wrócił po spotkaniu z Estíbaliz.

– Ten przemocowy.

– To właśnie moim zdaniem nie trzyma się kupy: że Alvar, zmarły brat i ksiądz, jest dla Ramira Alvara gwałtownym alter ego. W Ugarte mówią, że bracia byli w dobrych stosunkach. Że bardzo się kochali. Tego nie da się udawać, zwłaszcza w tak młodym wieku. Dzieci i nastolatki zwykle bez skrępowania okazują swoje sympatie i antypatie.

– A jeśli Alvar zmienił się w osobę przemocową, kiedy Ramiro Alvar był nastolatkiem, a on został jego opiekunem prawnym? – zasugerowała Marina.

– We wsi mówią, że Alvar wrócił chory i po roku umarł.

– Może w tym ostatnim okresie, kiedy był chory i zajmował się młodszym bratem, zachowywał się wobec niego przemocowo? Ramiro Alvar był zależnym od rodziców nastolatkiem, stracił ich, Alvar zaś umarł rok później.

– Tak mówią. Nikt nie pamięta jego pogrzebu.

– Sugerujesz coś?

– Nic, ale w tej śmierci jest coś dziwnego.

– No to chyba wiesz, co dalej robić. Powodzenia w Ugarte. Ja muszę już iść, za pół godziny zacznam kolejne zajęcia.

Lekarka pożegnała się i poszła na zajęcia z profilowania kryminalnego, ja zaś postanowiłem popływać jeszcze chwilę.

Kiedy znów zanurzyłem się w wodzie, pomyślałem o zasadzie Locarda: każde przestępstwo zostawia ślad.

Miałem niedługo się przekonać, że każdy akt miłości też go zostawia.

Bo powoli miłość torowała sobie drogę pomiędzy osobami, które nie chciały zaakceptować niezbyt sprzyjających okoliczności.

Dopiero później się dowiedziałem, jak zaczął się romans: Ramiro Alvar przekupił jedną z pielęgniarek, żeby dostarczyła adresatce jego odręcznie napisany list. Estíbaliz przyjęła go z mieszaniną zdumienia i ciekawości.

*Szanowna Pani Inspektor Ruiz de Gauna,*

*bardzo mi przykro, że to wszystko tak się skończyło przez moją chorobę. Proszę mi uwierzyć, mimo że nie pamiętam godzin, a może nawet dni, które spędziło z Panią moje alter ego, zdałem sobie sprawę, że to, coście czuli, musiało być prawdziwe. Że Alvar naprawdę się w Pani zakochał, a Pani w nim. Nie dziwię się: Alvar jest śmiały i zdecydowany. Proszę nie myśleć, że była Pani jedną z wielu: wcześniej nie przyprowadził do wieży żadnej kobiety. Spędziła Pani noc z mężczyzną, który w pewnym sensie był prawiczką. Jestem pewien, że on odszedł, zginął, spadając ze schodów. Od tamtej pory moja świadomość ani razu się nie wyłączyła, ani razu nie obudziłem się, nie pamiętając kilku godzin przed położeniem się spać. To, co dla mnie jest nadzieją na wyleczenie, na to, że moje osobiste nieszczęście być może ma szansę na szczęśliwy finał, dla Pani jest stratą, bo Alvara już z nami nie ma. Rozumiem, że nienawidzi pani mnie, Ramira Alvara. Że uważa mnie Pani... jak to Pani określiła? Za nudziarza? Kujona? Widzi mnie Pani jako szare alter ego Alvara, ale jestem rzeczywistą osobą, która stoi za tym rozbitym na kawałki umysłem.*

*Ramiro Alvar Nograro, XXV pan na wieży Nograro*

Ale wówczas nie wiedziałem nic o listach i nie mając Estíbaliz obok siebie, czułem się przytłoczony śledztwem. Wobec braku postępów postanowiłem pojechać do Ugarte. Nie był to dzień, kiedy spotykał się klub czytelniczy, ale chciałem poznać otoczenie Ramira Alvara i, może przede wszystkim, jego brata.

Udałem się więc do baru.

Lokal był prawie pusty: kilka młodych osób grało w piłkarzyki, a paru emerytów walczyło zawzięcie, żeby przechylić na swoją stronę szalę zwycięstwa w partyjce musu. Benita drzemała na swoim wózku inwalidzkim, na kolanach miała koc.

– Możesz z nią porozmawiać, ona nie śpi, tylko udaje – powiedział chłopak stojący za barem i puścił do mnie oko.

– Benito, jak się dzisiaj pani miewa? – zapytałem, siadając obok niej.

Próbowałem ogrzać sobie dłonie przy kominku.

- Ach, pan detektyw! – krzyknęła na mój widok.
- Ściśle rzecz ujmując: inspektor. W zeszłym tygodniu nie mogłem przyjść na spotkanie klubu. Jakież nowości?
- No tak, zapisały się cztery nowe sąsiadki: Aurora, Nati, żona burmistrza, oraz matka i córka Ochoa. Wcześniej nie przychodziły posłuchać, jak czytamy na głos.
- Cieszę się, że klub się rozwija – powiedziałem. – To dość zżyta wioska. Na pewno zdarzają się jakieś konflikty, ale wyglądacie na zaprzyjaźnionych.
- Wiesz, jak mawiają: małe miasteczko, wielkie piekło.
- Ciekawe, że pani to mówi, pani syn wspomniał mi podczas poprzedniej wizyty, że Ugarte to miasteczko bastardów[3]. Tylu złych ludzi tu mieszka?
- Bastardów? Nie powiedział tego w znaczeniu, o jakim pomyślałeś. Słowa mają różny sens, ale ważne jest, żeby pamiętać o wszystkich odcieniach. Mamy tu dzieci z prawego łoża, te, które urodziły się w związku małżeńskim. Te z nieprawego urodziły się w wyniku zdrady. I my tu coś o tym wiemy. Mieliśmy dzieci prostytutek, pogardliwe określenie „kurwipoleć” nie wzięło się z niczego. Są też dzieci nieślubne, urodzone z oficjalnej kochanki, o ile można udowodnić, że była wierna: takie też by się pewnie u nas znalazły. Potem dzieci będące owocem kazirodztwa. Jaka to zniewaga dla boskich praw, że coś takiego w ogóle się dzieje, prawda? Nie powinniśmy na to pozwalać. I kolejny wstyd: kropidlaki.
- Kropidlaki?
- No tak, dzieci kochanic księży – wyjaśniła. – No i pozostałyby nam jeszcze pingwiniątka, dzieci urodzone przez zakonnice. O kazirodztwie już mówiłam? Tak, chyba tak. I jeszcze dzieci urodzone przez niewierną żonę, które żyją na koszt męża w jego domu. Takie rzeczy też się działy.
- A tak, mój dziadek mówi w takich przypadkach, że lis wychowuje nie swoje szczenięta.
- Tak się dzieje od wieków, niestety.
- Jeszcze jakieś przykłady?

– Nie, to już chyba wszystko.

– Czyli mamy dzieci ślubne, nieślubne, urodzone z kazirodztwa, ze związku z księdzem, przez zakonnice, dzieci prostytutek i dzieci niewiernych żon mieszkające w domu zdradzanego męża – podsumowałem.

– W tym miasteczku nikt nie puści pary z gęby. Jeśli ktoś poruszyłby kamień, posypałaby się cała lawina, każda rodzina ma coś za uszami. Nikt tego nie chce. Dlatego wszyscy znoszą się jakoś, cierpią, wysyłają dzieci z dala od domu, żeby się ze sobą nie krzyżowały. To byłaby tragedia.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Już chyba dość się na dziś nagadałaś, mamó – przerwał nam Fidel. – Zabieram ją do domu.

Nie widziałem, kiedy przyszedł: byliśmy tak pochłonięci rozmową, że zdawało mi się, jakby nieśmiały mąż Fausti wyrósł spod ziemi, żeby zabrać ze sobą matkę, popychając jej wózek inwalidzki.

Nad ranem odebrałem telefon od Milán, nagi podszedłem do okna. Plac był jeszcze pogrążony w ciemnościach, na ulicach szalał wiatr.

– Kraken, odebraliśmy zgłoszenie o włamaniu i pobiciu w Quejanie. Bardzo dziwna sprawa.

– Co to znaczy dziwna?

– Włamano się do zespołu pałacowego w Quejanie. Ksiądz, który opiekuje się tym miejscem, jest ranny.

## QUEJANA

## UNAI

*Październik 2019*

Co tam się, do diabła, stało?

– Przyjechać po ciebie? – zapytała.

Godzinę później zaparkowaliśmy przed opuszczonym klasztorem Sióstr Dominikanek w Quejanie, na północy prowincji Álava.

Świt przywitał nas czerwonymi blaskami na brukowanym dziedzińcu otoczonym drzewami, które łączyły swoje gałęzie w grube sploty. Było tu zupełnie pusto, stała tylko karetka, która przyjechała przed nami. Nie wiedząc, dokąd mamy właściwie się udać, minęliśmy kilka opuszczonych budynków. Wiedzeni instynktem skierowaliśmy się do pałacu, ufortyfikowanej budowli z czterema ogromnymi kwadratowymi wieżami. Drewniane wrota były otwarte, ostrożnie weszliśmy do środka.

– Jest tu kto? – krzyknąłem.

Powitał nas wysoki chłopak w uniformie ratownika medycznego.

– Chodźcie, mamy mężczyznę poszkodowanego po upadku. Zabieramy go do szpitala, niewykluczone, że ma złamane biodro.

Weszliśmy na brukowany wilgotny dziedziniec otoczony starannie wypielegnowanymi roślinami w doniczkach. Liście zostały dokładnie zgrabione na kupki. Ktoś niewątpliwie bardzo się starał, żeby utrzymać tu porządek.

Domyśliłem się, że to stary ksiądz, który leżał na kamiennej ławce doglądany przez dwóch sanitariuszy. Miał na sobie pizamę, którą usilnie

próbował zakryć czarną kurtką.

– To ksiądz zadzwonił na numer alarmowy? – zapytałem.

– Lázaro Durana, do usług. Jestem tu proboszczem. Dziś w nocy ktoś włamał się do kaplicy. Usłyszałem hałasy ze swojej sypialni, nie śpię więcej niż cztery godziny, resztę czasu spędzam w łóżku całkiem przytomny, czasem czytam. Mieszkam tutaj, w części pałacu, która dawniej była mieszkaniem kapelana. Zszedłem zobaczyć, co się dzieje. Jestem jedynym lokatorem całego tego kompleksu, wiedziałem więc od razu, że ktoś musiał się włamać.

– Co ksiądz widział? – zapytała niecierpliwie Milán.

– Niewiele, zauważyłem jakieś światełko, chyba latarki, w wieży, w której mieści się kaplica Nuestra Señora del Cabello. Drzwi były uchylone, przez szparę sączył się słaby blask. Kiedy schodziłem po schodach, krzyknąłem: „Kto tam jest?!”. Nie było odpowiedzi, ale usłyszałem jeszcze większy hałas. Bałem się konfrontacji ze złodziejem, więc zadzwoniłem z komórki na telefon alarmowy, ale złodziej chyba zorientował się, że rozmawiam, albo po prostu usłyszał odgłos moich kroków. Zobaczyłem tylko cień, ktoś wybiegł z kaplicy, popchnął mnie bardzo mocno i przewrócił. Było ciemno, on zgasił latarkę, więc właściwie nic nie widziałem. Okropnie boli mnie biodro. I zgubiłem okulary, moglibyście je znaleźć?

Milán i ja przeczesaliśmy patio równie systematycznie, jakbyśmy prowadzili oględziny miejsca zbrodni. W wyobraźni podzieliłem przestrzeń na kwadraty i zaczęliśmy je przemierzać po spirali, od krańca dziedzińca do środka, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Znaleźliśmy je z lewej strony, cztery metry od miejsca, które ksiądz wskazał jako miejsce napaści.

– Są tutaj. Szkła się nie stłukły, ale oprawki są trochę zdeformowane. Czy napastnik ich dotknął?

– Nie, tylko mnie popchnął i uciekł.

Zrobiłem im kilka zdjęć, jedno z bliska, jedno ze średniej odległości, jedno z oddali. Z trajektorii ich lotu można było wywnioskować, że agresor



wybiegł z kaplicy i popchnął księdza dokładnie w tym miejscu, które on sam wskazał.

Podniosłem okulary i podałem staruszkowi.

– Od razu lepiej – powiedział. – Teraz widzę wasze twarze.

– Zdołałby pan go zidentyfikować? – zapytała Milán.

– Nie, było zbyt ciemno.

– Jakiś zapach?

– Na pewno pot. Nie jestem pewien, czy woda kolońska.

– Mężczyzna?

– Nie wiem zbyt dużo o kobietach. Ale powiedziałbym, że to mężczyzna, bo był potężnie zbudowany. Możecie sprawdzić, czy ktoś nie wszedł też do kościoła przy klasztorze? To te drzwi na wprost. – Pokazał ciemną część dziedzińca. – W zakrystii przechowujemy kielich, który ma sporą wartość.

Milán podeszła do wskazanych drzwi, włożyła rękawiczki i popchnęła je.

– Są zamknięte. Nie ma śladu manipulacji przy zamku. Chyba tam nie wszedł.

– To dobrze – westchnął z ulgą ksiądz. – Jeden problem mniej. A wejdziecie do kaplicy i sprawdźcie, co tam się stało w środku?

– Po to tu przyjechaliśmy. Czy są tam jakieś cenne przedmioty?

– Nagrobek kanclerza Pera Lopeza de Ayali i jego żony Leonor de Guzmán. I kopia nastawy ołtarzowej. Oryginał znajduje się w Instytucie Sztuki w Chicago. Mam nadzieję, że to nie był jakiś wandal i nie porobił tam graffiti. Możecie to sprawdzić? – nalegał proboszcz, chwytając się za bolące prawe biodro.

Chłopak z karetki spojrział na nas zmartwiony.

– Zabieramy go do Vitorii.

Ksiądz pokiwał głową, był wyraźnie obolały, ale jeszcze wyjął pęk kluczy z kieszeni czarnej kurtki.

– Zamknijcie główne drzwi, kiedy skończycie, i przywieźcie mi klucze do szpitala, dobrze?

– Zajmę się tym, don Lázaro – obiecałem. – Czy ktoś jeszcze ma klucze?

– Zwykle to ja opiekuję się całym kompleksem, czasem urząd gminy przysyła ludzi z Wydziału Zieleni, którzy przycinają drzewa na parkingu, sprzątają, mimo że muzeum rzadko ktoś odwiedza. Zatrudniają też kilka osób na lato, na umowy czasowe, zwykle to mieszkańcy okolicy. Pewnie jakaś kopia kluczy by się znalazła. Zarządza wszystkim nasz urząd gminy i kuria biskupia.

– Musimy go zabrać – przerwał młody sanitariusz.

– Jasne – powiedziałem. – Don Lázaro, kiedy tylko będę mógł, zajrzę do szpitala, żeby zwrócić klucze. Ale muszę też poprosić o odrobienie pracy domowej. Chciałbym dostać listę osób, które pracowały tu ostatnio.

– Nie wiem, czy pamiętam wszystkich.

– Niech ksiądz spisz to, co pamięta. I ostatnie pytanie: czy to jest pierwsze włamanie?

– Cieszę się, że pan o to pyta, bo jakiś czas temu zgłaszałem prawdopodobne włamanie. Wydawało mi się, że płyta nagrobna jest trochę przesunięta. Rozmawiałem z osobami zajmującymi się w kurii dziedzictwem historycznym, ale niespecjalnie się przejęły. Nie było strat, nic z kościoła nie zniknęło. Chciałem pojechać do Vitorii złożyć doniesienie w komisariacie, ale moi przełożeni odwiedli mnie od tego pomysłu. Zmieniłem zamek w drzwiach wejściowych, zapłaciłem za niego z własnej kieszeni. Zależało mi na bezpieczeństwie, jestem jedyną osobą, która przebywa tu w nocy, nie czułem się pewnie. Od tamtej pory był spokój.

– Kiedy to się stało?

– Nie pamiętam dokładnie, rok, półtora roku temu.

– Bardzo nam przykro, ale naprawdę musimy go zabrać do Vitorii, żeby udzielono mu pomocy – tym razem odezwał się kierowca karetki.

Posadzili księdza na składanym wózku inwalidzkim.

– Oczywiście – powiedziała Milán. – Ruszajcie w drogę!

Zostaliśmy sam na sam z ciszą i wilgocią. Miejsce wydawało się bardzo nieprzyjazne, nienadające się do mieszkania przez cały rok. Milán obrzuciła mnie tym swoim niecierpliwym spojrzeniem. Jakby chciała mi powiedzieć, że tracimy czas. Też tak sądziłem.

Chuligański wybryk, akt wandalizmu. Gdyby był to złodziej, który chciał ukraść jakieś wartościowe przedmioty, poszedłby do kościoła przy klasztorze Sióstr Dominikanek, gdzie znalazłby pewnie coś, co łatwo wynieść i sprzedać.

To, że ksiądz przyłapał go w kaplicy grobowej, oznaczać mogło, że intruz nie znał miejsca i trafił najpierw do niewłaściwej budowli.

Weszliśmy do środka.

Była to niewielka kaplica na planie prostokąta, na oko pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Puste kościelne ławy, drewniana żaluzja zasłaniająca emporę nad naszymi głowami. Ściana przed nami ozdobiona kopią słynnej nastawy ołtarza przedstawiającej kobiety i mężczyzn w średniowiecznych strojach. Większość z nich klęczała w pozie modlitewnej. W środku obrazu stał pusty tron.

Nie na to jednak patrzyliśmy z Milán, lecz na białą rzeźbę nagrobną.

– Kurwa, jakiś pieprzony świr – szepnęła Milán, kręcąc głową. – Mamy profanatora grobów?

Nie odpowiedziałem, sam jeszcze nie wiedziałem dobrze, z czym mamy do czynienia.

Nagrobek kanclerza przypominał łoże z alabastru. Podwójne małżeńskie łoże, które połączyło parę po śmierci. Śpiący człowiek wykuty w kamieniu. Obok niego kobieta. U ich stóp pies. Być może symbol wierności.

*Fidelitas*, zdawało mi się, że szepcze do mnie Maturana.

Ale ciężka płyta, która podtrzymywała sylwetki z kamienia, została przesunięta. Potrzeba było do tego nadludzkiej siły. Poranne słońce świeciło coraz mocniej i do posępnej kaplicy, dotąd pogrążonej w mroku, wpadł przez uchylone drzwi promień światła, pozwalając nam ujrzeć coś niewyobrażalnego.

Zajrzałem do otwartego grobu najszynniejszego z rodu Lopezów de Ayala. Pisarza, dyplomaty, kanclerza. Człowieka renesansu, po którym

pamięć nie zagięła pięćset lat po jego śmierci.

W świętym miejscu wiecznego spoczynku leżały kości. Zbyt dużo kości. Nie mogły należeć tylko do kanclerza i jego żony. Naliczyłem sześć kości udowych.

Do kogo należały trzecie szczątki i dlaczego złodziejowi zależało na odsłonięciu tego sekretu?

## ZAUŁEK CIEMNEJ BRAMY

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

– Zasnął gdzieś poza murami? Może w jakiejś stodole? – usłyszałem za plecami.

– Może łapał żaby w Zapardiel, zrobiło się późno i zastał zamknięte bramy?

Anglesa, Pero Vicia i powroźnik Sabat snuli domysły, co mogło się stać z moim synem.

– W takim wypadku wróciłby dziś rano – powiedziałem. – Jego wuj podarował mu wczoraj konia, nie mógł się doczekać, kiedy znów go dosiądzie. Szukajcie dalej. Za każdym żywopłotem, za ogrodzeniem każdego warzywnika.

Po całonocnym poszukiwaniu Yennega zgasilem pochodnię w kałuży. Już nie była potrzebna.

Rozległ się poranny hejnał, otwarto bramy grodu. Sąsiedzi, którzy pomagali nam szukać chłopca za murami, ruszyli do swoich warsztatów albo rozstawiać stragany.

Nowymi ulicami poszedłem po Nagorna, został na noc za murami, żeby szukać go w ogrodach, warsztatach i wszystkich miejscach, w których mógłby się schować tak żywy chłopiec jak Yennego.

Już z daleka usłyszałem ich głosy i wiedziałem, że coś się dzieje. Nie podobało mi się, że zgromadzili się w zaułku Ciemnej Bramy.

Mój brat złapał za szyję jednego z Isunzów i trzymał ostrze sztyletu na jego gardle. Otaczał go tuzin sąsiadów, wśród nich bracia Ortiz de Zárate i Mendozowie.

– Nie znajdzie się w Villa de Suso ani w Nowej Victorii rodzina, która nie będzie płakać, póki nie odnajdzie się mój bratanek. Jeśli ktoś go porwał, macie jeszcze czas, by oddać go rodzinie. Ale musi być żywy – powiedział i zrozumiałem, że mówi poważnie.

Podszedłem do nich, na mój widok wielu położyło dłonie na rękojeściach broni.

– Puść go, Nagorno. To nie pomoże Yennegowi.

– Owszem, pomoże. Jeśli któryś z was zemścił się za to, co stało się z Ruizem de Maturaną, przysięgam, że dopadnę was w waszych domach i pozabijam, zanim zdążą mnie pojmać.

– Puść go wreszcie! – krzyknąłem. – Dosyć już tego!

Nagorno niechętnie rozluźnił uścisk. Wszyscy natychmiast się rozbiegli, zaulek opustoszał.

– Jesteś głupcem, bracie – rzekłem tonem pełnym pretensji. – To, co zrobiłeś, nie przyprowadzi go z powrotem.

Nagorno był wściekły, nieczęsto widywałem go w takim stanie.

– A ty co zamierzasz zrobić, no co? – burknął ze złością. – Będziesz stał bezczynnie, kiedy przelewają naszą krew?

– Przychodzę prosić cię o pomoc. Pójdziemy do twierdzy San Viçente. Zbierzemy oddział z najlepszych ludzi namiestnika i ruszymy na poszukiwanie mojego syna.

Ruszyliśmy zaułkiem Angevín, minęliśmy kilka domów, i dotarliśmy do Bramy Południowej. Zastaliśmy namiestnika na siodłaniu konia.

– Nie znalazł się? – zapytał Martín Chipia na nasz widok.

– Nie – odpowiedziałem i spojrzałem za bramę.

Alix została poza murami, szukając chłopca. Nie chciała wracać do domu bez syna.

– Mali chłopcy psocą, czasem śpią poza domem. Wróci. Nie mógł zajść daleko, widziałem, że ma jedną nogę...

– Yennego nie uciekł, został porwany – wszedłem mu w słowo. – Znalazłem przerwany sznurek z amuletem, który dała mu praprababcia matki. Na pewno gdyby mógł, podniósłby go, żeby nie sprawiać jej przykrości. Nie, Chipia. Zorganizuję drużynę z waszych najlepszych rycerzy. Mój syn jest za murami i obawiam się, że coraz dalej od domu.

W tej chwili przez bramę wpadł jeden z wartowników namiestnika. Koń pod nim był spocony i toczył z pyska pianę.

– Namiestniku, zaatakowali wiele fortec.

– Już się zaczęło?! – zakrzyknął Chipia. – Nie spodziewałem się tak rychłego ataku! Powiedźcie, które fortece!

– Wszystkie na południu, ale nadchodzą również z zachodu: od Arganzón, Treviño, Salinas de Añana i Portilli.

– W Portilli stoi z wojskiem Martín Ruiz, jest doświadczony i uparty. Co możecie powiedzieć? Wytrzymują natarcie?

– Z trudem. Panie, to nie wszystko.

– Co? Mówże!

– Roderico twierdzi, że po drodze widział jeźdźca na białym koniu dzierżącego sztandar z dwoma zamkami. Dużo piechoty, łuczników i kuszników. Niezbyt liczna jazda. Ale jadą za nimi wozy z aprowizacją. A nawet bardzo okazała zamknięta karetka, może należeć wyłącznie do króla. Widział też Lopeza de Haro, starszego chorążego Kastylii.

Chipia spojrzał na mnie zmartwiony.

– Sytuacja jest o wiele gorsza, niż przypuszczali doradcy króla Sancha. Jeśli sam jego kuzyn Alfons opuścił Toledo, nie jedzie tu, żeby zawładnąć niewielkimi fortecami na pagórkach. To ofensywa pełną gębą. Przybywa zaatakować klucz do granicy: ten oto gród. Obawiam się, Vela, że będę was potrzebował, żeby przygotować się do możliwego ataku. Nie znam nikogo bardziej zaradnego niż wasza miłość. Spotkam się z burmistrzem i katem w twierdzy San Vicente, ale muszę was prosić, żebyście zebrali tych, którzy mieszkają na podgrodziu, w razie oblężenia nie będą bezpieczni. Niech mieszkańcy przygotowują szopy i sienie, żeby ich przyjąć. Zwołajcie właścicieli warzywników, niech jak najprędzej zbiorą z nich, co się da. Czy jest coś jeszcze, o czym zapomniałem?

Yennego. Zapomniałeś, panie, że cały gród powinien go szukać, pomyślałem.

– Wyślijcie jednego z waszych ludzi do kamieniołomów w Ajarte – powiedziałem z wysiłkiem. – Niech załadują wozy kamieniami i je tu przywiozą. Będziemy ich potrzebować, żeby przepłoszyć tych, co spróbują wdrzeć się na mury. I kamień do mielenia zboża, później wyjaśnię wam po co. Nasz warsztat kowalski jest dobrze zaopatrzone w żelazo z kopalni w Bagoecie, poproszę siostrę, żeby zaczęli wykuwać ostrza lanc. Nie wystarczy nam materiałów ani czasu na wykucie zbroi. Niech kuśnierze szyją skórzane pancerze. Niech drwale pójdą do lasu i przyniosą drewno na lance, strzały do łuków i bełty do kusz. I mnóstwo chrustu.

– Jest lato, niepotrzebny nam chrust – zaprotestował Chipia.

– Rozkażcie im przynieść chrust – upierałem się. – Niech pasterze wyprowadzą dziś trzodę na pastwiska: krowy, świnie, owce, kozy, ale niech wrócą za mury przed wieczornym hejnałem. Wiem, że chwila to niefortunna, ale jeśli użyczycie mi pół tuzina rycerzy, zrobimy szybkie poszukiwania. Chcę dojechać do gór...

– Chyba nie zrozumieliście powagi sytuacji – uciał. – Rozkażę zamknąć bramy, kiedy tylko wszyscy mieszkańcy, zwierzęta i to, co pomoże nam przetrwać oblężenie, znajdą się w obrębie murów. Potem będziemy czekać, aż król Sancho przybędzie nam na pomoc.

– Pojedziemy sami, bez drużyny – wtrącił Nagorno.

– Nie, potrzebuję tu was obydwu. Jestem człowiekiem króla i jeśli wyjedziecie, kiedy wróg staje u bram, będę musiał was uznać za zdrajców korony.

– Daj nam czas do modlitwy Anioł Pański, przysięgam, że wrócę – nalegałem.

– Wiem, że jesteście mężem honorowym, ale nie byłbym dobrym namiestnikiem, gdybym pozwolił wam wyjechać. – Zwrócił się do strażnika pilnującego bramy: – Zamknijcie kratę, natychmiast. I wejdźcie na mury. Przepuszczajcie tylko mieszkańców podgrodzia, którzy zechcą się schronić, i ich zwierzęta.

– Zaczekajcie, nie zamykajcie – rozległ się czyjś głos.



Głos Alix. Wchodziła stromą uliczką prowadzącą na targ warzywny, podkasawszy suknię, nie miała na sobie czepka, z włosów ściekał pot, który zalewał jej czoło.

Pobiegłem jej na spotkanie, musiała zaczerpnąć tchu.

– Yennego? – szepnąłem do niej.

– Nic nie znaleźliśmy, Diago. Zniknął bez śladu.

– Wiem, że spotkało was nieszczęście, ale musicie wejść. Wojsko... – zaczął tłumaczyć jej Chipia.

– Dlatego właśnie wróciłam. Widziałam je. Widziałam kurz unoszący się na gościńcu do Ibidy. Ale to nie był kurz... Setki rycerzy zbliżają się do miasta. Jesteśmy w pułapce.

## STARA SALA WYKŁADOWA

## UNAI

*Październik 2019*

Wszystko zaczęło się od telefonu Estíbaliz poprzedniego wieczoru. Usłyszałem zaniepokojony głos mojej partnerki:

– Kraken, sądzę, że...

– Unai, Esti. Mam na imię Unai – poprawiłem ją.

– Unai, chcę się z tobą zobaczyć. Muszę ci coś pokazać. Pojedź najpierw do mojego domu, Alba ma klucze, i przywieź do szpitala to, co znajdziesz pod zimowymi swetrami w szafie w mojej sypialni.

Po wizycie w szpitalu, wysłuchawszy, co ma mi do powiedzenia, zadzwoniłem do doktor Leivy i umówiłem się z nią na następny dzień przed południem, tym razem nie na basenie. Marina czekała na mnie w pustej sali wykładowej akademii w Arkaute. Mimo że miała już ponad siedemdziesiąt lat, zawsze chodziła w sportowych butach i dopasowanym kostiumie.

– Dawno tu nie byłem.

Rozejrzałem się. Niewiele się tutaj zmieniło od czasu, kiedy kończyłem tę szkołę. Te same drewniane krzesła z pulpitami, te same gładkie ściany, żeby nie rozpraszać uwagi słuchaczy. Promienie światła wpadającego przez duże okna.

– W końcu człowiek zaczyna lubić wykładanie. Powinieneś kiedyś spróbować, to bardzo wdzięczna praca. Oczywiście wolę, kiedy sala jest pełna. Ma wtedy inną energię – zauważyła Marina. – Młodzi ludzie,

chłonący wszystko, co mówisz, pragnący uzyskać jak najwięcej wiadomości, które kiedyś pozwolą im zatrzymać winnych.

– Też taki byłem. Impulsywny. Głodny wiedzy. Jeszcze nie wiedziałem, co to robota na ulicy, jak cię zmienia i obrzydza ci ten zawód.

– Obrzydł ci zawód?

– Powiedziałem to bezmyślnie, prawdę mówiąc – przyznałem.

Obrzydł mi? – zastanowiłem się.

– Przyniosłem ci dwa dokumenty – zmieniłem temat. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Dokumenty? A do czego dokładnie mnie potrzebujesz?

– Wiem, że pracowałaś jako biegła grafologka w procesach o fałszowanie testamentu.

– To prawda.

– Uczyłaś też grafologii sądowej.

Spojrzała na mnie z ukosa, a potem włożyła na nos okulary z półokrągłymi szklami.

– No dobra, pokaż mi te papiery.

Wręczyłem jej dwie kartki w przezroczystych koszulkach i parę rękawiczek. Były mojego rozmiaru – XL – i jej drobne palce w nich utonęły.

– Ramiro i Alvar. Alvar i Ramiro. Obaj piszą listy do inspektor Ruiz de Gauny. Wydaje się, że od czasu upadku ze schodów Alvar zniknął. Wiesz, że ich skonfrontowałem. Tym razem obecność Estíbaliz nie aktywowała Alvara. Ramiro Alvar nie poznał jej, przeprosił i przyznał się przed nią do swojego zaburzenia.

– To bardzo dobrze – przerwała mi. – To ważny krok w terapii.

– Zgadza się – przyznałem. – Wkrótce Estíbaliz dostała list. Ramiro Alvar, wykorzystując swój urok osobisty, przekupił pielęgniarkę, żeby dostarczyła go mojej partnerce.

Marina czytała z uwagą, w wielkim skupieniu. Pionowa zmarszczka nad brwiami dzieliła jej czoło na pół.

– I co? – zapytała, gdy doszła do końca.

– Estíbaliz poprosiła mnie, żebym zajrzał do jej domu i przywiózł listy od Alvara. Pisane odręcznie listy miłosne, które wręczył jej sam nadawca. Przy okazji zobacz, kto jest pod nimi podpisany.

– Alvar de Nograro, dwudziesty czwarty pan na wieży Nograro – przeczytała.

– Ładny charakter pisma, prawda? Nie ma nic wspólnego z pismem Ramira Alvara. Nie jestem specjalistą, Estíbaliz też nie, ale różnica między nimi jest tak...

– ...to nie różnica, to przepaść – zakończyła doktor Leiva, pochłonięta lekturą jednego z listów.

Położyła dokumenty na katedrze, jeden obok drugiego. Porównywała je przez długi czas. Potem zwróciła się do mnie:

– Czegoś takiego się nie spodziewałam.

– Co masz na myśli?

– Przyjrzyj się pismu Ramira Alvara. Te niepołączone litery oznaczają izolację i osobowość introwertyczną. Najbardziej zwraca uwagę stopień pochylenia do tyłu, siedemdziesiąt pięć stopni, rzadko spotyka się coś takiego. Takie pismo zdradza negatywne emocje, walkę o władzę nad sobą. Stłumienie ego, które ukrywa jakiś lęk, zahamowania. To charakter pisma kogoś niezwykle wrażliwego.

– A co mi powiesz o Alvarze? – zapytałem, wskazując drugi list.

– To człowiek, który doskonale zna samego siebie, dojrzały psychicznie, rozwinięty. Pozwala sobie na otaczanie się sztuką, pięknem. Hedonista, umie cieszyć się życiem. Ten drugi jest ascetą, jego litery pozbawione są ozdobników, sprawiają wrażenie surowych i oszczędnych. Ale Alvar przeżywa też potężny konflikt w związku ze śmiercią matki, ojca lub obojga rodziców. Coś nierozwiązanego. Zobacz tę wysoką laseczkę przy dużym D. To ślad sieroctwa. Ramiro Alvar tego nie ma, jego duże D jest harmonijne.

Słuchałem w milczeniu, widziałem, że Marina jest bardzo zaintrygowana.

– Przyniosłem ci je, żebyś mi powiedziała, czy przypadkiem Alvar nie ukrywa się pod hospitalizowanym Ramirem Alvarem i tak uwodzi Estíbaliz, bo nie chce jej stracić. W skrócie: chcę wiedzieć, czy ten ostatni list nie jest przypadkiem od Alvara podpisanego jako Ramiro Alvar.

– Nie, w żadnym razie. To dwie zupełnie różne osoby. W charakterze pisma Ramira Alvara nie widać żadnych śladów fałszerstwa. Żadnego udawania. To zwykle widać na końcu słowa, które zamyka zdanie, albo w słynnym zawijasie fałszerza: lekkim drzeniu ręki, kiedy kończy podpis. To nie ten przypadek. Ten charakter pisma, od początku do końca listu, odzwierciedla psychikę osoby, która go napisała. Miałam wgląd w podobne dokumenty z innych słynnych i opisanych przypadków dysocjacyjnych zaburzeń osobowości, ale to...

– Co takiego? O czym myślisz, Marino?

– Że to coś poważniejszego niż osobowość wieloraka. Te listy wydają się napisane przez dwie różne osoby, Unai. Zapytam cię o coś, co być może wyda ci się nieprawdopodobne, ale czy możesz zapewnić mnie na sto procent, że Alvar Nograro nie żyje?

– Zmarł wiele lat temu.

– Sprawdziłeś to? Ma jakiś grób? Czy to jego szczątki spoczywają na cmentarzu? Został skremowany?

– Zaczekaj chwilę – poprosiłem. – Nie, nie jestem pewien. Ale nie możemy prosić sędziego, żeby rozkopał groby wszystkich zmarłych krewnych podejrzanego. Sąsiedzi z Ugarte również twierdzą, że wrócił do wieży bardzo chory i że niedługo potem umarł, chociaż rzeczywiście nikt nie był na pogrzebie.

– Właśnie, i to zadziwiający szczegół jak na małą miejscowość, nie sądzisz? Alvar nie był przystojnym księdzem obdarzonym urokiem osobistym?

– Może właśnie dlatego...

– Musisz wrócić do Ramira Alvara, do ANP. Dotrzeć z nim do momentu, kiedy jego osobowość się rozszczepiła. Do traumy czy stresu, który wyzwolił Alvara. No, chyba że mamy do czynienia z potężną symulacją i on nas oszukał. Albo oni.

– Oni?

– Te listy różnią się tak bardzo, że już sama nie wiem, co o tym myśleć. Nie mają żadnych punktów wspólnych, nic, zero. W ogóle mi się to nie klei w całość.

Spojrzała na zegarek.

Pierwsi studenci zaczęli wchodzić do sali, oddała mi więc listy i zdjęła lateksowe rękawiczki.

– Ostatnia sprawa – powiedziała cicho. – Twoja obecność w akademii nie pozostała niezauważona. Wiesz, że jesteś tu legendą i wszyscy bardzo cię cenią. Dyrektor chciałby ci zaproponować, żebyś poprowadził wykład o profilowaniu kryminalnym w praktyce. Na pewno twoje doświadczenie będzie bardzo cenne dla studentów. Co ty na to?

Zaskoczyła mnie ta propozycja.

– Sam nie wiem, jestem w tej chwili bardzo zajęty...

– Obiecuj mi tylko, że się nad tym zastanowisz – poprosiła.

Przerwał nam dźwięk telefonu. Pożegnałem się z doktor Leivą i odebrałem.

Dzwoniła Milán. Ona też bardzo pracowicie spędziła poranek.

– Byłaś w Urzędzie Gminy Quejana? – zapytałem.

– Tak. Trochę to trwało, ale mam już listę pracowników zatrudnionych w ostatnich latach przy pracach w kompleksie pałacowym. Klasztorze, muzeum, ogrodach i na parkingu. Żadne z tych nazwisk nic mi nie mówi. Prześlę ci ją.

– Doskonale, właśnie miałem cię o to prosić. Rozmawiałaś z doktor Guevarą?

– Tak, wysłała szczątki do Instytutu Medycyny Sądowej. Muszą zrobić testy DNA. Ale to, co odkryłeś, jest bardzo interesujące, Kraken.

– Unai – poprawiłem. – Wolałbym, żeby bliskie mi osoby traktowały mnie jak człowieka, a nie chodzącą legendę.

– Unai – poprawiła się. – No więc, jak mówiłam, wstępne oględziny dokonane przez doktor Guevarę przyniosły niejedną niespodziankę.

– Jak to?

– Tak jak przypuszczaliśmy, to trzy różne kompletne szkielety: dwa to szkielety kobiet, jeden mężczyzny. Ale okazuje się, że szkielet jednej z kobiet pochodzi ze znacznie późniejszych czasów niż te pozostałe.

– Jednym słowem, mamy kanclerza, jego żonę i współczesną intruzkę.

– Trochę za wcześnie, żeby snuć jakieś hipotezy. A badania mogą ciągnąć się tygodniami.

– Rozmawiałaś o tym wszystkim z podkomisarz Salvatierrą?

– Wszczęte zostanie osobne dochodzenie. Nie ma żadnego powiązania ze śledztwem „Władcy czasu”. Włamanie z użyciem przemocy. W sprawie profanacji grobu motyw jest niejasny, może był to zwykły akt wandalizmu. Kuria złoży doniesienie, podobnie jak Urząd Gminy Quejana. Na razie ci z Dziedzictwa Historycznego nie włączą się do sprawy, jeśli nie okaże się, że coś zniknęło. Więcej pracy dla wszystkich, a przecież i tak brakuje nam inspektor Ruiz de Gauny.

– W takim razie wyślij do Quejany ekipę techników kryminalistyki – poprosiłem. – Zobacz, czy znajdą jakieś ślady podeszew albo opon samochodowych. Nie sądzę, żeby sprawca przyszedł tam na piechotę.

– Jeśli znajdziemy jakąś konkretną markę butów, porównamy z bazą danych gromadzoną przez Brygadę do spraw Dziedzictwa Historycznego.

– Nic nie znajdziemy. To nie był zawodowiec. Nie jest notowany, nie robił tego wcześniej. I nie chodziło mu o kradzież. Interesował go grób. Ksiądz go zaskoczył, usłyszał, jak strażnik kompleksu schodzi po schodach. W tej ciszy, jaka zapada tam w nocy, dźwięki bez problemu docierają ze schodów do kaplicy. Nie chciał zabić, nie jest to też człowiek nawykły do używania przemocy. Bez trudu by unieszkodliwił księdza, kiedy leżał na ziemi, to staruszek. Napastnik nie miał broni, palnej ani białej. Użyłby jej podczas starcia. Po prostu popchnął Duranę, nic więcej.

Milán zastanawiała się chwilę nad tym, co powiedziałem. Wyobraziłem sobie, że notuje wszystko na jakimś post-icie wyjętym naprędce z kieszeni swojej obszernej budrysówki.

– Jeśli to nie złodziej ani przemocowy wandal, to o co chodzi? – zapytała w końcu.

– Ktoś szukał czegoś w grobie. Ktoś, kto już tam był. – Próbowałem ułożyć myśli. – Wcześniej przesunął płytę. Musiał mieć dostęp do kluczy dwa razy, ponad rok temu, kiedy to zrobił, i teraz, chociaż ksiądz wymienił zamek. Sprawca nie zamierzał symulować kradzieży, gdyby mu na tym zależało, sforsowałby zamek. Chciał dostać się do grobu, ukraść z niego kości albo jeszcze coś innego i odejść stamtąd niezauważony.

– A może to po prostu chuligański wybryk, który wymknął się spod kontroli – zauważyła, niezbyt przekonana do moich domysłów. –

Niewykluczone, że nigdy nie znajdziemy tego, kto to zrobił. Musimy ustalić priorytety, a na razie mamy cztery trupy i nie wiemy, kto zabił.

– Tak, oczywiście. To zagadka znacznie mniejszego kalibru.

– Jest jeszcze jedna wiadomość, Kra... Unai – poprawiła się natychmiast. – Miałeś rację co do przedmiotów zebranych na miejscu zbrodni, gdzie znaleziono ciało MatuSalema. Technicy kryminalistyki przebadali wszystkie znalezione śmieci: puszkę po napoju, pustą torebkę po pestkach słonecznika, jakieś pięćdziesiąt pustych łupin po ziarnach, opakowanie po lodach... I ołówek HB, bardzo zaostrzony.

– Znaleźli materiał genetyczny – przerwałem jej. – Na czubku. Znalaziono krew na czubku ołówka.

Pieprzony geniusz, pomyślałem. Chwała ci za to, MatuSalemie.

– Skąd wiesz?

– MatuSalem siedział w więzieniu. Tylko ktoś, kto był w więzieniu, widzi w zaostrzonym ołówku broń – wyjaśniłem. – A on zawsze miał je przy sobie. Zawsze miał ołówki, żeby zapisać na kartce to, co nie powinno znaleźć się w sieci, niezwykle uważał z internetem. Jak każdy dobry haker był paranoikiem. Jeśli chciał mieć pewność, że coś nie pozostawi śladu, uciekał się do metod analogowych. I w ten oto sposób zyskaliśmy próbkę DNA jego zabójcy.

Wyszedłem poza teren akademii. Spacerowałem chwilę ścieżkami, które kiedyś przemierzałem tak często, gubiąc się na chwilę we własnym mentalnym labiryncie. Nareszcie jakiś ślad biologiczny, nić Ariadny, która może wskaże drogę.



Od jakiegoś czasu czułem się kompletnie zagubiony, i to nie tylko dlatego, że prowadziłem najbardziej niezwykle śledztwo w swojej karierze profiler. Nie znajdowałem już w sobie tej energii, która wcześniej sprawiała, że wyskakiwałem z łóżka i z zapalem biegłem do swojego gabinetu. Czułem, że stoję na rozstaju dróg, i nie chciałem zamykać się na żadną z możliwości, jakie oferowała mi przyszłość.

Dziękuję, Maturana, pomyślałem. Jestem o krok bliżej, by pomścić twoją śmierć.

## ZA MURAMI

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

Wbiegłem na mury, Chipia poszedł za mną.

– Wyśle jeźdźca z wiadomością do Tudeli. Król Kastylii wykorzystał to, że jego kuzyn Sancho Mocny przebywa od wiosny na ziemiach muzułmanów, ale jego dwór wyśle mu wiadomość i na pewno wesprze nas posiłkami.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie nam czekać na królewski rozkaz, bo wiadomość dotrze do monarchy najwcześniej za miesiąc, a kolejny miesiąc potrwa uzyskanie odpowiedzi.

– To nie będzie potrzebne, mamy do czynienia z sytuacją wymagającą natychmiastowych działań. Myślę, że na dworze będą się trzymać poleceń władcy, który powiedział: „Victoria nie podda się mojemu kuzynowi”. Pomogą nam, będą bronić klucza do królestwa. Musimy tylko wytrzymać do jutra. Teraz najbardziej martwi mnie to, skąd nadciągnie wróg. Jeśli nadejdą od południa, od strony tej bramy, to będzie dobry znak – powiedział, wpatrując się w horyzont.

Jeszcze nie było go widać. Przed nami rozciągały się zielone pola zbóż, gdzieś rośl jakiś dąb, pracowite woły orały ziemię.

– Jeśli podejda od strony zbocza, na którym rozkłada się targ z owocami, wystawią się na niebezpieczeństwo. Ukształtowanie terenu i mury dają nam przewagę. Ulżyłoby mi, gdyby chcieli pertraktować, a nie oblegać miasto – ciągnął namiestnik. – Ale nadejdą, i to wcześniej niż później. Idę do fortecy po broń i pancerz. Tobie radziłbym zrobić to samo.

Pokiwałem głową. Poszedłem do kuźni, Lyra i jej ludzie pracowali przy wszystkich piecach. Było gorąco jak w piekle.

– Trzymaj, bracie. Oto twój hełm, czepiec kolczy, zbroja – powiedziała na głos przy wszystkich, potem jednak, kiedy wręczyła mi rynsztunek, poprosiła, żebyśmy odeszli na stronę. – Powinniśmy zapomnieć o wszystkim i wyruszyć na poszukiwanie Yennega. Niech królowie walczą sobie o fortece i granice, my powinniśmy zawalczyć o naszą własną krew.

– Nikt bardziej ode mnie i Alix nie pragnie wyjść za mury, by go szukać, Lyro. Ale... Alix wróciła, nie znalazła po nim śladu. Ty, Nagorno, Gunnarr nie natrafiliście na żaden trop w grodzie. Wiesz, co to oznacza.

Oparłem się o nią, byłem zmęczony i niewyspany, znużony poszukiwaniami, znużony myślą o zbliżającej się bitwie. Przy mojej siostrze mogłem okazać słabość, potrzebowałem tego.

– Nie boję się, że dostanę strzałę w plecy za nieposłuszeństwo namiestnikowi. Powiedz mi jedno słowo, a wezmę konia Nagorna i wyruszę na poszukiwanie – powiedziała.

– Byłabyś sama na ziemiach zaatakowanych przez wojsko rozstawione teraz po wszystkich grodach i fortcach. Nie zdołałabyś wrócić. Nie chcę cię na to narażać.

W tej chwili usłyszeliśmy hejnał. Odegrany raz, dwa razy, trzy. Niektóre trąbki grały nad naszymi głowami, dźwięk innych dochodził z oddali. Żołnierze Chipii zamykali wszystkie bramy w Villa de Suso i Nowej Victorii.

Lyra poszła do kuźni pospieszyć swoich kowali. Ja odłożyłem na razie rynsztunek, który dostałem od siostry, i wybiegłem na ulicę, która zapełniła się wozami z workami owoców, chrustem, prosiętami. Wszyscy sąsiedzi ze znajdującej się na podgrodziu uliczki cechu nożowników opuścili swoje domy i ciągnęli za mury uzbrojeni w toporki, kosy i noże.

Odszukałem Alix, która zaczęła organizować wszystkich nowo przybyłych.

– Do fortecy! Idźcie do fortecy i do kościoła!

Pośród tego tumultu i szaleństwa, które opanowało ulice, spotkałem Onnece, kiedy wychodziła z sieni. Mój widok zaskoczył ją, może nawet

speszył.

- Co tu robicie? – zapytała zmieszana.
- Przygotowujemy się na nadejście wojska. Ktoś zajął się babcią Lucią?
- Obawiam się, że w całym tym zamieszaniu nikt o niej nie pomyślał.
- Zabiorę ją, by schroniła się tam, gdzie reszta sąsiadów.

Pobiegłem do jej domu.

- Babciu, zabiorę was do kościoła, razem z innymi – powiedziałem.
- Ja zostanę, na wypadek gdyby Yennego wrócił. Nie chcę, żeby się przestraszył, kiedy wróci do domu i zastanie go pustym – odparła, nie przestając wyglądać przez okno.

– Yennego dotrze do kościoła i tam was znajdzie, nie musicie się o to martwić – zaprotestowałem. – Jest mądrzejszy niż wy czy ja. Jestem tego pewien. Idziemy!

Pozwoliła mi wziąć się na plecy, zaniósłem ją do kościoła i posadziłem na schodach przy ołtarzu. Wróciłem biegiem do kuźni, żeby wziąć pancierz, czepiec kolczy i hełm, i poszedłem do domu.

Tam nałożyłem pancierz ze skóry i metalu, kolczugę, narzuciłem na to długą tunikę z herbem rodu Vela: żbikiem na niebieskiej tynkturze i napisem wielkimi literami: „Vela, ten, który czuwa”. Włożyłem czepiec kolczy, chroniący mi szyję i ramiona, a na niego hełm, mimo panującego tego dnia upału.

Oddziały nadciągnęły wprawdzie od południa, ale dotarwszy pod gród, okrążyły go i stanęły przed Bramą Północną. Namiestnik, burmistrz, Nagorno i ja weszliśmy na mury na wysokości bramy. Chcieli pertraktować. Ktoś z białą flagą zatrzymał się wiele stóp pod nami.

– Król Alfons, ósmy władca tego imienia, przybywa, by się ułożyć. Uszanujecie zawieszenie broni?

– Uszanujemy! – odparł namiestnik i na jego znak łucznicy celujący w posłów opuścili broń.

– Jest ich około czterystu – policzył Chipia. – W grodzie jest nas prawie trzystu, nie mamy czego się bać. Nie widzę machin oblężniczych, nie

przedrą się przez mury. Mamy przewagę i król o tym wie.

„W takim razie niech to wszystko jak najszybciej się skończy, żebym mógł wyruszyć na poszukiwanie syna”, miałem ochotę powiedzieć, ale ugryzłem się w język.

Mieliśmy czekać tylko jeden dzień. Potem wojsko Nawarry przybędzie nam na pomoc, a nasza rodzina wyruszy na poszukiwanie Yennega. Jeśli nie znajdziemy go żywego, przynajmniej dowiemy się, co się stało, żeby móc spać spokojnie.

– Są wypoczęci, ich stroje są czyste, nie noszą śladów krwi – zauważyłem głośno. – Jeszcze nie przyszło im się bić. Nie są zmęczeni, nie zanotowali strat w ludziach, ich morale jest wysokie. Tacy są najniebezpieczniejsi.

– I pewnie mają mnóstwo zapasów, bo udało im się wynegocjować poddanie bez walki wielu fortec – wtrącił Nagorno.

Zbliżyło się kilku jeźdźców. Jeden z nich, dosiadający ogromnego białego rumaka, wystąpił naprzód w eskorcie dwóch rycerzy.

Król zdjął hełm. Był postawny, ramiona miał umięśnione jak łucznik. Nos szeroki i haczykowaty, być może podczas bitwy cios zmiażdżył mu nosal hełmu. Długie wąsy, zupełnie łysa głowa. Kwadratowa twarz, sposób bycia człowieka, który zasiadł na tronie, mając trzy lata. Trochę ironiczny, bardzo pewny siebie.

– Nie chcę rozlewu krwi – powiedział władczym głosem. – Przybywam upomnieć się o coś, co należy mi się w związku z traktatem z roku Pańskiego tysiąc sto siedemdziesiątego czwartego. Te ziemie należały do mnie, ale byłem wtedy młokosem i nie umiałem się bronić przed mistrzem dyplomacji, moim wujem Sanchem Mądrym. Teraz, kiedy już jestem mężem, proszę was, abyście poddali miasto, otworzyli bramy i pozwolili nam wejść. Uszanuję lokalny kodeks i zwolnienie z danin i podatków i obiecuję nie obsadzać tu fortec ani nie wysiedlać lokalnych hrabiów i seniorów, jak czynią to władcy Nawarry, przysyłając swoich namiestników, którzy nie są waszymi sąsiadami i nie wywodzą się z waszych rodów.

– Zanim zaczniecie podjudzać, Wasza Wysokość – przerwał mu Chipia – spieszę donieść, że na wyraźny rozkaz kuzyna Waszej Wysokości Victoria

się nie podda.

– Namiestnik, jak mniemam. I seniorowie grodu. – Pozdrowił nas lekkim skinieniem głowy.

– Hrabia Vela i hrabia de Maestu – krzyknąłem i odwzajemniłem pozdrowienie.

– Hrabio Vela, słyszałem smutną historię waszego dziedzica. Opowiadają o nim w gospodach. Zły moment na zamykanie bram. Nie chcecie wyruszyć na poszukiwania? Poddajcie miasto i możecie to zrobić, nie będę wam przeszkadzał.

Nagorno uniósł kuszę, ale ja powstrzymałem go dyskretnym gestem. Też mógłbym wycelować z łuku i popełnić królobójstwo, z tej odległości trafiłbym z łatwością. Ale mieliśmy tyle do stracenia...

– Jesteście królem, panie – odpowiedziałem – powinna was cechować szlachetność. Nie podejrzewam was o to, że narażalibyście na niebezpieczeństwo życie dziecka, żebyśmy poddali gród, nawet jeśli byłoby dziedzicem hrabiego z wrogiego stronnictwa.

Król uniósł głowę i spojrzał na mnie uważnie.

– To poważna zniewaga! Daruję wam życie tylko dlatego, że jestem ojcem, i gdyby mojej córce Blance coś się stało... Rozumiem wasz ból.

Miałem przed sobą pewnego siebie męża, który odważnie patrzył mi w oczy.

– Jeśli więc rozmawiamy jak ludzie honoru, możecie mi przysiąc, że nie stoicie za tym nieszczęściem? – zapytałem.

– Gdyby ktokolwiek uciekł się do tak niegodziwego występku w moim królestwie, skazałbym go na bolesną śmierć. Współczuję wam zaginięcia dziedzica, wasz ród jest legendą także na ziemiach Kastylii, nie zasłużyliście na to. Ale pomówmy o warunkach waszego poddania się, otwórzcie bramy, my uszanujemy dobrych sąsiadów, którzy zamieszkują miasto.

– To ja przemawiam w imieniu króla don Sancha, siódmego władcy tego imienia – wtrącił znów Chipia. – I miasto się nie podda. Posiłki na pewno niezwłocznie nadciągną. Bitwa odbędzie się za naszymi murami, to wszystko. Rokowania nie mają sensu, wasze uzurpacje są nielegalne.

– Zwróćcie uwagę, że to mój kuzyn został ekskomunikowany przez papieża w Rzymie za nielegalne pakt z niewiernymi. To mój kuzyn jest osamotniony w swoich żądaniach, bo ani Aragon, ani Leon, ani Portugalia nie chcą go wesprzeć. To mój kuzyn wiele miesięcy temu opuścił swoje ziemie i swoich wasalów i mieszka u Saracenów. Dlaczego macie płacić daniny królowi, którego nie znacie i który gardzi seniorami tych ziem?

Spojrzałem kątem oka na burmistrza, który niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

– Nie wiecie, co odpowiedzieć? W takim razie otwórzcie bramy! – nalegał król Alfons.

– Nic z tego. Tej nocy będziecie spać pod gołym niebem, a jutro wielu waszych żołnierzy zginie w bitwie, kiedy nadciągną posiłki. Czy król powinien tak postępować ze swoimi ludźmi? – zapytał Chipia. – Pertraktacje się zakończyły!

Król i dwaj jeźdźcy z jego eskorty odwrócili się i odjechali, my zaś zaczęliśmy schodzić na plac cmentarza obok studni.

Nagorno chwycił mnie za ramię. Stanęliśmy na pierwszym piętrze wieży.

– Ścinają drzewa na tyłach wojska. Kiedy król pertraktował, jego ludzie zdążyli już powalić siekierami kilka pni.

Spojrzeliliśmy na siebie zmartwieni.

– To nie wróży nic dobrego – mruknąłem. – Pomów z Lyrą, poproś, żeby miała jeden piec w pogotowiu, w razie czego podgrzejemy kamienny pył przyniesiony z kamieniołomów.

Nagorno odszedł bezszelestnie, jak to zwykle on, ja poszedłem na plac. Zgromadzili się na nim wszyscy sąsiedzi, wszyscy mieli miecze, lance, łuki albo młotki.

– Czy wszyscy z podgrodzia zdążyli wejść? – zapytał burmistrz.

– Nie przyszli ci z gospody La Romana. Mówią, że zostają na miejscu, że jeśli przybędą żołnierze, będą mieli zajęcie i są bezpieczni – odparł kat.

– My będziemy bronić bram Nowej Victorii – stwierdził Mendoza. – Rozmieście waszych żołnierzy na naszych wieżach. Jeśli zaatakują ze wschodu, nasze mury i ulice padną jako pierwsze.

– Nożownicy, wytwórcy kusz, piekarze i sklepikarze muszą bronić muru po wschodniej stronie, od strony bram Północnej i Południowej oraz Bramy Armería. Jesteśmy tu najwyżej i mamy najlepsze pozycje obronne, ale król będzie chciał zmusić Villa de Suso i fortecę San Vicente do poddania się. Obawiam się, że zaczną atak od naszej strony – odpowiedziała Alix.

Sąsiedzi, pomrukując, przytaknęli jej.

– Dobrze, jeden człowiek na każdą z dwudziestu czterech wież – powiedział namiestnik. – Nie mają wystarczająco dużo ludzi, żeby zaatakować dwie dzielnice naraz. Ale z pewnością wystawią strażę, żeby wiedzieć, czy wychodzimy poza mury. Idźcie teraz do kuźni, dostaniecie tam strzały, ci, którzy mają kusze, niech poproszą o bełty i całą broń, jaką udało się zrobić. Weźcie też widły, trójzęby, noże, młotki i wszystko, co może się przydać do obrony.

– Wiemy coś o fortecach na południu? – zapytał Yñigo, syn kuśnierza.

– Nie, głupcze. Bramy są zamknięte, nieprzyjaciel nas otacza, jak mam wysłać zwiadowców, żeby przywieźli wieści z południa?

– Więc to nam przyjdzie walczyć? – zapytał Mendoza. – Czy król Sancho nie powinien osobiście przyjść nam z pomocą?

– Wysłałem posłańca do Tudeli, prosząc o posiłki – przerwał mu zirytowany Chipia. – Jutro, najdalej pojutrze przybędą nasze wojska z Pampeluny. Ale musicie być czujni i gotowi na wszelki wypadek. Jeśli usłyszycie dźwięk dzwonów, ci, którzy nie noszą broni, niech schronią się w kościołach Świętego Michała i Najświętszej Marii Panny, a także w fortecy San Vicente. Teraz wszyscy rozejdźcie się do domów, będziemy czekać na odsiecz.

Tłum zaczął się rozchodzić, złorzecząc pod nosem i spoglądając na jasne błękitne niebo.

Poszedłem poszukać Alix, wciąż miałem na sobie hełm, który ścisnął mi skronie, po włosach spływał mi pot.

Alix wydawała polecenia i pomagała zorganizować się najbardziej opieszalym sąsiadom. Schroniliśmy się w sieni babci Lucii. Nie rozmawialiśmy, odkąd podzieliliśmy się na grupy, żeby szukać Yennega.



– Straciliśmy go – powiedziała zrozpaczona. – W całym tym chaosie nie znajdziemy po nim śladu, ani za murami, ani w mieście.

Objąłem ją. Czuję się bezsilny. Mówiła prawdę, nie było pocieszenia, jedynie niebezpieczeństwo czyhające za murami.

– Nie przestaniemy go szukać. Jeśli w tych dniach zniknę i nie znajdziecie mojego ciała, znaczy to, że przedarłem się przez pierścień oblężenia i pojechałem szukać naszego syna. Musisz wierzyć w to, że wrócę. Wiem, że pragnęłabyś pojechać ze mną, ale powinnaś chronić nasze nienarodzone dziecko. Na razie jesteś bezpieczniejsza, szukając Yennega w murach grodu. Rozpytaj wszystkich, skorzystaj z każdego pretekstu, żeby wślizgnąć się do domów w Nowej Victorii.

– Myślisz, że odsiecz z Pampeluny nadejdzie w po...?

Nie zdołała skończyć. Usłyszeliśmy huk rozlegający się przy Północnej Bramie.

Ktoś walił taranem oblężniczym w drewniane wrota, które mogły w każdej chwili rozpaść się na pół.

## STARY CMENTARZ

## UNAI

*Październik 2019*

– Dziękuję, że zabrałeś mnie do domu – mruknął Ramiro Alvar, siedząc na przednim fotelu mojego samochodu. – Mogłem poprosić kogoś z miasteczka, żeby mnie przywiózł.

– Wiem – odparłem, parkując przy fosie. – Długie pobyty w szpitalu źle robią na psychikę, dobrze jest czasem wyjść, choćby tylko na parę godzin. Potem odwiozę cię z powrotem. Jak się czujesz?

– Jeśli mam być szczery, umieram z tęsknoty za domem. Ale zostało mi jeszcze kilka tygodni. Rehabilitacja strasznie się ślimaczy.

Jeśli mam być szczery, powtórzyłem w myślach. To ciekawe, że Ramiro Alvar mówił o szczerości.

– Myślałem, że mnie zatrzymacie, że szpitala przewieziecie na komisariat, a potem do aresztu śledczego. Cieszę się, że już mnie nie pilnują, to było takie upokarzające.

– Nie ma dowodów na to, że zepchnąłeś inspektor Ruiz de Gaunę ze schodów – powiedziałem, ale moje dłonie same instynktownie zacisnęły się na kierownicy.

– Wiesz, o czym mówię.

– Nie wiem, sam mi powiedz, nie chcę bawić się w domysły.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę być pewien, czy nie zrobiło tego moje alter ego. – Poprawił okulary, pozwalając, by jasny kosmyk przysłonił mu pole widzenia.

- Masz bardzo złe zdanie o swoim alter ego.
- Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo złe.
- Dlatego właśnie przyjechałem tu z tobą. Chcę się dowiedzieć, chcę, żebyś w końcu powiedział mi prawdę. Chodźmy.

Otworzyłem mu drzwi, wyjąłem z bagażnika wózek inwalidzki. Wziąłem go na ręce i posadziłem na nim.

- Dokąd idziemy? – zapytał, kiedy pchałem wózek.

Na cmentarz Nogararów, pomyślałem.

- Zaraz się przekonasz.

I ruszyłem w kierunku niewielkiej rodzinnej pustelni. Otaczał ją niski płotek. I mój cel – okratowana furtka.

- Możesz wejść, nie jest zamknięta na klucz – powiedział Ramiro Alvar nerwowo.

Na cmentarzu pozostawione samym sobie bluszcze pięły się, po czym tylko się dało, kora cyprysów rosnących przy wejściu odchodziła płatami. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego i zaniedbanego, co było szokujące w przypadku rodziny tak przywiązanej do własnej przeszłości.

Zatrzymaliśmy się przed nagrobkami. Na wszystkich płytach powtarzało się imię Alvar. Był to jeden z niewielu cmentarzy bez kolumbariów, jakie widziałem w życiu. Tylko i wyłącznie mogiły w ziemi.

Spojrzałem na Ramira Alvara kątem oka i zobaczyłem, że przełyka ślinę.

- Wiesz, na czyj grób przyjechaliśmy, prawda?

- Dlaczego mi to robisz, Unai? – zapytał błagalnie.

Spróbował zawrócić wózek w kierunku furtki. Nie pozwoliłem mu na to.

– Bo zbyt mocno zaangażowałem się w to śledztwo i muszę zobaczyć cały obraz. Nie potrafię cię zrozumieć, bo pokazujesz mi tylko fragmenty. A Estíbaliz zna inne fragmenty. I utknęliśmy w miejscu. Nawet ty sam nie wiesz, czy jesteś winny. Ułożymy te puzzle, Ramiro. W którym grobie leży twój brat?

Ramiro Alvar skulił się w sobie. Wprawdzie cmentarz był zimny i ponury, ale gotów bym przysiąc, że powodem tych dreszczy było co innego.

– W tamtym, po lewej stronie. – Pokazał mi ręką.

Popchnąłem go trochę bliżej, ustawiłem wózek naprzeciwko mogiły.

„Alvar Nograro, XXIV senior rodu Nograro, 1969–1999”. To był najnowszy z nagrobków, a mimo to został uszkodzony. Ktoś rozbił go jakimś ciężkim narzędziem, granit był popękany. Ciekawe, że własny brat go nie naprawił.

– Jest pusty? – zapytałem.

– Jak to pusty? Na Boga, nie! – zawołał autentycznie przerażony. – Zmarł i został tutaj pochowany.

– Byłeś przy tym?

– Tak, sam zająłem się wszystkimi formalnościami, kiedy umarł – odpowiedział.

– A czemu nikt z miasteczka nie przyszedł na pogrzeb? Dlaczego tylko ty byłeś na uroczystości?

– Bo był złym człowiekiem! Skłócił wszystkie rodziny w Ugarte. I nikt nie chciał spotkać sąsiada na pogrzebie.

– Źle cię traktował? – przycisnąłem go.

– Przez ostatni rok swojego życia, po śmierci naszych rodziców, owszem. Zachowywał się jak ostatni kretyn.

– Ale nie zawsze tak było, prawda?

– Dopóki nie skończyłem trzynastu lat, był moim najlepszym przyjacielem, mimo że o tyle starszy. Stał się dla mnie wzorem, przewodnikiem. Potem poszedł do seminarium i wrócił zupełnie odmieniony.

– Co go zmieniło, jak myślisz? Twój ojciec? Coś, co zobaczył?

– Nie, Unai, to nie chodziło o mojego ojca.

– O co więc chodziło?

– A jeśli nie chcę tego pamiętać? – krzyknął.

Pierwszy raz słyszałem, jak krzyczy, kontrast z jego cichym zazwyczaj tonem głosu zaalarmował mnie.

– Będziesz musiał sobie przypomnieć, jeśli chcesz wybrnąć z tego galimatiasu – nalegałem.

– Nie możesz mnie do tego zmusić.

– Posłuchaj mnie, Ramiro Alvarze, bo zaczynam tracić cierpliwość. – Schyliłem się, żeby moja głowa znalazła się na wysokości jego twarzy. – Ludzie giną z powodu książki, którą napisałeś, żeby wyleczyć się ze źle zdiagnozowanego przez ciebie zaburzenia. Nie mogło pójść gorzej. Moja najlepsza przyjaciółka, która jest dla mnie jak siostra, prawie zginęła w twojej wieży, ale nadal uważa, że jesteś niewinny. Będziesz musiał zdobyć się na wysiłek, odblokować się i raz na zawsze przyjąć do wiadomości przeszłość. Co się stało z Alvarem? Jakie dramatyczne zdarzenie sprawiło, że wymyśliłeś swoje alter ego? Czemu chciałeś go zabić?

Ramirowi Alvarowi drżał podbródek, wyciągnął palec, żeby strząsnąć pył z imienia brata wyrytego na płycie.

– Podejrzewam, że zaczęło się tak, jak zaczyna się wszystko, kiedy jesteś młody. Zaczęło się od historii miłosnej.

## CHODNIK OBRONNY NA MURACH

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

Nie tylko tarany oblężnicze były dla nas zagrożeniem. Setki strzał pofrunęło na dachy. Przerażający był to widok: niebo czarne od grotów, które spadały potem na bruk, a także na cmentarz, gdzie już nie mogły zrobić nic złego.

– Zbierzcie je, będą nam potrzebne – krzyknąłem do grupki dzieci, które schroniły się pod drewnianymi deskami.

Kilka dziewczynek, których nie sparaliżował strach, wybiegło na ulicę Pescaderías, żeby odzyskać osieroczone strzały.

Nadeszła Lyra i jej kowale z kotłami rozgrzanego piasku.

– Ochroncie ich – polecił swoim żołnierzom Chipia.

Dołączyłem do nich, osłoniłem siostrę swoją tarczą, kiedy jej ludzie zaczęli wspinać się z trudem po schodach Wieży Północnej.

Kiedy dotarliśmy do blank, wyrząłem za mur i zobaczyłem, że większość wojska atakuje Bramę Północną. Nie było ich w sumie wielu. Król i jego chorąży López de Haro wiedzieli, że jeśli rozdziela żołnierzy i rozkażą atakować kilka bram, staną się łatwym celem dla łuczników i kuszników Chipii, którzy zdziesiątkują ich ze swoich okien strzelniczych z glifami.

Pod naszymi stopami ośmiu mężczyzn waliło w drzwi taranem: grubym, zaostrzonym pniem. Nie ochraniał ich skórzany daszek, jak to było

w zwyczaju, kiedy wojsko zostało należycie wyekwipowane. Wszyscy mieli żelazne hełmy i pancerze.

Lyra rozstawiła swoich kowali wiele metrów nad głowami atakujących.

– Teraz! – krzyknęła. – Zrzucajcie!

Gorący piasek spadł na taran i mężczyzn. Wsypał się przez dziury w hełmach, wielu atakujących upadło, rozpaczliwie próbowali zedrzeć z siebie pancerz.

Taran runął na ziemię, przynosząc nam chwilę wytchnienia.

Nie trwała ona długo. Z tyłu nadbiegał oddział piechoty. Mężczyźni parami nieśli drabiny, a właściwie długie kije ze szczeblami po obu stronach. Tym razem byli bardziej rozproszeni, zamierzali wspiąć się na mury nieopodal Bramy Północnej.

– Drabiny! – krzyknąłem w kierunku placu. – Wejdźcie na mury z kamieniami!

Anglesa, która na co dzień zagniatała ciasto na chleb, wbiegała po schodach, przeskakując po dwa stopnie, uzbrojona w liczne kamienie. Pobiegli za nią kowale, których Alix uczyła zawodu. Razem obronili wschodnie skrzydło. Zrzucili skały i kamienie wszelakich rozmiarów, łucznicy osłaniali ich, strzelając do żołnierzy, którzy wspinali się na mury, próbując dotrzeć do merlonów.

Niewielu udało się dostać na wysokość blanek. Nagorno ranił w brzuch bardzo szczupłego mężczyznę, który zdołał się wspiąć na wschodnią ścianę. Gunnarr rozdawał na prawo i lewo ciosy swoimi toporkami. Był zdecydowany i skuteczny, ale jego pokaźna postura i biała broda przyciągały zbyt wiele strzał, jedna z nich przeszła przez pancerz i utkwiała w ramieniu.

Podbiegłem mu pomóc, ale on schował się za merlonem.

– Będzie jeszcze czas na opatrywanie ran – powiedział z uśmiechem.

– Piłeś wywar z muchomorów? – zapytałem, widząc, jak nic sobie nie robi z sytuacji.

Gunnarr w przeszłości walczył w grupie nordyckich najemników hołdujących bardzo złym obyczajom. Przed walką zażywali sproszkowane muchomorzy i w euforii rzucali się do walki bez zbroi, niezwykle groźni.

Nazywali je „pianą Odyna”, a ja nienawidziłem, jak walczył pod ich wpływem. Zupełnie tracił rozum, bałem się o jego życie.

W tej chwili usłyszeliśmy krzyki:

– Odwrót! Odwrót!

Rozejrzałem się wokół. Wszyscy zastygli w bezruchu. Chipia oburącz trzymał nad głową wielki kamień i nie zrzucił go. Kowale, którzy wysypywali kolejny kocioł pełen gorącego piasku, spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co robić.

Wyjrzałem za mury. To nie była pułapka, tych niewielu żołnierzy, którzy zdolni byli jeszcze pobiec, salwowało się ucieczką. Niektórzy chowali się za pierwszymi drzewami, inni pędzili dalej.

Rozległ się dźwięk trąbki, rozkaz pochodził od samego króla.

Odwrót.

Gunnarr i ja westchnęliśmy, opierając czoła o mur chodnika obronnego.

Ciszę przerwały okrzyki radości. Niektórym zabrakło rozsądku i zaczęli zrzucać kolejne kamienie.

– Nie bądźcie głupi, jeszcze mogą nam się przydać! – zrugął ich Nagorno.

– Celujcie, łucznicy! Nie traćcie czujności! – rozkazał Chipia. – Sąsiedzi, nie narażajcie się na niebezpieczeństwo! Wszyscy do kościoła!

Wpadliśmy do kościoła Najświętszej Marii Panny, gdzie najstarsi mieszkańcy odmawiali po raz setny *Pater Noster*.

– Odparliśmy atak! Miasto wytrzymało! – krzyknęliśmy wszyscy w wielkim podnieceniu.

Mendoza, z twarzą draśniętą strzałami, objął kilka tkaczek.

Dzieci zaczęły tańczyć w kółko.

– Idę po swoje dudy – usłyszałem gdzieś niedaleko.

Nawet Gimeno, gruby proboszcz, który zastąpił nieszczęsnego Vidala, nie upomniał nikogo za te tańce w Domu Bożym. Usiadł na podłodze i oparł głowę na ołtarzu, wielki brzuch rozlewał mu się między nogami. Potem zamknął oczy i się przeżegnał.



Po chwili wszyscy mieszkańcy, szlachcice i rzemieślnicy, tańczyli wokół przy dźwiękach chordofonów, mandoli i lutni.

Rozglądałem się za Alix. Obejmowała babcię Lucię, która uśmiechała się tak szeroko swoim rozczulającym bezzębnym uśmiechem, że aż oczy zrobiły się jej skośne.

Usiadłem przy nich, oparłem głowę na udach Alix, pozwoliłem sobie zamknąć oczy i na chwilę zapomnieć o wszystkim. Objąłem jej brzuch i nasze nienarodzone dziecko. Pomyślałem o starszym synku, który nie mógł tańczyć z innymi dziećmi. Alix w milczeniu ścisnęła mocno moją dłoń.

Chipia przerwał nam tę radosną chwilę. Usiadł obok na schodach przy ołtarzu. Pachniał jak rzeźnik w dzień świniobicia, oddychał ciężko, z jednej brwi sączyła mu się krew, która spływała po policzku i wpadała pod kolczugę.

– To prawdziwy cud, nie było zabitych – powiedział. – Jedyne ranni od strzał i tylko dwoje poważnie. Będą musieli obciąć nogę Ortizowi de Zárate, bo wbiły się w nią aż cztery strzały i na pewno wda się gangrena. Milia, ta, która pomaga ubierać zmarłych, dostała w bok, bełt przebił trzewia.

– Wyślij sąsiadów do domów. Nie pozwólmy, żeby wino zaczęło krążyć, to świętowanie nie może potrwać całą noc – ostrzegłem go.

Rozumiałem ich radość, oni jednak wydawali się nie podzielać mojej troski o przyszłość.

Chipia wstał, kazał muzykom się uciszyć.

– Idźcie do domów odpocząć – powiedział, stając w środku tanecznego kręgu. – Wytrzymaliśmy natarcie, oddziały z Pampeluny nadciągną najpewniej jutro. Odeprą wojska króla, jesteśmy uratowani.

Alix, Lyra, Nagorno ani ja nie odpoczęliśmy tej nocy. Przeczesywaliśmy każdą sień, każdy warzywnik. Wszedłem do zakrystii i opukałem kijem każdy fragment ściany, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy zamurować mojego syna żywcem.

Ale nie znaleźliśmy nic. Ani śladu Yennega.

Wszyscy członkowie mojej rodziny odmówili powrotu do domu, więc znów się rozdzieliliśmy. Ja i Alix poszliśmy przeszukać już któryś raz domy przy ulicy Astería.

Jeszcze nie wstał świt, kiedy na niebie w kolorze indygo zobaczyliśmy łunę. Spojrzeliśmy po sobie zaniepokojeni i pobiegliśmy do Północnej Bramy.

Weszliśmy po schodach i wyjrzelśmy za mury.

– Widziałeś wcześniej coś podobnego? – zapytała przerażona Alix.

– Tak, niestety tak. To coś więcej niż kolejne natarcie. Chodźmy do fortecy San Vicente, musimy powiadomić Chipię. Nie wiem, czy miasto to wytrzyma.

## PIEC W KUŹNI

## ALVAR

*Kwiecień 1994*

Alvar wielokrotnie oglądał się za siebie. Była pora sjesty, w wieży wszyscy drzemali, Ramiro uczył się w bibliotece, ojciec spał w swoim gabinecie przy kominku. Sprawdził wszystko dokładnie przed wyjściem.

Przełknął ślinę na myśl o swoim ojcu, Lorenzu Alvarze, XXIII panu na wieży Nograro.

Już nie było odwrotu.

Już wszystko przyszykował. Był w Vitorii, wypełnił papiery. Agustín, jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, niedawno wyświęcony na kapłana, zgodził się.

– Gemmo! – szepnął, wszedłszy do opuszczonego pieca starej kuźni. – Już jestem. Musimy jechać, nie mamy zbyt wiele czasu.

Ale Gemmy wciąż nie było. Spojrzał na zegarek. Za godzinę powinni być w Vitorii. Agustín czekał na niego w kaplicy Matki Boskiej Bolesnej kościoła Świętego Wincentego. Ojciec nie będzie mógł nic zrobić. Alvar postawi go przed faktem dokonanym.

Nie zdążymy, pomyślał z niepokojem i spojrzął znów na zegarek. Przecież mówiłem jej, że nie możemy się spóźnić.

Gemma czasem taka była, trochę szalona. Uczyła się pilnie, marzyła o tym, żeby studiować oceanografię, chociaż wszyscy wiedzieli, że pewnie w końcu będzie musiała zostać w Vitorii i wybrać któryś z kierunków oferowanych przez tamtejsze uniwersytety. Ale w weekendy, kiedy

spotykali się w Ugarte, zostawiała odpowiedzialność w domu: za jej namową paczka przyjaciół organizowała kolacje, przejażdżki konne, wyprawy w góry, święta patrona wioski. Taka była Gemma, urodzona liderka. Miała gęste kręcone włosy, kwadratową twarz, wyzywającą minę. Alvar zawsze za nią szalał, od małego, ona jednak jako jedyna z dziewczyn nie zwracała na niego uwagi. Ale wszystkie pozostałe były tylko rozpaczliwym pretekstem, żeby się nim zainteresowała.

Alvaro usiadł na starym worze chrustu. Ta rozpadająca się kuźnia należała do jego rodziny, ale od ubiegłego wieku stała opuszczona. Od lat myślał o tym, żeby ją wyremontować i urządzić tu gospodarstwo agroturystyczne, a może wiejski hotelik.

Ojciec się nie zgodzi, nie lubi zmian. Wcale też tego nie potrzebowali, lecz Alvar nie chciał być kolejnym panem na wieży, który dba tylko o zachowanie majątku. Zamierzał odnowić wieżę od fundamentów, ale wiedział, że póki żyje ojciec, będzie to musiał robić powoli. Był też świadom, że ojca bardzo zezłości ten potajemny ślub.

I co z tego, ostatnio ojciec czuł się coraz gorzej.

Te upokarzające przebieranki. Nawet na kolację schodził przebrany, zmieniał głos, zaczynał mówić starą odmianą kastylijskiego. Ostatni psychiatra nie uwierzył w diagnozę osobowości wielorakiej. Uważał, że to gra. Że ma do czynienia z transwestytą, który nie chce się pogodzić ze swoimi skłonnościami.

Biedna mama, pomyślał kolejny już raz, ileż ona musi znieść.

Wyjrzał przez niewielkie okienko starego budynku. Widział w oddali tylko sąsiadów z Ugarte.

Polityka faktów dokonanych, powtarzał, to moja broń: fakty dokonane.

Ale Gemma nie nadchodziła i nie zdążą na swój własny ślub w Vitorii. Wstał. Pójdzie po nią do domu, chociaż było to ryzykowne. Babcia Gemmy nic nie powie, zawsze była jego cichą sojuszniczką.

Szedł w kierunku drzwi, kiedy te otworzyły się powoli. Odetchnął z ulgą. Niełatwo się denerwował, ale teraz trochę drżały mu ręce.

Nie oczekiwał, że ją tu zobaczy. Nie ją.

Bał się, że ojciec się dowie, że sąsiedzi z Ugarte będą plotkować, że sam wpadnie w szal, jak wtedy, gdy ojciec przebierał się za wojskowego.

Ale nie spodziewał się, że przyjdzie tu jego matka. Inés miała zmartwioną minę, skórę za bardzo opaloną w solarium, na nadgarstku złote bransoletki, których nigdy nie zdejmowała, odwieczny żakiet świętoszki zarzucony na ramiona. Kochał ją bardzo, była jego jedyną sojuszniczką w domu, byli bardzo do siebie przywiązani.

– Co tu robisz, mamó?

Minę miała poważną, być może zbyt poważną.

– Rozwiązuję twoje problemy życiowe.

Alvara zaalarmowały te słowa, nieświadomie cofnął się o krok.

– Nie wiem, co słyszałaś, ale...

– Usiądź, Alvarze.

Wskazała jedyny worek, który mógł służyć za siedzenie. Nie uśmiechała się. Nie było to normalne, zawsze starała się być cierpliwa, dobrze wychowana i niezmiennie miała uśmiech na twarzy.

– Muszę już iść. – Znów spojrzał na zegarek.

Jeśli Gemma wejdzie w tym momencie, będzie katastrofa.

– Nie będzie żadnego ślubu – powiedziała matka i wyjęła z kieszeni dokumenty, które, jak sądził Alvar, były w jego teczce.

Inés podarła papiery na drobne kawałeczki. Małeńkie, nie zostało ani jedno czytelne słowo.

– Rozumiem, że jesteś zła, bo nie powiedziałem wam, że zamierzam się ożenić. Wiem, że w naszej rodzinie to bardzo poważna decyzja. Pozwól, że ci wyjaśnię. Gemma jest w ciąży. A ja chcę z nią być...

– Jak z tyloma innymi, Alvarze – przerwała matka i usiadła obok.

Wzięła syna za rękę z poważną miną. Patrzyła na nią, nie unosząc głowy.

– Nie, tym razem jest inaczej – próbował wyjaśnić Alvar. – I nie chodzi tylko o ciążę. Wiem, że mi nie wierzysz, zawsze powtarzasz, że jestem niestały w uczuciach, że w życiu wszystko przychodzi mi zbyt łatwo, że

kiedy przyszedłem na świat, miałem już zapewnioną przyszłość. Ale chcę być z Gemmą, chcę zająć się naszym synem lub naszą córką.

Nagle usłyszeli odgłosy z zewnątrz.

– To ona! – Alvar, pełen nadziei, zerwał się z siedziska.

– Usiądź, to pewnie jakiś pies. To nie Gemma, Alvarze.

Po drugiej stronie drzwi Ramiro nasłuchiwał w ciszy. Zauważył, że ostatnio Alvar jest bardzo niespokojny. Był też dyskretnym świadkiem nocnych wycieczek matki. Okłamywania ojca, wyjazdów do Vitorii. Jego dom przypominał gniazdo średniowiecznych konspiratorów. Intrygi, milczenie, udawane uśmiechy. A młodemu Ramirowi, ukrywającemu się za szklami swoich okularów, nic nie umykało. Śledził Alvara, bo zrozumiał, że knuje coś z Gemmą. Była od niego pięć lat starsza, Ramiro, trzynastolatek beznadziejnie zakochany w osiemnastolatce, zawsze miał na Gemmę oko. Chciał sprawdzić, jaką niespodziankę szykuje brat. Chciał się dowiedzieć, czy są razem i, w takim przypadku, wyrzucić ją ze swojego serca. Nie zamierzał komplikować życia Alvarowi, jeśli Gemma naprawdę coś dla niego znaczyła.

Zastygł w bezruchu, modląc się po cichu, żeby brat albo matka nie wyszli teraz z kuźni i nie przyłapali go na szpiegowaniu.

– A skąd wiesz, że to nie ona? – doszedł go z kuźni nerwowy głos Alvara.

– Bo wczoraj w nocy wyjechała z Ugarte.

Kilka sekund zajęło Alvarowi połączenie kropek. Rozmawiał z nią ostatni raz w sobotnie popołudnie. Gadali długo, dopięli swoje plany na ostatni guzik.

– Jest w Vitorii? – Usiadł, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało.

– Zabroniłam jej tego.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie wróci nigdy ani do Ugarte, ani do Vitorii.

– Nie wierzę. Co zrobiłaś?

– Zapłaciłam jej. Mnóstwo pieniędzy. Za to, że stąd wyjedzie, że już nigdy się z tobą nie zobaczy, że pozbędzie się dziecka, które w żadnym

razie nie powinno się urodzić.

Nie. Tylko nie moje dziecko, pomyślał z przerażeniem.

Pierwszy raz naprawdę poczuł, że jest ojcem. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Była to tylko abstrakcyjna, ale przyjemna perspektywa, kiedy mu powiedziała. Liczyła się Gemma. Ale teraz? Jego dziecko? Gemma miała pozbyć się jego dziecka? Bez porozumienia z nim?

– Co? Co ty w ogóle mówisz? Że moje dziecko nie powinno się urodzić? Klasowa wyższość cię zaślepia?

– Klasowa wyższość? Nic nie rozumiesz, synu. Całe życie mieszkasz w Ugarte i wciąż nic nie rozumiesz.

– A co miałbym niby zrozumieć? Dlaczego nigdy nie lubiłaś Gemmy ani jej matki, ani ojca, ani nikogo z tej rodziny?

Matka westchnęła. Trudno było jej o tym mówić. Jaki wstyd opowiadać to własnemu dziecku. Wracać do czegoś, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Przeklęty Lorenzo Alvar. Przeklęty XXIII pan na wieży.

– Bo ona jest twoją siostrą – wydusiła w końcu.

Powiedziała całą prawdę, bez ogródek.

– Co?

– Twój ojciec zrobił dziecko jej matce. My byliśmy już małżeństwem, ty miałaś sześć lat. Miała narzeczonego, wzięli szybko ślub. Wszyscy wiedzieli, że dziewczynka, która się urodziła, nie była wcześniakiem. Gemma jest córką twojego ojca. Jesteście przyrodnim rodzeństwem. I nierozsądnie byłoby, gdybyście mieli dziecko.

– Zakochałem się we własnej siostrze?

– Niestety tak.

– Sypiałem z własną siostrą?

– Obawiam się, że tak.

– I nikt... nikt w Ugarte nam o tym nie powiedział?

– Kto miałby ci powiedzieć? Byłeś już ze wszystkimi dziewczynami w miasteczku i w okolicach, godny następcą uganiającego się za spódniczkami tatusia. Wszyscy myśleliśmy, że nie potrwa to dłużej niż tydzień. Po co odkopywać stary skandal i burzyć spokój dwóch rodzin?

– A Gemma i ja? Ktoś pomyślał o tym, że to zrujnuje nam życie?

– Dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Musiałam was powstrzymać.

Alvar potrzebował chwili, żeby przyjąć do wiadomości to, co usłyszał, i uwierzyć. Podniósł głowę, rozejrzał się wokół, po kuźni, która przez tyle lat służyła mu za miejsce schadzek. Poczł się jak chłopczyk grający w teatrze, podczas gdy cała wieś przygląda się temu nieodpowiedzialnemu widowisku. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy milczeli. Wszyscy znali koniec tej historii.

A wydawało mi się, że dziś stanę się dorosły, będę żonatym mężczyzną, pomyślał gorzko.

Westchnął głęboko. Pogodził się z prawdą.

– Więc rozmawiałaś z Gemmą. Co jej powiedziałaś? – zapytał innym głosem. Poważniejszym, niższym. Tym, którego używał, kiedy próbował kogoś uwieść i chciał wydawać się starszy.

– Wszystko.

– Wszystko?

– Wczoraj dowiedziała się, że jest w ciąży ze swoim przyrodnim bratem. Płakała. Dużo płakała. Zaproponowałam jej pieniądze, żeby wyjechała, żeby skończyła te bezsensowne studia, które sobie wymarzyła. Podarowałam jej życie.

Życie. Życie beze mnie. I zgodziła się.

– Ile? – zapytał.

– Dużo.

– Ile?

– Na początku zaproponowałam jej pięćdziesiąt milionów peset.

– Zwariowałaś? A tata? Co będzie, jak się dowie?

– Od dawna już twój ojciec nie ma pojęcia o stanie swoich kont bankowych. Wszystko idzie dobrze. Nasi prawnicy wiedzą, co robią, informują nas o wszystkich posunięciach. On, a właściwie on, kiedy jest sobą, nawet nie zachowuje pozorów, że go to cokolwiek obchodzi.

Była zmęczona. Ciągłym udawaniem. Ukrywaniem choroby męża, żeby nikt się nie domyślił, że jest chory psychicznie, że można go



ubezwłasnowolnić i zabrać mu wszystko.

Tyle napięcia. Sprawowanie kontroli nad wszystkim. Czy było warto?

To dla nich, powtórzyła sobie raz jeszcze Inés, spoglądając na złote pierścionki na swoich palcach. Dla Alvara. Dla Ramira. Dla nich.

– Powiedziałaś, ile zaproponowałeś jej na początku. A ile zapłaciłaś?

– Targowała się. W końcu przystała na osiemdziesiąt milionów.

– Targowała się? Targowała, żeby pozbyć się naszego dziecka? Targowała się o cenę aborcji? O to, że nigdy nie zobaczy swojej rodziny i nie będzie mogła się ze mną pożegnać?

– Nie powinieneś jej nienawidzić za to, co zrobiła. Była równie przerażona jak ty, kiedy dowiedziała się, że jesteście rodzeństwem.

– Ale wyklócała się o cenę – wymamrotał Alvar.

Już nie mówił do matki, lecz do siebie. Opowiadał sobie historię, która będzie mu się przypominała każdej nocy aż do samej śmierci.

Chciał poznać całą prawdę.

– Jak się dowiedziałeś, że dziś mam wziąć ślub? – zapytał.

– Agustín – powiedziała tylko.

I ty, Brutusie? Mój najlepszy przyjacielu? Ty też?

I wtedy to poczuł.

Niemal fizyczne doznanie.

Runął ciężko, jak worek u jego stóp.

Szacunek.

Dla matki, tej kobiety, która go urodziła, wychowała, zawsze go słuchała, była jego sojuszniczką.

Trzy maski rozdarły się tego dnia: matki, Gemmy i Agustina.

– Dobrze – powiedział w końcu i wstał. – Nie ożenię się. Ani z nią, ani z nikim innym. Kto wie, ile mam tu sióstr. Jutro wstąpię do seminarium. I nie zabronisz mi tego. Tak w naszej rodzinie bywało. Mogę to zrobić. Ramiro Alvar odziedziczy majątek. Nie chcę go. Nic od was nie chcę. Żegnaj, mamó. Dziękuję, że ustaliłaś za mnie cenę. Teraz już wiem, ile jestem wart.

I wyszedł.

Ramiro, który awansował już na Ramira Alvara, skulił się w zbożu, żeby brat go nie zobaczył, gdy wychodził wściekły z kuźni.

Pchnął tak mocno drzwi, że stare, pozbijane dawno temu deski nie wytrzymały i drzwi się rozpadły. Nie dało się ich naprawić. „Jaka szkoda”, mówili wszyscy, były stare i piękne. W ich miejsce wstawiono nowe drzwi, ale nigdy nie pasowały dokładnie, a drewno nie było równie mocne.

Ramiro Alvar tak się przestraszył, że aż przewrócił się na ziemię. Okulary spadły mu z nosa i wylądowały na kamieniu. Jedno ze szkieł zbiło się, przypominało teraz pajęczynę.

Już nie zobaczył tego dnia swojego brata. Usłyszał tylko od zdezorientowanego ojca, że poczuł powołanie i natychmiast wstąpił do seminarium w Vitorii.

Tego wieczoru jedli kolację w milczeniu. Wszyscy troje. Ojciec, zrozpaczony, zasiadł do stołu w przebraniu służącej. Matka nie zauważyła nawet, że Ramiro Alvar ma zbite okulary. Spojrzenia zawieszono w pustce, metaliczne odgłosy srebrnych łyżek stukających o porcelanę przodków. Kogucie grzebienie, których nikt nie śmiał tknąć, bo były ulubionym daniem Alvara, nawet spoglądanie na nie wydawało im się świętokradztwem.

Nieobecność szalonego Alvara zmieniła życie codzienne w bańce, jaką był dom w wieży. Matka, być może zmęczona udawaniem, że jej życie to sielankowe następstwo kolejnych przyjemnych dni, a może przytłoczona poczuciem winy, przestała się uśmiechać.

Kiedy Alvar wracał z seminarium, cały domowy ekosystem wywracał się do góry nogami. Wyniosły, frywolny, uwodzicielski dla ludzi z zewnątrz, zimny i nieczuły dla bliskich. Nie próżnował w Ugarte. Charyzmę zostawiał dla swoich dziewczyn. Godny następcą ojca, wiele razy wracał do starej kuźni w towarzystwie. Tyle że teraz nosił sutannę.

Ramiro Alvar patrzył tylko, zastanawiając się, dokąd odszedł jego starszy brat, dotąd wzór i najlepszy przyjaciel, i czemu nie wraca. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

Nikt nie wiedział też, dlaczego to Inés prowadziła, kiedy mieli wypadek na górzystej drodze do Vitorii.

Widok martwego ciała ojca w stroju pokojówki na stalowym łóżku poruszył Ramira Alvara do głębi.

– Jeśli twoje alter ego umarło, gdzie jesteś ty, tato? Czemu do mnie nie wrócisz? – szepnął mu do zimnego ucha, które już nie mogło usłyszeć jego słów.

Alvar też nie słuchał, stali tak obaj wpatrzeni w ciała, świadomi, że zostali na świecie sami. Ramiro nie widział brata od dwóch lat. Słyszał tylko wymówki, kiedy pytał o to matkę. Zasłony dymne obrażające jego inteligencję.

Zrozumiał powód, przynajmniej częściowo, kiedy zobaczył, jak wchodzi do kostnicy z laską, zmieniony przedwcześnie w starca. Zmęczony i obolały, z twarzą białą jak kreda przez anemię, pod sutanną nie pozostał ślad po dawnym wigorze. I nie zrozumiał wówczas, dlaczego tak się stało, ale Ramiro wyczuł w Alvarze coś nowego, wrogość wobec siebie, agresję.

– To właśnie robiła nasza matka. Była w tym świetna, co? – Alvar odezwał się w końcu do brata.

– Nie rozumiem. Co takiego robiła?

– Kierowała losami naszej rodziny tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. To robiła.

## POSIŁKI

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

– Dobrze, Alix. Mam plan. Porozmawiaj ze wszystkimi krawcami.

Zeszliśmy na plac i patykiem na piasku narysowałem jej swój plan.

Alix ukucnęła i poświeciła sobie pochodnią.

– Wystarczy mi dziewięć stóp. Niech zostawią wszystko, niech mężczyźni i kobiety w grodzie jak jeden mąż pójdą do szwalni. Bez chwili odpoczynku.

– Myślisz, że to powstrzyma te olbrzymie maszyny?

– Nie, nie myślę, ale chwytam się ostatniej deski ratunku.

Poszedłem do rzeźnika, mocno zastukałem kołatką. Otworzył mi jeszcze nieubrany, w koszuli nocnej, która nie do końca zasłaniała jego owłosione nogi.

– Zabij mi pół tuzina prosiaków. Tych najbardziej tłustych.

Moje słowa natychmiast go obudziły.

– Nie byłoby mądrzej zachować je na później?

– Nigdy nie będą miały więcej tłuszczu niż teraz. Chcę, żebyście wy, rzeźnicy, przynieśli mi tyle słoniny, ile dacie radę. Mamy duże zapasy soli z Añany, resztę mięsa zasolcie.

Wyszedłem na plac, pół grodu było już na chodniku na koronie muru obronnego. Ja też wspiąłem się po drewnianych schodach na wieżę.

Blask pochodni oświetlał wojsko, tym razem o wiele liczniejsze, zbliżające się do grodu.

Zacząłem szukać Chipii. Zobaczyłem go z daleka przy Bramie Północnej. Wydawał rozkazy łucznikom, którzy napełniali kosze strzałami. Podbiegłem do niego.

– Jak sądzicie, ilu ich jest?

– Co najmniej trzy tysiące – odpowiedział zmartwiony. Na jego ustach nie było śladu po tym ironicznym uśmiechu, jaki zawsze mu towarzyszył. –

I niestety, to nie są nasi. Widziałem chorągwie Zakonu Rycerskiego Kalatrawy i Zakonu Świętego Jakuba, potężni sojusznicy wspierają Alfonsa Ósmego. Nadciągają z trzema wieżami oblężniczymi ciągniętymi przez woły. Trzy olbrzymie wieże i inne wynalazki. Atak nastąpi za chwilę, wykorzystają to, że nie dotarły do nas jeszcze posiłki z Pampeluny. Muszę wam pogratulować, to był doskonały pomysł, żeby użyć rozgrzanego piasku zamiast oliwy.

– Oliwa jest droga, nie mamy zbyt wielkich zapasów. Prawdopodobnie będziemy jej jeszcze potrzebować. Nie chciałem marnować tak cennego towaru.

– Ktoś mniej doświadczony na pewno użyłby go w obliczu ataku.

– Nie myślę tylko o dniu dzisiejszym ani o tym, co zdarzy się za miesiąc. Zakładam najgorsze, że będą nas oblegać przez całe długie miesiące, oliwa będzie nam bardziej potrzebna niż piasek. A skoro mamy murowane domy i murki ogradzające warzywniki, zawsze można zrobić z nich piasek w moździerzach i podgrzać go w kuźni. Zostawiam was, muszę pomówić z rodzeństwem.

Pobiegłem do kuźni. Lyra i Nagorno rozdawali broń. Nagorno miał kilka koszy bełtów dla kuszników z Nowej Victorii.

– Lyro, zrób mi trochę większych strzał. Dłuższych i grubszych. Muszą wytrzymać duże obciążenie. Nie ma czasu na dodanie im pierścieni, pošlij kogoś do powroźników, niech przyniosą nam sznury.

Wyjaśniłem im pokrótce swój plan. Oboje pokiwali głowami.

– Potrzebny będzie ktoś, kto celnie strzela. Tylko ty i ja zachowamy spokój w takiej chwili – mruknął Nagorno.

– Wiem o tym – odparłem. – Zrobimy to razem. Nie będę nawet wspominał Chipii o swoim planie, nie chcę ryzykować, że nam zabroni. Czeka na pomoc, która chyba nie nadejdzie. Boję się, że pozabijają nas przez tę zwodniczą nadzieję.

Nie skończyłem mówić, kiedy na dachy posypały się pierwsze kamienie. Rozległy się krzyki, trzask drewna miażdżonego siłą uderzenia.

Wszyscy troje wypadliśmy na ulicę.

– Mają onagery i trebusze! – krzyknąłem. – Lyro, zrób te strzały jak najszybciej!

Nie tylko miotali olbrzymimi kamieniami ze swoich machin wojennych, z nieba zaczęły też spadać kule płonącej słomy, które podpalały dachy.

Ulice napęłniły się czarnym dymem, fasady budynków zaczęły się kruszyć.

– Wszyscy do kościoła! – usłyszałem czyjś głos. – Wszyscy do Najświętszej Marii Panny.

Potem zalał nas deszcz strzał. Tym razem już nikt się po nie nie schylał. Zobaczyłem małą dziewczynkę, młodszą córkę kobiety ubierającej zmarłych. Pobiegłem za nią, nie miała jeszcze pięciu lat. Już miałem złapać ją w ramiona, ale ubiegła mnie strzała. Przeszyła jej plecy. Nie ruszała się, kiedy do niej dopadłem. Podniosłem jej ciało, schowałem je w pierwszej po drodze sieni, obiecując sobie, że wrócę po nią po napadzie, żeby wyprawić chrześcijański pogrzeb.

Będzie jakieś „po napadzie”? – zastanawiałem się.

Mogli nas wybić do nogi. Mogli ostrzeliwać nas podpaloną słomą, kamieniami i strzałami, póki nie pozostanie kamień na kamieniu. Potem zasiedlą na nowo gród i po dwóch pokoleniach nikt już nie będzie o nas pamiętał.

Pobiegłem do składów kupców bławatnych.

– Przywieźli wam już słoninę? – zapytałem.

– Wciąż biją świnię, jak kazaliście, panie, ale przynieśli nam już słoninę, którą mieli na sprzedaż.

– Rozłóżcie w takim razie materiały na podłodze i wsmarujcie w nie słońcę. Wkrótce po nie przyjdę, nie wydaje mi się, żebyśmy długo wytrzymali.

Usłyszałem odgłosy potyczek z podgrodzia. Onagery bombardowały mury obronne. Nie były to maszyny zbyt precyzyjne, ale dowódca, doświadczony żołnierz, lokował je tam, gdzie robiły najwięcej szkód: przed bramą wieżową albo w najsłabszych punktach obrony.

Spojrzałem na chodnik obronny. Chipia dobrze obsadził okna strzelnicze łucznikami i kusznikami. Zaglądałem do każdego podpalonego domu, żeby sprawdzić, czy nie słychać krzyków i nikt nie został uwięziony w środku.

Wszedłem do wielu piekieł, w jednym z nich płonąca belka uderzyła mnie zdradziecko w ramię i poparzyła. W końcu usłyszałem nawoływania.

– Hrabio Vela, brat i siostra szukają was, panie. Mówią, że czekają w kuźni i żebyście przynieśli płótna!

Długą chwilę później wchodziliśmy z Nagornem na koronę murów od strony Bramy Północnej. Ujrzeliśmy przed sobą gigantyczną wieżę oblężniczą. Jedną z trzech. Zbliżała się do murów. Była to wielopiętrowa maszyna, woły podciągnęły ją do pierwszej fosy, ale grupa żołnierzy już wrzucała do niej wiązki gałęzi, by zasypać otwór, ułożyć na nim deski i doprowadzić wieżę pod same mury.

Jeśli żołnierze znajdą się na wysokości blanek i wedrą się do grodu, nie zdołamy pokonać trzech tysięcy ludzi.

Mój brat i ja mieliśmy długie cisowe łuki, takie, jakich używali Anglowie, i potężne strzały, których końce przywiązane były sznurami do ogromnego kawałka płótna.

Nagorno powąchał powietrze, jakby był dzikiem stojącym przed bukszpanem.

– Wiatr wieje od południa, to będzie piękny widok – mruknął ochrypłym głosem.

Rozstąpiliśmy się na wiele łokci. Wielkie płótno, nasączone świńskim tłuszczem, ważyło swoje. Naciągnąłem cięciwę poparzoną ręką i uważnie wycelowałem. Odchyliłem się do tyłu.

– Celuj! – krzyknąłem do brata, wstrzymałem oddech, a potem wypuściłem powietrze. – Strzelaj!

Dwie strzały wystartowały jednocześnie i wbiły się w wysokie deski wieży oblężniczej. Płótno opasało wieżę.

Lyra podała mi strzałę z zapalonym grotem. Inni kowale podali takie strzały czterem towarzyszącym nam łucznikom.

– Celuj! – krzyknąłem. – Strzelaj!

Wszystkie płonące strzały wbiły się w tkaninę, tłuszcz zapłonął. Niebieskie i czerwone języki ognia zaczęły pożerać wieżę oblężniczą, żołnierze, którzy znajdowali się na jej dwóch piętrach, rzucili się na ziemię spowici płomieniami. Podmuch wiatru, który okazał się naszym sprzymierzeńcem, rozbuchał jeszcze ogień. Osmalone deski zaczęły się sypać do stóp murów.

Niektórzy z naszych ludzi wzniesli okrzyki radości i padli sobie w ramiona, ale Lyra, Nagorno i ja zbiegliśmy po schodach. Kolejna machina zbliżała się do nas od strony podgrodzia nożowników.

Znów wspięliśmy się na chodnik obronny, ulicą Astería kupcy bławatni nieśli na ramionach kolejny wielki kawałek nasączonego tłuszczem materiału. Osłaniali się nim przed strzałami. Widziałem trupy pod naszymi stopami, ale biegliśmy tak szybko, że nie zdążyłem ich rozpoznać, dostrzegłem tylko wystające spod gruzów nadpalone czepki i nieruchome nogi pokryte sadzą.

Druga wieża nie runęła w całości. Żołnierze, przygotowani na nasz ruch, czekali, aż wystrzelimy dwie pierwsze strzały z płótnem, po czym zaczęli od dołu ciągnąć za materiał. Udało nam się wbić kilka płonących grotów, zanim go zerwali, ale spłonęła tylko podstawa wieży.

– Wystarczy! – krzyknął do mnie Nagorno. – Na razie ich powstrzymaliśmy, nie zdołają pokonać murów od wschodu. Pora na trzecią wieżę!

– Idziemy, ale tę naprawią, nie zniszczyliśmy jej całkowicie – odparłem.

Trzecia machina zbliżała się do murów Nowej Victorii na wysokości zaułka Ciemnej Bramy. Ortiz de Zárate utorował nam drogę przez zaułek Angevín, odwaliwszy gruz.



Tym razem wieża prawie dotknęła murów. Niektórzy żołnierze wyciągali już powiązane deski, żeby oprzeć je o blanki. Mendoza i jego ludzie pruli do nich z kusz, ani na chwilę nie przerywając ostrzału. Deski spadły w przepaść.

– Celuj! – krzyknąłem, chociaż dzieliło nas zaledwie kilka metrów. – Strzelaj!

Trzecie płótno opięło ostatnią z wież oblężniczych i nowa porcja płonących strzał podpaliła wielką machinę, która wkrótce spłonęła doszczętnie.

Stary Mendoza mający na sobie płaszcz z herbem rodowym – czerwony pas na zielonej tynkturze – lekko pokiwał głową, bardzo poważny. Chyba nam dziękował, odpowiedziałem mu skinieniem głowy.

Mogliśmy działać dalej, mogliśmy podpalić onagery i spróbować poparzyć żołnierzy atakujących mury, ale usłyszeliśmy zbawienny okrzyk:

– Odwrót!

Ku naszemu zdziwieniu zawtórowało mu powtarzające się echo głosów:

– Odwrót – usłyszeliśmy od strony drogi do Cruz Blanca.

– Odwrót! To rozkaz króla! – dobiegł nas głos z Campillo de los Chopos.

Ucichł świst strzał, ucichł przeraźliwy huk kamieni kruszących mury. Pozostało tylko szemranie płomieni pochłaniających dachy i krzyki sąsiadów nawołujących swoje matki, mężów, córki i dziadków.

– Sancha! Czy ktoś widział Sanchę?

– Paricio, krzyknij, jeśli mnie słyszysz!

– Muño, wytrzymaj! – krzyczała żona rzeźnika. – Niech ktoś mi pomoże, utknął przywalony wrotami do warsztatu!

Tego dnia nie wybuchła euforia.

Setki osmalonych widm z wysiłkiem odwalało gruz. W kurnikach gdakały przerażone kury, których nikt nie miał czasu ratować.

A ja odrzuciłem łuk i zbiegłem z wieży.

– Yennego! – krzyczałem i krzyczałem, nawoływałem go przez kilka godzin, aż w końcu straciłem głos. – Yennego, synku, tutaj jestem!

## ROZBITA PŁYTA NAGROBNA

## UNAI

*Październik 2019*

- Wtedy zacząłeś być nim? Po śmierci twoich rodziców?
- Nie, to stało się później, po jego własnej śmierci.
- Co się wydarzyło przez ten rok? Kiedy ty osiągałeś pełnoletność, a Alvar wrócił do wieży?
- To było prawdziwe piekło. Alvar zmienił moje życie w piekło.
- Dlaczego? Dlaczego cię nienawidził?
- Nie zrozumiesz tego. Umarł przeze mnie.
- Jak możesz obwiniać się za jego śmierć? Zmarł, bo był chory. To nie twoja wina. Nie mogłeś uratować mu życia.

Ramiro Alvar zacisnął dłonie na podłokietnikach wózka inwalidzkiego i wstał. Był rozsierdzony.

Zapaliło mi się czerwone światełko. On stanął przede mną. Czekałem na atak. Cały się trząsał.

Usta, broda.

Nawet jego słowa drżały.

- Owszem, mogłem. Właśnie, że mogłem. Miał talasemię, dziedziczną chorobę krwi, niektórzy członkowie mojej rodziny na nią cierpieli. Jedni na łagodniejsze postaci, inni chorowali ciężiej. W jego przypadku była to bardzo ciężka postać anemii, okropnie cierpiał. Musiał znosić niedokrwistość, nieustanne infekcje. Choroba zniszczyła mu śledzionę,

serce, wątrobę i kości. Miał potworne bóle kości, doznał złamań nóg, uzależnił się od środków przeciwbólowych. Kiedy wrócił do domu, jego stan był zbyt ciężki i było już za późno, ale przeszczep szpiku w porę uratowały mu życie. A ja byłem jego bratem. Mogłem zostać dawcą.

– A czemu nie...?

– Bo tego nie wiedziałem, na Boga! Bo Alvar i moja matka tak się nienawidzili, że kiedy Alvarowi postawiono diagnozę, nie wspomniała mi o tym słowem przez te dwa lata. Nigdy mu nie wybaczyła, że kiedy wracał do Ugarte, zachowywał się tak, żeby wystawić rodzinę na pośmiewisko. Przez niego kłóciły się przyjaciółki, rodziny zrywały ze sobą stosunki. Chciał przynosić nam wstyd. Chciał nas ośmieszyć. Karał ją za to, co zrobiła z Gemmą. A moja matka... nie powiedziała nam o talasemii. Ojciec w tamtym czasie chodził cały czas naćpany lekami, przedostatni psychiatra zdiagnozował go jako pacjenta z psychozą. Nic do niego nie docierało. Jak miała mu powiedzieć, że jego pierworodny syn umrze wcześniej niż on? A że nie powiedziała mnie... Mama była dla mnie dobra, ale o to mam do niej straszny żal.

– A Alvar?

– Alvar myślał, że nie chciałem zostać dawcą szpiku, matka pragnęła mu pokazać, że cała rodzina się od niego odwróciła przez to, jak zachowywał się w Ugarte. A on niestety w to uwierzył, niech to szlag! Jak mógł tak źle osądzić własnego brata?! Alvar zamieszkał ze mną w wieży, ale odnosił się do mnie z pogardą, był agresywny i chamski. Każdego dnia przypominał mi o tym, że to przeze mnie tak bardzo cierpi. Nie słuchał mnie. Nie było sposobu, żeby go przekonać. Jego osobowość zmieniła się, a uzależnienie od środków przeciwbólowych i ciągłe cierpienie tylko pogarszały sytuację. Mówią, że ból odczłowiecza i ci, którzy opiekują się takimi pacjentami, sami potrzebują opieki. Mogę to potwierdzić. Ten rok, kiedy miałem skończyć osiemnaście lat, był dla mnie piekłem na ziemi. I sądzę też, że Alvar żył w jakiejś rzeczywistości równoległej, że tylko od czasu do czasu przyjmował do wiadomości prawdę. Wtedy, kiedy było mu to na rękę.

– I zostałeś sam.

– Nie całkiem. Oni wciąż mieszkają w mojej głowie. Alvar, mój ojciec, moi wujowie, dziadkowie, których poznałem, i ci, których znam tylko

z opowieści. Cały pieprzony ród zamieszkał w mojej głowie. Nie, nie jestem sam. Mam w tej wieży liczne towarzystwo. Na razie tylko Alvar zmienił się w alter ego, ale cała reszta pojawi się, kiedy nadejdzie ich czas. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem skończyć ze swoim alter ego?

Zdziwiły mnie jego słowa. Ramiro Alvar nigdy nie przeklinał. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że w przyпадку złości sam podniósł się z wózka mimo złamanej nogi.

– Jak ci się udało ukrywać to przed całym światem? – zapytałem. – Sąsiedzi często cię odwiedzają. Jest Claudia, która przychodzi do ciebie codziennie, współpracujesz ze swoim adwokatem, z wydawcą... Jak to się stało, że nikt nie widział cię w przebraniu, dopóki nie pokazała się Estíbaliz?

– Próbuję to kontrolować. Udaję. Po to studiowałem psychiatrię. Nauczyłem się gasić światło, kiedy ktoś zbliża się do wieży. A teraz żyję przerażony myślą, że Alvar może powrócić, że nie odszedł całkiem, jak napisałem w powieści. Zniknął na rok, ale znów się uaktywnił za sprawą twojej partnerki, to jedyna kobieta od czasów Gemmy, w której się zakochał.

To jak obłąkanie, pomyślałem. Ramiro Alvar próbuje obronić swoją wieżę zza murów, nie pozwalając potworowi się ukazać, kiedy zbliża się zagrożenie.

– Być może nie będziesz musiał go eliminować – zasugerowałem.

Spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Jak miałbym nie chcieć go wyeliminować?

– Wiem, to twoje alter ego, które zachowuje się agresywnie. Znęca się nad tobą za to, że jesteś taki pasywny.

– Tak. Nie chcę, żeby siedział w mojej głowie. Chcę być sam. Być sobą. Tylko sobą.

– Ależ jesteś sobą – tłumaczyłem mu. – I twoje alter ego – Alvar – nie jest twoim bratem. Twój brat spoczywa tutaj. A raczej jego szczątki. Pod twoimi stopami. Już go nie ma, Ramiro. Twoje alter ego to ty wcielający się w brata. To część twojej osobowości, awanturnicza, błyskotliwa, pewna siebie...

– Silna.

– Właśnie, silna. To także ty, chociaż ta część osobowości tak bardzo przypomina ci brata, że chcesz wyeliminować go ze swojego życia, bo wiążą się z nim złe wspomnienia. Twoja rodzina opowiadała ci od małego horror: że wy, Alvarowie, dziedziczycie chorobę psychiczną, ale to nie jest historia, którą da się udowodnić. Możesz wybrać, czy będziesz grał rolę, którą przygotowano dla ciebie od małego, czy też zakwestionujesz to wszystko, sprzeciwisz się. Powiedz: „To nie jest moje życie, to było wasze życie. Nie chcę żyć tak jak mój ojciec i wszyscy przed nim”. Ty nie jesteś nimi. Nigdzie nie zostało zapisane, że masz chorować na DID.

– Ale Alvar wciąż istnieje w mojej głowie. Prowadzi własne życie. Nie mogę go wyłączyć.

– Nie, Ramiro. To kłamstwo, które wciąż sobie opowiadasz. Sądzisz, że masz osobowość rozbitą przez rodzinną traumę, której nie potrafiłeś przyjąć do wiadomości, kiedy byłeś nastolatkiem. Zabrakło ci wiedzy psychologicznej i sił. Alvar znęcał się nad tobą przez ten rok, kiedy się nim opiekowałeś, obwiniał cię za swoją chorobę, a ty byłeś za młody na takie obciążenie psychiczne. Poza tym byłeś sam. Wybrałeś naśladowanie modelu, który widziałeś u siebie w domu, przykładu ojca, to był jedyny model, jaki znałeś, niestety fatalny. Teraz jesteś dorosłym mężczyzną, odpowiedzialnym. Przestań nienawidzić swojego alter ego, to nie jest twój brat. Jeśli twoje alter ego było zdolne sprawić, że taka kobieta jak Estíbaliz się w nim zakochała, oznacza to, że ta część twojej osobowości potrzebowała się ujawnić, zmanifestować. Musisz zintegrować w sobie Alvara, a nie próbować go odrzucać, a nawet zabić, jak wtedy, kiedy pisałeś swoją wersję kroniki. Przyjmij to, co najlepsze, z tamtej osobowości i zintegruj ją ze swoją.

– Jak?

– Jeśli na początku zbyt trudna okaże się zmiana dyskursu, zacznij od zmiany zachowania. Wychodź z wieży, rób to, co według ciebie spodobałoby się jemu, ale teraz wiedząc, że zawsze to byłeś ty. Zacznij znów jeździć konno, uwielbiasz to. Zmusz się do zaglądania codziennie do Ugarte, ludzie stamtąd darzą cię szacunkiem, lubią cię. Nie musisz żyć jak pustelnik, ale przecież nie zaczniesz podrywać wszystkich kobiet, jakie

spotkasz na swojej drodze. Ty zakochałeś się w Estíbaliz pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłeś. Ty, Ramiro. To przez brak pewności siebie włożyłeś sutannę, zdjąłeś okulary i uczesałeś się jak Alvar, kiedy ujrzałeś ją na parkingu. I ty chciałeś jeść kogucie grzebienie, bo też jesteś po trosze sybarytą i lubisz dobrze zjeść, lubisz podziwiać piękno tych okolic i zaczytać się w dobrej powieści.

– To prawda – przyznał zdenerwowany. – Teraz przypominam sobie naszą nocną rozmowę przy jaskini w parku Florida. Pierwszy raz, kiedy Estíbaliz popatrzyła na mnie tak, jakbym jej się podobał, sądziłem, że na to nie zasługuję, wzbraniałem sobie wspominać ten moment przez całe tygodnie, ale miałem go w głowie przez cały czas, czekał, aż odzyskam to wspomnienie. Podobnie jak naszej pierwszej nocy w wieży, kiedy...

– Może już wystarczy, Ramiro. – Odchrząknąłem zakłopotany.

Zachowaj dla siebie wspomnienie waszej pierwszej wspólnej nocy, błagałem go w myślach.

A Ramiro drżał. Nie zauważyłem, kiedy zaczął płakać. Po cichu, jak to on, nie robiąc hałasu. Zdjął zaparowane okulary i otarł łzy. Znów opadł na wózek inwalidzki, wpatrując się w płytę nagrobną.

– Więc o to chodziło, to nie był Alvar, to ja sam będący tym, co w nim kochałem, i tym, czego w nim nienawidziłem.

Pokręciłem głową.

– Uważam, że byłeś tylko tym, co w nim kochałeś. Alvar, którego poznałem, nie był okrutny ani źle wychowany. Bo to byłeś ty wcielony w Alvara, a ty nie jesteś okrutny ani źle wychowany. Weź to, co uważałeś za najlepsze w swoim bracie, ale zrozum wreszcie, że zawsze to byłeś ty.

To objawienie spadło na niego jak grom z jasnego nieba, ale miało zupełnie odmienny skutek: miałem wrażenie, że odzyskuje siły, że uszkodzone części jego osobowości zaczynają się naprawiać. Ramiro spojrzał ponad grobem brata, z twarzy zniknął mu goszczący na niej zwykle wyraz nerwowego napięcia, pojawił się za to uśmiech. Zrozumiał chyba, że życie nie musi być tak bolesne, jak mu się dotąd wydawało.

– Masz niezwykły umysł – powiedziałem mu, popychając wózek, kiedy wychodziliśmy z cmentarza. – Myślę, że znajdziesz sposób, żeby wyjść

z zakłętego kręgu tych monstrualnych kłamstw. Zawiozę cię do wieży, żebyś mógł spojrzeć na wszystko z nowej perspektywy, a potem wrócimy do szpitala.

## KAPLICA KOŚCIOŁA NAJŚWIĘTSZEJ MARIII PANNY

DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

Staliśmy na placu targowym przed kościołem Najświętszej Marii Panny i patrzyliśmy z niedowierzaniem na trzydzieści cztery owinięte w całuny ciała u naszych stóp. Alix instynktownie pogładziła się po brzuchu. Na cmentarzu naszego kościoła nie było już wolnych miejsc. W kaplicy kościoła Świętego Michała otwarto niektóre groby, a na małym cmentarzyku przy kościele Świętego Wincentego usunięto stare kości, żeby zrobić miejsce nowym zmarłym.

– Każda rodzina kogoś straciła – powiedziała Alix w zamyśleniu. – Mamy siedemnaścioro sierot, każdy z cechów przygarnie swoje. Ale Milia karmiła piersią swoją dziewczynkę, a Tello też nie żyje. Kupię mleko dla dziecka, a kiedy urodzi się nasza córeczka, będę karmić oba niemowlaki.

Pokiwałem głową. Alix była pewna, że będziemy mieli córkę. Ukradkiem chodziła na cmentarz przy kościele Świętego Michała odwiedzać grób znajdujący się w połowie na cmentarzu, w połowie poza murami. Część znalazła się w Nowej Victorii, część w Villa de Suso. Wiedziałem, że bukiety lawendy na płycie i plecionka z czerwonej nitki były hołdem dla Yennega. Mówiły: „Wróć!”, mówiły: „Twoja matka nie zapomniała o tobie”.

Ale Yennego wydawał mi się już bardzo odległy, jego zniknięcie przesłonił przeżywany przez nas koszmar. Niemal cieszyłem się, że nie widział ataku jak inne dzieci, które snuły się po ulicach bez celu, nawołując



swoich rodziców, a ten czy inny sąsiad dawał im kromkę chleba i obdarzał jakimś miłym słowem.

Proboszcz parafii Najświętszej Marii Panny odprawił mszę w intencji dusz wszystkich naszych zabitych. Potem sąsiedzi poszli spać, wielu z nich do swoich spalonych domów i warsztatów, na własnej skórze przekonali się, jak to jest stracić dorobek całego życia, na który pracowało się w pocie czoła.

Alix poszła po babcię Lucię. Nasze domy przetrwały, dom babci też, ale zawsze bała się huku i wciąż powtarzała, że dzisiejsze odgłosy bitewne jutro rozbrzmiają na nowo.

Ja skryłem się w kościele, szukając chwili spokoju, a może miejsca, które nie śmierdziałoby dymem ani krwią.

Wszyscy sąsiedzi już się rozeszli, płonąła jeszcze ostatnia gromnica. Rzucane przez nią cienie tańczyły na ścianie obok ołtarza. Nagle dotarło do mnie, że nie jestem sam. Bardzo dobrze znałem tę cichą obecność.

Nagorno klęczał na jednym kolanie. Zdało mi się, że płacze. Podeszedłem doń zdziwiony.

– Nigdy się nie modliłem – powiedział, nie patrząc na mnie. Zawsze mnie rozpoznawał, może znał odgłos moich kroków, a może zapach, sam nie wiem. – Do Ukrzyżowanego. W duszy pozostałem poganinem.

– Ja też. Ale proszę o wyjaśnienie Ojca Słońce i Matkę Pełnię, a oni milczą, podobnie jak ten nowy bóg, do którego teraz wszyscy się modlą. Lękasz się o swoje życie?

– Nie, wiesz dobrze, że śmierć jest mi obojętna, żywię do niej wyłącznie pogardę.

– W takim razie o co się modlisz?

– Żeby zesłał mi twoją pomoc – wypowiedział niespiesznie te słowa, jakby starannie je ważył.

Wstał i spojrzał na mnie przenikliwie.

– Mów więc, o co chodzi. Czego ode mnie chcesz? Ten wstęp nie wróży nic dobrego.

– Chcę, żebyś dzielił łóżę z moją żoną.

Nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Onneca...

– Nie prosiłeś mnie o to – odparłem po chwili. – I zamilcz, jesteś w Domu Boga, który nie pozwala nawet o tym myśleć. Jesteś żonaty, jutro widzimy się na murach, mamy poważniejsze rzeczy na głowie niż twoje zbereźne fantazje.

– Myślała, że jest bezpłodna. Opowiedziałem jej wszystko.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

– Że to ty nie możesz dać jej dzieci?

Pokiwał głową, odwracając wzrok.

– Nigdy nie przyznałeś się do tego żadnej kobiecie... Więc... zależy ci na Onnece.

– Chcę, żeby zaszła z tobą w ciążę.

– Nie jestem ogierem rozplodowym – odparłem wściekły. – Poszukaj kogoś innego, kto wyświadczy ci tę przysługę.

– To musi być nasza krew.

– W takim razie Gunnarr.

– Wiesz, że Gunnarr nie sypia z kobietami.

– Poproś Hectora.

– Jest za murami.

– Znajdziesz kogoś gotowego to zrobić – rzekłem i odwróciłem się do wyjścia.

Ale Nagorno był szybszy, zastąpił mi drogę.

– Ona chce tylko z tobą – powiedział.

– Nie jestem waszym ogierem rozplodowym! – krzyknąłem raz jeszcze i znów próbowałem wyjść ze świątyni, zanim nasze krzyki pobudzą wszystkich sąsiadów.

– Nienawidzisz jej, prawda? – zapytał, chwytając mnie za ramię. – Może tak mocno, jak wcześniej ją kochałeś?

Nabrałem powietrza, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa w świętym miejscu.

– Alix jest moją żoną, szukamy syna, drugie dziecko jest w drodze. Nie chcę rujnować im życia. I nie pozwolę, żebyś rozbił moją rodzinę. Ani ty, ani Onneca.

– Nie boję się zginąć w walce, nie boję się oblężenia, ale wiesz, że król Alfons nie ustąpi, i już zacząłeś myśleć o tym, żeby poddać gród, zanim wybiją nas do nogi. Znasz kastylijskie prawo: jeśli nie będziemy mieli z Onnecą potomstwa, król każe nam zapłacić podatek od bezdzietności i wszystkie posiadłości hrabiego de Maestu zasilą jego skarb.

– Ale ja nie zrobię nic, żeby ocalić twoje tytuły!

Powiedziawszy to, poszedłem do domu, by położyć się spać u boku swojej żony.

## ZŁAMANY OŁÓWEK

## UNAI

*Październik 2019*

Wcześniej rano weszliśmy do sali konferencyjnej. Alba przedstawiła nam postępy w śledztwie, Milán, Peña i ja słuchaliśmy, siedząc przy stole.

– Będziemy musieli zbadać nowe wątki – oświadczyła Alba. – Dotąd mieliśmy tylko jednego podejrzanego: Ramira Alvara Nograro. Dysponowaliśmy jedynie dowodami poszlakowymi: beczka, w której utopiono Maturanę, pochodzi z opuszczonej rodzinnej wytwórni wina, potwierdzono też, że podobnie ma się sprawa z workami. Ale ekipa techników kryminalistyki nie znalazła tam żadnych śladów, podłogę wytwórni zamieciono niedawno, co wskazuje na pewną wiedzę kryminalistyczną sprawcy. Poza tym mamy kobietę przebraną za dominikankę, która ucieka przed inspektorem Lopezem de Ayalą po tym, jak znaleźliśmy ciało otrutego Antona Lasagi. Habit przypomina ten, który wystawiano kiedyś w muzeum w wieży, teraz go tam nie ma. W opuszczonym klasztorze Sióstr Dominikanek w Quejanie doszło do rozboju. Wracając do Ramira Alvara Nograro, wiemy również, że zdarzało mu się wspierać finansowo muzeum przyrodnicze, ale to rodzinny zwyczaj, bo Milán doszukała się datków wpłaconych jeszcze przed Lorenzem Alvarem Nograro. Potwierdza się kradzież majki lekarskiej z tego muzeum, podobnie jak skóry żmii znalezionej w beczce, w której utopiono Maturanę. Bezskutecznie przesłuchiwalismy Ramira Alvara na okoliczność publikacji powieści, ale i tu ślady prowadzą do jego otoczenia, do miejscowości Ugarte.

– Co pani sugeruje, pani podkomisarz? – zapytał Peña.

– Musimy poszukać w tym dochodzeniu nowej perspektywy. Biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z ofiarami niewielkiego ryzyka w sytuacjach niewielkiego ryzyka, zaczniemy stosować techniki proaktywne. Śledztwo w otoczeniu ofiar, zarówno zawodowym, jak i społecznym czy rodzinnym, nie przyniosło żadnych efektów. Powinniśmy przyjąć do wiadomości, że prawdopodobnie zabójca wybrał przypadkowe ofiary.

– Co dokładnie oznaczają te techniki proaktywne? – dopytywał się.

– Zaczniemy od prasy – wyjaśniła Alba.

Milán, słysząc to, bardzo się zdziwiła.

– Prasy? To nie pogorszy sytuacji? Inspektor Ruiz de Gauna jest w szpitalu właśnie z powodu przecieku, który najprawdopodobniej zawdzięczamy prasie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale jeśli przestaniemy wkładać dziennikarzom kij w szprychy, zaczną z nami współpracować.

– Jak?

– Zwołałam za dziesięć minut konferencję prasową. Przybędzie wielu dziennikarzy z najważniejszych lokalnych mediów. Rozmawiałam już z sędzią, mamy jego pozwolenie.

Chwilę później dołączyli do nas Lutxo, znajoma dziennikarka Alby i wielu redaktorów z mediów internetowych.

Wszyscy patrzyli na nas wyczekująco. Alba przywitała ich, a potem ja zabrałem głos.

– Jak już wspomniała pani podkomisarz, potrzebujemy waszej pomocy. Mamy strategię składającą się z kilku etapów, musicie wiedzieć, że morderca śledzi nasze dochodzenie i przeczyta wszystko, co zamieścicie. Zaczniemy od sióstr Nájera.

– Co powinniśmy opublikować?

– Zdjęcia, które dostaliśmy od rodziny.

Wyświetliłem fotografię trzyletniej Oihany bawiącej się nad zalewem Ullíbarri-Gamboa i Estefanii w baskijskim stroju ludowym podczas święta Białej Panienci. Potem rozczulające fotografie z urodzin, specjalnie o nie poprosiłem. Ich ostatnich urodzin. Dziewczynka zdmuchująca dwanaście

świeczek, nastolatka, która stoi przed tortem z siedemnastoma świeczkami. Przekaz ma być brutalny, brzmi: „przez ciebie już nigdy nie obejdą urodzin”.

– Dlaczego mamy pokazywać życie dziewczynek, a nie przedsiębiorcy albo tego utopionego w beczce chłopaka? – zapytał Lutxo.

– Bo wiemy, że obudziły w nim odruch litości – wyjaśniłem. – Nakrył je workami. Nie chciał widzieć ich twarzy, kiedy je замуrował. Czuł się z tym źle. Spróbujemy wycisnąć coś z tego poczucia winy. Ze względu na okoliczności, w jakich zmarł przedsiębiorca, nie wiemy, czy sprawca czuł się winny, czy chodziło o przypadkową ofiarę. To zabójstwo tchórzliwe, odroczone. Tak zabija ktoś, kto nie chce patrzeć na agonię swojej ofiary ani na jej martwe ciało. Nie widzi konsekwencji swoich czynów. Nie wiemy, czy żałował. Podobnie jest z ofiarą utopioną w beczce. Ale widzieliśmy wyrzuty sumienia w przypadku sióstr Nájera.

Był jeszcze jeden powód, żeby nie ujawniać przeszłości MatuSalema. Maturana był hakerem, siedział w więzieniu za oszukanie kilkudziesięciu osób w internecie. Był też protegowanym Tasia Ortiza de Zárate, który utrzymywał z nim kontakt do dnia zabójstwa. Nie chciałem, żeby opinia publiczna napiętnowała MatuSalema za jego przeszłość. Próbowałem zrobić coś, co nie udało mi się za jego życia: ochronić go.

– Co jeszcze mamy opublikować? – zapytała młoda dziennikarka.

Rozdałem im po jednej kartce.

– To ich plany na przyszłość. Estefanía uczyła się w szkole muzycznej, chciała grać w orkiestrze na wiolonczeli, jak jej matka. Tego lata miała wyjechać ze swoją paczką do Szkocji. Oihana lubiła programować. Była bardzo utalentowaną dziewczynką, wyróżniała się na kursach robotyki, nauczyciele uważali, że ma przed sobą świetlaną przyszłość. To właśnie musicie pokazać, zniweczone marzenia, życie, którego nic im nie zwróci. Nie wiemy, ile lat ma morderca, dlatego proszę, żebyście opublikowali zdjęcia ich rodziców, dziadków, przyjaciół i nauczycieli obecnych na pogrzebie. Musicie pokazać ból osób w różnym wieku. Tu macie fotki zrobione na cmentarzu. Podzielcie się nimi i niech każde z mediów opublikuje po kilka. Chcemy pokierować jego uczuciami i uzmysłwić mu krzywdę, jaką wyrządził bliskim zamordowanym. Niech prasa będzie

lustrem, w którym odbije się jego poczucie winy, codziennym przypomnieniem tego, co zrobił. Nie pozwólmy, żeby o tym zapomniał, zaczął nowy rozdział. Musicie być obecni w jego życiu. Codziennie.

– Czy możecie umówić się tak, żeby wiadomość ukazywała się codziennie w którymś z mediów? – wtrąciła Alba. – Zależy nam na tym, żeby winny był pod nieustanną presją, chcemy przyjrzeć się jego reakcjom.

– Jesteście tacy pewni, że zareaguje na to, co opublikujemy?

Już to zrobił, pomyślałem. Zapytajcie Estíbaliz.

– Tak, jesteśmy pewni – odpowiedziała Alba. – Z góry dziękuję wam za współpracę. Za kilka dni spotkamy się tutaj o tej samej porze. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przejdziemy do kolejnego etapu.

Jak w każdą środę i w każdy piątek, wsiadłem do samochodu i pojechałem do Ugarte na spotkanie klubu książki.

Już z szosy było widać, że bar jest pełen ludzi. Stało przed nim sporo zaparkowanych samochodów, coraz więcej mieszkańców miasteczka uczęszczało na spotkania. Wszedłem i przywitałem się ze wszystkimi. Powiedziałbym, że w ich oczach ujrzałem wyczekiwanie. Powiedziałbym też, że wszyscy spojrzeli ukradkiem na egzemplarz gazety, który niosłem pod pachą. Upłynął tydzień od konferencji prasowej i media świetnie wykonały swoją robotę.

Przeszliśmy do drugiej części planu: spędziliśmy z Albą kilka nocy pochyleni nad rozłożonymi na kołdrze raportami. Przysięgaliśmy sobie, że to się nigdy nie stanie, że nie wpuścimy tych potworów do naszego świętego miejsca, ale niestety przegraliśmy i tę bitwę.

Wysilek jednak się opłacił. Nagłówek zrobił wrażenie i szybko trafił na Twittera: „Przełom w śledztwie w sprawie zamordowania młodego mężczyzny utopionego w Zadorze: pojawił się świadek, który opisał dokładnie przebieg zabójstwa. Policja zapowiada rychłe zatrzymanie podejrzanego”.

Peña i Milán kilka dni temu pojechali do Ugarte, chodzili od domu do domu i notowali skrzętnie alibi wszystkich mieszkańców na dni, w których dokonano trzech zabójstw. Pobrali też próbki DNA tym, którzy zgodzili się

na to dobrowolnie. Niektórzy poddali się procedurze bez problemu, inni odmówili.

Usiadłem obok Benity i jej synowej. Staruszka przedstawiła mi wszystkich, których nie znałem. Cándida, który zawsze wygrywał w bule, Juani, która kiedyś pracowała w urzędzie gminy. Fidel, mąż Fausti, stał w progu ze skrzyżowanymi ramionami, jakby chciał kontrolować całą scenę. Przyszła nawet Claudia, wysoka i szczupła przewodniczka z wieży. Od Benity dowiedziałem się, że jest siostrą Irati, która prowadziła na obrzeżach miasteczka agroturystyczny hotelik La Ferrería i warsztat szklarski. Były zupełnie różne: jedna wysoka, druga niziutka. Jedna nosiła długie proste włosy, Irati miała jasne loki. Ale kogoś mi przypominała, nie wiedziałem kogo. Benita nawijała przez długą chwilę, katalog nowych sąsiadów wydawał się nie kończyć.

– Ten w okularach to Beltrán, papuga – powiedziała.

Był to młody chłopak o inteligentnym spojrzeniu, nienagannie ubrany, który witał się wylewnie ze wszystkimi wchodzącymi do lokalu.

– Wydaje się bardzo młody.

– To prawda, niedawno zaczął. Ramiro Alvar pozwala mu prowadzić niektóre drobne sprawy.

– A więc to o nim mi mówił – powiedziałem, a wokół mnie rozległ się pomruk.

– Zaczniemy lekturę – oznajmiła Fausti, kiedy ostatni spóźnialscy usiedli, a Gonzalo, bardzo zadowolony, podał nam wszystkim zamówione napoje.

Kolejnym czytającym został staruszek o zachrypniętym głosie. Pół godziny później dyskusja toczyła się o tym, że Gunnarr pił napar z muchomorów podczas obłączenia.

– Czy napar działał rzeczywiście tak, jak jest to opisane w książce, czy autor trochę podkoloryzował? – zapytał Cándido.

– To bardzo ciekawe, mówimy o powieści, której akcja toczy się pod koniec dwunastego wieku, ale opisane efekty zażywania narkotyków zostały potwierdzone stosunkowo niedawno – odezwałem się. Chciałem im przypomnieć, że nie byłem tylko czytelnikiem. Chciałem, żeby wszyscy



wiedzieli, że jestem inspektorem, i zaobserwować ich reakcję. – Możemy wnioskować, że Gunnarr Kolbrunson był niegdyś berserkerem, najemnikiem na usługach nordyckich władców. Diago Vela wie, że przed bitwą stosuje pewne środki, a dokładnie proszek z muchomorów, który powoduje stan niepoczytalności, a potem amnezję, wielu ludzi umierało z odwodnienia – wyjaśniałem, przypominając, czego uczono nas na kursie profilowania. – Sądzę, że Gunnarr znał jego działanie i umiał go stosować, gdyż wojownicy pod wpływem narkotyku czuli się niezwycciezeni, podczas natarcia walczyli w pierwszym szeregu. Myślę, że to doskonały przykład na to, co dziś nazywamy amokiem. I z nim przyszło mi się zetknąć w swojej pracy. Osoba niepoczytalna może w wybuchu niekontrolowanej furii zabić dziesiątki innych, kiedy odzyskuje poczytalność, zwykle popełnia samobójstwo. Niestety ostatnio zdarzyło się wiele takich sytuacji.

Czułem, że wszyscy patrzą na mnie w skupieniu. Na chwilę zapomniałem o tym, gdzie jestem, i że pracuję. Dałem się ponieść przemowie i czułem coś w rodzaju przyjemności.

– Jesteś dobrym nauczycielem – szepnęła mi na ucho Benita z uśmiechem zadowolenia.

– Dziękuję – mruknąłem.

Niedługo później uczestnicy spotkania zaczęli wstawać z krzeseł i się przeciągać. Rozmawiali ze sobą, dobierając się w grupki według wieku i zainteresowań. Claudia i jej siostra podeszły, żeby się ze mną przywitać.

– Jak się pan miewa, inspektorze? Coraz częściej pan bywa w Ugarte.

– Miasteczko bardzo przypadło mi do gustu. Ma w sobie wiele uroku.

– W takim razie musi pan zobaczyć warsztat La Ferrería, który prowadzi moja siostra w starej kuźni.

– O, nie musisz mi tego dwa razy powtarzać, chętnie bym zajrzał i kupił jakąś pamiątkę.

Tak naprawdę chciałem zwiedzić starą kuźnię przerobioną na agroturystyczny hotelik. Poznać atmosferę miejsca, gdzie Ramiro Alvar przeżył swoją traumę i gdzie rozstrzygnęła się przyszłość rodziny, której był ostatnim potomkiem.

– Załatwione, inspektorze. Właśnie miałam wracać do pracy! – zawołała z uśmiechem Irati.

Poszliśmy spacerkiem wzdłuż rzeki na obrzeża miasteczka, kilkaset metrów dalej stała wieża Nograro.

Irati okazała się sympatyczną dziewczyną. Opowiadała mi, że zimą przeżywa ciężkie chwile, bo biznes agroturystyczny niemal zamiera.

– Znam tę branżę, pracuje w niej ktoś z mojej rodziny – powiedziałem. – Czasem bywa ciężko, ale mam wrażenie, że praca poza biurem i bycie swoim własnym szefem też ma swoje plusy.

– Mnie uratował warsztat szklarski. Moja firma znana jest dzięki szeptanej reklamie, zadowoleni klienci polecają mnie znajomym.

– Cieszę się z tego, naprawdę. To kiedyś była kuźnia Nogararów?

– Wszystko zostało odnowione – wyjaśniła, kiedy wchodziliśmy do kamiennego budynku. – Mam kilka pokoi, w ten weekend wszystkie są wolne. Zapraszam do sklepu. Napij się czegoś?

Przyszło z nami kilku sąsiadów, mieli widocznie ochotę na przechadzkę, a przy okazji chcieli nabyć komplet niebieskich szklanek albo jakieś inne szklane cudeńko, które przypadnie im do gustu.

Wychodziłem już ze sklepu z dwiema dekoracyjnymi butelkami, które zamierzałem podarować Albie do jej hotelu, kiedy zadzwonił Peña.

– Mamy wyniki z laboratorium, które wywracają do góry nogami wszystko, co myśleliśmy przez ostatnie tygodnie. Powiedz mi, że siedzisz, bo to będzie bomba.

– Prawdę mówiąc, nie siedzę – stwierdziłem, kiedy kolejny klient wchodził do środka, żeby kupić jakiś upominek. – Ale wyduś wreszcie, co się stało.

– Chodzi o krew z ołówka znalezionego przy MatuSalemie. Należy do Ramira Alvara Nograro.

Jak to?! Nie wierzyłem własnym uszom.

– Ramira? – powtórzyłem. – Jesteś pewien?

– Obawiam się, że tak. Doktor Guevara twierdzi, że nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o wyniki.

Oparłem się o zewnętrzną ścianę starej kuźni. To nie do wiary. Czyli wszystko, co, jak twierdził Ramiro Alvar, wydarzyło się przed laty w tej kuźni, było kłamstwem? Wytworem jego wyobraźni? Może mnie nabrał? Czy Ramiro rzeczywiście był mordercą, naprawdę cierpiał na dysocjacyjne zaburzenie osobowości, i to jego alter ego, Alvar, zabijało, a on nic z tego nie pamiętał? Kogo miałem przed sobą? Aktora? Zaklinacza węży? Zorganizowanego psychopata doskonale ukrywającego się pod maską zdrowego rozsądku?

Nie było czasu na rozmyślenia, musieliśmy działać szybko.

– Na szczęście wiemy, że jest w szpitalu. Ile czasu potrzeba, żebyśmy dostali nakaz aresztowania?

– Musimy wiele wyjaśnić sędziemu, to nie jest wątek śledztwa, który ostatnio badaliśmy, z pewnością mu się to nie spodoba – zauważył.

Do środka wciąż wchodzili kolejni klienci, kiedy rozłączyłem się zaprzątnięty własnymi myślami i odwróciłem, nie patrząc przed siebie, wpadłem na potężnego faceta z bujną brodą.

– Przepraszam – powiedział z poważną miną i spojrzał na mnie.

Skądś go znałem, z zawodowego nawyku śledziłem go wzrokiem przez chwilę, ale okazało się, że to tylko narzeczony właścicielki warsztatu.

– Sebas, czekałam na ciebie – powitała go czule dziewczyna.

Pocałowali się dyskretnie i weszli do warsztatu.

Wszystko na nic. Tyle zgromadzonych danych, tyle imion i nazwisk, tyle zapamiętanych twarzy. Uświadomiłem sobie, że wciąż zachowuję się jak uważny obserwator, magazynuję i kataloguję wszystkie szczegóły po to, żeby nie myśleć o czymś oczywistym: Ramiro Alvar zamordował MatuSalema. Kurwa mać. I uwiódł moją partnerkę, a potem prawie ją zabił.

Przeklęty potwór.

Jak miałem powiedzieć Estíbaliz, że Ramiro Alvar oszukał nas wszystkich?

## PERTRAKTACJE

## DIAGO VELA

*Lato, rok Pański 1199*

Chipia przyszedł po mnie następnego dnia. Król chciał pertraktować. Czekał na nas u bram miasta.

Stawiliśmy się na chodniku obronnym: ja, namiestnik, burmistrz, rajcy i szlachcice. Wszyscy mieliśmy na sobie pancerze lub zbroje i hełmy, po wczorajszym ataku nikt nie czuł się bezpieczny.

– Król Alfons po raz drugi proponuje wam złożenie broni – krzyknął López de Haro. – Chipia, macie prawo poddać miasto z honorem. Walczycie nadaremno, skoro wasz król nie przybędzie wam z pomocą. Jeśli dotąd się nie zjawił, nie łudźcie się, już tego nie zrobi.

– Wiecie równie dobrze jak my, że odsiecz nadejdzie. Przygotowujecie się na atak – odparł Chipia z uśmiechem.

– Moi posłańcy przynieśli mi wieści o zwycięstwie we wszystkich grodach, które chcieliśmy odzyskać. Poddały się, niektóre stawiały opór, inne nie, ale prawie wszystkie należą już do nas, począwszy od La Puebla de Arganzón. Poddajcie się, kupcy chcą w spokoju handlować. Otwórzcie bramy, a wszyscy mieszkańcy wrócą spokojnie do swoich zajęć – powiedział król Alfons.

– A ja sądzę, że fortece Treviño i Portilla stawiały opór, znam ich namiestników. Na pewno nie skapitulowali – oznajmił Chipia.

Król i jego chorąży nie odpowiedzieli, ale wydawali się zakłopotani.

Nagorno podszedł do Chipii i burmistrza.

– Nie zaatakujcie znów, nie chce nas pozabijać ani zrujnować miasta, żeby nie musieć go potem odbudowywać. Chce Victorii ze względu na jej położenie: jesteśmy na szlaku łączącym Kastylię z portami Morza Kantabryjskiego i Akwitanią.

– Może powinniśmy negocjować i poddać się, póki jeszcze możemy negocjować – wtrąciła Onneca, a wszyscy Isunzowie ją poparli. – Jeśli zniszczą miasto i wkroczą tu siłą, pozabijają nas i sprowadzą nowych mieszkańców. My, mieszkańcy Nowej Victorii, jesteśmy za otwarciem bram.

– My z Villa de Suso zaczekamy na posiłki z Pampeluny – oświadczył burmistrz.

– Ja wykonuję rozkazy króla Sancha, ostatni, jaki słyszałem, brzmiał: „Victoria się nie podda”. Być może udał się najpierw na odsiecz innym fortecom albo do San Sebastián, licząc na to, że wytrwamy – upierał się namiestnik.

– Chipia, jeśli ktoś pragnie, żeby to się jak najszybciej skończyło, tą osobą jestem ja. Chcę wyruszyć na poszukiwanie syna. Dlaczego król nam nie pomaga?

– Zaczynam sądzić, że król Sancho sprzymierzył się z Almohadami i sam nadciągnie z południa, dlatego tyle to trwa. Dotrą najdalej za miesiąc, do tego czasu musimy stawiać opór. Poza tym kiedy nadejdzie jesień, będziemy mieli przewagę, nie wytrzymają w namiotach słoty i śniegu, wprawdzie mają w okolicy pod dostatkiem zwierzyny łownej i ryb, ale zimno i choroby osłabiają ich morale. Nie interesuje ich długie oblężenie.

– Przybędą nowi żołnierze, żeby zastąpić starych – wtrącił Nagorno. – To Kastylia, sądzicie, że mają tylko trzy tysiące żołnierzy?

Wszyscy popatrzyliśmy na wojska stojące pod murami. Król Alfons, zniecierpliwiony, kręcił się na swoim koniu.

– Jak brzmi odpowiedź? Nie będę tu stał cały dzień.

– Nie poddajemy miasta! – wykrzyknął Chipia.

Krół zbliżył się do swojego chorążego i wyszeptał mu coś na ucho.

Wymieniliśmy z Nagornem zaniepokojone spojrzenia.

Nie ruszaliśmy się z miejsc, czekając, jaki rozkaz wyda król. Chipia dał znak łucznikom na wieżach. Napięli cięciwy swoich łuków, gotowi do strzału.

Nasze oczy ujrzały, jak wojsko rozstępuje się i okrąża gród. Zaczęto wyjmować z wozów namioty i rozkładać je. W innym miejscu obozu żołnierze rozstawili trójnogi i kociołki z jedzeniem. Wielu zamieszkałych na podgrodziu nożowników patrzyło bezradnie, jak żołnierze wchodzą do ich domów.

Wszyscy schodzili po schodach ze spuszczoneymi głowami, rozmyślając nad naszą niedolą i złym losem, tylko Nagorno i ja nadal staliśmy na murach.

– No i masz, bracie – mruknął. – Prawdziwe oblężenie. Pomódl się do swoich bogów, żeby victorczycy nie skończyli jak mieszkańcy Numancji, którzy zjedli się nawzajem.

## KAMELEON

## UNAI

*Październik 2019*

Dotarłem do szpitala bez tchu, chciałem go zatrzymać osobiście. Spojrzeć mu w oczy i poznać wreszcie prawdę o Ramirze Alvarze. Ale kiedy otworzyłem drzwi do jego sali, zastałem pościelone łóżko, wszystko starannie poukładane, z wyjątkiem otwartej książki na krześle dla osoby odwiedzającej.

– Uciekł nam! – powiedziałem do Peña. – Rozstaw agentów przy wszystkich wejściach do szpitala!

– Chodźmy sprawdzić, co u Estíbaliz – zasugerował zaniepokojony Peña.

Pobiegliśmy korytarzem, już nie zważając na to, jakie powodujemy zamieszanie.

– Esti? – niemal krzyknąłem. – Wszystko w porządku?

– Dostałam wypis. Właśnie się pakowałam – powiedziała, usiłując jedną ręką wcisnąć do torby kaptcie i kosmetyczkę.

– Był u ciebie Ramiro Alvar? – zapytałem.

– Nie. Oczywiście, że go tu nie było – odparła ze zdziwieniem. – Co się stało? Nie zatrzymaliście go jeszcze?

– Nie ma go w sali, chyba nam uciekł – powiedziałem. – Peña, zorganizuj ekipę. Ja zostanę z Esti.

Peña usłuchał i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzałem na swoją partnerkę, miała czerwone oczy i zaciśnięte usta.

- Jak się masz? – tylko takie głupie pytanie przyszło mi do głowy.
- Wymiotowałam kilka razy, ale chcę już stąd wyjść. Dostałam wypis dziś rano, będę musiała przyjeżdżać na rehabilitację.
- Będziesz bezpieczniejsza poza szpitalem – powiedziałem. – Nie wiemy, czy Ramiro Alvar wyszedł z budynku, czy ukrył się gdzieś w szpitalu. Przydzielimy ci ochronę.
- Nie chcę żadnej ochrony! Chcę go zrozumieć. To on? Naprawdę zabił MatuSalema? Oszukał nas wszystkich? – Usiadła na łóżku.

Usiadłem obok niej.

- Obawiam się, że tak.
- Skąd wiedział, że chcemy go zatrzymać?
- To właśnie musimy teraz sprawdzić. Peña zadzwonił do ciebie, powiadomił cię o wynikach testów DNA i że staramy się o nakaz aresztowania. Zaproponował ci ochronę, ale odmówiłaś.
- Nie chcę żadnych agentów przed drzwiami – powiedziała.
- Przysięgnij, że to nie byłaś ty.
- Sądzisz, że go uprzedziłam?
- Może próbowałaś się z nim skonfrontować i znów cię uwiódł.
- Nie chciałam ochrony, ale nie byłam u niego. Możesz to sprawdzić na nagraniu z kamer nadzoru – zawołała wściekła.

Nie tędy droga. Nie. To była ta sama Estíbaliz, którą znałem od lat.

- Nie zrobię tego. Wierzę ci.

Przez chwilę w milczeniu spoglądaliśmy na zewnątrz. Potrzebowaliśmy oboje wyjść z tego szpitala.

- Jak mu się udało wykiwać nas wszystkich? – zapytała w końcu Esti.
- To ja popełniłem błąd, sporządzając jego profil. Był jak iluzjonista. Jedną ręką pokazał nam błyszczący przedmiot, drugą tymczasem robił swoje sztuczki. Zdołał nas omotać. Ciebie i mnie.

Wstałem, musiałem zacząć działać.

- Skończ się pakować, pójdę sprawdzić, czy agenci już przyjechali, ale poza tym nie mam tu wiele do roboty. Za dwie godziny prowadzę



w Arkauce wykład z praktyki profilowania. Może pojedziesz ze mną? Przydałaby mi się twoja obecność.

Estíbaliz uniosła brew.

– Trema?

– Nie, nie o to chodzi, ale jeśli chcemy, żeby to dochodzenie nie popsuło stosunków między nami, musimy ciężko popracować nad tym, żeby odzyskać wzajemne zaufanie i nasze zwyczaje. Ty mnie prosisz, żebym ci zaufał, ja cię proszę, żebyś ze mną pojechała. Dobrze nam to zrobi.

– Umowa stoi – uśmiechnęła się po raz pierwszy od tygodni.

Dałem jej chwilę, żeby się ubrała, i wróciłem do sali Ramira Alvara. Jeden szczegół zwrócił moją uwagę. Jak to pedant, którym niewątpliwie był, zostawił wszystko w nienagannym porządku, łóżko starannie pościelone, ale położył otwartą powieść *Władcy czasu* na krześle dla gości. Wziąłem książkę do ręki i sprawdziłem, na którym rozdziale jest otwarta.

Bardzo interesujące, Ramirze, pomyślałem. Naprawdę bardzo interesujące.

Marina Leiva przywitała nas w akademii. Sala wykładowa pękała w szwach, kiedy weszliśmy z Esti, światła były pogaszone, a włączony projektor oczekiwał na moją prezentację. Doktor Leiva i moja partnerka usiadły w ostatnim rzędzie. Kołnierz ortopedyczny i zabandażowane ramię Estíbaliz za bardzo zwracały uwagę. Chociaż i tak wszyscy nas tu znali. Inspektor López de Ayala, inspektor Ruiz de Gauna. Po co mieliśmy się kamuflować?

Stałem przed studentami. Przez chwilę patrzyłem na ich długopisy, gotowe, żeby robić notatki, kiedy tylko otworzę usta. Uśmiechnąłem się. Postanowiłem zapomnieć o prezentacji pełnej zimnych danych i obojętnych obrazów i zacząłem mówić.

– Dziś przyszedłem tu, żeby opowiedzieć wam o psychopatach zintegrowanych i o tym, jak ich rozpoznać. Jako profilerzy musicie przede wszystkim pozbyć się swoich uprzedzeń. Zawsze wydaje nam się, że szukamy potwora, jakim straszy się dzieci, czy Frankensteina ze zdeformowaną czaszką albo Kuby Rozpruwacza, jakbyśmy byli dziewiętnastowiecznymi frenologami. Ale seryjny zabójca jest

profesjonalistą w swojej dziedzinie, ma doświadczenie, specjalizuje się w efektywnym zabijaniu. Dlatego nie łapiemy go po pierwszej zbrodni ani po drugiej. Ewoluuje. Zmienia się w fachowca od uciezek i ukrywania się pod maską zdrowego rozsądku. „To był taki dobry syn, taki dobry brat”. Ile razy słyszeliśmy to w wiadomościach? Rzeczywiście, często tak się zdarza.

Studentka z pierwszego rzędu podniosła rękę.

– W jaki sposób można stwierdzić, że są dobrymi dziećmi?

– Jako społeczeństwo i jako jednostki popełniamy jeden podstawowy błąd: błąd atrybucji. Wydaje nam się niewiarygodne, że ktoś, kto wydaje nam się czuły i uroczy, może być skrajnie zły. A oni całe życie korzystają ze swojej przewagi: naszego dysonansu poznawczego. Wykorzystują naszą nieumiejętność dostrzeżenia manipulacji, kiedy ktoś jest czarujący, ale jednocześnie nas oszukuje. Albo zabija, znęca się nad bliskimi, dopuszcza się agresji słownej. Wiem, że uczyliście się już o psychopatach, powiedzcie mi, jakie cechy ich wyróżniają?

– Pasożytniczy sposób życia – powiedział ktoś z głębi sali.

– Tak jest – ich życie polega na pożeraniu innych. Żyją terażniejszością, dla psychopatów jutro nie istnieje, nie mają świadomości przyszłości. Cechuje ich brak realizmu, jeśli chodzi o cele długoterminowe. Mają zwykle długą historię krótkich związków. Co jeszcze?

– Brak empatii.

– Uczą się udawać uczucia i wyrazy twarzy – dodałem. – Są często dumni z tego, że opanowali język ciała. I robią to: wiedzą, że są puści w środku, i muszą się przystosować, żeby nie odstawać, żebyśmy ich nie rozpoznali, żebyśmy nie zorientowali się, że śmierć kogoś bliskiego w ogóle ich nie obchodzi.

– Są doskonałymi aktorami – odezwał się inny głos.

– To prawda. Osiągnięcie ich życiowych celów zależy właśnie od tego. I tu należy wspomnieć o roli tak zwanych lokajów, naśladowców czy adeptów. Psychopaci zintegrowani nie mają przyjaciół, wykorzystują ich, a potem porzucają, podporządkowują sobie rodzinę, znajomych, rodzeństwo, dzieci i dziadków. Do tego potrzebna im właśnie maska zdrowego rozsądku. Ludzie spoza ich otoczenia łatwo dostrzegą, jak

psychopaci zaprzęgają innych do realizacji swoich celów: zdobywania kontaktów zawodowych, opieki nad dziećmi, dziedziczenia po kimś, budowania siatki rodzinnego wsparcia... I ci członkowie rodziny, zdominowani przez psychopatę, nie uwierzą w żadną wersję poza tą, którą on dla nich przez całe życie programuje, właśnie za sprawą dysonansu poznawczego. Dlatego po najbardziej okrutnych zbrodniach słyszymy często: „Był takim dobrym sąsiadem”. Czy stykamy się z żonami, które nadal odwiedzają mężów w więzieniu, chociaż ich wina została udowodniona, a nawet sami się do niej przyznali. Maską zdrowego rozsądku to dla nich jedyne koło ratunkowe, więc dopracowują ją do perfekcji.

– W jaki sposób to robią? – zapytał ten sam głos.

– Dla nich to codzienność, są przyzwyczajeni do noszenia tej maski. Nigdy nie odczuwają wyrzutów sumienia za zło, które wyrządzili. Nie mają tej zdolności. Zawsze starają się, żeby inni zrobili wszystko za nich, zwłaszcza brudną robotę. Są leniwi. Wydają dużo, bo nie myślą o jutrze. Oszukują, zadłużają się, nie potrafią oszczędzać, proszą znajomych o pożyczki. Poza tym psychopaci lubią zmieniać zajęcia, nudzą się, nie są wytrwali. Wielu z nich nie kończy studiów, bo nie potrafią długofalowo skupić się na jednym celu, wysiłek nie przynosi im satysfakcji, chcą natychmiastowej nagrody. Nie zwracają uwagi na etykę, często wykorzystują finansowo własnych rodziców albo partnerów. Jeszcze jakieś cechy? – zapytałem.

– Lubią wyrzut adrenaliny, szukają jej w sportach ekstremalnych, intensywnych doznaniach. Nie boją się niebezpieczeństw – dodał ktoś inny.

– Bardzo dobrze. Co jeszcze?

– Potrafią hipnotyzować ludzi, wnikać w ich umysł i programować go od nowa.

– Jak to robią? – zapytałem.

– Patrzą w oczy, udają empatię. W przypadku par starają się zlać w jedno ze swoim partnerem.

– To nie jest wyczerpująca odpowiedź. Sprawa nie wygląda tak prosto. Psychopaci korzystają z wzorców, które zawsze są skuteczne. Najpierw stosują strategię kameleona, upodabniają się do swoich ofiar. Potem

przychodzi czas na fazę komplementów: zwykle wybierają sobie na ofiary osoby o niskiej samoocenie. Faza amalgamatu: ty i ja jesteśmy tacy sami, musimy być razem. Kolejna faza: zaufaj mi, opowiedz mi o swoich słabościach. Następna: jestem twoim idealnym przyjacielem, idealnym partnerem, idealnym synem lub bratem. Mitologizują sami siebie, ich opinia jest niepodważalna dla ich adeptów, których potrzebują, żeby wykonali za nich brudną robotę albo żeby stanęli w ich obronie, kiedy pokażą swoją prawdziwą twarz wobec ofiar. Adepci, otoczenie, społeczeństwo, w którym żyją, nie widzą rzeczywistej osobowości psychopaty, tylko tę wyidealizowaną kamuflującą maskę, czasem nawet nie ukrywają jego oszustw i występków, bo sądzą, że są usprawiedliwione. Ich adwersarze są prześladowani, wykluczeni ze społecznej organizacji. I tylko bardzo niewielki odsetek tych psychopatów popełnia przestępstwa. Każdy z nas spotka w ciągu swojego życia mniej więcej siedmiu psychopatów, a jeden psychopata może zniszczyć życie pięćdziesięciu ośmiu osobom. W naszym kraju mamy około miliona psychopatów czystej krwi i jakieś cztery miliony psychopatów zintegrowanych, funkcjonujących normalnie w społeczeństwie. Doskonali pracownicy, mili sąsiedzi, niewzbudzający podejrzeń. Ale to drapieżcy społeczni i rodzinni, którzy pozostawiają po drodze wiele ofiar.

Zapadła całkowita cisza, wiedziałem, że moje słowa dotarły do adresatów. I mogłem czytać w ich głowach, były dla mnie przezroczyste, przypominali sobie wszystkich psychopatów, z jakimi mieli w swoim życiu do czynienia.

– Teraz pora na złe wiadomości: nie poddają się resocjalizacji. Terapia psychologiczna im nie pomaga, czasem wręcz pogarsza sytuację. Jedynym wyjątkiem i nadzieją na reedukację jest wykrycie psychopatii w dzieciństwie. Nie jest ona klasyfikowana jako choroba, lecz zaburzenie osobowości. Ktoś, kto przez lata chodzi do psychologa, nauczy się najpewniej, jak manipulować innymi częściej i skuteczniej, poczynając od swojego terapeuty. I jako społeczeństwo mamy problem z psychopatami osadzonymi w zakładach karnych, gdyż raporty z terapii psychiatrycznej sporządza się na podstawie odpowiedzi samych pacjentów. Skazany, który pragnie jak najszybciej wyjść na wolność, powie terapeutcie to, co ten chce usłyszeć. Mamy przykłady seryjnych zabójców w Stanach Zjednoczonych,

takich jak Ed Kemper, którzy uczęszczali na terapię i według psychiatrów czynili pewne postępy. W tym samym czasie popełniali najbardziej okrutne przestępstwa, jakie tylko można sobie wyobrazić. Mamy świadectwa o skazanych prawomocnym wyrokiem więźniach, którzy przechwalali się: „Dajcie mi *DSM – Diagnostyczny i statystyczny podręcznik zaburzeń psychicznych*, wybierzcie dowolną chorobę, a ja podczas kilku sesji przekonam terapeutę, że na nią cierpię”.

Spojrzałem w głąb sali. Doktor Leiva uśmiechała się zadowolona, Estíbaliz słuchała w skupieniu.

– A jeśli chodzi o życie prywatne – powiedziałem na koniec – musimy nauczyć się ich rozpoznawać, bo stanowią realne zagrożenie dla każdego z nas. Nie powinniśmy próbować ich naprawiać ani zmieniać, bo zrujną nam życie. Mam więc dla was tylko jedną radę: kiedy rozpoznacie w kimś psychopatę, zero kontaktu. Natychmiast uciekajcie jak najdalej.

## NA ZIEMIACH ALMOHADÓW

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

Przez kilka ostatnich miesięcy zazналиśmy piekła na ziemi. Odcięli nas od dostaw żywności, nie miało już sensu chodzenie na targ. Nie pozwalali na wizyty rodzin, które zamieszkiwały okoliczne wioski, Héctor Dicastillo, mimo dyplomatycznych starań, nie zdołał przedostać się przez pierścień oblężenia. Nie dostawaliśmy żadnych wiadomości o tym, co dzieje się poza murami, nie znaliśmy losu innych warowni i grodów, co bardzo trapiło namiestnika, na którego ustach coraz rzadziej gościł typowy dlań ironiczny uśmiezek.

Czasem grali sygnał do ataku w nocy, ciągle spodziewaliśmy się napadu, co nas wyczerpywało. Obchody Dnia Zadusznego wspominaliśmy ze złością, bo oblegający żołnierze galopowali wokół murów, niosąc pieczone z dziczyzny. Dobiegały nas aromaty jeleniny w czerwonym winie i dzika w rozmarynie. Ci sąsiedzi, którzy weszli na mury, wrócili potem do domu z płaczem.

W tych ciemnościach rozbłysło jedno tylko światełko: Alix urodziła spokojną dziewczynkę, którą ochrzciliśmy kilka godzin po urodzeniu. Lękaliśmy się, że nadejdzie nowy atak i maleńka umrze bez błogosławieństwa Boga, w którego Alix wierzyła. Babcia Lucía została matką chrzestną swojej prapraprawnuczki.

Gunnarr przysięgał przed Ukrzyżowanym, że będzie ją chronił, i chociaż widziałem, jak krzyżuje za plecami palce, recytując słowa przysięgi, byłem pewien, że oddałby za nią życie.

I kiedy już myśleliśmy, że wszystko stracone, nadeszło nasze wybawienie.

Poprzedził go odgłos trąbek. Potem ukazał nam się w eskorcie podejrzliwych kastylijskich żołnierzy.

Nowina szybko obiegała miasto i sąsiedzi zaczęli wspinać się na mury, żeby to zobaczyć na własne oczy.

– Co się dzieje? – krzyknął z góry namiestnik.

– Wynegocjowałem z królem Alfonsem przejście, pozwolił mi wejść do grodu i przynieść wam nowiny. Otwórzcie bramę, zanim się rozmyśli, nie chcę, żeby moja podróż z Pampeluny poszła na marne – powiedział uśmiechnięty biskup García.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, od lata nie widzieliśmy nikogo z zewnątrz.

Proboszcz, który z upływem miesięcy wychudł i bardzo się postarzał, wbiegł na dzwonnice kościoła Najświętszej Marii Panny i zaczął bić w dzwony.

Ten dźwięk był jak miód na nasze uszy.

Ostrożny jak zwykle Chipia ustawił swoich kuszników nad Północną Bramą.

Obok staliśmy my, mieszkańcy, każdy z nas uzbrojony w to, co zdołał chwycić po drodze.

– Otwórzcie – rozkazał namiestnik. – Ale tylko na tyle, żeby przedostał się jeździec na koniu.

Szczęk bramy, przez tyle miesięcy nieotwieranej, wydał się nam przeraźliwy.

Kiedy tylko wierzchowiec biskupa przeszedł przez bramę, żołnierze Chipii zamknęli kratę.

Biskup zeskoczył z konia, a Onneca, która jak inni sąsiedzi przybiegła, słysząc bicie dzwonów, przytuliła kuzyna.

– Myślałam, że już was nie zobaczę! – wykrzyknęła.

– Jeśli nic się nie zmieni, w końcu tak się stanie, kuzynko. A ja nie chcę odprawiać mszy za waszą duszę.

García przyjrzał się nam wszystkim bardzo zmartwiony.

– Jesteście w opłakanym stanie. To oblężenie musi się natychmiast skończyć – powiedział.

– Jeśli przybyliście przekonywać nas, żebyśmy się poddali, mówię od razu, że to nie wchodzi w rachubę – zapewnił szybko namiestnik.

– Nie mnie decydować o tak poważnych kwestiach. Ale martwię się o te wszystkie dusze i mam zamiar pojechać na południe na ziemię Almohadów. Wezmę ze sobą jednego rycerza z grodu, wy go wybieriecie. Pomówię z dobrym królem Sanchem, wyjaśnię mu, że sytuacja przeciągnęła się zbyt długo i nie sposób dalej stawiać oporu. Niech powie nam, czy przyśle posiłki, albo wyda rozkazy, jakie uzna za stosowne. Czy sądzicie, że to roztropne wyjście?

Mieszkańcy miasta rozmawiali w grupkach, osobno szlachta, osobno kupcy. Przez chwilę szeptano, od czasu do czasu dało się słyszeć jakieś przekleństwo. W końcu wszyscy się zgodzili.

– Pojadę z wami – powiedziałem.

– Nie ma mowy. Jesteście w tym mieście potrzebni. Gdyby nie wy, wszyscy bylibyśmy już martwi.

– Ma rację – potwierdził Nagorno. – Powinniśmy zostać i trzymać się razem.

– Kto więc pojedzie?

– Jeden mieszkaniec Nowej Victorii i jeden z Villa de Suso – wtrącił się Mendoza. – My zaufamy tylko swoim.

– Dobrze, czy jest jakiś ochotnik? – zapytał namiestnik.

Ku naszemu zdumieniu zgłosiła się Onneca.

– Ja będę towarzyszyć kuzynowi. Pojadę na Olbii. Mam jeszcze dość sił, żeby sprostać trudom dwumiesięcznej podróży.

Wokół rozległy się pomruki, ale nikt nie miał odwagi otwarcie się sprzeciwić.

– A ktoś z Villa de Suso? – zapytał burmistrz.

– Ja z nimi pojadę – odezwała się stojąca obok mnie Alix. Miała na ręku naszą śpiącą córeczkę, podała mi ją, a ja spojrzałem na nią w milczeniu.



Nie mogłem jej tego zabronić. To było jej miasto, jej dzielnica.

– Wyruszajcie więc chyżo, bo macie przed sobą daleką drogę – przykazał Chipia.

O podróży na ziemię Almohadów mogę opowiedzieć tylko tyle, ile opowiedziano mnie. Część historii usłyszałem z ust swojej żony, Alix de Salcedo. Inne szczegóły ujawniła przede mną Onneca de Maestu, moja bratowa.

Zła pogoda wydłużyła podróż nieznośnie, po prawie pięciu tygodniach dotarli wreszcie na południe i Sancho VII Mocny udzielił im audiencji. Alix i Onneca nie zostały dopuszczone przed oblicze króla, przyjął tylko biskupa Garcíę. Pertraktacje nie okazały się łatwe, ale García był wybornym dyplomatą i zawsze cieszył się sympatią monarchy. Udało mu się wynegocjować to, co chciał, i wyszedł, niosąc pismo pozwalające nam na poddanie miasta.

– Co powiedział nasz król? – zapytała z niepokojem Alix.

– Że nie wyśle posiłków. Miramamolín ma teraz problemy w Tunezji i potrzebuje żołnierzy króla Mocnego. Nie zatrzymuje go tu wbrew jego woli, Sancho nie jest w żadnym wypadku więźniem, słyszałem jednak pogłoski o tym, że kalif obsypuje go złotem i klejnotami, jest też podobno piękna niewierna kobieta. Król Sancho zwalnia was z przysięgi posłuszeństwa i obrony. Obiecał, że odbije gród, kiedy już wróci na północ, ale nie wie, kiedy to nastąpi.

Onneca i Alix popatrzyły po sobie sfrustrowane, chociaż nie śmiały wątpić w słowa władcy.

– I to wszystko? Po tym, co wycierpieliśmy, broniąc granic jego królestwa? – zapytała Onneca. – Naprawdę nie pošle wojska nam na odsiecz?

García popatrzył na nią w milczeniu i objął, żeby pocieszyć.

– Zrobiliśmy, co mogliśmy zrobić, kuzynko. Królowie podejmują decyzje, potem się z nich wycofują, zawsze tak było. Wracajmy do Victorii, zanim zginą jej kolejni mieszkańcy. Jeśli monarcha mówi, że odzyska miasto, na pewno tak będzie.

Podróż powrotna zajęła im mniej czasu. Alix galopowała pierwsza, nie mogąc się doczekać, kiedy znów weźmie w ramiona swoją małą córeczkę. Onneca chciała przekazać wiadomość sąsiadom i wrócić do swoich codziennych zwyczajów u boku męża. Przejazdów na grzbiecie Olbii i Altaia, porannych wycieczek na łyżwy do Cauce de los Molinos.

Musieli przemierzyć drogę dzielącą ich od Bramy Południowej. Niestety późno w nocy zaskoczyła ich burza. Zły moment, żeby prosić o audiencję u króla Alfonsa. Biskup García stwierdził z niekłamaniem rozczarowaniem, że najlepiej będzie, jeśli schronią się w gospodzie La Romana.

Z wielkim trudem przyjdzie mi opisać to, co wydarzyło się później, zrobię to jednak, by czyny przelane na karty tej kroniki nigdy nie zostały zapomniane.

## PLAC ZABAW W OGRODZIE ETXANOBE

## UNAI

*Październik 2019*

O czym myśli starzec na chwilę przed śmiercią? Jakie myśli przebiegają przez głowę komuś, kto urodził się na początku ubiegłego stulecia? Czy wspomina swoje dzieci, których już nie ma, trzydzieści sześć tysięcy świtów, które widziały jego oczy zmęczone oglądaniem piękna, zniszczenia, spokoju, nikczemności? Może myśli o swojej żonie, towarzysze życia, która przez pięćdziesiąt lat przemierzała z nim kamieniste ścieżki Villaverde?

„Co pani najbardziej lubi w życiu, proszę pani?”, zapytała onkolożka moją babcię po operacji, podczas której przecięto jej tułów na pół i cierpliwie usuwano przerzuty z siedmiu narządów.

„Pracować na roli”, odparła babcia, wzruszając ramionami. Ten gest sprawił jej ból. Nie skarżyła się, tak została wychowana, żeby nie narzekać, nawet w przedśionku śmierci.

„Ale ma pani ponad siedemdziesiąt lat. Jest pani emerytką. Nie musi już pani pracować. Przeszła pani bardzo skomplikowaną operację. Musi pani teraz dużo odpoczywać, nie przemęczać się. Co najbardziej lubi pani robić?”, nie dawała za wygraną lekarka.

„Lubię schodzić do piwnicy i przygotowywać sadzeniaki przez całe popołudnie”.

Trudno to zrozumieć. Przygotowanie sadzonek oznacza przesiadywanie całego popołudnia w lodowatym magazynie, nacinanie ziemniaków nożem zziębniętymi dłońmi.

„Sprawia mi to przyjemność”, ucięła babcia.

I obie zamilkły. Bo obie wiedziały, że co popołudnie babcia zejdzie do magazynu, z blizną czy bez. Mimo raka.

Wiem, że dziadek odpowiedziałby podobnie: pracować w warzywniku, siedzieć na traktorze, opiekować się prawnuczką.

Najgorszy dzień mojego życia zaczął się od telefonu do starego przyjaciela Iago del Castillo.

– Iago, przepraszam, że ciągle zawracam ci głowę, ale potrzebuję twojej eksperckiej opinii. Podjechałbyś do Vitorii?

– Jestem akurat w Santander. Jeśli chcesz, możemy się spotkać za trzy godziny u ciebie w domu – odpowiedział.

– Mógłbyś przyjechać do Archiwów Dziedzictwa Historycznego Álavy?

– Dobra. W takim razie widzimy się w kampusie.

Kilka godzin później szedłem kampusową alejką, kiedy zawibrował mój telefon. Dzwonił Peña.

– Przejrzeliśmy nagrania ze szpitalnych kamer nadzoru. Ramiro Alvar wy dostał się stamtąd z czyjąś pomocą, jakiś lekarz popychał jego wózek inwalidzki.

– Pomocą? – zdziwiłem się. – Kogo Ramiro Alvar mógłby poprosić o pomoc w ucieczce?

– To właśnie próbujemy ustalić. Widać gościa tylko z tyłu, ma biały fartuch. Dwóch agentów przesłuchuje lekarzy, zobaczymy, czy się czegoś dowiedzą. To, że Ramiro Alvar nie ma komórki, nie ułatwia nam sprawy. Zmieniając temat, mam nowe wieści w sprawie kradzieży hiszpańskiej muchy. W końcu dostałem listę przedsiębiorców, którzy byli na tym samym spotkaniu, co Antón Lasaga tego dnia, kiedy zmarł w Villa Suso. Znalazłem jedno nazwisko, o którym powinieneś się dowiedzieć: Ignacio Ortiz de Zárate. Poszedł tam jako reprezentant firmy Slow Food. À propos, tego dnia, kiedy poprosiłeś, żebym mu zrobił zdjęcia i powiedział, w co jest ubrany, nie udało mi się zlokalizować go w Vitorii. Nie wchodził do swojego mieszkania ani z niego nie wychodził.

– Ignacio był tego dnia w Villa Suso? Oczywiście to może być zwykły zbieg okoliczności. Ale dziękuję, szukajcie dalej Ramira Alvara. Wysłałem patrol do wieży Nograro, nie ma tam po nim śladu. Teraz muszę kończyć – powiedziałem na widok zbliżającego się Iaga del Castillo.

Przywitaliśmy się serdecznie i weszliśmy do budynku archiwum.

– Zupełnie zapomniałem, że dziś Halloween – powiedział, kiedy szliśmy długimi korytarzami. – Po ulicach chodzą ludzie poprzebierani za Parki.

– Nie lubisz tego święta? – zapytałem zaciekawiony.

Wydawał się trochę zirytowany, co nie było typowe u osoby tak zrównoważonej jak Iago.

– Nie chciałbym, żebyś pomyślał, że jestem przesądny, bo to nieprawda, ale tego dnia osobom z mojej rodziny przydarzyło się wiele nieszczęść, mam złe wspomnienia. Wolałbym nie musieć o tym myśleć za każdym razem, kiedy wychodzę z domu w przeddzień Wszystkich Świętych.

– Przebrałem swoją córkę za *eguzkilorę*, żeby złe duchy nie miały wstępu do mojej rodziny.

– Dobry pomysł, rozsądny z ciebie ojciec – skwitował wyraźnie w lepszym humorze.

Rozmawiałem wcześniej z dyrektorką archiwum i pozwoliła nam zajrzeć w dokumenty dotyczące rodu Nogararów.

– Czego dokładnie szukamy, Unai? – dopytywał się Iago.

– Dokumentu z tysiąc trzysta szóstego roku podpisanego przez króla Ferdynanda Czwartego: „O przywilejach dziedziczenia senioratu de Nograro”. Chciałbym cię prosić, żebyś wyjaśnił mi zasady.

Urzędniczka udostępniła nam dokument, o który poprosiliśmy. Iago czytał go w skupieniu przez długą chwilę.

– To klasyczna formuła przyznająca prawo dziedziczenia seniorowi, czyli najstarszemu męskiemu potomkowi rodu – powiedział w końcu. – *Ius succedendi in bonis, ea lege relictis, ut in familia integra perpetuo conservatur, proximoque duque primogenito ordine succesivo deferantur.*

Patrzyłem na niego w milczeniu, chyba nawet nie był świadom tego, że mówi do mnie po łacinie.

– „Prawo dziedziczenia dóbr pozostawionych przez fundatora, aby zachowały się w całości w rodzinie, po to, aby rządził nimi i posiadał je najbliższy mu pierworodny męski potomek”, przetłumaczył mi bez zagładania do słownika.

– Dobrze, chciałbym jeszcze zapytać cię o pewien konkretny akapit. Chodzi mi o ten: „Pod warunkiem, że progu więzienia nie przestąpi ani skazany przez sąd nie zostanie ten, kto ma być głową rodu ludzi prawych”. Myślisz, że ten przepis obowiązuje nadal?

– Jeśli nie ma późniejszego przepisu, który zmienia rozporządzenie króla, owszem. W tych starych rodach często zdarza się, że istnieją prawa uchwalone później, zmieniające te stare.

– Jak sądzisz, co się wydarzyło, że mieszkańcy Victorii w końcu się poddali i pozwolili się wcielić do królestwa Alfonsa Ósmego? – zapytałem z głupia frant, żeby zmusić się do myślenia o czym innym niż to, co siedziało mi w głowie.

– Nie możesz na to patrzeć z perspektywy współczesnej mentalności. Ci, którzy starli się podczas tego oblężenia, król kastylijski i Sancho Siódmy Nawarski, kilkanaście lat później walczyli ramię w ramię pod Navas de Tolosa przeciwko Miramamolnowi, temu samemu, który podczas oblężenia Victorii był sprzymierzeńcem Sancha Mocnego. Granice między królestwami Kastylii i Nawarry były właściwie płynne, w ciągu tamtego stulecia zmieniały się pięć razy. Lud nie miał poczucia przynależności narodowej, jak my dzisiaj, skupiony był raczej na codziennej walce o przetrwanie, łatwiejszej lub trudniejszej w zależności od tego, w jakim stanie społecznym przyszło komuś żyć, i brał stronę tego czy innego króla po rozważeniu przywilejów, jakich władca udzielał grodowi. To nie miało nic wspólnego z poczuciem patriotyzmu. Walka o terytorium była walką o zachowanie statusu, nawet dla królów, którzy musieli ciągle pokazywać swoją potęgę, żeby nikt nie zarzucił im słabości.

Spojrzałem na zegarek w telefonie, z braćmi del Castillo czas płynął w innym rytmie. Zadzwoiłem do dziadka, mówił, że zabierze Debę na plac zabaw w ogrodzie Etxanobe, niedaleko muralu *Zwycięstwo Victorii*.

Wybrałem numer kilka razy, musiał być zajęty zabawą z Debą, bo nie odbierał.

– Skoro rozmawiamy o starych rodach, chciałbym ci kogoś przedstawić. Dziadka, właśnie opiekuje się moją córeczką Debą.

Iago uśmiechnął się zaintrygowany.

– Silny mężczyzna, jak się domyślam, skoro daje radę zajmować się prawnuczką.

Wzruszyłem ramionami. Być może coś zupełnie dla mnie oczywistego nie było takie oczywiste dla innych.

– Jest długowieczny. Pamiętam go zawsze jako staruszka, ale nie traci wigoru. Nie choruje. Kilka tygodni temu zaczął chodzić o lasce, ale wydaje mi się, że wcale jej nie potrzebuje.

Miałem swoje podejrzenia, że po tym, jak Ignacio napędził nam stracha w Laguardii, postanowił mieć przy sobie laskę do obrony. Ale kiedy zapytałem go o to wprost, szybko zmienił temat.

– Z wielką przyjemnością go poznam – zgodził się Iago.

Ruszyliśmy w kierunku starówki, mijając po drodze ludzi przebranych za szkielety i demony. Pół godziny później dotarliśmy do ogrodu. Uwielbiałem to miejsce, najwyższy punkt w mieście.

Weszliśmy za ogrodzenie, zobaczyliśmy sekwoję rażoną piorunem, którą ktoś zmienił w rzeźbę. Było cicho, ani krzyków Deby, zachwyconej swoim przebraniem *eguzkilore*, ani dziadka mówiącego: „A mam cię, lisiczko”.

– Unai! – krzyknął Iago. Ja nie byłem w stanie zareagować. – Dzwon po karetkę!

I biegiem dopadł nieruchomego dziadka leżącego na ziemi.

Stałem jak wryty, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Patrzyłem tylko na nich w osłupieniu, jakby byli z innego świata.

Mój przyjaciel sprawdził na szyi tętno, zakrwawiony beret leżał u moich stóp. Nie podniosłem go.

– Zatrzymanie krążenia! Unai, na Boga, dzwonić po karetkę, potrzebuje reanimacji, już!

Ale nie zadzwoniłem. Dziadek się nie ruszał. Deby nie było.

Moje oczy patrzyły bezwolnie, jak doświadczony mężczyzna rozpina płaszcz dziadka, kładzie dłonie na jego klatce piersiowej i zaczyna miarowo

uciskać.

Odchylił mu głowę, zatkał nos, wdmuchnął do ust powietrze. Raz, zrobił przerwę, drugi raz.

– Unai, obudź się! Podejdź tu! – krzyknął na mnie zdesperowany.

A ja nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca.

Otworzyłem usta i z przerażeniem odkryłem, że moja afazja Broki wróciła. Nie mogłem wydusić z siebie słowa.

Iago kontynuował reanimację. Dziadek się nie ruszał. Iago klęczał obok niego i z całej siły uciskał mu klatkę piersiową.

– Unai – zmienił ton. Przemawiał teraz spokojnie, cicho, jak do dziecka.

– Unai, podejdź do mnie, tylko do mnie podejdź. Zrób krok. Tylko jeden krok.

To nie ja usłuchałem. To moje ciało odpowiedziało na ten ojcowski ton. Moja prawa noga zrobiła krok w ich stronę.

Iago wciąż wdmuchiwał powietrze do ust dziadka, a ja byłem świadom wszystkiego, ale czułem się tak, jakbym się znalazł na projekcji horroru, którego wcale nie chcę oglądać, jednak nie mogę wyjść z sali.

– Świetnie, Unai – powtórzył ten głos, który tak bardzo mnie uspokajał.

– Teraz jeszcze jeden krok. Podejdź do mnie, troszeczkę bliżej.

Moja lewa noga usłuchała. Kolejny mały kroczek. Wystarczyło, żebym zobaczył, że z zaróżowionych zwykle policzków dziadka uciekł cały kolor. Był blady jak kreda, bez życia.

– Jeszcze jeden krok, Unai. Nie zatrzymuj się – mówił ten spokojny głos.

Iago od czasu do czasu spoglądał na mnie kątem oka. Próbował przywrócić do życia to serce, które stanęło.

Nadszedł moment, kiedy moja stopa dotknęła ciała dziadka. Iago wyjął komórkę z mojej kieszeni, wybrał jakiś numer.

– Mężczyzna, lat sto, z poważną raną czaszki. Ma zatrzymanie krążenia. Reanimuję go od trzech minut. Przyślijcie karetkę do ogrodu Etxanobe. Przyślijcie też policję. Zaginęła mała dziewczynka. Nie wiem, jak dawno temu. Możliwe, że została porwana, jej dziadka napadnięto. Zawiadomcie



komisariat przy Portal de Foronda. Chodzi o córkę inspektora Lopeza de Ayali. Wracam do reanimacji.

Trzy minuty? Nieprawda. To było całe życie. Całe długie życie: huśtawka, którą zrobił dla mnie i dla Germana w Solaítas, przy drodze nad rzeką Ega; dzień, w którym podzielił się ze mną sekretem, gdzie znajdują się czarcie kręgi gęśnic, grzybów bardzo w naszej rodzinie lubianych, nocę przy drodze Trzech Krzyży, kiedy leżeliśmy na ziemi, oglądając Perseidy.

Iago położył komórkę obok siebie i wrócił do reanimacji.

Wiele razy sięgałem pamięcią do tego dnia.

Zastanawiałem się, co mnie sparaliżowało w tak dotkliwy sposób.

To był dysonans.

Dysonans poznawczy.

Mój umysł nie mógł przyjąć do wiadomości, że straciłem jednocześnie dwie najukochańsze osoby.

Obie naraz.

Przez te ciągnące się w nieskończoność minuty, zanim nadeszły posiłki, nie potrafiłem się zdecydować, kogo ratować najpierw, dziadka czy Debę.

I ta wątpliwość zmiażdżyła mnie, całkowicie zrównała z ziemią moją siłę woli.

## BURZA

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

Burza i zła pogoda zmusiły ich do spędzenia nocy w gospodzie La Romana. Nie było w niej śladu po pątnikach ze Szlaku Apostoła, którzy, spłoszeni wieściami o przeciągającym się oblężeniu, z daleka omijali Victorię. Zajazd świecił pustkami i sprawiał przygnębiające wrażenie. Ostatnio nie zaglądali tu nawet kastylijscy żołnierze. Niekończące się miesiące kampanii opróżniły ich sakiewki, nie mieli już solidów, żeby zaspokajać naprędce swoje żądze na tutejszych siennikach.

García wszedł na piętro, chciał zapewne dać odpocząć swoim utrudzonym członkom po tak długiej drodze. Jego koń nie był tak szlachetnym wierzchowcem jak Olbia. Onneca suszyła suknię wpatrzona w ogień kominka, a Alix pomagała Astondze piec placki z kogucimi grzebieniami, o które poprosił biskup García.

Onneca, słysząc kolejne grzmoty, poszła do stajni. Wiedziała, że jej klacz jest przerażona.

– Spokojnie, moja najśłodsza damo – szeptała i głaskała ją po grzywie. – Spokojnie. Jutro będziemy z powrotem w grodzie.

Spędziła przy niej sporo czasu. Onneca bardzo lubiła milczeć, długie rozmowy ją wyczerpywały. To był jeszcze jeden z powodów, dla których unikała jak mogła towarzystwa gadatliwej Alix de Salcedo.

Przypadkiem jej wzrok spoczął na sakwach kuzyna Garcíi. Przez burzę tak się spieszyli, że zostawili je na podłodze stajni. Ukucnęła, żeby je podnieść, oczyściła z ubłoconej słomy. I wtedy to zobaczyła.

Niewielka laseczka laku i... królewska pieczęć. Królewska pieczęć Sancha Mocnego. Dlaczego jej kuzyn miał królewską pieczęć? Tylko notariusz monarchy, stary Fernando, powinien mieć do niej dostęp. Posiadanie kopii tej pieczęci było ciężkim przestępstwem, zdradą.

Zaniepokojona Onneca przeszukała sakwy i znalazła inny stempel. Starszy i bardziej sfatygowany: pieczęć nieżyjącego już Sancha Mądrego.

Wzięła obie i wściekła pobiegła do gospody. Kuzyn był jej winien wyjaśnienia. Wiele wyjaśnień.

Stojąc przed drzwiami, usłyszała głosy. Biskup rozmawiał z jakimś młodzieńcem. Zdziwiła się. Myślała, że w gospodzie mieszka tylko właścicielka i jej siostry o wątpliwej reputacji. Podkraśla się cicho i słuchała.

– Tu macie prosek na tę noc, moja matka odwiedzi was, kiedy wszyscy zasną. Ale nie to mnie dziś do was sprowadza. Już osiągnąłem odpowiedni wiek, ojciec – mówił chłopak, najwyraźniej wzburzony. – I coś mi się od was należy, narażałem dla was skórę.

– Źle mnie oceniał, Lope. Nigdy nie zapomniałem o obietnicy, którą złożyłem ci, kiedy otrułeś Maestu. Ale wówczas to nie był dobry moment, winnego szukano w tej gospodzie, naraziłbym się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, gdybym wtedy cię uznał. Teraz upłynęło już kilka lat, w grodzie zapomniano o całej sprawie. Czyż kiedykolwiek przestałem przysyłać pieniądze twojej matce i tobie? Przetrwalibyście beze mnie te zimowe miesiące bezsensownego oblężenia? Nie bądź niewdzięcznikiem, synu. Masz tu dokument, którego tak bardzo pragniesz – powiedział biskup García.

Otrułeś Maestu? – powtórzyła w myślach Onneca.

I bez zastanowienia wtargnęła do izby. Chyba nie oszacowała zagrożenia.

– Ten chłopak podał hiszpańską muchę mojemu ojcu?! – wykrzyknęła, a García z przerażeniem spojrział na pieczęcie, które miała w ręku.

– Onneco, uspokój się. Wszystko wam wytłumaczę, ale oddajcie mi te pieczęcie. Jeszcze ktoś weźmie mnie za zdrajcę.

– A do czego używacie tych pieczęci? Do czego używaliście pieczęci króla Mądrego? To wy wysłaliście wiadomość oznajmującą o śmierci Diaga Veli? Zniszczyliście mi życie, przez was nie mogłam go poślubić!

García spokojnie rozejrzał się wokół.

Spokój.

Zawsze należało go zachować.

Siennik, dzban i miednica, kominek, pogrzebacz, świece. Niewiele przedmiotów, którymi można kogoś zaatakować.

– Synu, wyjdź z izby. Zejdź do matki i ciotek. Postaraj się zabawić Alix de Salcedo. Niech nikt tu na razie nie wchodzi – powiedział powoli.

– Ojczy, co zamierzacie zrobić? – zapytał chłopak zaniepokojony.

– Zdecyduj: albo wyjdiesz, albo wyprę się dokumentu, w którym cię uznają.

Lope spojrział smutno na kobietę, a potem zamknął drzwi. Wiedział, że jej los jest przesądzony. Onneca wciąż nie obawiała się o swoje życie, miała przecież przed sobą troskliwego kuzyna.

– Bardzo żał mi było Bony i Favili, a także waszego brata. Ze wszystkich Maestu ty zawsze broniłaś interesów szlachty zamieszkałej w Nowej Victorii.

– A co was z nimi łączy?

– Pałac w Pampelunie, majątek, który mi przepisali, w zamian za to, że będę kontrolował obu Sanchów. Ale to już dłużej niemożliwe, Onneco. Król Alfons da naszym więcej przywilejów, dobrze o tym wiesz.

– I cała moja rodzina musiała umrzeć? Nie było innego sposobu? – krzyknęła. – Mogliście mi powiedzieć, byłabym waszą najlepszą sojuszniczką. Spiskowałabym razem z wami.

– Jako żona Diaga Veli? Uważasz, że jego da się tak łatwo przekupić? Jakaś ty naiwna! Przekonałem króla Mądrego, żeby posłał go na misję, z której nie powinien był wrócić. Moi najemnicy ścigali go w drodze powrotnej, ale nie zdołali pochwycić. Nigdy nie widziałem człowieka, którego tak trudno zabić.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Złapał stary pogrzebacz. Zaczął uderzać nim Onnece, która broniła się z wściekłością podsycaną wspomnieniem ojca. Kiedy upadła na podłogę, świadoma, że to koniec, zaczęła krzyczeć resztką sił.

Niech przynajmniej wiedzą, że mnie zabił, niech moje krzyki obciążą ich sumienia, pomyślała, kuląc się pod gradem ciosów.

Z podłogi zobaczyła jeszcze, jak drzwi się otwierają, zobaczyła znajomą suknię. Ciosy ustały.

– Onneco! García, co to za barbarzyństwo!

Nie widziała więcej, zrozumiała tylko, że Alix rzuca się na jej kuzyna. Zamknęła oczy i zapadła się w ciemność.

## ZAUŁEK CARNICERÍAS

## UNAI

*Październik 2019*

Odzyskałem mowę. Na widok Alby, która nie załamała się i wydawała rozkazy, zmusiłem się, żeby zacząć działać.

Podniosłem komórkę, którą Iago zostawił na ziemi. Wybrałem numer Germana.

– Powiem krótko. Chodzi o dziadka. Przyjedź – zdołałem wykrztusić.

Mój brat zrozumiał. Był adwokatem, na co dzień miał do czynienia z rozpaczą swoich klientów.

– Dokąd?

– Szpital Świętego Jakuba.

– A ty?

– Deba. Muszę kończyć.

I to wystarczyło. Byłem pewien, że zajmie się dziadkiem, żebyśmy z Albą mogli przystąpić do poszukiwania Deby.

Alba już zorganizowała operację. Średniowieczny migdał został zamknięty. Na wszystkich ulicach rzemieślniczych rozstawiono patrole. Wiedziałem, że ścigamy się z czasem: kiedy tylko komisarz Medina dowie się, że zaginiona dziewczynka jest naszą córką, odsunie nas od sprawy.

Przypomniało mi się oblężenie grodu. Prawie tysiąc lat wcześniej mieszkańcy nie chcieli wpuścić wroga do miasta.

Teraz obstawialiśmy te same ulice, żeby nie pozwolić potworowi uciec.

– Tutaj! – W całym rozgardiaszu, który zapanował wokół, rozpoznałem głos Milán.

Pobiegliśmy z Albą do zaułka Carnicerías.

Przykucnięta Milán przyglądała się czemuś na chodniku.

– To należało do małej, prawda? – zapytała, kiedy stanęliśmy przy niej.

Jej bransoletka z czerwonej nitki ze srebrnym *eguzkilore*, które dostała od cioci Estíbaliz.

Mądra dziewczynka.

Zawsze jej mówiłem, że jeśli się zgubi, powinna rzucać za sobą okruszki.

Ale moja córka się nie zgubiła. Ktoś pobił dziadka jego własną laską. A dziadek nigdy nie pozwalał, by ktoś dotykał jego bukszpanowej laski. Na pewno próbował walczyć z napastnikiem, który go pokonał. Co nie pozwalało snuć innych hipotez: ktoś porwał Debę, nie zgubiła się sama na ulicach starówki.

– Zadzwoń po techników kryminalistyki. Niech zbadają oba miejsca – poleciła Alba.

Iago podszedł do nas.

– Wiem, że to najgorszy moment, żeby się przedstawiać. Pani to pewnie komisarz Díaz de Salvatierra?

– To Iago del Castillo. Reanimował dziadka – wyjaśniłem Albie.

Iago uścisnął jej dłoń, a następnie odciągnął mnie na stronę, podczas gdy Alba znów brała ster w swoje ręce i wydawała kolejne polecenia.

– Nie chcę w tej chwili przeszkadzać, ale zapytam krótko: nie przyda się wam moja pomoc? Czy ktoś jest w szpitalu, żeby czuwać przy dziadku i powiadomić was o tym, co się wydarzy?

– Jedzie tam mój brat Germán. I oczywiście mamy wsparcie. – Myślałem o zbyt wielu rzeczach naraz. – Wystarczy jeden telefon, a przyjedzie rodzina, sąsiedzi z Villaverde... Tak, damy sobie radę, ale dziękuję, że chciałeś pomóc.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, podjadę do szpitala. Nie mógłbym spokojnie wracać do Santander, nie wiedząc, co dzieje się z twoim

dziadkiem. Ty na razie nie możesz zrobić dla niego nic więcej. Skup się na Debie. Słyszałeś? Skup się na Debie.

Na chwilę ogarnęła mnie panika, Iago zobaczył ją w moich oczach.

– Czego potrzebujesz? – zapytał. – Co jest w tej chwili najpilniejsze?

– Zdjęcia Deby. Musimy przejrzeć nagrania z kamer nadzoru ze starówki  
– wyrecytowałem z pamięci fragment podręcznika z akademii.

Nie chciałem przestać. Dla niej. Dla Deby.

– Jeszcze jedno pytanie, Iago, bo za chwilę będę myślał o sprawach praktycznych. Synek hrabiego Veli zaginął. Czy... czy w końcu go znaleźli? Czy jest jakiś ślad w kronice albo w innych dokumentach? Data jego śmierci?

Iago odwrócił wzrok i przymknął oczy, jakby odganiał się od jakiegoś bolesnego wspomnienia.

Po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Położył swoją silną dłoń na moim ramieniu, jak sekwoja wspierająca jedną ze swoich gałęzi młody pęd.

– Nie, Unai. Bardzo mi przykro. Yennego, syn Diaga Veli, nie wraca.



## PRZEJŚCIE PODZIEMNE

## UNAI

*Październik 2019*

Wysłuchaliśmy tych niewielu świadków, którzy o tej godzinie krążyli wokół ogrodu Etxanobe i po zaułku Carnicerías. To, że ludzie chodzili tego dnia po ulicach w przebraniach krwawych morderców, a połowa z nich była w maskach, nie ułatwiało sprawy.

– Co mamy? – zapytała Alba. – Wiarygodnego, zaznaczam. Jest coś, czego możemy się chwycić?

– Nikt nie widział dziewczynki przebranej za *eguzkilorre*. To mnie bardzo martwi. Jedyne, co mamy, to trzech świadków, którzy zeznali, że widzieli kobietę z wózkiem dziecięcym w okolicach Fray Zacarías Martínez mniej więcej o tej godzinie, o której podejrzewamy, że napadnięto dziadka. Niewiele więcej. Zamknęliśmy starówkę. Albo uciekł, zanim zdążyliśmy to zrobić, albo jest na jakimś podwórku, klatce schodowej czy w mieszkaniu na tych ulicach. – Starąłem się nie myśleć o dziewczynkach zamurowanych żywcem niedaleko stąd.

– To wszystko szukanie po omacku, Unai. Nie mamy czasu na subtelności. Niech na oficjalnym koncju na Twitterze pogotowia i policji opublikują zdjęcie Deby. Niech w radiu podadzą zarówno jej opis, jak również kobiety z wózkiem. Nie zapominajmy jednak, że Tasio Ortiz de Zárate zapowiadał wielokrotnie, że zamierza się do niej zbliżyć, i jest głównym podejrzanym.

– Dobrze – powiedziałem tylko.

Germán telefonował do mnie co dwadzieścia minut, dziadek zapadł w śpiączkę, rokowania nie były dobre. Uprzedził, że powinniśmy przygotować się na najgorsze.

– Ale on chciałby, żebyś szukał Deby, nie miej wyrzutów, że się z nim nie pożegnasz, Unai. Zadzwoń, jeśli... kiedy będę wiedział coś nowego. Proszę, znajdź ją.

Dostawaliśmy zgłoszenia z różnych części miasta. Wiele osób twierdziło, że widziało dziewczynkę przebraną za *eguzkilorę* idącą za rękę z kobietą pchającą wózek. W Judizmendi, w parku San Martín, w dzielnicy Zaramaga. Wysyłaliśmy wszędzie patrole, wszystkie alarmy okazały się fałszywe.

– Coś nowego? – zapytałem Milán.

– Próbujemy filtrować każdą docierającą do nas wiadomość. Pracownik Renfe powiadomił nas, że widział Tasia Ortiza de Zárate z pofarbowanymi włosami, kupił bilet do Hendai i był z wózkiem dziecięcym. Ale miał w nim chłopczyka, a nie dziewczynkę – powiedziała.

Spojrzałem na Albę. Nie potrzebowaliśmy słów. Wziąłem pierwszy z brzegu służbowy samochód i ruszyłem na dworzec kolejowy na końcu ulicy Dato.

Nie miałem broni, nie miałem kamizelki kuloodpornej, moje Halloween zaczęło się od niewinnej wizyty w archiwum w towarzystwie Iaga del Castillo. Na dworcu były tłumy, na szczęście nie zauważyłem wielu przebierańców.

Dostałem wiadomość od Alby, przygotowywała operację. Udało się jej też zatrzymać wszystkie odjazdy.

Nie zobaczyłem na peronach nikogo z wózkiem. Zajrzałem do łazienek, tam też nie było ani Tasia, ani mojej córki.

Zbiegłem do przejścia podziemnego łączącego dwa perony.

Zobaczyłem ich od razu. Tasio pofarbował włosy na czarno i zapuścił brodę. Gęstą brodę, nie wiem, jak bileter zdołał go rozpoznać. W wózku spał blondynek ostrzyżony na zapałkę, po szyję przykryty kocym zasłaniającym strój *eguzkilorę*.

Ale to nie był chłopczyk, lecz Deba. Czy była nieprzytomna? Nie może być martwa, pomyślałem. Nie próbowałyby wywozić jej z kraju pociągiem, gdyby nie żyła.

– Tasio, odejź od mojej córki i porozmawiamy – powiedziałem, unosząc ręce, żeby zobaczyć, że nie mam przy sobie broni.

– To nie jest twoja córka. Kiedy rozmawiałem z nią pierwszy raz w parku w Laguardii, dałem jej lizaka, a potem go zabrałem. Miał jej DNA, ścigałeś mnie, ale nie rozpoznałeś.

– Bardzo dobrze wyszła ci ta zagrywka, naprawdę wziąłem cię za Ignacia. Rozmawiałem z tobą o pracy, żeby cię wy badać, bo nie byłem pewny. Doskonale go udajesz, palancie – powiedziałem.

– Jak już mówiłem, to nie jest twoja córka. Za to jest moją bratanicą. Czekałem na wynik badania DNA, moje podejrzenia się potwierdziły: jestem jej wujkiem.

– Wiem o tym, zawsze wiedziałem.

– Mówię ci, że ma moje geny, a nie twoje, a ty nawet się tym nie przejąłeś. Nie masz do niej prawa, za to mój bliźniak i ja jesteśmy jej rodziną.

– Wiedziałem o tym od dnia, kiedy się urodziła. Ale mylisz się: ma moje nazwisko i ma już rodzinę. Rodzinę, która ją kocha i chroni, a nie taką, która ją porywa, usypia, goli jej głowę i zabiera siłą. Właśnie popełniłeś przestępstwo: porwanie małoletniej, napad, jesteś krewnym drugiego stopnia, więc dostaniesz od dwóch do czterech lat więzienia i zakaz zbliżania się. I nie sądzę, żebyś mógł ubiegać się o opiekę nad nią, bo to, co właśnie zrobiłeś, pozbawi cię takiej możliwości na dwa do dziesięciu lat. I zamierzałeś wywieźć ją z Hiszpanii, co przesądza o tym, że sędzia wyda wyższy wyrok.

Stałem pięć metrów od Tasia i jego wózka, z rękami uniesionymi do góry. Nie podchodziłem bliżej, bo bałem się, że będzie szybszy i zrobi krzywdę mojej córce. Ale z drugiej strony tunelu bezszelestnie zbliżała się Alba z wycelowanym w niego pistoletem.

Mówiłem dalej:

– Możesz mi też ją oddać i zeznać sędziemu, że żałujesz. Postaralibyśmy się o obniżenie kary, sądzę, że nie chcesz wracać do więzienia, już wiesz, że nie cieszysz się tam sympatią. Jak myślisz, co ci zrobią tym razem, kiedy dowiedzą się, że porwałś dwuletnią dziewczynkę?

– To się nie stanie – powiedział Tasio. – Bo nie masz broni i nie zbliżysz się do dziewczynki. I pozwolisz mi odejść, bo inaczej...

– Bo inaczej co? – szepnęła mu na ucho Alba. Nie patyczkowała się. Przyłożyła mu lufę do brody, a wolną ręką go obezwładniła. – Już w życiu nie znajdziesz się tak blisko Deby. Jesteś aresztowany za porwanie małoletniej i usiłowanie zabójstwa. Santiago López de Ayala jest w bardzo ciężkim stanie. Módl się, żeby pożył jeszcze parę lat i mógł się bawić z prawnuczką.

Drzwi karetki zamknęły się. Usiedliśmy z Albą po obu stronach Deby. Wzięliśmy ją za ręce. Nie miała sił. Tasio ściał jej jasne loki, teraz wyglądała jak psotny chłopiec. Wydawała nam się odmieniona, obca. Środek uspokajający, który podał jej Tasio, wciąż działał. Deba spała.

– Słyszałaś wszystko? – zapytałem Alby.

– Skąd masz pewność, że Deba nie jest twoją córką, od dnia, kiedy się urodziła? Zrobiłeś testy DNA za moimi plecami i słowem mi o tym nie wspomniałeś?

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego. Podczas ciąży nie zapytałaś o moją grupę krwi. Mam grupę A. Kiedy się urodziła, pobrali jej próbkę krwi: ma grupę B. Ty masz A, ona B. Twój mąż też miał grupę B, wiem o tym, bo czytałem raport z sekcji, to należało do moich obowiązków. Okłamałem cię. Powiedziałem, że mam grupę B. Zdecydowałaś, że będziesz ją wychowywać, nie wiedząc, kto jest ojcem, a ja to uszanowałem.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Dziadek, jest sprytny jak lis, znasz go. Ale Deba i ja zdecydowaliśmy, że będziemy córką i ojcem, w chwili, kiedy pierwszy raz wziąłem ją na ręce. I tak się właśnie stało, niezależnie od genów. Nigdy nie zrozumiesz naszej relacji, jak ja nigdy nie zrozumiem, co czujesz do niej po tym, jak nosiłaś ją dziewięć miesięcy w brzuchu.

– Moja matka?

– Nie, twoja matka odeszła, nie poznawszy prawdy. I dobrze. Umarła, myśląc, że ja jestem biologicznym ojcem jej wnuczki. Dwie rodziny połączyły się, żeby być rodziną dla Deby, nie zmieni się to ze względu na jakieś głupie łańcuchy białek. Nie zgadzam się na to, żeby biologia decydowała o tym, kogo mam kochać i z kim spędzić życie.

– Nie boisz się, że odziedziczy psychopatię po ojcu?

– Na razie nie widzę w niej żadnych oznak. Jest empatyczna, nie manipuluje innymi, spontanicznie wyraża własne uczucia, nie udaje ich. A gdyby nawet tak było, urodziła się w najlepszym z domów, nie sądzisz? Matka była podkomisarz i ojciec profiler. Jeśli ktoś zdoła rozpoznać pierwsze oznaki i wpoić jej wartości, to właśnie my. Doktor Leiva na pewno nam pomoże. Istnieją programy reedukacji dla psychopatycznych dzieci.

– Była podkomisarz? – powtórzyła, głaszcząc po policzku śpiącą wciąż Debę.

– Wiem, że rzucisz pracę. I zasługujesz na swój zamek wśród morza winnic, a Deba zasługuje na to, żeby być bezpieczna. Nie może tu mieszkać po tym, jak całe miasto zobaczyło jej zdjęcie. Musicie wrócić do Laguardii.

– A ja wiem, że to niszczy ci życie. Nie musisz jej wychowywać, jeśli nie chcesz.

– O czym ty w ogóle mówisz? – zezłościłem się i ścisnąłem rączkę Deby trochę za mocno. – O ile wiem, pewna czerwona nitka połączyła nas na zawsze.

Ale prawda była taka, że ani czerwona nitka, ani *eguzkilore* nie ochroniły osób, które kochałem najbardziej na świecie.

W domu czekał na mnie strój pogromcy zombie, którego nie zdążyłem włożyć w to okropne Halloween. Czułem, że muszę nadal udawać przed swoją córką i pokazać, że jej ojciec ma na karku dwudziestu dwóch nieumarłych.

Udawać, grać, oszukiwać. Te czasowniki zdominowały moje życie.

Nawet ktoś tak zaślepiony jak ja rozumiał, że nie sposób tak dalej żyć.

## WIERNY MUNIO

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

Onneca obudziła się zziębnięta o północy. Już nie padało, ale czuła się przemarznięta, miała poobijane ciało, była otumaniona i cała się trzęsła.

– A García? Co się stało z Garcíą?

– Już nie musicie się go obawiać.

– Gdzie jesteśmy?

– W starym młynie przy Cauce de los Molinos. W gospodzie nie było bezpiecznie, nie możemy też prosić króla Alfonsa, żeby pozwolił nam wejść do wioski. Chciałby wiedzieć, czemu nie ma z nami Garcíi.

– A wiadomość od króla Sancha? Potrzebujemy jej, żeby w grodzie uwierzyli nam, że możemy się poddać.

Alix zakasłała. Źle się czuła, ale starała się to ukryć.

– Co nam pozostało w takim razie?

– Spróbuję podejść pod mury, a wy zostańcie tu i nie ruszajcie się z ciemnego kąta – przykazała Alix.

Alix wyszła, noc była lodowata, na szczęście Matka Pełnia, jak mówił o niej mąż, świeciła na firmamencie. Burzowe chmury zdążyły się rozproszyć.

Zbliżyła się na tyle, żeby ją usłyszano, i zagwizdała.

Gwizdała kilka razy, ale nie było odpowiedzi.

Upłynęło wiele długich godzin, Alix jednak się nie poddawała.

I w końcu anioł nadleciał. Jego białe skrzydła na chwilę przysłoniły Alix niebo.

– Munio! – wyszeptała oszalała z radości.

Jej wierna sowa, biały staruszek, który ostatnimi czasy pomagał nam w polowaniach na szczury, nadleciał na wezwanie kobiety, którą uważał za swoją żonę.

– Munio, zanieś to Diagowi i przyprowadź go do mnie – powiedziała.

Oderwała sobie kawałek mokrej spódnicy i przywiązała ptakowi do nogi.

Potem poszła po Onnecę, z trudem zaprowadziła ją pod mury, bojąc się cały czas, że natkną się na wartownika oblegających.

Zaczęło już świtać, kiedy Gunnarr opuścił się po murze na długiej linie, którą trzymaliśmy Nagorno i ja, dwóch hrabiów z niecierpliwością oczekujących powrotu swoich żon.

## GRÓB Z JABŁEK

## UNAI

*Listopad 2019*

Odzyskaliśmy jednego członka rodziny López de Ayala, ale traciliśmy drugiego.

Germán przemycił do szpitala jabłka. Dziadek wciąż przebywał na intensywnej terapii, nie było żadnych oznak poprawy. Zajrzeli do nas przedstawiciele firmy ubezpieczającej na życie, wprawdzie wyrzuciłem ich z hukiem, ale pielęgniarki radziły, żebyśmy zajęli się przygotowaniami do pogrzebu. Patriarcha przeżywał swoją ostatnią jesień.

W piątek wieczorem, kiedy zrobiło się spokojniej i szpitalny gwar ucichł jak krzyki stłumione poduszką, spróbowałem jeszcze jednego sposobu.

Przez jakiś czas nacierałem jego twardą jak kamień skórę ćwiartkami jabłek z naszego ogrodu. Rozmawialiśmy – a właściwie ja mówiłem – o domkach z kostek słomy, które budowaliśmy po skończeniu żniw w Las Llecas. Albo o tym, jak wracałem o czwartej nad ranem ze święta miasteczka Bernedo i budziłem go, żeby rozłożyć rury do nawadniania pól, bo tamtego lata nie padało.

Nie mogłem znieść jego milczenia. Wziąłem samochód i pojechałem do Villaverde.

Deba miała za sobą bardzo zły dzień, postanowiliśmy zabrać ją ze szpitala i z Vitorii. Nigdy nie widziałem jej tak smutnej i złej, jak w chwili, gdy spojrzała w lustro i zobaczyła swoje krótko obcięte włosy. Znienawidziłem Tasia jeszcze bardziej.



Tasio Ruiz de Zárate spędził noc w areszcie. Czekąco go postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Liczyłem, że nieprędko wyjdzie. Wolałem o nim nie myśleć, od poprzedniego wieczoru wszystkie moje myśli krążyły wokół Deby i dziadka. Kiedy moja córka znalazła się w domu dziadka w Villaverde, włożyła jeden z jego beretów i nie chciała go zdjąć, chociaż był na nią za duży. Przywiązałem jej drugą czerwoną nitkę. Mówiłem w ten sposób przeznaczeniu, że zamierzam wziąć sprawy w swoje ręce.

Nadeszło Święto Zmarłych. W tym miesiącu nasza rodzina miała bić w dzwony przed mszą, na Anioł Pański albo z powodu czyjeś śmierci.

Tego dnia w wiosce mieliśmy w zwyczaju bić w dzwony co trzy godziny, żeby przypomnieć o tych, którzy odeszli, więc wzięliśmy z Germanem ogromny żelazny klucz i poszliśmy do dzwonnicy.

Otworzyliśmy drzwi kościoła i wspięliśmy się po kamiennych kręconych schodach. Dzwonnica była wąska i niezbyt bezpieczna, zaledwie parę starych desek i dzwon. Przed nami pasmo górskie wydawało się czarnym, budzącym lęk litym blokiem, żółte światło latarni obok dzwonnicy oświetlało jedynie nieliczne dachy przed nami.

Kilka metrów dalej była już tylko ciemna noc.

Germán i ja biliśmy w dzwony w milczeniu, jak nauczył nas dziadek. Ogłuszający dźwięk nad naszymi głowami przyniósł mi jedyne chwile spokoju, jakie pamiętam z tych mrocznych dni, bo nie pozwolił mi myśleć o niczym. To dobrze mi robiło.

Niemysłenie.

– Pamiętasz, jak dziadek nauczył nas wiele lat temu rysować słońce? – przypomniał mi Germán, kiedy już puściliśmy sznur dzwonu.

Zdążyłem o nim zapomnieć. Zauważyłem, że jeszcze dało się rozpoznać ten kształt namalowany na północnej ścianie dzwonnicy.

„Zobaczcie, dzieci. Pokażę wam coś na wypadek, gdyby któregoś dnia mnie zabrakło”, powiedział pewnego gorącego sierpniowego poranka w tej samej wieży. Widzieliśmy kombajn ścinający dojrzałe zboże, na niebie nie było ani jednej chmurki.

„Jak to ciebie zabraknie? – powiedziałem bezmyślnie. – Robi mi się słabo, jak zaczynasz pleść takie głupstwa”.

Germán i dziadek spojrzeli na mnie chyba trochę z politowaniem. Nie powiedziałem nic więcej.

„Myślę, że dziadek chce nam przekazać jakiś rodzinny sekret, jak to miejsce, w którym w San Tirso rosną zioła”, zauważył Germán, który zawsze był ode mnie rozsądniejszy.

„Robimy to, kiedy przyjdzie kolej naszej rodziny, żeby bić w dzwony – powiedział dziadek, podrapawszy się po głowie. – Nie mówcie tego sąsiadom. Ten rysunek, tutaj, na kamieniu obok dzwonu. Ja myślę, że to słońce, dziadek Santiago powiedział o tym mojemu tacie, to ostatnie jego wspomnienie o ojcu, zanim on odszedł. Musiało być dla niego ważne”.

„Ten, który odszedł, kiedy twój tata miał dziesięć lat?“, chciałem się upewnić.

„Ten sam. Nie wiem dlaczego, ale chciał, żeby nasza rodzina wiedziała, że to słońce, a może ten kwiat, zawsze jest tu narysowany. Byłem bardzo mały, kiedy mnie tu przyprowadził, i nie pamiętam, czy mówił, że to Słońce Babci, czy Kwiat Babci. Mówił, że chroni Villaverde. Że w naszej rodzinie rysowano je od wieków”.

Od tego czasu, kiedy przychodziła kolej na mnie i na Germana, żeby bić w dzwony, zawsze przynosiliśmy jakiś scyzoryk i odnawialiśmy zatarty przez czas i pył rysunek dziadka, ryjąc go w kamieniu.

Spojrzałem na zegarek w telefonie, robiło się późno, zmusiłem się, żeby zmienić temat.

- Znasz Beltrana Pereza de Apodacę? To świeżo upieczony adwokat.
  - Kiedyś go spotkałem. Co dokładnie chcesz wiedzieć?
  - Opowiedz mi o nim – poprosiłem.
  - Głodny sukcesów, ma szybki refleks, młody rekin. Jeszcze nie wystartował. Brakuje mu obycia w sądzie, którego nabiera się latami. Na pewno się nauczy. Lubię go.
  - Tak, ty lubisz wszystkich. Czy zatrudniłbyś go w swojej kancelarii?
- Zastanowił się nad tym chwilę.
- Nie. Nie zatrudniłbym.
  - Dlaczego? Z tego, co mówiłeś, zapowiada się bardzo obiecująco.

– Owszem – odparł. – Ale ja zatrudniam tylko ludzi uczciwych, to zawsze dla mnie najważniejsze. Chcę, żeby otaczały mnie osoby, które kierują się w życiu zasadami etyki. Z biegiem lat uczysz się poznawać ludzi dogłębnie. Nie wiem, czy wyrażam się jasno?

– Tak, Germanie. Bardzo mi pomogłeś. Zejdźmy, mam jeszcze dziś sporo do zrobienia.

– Podejrzewasz go?

– Dobrowolnie zgodził się na pobranie próbki DNA, kiedy prosiliśmy o to mieszkańców Ugarte, i nie było zbieżności. Na pewno nie zabił MatuSalema. Próbuję tylko zobaczyć kompletny obraz sytuacji wokół głównego podejrzanego – wyjaśniłem.

– Będziesz dalej zajmował się sprawą „Władcy czasu”, prawda?

– Ktoś musi to robić.

– A tym kimś zawsze musisz być ty?

– Wiem, że nasza rodzina zapłaciła za to... – zacząłem.

– Jeśli pakujesz się w oko cyklonu, zniszczysz sobie życie – przerwał mi. – Dlaczego spośród wszystkich zawodów, wszystkich rzeczy, które mógłbyś robić, bo nieźle ci wychodzą, musiałeś wybrać Wydział Kryminalny, bracie?

– Ktoś musi chronić ludzi – powtórzyłem. – Dziadek był przez lata sołtysem w Villaverde, bo nikt nie chciał się tego podjąć. Tak nas wychował. Ty jesteś taki sam, robisz to samo co ja, tyle że w swojej kancelarii. Przemoc wobec kobiet, niezasłużone zwolnienia, przyjmujesz wiele spraw, żeby pomóc innym. Jesteś taki sam.

– Nie noszę pistoletu ani kamizelki kuloodpornej, taka jest różnica. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby mój brat był prawnikiem.

Nie miałem siły mu tłumaczyć...

– Jest coś, o co od dawna chciałem cię zapytać – powiedziałem po chwili wahania. – Nie lubię wtrącać się w twoje życie prywatne, ale od dwóch lat nie umówiłeś się z nikim na randkę. Czy zrezygnowałeś z tego do czasu, aż rzucę pracę w Wydziale Kryminalnym?

Nie odpowiedział.

– Więc mam rację? – naciskałem. – Boisz się, że twoje narzeczone zginą?

– Tego nie powiedziałem. Nigdy nie obwinałem cię za to, co zaszło, ale...

– Ale tak myślisz – podsumowałem.

Mój brat z mojej winy zmienił się w mnicha. Bardzo lubił dzieci, przepadał za Debą, wiedziałem, że marzy o własnej rodzinie. Czekał z tym jednak, aż rzucę pracę.

Zeszliśmy z dzwonnicy bez słowa, w ponurym nastroju. Zajrzałem do domu, żeby wziąć koszyk z ćwiartkami jabłek. Nie miałem gazet, użyłem więc kartek z rysunkami swojej córki. Obie z Albą spały. Wszedłem do sypialni, pocałowałem je w czoło i udałem się do ogrodu.

Poszedłem do warzywnika dziadka z koszem jabłek przewiązanych sznurkami, jak on to zawsze robił, zanim je zakopał. Zacząłem rozgrzebywać motyką ziemię pod naszą ogromną gruszą. Latarnia oświetlała mi plecy złotym światłem i moja sylwetka rzucała cień na grób, który kopałem.

Babcia opowiadała czasem, zawsze dość ogólnikowo, o rzymskich monetach, które jej ojciec znalazł, kiedy orał pole. Jako dziecko słyszałem tysiąc wariantów, raczej nieprawdopodobnych, tej historii. Niewielkie sakiewki ze sztywnej skóry ukryte dwa tysiące lat temu, małe skarby, które rolnicy znajdowali i czasem oddawali policji, najczęściej jednak zachowywali dla siebie. Muzea były pełne takich przypadkiem znalezionych monet, ceramiki i innych podobnych znalezisk archeologicznych.

Kiedy byliśmy mali, szukaliśmy z Germanem tych sakiewek przez całe długie miesiące. Kopaliśmy doły tu i tam, oszczędzaliśmy nawet w przyływie optymizmu na skuteczny wykrywacz metali. Potem dorosiliśmy i zapomnieliśmy o tych podziemnych skarbach. Wszystko, co zostało pogrzebane, było martwe i nie miało połysku. Tego nauczyło nas bolesne doświadczenie.

Starałem się uciszyć te ponure myśli.

Ukląłem i zacząłem wkładać do ziemi pokrojone jabłka. Chciałem, żeby zgniły. Żeby zgniły jak najszybciej.

I wtedy zwróciłem uwagę na rysunki na kartkach, w które owinąłem jabłka. Potwór z głową koguta, ciałem lwa i ogonem żmii. Oczyszciliem je z ziemi i zaintrygowany poświeciłem latarką w telefonie.

Znów widziałem potwory i chimery. Niedawno zetknąłem się z czymś podobnym.

Kiedy to było? – próbowałem sobie przypomnieć.

Zapamiętywałem, klasyfikowałem, przetwarzałem tyle szczegółów na temat miejsc zbrodni, podejrzanych i świadków, że czasem trudno było mi wyłowić je z tej części mózgu, gdzie czekały na mnie z naklejoną etykietką.

Czasem cały ten katalog danych okazywał się zupełnie bezużyteczny, wydawało mi się, że tak jest i tym razem.

– Co robisz? – usłyszałem głos Estíbaliz za plecami.

Aż podskoczyłem, musiałem oprzeć się na motyce, żeby się nie przewrócić.

– A co ty robisz o tej porze w Villaverde? – zapytałem, kiedy doszedłem do siebie.

Napędziła mi niezłego stracha.

– Chciałam zobaczyć małą, ale zajrzałam do domu i już spała, Germán powiedział mi, że jesteś w ogrodzie. Wiem, że wyłączono mnie ze śledztwa, ale przyniosłam ci listę pracowników zatrudnionych przez Urząd Gminy Quejana. Milán miała dać ci ją wczoraj, ale po tym, co zaszło...

– Daj mi ją!

Usiedliśmy na murku i przeczytałem wszystkie nazwiska. Nie znałem żadnego. Żadnego z wyjątkiem... nazwiska Claudii. Claudii Mújiki.

– Przewodniczka? – zdziwiłem się.

– Nie zauważyłam tego. Znasz jej nazwisko?

– Widnieje na tabliczce na jej biurku w wieży. Jest wysoka, ale bardzo szczupła. Ma klucze do wieży Nograro, mogła tam wejść i ukraść kronikę.

– Nie widziałam jej w ciemnościach, wszystko stało się tak szybko, ale szamotałam się z kimś znacznie grubszy. I na pewno bardzo silnym.

– Miała też dostęp do habitu dominikanki – zauważyłem. – Ale ja z kolei ścigałem kogoś o wiele niższego. Jestem tego pewien, nie sądzę, żebym wymyślił sobie ten szczegół. I była wprawdzie zatrudniona jako przewodniczka w klasztorze w Quejanie, miała klucze do zespołu pałacowego, ale znów nie pasuje do opisu, który dał nam ksiądz. Tak czy owak, będzie musiała odpowiedzieć nam na kilka pytań. Jutro rano zapytamy, co robiła w dniach, kiedy popełniono przestępstwa.

Estíbaliz wstała, gotowa do odejścia.

– Na co czekamy? – zapytała, widząc, że nie ruszam się z miejsca. – Zadzwońmy do Peñi, niech podjedzie do Ugarte ją przesłuchać. Nieważne, która jest godzina. To kwestia priorytetowa.

– Przypominam ci, że mamy już głównego podejrzanego, który uciekł, i że jakiś lekarz albo ktoś przebrany za lekarza pomógł mu w ucieczce.

– Milán powiedziała, że nie zdołaliście go zidentyfikować i że żaden z pracowników szpitala nie potrafił go rozpoznać odwróconego tyłem. Uwiodła cię teoria alter ego, które morduje, żeby zapobiec swojej fikcyjnej śmierci, ale nie widzisz szczegółów, które nie pasują.

– A co nie pasuje według ciebie?

– Nie pasują ofiary. Jak wszyscy profilerzy skupiasz się na zabójcy i jego modus operandi, ale zapominasz o ofiarach.

– Od tego jesteś ty, ekspertka od wiktymologii, żeby mi o tym przypomnieć.

– I jestem przy tobie, ale musiałam otrzeć się o śmierć, żebyś zechciał mnie wysłuchać. Pierwsza ofiara, Antón Lasaga, pasuje do twojej wizji modus operandi stawiającej na paralelizmy z powieścią ze względu na miejsce i zawód. Mogło ono stanowić aluzję do zabójstwa hrabiego de Maestu, ojca Onneki. Z kolei MatuSalem, twój współpracownik, nazywał się Maturana i zmarł jak powieściowy Maturana. Ale dziewczynki... siostry Nájera zostały zamurowane żywcem, jak siostry Onneki. Nie mają jednak nic wspólnego z alter ego Ramira Alvara ani z tym, co stało się z biskupem Garcíą.

– Biskupem Garcíą?

– Biskup García ma wiele cech, które zaobserwowałam u Alvara. Chyba Ramiro wzorował tę postać na swoim bracie. Próbuje pokazać ci, że ten, kto być może imituje zabójstwa z powieści, nie ma pojęcia o dysocjacyjnym zaburzeniu osobowości, na które cierpi Ramiro Alvar, ani o tym, dlaczego napisał swoją własną wersję średniowiecznej kroniki.

– Ramiro Alvar uciekł, Esti. A jeśli Alvar wrócił? Może w szpitalu znów się pojawił i znów cię omotał? A może to on zrzucił cię ze schodów i zainscenizował kradzież własnej kroniki?

Esti przykucnęła przy mnie.

– Nie masz pojęcia, jaką osobą jest Ramiro Alvar. Nie masz bladego pojęcia. Przegadałam z nim w szpitalu wiele godzin. Tym razem powoli, spokojnie. I w żadnym momencie nie zapomniałam o swojej pracy, chociaż już nie prowadzę śledztwa. Ale Ramiro jest dobrym człowiekiem, tego nie sposób udawać.

– No to mnie oświeć – poprosiłem.

– Oddał szpik.

– Alvarowi? Mnie opowiedział coś innego.

– Nie, nie Alvarowi. Jego synowi.

Chwilę zajęło mi zrozumienie, o czym mówi.

– Alvar ma syna? – zapytałem.

– Tak, to chłopak, który prowadzi bar.

– Gonzalo Martínez?

– Tak. Półtora roku temu zjawił się w Ugarte po tym, jak jego matka zniknęła. Kiedy dowiedział się, że jego dziadkowie nie żyją, udał się do wieży. Chłopak nie skończył żadnych studiów. Ramiro Alvar dał mu pieniądze, żeby otworzył bar.

– Jak to się stało, że oddał mu szpik?

– Niecały rok temu – wyjaśniła – u Gonzala rozpoznano talasemię w jej najgroźniejszej postaci. Ramiro nie zastanawiał się długo, był jedynym krewnym chłopaka. Został dawcą szpiku. I na pewno nie kłamie, widziałam bliznę na plecach tamtej nocy, kiedy... Tamtej nocy.

– Gonzalo jest bratankiem Ramira Alvara – powtórzyłem cicho.

– Żaden z nich nie chce, żeby o tym wiadano. Ugarte to mała miejscowość, Nogararowie zapłacili matce Gonzala, żeby przeprowadziła aborcję. To nie jest rodzinna historia, która napawałaby dumą.

– No nie jest – przyznałem zamyślony.

– Co się stało? Jesteś blady jak ściana. Myślisz, że Gonzalo może mieć coś wspólnego ze zbrodniami?

– Nie, był jednym z tych, którzy na ochotnika zgłosili się do pobrania próbki DNA. Nie, to wykluczone. To nie dlatego.

Przeklęta miejscowość pełna sekretów i niedopowiedzeń, nawet Ramiro Alvar nie powiedział mi, że syn jego brata urodził się i że wrócił.

Ile jeszcze kłamstw, Ramiro Alvarze? O ilu jeszcze sprawach mi nie powiedziałaś?

– O Boże! – krzyknąłem głośno. – Chimera!

Wyjąłem z kieszeni dzinsów zmięty rysunek swojej córki.

– Co się stało?

Zapatrzyłem się w kartkę jak zahipnotyzowany, jakby był tam szyfr do największych tajemnic świata.

– Esti, cholera! Co zawsze powtarzamy? „Kiedy wykluczymy to, co niemożliwe, zawsze zostaje nam...”

– „...to, co nieprawdopodobne” – dokończyła.

– To statystycznie nieprawdopodobne, ale możliwe. Przecież to opisano.

– Co opisano?

– Chimera, Esti. Chimera.

– Musisz mi to chyba narysować, bo nic nie rozumiem.

Wstałem, cały w euforii.

Neurologdy twierdzą, że kiedy rozwiążesz jakąś zagadkę, w twoim mózgu wydziela się duża ilość dopaminy, która poprawia ci humor.

Ja byłem uzależniony od tych momentów olśnienia.

– Dziękuję, dziadku – powiedziałem, mijając grób pełen jabłek.

– Dokąd idziesz?! – krzyknęła za mną Estíbaliz.



– Muszę porozmawiać z doktor Guevarą – odpowiedziałem, wbiegając po kamiennych schodach warzywnika.

Ona wszystko zrozumie.

## KOŁO SIĘ ZAMYKA

## UNAI

*Listopad 2019*

Następnego dnia zjawiłem się w swoim gabinecie. Rozmowa z lekarką sądową doktor Guevarą wyjaśniła mi wiele kwestii. Musiałem tylko domknąć pewne szczegóły. Na stole rozłożyłem wszystkie zdjęcia z pogrzebu Matu Salema. Wypatrywałem znajomych twarzy i w końcu znalazłem to, czego szukałem.

Potem zadzwoniłem do Milán.

- Potrzebuję dostępu do bazy danych DYA[4] z Álavy.
- O co dokładnie chodzi? – zapytała.
- Kiedy to zobaczę, będę wiedział. Uda ci się zyskać dostęp jeszcze dziś?
- Na pewno.

Po chwili zadzwonił telefon; spojrzałem na ekran: Iago del Castillo.

- Dzień dobry, Unai. Jak się czuje dziadek?
- Wciąż jest na intensywnej terapii, mówią, że to kwestia kilku dni. Ma prawie sto lat, lekarze sądzą, że powinien być już dawno umrzeć, nie rozumieją, dlaczego jeszcze żyje. Uważają, że serce nie wytrzyma i w końcu stanie.

- To serce bije od stu lat, bardzo dobrze robicie, że pozwalacie mu zakończyć tę długą drogę we własnym rytmie – powiedział powoli. – Naprawdę bardzo się cieszę, że Deba znów jest z wami. Żaden rodzic nie powinien przeżywać utraty dziecka.

– Dziękuję, Iago. Prawdę mówiąc, miałem dziś do ciebie zadzwonić. Tylko ty, z wyjątkiem autora *Władców czasu*, znasz różnice między powieścią a historią, którą opowiada Diago Vela w swojej kronice.

– Słucham.

– W kronice twojego przodka biskup García umiera?

– Nie, nie ginie. Kronika jest wierna rzeczywistości, zgadza się z opowieścią Jimeneza de Rady *De Rebus Hispaniae*, chociaż on pisał swoje dzieło w pierwszej połowie trzynastego wieku. Dlatego kronika don Veli ma tak wielką wartość dokumentalną: to żywa historia opowiedziana z pierwszej ręki przez jednego z jej bohaterów.

– Czyli to jedna z różnic między kroniką a opublikowaną niedawno powieścią.

– Tak jest. Biskup García wrócił do Victorii z rycerzem z okupowanego miasta i powiadomił o pozwoleniu króla Sancha Mocnego na poddanie grodu. W kronice nie ma o tym wzmianek, ale istnieją inne dokumenty z epoki, według których García przebywał w Pampelunie, jeden z nich pochodzi z tysiąc dwieście drugiego roku i mówi o dzierżawie terenów don Fortuniowi, arcybiskupowi z Salinas.

Ten szczegół mnie zmartwił. Bardzo mnie zmartwił.

Estíbaliz mówiła, że postać biskupa Garcíi jest wzorowana na Alvarze. Ramiro Alvar obdarzył ją osobowością brata, jego obsesjami, gustami. Jeśli w powieści biskup García umiera... Co mógł myśleć Alvar o swoim zabójcy? Kogo chciał wyeliminować? Czy należało w ogóle zawracać sobie głowę nienawiścią postaci, która od kradzieży kroniki więcej się nie pojawiła? Niepokoiło mnie, że nie wiem, gdzie jest Ramiro Alvar. Nie znam jego zamiarów. Czy poprzestanie na ucieczce?

Zdałem sobie sprawę, że zbyt długo błądzę we własnych rozmyślaniach, dopiero kiedy usłyszałem, jak po drugiej stronie Iago delikatnie chrząka.

– Mam też pewną wątpliwość dotyczącą dokumentu o zasadach dziedziczenia senioratu Nograro – zmusiłem się, żeby mówić dalej. – Czy przypominasz sobie jakąś wzmiankę o tym, że nieślubni synowie też mogą dziedziczyć?

– Nie ma potrzeby mówić o tym wprost. W tej chwili wszystkie dzieci uznawane są za równe, jeśli chodzi o prawo do dziedziczenia. Prawo nie odróżnia dzieci ślubnych od nieślubnych. Ale Sąd Najwyższy wydał trzy lata temu wyrok, który wyklucza dziedziczenie przez nieślubne dzieci tytułów szlacheckich. A w tym przypadku, jak tłumaczyłem ci kilka dni temu, tytuł pana na wieży Nograro jest warunkiem koniecznym, żeby odziedziczyć dobra. Klasyczna formuła starszeństwa. W dokumencie Ferdynanda Czwartego wymieniony jest jednak wyjątek: „Gdyby zabrakło najbliższego krewnego, który spełni warunki, dziedziczy najstarszy bastard, jeśli takowy jest”. Nie wiem, czy ci pomogłem.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. Muszę kończyć, mam mnóstwo roboty.

– Powodzenia! Będę do ciebie dzwonił od czasu do czasu zapytać o dziadka.

– Dziękuję za wsparcie – powiedziałem i rozłączyłem się.

Nie spodziewałem się, że ją tu zobaczę. Estíbaliz była przecież na zwolnieniu, poza tym odsunięto ją od śledztwa „Władcy czasu”. Chociaż... Znałem ją aż nazbyt dobrze, dla niej „zasady” to było tylko słowo składające się z sześciu liter.

Usiadła na stole, kilka zdjęć z pogrzebu spadło na podłogę, ale nawet tego nie zauważyła.

– Chyba wiem, gdzie jest Ramiro – powiedziała zadowolona z siebie i podekscytowana.

– Ja też, ale będziemy potrzebowali pomocy, żeby na niego zapolować.

Rozmawialiśmy długo i razem ułożyliśmy plan.

Potem zadzwoniłem do baru w Ugarte prowadzonego przez bratanka Ramira Alvara.

– Dzień dobry, Gonzalo, mówi inspektor López de Ayala.

– Jak się pan miewa, inspektorze? Przyjedzie pan w tym tygodniu na spotkanie klubu książki?

– Prawdę mówiąc, dzwonię z innego powodu. O wiele poważniejszego.

– Słucham – powiedział i przełknął ślinę.

– Może słyshałeś już, że Ramiro Alvar Nograro uciekł i jest ścigany listem gończym. A mam powody, żeby podejrzewać, że skontaktuje się z tobą. Nie możemy dać ci ochrony, boby się połapał, co zniweczy planowaną przez nas operację, ale udzię ci wskazówek, jak zadbać o swoje bezpieczeństwo, i dam ci swój telefon. Jeśli zadzwoni do ciebie, powiem ci, co masz zrobić. Obawiam się, że będzie chciał wyrządzić ci krzywdę, że będziesz kolejną z jego ofiar.

## MORZE BUTELEK

## UNAI

*Listopad 2019*

Telefon stacjonarny w barze Gonzala rozdzwonił się jeszcze tego samego wieczoru.

– Wujku – szepnął Gonzalo. – Szukają cię.

– Wiem. Możesz pomóc mi się stąd wydostać? – W głosie Ramira słychać było desperację.

– Nie martw się. Oczywiście, że ci pomogę. Nie mam zbyt dużo pieniędzy, ale pomyślimy o jakimś planie ucieczki. Chyba nie sądzisz, że zostawię cię bez pomocy. Zawdzięczam ci życie, nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

Ramiro Alvar odetchnął z ulgą.

– Dziękuję.

Chwilę później Gonzalo skontaktował się ze mną.

– Inspektorze, Ramiro Alvar telefonował do mnie. Ale muszę opowiedzieć panu coś jeszcze.

Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila.

– Czy zbieg jest w pobliżu w tej chwili? Słyszysz cię?

– Nie, jestem w barze. Ale wybieram się tam, gdzie ukrywał się przez ostatnie dni. Jest bardzo zdenerwowany – powiedział.

– Ktoś jeszcze o tym wie? Muszę ocenić, ilu ludzi mam ze sobą zabrać.

– Nie miałem pojęcia, co robić, poradziłem się Beltrana Pereza de Apodaki. Mam do niego zaufanie, jest adwokatem.

Zastanowiłem się chwilę.

– Pomysł nie jest zły. Ramiro Alvar też mu ufa, a będziecie bezpieczniejsi, jeśli pójdziecie razem. Udzielę wam wskazówek, jak macie pokierować waszym spotkaniem. Ja sam stanę na czele operacji, okrążymy budynek, nic wam nie grozi. Będziemy na miejscu za niecałą godzinę.

Dotarliśmy, kiedy zaczynało się ściemniać. Dyskretnie otoczyliśmy budynek starej kuźni. Milán, Peña i ja mieliśmy kamizelki kuloodporne i byliśmy uzbrojeni.

Zadzwoniłem do Gonzala, od dwudziestu minut nie miałem od niego wiadomości i byłem zaniepokojony.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, kiedy odebrał.

– Jestem w hoteliku agroturystycznym, w przedpokoju na parterze. Ramiro Alvar schował się w pokoju w głębi warsztatu szklarskiego. Jest bardzo zdenerwowany. Próbuje z Beltranem go uspokoić.

– Jak się tam znalazł?

– Zadzwonił ze szpitala do Sebasa – wyszeptał – narzeczonego Irati. Sebas pracuje w pogotowiu, Ramiro powiedział, że dostał wypis, i poprosił, żeby przetransportować go do domu. Porusza się na wózku, więc przekonał nas, żeby zawieźć go do kuźni, bo tam będzie miał lepszą opiekę. Ani Irati, ani Sebas nie wiedzieli, że uciekł i że ukrywa się przed policją.

– Ramiro Alvar taki jest, manipuluje wszystkimi – powiedziałem spokojnie. – Proszę, trzymajcie go w tym pokoju i pod żadnym pozorem nie pozwólcie mu go opuścić. My za chwilę wchodzimy.

Irati czekała na nas w drzwiach starej kuźni, pokazałem jej gestem, by milczała, i schowałem pistolet. Wyczytałem napięcie na jej drobnej twarzyczce, podejrzewam, że nasze mundury ją onieśmiały.

Poprowadziła nas przez warsztat szklarski, dziesięcioro agentów szło za nami przez pokoje pełne niebieskich butelek i pękatych wazonów napompowanych jak ryby najeżki.

Kiedy przemierzyliśmy już cały warsztat, wziąłem głęboki oddech i zastukałem do drzwi knykciami. Milán i Peña stanęli ukryci za ścianą po obu stronach, zależało mi na tym, żeby z pokoju nas nie dostrzegli. Wszystko mogło pójść źle przez jakiś drobny gest, nieuważny ruch. Wiedziałem, że pracuję z emocjonalną nitrogliceryną i że pośród tego morza butelek wszystko może nagle wylecieć w powietrze.

– Proszę – usłyszałem głos młodego adwokata Beltrana.

Wszedłem do pokoju z Irati. Ramiro Alvar siedział na wózku inwalidzkim brata. Kiedy mnie zobaczył, przełknął ślinę. Obok stało rustykalne łóżko, w którym, jak się domyśliłem, przespał kolejne noce po swojej ucieczce. I tym razem poznałem Sebasę, nie tylko narzeczonego Irati, ale też wielkoluda z karetki, który udzielał pomocy osiemdziesięcioletniemu księdzu z Quejany.

Gonzalo odezwał się pierwszy:

– Przykro mi, wujku. Twoja ucieczka się skończyła.

Wyjąłem pistolet i wycelowałem. Ramiro Alvar nawet nie uniósł ramion, patrzył na Gonzala kompletnie zdruzgotany.

– Ty mnie wydałeś? Podarowałem ci pieniądze, żebyś rozkręcił bar, oddałem szpik, ocaliłem ci życie. Tak odpłacasz się rodzinie? – W jego głosie pobrzmiwało całe rozczarowanie świata.

– Nie przyjąłeś mnie w swojej wieży. Wysłałeś mnie do miasteczka jak bastarda, Nograra drugiej kategorii.

Wszyscy spojrzeliśmy zdziwieni na Gonzala. Nie sądziłem, że w tym spokojnym z pozoru chłopaku kipi tak wielka nienawiść. Teraz miał zaciśnięte pięści i łamał mu się głos.

– Zrobiłem to, żeby cię chronić. Nasza rodzina ma wiele wstydlivych sekretów, nie chciałem cię nimi obciążać – odparł Ramiro, teraz i on mówił głośnie.

– Chronić mnie? Przed czym chciałeś mnie chronić?

– Przed swoim alter ego, swoim dysocjacyjnym zaburzeniem osobowości. Chorowali na nie wszyscy nasi przodkowie. Ty aktywowałeś Alvara, złego Alvara, osobowość wzorowaną na charakterze twojego ojca. I nie wiedziałem, jak na ciebie zareaguje. Czy nie będzie cię nienawidzić za



to, że się urodziłeś, czy nie zatruje ci życia, jak zatruł je mnie. Dlatego cię unikałem, przestałem pojawiać się w Ugarte, żeby nie zmienić się w księdza uganiającego się za spódniczkami, który rozbija rodziny, jak od wieków robili to nasi przodkowie.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – Gonzalo nic nie rozumiał.

– Wielu członków twojej rodziny chorowało na DID – wtrąciłem. – Dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Pewnie słyszałeś kiedyś o osobowości wielorakiej. Twój wujek uważał, że twój powrót spowodował u niego to zaburzenie, czasem zmieniał się w twojego ojca. Pomógł ci, kiedy tego potrzebowałeś, ale chciał cię chronić przed swoją chorobą i wstydliwymi tajemnicami rodziny.

I wtedy wydałem rozkaz:

– Wchodźcie.

Peña, Milán i pozostali agenci wpadli do pokoju, celując we wszystkich obecnych z wyjątkiem Ramira Alvara.

– Gonzalu Martínez, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Samuela Maturany. Beltranie Perezie de Apodaca, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Antona Lasagi. Irati Mújica, Sebastianie Argote, odpowiecie za zabójstwo Estefanii i Oihany Nájera.

## POD MURAMI

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

Obie spały do południa. Nagorno przeklinał bogów, tych pogańskich i tego ukrzyżowanego, kiedy zobaczył swoją żonę w tak opłakanym stanie.

Alix również nie czuła się lepiej. Wzięła w ramiona naszą małą córeczkę i położyliśmy się we troje w ciepłe naszego kominka, ale ja czuwałem tej nocy, błagając, by moje najgorsze obawy nie ziściły się za dnia jako koszmar na jawie.

Pod naszymi drzwiami gromadzili się sąsiedzi, wygłodniali i wyczerpani, oczekujący na nowiny. Wszyscy pytali o to, co stało się z biednym biskupem Garcíą. W kilka godzin zmienił się w męczennika, świętego, naszego niezłomnego obrońcę.

Kiedy Alix się obudziła, wiedziałem już, co jej dolega. Sikąła krwią, otworzyłem jej usta i zobaczyłem, że całe gardło ma w pęcherzach.

– Co się stało, kochanie? – zapytałem.

– García – szepnęła mi do ucha. – Pobił Onnece, chciał ją zabić, kiedy zatrzymaliśmy się w gospodzie La Romana. Proszek, włożył mi siłą do ust szary proszek. Zwymiotowałam go, żeby nie skończyć jak hrabia, z poparzonymi wnętrznościami.

Alix zakasłała i skrzywiła się z bólu, wyobraziłem sobie, jak wiele musi ją kosztować każde słowo.

– To Lope – ciągnęła z wysiłkiem – syn właścicielki gospody otrul hrabiego de Maestu. Zrobił to na polecenie biskupa Garcíi, który obiecał

mu w zamian, że uzna go za syna. I pieczęć... Onneca opowiedziała mi wszystko. List, który obwieszczał twoją śmierć... To García go napisał. Miał kopię królewskiej pieczęci. Nie poddawajcie grodu. Ja i Onneca nie widziałyśmy króla Mocnego, tylko García z nim rozmawiał. Biskup przyniósł nam dokument, w którym król zwalnia poddanych z obowiązku obrony miasta. Powiedział, że możemy otworzyć bramy, ale teraz sama nie jestem tego pewna. Miał też kopię pieczęci obecnego króla.

Zagryzłem wargi. Czułem się zupełnie bezsilny. To, co Alix zrobiła, żeby ocalić swoje życie, skazało ją na śmierć. Poparzyła sobie gardło i usta. Mogłem tylko dawać jej belladonę, żeby złagodzić cierpienie ostatnich chwil. Nie została jej nawet godzina życia.

– Spokojnie, Alix. Pójdę po babcię Lucię. Jest bardzo smutna i tylko o ciebie pyta.

Zostawiłem naszą córeczkę w jej ramionach i pobiegłem prędko po babcię.

Tak umarła Alix, przytulona do babci i swojej córeczki, która uparła się, żeby przeżyć mimo głodu i zimna.

Poprosiłem Lyrę, żeby przegoniła sąsiadów, którzy stali pod naszymi drzwiami, nie chciałem świadków, kiedy wyszedłem z ciałem Alix owiniętym w całun. Przewiązałem jej na nadgarstku swoją czerwoną nitkę, nadszedł czas, by dołączyła do Yennega.

Kiedy szedłem ulicą Astería, zamykano przede mną okiennice na znak szacunku dla mojej żałoby. Gunnarr pomógł mi przesunąć płytę nagrobną pod murem przy kościele Świętego Michała. Alix chodziła tam co rano modlić się o powrót Yennega. Mimo śnieżyc i burz, które przyniosła ta przeklęta zima, na kamieniu znalazłem jeszcze trochę suchych nasion lawendy, które Alix siała dla zaginionego synka.

Zagarnąłem trochę nasion i posypałem nimi ciało żony. Potem zamknęliśmy grób. Nie chciałem modlić się do żadnego boga, byłem na to zbyt zrozpaczony.

W takim nastroju powlokłem się do domu brata. Onneca wyglądała o wiele lepiej, wiedziałem, że wyleczy się ze swoich ran.

– Co z Alix?

– Właśnie ją pochowałem. Biskup García otruł ją proszkiem z majki lekarskiej. Umarła jak wasz ojciec. Co macie mi do opowiedzenia, bratowo? – zapytałem, siadając obok niej na łożku.

– Biskup García stał za śmiercią mojego ojca, moich sióstr i mojego brata. Ale policzymy się za to w przyszłym życiu, kiedy spotkamy się po śmierci. Teraz musimy powiedzieć namiestnikowi, że król Mocny zwalnia nas z obowiązku obrony miasta. Pozwala nam się poddać. Nie przyśle posiłków, mój drogi szwagrze. Dokument został w gospodzie La Romana, musisz wynegocjować z królem Alfonsem, żeby pozwolił ci go odzyskać, albo niech wyśle własnych żołnierzy do gospody.

– Królewski dokument, powiadacie? – uniosłem się. Zniecierpliwiły mnie już te wszystkie niedomówienia. – Czemu nie wspomnicie o fałszywych pieczęciach, o tym, że to biskup wysłał list obwieszczający moją śmierć?

– Który nas rozdzielił, powiedz wszystko, Diago. – Wpatrywała się we mnie złotymi oczami.

– Nie wspominałem o tym przez szacunek do mojego brata, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Co się stanie, jeśli poddamy gród, a król Sancho wcale na to nie zezwolił? Przejdziemy na stronę Kastylii i będziemy wrogami, kiedy wróci z ziem Saracenów i zechce odzyskać miasto? Wtedy my, mieszkańcy, będziemy cierpieć, zginiemy.

– Diago – przerwał mi Nagorno. – Spójrz chłodno na to, co zdarzyło się przez ostatnie miesiące. Król Sancho nie przybędzie nam na ratunek, nie zrobił tego przez prawie rok. Miał dość czasu, żeby wysłać posłańca do Pampeluny i nakazać odsiecz. Ale tego nie uczynił. A teraz rozejrzyj się wokół. Co zobaczysz? Głodnych sąsiadów, tych z Nowej Victorii i tych z Villa de Suso, których tak bardzo kochasz. Jesteś uczonym mężem, mądrym jak sam król Salomon. Pamiętasz historię dwóch matek, które spierały się o dziecko? Król oddał dziecko tej, która wolała, by je jej odebrano, niż żeby przecięto je na pół mieczem. Dzięki temu król zrozumiał, że to ona była prawdziwą matką. Jakim seniorem jesteś ty dla grodu? Pozwolisz, by zabito twojego syna, czy wolisz widzieć go żywym, chociaż w innych rękach?

– Chcesz poddać miasto Kastylijczykom. Zawsze tego chciałeś. Wiesz, że to działa na korzyść twoich ludzi.

– Ty za to wiesz, jak kończą się oblężenia, kiedy nie nadciągają posiłki. Zaledwie kilka dni dzieli nas od tego, żeby nasi sąsiedzi zaczęli otwierać groby. Potem zaczną zjadać chorych. Myślisz, że ktoś z nas dożyje wiosny? Sądzisz, że ci, którzy zdołają przeżyć, wybaczą sobie kiedykolwiek to, co niedługo zrobią?

## WARSZTAT SZKLARSKI

## UNAI

*Listopad 2019*

– Zastawiliśmy na was pułapkę – powiedziałem.

Wszyscy czworo byli zbyt zaskoczeni, żeby ruszyć się z miejsca.

Ramiro Alvar zadzwonił do Estíbaliz poprzedniego dnia, za plecami Irati. Wyjaśnił, że nie uciekł, że to Sebas zjawiał się w jego szpitalnej sali i zachęcił go do ucieczki, zanim zostanie zatrzymany. Ramiro Alvar postanowił się zgodzić, ale zostawił mi wskazówkę: otworzył powieść *Władcy czasu* na rozdziale *Stara kuźnia*.

– Bardzo wam zależało, żebyśmy zatrzymali Ramira Alvara, chcieliście oddalić od siebie podejrzenia, bo każdemu z was brakuje alibi na jeden z dni, kiedy popełniano zbrodnie objęte śledztwem „Władcy czasu”. Dlatego wszyscy czworo zgodziliście się na pobranie próbek waszego DNA. Irati, masz alibi na dzień zabójstwa Samuela Maturany i, przyznaję, bardzo inteligentne alibi na popołudnie, kiedy dokonano zabójstwa w Villa Suso. To ty przebrałaś się za zakonnicę. Sprzedawałaś swoje szkła na straganie jarmarku na placu Matxete. Uciekałaś przede mną w habicie, żeby odwrócić naszą uwagę od tego, co naprawdę wydarzyło się w Villa Suso kilka godzin wcześniej, kiedy ty, Beltranie, podczas przyjęcia dla przedsiębiorców dosypałaś do któregoś z dań sproszkowaną kantarydynę. Wiedziałaś, że prędzej czy później twoje nazwisko wypłynie albo ktoś skojarzy, że byłaś na tym przyjęciu. Antón Lasaga był przypadkową ofiarą czy chodziło ci o to, żeby zabić właśnie jego?

– Nie będę składał żadnych wyjaśnień – oświadczył krótko.

Spodziewałem się tego. Był najmocniejszym ogniwem tego łańcucha.

– Sebas, Irati, nie macie alibi na tych kilka godzin, kiedy zniknęły Estefanía i Oihana Nájera. Irati, należysz do tej samej paczki przyjaciół, co narzeczona Samuela Maturany, mamy zdjęcia z jego pogrzebu, na których ją pocieszasz. I znałaś Estefanię Nájerę. Gonzalo, ty zabiłeś Samuela Maturanę, nie masz alibi na ten dzień, dlatego tak chętnie zrobiłeś testy DNA, kiedy w prasie opublikowano wiadomość, że zgłosił się świadek zabójstwa nad Zadorrą. Jeśli byłaby to prawda, najprawdopodobniej jego opis zgadzałyby się z twoim, chciałeś, żebyśmy wykluczyli cię z grona podejrzanych.

– Ja nie zabiłem tego chłopaka nad Zadorrą – powiedział pewnym siebie tonem Gonzalo. – Przecież DNA, które znaleźliście, nie jest moje.

Jego opanowanie i pewność siebie wydały mi się dziwne, zwłaszcza że kilka minut wcześniej pokazał nam, że jest zdolny do wybuchów.

– Nie – przyznałem. – Ty dobrze wiesz, czyje DNA znaleźliśmy w tej krwi: twojego wujka.

– No właśnie.

– Istotnie, tak wykazały testy genetyczne, a ty akurat na to liczyłeś. Ale to nieprawda, krew jest twoja, chociaż ma DNA Ramira Alvara. Przeszczepiono ci szpik wujka, po transplantacji stałeś się pacjentem z chimeryzmem. Ty o tym wiedziałeś, twój wujek nie.

– Jak to? – zdziwił się Ramiro Alvar, nic nie rozumiejąc.

– Gonzalo ma w organizmie dwa rodzaje DNA – wyjaśniłem. – W niektórych częściach jego ciała dominuje jego własne, w innych, zwłaszcza we krwi, twoje. Od czasu transplantacji monitorowano chimeryzm hematopoetyczny, co umożliwia prognozowanie wznowy choroby. Kiedy oddałeś do oceny DNA w swojej ślinie – zwróciłem się znów do Gonzala – wiedziałeś, że będzie się różniło od DNA z krwi znalezionej na ołówku Maturany. Wiedziałeś, że tamto DNA będzie zgodne z DNA Ramira Alvara i że posłuży za dowód przeciw niemu w sprawie zbrodni imitujących zabójstwa z powieści. I do tej pory czułeś się kompletnie bezkarny, nawet chodziłeś po miasteczku w koszulce z napisem, że jesteś chimerą. Zakujcie go wreszcie w kajdanki, na co czekacie?

Milán stanęła przed nim z groźną miną, Gonzalo spojrział na nią wyzywająco, ale pozwolił się skuć.

– Ale dlaczego wy troje? – Ramiro Alvar nie mógł zrozumieć. – Irati, pomogłem ci otworzyć warsztat. Beltranie, pozwoliłem ci się zająć swoimi sprawami, żebyś zdobył doświadczenie do CV.

– Jeszcze nie wiesz, o co chodzi? – zapytałem. – Wszyscy troje dorastali, myśląc, że są dziećmi twojego brata, bo tak im wmówili mieszkańcy Ugarte. Beltranie, założyłem się, że zostałeś adwokatem i zaproponowałeś swoje usługi Ramirovi Alvarowi, żeby mieć dostęp do dokumentów dotyczących dziedziczenia majątku. A wy, Irati i Sebasie, wasz przypadek jest najbardziej tragiczny. Zamieszkaliście razem, a wasze matki powiedziały wam, że jesteście przyrodnim rodzeństwem. Wasze rodziny odwróciły się od was, prawda?

Podczas ostatniego spotkania klubu książki odbyłem pouczającą pogawędkę z Benitą. Irati, Sebas i Beltrán dorastali wśród podejrzeń, że są nieślubnymi dziećmi Alvara. Matki Irati i Sebas, farmaceutka Cecilia i Aurora, emerytowana właścicielka delikatesów, nienawidziły się od lat. Obie zaszły w ciążę w tym samym czasie, podczas jednej z weekendowych eskapad Alvara z seminarium, kiedy zmieniał Ugarte w swój teren polowań.

Obie wzięły błyskawiczny ślub i musiały znosić podejrzenia na temat ojcostwa swoich dzieci. To połączyło Irati i Sebasę od małego, byli inni, czuli się wykluczeni. Tragedia nastąpiła, kiedy zaczęli się spotykać. Obie rodziny były oburzone, zerwały z nimi kontakty. Nienawidzicie Ramira Alvara, bo jest ślubnym dzieckiem, prawowitym dziedzicem. Ale waszym motywem zawsze były pieniądze. Gonzalo, ukradłeś kopię kroniki, kiedy tylko dowiedziałeś się, ile jest warta. Nie byłeś pewien, jak to wszystko się skończy, czy Ramiro Alvar znajdzie się w więzieniu, bo dowody, które pozostawiliście, nie były wystarczające, żeby go skazać. Kronika była twoim ubezpieczeniem na życie.

Gonzalo spojrział na mnie i wyjaśnił spokojnie, jakby tłumaczył dziecku jakąś zawiłą kwestię:

– Ty myślisz, że to morderstwa. Ale to była kradzież, która wymagała kilku ofiar. Morderstwa były tylko zasłoną dymną, chodziło o rabunek.



Miliard trzysta milionów rodzinnej fortuny. Dla nas czworga. Żebym mógł leczyć talasemię w najlepszych klinikach, jeśli nastąpi nawrót choroby. Żeby Beltrán mógł otworzyć własną kancelarię i zatrudnić najlepszych adwokatów, a nie przez lata płaszczyć się, zanim zaczną traktować go poważnie. Żeby Irati i Sebas mogli wyjechać z miasteczka i nie pracować do końca życia. Byliśmy ofiarami rodziny Nogarów od urodzenia, chyba zasłużyliśmy na to, czym Ramiro Alvar nie chciał się z nami podzielić?

– Nie, Gonzalo – przerwałem mu. – Opowiadasz sobie tę bajeczkę, żeby usprawiedliwić to, co zrobiłeś: zmanipulowałeś całą trójkę, żeby odwalili za ciebie brudną robotę. Włączyłeś się tylko, kiedy Maturana odkrył, że wiadomość została wysłana z wieży z komputera Claudii Mújiki, siostry Irati, przyjaciółki narzeczonej Maturany. Jego dziewczyna opowiedziała Irati, że słynny Kraken poprosił, żeby zrobił małe dochodzenie w wieży, a kiedy Maturana nieopatrznie zdradził jej, że znalazł informatyczny dowód na to, skąd wysłano wiadomość do redaktora naczelnego Malatramy, przestraszyłeś się, że twój plan spali na panewce. Zanim Matu umarł w beczce, w której go zamknąłeś, zostawił mi wiadomość: „Kraken, więcej niż jeden”.

Zakuliśmy w kajdanki wszystkich czworo i odwieźliśmy do komisariatu przy Portal de Foronda, gdzie mieli spędzić pierwszą noc w areszcie.

O północy, kiedy wróciłem wreszcie do domu, przykleiłem na szybie czarny krzyż.

„Udało mi się, Matu. Zamknęliśmy potwora”.

## W STRUGACH DESZCZU

RAMIRO ALVAR

*Kwiecień 2017*

Ramiro Alvar postanowił przespacerować się w deszczu. Nie przejmował się, że wróci do domu w ubłoconych butach, zawsze uwielbiał zapach ziemi po burzy. Szedł ścieżką prowadzącą do Ugarte, przez długą chwilę błąkał się po topolowym zagajniku. Zastanawiał się, czy nie zajrzeć do miasteczka, żeby pogadać z sąsiadami, ale wiał silny wiatr, uznał więc, że najrozsądniej będzie wrócić do domu, rozpaść w kominku i pogrążyć się w lekturze jakiejś dobrej powieści.

Kiedy przechodził obok kościoła, zauważył coś dziwnego. Furtka na rodzinny cmentarz była otwarta, a on zawsze ją zamykał.

Wszedł zaniepokojony, szkła okularów mu zaparowały i nie widział zbyt dobrze, ale ktoś stał przed jednym z grobów.

– Przepraszam, szuka pan czegoś?

Chłopak odwrócił się, miał zapłakaną twarz i trochę się przestraszył, słysząc głos Ramira Alvara.

– Przepraszam, nie powinienem był tu wchodzić, prawda?

– Tak, to teren prywatny. Czy my się znamy?

Ta twarz wydawała mu się znajoma, kwadratowa szczęka, ciemne kręcone włosy. Chłopak był przemoknięty i sprawiał w tej chwili żalotne wrażenie, ale był porządnie ubrany i wydawał się sympatyczny.

– Nazywam się Gonzalo Martínez, jestem synem Gemmy Martínez. Ona urodziła się w Ugarte. Niedawno dowiedziałem się, że moim ojcem był

pochowany tu mężczyzna, Alvar Nograro. Nie wiem nic o swojej rodzinie, ale to musi być jego grób. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

– I zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, tak jest – potwierdził Ramiro Alvar.

– Na co umarł?

– Na talasemię, ciężką anemię, niestety w naszej rodzinie dziedziczną.

Nie wiedział właściwie, czemu udziela wszystkich tych wyjaśnień obcemu człowiekowi. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy opowiada komuś o przyczynach śmierci Alvara. Kiedy miał osiemnaście lat, nie znalazł w sobie siły, by pójść do wioski i z kimś o tym porozmawiać.

– Znał go pan? – zapytał Gonzalo, a Ramiro Alvar przyjrzał mu się uważnie.

Miał bliznę po operacji zajęcej wargi, co nadawało jego twarzy tygrysi wygląd, być może dlatego wydawał się nieśmiały i ponury.

– Jestem jego bratem.

Teraz to Gonzalo wpatrywał się w niego długą chwilę.

– Przepraszam, jest pan pierwszą osobą z rodziny mojego ojca, którą poznałem.

– A twoja matka? – zapytał Ramiro Alvar.

Zwykle nie był tak wścibski ani bezpośredni, ale chłopak obudził w nim wspomnienia z okresu, który Ramiro starał się pogrzebać na zawsze.

– Moja matka zniknęła jakiś czas temu. Podejrzewam, że uciekła ze swoim ostatnim narzeczoną. Skończyły się jej pieniądze, policja nie może jej znaleźć i sądzi, że postanowiła gdzieś się skryć. Jestem sam. Wielokrotnie prosiłem ją, żeby opowiedziała mi coś o swojej rodzinie, zanim odeszła, w końcu wspomniała mi o Ugarte, o Alvarze Nograro i rodzinie Martínez. Byłem w miasteczku, moi dziadkowie nie żyją. Nie mam już nikogo. Przyszedłem tu, żeby zapytać o swojego ojca. Przepraszam, że wtargnąłem na pański teren, już sobie idę.

– Nie szkodzi. Gdzie zamierzasz się zatrzymać?

– Niedaleko, w hoteliku agroturystycznym w starej kuźni. Prowadząca go dziewczyna mówiła, że ma wolne pokoje. Potem wyjadę – powiedział i odwrócił się, żeby odejść.

– Poczekaj chwilę – powstrzymał go Ramiro Alvar. – Dokąd wyjechała Gemma, kiedy wyprowadziła się z Ugarte?

– Urodziłem się w małej miejscowości w Asturii, ale mieszkaliśmy w wielu miejscach. – Gonzalo specjalnie mówił ogólnikowo, wiedział, że Alvar wpadnie w jego pułapkę. – Może pan pomyśli, że przyjechałem, żeby domagać się spadku po ojcu, ale nie chodzi mi o pieniądze, niech pan będzie spokojny. Chociaż nie boję się poddać testom DNA, żeby to udowodnić, wierzę matce, nie sądzę, żeby celowo mnie okłamała, a potem uciekła. Mam dwadzieścia trzy lata, dorastałem bez rodziny, bez korzeni. Chciałem po prostu dowiedzieć się, skąd pochodzę, chociaż nie znalazłem tu niczego, co by wydawało mi się bliskie.

I odszedł w strugach deszczu. Dziewczyna z hoteliku, nie pamiętał jej imienia, czekała na niego. Poprzedniej nocy poszli do łóżka i Gonzalo wiedział, że będzie mógł zostać przez następnych kilka nocy, nie płacąc ani grosza.

Ramiro Alvar patrzył za nim, aż jego sylwetka zniknęła za kolejnym zakrętem błotnistej drogi prowadzącej do Ugarte. Tak bardzo przypominał Gemmę.

Następnego dnia obudził się zziębnięty. Ktoś zostawił otwarte okna w jego sypialni i deszcz zmoczył kołdrę. Położył się spać w nierozścielonym łóżku. Z przerażeniem zauważył, że ma na sobie sutannę Alvara. Skąd ona się wzięła? Czy nie wyrzucił po pogrzebie wszystkich jego ubrań? Zaczął szukać okularów na nocnym stoliczku, ale ich nie znalazł.

Alvar ukrył je przed nim. Wniknął do jego mózgu, by zacząć swoją szatańską zabawę.

## SALKA PRZESŁUCHAŃ

## UNAI

*Listopad 2019*

Beltrán i Gonzalo odmówili składania wyjaśnień. Natomiast Irati i Sebas zgodzili się zeznawać. Wczesnie rano zamknąłem się w gabinecie. Musiałem przemyśleć strategię. Pozostało kilka punktów do wyjaśnienia, a ja chciałem dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Zadzwoiłem do Peñi.

– Zaprowadź Irati Mújicę do małej salki, za jakieś dwie godziny zejść ją przesłuchać.

Dwie godziny to dużo czasu na rozmyślenia. Dużo czasu, żeby się zdenerwować. Nie móc się doczekać. Stracić nadzieję.

Przed południem stawiłem się w sali z wieloma teczkami akt, notatnikiem i zeszytem. Przyznaję, nie podszedłem do sytuacji nazbyt subtelnie. Zamierzałem wyciągnąć od niej pewne konkretne informacje, miałem nadzieję dać jej w ten sposób do zrozumienia, że spodziewam się odpowiedzi na wszystkie zadane pytania.

Usiadłem prawie naprzeciwko niej, a jednak trochę z boku. Nie chciałem, żeby widziała we mnie nieprzyjaciela, któremu musi stawić czoło.

– Jak spędziłaś noc, Irati? – zacząłem.

– Całkiem wygodnie – odpowiedziała nie bez ironii.

– Doskonale. Słyszałem, że chciałaś ze mną rozmawiać. To bardzo dobrze, że od początku okazujesz chęć współpracy, choć i tak mamy

wystarczająco dużo materiału, żeby przekazać sędziemu. Opowiedz mi, jak to się wszystko zaczęło.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc: „wszystko”. Sebas, Beltrán i ja znaleźliśmy się od dziecka. I już słyszałeś plotki, wśród których dorastaliśmy z winy Alvara Nograro. Wiesz, że miał przelotny romans z naszymi matkami. To Beltrán, gdy skończył prawo, poprosił o pracę Ramira Alvara. Chciał być blisko niego, mieć dostęp do dokumentów Nograrów. Zawsze fantazjował, że odziedziczy spadek albo wywalczy go w sądzie, i zaraził nas swoim marzeniem. Całe popołudnia spędzaliśmy, rozmawiając o tym, co zrobimy z pieniędzmi, jeśli sąd przyzna nam rację. Tak jakbyśmy marzyli o tym, że prędzej czy później wygramy na loterii i będziemy bogaci. Chyba pod koniec już naprawdę liczyliśmy, że te miliony spadną nam z nieba. Teraz to już nie była fantazja, to był nasz plan A na życie.

– I Beltrán nakłonił was do następnego kroku – domyśliłem się.

– Beltrán, który często bywał w wieży, zdołał uzyskać próbkę śliny Ramira Alvara. Wysłaliśmy do laboratorium nasze próbki, żeby porównać DNA.

– I nie było zgodności.

– Nie, żadne z nas nie jest krewnym Ramira Alvara. Po części była to dla nas wielka ulga. Okazało się, że Sebas i ja nie jesteśmy przyrodnim rodzeństwem. Ale przyznaję, że wyniki testów bardzo nas poruszyły. Plan A się posypał, nie zostaniemy milionerami. A jak mieliśmy udowodnić sąsiadom, którzy od lat niszczyli nas fałszywymi plotkami, że nie jesteśmy bękartami Nograrów? Zdobyliśmy próbkę DNA Ramira Alvara bez jego zgody. Ja i Sebas powiedzieliśmy o tym naszym rodzicom, żeby przestali nas tępić jako parę. To było jak katharsis. Jedyne pozytywne rezultaty tych testów. Chociaż moja matka i Aurora, moja teściowa, do dziś się do siebie nie odzywają. Zbyt wiele lat wrogości, nie wydaje mi się, żeby stosunki między nimi kiedykolwiek się poprawiły.

– Wróćmy do tego, że spotkało was finansowe rozczarowanie.

– Czuliśmy się jak dzień po Loterii Bożonarodzeniowej<sup>[5]</sup>. Już wyobrażałeś sobie, że wylosujesz główną nagrodę, i zastanawiałeś się, co zrobisz z tymi pieniędzmi, potem dociera do ciebie brutalna rzeczywistość, fakt, że nadal jesteś biedny. Tak, to był zimny prysznic.

– Wtedy w Ugarte zjawia się Gonzalo Martínez... – Zajrzałem do notatek. – Mamy rok dwa tysiące siedemnasty. Zaprzyjaźnia się z wami i opowiada, że jest synem Alvara Nograro i Gemmy Martínez.

– Nie uwierzyliśmy mu. Wyjaśniliśmy, że też przez to przechodziliśmy i że były to tylko fałszywe pogłoski. Powiedzieliśmy, że mieszkańcy Ugarte lubią pikantne plotki związane z rodziną Nogararów, że zawsze tak było. Żeby nie robił sobie nadziei. No ale potem zachorował na talasemię i Ramiro Alvar postanowił mu pomóc. Wstępne badania wykazały, że są spokrewnieni. Gonzalo naprawdę był potomkiem Nogararów. Kontaktowali się często. Gonzalo go odwiedzał. A kilka miesięcy później, kiedy Gonzalo doszedł już do siebie, pewnego dnia pojawił się ze skanem manuskryptu, który znalazł w gabinecie Ramira. Zrobił go oczywiście ukradkiem. Nie mieliśmy pojęcia, że fabuła oparta jest na starej, drogocennej kronice. Beltrán miał adres e-mailowy do szefa wydawnictwa Malatrama, bo kiedy Urząd Gminy Ugarte wydawał katalog z wystawy czasowej, Ramiro Alvar zlecił mu nabycie praw autorskich do zdjęć. Właśnie wtedy Ramiro Alvar zaczął powierzać Beltranowi swoje różne drobne sprawy.

Westchnąłem. Znow wszystko rozegrało się w świecie analogowym, podczas gdy my obsesyjnie szukaliśmy śladów w sieci. Nikt nie włamał się do komputera Ramira Alvara. Nikt go nie zhakował.

– A Beltrán Pérez de Apodaca już doszukał się w przepisach, że jest sposób, żeby wydziedziczyć głowę rodu: „Pod warunkiem, że progu więzienia nie przestąpi”...

– Beltrán powiedział, że jeśli uda nam się zrobić Ramira Alvara, a ten pójdzie do więzienia, odbiorą mu majątek i odziedziczy go potomek Nogararów. Gonzalo miał dowody, że nim jest. Beltrán twierdził również, że w żadnym dokumencie nie znalazł wzmianki, jakoby noszenie imienia Alvar było warunkiem koniecznym, wystarczyło iść do Urzędu Stanu Cywilnego i dodać je sobie jako drugie imię.

– Przecież Gonzalo i tak odziedziczyłyby wszystko zgodnie z prawem po śmierci Ramira Alvara.

– Po śmierci? Mieliśmy czekać czterdzieści lat, żeby się urządzić? Ryzykować, że będzie miał syna? – obruszyła się. – Nie, Gonzalo się spieszył, nienawidzi Ramira Alvara za to, że ten nie zaprosił go do domu.

Uważa za poniżające, że musi stać za kontuarem baru, nie znosi tego. Kiedy mieszkał z matką, prowadził wygodne życie. Nie chciało mu się studiować, nie lubił pracować, nie skończył nawet szkoły średniej. Zawsze żył za pieniądze Nogararów. Wiedział też, że jeśli zabije Ramira Alvara i upomni się o spadek, będzie pierwszym podejrzanym. Poza tym chciał zobaczyć go w więzieniu, pozbawić wszystkiego. To była jego obsesja: odebrać mu majątek.

– Nawet po tym, jak Ramiro Alvar dał mu pieniądze na bar? Nawet po tym, jak oddał szpik, żeby ocalić mu życie?

– Zrobił to, bo czuł się winny za występki swojej rodziny. – Machnęła ręką. – Nie usprawiedliwiał go.

– Tobie też pomógł finansowo, dzięki niemu otworzyłaś hotelik agroturystyczny i warsztat szklarski. Oddał ci za darmo budynek, zapłacił za jego remont. Nie masz dla niego ani krzty wdzięczności?

– Jeśli mam być szczerą, przyjąłam to jako moralne zadośćuczynienie. Zrobił to ze względu na plotki, chciał naprawić krzywdę, jaką wyrządziła mi rodzina Nogararów. I wciąż tak to widzę.

Milczałem przez chwilę. Zaznaczyłem w swoim notesie x. Przeszliśmy do kolejnej fazy: usprawiedliwień. To była najtrudniejsza część mojej pracy: wysłuchiwanie żalostnej litanii wymówek, którą recytował każdy aresztowany, kiedy przychodziło przyznać się do winy. Każdy gwałciciel, zabójca, oszust, złodziej, sprawca przemocy. Wszyscy wchodzili do tej sali, udzielając sobie moralnego rozgrzeszenia, a mnie z dnia na dzień coraz trudniej było to znieść.

Przejdźmy do śledztwa „Frozen”, zmusiłem się w duchu.

– Musisz mi teraz wyjaśnić, jak porwaliście Estefanię i Oihanę Nájera.

– Porwaliśmy? Nikt nikogo nie porywał. Fani powiedziała mi, że jej rodzice idą na kolację i musi zostać z Oihaną. Umówiłam się z nią w remontowanym mieszkaniu.

– Dlatego nie było żadnych połączeń w jej telefonie, a kamery nie zarejestrowały, jak wychodzi z domu – powiedziałem.

– Tak. Słowa są ulotne, rozmowy nie pozostawiają fizycznych śladów. Wszystko zrobiliśmy w sposób rzemieślniczy, analogowy. Chyba



nauczyłam się tego, spędzając długie godziny w warsztacie. Żadnych technologii. Tak jest bezpieczniej.

– Jak to się stało, że tacy młodzi ludzie jak wy mieli klucze do mieszkania przy ulicy Cuchillería?

– Kamienica była w remoncie, drzwi do klatki schodowej się nie domykały. Kiedyś podczas nocnej eskapady odkryliśmy to przypadkiem. Weszliśmy do środka, trochę dla zabawy. Większość mieszkań nie była wykończona, miejsce wyglądało tak, jakby z jakichś względów wstrzymano roboty. Weszło nam w zwyczaj zakradanie się tam, piliśmy, paliliśmy. Fani też kiedyś tam z nami była.

– Więc nie było porwania?

Nikt nie szarpał się z dziewczynkami, nie ciągnął ich po dachach.

– Nie, po prostu zadzwoniłam do niej domofonem, a ona zeszła przez podwórko.

– Podwórko?

– Tak, a dokładnie Caño de los Acebos. Wiedziałam, że zostawi otwarte okno w sypialni, żeby móc wrócić do domu. Ale kiedy weszły do pustego mieszkania, Sebas obezwładnił Fani, a ja Oihanę, nałożyliśmy im na głowy worki, które przywieźliśmy z Ugarte, i Sebas dokończył mur. Skaleczyliśmy dziewczynkę, żeby zostawić ślady krwi w jej domu i odwrócić uwagę od mieszkania przy ulicy Cuchillería. Tylko to jedno nas martwiło, bliskość obu mieszkań, baliśmy się, że policja znajdzie je żywe. Potem weszliśmy do mieszkania Fani przez okno wychodzące na podwórko, poplamiliśmy podłogę krwią i zamknęliśmy przesuwne okno od zewnątrz. Starliśmy z szyby odciski palców. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Każde z nas miało wybrać zbrodnię łatwą do popełnienia. Wiedzieliśmy, że jeśli będzie kilku winnych, policja się pogubi, skupi na pisarzu, a nam właśnie o to chodziło, żeby postawić przed sądem Ramira Alvara. My z Sebasem pomyśleliśmy, że odtworzymy zamurowanie żywcem opisane w powieści. On jest posłuszny, nie myśli za dużo. Mieliśmy zresztą spory wybór. Beltrán zdecydował się na hiszpańską muchę. Dosoypanie trucizny do jedzenia nie wydawało się trudne. Bardzo nie lubił przedsiębiorców, było mu wszystko jedno, który zginie.

– I wybraliście te zbrodnie mniej więcej w tym porządku, w jakim występują w powieści.

– Tak, odrzuciliśmy te trudne do przeprowadzenia. No i potem sprawa MatuSalema, tego wcześniej nie planowaliśmy. Matu opowiedział swojej dziewczynie, o co go poprosiłeś, a ona wygadała się mnie. Pokłóciłam się z Gonzalem, powiedziałam, że musi go powstrzymać, zanim zdąży z tobą porozmawiać, ale on nie chciał ryzykować.

Jak to podręcznikowy psychopata, Irati, miałem ochotę jej wyjaśnić. Zmanipulował was troje, żerując na waszych frustracjach, uznaliście, że jedziecie na jednym wózku, i odwaliliście za niego brudną robotę.

– Matu był spryciarzem – ciągnęła. – Sebas strasznie się wkurzył i sam chciał go utopić w beczce, ale obawialiśmy się, że nas rozpozna, więc w końcu zrobił to Gonzalo, bo Matu go nie znał.

– Nie liczyliście się z tym, że jako były więzień potraktuje zaostrzony ołówek jak broń i zostawi mi ślad DNA.

– Tak naprawdę to Gonzalo ci go zostawił. Matu rzeczywiście próbował bronić się ołówkiem, ale mu się nie udało. Gonzalo zostawił na nim swoją krew, bo wiedział, że w ten sposób ostatecznie pogrąży Ramira Alvara.

– A Claudia? Zwinęłaś własnej siostrze klucze do wieży, żeby Gonzalo mógł ukraść kronikę. Wcześniej też to zrobiliście, żeby zabrać habit należący kiedyś do Magdaleny Nograro. Użyliście też kluczy Claudii do zespołu pałacowego w Quejanie. Po co? Po co weszliście tam kiedyś? Po co włamaliście się kilka tygodni temu?

Irati skrzyżowała ramiona. Widziałem, że się zapałała. Utkwiła wzrok w ścianie. Odmówiła odpowiedzi.

– Będiesz musiała mi to wyjaśnić, bo wciąż nie pojmuję, po co włamaliście się do Quejany półtora roku temu...

I zamilkłem. Zamilkłem, bo przypomniałem sobie, że półtora roku wcześniej Gonzalo przyjechał do Ugarte.

Zrozumiałem.

Półtora roku temu...

## ALTAI

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

Siedemnaście dni upłynęło od nieszczęsnego powrotu Alix i Onneki. Gdyby mieszkańcy Nowej Victorii mieli dość sił, napadliby pewnie na sąsiadów z Villa de Suso. Nigdy dotąd nie byliśmy tak bardzo podzieleni. Jedni chcieli poddać się bezwarunkowo, drudzy zginąć w oczekiwaniu na posiłki.

Chipia już nie spoglądał z nadzieją na horyzont, pozwalał strażom na murach na rozrywki, chociaż kilka miesięcy wcześniej za grę w *alquerque*<sup>[6]</sup> karał surowo kilkudniowym pobytom w celi.

Nie było już w gospodarstwach zwierząt, ani prosiaków, ani kur, ani królików. Przemierzanie wybrukowanych ulic grodu przypominało raczej wizytę na cmentarzu, cisza, tak gęsta, że można ją było krajać nożem, zastąpiła wszechobecne niegdyś rżenia, chrumkania, gdakania.

Jedynie towarzystwo mojej córki i babci Lucii trzymały mnie przy życiu po odejściu Alix. Paliły mnie trzewia na samą myśl o tym, jak okrutną miała śmierć i że po trudach walki i wyczerpującej podróży nie doczekała końca oblężenia. A na razie nie zanosilo się na to, że oblężenie się skończy.

Poszedłem z córką w ramionach odwiedzić babcię. Zostały z niej tylko skóra i kości, mimo że wszyscy sąsiedzi, od Sanchy de Galarreta po pasterza Lorença, przynosili jej po kryjomu część swoich racji żywnościowych.

Zagwizdałem, wchodząc do sieni, żeby oznajmić jej nasze przybycie. Nie mogłem przynieść jej skórzanego pasa, żeby go żuła, jak robiliśmy

wszyscy, bo nie został jej już ani jeden ząb. Pociąłem na paseczki pergamin z cielej skóry, który chowałem, żeby ukończyć kronikę. Zamierzałem ugotować z niego bulion, żeby nieco ją wzmocnić.

Domyśliłem się, kiedy tylko wszedłem do izby.

Odeszła.

Jej obecność nie wypełniała już domu, pozostało tylko lodowate powietrze pośród opuszczonych ścian.

Znalazłem ją na podłodze, siedziała, obejmując otwarty kufer.

Zostawiła nam prezent: wędzoną wieprzowinę, ser, kasztany... Całe jedzenie, które znosiliśmy jej przez ostatnie miesiące. Ona wiedziała, że nie przyjmujemy go z powrotem. Wszystko zachowała dla nas: swoich dzieci, wnuków, prawnuków, praprawnuków, praprawnuków.

Usiadłem obok niej ze śpiącą córeczką w ramionach. Rozpłakałem się.

Płakałem po Alix, po Yennegu, po wszystkich, którzy mnie opuścili.

Byłem złym ojcem, pozwalałem, by przecięto moje dziecko na pół, byle tylko nie wpadło w obce ręce.

Dopiero krzyki wołającego mnie Gunnarra wyrwały mnie z osłupienia.

Na ulicy rozległ się ogłuszający ryk, usłyszałem w nim tak rzadką u mojego kuzyna rozpacz.

– Co się dzieje? – zapytałem, wychylając się przez okno z córką w ramionach.

– To Nagorno, musisz tu przyjść! Chce podpalić gród. Wpadł w szal, jeśli go nie powstrzymamy, nie zostanie tu kamień na kamieniu – ponaglał mnie.

– W szal? Nagorno? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

Zbiegłem po schodach i ruszyliśmy z Gunnarrem do stajni mojego brata.

Nagorno leżał na resztkach słomy, Lyra siedziała na nim okrakiem, przykładała ostrze sztyletu do jego szyi.

– Co tu się dzieje? – zawołałem na widok tej żalosnej sceny.

– Sąsiedzi weszli tu dziś w nocy i zjedli Altaia. On i Olbia byli ostatnimi zwierzętami w mieście. Wszyscy wiedzą, że Nagorno pozwoli im umrzeć

w najgorszy sposób, z głodu, woleli zaspokoić swój głód i poczekać, aż nasz brat zada im szybką śmierć – wyjaśniła Lyra. – Przemów mu do rozumu, mnie nie chce wysłuchać.

– Puść go – poprosiłem.

– Mowy nie ma.

– Zajmę się tym, siostró – zapewniłem. – Puść go.

Lyra posłała mi sceptyczne spojrzenie, ale w końcu usłuchała.

Nagorno zerwał się na równe nogi. Jego oczy, w których widziałem zazwyczaj tylko czarny tunel, wydały mi się jeszcze bardziej martwe.

– Babcia Lucía nie żyje. Poddamy miasto. To już nie ma żadnego sensu – powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu. – Chodź ze mną, bracie, chcę, żebyś zorganizował jej pogrzeb. Pomów z mieszkańcami Nowej Victorii. Lyro, zgromadź tych z Villa de Suso. Niech zabiją dzwony dla umarłej, niech wszyscy victorczyki zgromadzą się na cmentarzu Świętego Wincentego, jak czyniliśmy to dawniej, odkąd to wzgórze nosi nazwę Gasteiz.

To, czego nie połączył ani gród, ani wspólne mury, połączyła babcia. Nie było świec na ulicach, Milia czuwająca niegdyś nad pogrzebami nie rozłożyła ofiar z chleba, bo nie było już ani Milii, ani chleba. Nie żyła już żadna z płaczek, żeby skomponować dla Lucii żałobny lament.

Zresztą po co? Każdy z nas nosił w sercu swój własny tren. Wierzyliśmy, że jest wieczna, babcia Lucía zawsze była częścią Villa de Suso, spoglądała na nas ze swojego okna, przędąc czerwone nici.

Wszyscy, którzy wciąż jeszcze żyliśmy, stanęliśmy kołem wokół jej ciała. Nagorno przyniósł skrzynię jedzenia. Usiedliśmy na grobach i posililiśmy się wspólnie, Mendozowie dzielili się z powroźnikami, Isunzowie z przekupkami. Już dawno zapomnieliśmy smaku tych delikatesów.

– Jesteście więc zgodni? – zapytałem, kiedy skończyliśmy.

Pokiwali głowami.

– Wszyscy? Każdy co do jednego? – nalegałem.

– Wszyscy i każdy z nas co do jednego – potwierdził chór głosów.

## GRÓB KANCLERZA

## UNAI

*Listopad 2019*

Pobiegłem na górę do gabinetu, na korytarzu wpadłem na Albę. Byłem podekscytowany, rozejrzałem się wokół, było pusto.

– Chodź tutaj. – Pocałowałem ją w usta.

Była kompletnie zaskoczona.

– A to z jakiej okazji? – zapytała uśmiechnięta.

– Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy i wszystko ci opowiem – obiecałem.

Zamknąłem drzwi, znów poczułem przypływ euforii. To one trzymały mnie w tej pracy. Wziąłem telefon i wybrałem numer lekarki sądowej.

– Pani doktor, chyba już wiem, do kogo należą szczątki znalezione w Quejanie. Proszę, żeby porównała je pani z następującym DNA. – Po czym wyłożyłem jej swoją teorię.

– Ja też mam panu coś ważnego do powiedzenia, chyba powinien pan usiąść – uprzedziła. – To dość szokujące odkrycie, poprosiłam laboratorium o powtórzenie analiz, ale teraz nie mam wątpliwości.

– O co chodzi? Aż się boję – powiedziałem i usiadłem, spodziewając się złych wiadomości.

– Muszę podzielić się z panem wynikami badań DNA pozostałych dwóch ciał znalezionych w grobie kanclerza Ayali. Porównaliśmy je ze wszystkimi próbkami DNA, a także z DNA wszystkich funkcjonariuszy zaangażowanych w dochodzenie, żeby uniknąć fałszywych zbieżności. Sam

pan wie, jak łatwo zanieczyścić taką próbkę. Ten mężczyzna i ta kobieta to pańscy przodkowie. Oni z kolei nie byli spokrewnieni, skonsultowaliśmy się z Wydziałem Dziedzictwa Kulturowego i Artystycznego archidiecezji: potwierdzają, że w grobie spoczywają kanclerz don Pero López de Ayala i jego małżonka Leonor de Guzmán, pochowani tam w tysiąc czterysta siódmym roku na wyraźne polecenie samego kanclerza.

– Ale przecież mówi się, że ta gałąź rodu Ayala wymarła wieki temu i nie należy do niej żaden z żyjących potomków rodziny – wykrztusiłem zdumiony.

– Potwierdziliśmy właśnie, że jest inaczej: ta linia przetrwała, a pan do niej należy.

Chciałem zadać jej tysiąc pytań, ale nie wiedziałem, od czego zacząć. W tym momencie do gabinetu wpadła Alba. Otworzyła drzwi z takim rozmachem, że uderzyły w ścianę.

– Unai, dziadek... Musimy jechać do szpitala.

Zobaczyłem jej minę i poderwałem się na równe nogi. Zmusiła mnie, żebym wziął płaszcz, zapomniałem nawet zdjąć odznakę. Usiadła za kierownicą, ja nie byłem w stanie poprowadzić samochodu.

Wjechaliśmy na odpowiednie piętro najwolniejszą windą świata. Pobiegłem korytarzem, otworzyłem drzwi jego sali.

– Co się stało, chłopcze? Wyglądasz na przerażonego – przywitał mnie z uśmiechem dziadek.

– Jak...? – Utkwiłem pytające spojrzenie w Germanie, nie mogłem wymówić na głos pytania.

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Przestraszyłem się, że afazja Broki powróci.

– Pielęgniarki mówią, że po prostu otworzył oczy i zapytał: „A wy to kto?” – wyjaśnił Germán.

Dziadek uśmiechał się jak gdyby nigdy nic. Bawił się z Debą, wkładając jej na główkę swój beret.

Alba ścisnęła mi mocno dłoń, wiedziałem, że jest bardzo poruszona. Na pewno dałaby wszystko, żeby choroba jej matki skończyła się podobnie.

Ale Nieves odeszła na zawsze i nic nie mogło przywrócić jej życia.

Zamyśliłem się wpatrzony w ekran telefonu. Miałem w tle zdjęcie, które zrobiliśmy sobie tego wieczoru, kiedy odbyła się promocja powieści w Villa Suso. Wszyscy uśmiechnięci: dziadek, Nieves, Alba, Deba i ja.

Usiadłem, wciąż błędząc we własnych rozmyślaniach, na kanapie, na której spędziłem tyle godzin ze wzrokiem wbitym w dziadka, błagając o niemożliwe. O cud.

I podjąłem decyzję. A może decyzja została podjęta już jakiś czas temu i tylko czekała na to, żebym wypowiedział ją na głos.

– Przyniosłem wam prezent. Całej czwórce – powiedziałem, wstając. – Weźcie ją, już nie jest moja. Zasłużyliście na to.

I położyłem na łóżku dziadka swoją odznakę inspektora Wydziału Kryminalnego.

Dziadek wziął ją i, szczęśliwy, powiesił sobie na szyi.

– Czas był najwyższy, syneczku – powiedział tylko i wzruszył ramionami.

Alba spojrzała na mnie i w końcu poczułem, że jesteśmy na tym samym etapie drogi, że znalazłem się tu, przebywszy własną podróż, a ona, jak zwykle mądrzejsza, potrafiła na mnie zaczekać.

Germanowi trzęsła się broda. Rzucił mi się w objęcia, musiałem się schylić, żeby w porę chwycić go w ramiona.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję... – powtarzał, łkając.

I wszyscy mnie otoczyli, wyglądaliśmy jak jedna wielka ludzka szyszka.

– Cemu płacemy, mamó? – zapytała po chwili moja córka.

– Bo twój tata wybrał nas – wyszeptał Germán.



## KRAKEN

## UNAI

*Listopad 2019*

A życie, kiedy dziadek cudem znalazł się znów z nami, powoli wracało do normalności. Pewnego ranka zajrzałem do zakładu fryzjerskiego, gdzie strzygłem się, odkąd skończyłem kilkanaście lat. Zrozumiałem, że coś mi przeszkadza. Zbyt długo.

– Na krótko. Bardzo krótko. Tak jak strzygłaś mnie wcześniej – poprosiłem właścicielkę.

– Będzie widać bliznę. Nie chcesz jej zasłonić?

– Nie. Już nie.

Nadszedł moment, żeby pogodzić się ze swoimi bliznami.

I patrząc na te spadające kosmyki, pożegnałem się z Krakenem, pożegnałem się z niemożliwym do uniesienia ciężarem, który dotąd spoczywał na moich barkach. Z moim autodestrukcyjnym poczuciem obowiązku, który pociągnął za sobą tyle ofiar. Też byłem, na swój sposób, seryjnym mordercą. Kłamstwo, które sobie opowiadałem: „To ja muszę chronić miasto”, zabiło lub naraziło na niebezpieczeństwo tak wiele ukochanych osób z mojego otoczenia, że zasłużyłem sobie na dożywocie. Bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Wychodząc stamtąd, czułem się dziwnie. Jakbym był inną osobą.

Ale było to przyjemne uczucie.

Szedłem zaułkiem Carnicerías, z Wieżą Doñi Ochandy w głębi, kiedy nagle wydało mi się, że widzę znajomą łysinę.

– Lutxo? – krzyknąłem.

Odwrócił się zaskoczony.

– Co ty tu robisz o tej porze? Nie jesteś w pracy? – zapytał.

– W ten piątek mam zamiar zaprosić naszą paczkę na kolację. Przyjdiesz, prawda?

– Nie odpowiedziałeś mi. Nie jesteś w pracy?

– Zaproszę wszystkich, ostatnio nie było czasu, żeby się spotkać. Chciałbym z wami coś uczcić. Co ty na to?

– Jeśli chodzi o zasłony dymne, nie masz sobie równych. Możesz mi wreszcie powiedzieć, czemu nie jesteś w komisariacie?

– Od samego początku odpowiadam ci na twoje pytanie, Lutxo. W piątek chcę z wami uczcić to, że rzuciłem pracę w Wydziale Kryminalnym. Możesz to opublikować, jeśli chcesz. Właściwie wyświadczyłybyś mi przysługę, gdybyś zamieścił wiadomość. „Kraken odchodzi”. Możesz podać, że to z przyczyn osobistych, zawodowych, cokolwiek.

– A co będziesz teraz robił?

– Przechodzę na ławkę trenerską: będę kształcił profilerów, ale nie wrócę już do prowadzenia dochodzeń. To też dobrze by wyglądało w nagłówku.

Lutxo potrzebował chwili, żeby przetrwać tę wiadomość. Potem z uśmiechem pogładził się po brodzie.

– Bardzo się cieszę. Naprawdę. Bardzo. Będziemy mogli znów jeździć razem w góry w niedziele, bez tego napięcia, które ostatnio było między nami.

– Tak, ja też mam nadzieję, że uda nam się wrócić do dawnych przyjacielskich relacji.

Pożegnaliśmy się, po raz pierwszy od dawna patrząc sobie w oczy. Już nie musieliśmy niczego ukrywać. Mnie została jeszcze ostatnia sprawa do załatwienia. W Quejanie.

Zawsze starałem się przedstawić sędziemu prowadzącemu postępowanie przygotowawcze jak najbardziej kompletne akta, a to było ostatnie

dochodzenie w mojej karierze. W sprawie „Władców czasu” pozostało jeszcze kilka znaków zapytania.

„Nieskazitelnym i niezłomnym”, powiedział o mnie kiedyś sędzia Olano.

Spojrzałem na czerwoną nitkę na swoim nadgarstku i ruszyłem.

Domknę wszystkie wątki, pomyślałem, kierując się na północ naszej prowincji.

Zaledwie kilka kilometrów dzieliło mnie od domostwa rodu Ayala, kiedy zadzwonił mój telefon. Nazwisko, które wyświetliło się na ekranie, zaskoczyło mnie. Ignacio Ortiz de Zárate. Zjechałem z drogi i zaparkowałem przy małej pustelni otoczonej żywopłotem.

– Tak?

– Dzień dobry, inspektorze.

– O co chodzi, Ignacio?

– Po pierwsze proszę, żebyś mnie wysłuchał i nie odkładał słuchawki.

– Nie rozłączę się, rozumiem, że nie jesteś Tasiem.

– O tym właśnie chciałem porozmawiać. Dlatego dzwonię. Po drugie, i mówię to w imieniu swoim, a nie brata, bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało twoją córkę i dziadka. Dowiedziałem się, że w końcu obudził się ze śpiączki, a jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– To prawda.

– Będę się streszczał, bo ta rozmowa jest równie nieprzyjemna dla mnie, jak i dla ciebie. Przenoszę się na stałe do Stanów Zjednoczonych. Mój bliźniak jest w więzieniu za porwanie małoletniej, już przechodziłem przez podobne piekło dwadzieścia lat temu. Sprzedaję willę w Laguardii i mieszkanie przy ulicy Dato. Nie zamierzam tu wracać. Nasz adwokat Garrido-Stoker wyjaśnił mi kwestię DNA twojej córki. Jeśli o mnie chodzi, nie mam zamiaru w żaden sposób was nękać ani ingerować w wasze życie. Jeśli dziewczynka dowie się kiedyś prawdy o swoim pochodzeniu i będzie chciała poznać rodzinę ze strony ojca, ma wujka, który chętnie podejmie się swojej roli. Jeśli tak się nie stanie i, szczerze mówiąc, sądzę, że tak będzie dla niej najlepiej, nigdy nie będę próbował nawiązywać z nią kontaktów. Niewiele więcej mam do powiedzenia. Bardzo mi przykro, że twoja rodzina miała nieszczęście spotkać na swojej drodze moją.

I rozłączył się.

Kolejna ofiara uboczna, pomyślałem.

Działania narcyzów są jak kamienie wrzucane do stawu. Wzbudzają fale, które rozchodzą się wokół i niszczą życie innym.

Niedługo później zaparkowałem wśród wyłysiałych drzew łączących się z gałęziami sąsiednich grubymi węzłami. Modliłem się, żeby zastać księdza w starym domu kapelana.

– Don Lázaro – zawołałem, zastukawszy kilka razy kołatką.

– Kto tam? – zapytał zmęczony głos z drugiej strony drzwi.

Poprosiłem go, żeby otworzył kaplicę kanclerza Ayali, a kiedy zostawił mnie samego, włożyłem rękawiczki. Niewykluczone, że wkładałem je ostatni raz w życiu. Wszedłem do krypty i stanąłem naprzeciw grobowca małżeństwa, którego, według testów DNA, byłem bezpośrednim potomkiem.

Wciąż jeszcze nie zdołałem przyjąć tego do wiadomości, ale w samotności tej krypty dotarło do mnie, że ich historia jest także moją historią i to, co mnie otacza, to również moje dziedzictwo. Te kamienne mury, zaprojektowane, żeby bronić członków rodziny przez wiele kolejnych wieków, kopia wielkiej nastawy ołtarzowej, pełna złota i czerwieni, nawet ta cisza po trosze należała do mnie.

Testy, o które poprosiłem doktor Guevarę, potwierdziły moje podejrzenia: trzecią osobą pochowaną w tym grobie była matka Gonzala, Gemma Martínez.

Gonzalo się nie przyznał, Irati w końcu powiedziała prawdę w zamian za obietnicę złagodzenia kary. Syn Alvara zabił własną matkę, kiedy wydała wszystkie pieniądze, które dostała od Inés. Wyruszyli razem w podróż z Asturii, żeby wyłudzić od Nogararów więcej.

Ale Gonzalo miał już dość tego, że pieniędzmi zarządza matka. Całe życie zależał od niej, musiał tłumaczyć się z wydatków, kręcić. Kłótnia skończyła się w najgorszy możliwy sposób, Gonzalo musiał wykopać bez łopaty zaimprovizowany grób na porośniętym eukaliptusami wzgórzu Kantabrii.

Jeszcze tego samego dnia przyjechał do Ugarte, zatrzymał się w hoteliku w starej kuźni i dowiedział od Irati wszystkiego o mieszkańcach miasteczka i Nogradach. Następnego dnia poszedł na cmentarz. Tam poznał swoją kolejną ofiarę: Ramira Alvara.

Z czasem pozyskał zaufanie Irati, przekonał ją, żeby zdobyła dla niego klucze do zespołu pałacowego w Quejanie, gdzie pracowała jej siostra Claudia. Miejsce ustronne, rzadko odwiedzane, doskonałe, żeby ukryć trupa... i coś jeszcze.

Podszedłem do nastawy i próbowałem odsunąć ją od muru. Nie udało mi się. Cierpliwie macałem krawędzie, które łączyły ją ze ścianą. W końcu to wyczułem. W rogu, w którym kanclerz Ayala klęczał na jednym kolanie. Bardzo ostrożnie wsunąłem dłoń pod płótno.

I znalazłem ją: kopię kroniki hrabiego Veli.

Oprawny w skórę tom pozszywanych pergaminów.

Wyjąłem go z kryjówki, nie mogłem odmówić Gonzalowi żelaznej logiki.

Czy może istnieć lepsze miejsce, żeby ukryć kopię, niż inna kopia?

## RAMIRO

## UNAI

*Listopad 2019*

Spojrzałem na swoich uczniów, od godziny słuchali z uwagą wykładu. Uznałem, że warto zapoznać ich z przebiegiem mojego najświeższego śledztwa, pokazać im błędy, jakie popełniłem, sporządzając profil zabójcy, i własne fałszywe kroki.

– Z początku uważałem, że mam do czynienia z seryjnym zabójcą. Potem pomyślałem, że zabójca cierpi na dysocjacyjne zaburzenie osobowości, dopiero pod koniec odkryłem, że mam do czynienia z kilkorgiem morderców. To, że skoncentrowałem się na średniowiecznym modus operandi, uniemożliwiło mi przez kilka cennych tygodni uświadomienie sobie, że każdy ze sprawców zostawił pod swoją zbrodnią specyficzny podpis: zabójstwo z użyciem hiszpańskiej muchy było przejawem tchórzostwa, sprawcy zamurowania żałowali swoich ofiar, a utopienia w beczce dokonano ze szczególnym okrucieństwem.

Najciekawsze jest to, że Gonzalo Martínez, który wymyślił całą intrygę, zdołał przekonać swoich współników, że planują tylko kradzież wymagającą kilku przypadkowych ofiar, a nie serię zabójstw. Chcieli przejąć fortunę Ramira Alvara Nograro wartą miliard trzysta milionów euro, ale nie mogli dokonać tego jawnie: z bronią w rękę, przykładając mu pistolet do czoła. Wymyślili więc inny rodzaj przestępstwa, z kodeksem w jednej ręce, z powieścią w drugiej. A ściśle rzecz ujmując, z przepisem zabraniającym dziedziczenia rodzinnego majątku każdemu, kto przestąpił próg więzienia, i książką będącą wersją średniowiecznej kroniki, napisaną

w celach autoterapeutycznych. Powieść była niejako narzędziem zbrodni, żeby obwinić Ramira Alvara o przestępstwa, których nie popełnił.

Spojrzałem na ostatnie rzędy: doktor Leiva obiecała, że przyjdzie dziś na zajęcia, miała mi udzielić wskazówek na temat mojego nowego etapu życia zawodowego, ale wykład dobiegł końca, a ona się nie pojawiła.

Sala pustoszała, kolejni uczniowie wychodzili. Ja zostałem, żeby pozbierać notatki i wyłączyć sprzęt. I wtedy ją zobaczyłem. Nie była sama.

Towarzyszyła jej Estíbaliz pchająca wózek Ramira Alvara.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Marina, wchodząc.

– To moja wina – pospieszył z wyjaśnieniem Ramiro Alvar. – My ją zatrzymaliśmy.

– Zaintrygowaliście mnie. Co tu robicie? – zapytałem, wciąż nic nic nie rozumiejąc.

– Przekonałam Ramira, żeby zaczął terapię u doktor Leivy – wytłumaczyła Estíbaliz z poważną miną.

– Jeśli mam być szczerzy, postawiła mi ten warunek, skoro chcę ją nadal widywać.

– I niczego ci nie obiecuję – dodała Esti. – Od ciebie zależy, czy przebędziesz drogę, która doprowadzi cię do wyzdrowienia. Dopiero kiedy będziesz miał jasność co do tego, kim jesteś i czego chcesz, ja podejmę decyzję, co dalej z nami.

– To będzie mój ostatni przed emeryturą pacjent, którego zgadzam się leczyć – wtrąciła Marina. – Przestaję uczyć i przestaję przyjmować. Ale jestem przekonana, że pomogę Ramirowi, a nie mam wielu kolegów, którzy odważyliby się postawić diagnozę bez uprzedzeń.

– Bardzo się cieszę – powiedziałem. – Gratuluję decyzji, Ramiro Alvarze. Mam jeszcze do ciebie kilka pytań, moglibyśmy porozmawiać chwilę na osobności?

– Ramiro. Teraz nazywam się Ramiro. Alvar zostanie tylko w dokumentach oficjalnych. Z tym imieniem czuję się lepiej.

– Dobrze, Ramiro – zgodziłem się z uśmiechem.

Doktor Leiva i Estíbaliz pożegnały się z nami. Zostaliśmy w pustej sali wykładowej.

– O co chodzi?

– Brakuje mi jeszcze jednego szczegółu, żeby w pełni zrozumieć tę sprawę. Zaznaczam, że to, co mi powiesz, zostanie między nami, potraktuję tę informację jako poufną. I nie masz obowiązku odpowiadać na moje pytanie. Myślę, że twoje alter ego identyfikowało się z biskupem Garcíą, bo ten był jego przodkiem, chociaż o tym w książce nie wspomniałeś. Nie powiedziałaś, że założycielem waszego rodu był Lope, nieślubny syn biskupa Garcíi. Dlatego w swojej powieści zabiłeś biskupa Garcíę, chciałeś w ten sposób symbolicznie zabić swoje alter ego. Dlatego bałeś się, że biskup zacznie zabijać swoich nieprzyjaciół, na przykład kogoś podobnego do hrabiego de Maestu. Bałeś się o Estíbaliz, podejrzewałeś, że Alvar będzie chciał się jej pozbyć. Ale do tej układanki nie pasował ci fakt, że Alvar zabił dwie dziewczynki, bo nie były w powieści nieprzyjaciółkami biskupa Garcíi. Podczas wizyty w archiwum dotarłem do dokumentów, w których wspomina się pierwszego pana na wieży Nograro. Był to Alvar López de Nograro, syn niejakiego Lopego Garceiza. Ów Lope Garceiz był synem właścicielki gospody La Romana, prawda?

Ramiro poprawił sobie okulary gestem, który powtarzał kilka razy dziennie, i opuścił wzrok.

– Tak – przyznał w końcu. – To udokumentowany początek naszego rodu. Nic dziwnego, że staraliśmy się to ukryć: jesteśmy potomkami rajfurki, która kazała się prostytuować własnym siostrom, choćby nawet robiła to, żeby nie umrzeć z głodu, i zabójcy hrabiego de Maestu. Między innymi dlatego przeraziłem się tak bardzo, że książka została opublikowana. Chłopak z gospody naprawdę był synem biskupa Garcíi i po jego śmierci odziedziczył wszystko. Nogarowie nigdy tego nie ujawnili, ale jak na tamte czasy, odziedziczył olbrzymią fortunę, sprzedał królowi Sanchowi Siódmemu Mocnemu pałac w Pampelunie i przeniósł się do Valdegovíi, gdzie nie ciągnęła się za nim zła sława, jaką miał w Victorii. To był największy rodzinny sekret Nogarów.

– Rozumiem teraz, dlaczego mówi się, że stare rody mają wiele tajemnic, o których wolą milczeć. Mam dla ciebie wiadomość dotyczącą



innej z waszych tajemnic: znaleźliśmy kopię kroniki hrabiego Veli. Gonzalo ukrył ją za nastawą ołtarza w krypcie kanclerza w Quejanie.

– Nie chcę tej kroniki! – zapewnił pospiesznie don Ramiro. – Nie chcę nawet zbliżyć się do niej, jest wspomnieniem wszystkiego, co chciałbym zostawić za sobą raz na zawsze. Nie chcę jej.

– To, co ci opowiem, także jest poufne, nie mogę podać ci nazwisk, ale potomkowie jednego z odgałęzień rodu hrabiego Veli posiadają oryginał i mogą udokumentować, że don Vela naprawdę jest ich przodkiem. Myślę, że powinienesz im podarować kronikę, niech wróci do swoich prawowitych właścicieli.

– W takim razie postanowione.

Chwilę później zadzwoniłem do Iaga del Castillo.

– Mamy tu w Vitorii coś, co należy do was.

## JEDNO MIASTO

## DIAGO VELA

*Zima, rok Pański 1200*

My, mieszkańcy Victorii, weszliśmy na chodnik obronny na murach przy Bramie Północnej. Żołnierz Chipii zadął w trąbkę, po chwili López de Haro zbliżył się do murów na koniu.

– Co się dzieje? – zapytał.

On również wyglądał na zmęczonego, ale był w nieporównanie lepszej kondycji niż szkielety ludzi patrzących na niego z murów.

– Zawołajcie króla Alfonsa – powiedziałem. – Chcemy pertraktować.

Obok mnie stali Chipia i burmistrz. Towarzyszyli nam Nagorno, Onneca, Lyra, Gunnarr, Isunzowie, Mendozowie, powroźnicy, rzeźnik, dwie dziewczynki i staruszek.

Król Alfons przybył na białym koniu. Patrzył na mnie wyczekująco. Dał mi znak, żebym mówił.

– Słucham was, don Vela.

– Poddajemy wam Victorię. Całą, zarówno Villa de Suso, jak i Nową Victorię. Wasz kuzyn Sancho Mocny zwolnił nas z obowiązku obrony grodu, możecie już porzucić wasze umocnienia, nie nadejdą żadne wojska z odsieczą dla nas. Wasze piekło także dobiega końca.

Mógłbym przysiąc, że napięte ramiona królewskich żołnierzy nagle się rozluźniły. Ci, którzy znaleźli się z tyłu, poza zasięgiem wzroku monarchy, wpadali nawet sobie w objęcia. Wśród oblegających nastąpił bezgłośny wybuch radości.

– Przyjmuję waszą kapitulację – oznajmił król uroczyście. – Otwórzcie w końcu tę bramę!

– Mamy pewne warunki – dodałem.

– Nie jesteście w położeniu pozwalającym stawiać warunki. – López de Haro się roześmiał.

– Mamy pewne warunki. – Nie dawałem się zbić z tropu.

– Pozwólcie mu mówić – zgodził się król.

– Ufamy, że kiedy wpuścimy was do miasta, powstrzymacie się od represji.

– Co poza tym?

– Każdemu, kto zechce opuścić Victorię i zacząć nowe życie w innych grodach królestwa, wolno będzie to zrobić i nikt nie będzie go ścigał po drogach. Nie chcemy znajdować wisielców na drzewach w górach.

– Tak się nie stanie, macie na to królewskie słowo. Doceniam odwagę, z jaką broniliście tego, co wasze, nie zapomnimy o tym.

– Nie będzie grabieży – ciągnąłem. – Wprawdzie w grodzie nie zostało już wiele wartościowych rzeczy, ale uszanujecie kobiety i nie zabijecie nikogo, jeśli wpuścimy was za mury. Chcemy spać spokojnie, w tym mieście nigdy nie ryglowaliśmy drzwi i niech tak pozostanie, jeśli zależy wam na zadowoleniu waszych nowych poddanych.

– Możecie na to liczyć, wasz nowy król nie jest rzeźnikiem.

– A skoro o mięsie mowa, przynieście nam, błagam, dziki, króliki, jelenie i cokolwiek tam pieczecie, a pachnie tak znakomicie. To pilne.

– Chorąży, wydajcie rozkaz. Moi nowi poddani zasłużyli sobie na ucztę.

López de Haro skinął głową i ruszył wykonać królewski rozkaz.

– Nie odbierajcie przywilejów targującym na rynku koło kościoła Najświętszej Marii Panny. Niech opłaty w bramach nie będą zbyt wysokie – ciągnąłem. – To gród rzemieślników i kupców. Bez nich nie ma targu, bez targu nie ma podatków. Nigdy o tym nie zapominajcie.

– Wydajecie rozkazy królowi?

– Nie, raczej doradzam mądrym człowiekowi, tak jak doradzałem waszemu ukochanemu wujowi Sanchowi Szóstemu.

– Tak, on umiał słuchać, nauczyłem się tego od niego. Teraz wpuście nas, chcę przywitać swoich nowych poddanych.

Wydałem rozkaz Yñigowi, jedynemu synowi kuśnierza.

Brama Północna otworzyła się, pozwoliliśmy wejść naszemu nowemu władcy.

Za nim wjechał wóz z chlebem i pieczywym, które nie dotarło nigdy na stoły, gdyż victorczyki rzucili się na nie i zjedli na miejscu, na dawnym targu Najświętszej Panienki.

Musiało minąć wiele dni, zanim życie miasta wróciło do swojego dawnego rytmu.

Kilkunastu rzemieślników spakowało narzędzia i wyruszyło do Pampeluny otwierać tam swoje warsztaty.

Lyra wybrała się do kopalni w Bagoecie, żeby znów zaopatrzyć kuźnię w surowce.

– Poddaliśmy Victorię, ale teraz jesteśmy wreszcie jednym miastem, a nie dwoma skłóconymi dzielnicami – pocieszała mnie na odchodnym.

– Zapłaciliśmy za to zbyt wysoką cenę, siostrze – mruknąłem pod nosem, patrząc na jej odjeżdżający wóz. – Już nigdy nie będę się upierał, żeby bronić jakichś ziem, grodu czy warowni. Będę bronił ludzi. Nic nie wynagrodzi życia ukochanej osoby, która odeszła na zawsze.

Gunnarr i ja wyruszyliśmy do wioski Castillo w odwiedziny do Hectora. Wiedziałem, że się o nas martwi, chciałem też, żeby poznał swoją nową bratanicę.

Jeszcze tej samej nocy Gunnarr udał się do portu w Santander. Jego załoga czekała na niego, mieli przewozić pielgrzymów z Anglii na Szlak Jakubowy. Tęsknił za morzem i wolnością, nie był stworzony do życia za murami. Dla jego duszy olbrzyma każdy gród wydawał się za mały, czuł, że żyje pełnią, dopiero na wielkiej przestrzeni ograniczonej jedynie horyzontem.

Przechodząc z moją córeczką obok twierdzy San Vicente, natknąłem się na Martina Chipię, siodłał konia pożyczonego od Kastylijczyków.

– Dotarła do mnie wiadomość od królewskich doradców. Sancho wysyła mnie jako namiestnika do Mendigorríi. Docenił mój wkład w obronę tego grodu. Zabieram swoich ludzi. Wyruszamy nazajutrz.

– Nie poczekacie, aż odzyskają siły i porządnie się najedzą po miesiącach przymierania głodem? – zapytałem ostrożnie.

– Jesteśmy żołnierzami Nawarry, a tu panuje teraz władca Kastylii. Rozsądniej będzie, jeśli nie będziemy spotykać Kastylijczyków, pod naszymi puklerzami biją ludzkie serca. A każdy z nas stracił w boju towarzyszy broni. Wyruszamy jutro, hrabio Vela. To był zaszczyt móc walczyć u waszego boku.

– Jedźcie z Bogiem, namiestniku. Zostawiacie po sobie dobre wspomnienia w tym grodzie. Nie sądzę, że jeszcze się kiedykolwiek zobaczymy, życzę wam, żeby śmierć omijała was szerokim łukiem – pożegnałem go.

I patrzyłem, jak życie toczy się dalej w naszych murach i na podgrodzium, każdy z nas mierzył się ze swoim losem.

A potem zabrałem córeczkę na grób jej matki i brata i zacząłem jej opowiadać historię naszej rodziny, która na razie kończy się tutaj, w lutym roku Pańskiego 1200, za murami Victorii.

## WŁADCY CZASU

## UNAI

*Grudzień 2019*

Z początkiem miesiąca zima na dobre rozgościła się w kalendarzu, oznajmiając swoje przybycie gęstą śnieżycą. Miasto obudziło się tego ranka białe i ciche, jakby śnieg wymazał z niego wszystkie złe wspomnienia. Wszedłem na balkon, podmuch zimnego powietrza wpadł do mojego mieszkania.

Zobaczyłem Hectora i Iaga del Castellów idących przez plac Virgen Blanca. Przez telefon opowiedziałem im o wynikach testów DNA, z których wynikało, że jestem potomkiem kanclerza de Ayali, zapytałem, czy to jest możliwe. Wyczułem, że ta wiadomość ich poruszyła, i niecierpliwie czekałem na spotkanie z nimi.

Weszli do mieszkania. Héctor przywitał się ze mną serdecznie, Iago miał ze sobą walizeczkę. Zaprosiłem ich do salonu.

Wszyscy trzej usiedliśmy przy stole, położyłem przed nimi odzyskaną kopię kroniki.

– Oto ona. Ostatni dziedzic rodu Nogradów poczynił już kroki prawne, żeby ją wam oficjalnie przekazać. Kronika wraca do was.

Iago zapomniał włożyć rękawiczkę i pogładził skórzany grzbiet.

– Szmata czasu... – wyszeptał.

– Szmata czasu, tak, nasza rodzina od dawna na to czekała – wtrącił Héctor. – Nigdy nie zdołamy ci się odwdziaczyć za to, co dla nas zrobiłeś, Unai. Iago też coś dla ciebie przyniósł. Chcemy ci pokazać pewien list.

Iago sprawiał wrażenie, jakby wrócił nagle z podróży w czasie, podczas której cofnął się o kilka wieków. Wyjął z walizeczki pergamin w plastikowej kopercie.

– Kiedy porwano Debę, zapytałeś mnie o los Yennega. Nie chciałem ci tego mówić w tak trudnym momencie, ale dziś coś ci przyniosłem.

– Co takiego?

– To list, który Onneca de Maestu napisała do Diaga Veli przed swoją śmiercią w tysiąc dwieście drugim roku, dwa lata po zakończeniu oblężenia. Była chora na białą zarazę, tak niegdyś nazywano gruźlicę. Wiedziała, że nie zostało jej wiele czasu, i wysłała tę wiadomość:

*Mój umiłowany Diago,*

*Yennego wpadł do fosy. Znalazłam jego ciało, utopił się. Lękałam się, że w to nie uwierzysz, zważywszy na moje niegodne zachowanie, kiedy dowiedziałam się, że Alix de Salcedo oczekuje kolejnego potomka. Szczątki Twojego syna spoczywają w grobie mojego ojca. Możesz się przekonać, że spoczywają tam dwa ciała. Zaraz po tym nieszczęściu zostaliśmy oblężeni i nigdy nie znalazłam w sobie dość odwagi, nie opowiedziałam o tym nawet swojemu mężowi, który Yennega uwielbiał. Nie byłam dla niego dobrą ciotką, nigdy nie potrafiłam być czuła. Widziałam w nim syna, którego mnie los odmówił, syna, którego powinniśmy mieć Ty i ja. Teraz jednak liczy się dla mnie Twoja dusza, moja bowiem wkrótce opuści ciało, a nie chcę odchodzić z tym ciężarem. Możesz go opłakiwać nad grobem mojego ojca.*

– List jest częścią prywatnej korespondencji będącej w posiadaniu rodziny Vela. Jest późniejszy od kroniki hrabiego, dlatego wzmianka o losie Yennega nie pojawia się na jej kartach. Z tego powodu również w powieści *Władcy czasu* nie wspomina się o losach chłopca. Ani Nogarowie, ani żaden inny ród nie wiedział nigdy o istnieniu tego listu.

– Więc śmierć Yennega to był wypadek – mruknąłem. – Onneca mogła zaoszczędzić tyle cierpienia, gdyby wyjawiała to, co wiedziała.

Iago w milczeniu pokiwał głową i schował pergamin z powrotem do koperty.

– Jest jeszcze coś, czym chcielibyśmy się z tobą podzielić. Zapraszamy cię na przechadzkę po starówce. Od dawna nie spacerowałem ulicami średniowiecznego migdała pokrytymi śniegiem.

Spojrzałem na zegarek w telefonie.

– Dobrze, dziadek bawi się z Debą w ogrodzie Etxanobe. Umówiłem się, że niedługo po nich przyjdę.

– Chętnie się z nim przywitamy. Cieszę się, że to stare serce wciąż jeszcze bije – powiedział Iago.

Wszyscy trzej zesłiśmy więc na plac Matxete.

– DNA wykazały podobno, że jesteś potomkiem odgałęzienia rodu kanclerza Pera Lopeza de Ayali. Pomyśleliśmy, że chciałbyś poznać kilka szczegółów dotyczących twojego dziedzictwa w tym mieście – wyjaśnił mi Héctor. – Nogarowie byli jedną z rodzin rywalizujących z Ayalami podczas ich sporu z rodem Calleja. Szkoda, że spacerując tymi ulicami, dostrzegasz tak mało śladów po swoich przodkach, a przecież bardzo zasłużyli się dla tego miasta. Spójrz na ten budynek.

Weszliśmy na górę po schodach kościoła Świętego Bartłomieja.

– Tu znajdowała się Brama Południowa. Przemierzali ją wszyscy, którzy przybywali od strony Kastylji. Widzisz ten nieregularny kawałek muru? – Héctor wskazał wejście do pałacu Villa Suso. – Te kamienie mają tysiąc lat. Były częścią pierwotnych murów wzniesionych przez pierwszego hrabiego Velę, przodka Diaga Veli. Rodzina Vela zawsze chroniła miasto. To oni wznieśli tu w siódmym wieku kuźnię, w miejscu, gdzie dziś znajduje się Stara Katedra. Z początku mieszkali w tradycyjnym długim domu. Oni też wybudowali kloakę, cmentarz, stawiali nagrobki, które odnaleźli archeologowie.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na budynek należący teraz do Wydziału Opieki Społecznej naszego ratusza.

– Tutaj znajdował się pałac rodziny Ayala. Obok dawnej pustelni w Gasteiz, obecnie będącej kaplicą Matki Boskiej Bolesnej, która stanowi część kościoła Świętego Wincentego. Tutaj, na poświęconej ziemi, odbywały się sądy: spory sądowe rozstrzygano w świątyni. Ten zwyczaj



przetrwał długo, ślad po nim znajdziesz w nazwie tych podcieni, która przetrwała do naszych dni: Arquillos del Juicio, Podcienie Sądu.

– To była poświęcona ziemia?

– Tak, znajdowała się tu pierwsza nekropolia wioski Gasteiz – potwierdził Héctor. – Dawna warownia San Vicente miała swój własny cmentarz.

– Musisz wiedzieć, że ród Vela i ród kanclerza Ayali wywodzą się z tego samego pnia – powiedział Iago. – W czternastym wieku Fernán Pérez de Ayala, ojciec kanclerza Ayali, zapisał genealogię rodzinną w księdze zatytułowanej *Drzewo domu Ayalów*. Jest w niej taki fragment: „Mój przodek hrabia Vela wznosił mury Victorii w Álavie”. Współcześni historycy nie bardzo wierzyli w tę wersję, zwykle wszystkie możliwe rody szukały u swego zarania postaci legendarnych, a hrabia Vela był właśnie taką postacią. Sądzono, że to jeszcze jedna zmyślona genealogia. Ale jest jeden szczegół, który nie pasował: data budowy murów. Wcześniej uważano, że mury grodu Victoria zostały wzniesione przez króla Sancha Szóstego Mądrego, który nadał mu przywileje w tysiąc sto osiemdziesiątym pierwszym roku. To miałyby sens: nadał przywileje mieszkańcom grodu i wybudował mury, żeby ochronić ich przed najazdem króla Kastylii.

– A to nieprawda?

– Zaledwie kilka lat temu, używając metody datowania radiowęglowego, udowodniono, że mury te mają co najmniej sto lat więcej, niż pierwotnie przyjęto. Wybudowano je około tysiąc osiemdziesiątego roku, w czasach Alfonsa Pierwszego Walecznego. Ale kto właściwie je wznosił? Historycy spojrzeli przychylniejszym okiem na księgę Fernana Pereza de Ayali. Skąd wiedział, że mury powstały sto lat wcześniej, niż powszechnie sądzono? Być może należy go potraktować jako wiarygodne źródło?

– Ale to jeszcze nie dowodzi, że Ayalowie byli potomkami Velów – zauważyłem.

– To prawda, nie dowodzi. Teraz musisz nam obiecać, że to, co usłyszysz, zachowasz w tajemnicy.

– Wiesz dobrze, że możesz liczyć na moją dyskrecję.

– W *Bienandanzas e Fortunas*[7] Lopego Garcíi de Salazara, napisanych pod koniec piętnastego wieku, czytamy: „Nazywał się hrabia Vela, był seniorem de Ayala, mieszkał na ziemiach zasiedlonych przez zlatynizowanych Basków, tu żywota dokonał i pogrzebion został w Santa María de Respaldiça” – wyrecytował z pamięci.

– I to jest tajemnicą?

– Nie, to nie. My jesteśmy w posiadaniu dokumentu poświadczającego, że hrabia Vela został pochowany w kościele Matki Boskiej z Respaldizy. To jego szczątki leżą w tym grobie. W grę wchodziły kwestie majątkowe, chcieliśmy z Hectorem skupić z powrotem w naszych rękach rodzinne dziedzictwo, ale musieliśmy w tym celu udowodnić, że don Vela był bezpośrednim przodkiem rodziny Ayala z Quejany. Kilka lat temu uzyskaliśmy od kurii zgodę na pobranie DNA z kości kanclerza. Wyniki pokazały, że byli spokrewnieni, należeli do wspólnej gałęzi rodu. Dla nas to sprawa bardzo ważna, wiążąca się z uporządkowaniem naszych spraw majątkowych, ziem, rozproszonych posiadłości. Nie przeczytasz o tym w gazetach, staramy się trzymać w tajemnicy te sprawy sądowe. I wolelibyśmy, żeby tak pozostało.

Patrzyłem na nich tak, jakbym widział ich po raz pierwszy.

– Więc wy też należycie do rzekomo nieistniejącej odnogi rodu kanclerza – wyjąkałem w końcu. – Uważa się powszechnie, że ta gałąź wymarła, że nikt, kto nosi dziś nazwisko López de Ayala, nie jest bezpośrednim potomkiem kanclerza. Dlatego tak trudno było mi przyjąć do wiadomości rezultat badań DNA.

– Tak się powszechnie uważa, a my nie zamierzamy tego dementować. Zależy nam, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale nasze DNA potwierdza, że jesteśmy potomkami kanclerza, owszem.

– Więc jesteśmy rodziną? – zapytałem drżącym głosem.

– Wszystko na to wskazuje – odparł Iago z uśmiechem. – Chodź, mieliśmy pójść po dziadka i małą.

Przemierzyliśmy ulicę Fray Zacarías Martínez, noszącą dawniej nazwę Tenderías. Zastaliśmy ich w środku zaciętej bitwy na śnieżki.

Deba miała na sobie czerwony berecik, który dostała w prezencie od dziadka. Zastłaniał jej króciutkie włosy, a sam dziadek twierdził, że łatwiej mu nie stracić jej z oczu. Nie unikał placu zabaw, na którym Tasio go pobił i porwał moją córkę. Jego filozofia normalności, w której wychował mnie i Germana, a teraz wychowywał Debę, zakładała, że żadnych przeciwności losu nie powinno się zmieniać w traumę.

– Santiago, jak się pan miewa? – przywitał się z nim Iago.

– Ja cię znam, prawda? – zapytał dziadek, otrzepawszy sobie beret ze śniegu.

– To Iago del Castillo, on cię znalazł, kiedy lis porwał małą, dziadku – przedstawiłem go. – On ocalił ci życie i zadzwonił po karetkę. Nie żyłbyś dziś, gdyby nie jego upór. A to jego brat Héctor del Castillo. I wszyscy należymy do tej samej rodziny.

Dziadek mocno uściśnął im dłonie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jesteśmy rodziną? – zapytał, nie rozumiejąc.

– Pamiętasz, co mówiłem ci o testach DNA kanclerza Ayali w Quejanie? Oni też robili to badanie i są z nim spokrewnieni. Wszyscy wywodzimy się z tej samej odnogi rodu.

– Tak właśnie myślałem – powiedział, patrząc na Iaga. – Masz takie same oczy jak dziadek Santiago, ten, który wyjechał z Villaverde, kiedy mój ojciec nie miał jeszcze dziesięciu lat.

– To były inne czasy. Cieszę się bardzo, że pański ojciec podniósł się po tym, pan wychował swoje wnuki, a teraz wychowuje prawnuczkę.

– O tak, ja też bardzo się z tego cieszę. I z tego, że jesteśmy rodziną – odparł dziadek. – Wiedźcie, że jesteście zawsze mile widziani w Villaverde.

– Unai, chcielibyśmy pokazać coś jeszcze całej waszej trójce. To stary rodzinny obyczaj.

– Jasne, dokąd idziemy?

– Do dzwonnicy Starej Katedry.

– Słucham?

– Jako badacze mamy tam wstęp. Pracowaliśmy kiedyś z dyrektorem Fundacji Katedry Najświętszej Marii Panny – wtrącił Héctor, pokazując mi figlarnym gestem pęk kluczy. – Panie Santiago, da pan radę wejść po tych wszystkich schodach?

– Z małą na barana, jeśli to będzie konieczne – odrzekł bez wahania dziadek.

I po chwili cała nasza piątka spoglądała na ośnieżone dachy białego miasta, stojąc na tarasie widokowym dzwonnicy katedry.

– Wspaniały widok, prawda? – powiedział wzruszony Iago.

Nawet Debie na chwilę odebrało mowę. W końcu dziadek przerwał milczenie.

– Zobacz, Słońce Babci! – Pokazał rysunek wyryty w jednym z kamieni obok dzwonu. – Ktoś namalował je także i tutaj.

– To właśnie chcieliśmy wam pokazać. Słońce Babci albo Kwiat Babci. Tak naprawdę to *eguzkilor*, kwiat słońca – wyjaśnił Iago. – Nasza rodzina od dawien dawna rysowała ten symbol, żeby chronił miejsca, w których mieszkaliśmy. Ten znak narysowała babcia Lucía, ta sama, która pojawia się w kronice hrabiego Veli. Była praprababcią Alix de Salcedo, matriarchinią naszej gałęzi rodu, a potem rodu Ayalów. I od tamtych czasów wszyscy członkowie rodziny przekazują sobie tę wiedzę, żeby wspomnienie nigdy nie zaginęło.

Nagle coś do mnie dotarło.

– Poczucie, że jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego miasta... Może je odziedziczyłem, mam je w genach? – zapytałem zamyślony.

– Nie wiem, może ma ono wiele wspólnego z tym, jak wychował cię dziadek. On je odziedziczył i ci je przekazał. Wspominałeś kiedyś, że twoja córka chce otworzyć szpital. To ciekawe, synowa kanclerza też ufundowała szpital, dziś w tym gmachu mieści się Szpital Świętego Jakuba.

– Słyszałaś, Debo? Jesteś najmłodszą potomkinią Lopezów de Ayala. Jeśli będziesz miała dzieci, przyprowadź je tutaj i naucz rysować *eguzkilor*. Wtedy wszyscy będziemy bezpieczni – powiedziałem.

– Lepiej szpital – odparła Deba z przekonaniem. – Tam się latuje ludzi.

– Chodźmy, mamy jeszcze jeden rodzinny sekret, którym chcemy się z wami podzielić – odezwał się Iago.

Kiedy przekraczaliśmy próg pałacu Villa Suso, po plecach przeszły mi dreszcze.

– Dokąd idziemy?

– To tutaj, wejdźmy na górę – odparł Iago.

I zaprowadzili nas do szklanej płyty nad nagrobkiem, w którym spoczywały szczątki zamurowanej w Villa Suso kobiety.

– Tu spoczywa Alix de Salcedo. Pochował ją tu sam Diago Vela – wyszeptał Ignacio.

Potem uklęknął, położył dłoń na szklanej płycie, jakby chciał zamienić z nią kilka słów.

Wszyscy uszanowaliśmy tę ciszę, nawet Deba wydawała się rozumieć powagę chwili i ścisnęła mocniej moją dłoń.

– Więc ta dziewczuszka to nasza babcia – podsumował dziadek.

– Tak, dziadku. Okazuje się, że to Alix de Salcedo i że Alix i Diago mieli potomków, a ich ród przetrwał do dziś.

– Dziewczynkę, która miała na imię Quejana – dodał Iago.

– I my jesteśmy potomkami jej potomków – szepnąłem wzruszony.

Ja też ukląknęłam przed nią na jedno kolano i odmówiłam po raz ostatni swoją modlitwę:

– Tutaj kończy się moje polowanie, matko. Tutaj zaczyna się twoje życie, córeczko.

## PODZIĘKOWANIA

W tej powieści spotykają się moje dwa literackie światy: *Trylogia białego miasta* splata się z *Sagą długowiecznych*.

Dotarcie do wspólnych korzeni obu rodzin, powrót do postaci Iaga del Castillo/Diaga Veli, Lūra/Hectora Dicastillo, Nagorna, Gunnarra i Lyry po to, żeby pokazać, że są bezpośrednimi przodkami Unaia Lopeza de Ayali, było – po trzech dekadach wymyślania fabuł i postaci, które pokochałam nie tylko ja, ale i moi czytelnicy – jedną z moich największych pisarskich przyjemności.

Jestem bardzo wdzięczna całemu zespołowi wydawnictwa Planeta za profesjonalizm i pomoc podczas procesu wydawniczego wszystkich powieści składających się na *Trylogię białego miasta*.

Dziękuję Antonii Kerrigan za czuwanie nad moimi prawami autorskimi.

Moim czytelnikom, którzy rozumieją, że proces dokumentacji i pisania powieści liczącej prawie pięćset stron to ciężka praca wymagająca kilku lat twórczego intelektualnego wysiłku. Jestem wam dozgonnie wdzięczna za zdrowy rozsądek i anielską cierpliwość, z jakimi oczekiwaliście kolejnych tomów serii.

I moim dzieciom oraz mojemu mężowi, to oni sprawiają, że nasza codzienność jest najlepszym miejscem, w którym można zamieszkać.

- [1] *Tortas de chinchorta* – tradycyjne baskijskie ciasteczka wyrabiane z mąki, smalca, jajek, cukru i wanilii z dodatkiem skórek wieprzowych.
- [2] Ertzaintza – policja autonomiczna w Kraju Basków.
- [3] *Bastardo* (hiszp.) – sukinsyn, drań; nieślubne dziecko.
- [4] DYA, *Detente y Ayuda* (hiszp. Zatrzymaj się i Pomóż) – organizacja pożytku publicznego ufundowana w 1966 roku przez doktora Juana Antonia Usparitzę. Na początku chodziło o systemową pomoc dla ofiar wypadków drogowych. Dziś organizacja zajmuje się również pomocą ofiarom rozmaitych zdarzeń losowych.
- [5] Loteria Bożonarodzeniowa – organizowana nieprzerwanie od 1912 roku loteria odbywająca się 22 grudnia. Jedna z największych loterii na świecie, wygrane są bardzo wysokie. Jest to istne szaleństwo, co roku tego dnia w wiadomościach dominującym tematem jest to, kto wylosował nagrodę pierwszego stopnia.
- [6] *Alquerque* – gra planszowa wywodząca się z kultury arabskiej, popularna w średniowieczu na terenach dzisiejszej Hiszpanii. Prawdopodobnie dała początek współczesnym warcabom.
- [7] *Bienandanzas e Fortunas* – liczące dwadzieścia pięć tomów dzieło opowiada historię świata od jego stworzenia po czasy współczesne autorowi. Mieszają się w nim mity, legendy i przekaz historyczny.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz